

„Olśniewający melanz nieskrępowanej wyobraźni,
dickensowskiej osobliwości, nadprzyrodzonej makabry i suspensu”.

Joc Hill

ZWYCZAJNE POTWORY



J. M. MIRO

 Poradnia K

ZWYCZAJNE POTWORY



J. M. MIRO

Przełożył Wojciech Szypuła

 **Poradnia K**

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

NA KAMIENNYCH SCHODACH. 1874

1. Zagubione dzieci

MAPA RYSOWANA PYŁEM. 1882

2. Płomyki

3. Dzieciak na końcu świata

4. Człowiek wielu ciemności

5. Coraz jaśniej

6. Przebudzenie litcha

7. Każdy nieznajomy to nowy początek

8. Potwory we mgle

9. Nickel Street West 23

10. Cisza przed burzą

11. Świecący chłopiec

ZNIKNIĘCIE JACOBA MARBERA. 1873

12. Komako i Teshi

13. Jacob Rzeźnik, Jacob Krew

14. Nadzieja to mechaniczne serce

15. Dziewczynka, którą wszyscy widzieli

16. Drughr

INSTYTUT. 1882

17. Szlachetne dzieła Instytutu Cairndale

18. Młode talenty
19. Szklany dom
20. Ci, którzy zniknęli
21. Tajemnice innych osób
22. Gabinet niemożliwości
23. Wygnani i martwi
24. Pająk
25. Nocne stwory i inne smutki
26. Dom o wielu drzwiach
27. Łowy na Marbera
28. Pojutrze

ZBRODNIE JACOBA MARBERA. 1874

29. Mężczyzna, dziecko, potwór
30. Tunel
31. Początek

W DYM. 1882

32. Człowiek na schodach umarłych
33. Grassmarket
34. Świat jeszcze bardziej pełen płaczu
35. Para i żelazo
36. Prawda alchemiczki
37. Przedziwna maszyneria losu
38. Kraina umarłych jest wszędzie dookoła
39. Wschodząca ciemność
40. Wszystko i nic

Epilog

Dziękuję!

Przypisy

Tytuł oryginału: *Ordinary Monsters*

Copyright © 2022 by Ides of March Creative Inc.
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © for the Polish translation by Wojciech Szypuła
Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2023

Projekt okładki: KEITH HAYES

Fotografie na okładce: © Yaroslav Gerzhedovich (chmury) / Getty Images; Serkan Mutan (kruk) / Getty Images

Adaptacja okładki: GRZEGORZ ARASZEWSKI / garasz.pl

Redaktor prowadząca: MAŁGORZATA WRÓBLEWSKA

Redakcja: PAULINA ZABOREK

Korekta: JOLANTA KUCHARSKA, MODESTIA KATARZYNA SARNA

Wydanie I

ISBN 978-83-67195-54-6

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.

Prezes: Joanna Bażyńska

00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25 lok. 6

e-mail: poradniak@poradniak.pl



Poradnia K

Poznaj nasze inne książki.

Zapraszamy do księgarni:

www.poradniak.pl

facebook.com/poradniak

linkedin.com/company/poradniak

instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo

Konwersja: eLitera s.c.

Dave'owi Balchinowi

*Ludzie nie potrafili ich [gigantów] utrzymać.
Giganci obrócili się przeciwko ludziom, aby ich pożreć.*

Księga Henocha etiopska^[1]

NA KAMIENNYCH SCHODACH

1874

Zagubione dzieci

Pierwszy raz Eliza Grey zobaczyła niemowlę o zmierzchu, w wolno jadącym wagonie towarowym przemierzającym chłostany deszczem odcinek linii kolejowej niecałe pięć kilometrów na zachód od Bury St. Edmunds w Suffolk, w Anglii. Miała szesnaście lat i oczy ciemne jak deszcz. Była niepiśmienna, nieobyta w świecie i głodna, bo od dwóch dni i nocy nic nie jadła. Nie miała płaszcza ani kapelusza, ponieważ uciekła w ciemność, nie zastanawiając się nad tym, dokąd pobiegnie ani co zrobi w następnej kolejności. Na szyi miała odcisnięte ślady palców swojego pracodawcy, na żebrach sińce po jego kopniakach, a w brzuchu jego dziecko, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. Zostawiła go na śmierć ubranego w koszulę nocną, ze szpilką do włosów wbitą w oko.

Od tamtej pory uciekała. Kiedy zataczając się, wybiegła spomiędzy drzew i po przeciwnej stronie ciemniejących o zmierzchu pól dostrzegła zbliżający się pociąg towarowy, nie łudziła się, że zdąży. Potem jednak, sama nie wiedząc jak i kiedy, wspięła się na ogrodzenie i zaczęła brnąć przez grząskie pole, smagana zacinającym z boku deszczem ze śniegiem. Gęste błoto na nasypie oblepiało ją, ciążyło jej i brudziło spódnicę, kiedy przewracała się, ześlizgiwała i znów rozpaczliwie gramoliła na górę.

Wtedy usłyszała psy. Spomiędzy drzew wyjeżdżali ludzie na koniach, mroczne sylwetki, jedna za drugą, gęsiego, po drugiej stronie ogrodzenia. Spuszczone ze smyczy czarne psiska ujadły głośno i rwały się przed siebie. Widziała, jak mężczyźni spinają konie do galopu, a gdy złapała się uchwytu na ścianie wagonu, podskoczyła i resztkami sił wciągnęła się do środka, usłyszała wystrzał. Coś przeleciało przed jej twarzą i odbiło się od ściany, krzesząc iskry. Odwróciła się i ujrzała budzącego grozę mężczyznę w cylindrze, ojca zabitego: stał

w strzemionach i mierzył do niej ze sztucera. Przeturlała się desperacko w głąb wagonu na słomę i ciężko dysząc, legła bez ruchu. Pociąg nabierał prędkości.

Musiała przysnąć. Kiedy się obudziła, włosy kleiły jej się do szyi, podłoga wagonu telepała się i turkotała, a przez otwarte drzwi zacinął deszcz. W ciemności majaczyły ustawione w stosy i powiązane skrzynie opatrzone etykietami Greene King. W słomie leżała przewrócona na bok drewniana prycza. Ale było coś jeszcze, jakieś światło, słabe, ledwie majaczące na skraju pola widzenia, sinoniebieskie jak rozjaśnione piorunami niebo. Podczołgała się w jego kierunku i stwierdziła, że to nie żadne światło, tylko dziecko, niemowlę płci męskiej. Chłopczyk leżał na słomie i świecił. Tę chwilę miała zapamiętać na całe życie. Jego buzię, która zdawała się półprzejrysta i emanowała błękitem, jakby rozjarzona od środka latarnią. Mapę żyłek na policzkach, szyi i rękach.

Podpełzła bliżej.

Obok dziecka leżała jego kruczowłosa matka. Była martwa.

Co kieruje ludzkim życiem, jeśli nie przypadek?

Eliza patrzyła, jak poświata pod skórą dziecka z wolna zamiera i gaśnie. W tej chwili wszystko, czym była, i wszystko, czym dopiero miała się stać, rozpościerało się za nią i przed nią długą nieprzerwaną linią. Przykucnięta w słomie, kolebała się w rytmie zgodnym z kołysaniem wagonu i – wsłuchana w swoje coraz spokojniej bijące serce – prawie mogła sobie wyobrazić, że błękitna poświata jej się przyśniła; że to zwykły powidok utrzymujący się pod powiekami ze zmęczenia, strachu i udręczenia żywotem uciekinierki. Prawie.

– Coś ty za jeden, mały? – zamruczała. – Skąd się tu wziąłeś?

Nie była ani szczególnie bystra, ani w ogóle w żaden sposób wyjątkowa: drobna jak ptaszek, miała wąską, ściągniętą twarz, przyduże oczy, włosy brązowe i szorstkie jak sucha trawa. Wiedziała, że nic nie znaczy, powtarzano jej to od dziecka. I tak jak w przyszłym życiu jej dusza miała należeć do Jezusa, tak w tym jej ciało należało do każdego, kto je karmił, odziewał i zapewniał mu dach nad głową. Taki był ten świat. Kiedy jednak w zacinającym zimnym deszczu przytuliła dziecko do piersi, a wyczerpanie otwierało się przed nią jak wrota w bezdenny mrok, zdziwiła się, jak gwałtowne, niespodziewane i nieskomplikowane uczucie w niej wezbrało. Miało w sobie coś z gniewu, było podobnie jak on bezczelne i wyzywające, ale zarazem nie było nim. Jeszcze nigdy nie trzymała w ramionach

równie bezbronnej i nieprzygotowanej do życia istoty. Rozpłakała się. Płakała nad dzieckiem, nad sobą i nad wszystkim, co zrobiła i czego nie mogła cofnąć, a potem, kiedy zabrakło jej łez, po prostu trzymała dziecko na rękach i gapiała się w deszcz.

Eliza Mackenzie Grey. Tak brzmiało jej nazwisko, które powtarzała szeptem dziecku raz po raz, jakby dzieliła się z nim swoim sekretem. Nie dodawała: „Mackenzie po ojcu, który był dobrym człowiekiem. Pan zbyt szybko powołał go do siebie”. Nie wspominała też: „Grey po drugim mężu mamy, mężczyźnie wielkim jak tata, przystojnym jak wszyscy diabli i wygadany jak nie wiem co. Mamie się podobał, ale nie był taki słodki jak jego słowa”. Urok ojczyma rozplynął się w alkoholu zaledwie kilka tygodni po nocy poślubnej. Wkrótce butelki zaczęły im się przewalać pod nogami w lichym mieszkanku w Leicester, a potem ojczym nabral zwyczaju dotykania Elizy o poranku w sposób, którego – wciąż jeszcze będąc dzieckiem – nie rozumiała, a który sprawiał jej ból i wprawiał w zakłopotanie. Kiedy w wieku trzynastu lat sprzedali ją na służbę, to matka odprawiła Elizę z domu, to matka posłała ją do agencji – bez jednej łzy, z zaciśniętymi trupio bladymi wargami, gotowa na wszystko, byle wyrwać córkę z łap tego człowieka.

A potem jej pracodawca, dziedzic fortuny z branży cukrowej, elegant, zawsze w kamizelce, z zegarkiem z dewizką i wypiełgnowanymi bokobrodami, znienacka wezwał ją do siebie do gabinetu i zaczął wypytywać, jak się nazywa, chociaż pracowała w jego domu już od dwóch lat. Dwie noce później cicho zapukał do jej pokoju. Przyniósł świecę w płaskim lichtarzyku. Zamknął drzwi za sobą, zanim zdążyła wstać z łóżka czy choćby zapytać, o co chodzi... A teraz leżał martwy, wiele kilometrów stąd, na podłodze jej sypialni, w kałuży czarnej krwi.

Zginął z jej ręki.

Niebo na wschodzie bledło. Kiedy dziecko zaczęło kwilić z głodu, Eliza wyjęła jedyne jedzenie, jakie miała – skórkę chleba zawiniętą w chusteczkę, odgryzła kawałek, przeżuła na papkę i podała niemowlęciu. Chłopczyk przełknął łapczywie, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. Skórę miał tak bladą, że wyraźnie widziała przezierające przez nią niebieskie żyłki. Podczołgała się bliżej, zza halki nieżyjącej matki dziecka wyjęła zwitek funtowych banknotów i portmonetkę z drobniakami, po czym z mozołem wypłatała kobietę z zewnętrznego okrycia. Nie zawracała sobie głowy wiszącym na jej szyi rzemykiem z parą ciężkich czarnych

kluczy. Fioletoworóżowa spódnica była przydługa, Eliza musiała wywinąć ją w tali, żeby na nią pasowała. Kiedy skończyła, wymamrotała krótki pacierz za duszę zmarłej. Kobieta – krągła i pulchna, o gęstych czarnych włosach – była całkowitym przeciwieństwem Elizy. Na piersiach i żebrach miała blizny, głęboko żłobione, obrzmiałe – nie wyglądały jak poparzenia, nie przypominały również śladów po ospie, sprawiały raczej wrażenie, jakby ciało się roztopiło, a potem zastygło w takiej formie. Eliza wołała sobie nie wyobrażać, co było powodem powstania blizn.

Nowe ubranie było delikatniejsze, miększe niż jej własne. O brzasku, kiedy pociąg zwolnił na rozjazdach, Eliza wyskoczyła z wagonu z dzieckiem na rękach i wróciła po torach do najbliższej stacji znajdującej się we wsi Marlowe. Stwierdziła, że nie jest to wcale najgorsza nazwa, więc nazwała chłopca Marlowe. Zapłaciła za pokój w jedynym pensjonacie stojącym obok starego zajazdu i położyła się w czystej pościeli. Nawet nie zdjęła butów. Dziecko, ciepłe i mięciutkie, spoczywało na jej piersi. Oboje spali i spali.

Rano kupiła bilet trzeciej klasy do Cambridge, skąd pojechali na południe, na dworzec Kings Cross, w londyński mrok i dym.

Skradzione pieniądze nie wystarczyły na długo. W Rotherhithe zmyśliła historyjkę o tym, jak to jej młody mąż zginął przygnieciony przez wóz, a ona musi szukać zajęcia. Przy Church Street znalazła pracę w pubie dla przewoźników rzecznych, właściciel z żoną pozwolili jej nocować w ich domu i przez jakiś czas była szczęśliwa. Nie wymigiwała się od ciężkiej pracy: szorowała podłogi, układała garnki i dzbany w stosy, odważała i przesiewała mąkę i cukier z beczek. Odkryła nawet, że ma dryg do rachunków. W niedziele zabierała chłopca przez całe Bermondsey aż do zarośniętego wysoką trawą parku Battersea. Tamiza majaczyła nieopodal, ledwie widoczna wśród mgieł, a oni chlapali się na bosaka w kałużach i rzucali kamieniami w gęsi. Ubodzy włóczędzy migali na ścieżkach jak świece. Było już widać brzuch, który stanowił nieustanne źródło zmartwienia Elizy. Wiedziała, że nosi dziecko byłego pracodawcy, aż pewnego poranka, kiedy kucnęła nad nocnikiem, chwycił ją wściekły skurcz i nagle wypadło z niej coś czerwonego i oślizłego. Bolało jak diabli, ale przynajmniej było po wszystkim.

W pewien ponury czerwcowy wieczór obca kobieta zagadnęła ją na ulicy. Powietrze gęstniało od cuchnących wyziewów Tamizy. Eliza zatrudniła się jako

praczka w Wapping, ledwie starczało jej na życie i oboje z dzieckiem nocowali pod mostem. Szal, którym się otulała, już się wystrzępił, chude ręce miała w plamach i wrzodach. Kobieta, która ją zaczepiła, była wysoka prawie jak olbrzymka, a w barach szeroka jak zapaśniczka. Gęste siwe włosy nosiła zaplecione w opadający na plecy warkocz. Oczy miała małe, czarne i błyszczące jak wypolerowane guziki eleganckich butów. Mówiła z mdłym amerykańskim akcentem, przedstawiła się jako Brynt i powiedziała, że zdaje sobie sprawę ze swojego wyglądu, ale Eliza i dziecko nie powinni się niczego obawiać, bo przecież każdy człowiek jest inny. Niektóre z tych różnic są ukryte, inne widoczne, ale w tym właśnie przejawia się cud Bożego stworzenia. Przez wiele lat pracowała w cyrku i wiedziała, jak ludzie mogą na nią reagować. Niedawno nawiązała współpracę z wielebny Walkerem w Turk's Head Theatre i proszę wybaczyć, że pyta tak prosto z mostu, ale czy Eliza jest już zbawiona?

Kiedy Eliza nie odpowiedziała, tylko patrzyła na nią bez słowa, zadarłszy głowę, Brynt odchyliła kapturek chłopca, żeby spojrzeć na jego buzię. Elizę nagle ogarnął strach, jakby Marlowe mógł nie być sobą, jakby coś było z nim nie w porządku. Przyciągnęła go mocniej – ale on wciąż był zwykłym niemowlakiem, który uśmiechał się sennie. Wtedy też dostrzegła u olbrzymki tatuaże: zaczynały się na dłoniach, przesuwały w górę i znikwały w głębi rękawów. Jak u marynarza z Indii Wschodnich. Splecione stwory, straszne twarze. Na szyi też zauważyła rysunek atramentem. Być może nieznaną całe ciało miała wytatuowane.

– Nie bój się – powiedziała Brynt.

Eliza wcale się nie bała, po prostu nigdy wcześniej nie widziała kogoś takiego.

Brynt poprowadziła ją przez mgłę w zaułek, przez ociekające wodą podwórko, do podupadłego teatru pochylającego się nad mętną rzeką. Pomieszczenie było mroczne, jakby przydymione, i niewiele większe od wnętrza wagonu kolejowego. Wielebny Walker w koszuli i kamizelce przechadzał się po małej scenie w blasku świec i podniesionym głosem opowiadał zebrany marynarzom i przechodniom o zbliżającej się apokalipsie, a kiedy skończył, zaczął sprzedawać swoje eliksiry, maści i tynktury. Nieco później Eliza trafiła do oddzielnego kotarą skrawka pomieszczenia, gdzie wielebny, już na siedząco, ocierał twarz i szyję z potu. Był chudy i niski, niewiele wyższy od chłopaka. Miał siwe włosy i stare, pałające żarem oczy. Miękkimi, drżącymi palcami odkręcił pojemnik z laudanum.

– Jest tylko jedna Księga Chrystusowa – rzekł półgłosem i podniósł na Elizę spojrzenie zapuchniętych, przekrwionych oczu. – Za to rodzajów chrześcijan jest tyle, ilu ludzi stąpających po ziemi. – Zacisnął pięść, po czym rozprostował palce. – Wielu z jednego.

– Wielu z jednego – powtórzyła Brynt jak słowa litanii. – Ci dwoje nie mają się gdzie podziąć, wielebny.

Wielebny odchrząknął i oczy mu się zaszklily, jakby nagle został sam. Na śmierć zapomniał o Elizie. Poruszał bezgłośnie wargami.

Brynt ujęła Elizę pod łokieć i odciągnęła na bok.

– Nie przejmuj się, jest po prostu zmęczony. Ale przypadłaś mu do gustu, skarbie, oboje przypadliście sobie. Potrzebujecie kąta do spania? – zapytała.

Zostali – początkowo tylko na jedną noc, potem na następny dzień, a później do końca tygodnia. Elizie spodobało się, jak Brynt traktuje dziecko, a poza tym było ich tylko dwoje: Brynt i wielebny. Ona odwalala całą ciężką pracę, a on mieszał swoje mikstury w wiekowym trzeszczącym teatrze i – jak to ujęła Brynt – „spierał się z Bogiem przez zamknięte drzwi”. Eliza brała ich początkowo za parę kochanków, szybko jednak zdała sobie sprawę, że wielebnego nie interesują kobiety, co przyjęła z ogromną ulgą. Prała, dźwigała ciężary, trochę nawet gotowała, chociaż Brynt co wieczór krzywiła się, gdy zaleciały ją zapachy z garnka. Eliza zamiatała również salę, pomagała przybierać scenę świeczkami i codziennie na nowo budować ławki z cegieł i desek.

Był październik, kiedy w teatrze zjawilo się dwóch jegomościów, strzepując krople deszczu z płaszczy. Wyższy z nich przesunął dłonią po ociekającej wodą brodzie. Rondo kapelusza skrywało jego oczy, ale Eliza od razu go poznała: to on polował na nią z psami w Suffolk. Ojciec jej zabitego pracodawcy.

Skuliła się za kurtyną i wyobraziła sobie, że rozplywa się w powietrzu, ale nie była w stanie oderwać od niego wzroku. Wielokrotnie wyobrazała sobie tę scenę, śniła o niej noc w noc i budziła się zlna potem. Patrzyła, niezdolna się poruszyć, jak jej prześladowca krąży na obrzeżach tłumu i zagląda ludziom w twarze, jakby tylko czekała, aż ją znajdzie. On jednak nie spojrzal w jej stronę. Wrócił do swojego towarzysza, który trzymał się z tyłu, rozpiął płaszcz i wyjął z kieszonki złoty zegarek z dewizką, jakby bał się spóźnić na ważne spotkanie. Później obaj

przecisnęli się przez tłum na zewnątrz i przepadli w mrokach Wapping. Eliza cała i zdrowa odetchnęła z ulgą.

– Co to za jedni, moje dziecko? – zapytała ją później Brynt tym swoim niskim, dudniącym głosem. Światło lampy pełgało po jej tatuowanych knykciach. – Co ci zrobili?

Ale Eliza nie mogła jej powiedzieć, nie potrafiła się zmusić, żeby jej wytłumaczyć, co ona zrobiła im. Przytuliła dziecko do piersi i zadrżała. Wiedziała, że to nie zbieg okoliczności, że nadal ją ścigają i zawsze będą ścigać. I nagle przyjemne ciepło, jakie ogarnęło ją przy Brynt i wielebnym, ulotniło się bez śladu. Nie mogła zostać – ani tutaj, ani z nimi. Tak się nie robi.

Nie od razu jednak wyjechała i pewnego szarego poranka, kiedy akurat taszczyła wiadro z praniem przez Runyan's Court, napatoczyła się na Brynt. Olbrzymka wyjęła z obszernych fałdów spódnicy złożony arkusz papieru i wręczyła go Elizie. Obok pijaczek spał w błocie. Pranie suszyło się na sznurku.

Z rozłożonej kartki spojrzała na Elizę jej własna podobizna. To było ogłoszenie w gazecie: nagroda za schwywanie morderczyni.

– Czy tu jest moje nazwisko? – spytała. Nie umiała przecież czytać.

– Moje dziecko... – mruknęła półgłosem Brynt.

I wtedy Eliza jej powiedziała, powiedziała jej wszystko, tam gdzie akurat stały, na tym smętnym placyku. Z początku było trudno, głos jej się rwał, ale potem słowa posypały się z niej w szalonym pośpiechu, a ona odkryła, że mówienie przynosi ulgę. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej ten sekret ciążył. Opowiedziała o mężczyźnie w nocnej koszuli, o jego pożądliwych oczach odbijających blask świecy i o tym, jak bolało i bolało, aż skończył, jego dłonie pachniały kremem, a ona, już później, po wszystkim, sięgnęła obolała do swojej komódki i namacała tam... coś, coś ostrego, i uderzyła go tym czymś, i dopiero kiedy go z siebie zepchnęła, zobaczyła, co właściwie zrobiła. Opowiedziała też o wagonie kolejowym, o lampie, która wcale nie była lampą, i o tym, jak chłopczyk patrzył na nią tamtej pierwszej nocy, opowiedziała nawet o tym, jak podebrała nieżyjącej matce dziecka pieniądze i zdarła ubranie z jej sztywniejącego ciała.

Skończyła i patrzyła, jak Brynt odyma policzki i siada ciężko na odwróconym do góry dnem wiadrze, z wysoko uniesionymi wielkimi kolanami, obwisłym brzuchem i kurczowo zaciśniętymi powiekami.

– Brynt? – zaniepokoiła się. – Wysoka ta nagroda, co ją za mnie dają?

Kobieta podniosła wytatuowane dłonie i spoglądała to na jedną, to na drugą, jakby usiłowała rozgryźć zawartą w nich tajemnicę.

– Wiedziałam – powiedziała półgłosem. – Od początku, od tego pierwszego dnia, kiedy spotkałam cię na ulicy. Wiedziałam, że coś w sobie nosisz.

– Wysoka ta nagroda, Brynt?

Brynt pokiwała głową.

– Co zamierzasz? Powiesz wielebnemu?

Brynt podniosła głowę i pokręciła nią wolno w geście zaprzeczenia.

– Świat jego ogromny, moje dziecko. Niektórym się wydaje, że jeśli wyjadą dostatecznie daleko, uciekną od wszystkiego. Nawet od własnych błędów.

– Ty też tak uważasz?

– Ha... Osiemnaście lat już tak uciekam. Ale nie da się uciec przed sobą.

Eliza otarła oczy i wierzchem nadgarstka wytarła nos.

– To było niechcący – wyszeptała.

Brynt skinęła głową na kartkę w dłoni Elizy i wstała, szykując się do odejścia.

– Niektórzy dranie po prostu na to zasługują – wypaliła z zaciętrzewieniem.

Tymczasem Marlowe – czarnowłosa i swawolny – rósł. Jego skóra pozostała upiornie, niezdrowo blada, wręcz biała, jakby nigdy nie wychodził na słońce, a jednak wyrósł na słodkiego berbecia, obdarzonego uśmiechem zdolnym otworzyć każdy portfel i oczami błękitnymi jak niebo nad Suffolk. Czasem jednak ujawniał skrywany na co dzień paskudny charakter: widząc, jak krzywi się ze złości i tupie gniewnie nogą, gdy coś nie idzie po jego myśli, Eliza zastanawiała się, jaki diabeł w nim tkwi. Wrzeszczał wtedy wniebogłosem, chwycił, co mu wpadło w rękę – bryłkę węgla, kałamarz, cokolwiek – i roztrzaskiwał na kawałki. Brynt próbowała jej tłumaczyć, że to normalne zachowanie u dziecka, nic złego się nie dzieje, każdy dwulatek przechodzi taki etap, ale Eliza nie dała się łatwo przekonać.

Zdarzył się taki wieczór przy St. Georges Street, kiedy Marlowe bardzo czegoś chciał – może chodziło o laseczkę lukrecji, którą zobaczył na wystawie cukierni? – a ona, zmęczona albo zwyczajnie roztargniona, odmówiła mu stanowczo, złapała

go za rękę i pociągnęła przez tłum w stronę szerokich kamiennych schodów prowadzących w dół na Bolt Alley.

– Ale ja chcę! – krzyczał. – Ja chcę! – I posłał jej mroczne, jadowite spojrzenie.

Nagle poczuła, jak we wnętrzu dłoni, w której ścisnęła jego rączkę, narasta palący żar. Zatrzymała się w połowie schodów w mdłym żółtym świetle gazowej latarni i stwierdziła, że skóra chłopca emanuje znajomą niebieską poświatą. Potworny ból rozdarł jej dłoń. Marlowe łypał na nią, rozeźlony nie na żarty, i obserwował, jak krzywi się w mękach. Krzyknęła i odepchnęła go od siebie. Upadł.

Stojąca w ciemności u dołu schodów postać w pelerynie odwróciła się i podniosła na nich wzrok, nieruchoma poza tym jak kolumna litego mroku. Nie miała twarzy, w jej miejscu kłębił się dym. Eliza wzdrygnęła się na ten widok.

Złość Marlowe'a nagle się ulotniła, błękitne światło zgasło. Patrzył na nią, leżąc w błocie, na jego drobnej bladej buzi malowały się strach i niepewność. Rozpląkał się.

Przycisnęła bolącą dłoń do piersi i owinęła ją szalem. Drugą zdrową ręką przygarnęła chłopca, nucąc mu cicho, jednocześnie zawstydzona i zalękniona. Odwróciła się, ale postać z dołu schodów zniknęła.

Marlowe miał sześć lat, kiedy na skutek zaległości w płaceniu czynszu stracili teatr w Wapping i zamieszkali wszyscy razem w mizernym pokoiku przy Flower and Dean Street, w Spitalfields. Eliza zaczynała żywić nadzieję, że może jednak Brynt nie miała racji i da się uciec od własnych błędów. Upłynęły dwa lata, odkąd gazety przestały publikować ogłoszenia o nagrodzie. Wędrowała ze Spitalfields szmat drogi nad Tamizę, żeby podczas odpływu szukać w gęstym, kleistym mule przybrzeżnym czegoś, co nadawałoby się do sprzedania. Brynt była za ciężka do tej roboty, a Marlowe za mały. Zamiast tego on gonił wozy z węglem na osnutych mgłą ulicach i zbierał osypujące się na bruk drobne czarne grudki, nurkując przy tym pod kopyta koni i próbując uniknąć zmiżdżenia przez okute żelazem koła, a ona z niepokojem śledziła z oddali jego poczynania. Eliza nie przepadała za mrocznym, niebezpiecznym Spitalfields, podobało jej się jednak, jak dzielnica hartuje Marlowe'a i uczy go czujności. Lubiła patrzeć w jego wielkie ciemne oczy i dostrzegać w nich nowo nabytą wiedzę. Czasami w nocy, kiedy przychodził się do niej przytulić na rojącym się od pluskiew materacu, wsłuchiwała się w jego szybko

bijące serce i było jak dawniej, kiedy był małym dzieckiem, zwyczajnym, słodkim i dobrym.

Nie zawsze jednak tak to wyglądało. Wiosną tego roku napatoczyła się na niego w zawałonym odpadkami zaułku odchodzącym od Thrawl Street. Siedział skulony na ziemi i prawą ręką trzymał się za nadgarstek lewej, a jego dłonie, szyja i twarz emanowały tą samą poświatą, którą pamiętała sprzed lat: bladoniebieskie światło przesączało się przez mgłę. Kiedy cofnął rękę, jego nadgarstek jeszcze przez chwilę wzbierał bąblami i ociekał gęstą ciecżą, zanim skóra wygładziła się i odzyskała zwykły wygląd.

Eliza krzyknęła – odruchowo, wbrew sobie, nie zdołała się powstrzymać. Marlowe odwrócił się z zakłopotaniem, obciągnął rękaw i światło zgasło.

– Mamo...?

Tu, w zaułku, byli sami, ale nie dalej niż trzy metry od nich we mgle rozległo się skrzypienie wyładowanych jedwabiem wozów, słychać było pokrzykiwania sprzedawców i targowy zgiełk.

– Ach, serce ty moje... – mruknęła, uklękławszy przy nim.

Nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć. Nie sądziła, żeby Marlowe pamiętał tamten dzień, kiedy poparzył jej rękę. Nie wiedziała, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie, ale bycie innym w tym świecie nie popłacało, więc spróbowała mu to wytłumaczyć. Powiedziała, że Bóg każdemu wyznacza dwojaki los i że rolą człowieka jest dokonać właściwego wyboru. Patrząc na jego drobną buzię, na blade zmarznięte policzki, na przydługie czarne włosy opadające na uszy poczuła bezbrzeżny smutek.

– Zawsze masz wybór, Marlowe – powiedziała. – Rozumiesz, co mówię?

Pokiwał głową, ale Eliza wątpiła, by naprawdę rozumiał.

– To coś złego, mamo? – spytał po chwili głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

– Nie, skarbie. Skądże.

– Dlatego, że pochodzi od Boga? – odezwał się znów po krótkim namyśle.

Przygryzła wargę. Skinęła głową.

– Mamo?

– Tak?

– A jeśli ja nie chcę być inny?

Powiedziała, że nie wolno mu się nigdy bać tego, kim jest, ale nie powinien się obnosić z tą niebieską poświatą, czymkolwiek jest. Powinien się z nią kryć.

– Nawet przed wielebnym? – zapytał.

– Tak – odparła.

– I przed Brynt też? – dopytywał.

– Przed Brynt też – przytaknęła. Powiedziała mu, że może z czasem odkryje znaczenie tego blasku, ale zanim to nastąpi, zawsze znajdą się ludzie, którzy zapragną wykorzystać go do własnych celów, a także tacy, liczniejsi, których będzie napawał lękiem.

To był rok, w którym wielebny zaczął kaszleć i pluć krwią. Konował z Whitechapel zalecił mu zmianę klimatu na suchszy, ale Brynt tylko wtuliła głowę w ramiona i wyszła we mgłę. Później tłumaczyła ze złością, że wielebny w dzieciństwie opuścił amerykańską pustynię, z której się wywodził, i teraz chciał tam wrócić i umrzeć. Upływały kolejne wieczory rozświetlane gazowymi latarniami, a twarz wielebnego szarzała, oczy żółkły, aż w końcu przestał nawet udawać, że przyrządza jakieś specyfiki, i zaczął sprzedawać czystą whisky, tłumacząc każdemu, kto zechciał go słuchać, że została pobłogosławiona przez świętego męża z Czarnych Wzgórz w Agrapurze. Eliza powątpiewała, czy klientów to interesuje, a zresztą nawet to kłamstwo wypadło w jego ustach blade i nieprzekonująco, jak u człowieka, którzy nie wierzy już w żadne prawdy, ani swoje, ani cudze.

W pewien deszczowy wieczór – gdy ustawił skrzynkę przy Wentworth Road i wspiąwszy się na nią, nawoływał przechodniów, by zadbali o zbawienie swoich dusz – osunął się na ziemię. Brynt wzięła go na ręce i zaniósła do pokoiku w slumsach. Dach w paru miejscach przeciekał, tapety dawno oblażyły ze ścian, pleśń grubym kożuchem porosła ramę okna. W tym właśnie pokoju, pośród trwającego siódmego dnia bredzenia wielebnego, Eliza i Marlowe usłyszeli ciche pukanie do drzwi. Eliza wstała, żeby otworzyć. Spodziewała się Brynt, ale za progiem stał obcy mężczyzna. Szare światło z korytarza za jego plecami tworzyło aureolę wokół jego brody i kapelusza, oczy ginęły w cieniu.

– Panna Eliza Grey – powiedział.

Jego głos miał całkiem miłe, niemal łagodne brzmienie. Takim głosem, wyobrażała sobie Eliza, mógłby przemawiać dziadek do wnuczki w bajkach.

– Zgadza się – potaknęła niepewnie.

– To Brynt?! – zawołał Marlowe. – Mamo, Brynt wróciła?!

Mężczyzna zdjął kapelusz i odwrócił głowę lekko w bok, usiłując zajrzeć w głąb pokoju. Dopiero teraz zobaczyła jego twarz, jej złowrogi wyraz, długą czerwoną bliznę przecinającą jedno oko. Nieznajomy nosił biały kwiat wetknięty w klapę marynarki.

Próbowała zamknąć drzwi, ale on bez żadnego wysiłku zablokował je jedną ręką, wszedł do pokoju i dopiero wtedy zamknął drzwi za sobą.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, panno Grey – powiedział. – Mniemam jednak, że z czasem to uchybienie zostanie naprawione. A to kto taki?

Spojrzał pytająco na Marlowe'a, który stał na środku pokoju, tuląc do piersi brązowego pluszowego misia. Misiowi brakowało jednego oka, miał rozprutą łapę, z której wylaziło wypełnienie, ale był najcenniejszym skarbem chłopca. Marlowe patrzył na intruza, na jego bladej buzi nie malowały się żadne emocje. Nie było w nim strachu, jeszcze nie. Wyczuwał jednak, że coś jest nie w porządku.

– Wszystko będzie dobrze, skarbie – uspokoiła go Eliza. – Wracaj do wielebnego. Ten dżentelmen ma do mnie sprawę.

– Dżentelmen... – powtórzył przybysz takim tonem, jakby go to rozbawiło. – Jak ci na imię, synu?

– Marlowe – odparł z dumą chłopiec.

– Ile masz lat, Marlowe?

– Sześć.

– A kim jest ten człowiek na materacu? – Nieznajomy skinął kapeluszem na wielebnego, który leżał w malignie zwrócony twarzą do ściany.

– Wielebny Walker – wyjaśnił Marlowe. – Jest chory.

– No już – ponagliła go Eliza – idź, usiądź przy nim. Zmykaj.

– Pan jest policjantem? – zainteresował się Marlowe.

– Marlowe! – upomniała go z naciskiem Eliza.

– Tak, synu, naturalnie. Jestem policjantem. – Mężczyzna jeszcze raz otaksował chłopca wzrokiem, obracając kapelusz w dłoniach, zanim w końcu spojrzał na

Elizę. Oczy miał małe i bardzo ciemne, spojrzenie surowe. – Gdzie jest kobieta? – zapytał.

– Jaka kobieta?

Podniósł rękę nad głowę, żeby określić wzrost Brynt.

– Amerykanka, zapaśniczka – dodał.

– Jeżeli chce pan z nią porozmawiać...

– Nie, nie chcę.

Odłożył kapelusz na stojące w kącie koślawe krzesło. Przy tej okazji dostrzegł swoje odbicie w szybie i przyglądał wąż. Rozejrzał się po pokoju. Był ubrany w zielony garnitur w kratę, palce miał poplamione atramentem jak urzędnik bankowy. Biały kwiat w klapie, zauważyła Eliza, był zwiędnięty.

– Czego pan w takim razie chce? – zapytała, usiłując nie dać po sobie poznać, że się boi.

Uśmiechnął się i odgarnął poły marynarki. Wtedy zauważyła, że nosi rewolwer w kaburze na biodrze.

– Panno Grey... – zaczął. – W Blackwell Court zatrzymał się pewien dżentelmen dość wątpliwej proveniencji, który rozpytuje o panią w całym Spitalfields. Twierdzi, że odziedziczyła pani pokaźny spadek.

– Ja?

Oczy mężczyzny zabłysły.

– Tak, pani.

– To niemożliwe. Ja nie mam żadnej rodziny.

– Oczywiście, że nie. Nazywa się pani Eliza Mackenzie Grey, pochodzi z Bury St. Edmunds i jest ścigana za zabójstwo mężczyzny, który był pani pracodawcą. Mam rację?

Poczuła, że się rumieni.

– Wyznaczono za panią pokaźną nagrodę – podjął intruz. – Nigdzie jednak nie wspomniano o dziecku. – Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy spojrzął na Marlowe'a. – Nie spodziewam się również, by rzeczony dżentelmen się nim interesował. Znajdę dla małego odpowiednie miejsce. Może zostanie jakimś czeladnikiem, żeby nie musiał iść do przytułku. Wszędzie będzie mu lepiej niż tutaj, przy umierającym wielebny i tej nienormalnej Amerykance.

– Brynt wcale nie jest nienormalna – zaprotestował z kąta Marlowe.

– Kochanie – zwróciła się do niego Eliza – idź do Cowett i przyprowadź Brynt. Powiedz, że wielebny jej potrzebuje.

Podeszła do drzwi, żeby wypuścić chłopca, i w tej samej chwili usłyszała głucho metaliczne szczęknięcie. Zamarła.

– Odejdź od drzwi. Grzeczna dziewczynka.

Mężczyzna mierzył do niej z rewolweru w przeciekającym do pokoju bladym światłem dnia. Nałożył kapelusz.

– Trzeba przyznać, że nie wyglądasz na morderczynię – dodał.

Wolną ręką wyjął z kieszeni kamizelki cienkie niklowane kajdanki i nagle znalazł się tuż przy niej. Złapał ją mocno za rękę, zapiął jedną obręcz kajdanek na przegubie prawej dłoni i sięgnął po lewą. Eliza próbowała stawić opór.

– Nie... – zaczęła.

W głębi pokoju Marlowe wstał.

– Mamo? – zapytał z niepokojem. – Mamo!

Intruz popychał Elizę do wyjścia i zupełnie nie zwracał uwagi na Marlowe'a, kiedy ten do niego doskoczył. Wyglądał tak niepozornie... Eliza widziała to wszystko jak w zwolnionym tempie. Marlowe wyciągnął ręce i zacisnął obie drobne dłonie na nadgarstku mężczyzny, jakby chciał go zatrzymać. Mężczyzna odwrócił się do niego i przez chwilę, która Elizie wydała się bardzo długa, a nie mogła trwać więcej niż parę sekund, przyglądał mu się najpierw ze zdumieniem, potem z niedowierzaniem, aż wreszcie na jego twarzy odmalowała się zgroza. Marlowe łśnił. Intruz wypuścił rewolwer z ręki i otworzył usta do krzyku, ale nie krzyknął.

W szamotaninie Eliza wpadła na ścianę. Nie widziała twarzy chłopca, stał teraz tyłem do niej, widziała za to rękę mężczyzny w miejscu, w którym Marlowe się w nią wczepił: najpierw skóra pokryła się bąblami, a potem rozmiękła i popłynęła jak stopiony wosk. Szyja intruza odkształciła się, nogi ugięły, całe jego ciało zaczęło się przelewać, galaretowate, ciężkie, gęste jak melasa. Zielony garnitur wyrzusał się w najdziwniejszych miejscach i dosłownie w kilka chwil z krzepkiego mężczyzny w sile wieku została bezkształtna gruda mięsa z twarzą zastygłą w grymasie udręki i oczami wychodzącymi z orbit w roztopionej bryle, która jeszcze niedawno była głową.

Zapadła cisza. Marlowe puścił rękę mężczyzny. Niebieska poświata zgasła. Ręka sterczała w górę z zakrzepłej masy mięsa.

– Mamo? – powtórzył Marlowe. Spojrzał na Elizę i się rozplakał.

W mizernym pokoju panowały przejmujący ziąb i wilgoć. Eliza podeszła do chłopca i przytuliła go, wciąż była skuta. Drżał na całym ciele, ona też się trzęsła. Wtulił twarz w jej ramię. Żadną cząstką swojej istoty nigdy przedtem nie czuła tak wielkich emocji jak te, które rozpierały ją w tej chwili: zgrozy, litości, miłości.

Nie bała się jednak. Nie bała się swojego synka.

W kieszeni kamizelki intruza znalazła kluczyki do kajdanek. Zawinęła Marlowe'a w jedyny porządny koc, jaki mieli, dorzuciła do pieca resztkę węgla i ukołysała chłopca do snu przy łóżku wielebnego. Zdeformowane ciało łowcy nagród cały czas leżało na podłodze pod oknem. Wyczerpany chłopiec szybko zasnął. Brynt jeszcze nie wróciła, zapewne będzie pracować do rana.

Upewniwszy się, że Marlowe śpi, Eliza zawinęła zwłoki w drugi z posiadanych koców, dorzuciła rewolwer, po czym z trudem przeciągnęła pakunek do drzwi i dalej, po skrzypiących schodach na dół. Obcasy trupa postukiwały głośno – najpierw o każdy stopień z osobna, a potem o próg, gdy ciągnęła ciało w czarny zaułek na tyłach domu.

Wiedziała, że tacy jak on nigdy nie przestaną jej nachodzić. Wytropią ją w Wapping, w Spitalfields, wszędzie. Starsi albo młodszy, będą przywdziewać różne twarze i nosić różną broń, ale pieniądze to pieniądze i nie sposób mu się oprzeć.

Nie wróciła do domu. Pomyślała o Marlowie. Kochała go i nagle uświadomiła sobie z absolutną pewnością, że przy Brynt będzie znacznie bezpieczniejszy. Przy Brynt, która wiedziała, jak funkcjonuje świat, nie była poszukiwana przez łowców nagród i zamierzała pewnego dnia wrócić do Ameryki. W tej chwili wszystko to brzmiało jak sen. Dwie ulice dalej w Blackwell Court siedział mężczyzna z kuflem piwa w garści i pistoletem w kieszeni. Mimo późnej pory na pewno nie spał. Otuliła się brudnym szalem, objęła za ramiona i ruszyła po zroszonym mgłą bruku w stronę głównej ulicy. Serce pękało jej z bólu, ale nie zwolniła kroku ani nie obejrzała się przez ramię na pęknięte okno wynajętego pokoiku. Bała się, że zobaczy tam zakutaną w koc drobną sylwetkę przyciskającą bladą rączkę do szyby.

MAPA RYSOWANA PYŁEM

1882

2

Płomyki

To było jak płomyki pod skórą, tak właśnie próbował im to opisać. Płomyki, które sprawiają ból.

Nazywał się Charlie Ovid i zdaniem sędziego miał około szesnastu lat. Mimo że przez całe życie był chłostany i bity, nie miał na ciele ani jednej blizny. Osiągnął już wzrost dorosłego mężczyzny, mierzył metr osiemdziesiąt, ale pierś nadal miał chłopięco wąską, a ręce szczupłe, żyłaste, muskularne. Nie wiedział, dlaczego jego ciało samo się leczy, ale wątpił, żeby to miało cokolwiek wspólnego z Jezusem. Zarazem miał jednak dość oleju w głowie, by zachować tę refleksję dla siebie. Jego mama była czarna, a tata biały i Charlie żył w świecie, który widział w nim potwora.

Nie wiedział, ile ma lat, nie znał miesiąca swoich narodzin, ale był bystrzejszy, niż można by pomyśleć. Potrafił nawet trochę czytać i umiał napisać swoje imię starannie kaligrafowanymi literami, jeśli tylko miał dość czasu. Urodził się w Londynie, w Anglii, ale jego ojciec marzył o Kalifornii i lepszym świecie dla nich wszystkich. I może nawet by go znalazł, gdyby pożył dostatecznie długo, aby do niego dotrzeć. Zmarł jednak w Teksasie, na południe od Indiańskiego Terytorium, jadąc w karawanie osadników. Charlie i jego matka zostali zdani na własne siły. Pieniądzy wystarczyło im na tyle, żeby zawrócić na wschód i przemierzyć Luizjanę. Dalej byli już tylko dwójką czarnych włóczęgów w kraju pełnym takich jak oni. Kiedy pięć lat później matka zachorowała i zmarła, zostawiła synowi tylko swój ślubny pierścionek: srebrny sygnet z herbem przedstawiającym skrzyżowane młoty na tle gorejącego słońca. Charlie, wtedy niespełna dziesięcioletni, obracał pierścień w palcach w świetle latarni i wspominał zapach matki. Zastanawiał się, czy ojciec dał go jej z miłości, i próbował sobie wyobrazić, jakim był człowiekiem.

Do dziś miał ten sygnet, ale nie nosił go na widoku. Nikt mu go nie odbierze.

Matka wiedziała, co Charlie potrafi, wiedziała o jego darze samouzdrawiania i mimo to go kochała. On jednak robił, co mógł, żeby ukryć swój sekret przed całym światem, co – w połączeniu z tym talentem – pozwoliło mu zachować życie. Przetrwał harówkę na rzece na południe od Natchez w stanie Missisipi, przetrwał życie w ciemnych slumsach, które wyrosły nieopodal River Forks Road w tymże miasteczku, ale gdy teraz stał skuty w ciemnym kantorku w starym magazynie, nie był pewny, czy wyjdzie z tego cało. Wszystko, czego się nauczył, co stracił i wycierpiał w swoim krótkim życiu, nauczyło go jednej jedynej prawdy: na koniec zawsze zostajesz sam. Taki jest ten świat. Masz tylko siebie.

Nie nosił ani butów, ani płaszcza, koszulę z samodziału miał sztywną od własnej krwi, a spodnie poprzecierane. Trzymali go w magazynie, a nie w więzieniu, ponieważ żona szeryfa się go bała. Był przekonany, że właśnie z tego powodu. Od dwóch tygodni tkwił w kajdanach: nogi miał skute w kostkach, ręce spięte z przodu. Zastępca szeryfa przychodził czasem z innymi białymi mężczyznami uzbrojonymi w pałki i łańcuchy. Odstawiali lampę na podłogę i pośród zwariowanych cieni bili go dla zabawy, a potem śmiali się ze zdumienia, patrząc, jak jego rany się zasklepiają. Tymczasem mimo że ciało się uzdrawiało, to krew płynęła naprawdę, a Charlie czuł prawdziwy ból. Przerażenie, gdy leżał i płakał w ciemności, też było prawdziwe.

Później mógł się tylko zataczać po omacku od ściany do ściany, z brzękiem obijać się o mur w niemal całkowitych ciemnościach. Rany płonęły mu ogniem, lzy i smarki zasychały na twarzy. Musiał uważać, żeby nie przewrócić kubła z nieczystościami. Nadgarstki miał tak chude, że kajdany ciągle się z nich zsuwały, aż szeryf przyniósł nową parę, specjalnie wykutą przez kowala: te wreszcie pasowały. Jedynym meblem w pokoju była ławka podczepiona do ściany na zardzewiałych łańcuchach. Kładł się na niej, kiedy dochodził do wniosku, że jest noc, i czasem próbował zasnąć.

Leżał na niej także tego dnia, gdy usłyszał dobiegające z ulicy głosy. Wiedział tylko tyle, że to jeszcze nie czas na jedzenie. Dwa razy dziennie zastępca szeryfa przynosił posiłek na tacy przykrytej rzadkim płótnem, prosto z kuchni szeryfa znajdującej się przy tej samej ulicy. Zdarzało się, że demonstracyjnie pluł do jedzenia, zanim podał je chłopakowi. Charlie go nienawidził i jednocześnie się go bał: lękał się swobodnego okrucieństwa, ordynarnego śmiechu i słowa „kundel”

w jego ustach. Najbardziej przerażał go jednak wyraz oczu zastępcy szeryfa, z których można było wyczytać, że Charlie jest dla niego tylko zwierzęciem i że nie ma nic wspólnego z istotą ludzką.

Usłyszał szcęk zamka w ogromnych wrotach magazynu, a potem zbliżający się odgłos powolnych, ciężkich kroków. Wstał, chociaż cały czas kulił się ze strachu.

Zabił człowieka, białego mężczyznę, powiedzieli mu, pana Jessupa, który przechadzał się po przystani parostatków kursujących na południe do Nowego Orleanu i na północ do St. Louis z biczem w garści. Bicz ciął powietrze, jakby nadal był rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty, jakby po drodze nie było żadnej wojny, zniesienia niewolnictwa, a wolność wcale nie była kłamstwem, jakim wkrótce się okaże. Ten człowiek zasłużył na śmierć, Charlie był tego pewien i nie miał wyrzutów sumienia. Problem jednak polegał na tym, że nie pamiętał, by go zabił. Wiedział, że musiało się tak stać, bo słyszał, jak wszyscy mówili, że to zrobił, nawet stary Benji o smutnych oczach i drżących rękach. „W biały dzień, psze pana. Na nabrzeżu z drewnem, tak, psze pana”. Charlie był akurat chłostany za jakieś wykroczenie; trwało to tak długo, że pocięta biczem skóra zaczęła się goić. Na ten widok pan Jessup zaklął i zaczął wyzywać go od diabłów. Przestraszony Charlie odwrócił się do niego, najwyraźniej odwrócił się za szybko, tak właśnie musiało się stać, i wpadł na pana Jessupa, który upadł i jakoś tak dziwnie uderzył głową o ziemię, i tyle. Próbowali Charliego zastrzelić, ale prawie od razu po rozstrzelaniu zaczął znowu oddychać i kule wysączyły się z jego ciała na oczach strzelca. A kiedy przywiązali go do słupa po raz drugi, wycelowali starannie, strzelili i w dalszym ciągu nie byli w stanie go zabić, nie wiedzieli, co z nim zrobić.

Kroki umilkły. Charlie usłyszał zgrzyt i brzęk kluczy na kółku, a potem ciężkie drzwi z żelaznymi zamkami zadygotały. Echo poniosło dźwięk pałki uderzającej o metal.

– Wstawaj! – krzyknął zastępca szeryfa. – Masz gości, chłopcze. Doprowadź się do porządku.

Charlie wzdrygnął się i cofnął pod ścianę, aż poczuł zimne cegły pod plecami. Zasłonił rękami twarz. Nikt nigdy nie przychodził do niego w odwiedzinach.

Wziął głęboki wdech. Cały drżał.

Drzwi otworzyły się szeroko.

Alice Quicke – zmęczona, sterana życiem, z otartymi knykциями – stała w blasku dnia przed zniszczonym magazynem w Natchez i gniewnym wzrokiem mierzyła stromą ulicę. Jej partner, Coulton, zbliżał się powolnym krokiem. Cztery noce wcześniej w portowej knajpie w Nowym Orleanie uznała za konieczne zapoznać nos pewnego mężczyzny z mosiężnym okuciem baru i tylko rewolwer Coultona i jej pospieszny odwrót zapobiegły poważnemu rozlewowi krwi. Niektórzy faceci zapuszczali się w zakamarki damskiej odzieży ze swobodą, do której z biegiem lat miała coraz mniej cierpliwości. Przekroczyła trzydziestkę, nie wyszła za mąż i nie zamierzała tego zrobić także w przyszłości. Od dziecka zarabiała na życie przemocą i sprytem i w zupełności jej to wystarczało. Wolała spodnie od turniur i gorsetów, a szerokie ramiona okrywała długim nieprzemakalnym płaszczem z wywiniętymi rękawami, skrojonym dla nocnych stróżów. Niegdyś płaszcz był czarny, ale z czasem w wielu miejscach wyblakł tak, że zrobił się szary. Jego srebrne guziki poczerniały. Sama strzygła przetłuszczone i skołtunione jasne włosy do rozsądnej, wygodnej długości. Można by od biedy uznać, że jest ładna z tą sercowatą twarzą o delikatnych rysach, ale spojrzenie miała surowe, dawno złamany nos brzydko się zrósł, a jej uśmiech zawsze był zbyt przelotny, żeby przyciągnąć uwagę mężczyzn. I to jej odpowiadało. Była kobietą detektywem i miała w tym fachu wystarczająco dużo kłopotów, bo mało kto traktował ją poważnie. Nie tęskniła za tym, żeby przy każdej okazji ktoś ślinił jej rękę.

Idący ulicą Coulton się nie spieszył. Alice patrzyła, jak spaceruje bez troski pod zielonymi topolami i wachluje się melonikiem, z kciukiem drugiej ręki zahaczonym o kamizelkę. Otaczał ją niechlujny bezruch rzecznej przystani w mieście wciąż niebrzydkim z architektonicznego punktu widzenia, w którym wszystkie budowle wzniesiono na plecach niewolników. To była uroda trującego kwiatu.

Coulton wyszedł z domu szeryfa, a właściwie z przylegającego doń małego ceglanego aresztu.

Alice zaczynała mieć dość tej roboty.

Pierwszą sierotę, dziewczynę imieniem Mary, znalazła w marcu w pensjonacie w angielskim Sheffield. Druga zaginęła, zanim zdążyli dotrzeć do Kapsztadu w Afryce Południowej, a na miejscu zastali świeżo wykopany grób: czerwony żwir, ani źdźbła trawy, mała drewniana tabliczka. Śmierć spowodowana gorączką, za pochówek zapłaciło Towarzystwo Filantropów. Coulton powiedział jej o innych

sierotach pochodzących z Oxfordu, Belfastu, także z Whitechapel. W czerwcu razem pożeglowali do Baltimore i zabrali dziewczynę z tamtejszego przytułku, stamtąd udali się na południe do Nowego Orleanu, gdzie zarezerwowali sobie miejsce na parowcu płynącym w górę rzeki i tak oto znaleźli się tutaj, w Missisipi, szukając niejakiego Charlesa Ovida, kimkolwiek był.

Nie wiedziała nic więcej, bo podano jej tylko imię i nazwisko chłopaka oraz adres sądu miejskiego w Natchez. Tak to działało. A ona nie zadawała pytań, tylko robiła swoje. Czasem dostawała nazwę ulicy, niekiedy dzielnicy, a bywało, że tylko miasta. Nie miało to znaczenia. Zawsze znajdowała dzieciaki.

Mimo upału Coulton miał na sobie garnitur w żółtą kratę. Jego twarz jeżyła się szczecina bokobrodów, ale poza tym był właściwie łysy, resztki włosów zaczesywał na pożyczkę i bez przerwy je poprawiał ręką. Krzepki i uprzejmy (jak przystało na Anglika klasy średniej), był jednym z najbardziej godnych zaufania ludzi, jakich Alice miała okazję poznać. Widziała jednak również, jak w furii sunął przez zadymiony pub w Deptford, zostawiając za sobą szlak bezwładnych ciał, i wiedziała, że nie należy go lekceważyć.

– Nie ma go tutaj – powiedział, znalazłszy się bliżej. – Trzymają go w magazynie.
– Powachlował się powoli trzymanym w dłoni melonikiem i otarł twarz chusteczką. – Żona szeryfa najwyraźniej nie chciała, żeby taki jak on siedział razem z pozostałymi.

– Chodzi o to, że jest czarny?

– Nie. Myślę, że czarnych akurat mają w pierdłu mnóstwo.

Alice czekała na ciąg dalszy.

– Spotkam się z tutejszym sędzią i posłucham, co ma do powiedzenia – podjął Coulton. – Szeryf załatwił mi spotkanie dziś wieczorem. Z punktu widzenia prawa chłopak nie jest niczyją własnością, ale mam wrażenie, że niewiele go od tego dzieli. Na ile się zorientowałem, w pewnym sensie należy do firmy.

– Co zrobił?

– Zabił białego.

Alice podniosła wzrok.

– Właśnie – mówi Coulton. – Był wypadek w porcie, gdzie pracował. Doszło do zatargu z nadzorcą, ten spadł z platformy na nabrzeże i uderzył o nie głową. Śmierć na miejscu. Pewnie niewielka strata dla świata. Szeryf nie uważa, że

chłopak zrobił to celowo, ale mówi też, że to bez znaczenia. Fakty są, jakie są, i coś takiego nie może się powtórzyć. A teraz najlepsze: chłopak stanął już przed sądem, został uznany za winnego i skazany. Wyrok wykonano.

– Jak to wykonano?

Coulton rozłożył szeroko ręce.

– Zastrzelili go. Sześć dni temu. Nie przyjęło się.

– Nie przyjęło się? To znaczy?

Coulton obejrzał się spokojnie na więzienie. Jego oczy ginęły w cieniu.

– Wciąż dycha. To chyba mają na myśli. Żona szeryfa mówi, że chłopaka nie można zranić.

– Założę się, że on jest innego zdania.

– Zapewne.

– I dlatego zamknęli go w magazynie. Nie chcą drażnić porządných obywateli.

– Panno Quicke, oni nie chcą, żeby porządni obywatele w ogóle o nim wiedzieli. Z punktu widzenia mieszkańców Natchez Charles Ovid został zastrzelony w więzieniu sześć dni temu. I już go pochowano.

„Nie da się go zranić”.

Alice wydeła policzki. Przez całe życie nienawidziła małomiasteczkowych przesądów. Wiedziała, że takim ludziom wystarczy byle pretekst, żeby uderzyć czarnego dzieciaka, który zabił białego – i nie przestawać bić. Chrzanienie, że nie zostają po tym żadne ślady, było doskonałą wymówką.

– To co teraz zamierzają? – spytała. – Co chcieli z nim zrobić, gdybyśmy nie zjawili się z propozycją uwolnienia ich od tego kłopotu?

– Pewnie i tak by go pochowali.

Alice zamarła.

– Ale skoro nie mogą go zabić...

Coulton spojrzał jej w oczy. I wtedy zrozumiała. Pochowaliby go żywcem. Zerknęła ponad ramieniem Coultona.

– Co za popieprzone miejsce...

– W rzeczy samej. – Coulton zmrużył oczy i spojrzał w tym samym kierunku co ona, a kiedy niczego tam nie zobaczył, podniósł wzrok na bezchmurne niebo.

Ulicą nadchodziło dwóch mężczyzn, ich sylwetki drżały w nagrzanym powietrzu. Szli pieszo, nie mieli koni. Obaj nosili garnitury. Wyższy trzymał karabin oparty w zgięciu ręki. „Pewnie szeryf i jego zastępcę”, domyśliła się Alice.

– Co miałyby pan ochotę z nimi zrobić? – zapytała cicho.

Coulton założył z powrotem melonik i się odwrócił.

– Dokładnie to samo co pani, panno Quicke – odparł. – Ale nasi pracodawcy nie pochwaliliby tego. Sprawiedliwość to wiadro z dziurą w dnie, jak mawiał mój ojciec. Gotowa?

Alice rozmasowała knykcie.

Od trzynastu miesięcy pracowała z Frankiem Coultonem i niemal zaczęła mu ufać – w każdym razie na tyle, na ile była w stanie zaufać komukolwiek. Znalazł ją poprzez ogłoszenie, które zamieściła w „Timesie”. Wspiął się po wypaczonych od wilgoci schodach jej czynszówki w Deptford z wycinkiem z gazety w kieszeni płaszcza. W zimnym powietrzu para buchała mu z ust jak dym. W ociekającym wodą zaułku przewalały się kłęby żółtawej mgły. Interesowały go, jak wyjaśnił półgłosem, jej kwalifikacje. Wiedział już co nieco, słyszał, że szkoliła się u Pinkertonów w Chicago i że w East India Docks gołymi rękami pobiła mężczyznę do nieprzytomności. Czy w tych pogłoskach tkwi ziarno prawdy?

„Prawda”, pomyślała wtedy z niesmakiem. Co właściwie znaczy to słowo?

Prawda: od czternastego roku życia utrzymywała się z kradzieży kieszonkowej na ulicach Chicago. Prawda: jej matka trafiła do szpitala dla obłąkanych przestępców i Alice nie widziała jej od prawie dwudziestu lat, a poza nią nie miała żadnych krewnych. Jako osiemnastolatka dobrała się do niewłaściwej kieszeni. Człowiekiem, który złapał ją wtedy za rękę, był Allan Pinkerton, prywatny detektyw pracujący na zlecenie kolei oraz szpieg Unii. Sądziła, że przekaże ją policji, ale coś mu się w niej spodobało – zaprosił ją do swojego biura, a ona, ku swojemu zaskoczeniu, poszła tam. Pinkerton szkolił ją w fachu tajnego agenta. Zajmowała się tym osiem lat. Gdyby zapytać dobre dwa tuziny łajdaków, którzy siedzieli w różnych więzieniach, czy jest dobra w swojej robocie, splunęliby i otarli usta, a nienawiść płonąca w ich oczach wystarczyłaby za przytaknięcie. Kiedy jednak synowie Pinkertona doszli do władzy w agencji, pożegnano się z nią tylko dlatego, że była kobietą, a co za tym idzie istotą delikatną i wobec tego nienadającą

się do pracy detektywa. Przebiła pięścią ścianę biura Williama Pinkertona, kiedy ją zwolnił.

– Delikatne to wy macie ściany, kurwa – powiedziała mu wtedy.

Potem jednak udało jej się znaleźć pracę jedynie przy wyścigach konnych na Wschodnim Wybrzeżu, a kiedy i to się skończyło, kupiła bilet na transatlantyk płynący do Londynu – bo gdzieżby indziej i czemu nie. Tam odkryła miasto tak mroczne, tak pełne występku, rzezimieszków i mglistych zaułków z gazowymi latarniami, że nawet pani detektyw z Chicago o włosach żółtych jak ciemna siarka i pięściach jak młoty mogła znaleźć obfitość stosownych zajęć.

Szeryf z zastępcą nadeszli skwarną ulicą i skinęli uprzejmię głowami. Zastępca pogwizdywał, fatalnie przy tym fałszując.

– Panie Coulton, mogliśmy przyjść tu razem – odezwał się szeryf. – A to zapewne pani...

– Panna Quicke – poprawił go z naciskiem Coulton. – Niech nie zwiedzie panów piękne oblicze. Panna Quicke towarzyszy mi w roli ochroniarza.

Szeryf uznał te słowa za zabawne. Jego zastępca trzymał karabin w zgięciu łokcia i przyglądał się Alice jak przedziwnemu stworzeniu wyrzuconemu przez rzekę na brzeg, w jego wzroku nie było jednak pogardy ani wrogości. Widząc, że ona też na niego patrzy, uśmiechnął się nieśmiało.

– Rzadko miewamy tu gości z za morza – przyznał szeryf. – Zwłaszcza od czasów wojny. Wcześniej bywało, że widywaliśmy najróżniejszych ludzi: Francuzów, Hiszpanów, mieszkała tu nawet przez jakiś czas rosyjska hrabina, prawda, Alwynie? Ona też miała inne obyczaje.

Zastępca imieniem Alwyn się zarumienił.

– Mój tata zawsze to powtarzał, ale ja tych czasów nie pamiętam. Ja też się nie ożeniłem, panienko.

Alice powstrzymała się od riposty.

– Gdzie chłopak? – zapytała tylko.

– A, tak. Przyjechaliście po Charliego Ovida. – Twarz szeryfa spochmurniała z żalu. – Chodźmy. – Przystanął na chwilę, poprawił kapelusz i zmarszczył czoło. – Prawdę mówiąc, nie wiem, czy powinienem to robić, ale skoro przybywacie z tak daleka i będziecie później rozmawiać z sędzią Diamondem, to nie widzę w tym żadnego problemu. Ten chłopak to tutaj bolesny temat. Bodaj go diabli...

– Wynaturzenie, oto czym jest – mruknął zastępca. – Jak te stwory z Biblii.

– Jakie stwory? – zapytała Alice.

Znowu się zarumienił.

– Sługi szatana. Te potwory, co on je zrobił.

Alice przystanęła i zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów.

– Tego nie ma w Biblii – powiedziała. – Ma pan na myśli Lewiatana i Behemota?

– Tak, te właśnie.

– Były dziełem Pana. To Bóg stworzył te potwory.

Zastępca nie był przekonany.

– Oj, nie pomyślałbym...

– A powinien pan.

Szeryf otwierał ciężkie drzwi magazynu, jeden zamek za drugim.

– Z Anglii, powiadacie państwo – mruknął. – Żeby tak na kraj świata przyjechać po czarnego chłopaka...

– Owszem – przytaknął Coulton, stając tuż przy nim. Nie dodał nic więcej.

Szeryf zawahał się przy ostatnim zamku i zerknął przez ramię.

– Ale wiecie państwo, nie ma żadnej szansy, żeby sędzia wypuścił tego chłopaka – poinformował ich uprzejmie. – Nie wyjedzie stąd ani z wami, ani z nikim innym.

– Mam nadzieję, że się pan myli – odparł Coulton.

– Proszę nie brać tego do siebie. – Szeryf się uśmiechnął. – Zawsze chciałem zobaczyć Anglię. Żonka mawia: „Może czas, żebyś powiesił ostrogi na kołku, Bill. Moglibyśmy wybrać się w podróż”. Jej rodzice przyплыnęli z Kornwalii, rozumiecie państwo. Ale nie wiem, czy nie jestem za stary, żeby wałęsać się po świecie jak jakiś tramp. Tak czy inaczej, to szmat drogi.

W magazynie panowały ciemność i duchota, powietrze było gęste. Unosiła się w nim woń kwaskowych cukierków i rdzy. Tuż przy drzwiach na gwoździach wbitych w ścianę wisiały dwie stare lampy. Zastępca zdjął jedną z nich, otworzył szklane drzwiczki i krzesiwem zapalił knot, a potem zamknęli za sobą drzwi. W świetle pełgającego płomienia Alice dostrzegła w mroku zarys potężnej maszynierii, z dźwigarów zwieszały się długie pętle zakończonych hakami łańcuchów. Szeryf poprowadził ich przez magazyn do zapuszczonego korytarza o ścianach upstrzonych dziurami jak od kul karabinowych, przez które wpadało

światło słoneczne. W przeciwległej ścianie było widać zarysy kilkorga zwyczajnie wyglądających drzwi, a na końcu korytarza znajdowały się pojedyncze grube żelazne drzwi opatrzone kilkoma zamkami. Szeryf zatrzymał się przy nich.

Zastępca odstawił lampę i uderzył w drzwi kolbą karabinu.

– Wstawaj! – krzyknął. – Masz gości, chłopcze. Doprowadź się do porządku. – Odwrócił się nieśmiało do Alice. – Nie jestem pewien, czy czasem nie brakuje mu piątej klepki, panienko. Proszę się go nie przestraszyć. Zachowuje się trochę jak zwierzę.

Alice nie odpowiedziała.

Drzwi się otworzyły. Z ciemnego pomieszczenia bił potworny smród, fetor niemytego ciała, brudu i kału.

– Dobry Boże – mruknął Coulton. – On tam jest?

Szeryf przytknął chusteczkę do ust i z powagą skinął głową.

Zastępca poniósł przed sobą lampę i ostrożnie przekroczył próg. Alice zauważyła chłopca zgarbionego pod przeciwległą ścianą. Był wysoki i chudy. Światło zaśniło na kajdanach skuwających jego nadgarstki i kostki nóg. Kiedy weszła do środka, dostrzegła poprzecierane spodnie, koszulę sztywną i brązową od zaschniętej krwi, przerażenie w oczach. Twarz jednak miał gładką, bez siniaków i opuchlizny, rysy delikatne, rzęsy długie i ciemne. Poczula się dziwnie, bo podświadomie spodziewała się zobaczyć potworne rany. Drobne uszy odstawały mu od głowy jak małe uchwyty. Zasłonił się rękami, jakby chronił się przed ciosem, a światło sprawiało mu ból. Łańcuchy pobrzękiwały cicho, gdy oddychał.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego – powiedział zastępca niemal z podziwem, zwracając się do Alice. – Żaden z nas by nie uwierzył, gdybyśmy nie widzieli tego na własne oczy. To wszystko jego krew, ale na ciele nie znajdziecie żadnych śladów. Kiedy przyłożyć mu pałką, od razu z powrotem wstanie. Kiedy dźgnąć go nożem, rana natychmiast na naszych oczach się goi. Słowo daję, już prawie to jedno wystarczy, żeby człowiek uwierzył w diabła.

– W rzeczy samej – zgodziła się z nim Alice, piorunując go wzrokiem.

– Śmiało, Alwynie – powiedział szeryf. – Pokaż im.

Chłopak się skulił.

– Na Boga, panie Coulton! – wyrwało się Alice, nieco zbyt głośno.

Coulton gestem uniesionej ręki powstrzymał zastępcę szeryfa.

– To nie będzie konieczne – oznajmił spokojnie. – Wierzymy panom. Właśnie dlatego tu jesteśmy.

Sięgnął do kieszeni i wyjął list z instrukcjami spisany przez ich pracodawcę w Londynie. Rozłożył kartki i podniósł je do światła. Na kopercie widniał herb Cairndale, woskowa pieczęć podobna do krwawego odcisku palca.

Alice zauważyła, że Charles Ovid też wpatruje się w kopertę. Zamarł niemal, czujny jak kot, oczy błyszcząły mu w ciemności.

Pomieszczenie było długie i wąskie. Alice zrobiła krok do przodu. Ogromne obrzydzenie wzbierało jej w piersi na myśl o tych dwóch mężczyznach i biednym chłopcu. Cokolwiek Coulton mówił, wiedziała, że rany nie goją się same z siebie. Do diabła, niektóre rany nigdy się nie zasklepiają. Wiedziała co nieco na ten temat.

Zdjęła rękawiczki. Knykcie miała zaczerwienione i posiniaczone. Patrzyła na kajdany chłopca.

– Na początek zdejmijcie mu to żelastwo! – zawołała przez ramię. Odwróciła się. – Alwynie?

Nikt się nie poruszył. Szeryf zerknął na Coultona.

– Nie ma powodu do obaw, drogi panie – zapewnił Coulton i schował list do kieszeni kamizelki. – Ręczę. Tylko na czas badania.

Zastępca przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, przyklęknął, rozpiął okowy na nogach chłopca i wyprostował się, żeby zdjąć mu kajdany z rąk. Cofnął się z naręczem łańcuchów.

Alice stanęła przed Ovidem. Wzięła jego dłonie. Były delikatne, nieporanione i – o dziwo – pozbawione wszelkich stwardnień i odcisków. Chłopak drżał w ciemności.

– Tak lepiej? – zapytała cicho, patrząc na niego.

Nie odpowiedział.

– Panienko – odezwał się ostro szeryf – to absolutnie nie uchodzi, żeby taka dama jak pani dotykała kogoś takiego. Nie tu, nie w Natchez. Proszę się cofnąć.

Udała, że go nie słyszy. Ujęła Ovida pod brodę i odchyliła jego głowę do światła, żeby spojrzeć mu w oczy. Mimo tego co wycierpiał, mimo drżenia i kulenia się,

oczy, które na nią spoglądały, były chłodne, inteligentne, pozbawione lęku. Miał w sobie zaciekły spokój dzieciaka, który zawsze mógł polegać tylko na sobie. Inni mogli tego nie widzieć, ale ona to dostrzegała.

– Panienko...! – zawołał szeryf.

– Charles Ovid... – szepnęła. Nie potrafiła ukryć oburzenia w głosie. – Charlie, zgadza się? Nazywam się Alice. A to pan Coulton. Nasi pracodawcy przysłali nas, żebyśmy cię stąd zabrali i by nikt więcej nie mógł cię skrzywdzić.

Bardziej wyczuła, niż usłyszała, że szeryf do niej podszedł. Złapał ją pod łokieć wielką dłonią, ale lekko, z wyczuciem, i odciągnął poza zasięg rąk chłopaka.

– O tym porozmawiają państwo z sędzią – przypomniał. – Do tego czasu wszystko pozostanie tu w należyтым porządku.

Alice cały czas obserwowała Charliego Ovida.

Jeśli ją zrozumiał, to nie zdradził się z tym. Wzdrygnął się tylko, kiedy szeryf podszedł do niego. Potem spuścił wzrok i wciąż dygotał w świetle lampy.

Później tego wieczoru Alice i Coulton siedzieli w gabinecie sędziego w pięknym kamiennym budynku sądu stojącym przy zadrzewionym placu. Alice miała na sobie długą niebieską suknię i gorset ciasno opinający żebra, więc nieustannie wierciła się i z trudem łapała oddech. Nienawidziła tego stroju, nienawidziła miękkich włosów, które dopiero co umyła i ułożyła w loki, nienawidziła swoich uróżowanych ust. Promienie nisko wiszącego słońca wpadały przez okna i plątały się w zasłonach. Sędzia obszedł pokój dookoła, zapalając kolejne gazowe kinkiety, po czym wrócił do biurka i usiadł. Popatrzył na Alice, popatrzył na Coultona.

– Piękny wieczór – powiedział, gładząc długie wąsy.

Orzechowe biurko, zupełnie puste, lśniło w czerwonej poświacie zachodzącego słońca. Sędzia był ociężałym człowiekiem o miękkiej drżącej szyi. Kiedy położył duże dłonie przed sobą na blacie, Alice zdumiała się ich alabastrową bielą.

– Nie wiem, co szeryf panu powiedział, panie sędzio – zaczął uprzejmie Coulton. – Reprezentujemy Instytut Cairndale w Edynburgu. Przyjechaliśmy po młodego Ovida. – Z torby stojącej obok krzesła wyjął dokumenty i zaświadczenia i podał sędziemu, który przejrzał je po kolei.

– To jakaś klinika, zgadza się?

– Tak, panie sędzio.

Sędzia skinał głową.

– Bill mówi, że chcecie zabrać chłopaka ze sobą. To prawda?

– Tak, panie sędzio.

– Nie rozumiem jednej rzeczy – przyznał sędzia. – Mianowicie, skąd, na Boga, wasz Instytut dowiedział się o tym chłopaku? Musieliście opuścić Edynburg... Ile? Cztery tygodnie temu? Sześć? Wtedy jeszcze nikogo nie zabił. Nie wyobrażam sobie, żeby istniał na tym świecie rejestr, który w ogóle uwzględnia jego istnienie. Ten chłopak nie jest nawet duchem, panie Coulton.

– W rzeczy samej, panie sędzio. – Coulton pokiwał głową.

– Zatem?

Coulton zerknął na Alice i zaraz odwrócił wzrok.

– Cairndale dokłada wszelkich starań, by jak najdokładniej badać wszelkie interesujące przypadki. Czasem pomocne w tym bywa ustalanie więzów rodzinnych. – Coulton rozłożył szeroko ręce. – Nie będę udawał, że rozumiem ich metody, proszę pana. Wiem tylko, że Instytut bada rodzinę Charlesa Ovida od paru lat, odkąd doszły ich słuchy o jego wuju.

Sędzia postukał dwoma palcami w dokumenty i spojrzał za okno.

– Wiecie, że zabiliśmy tego chłopaka już dwa razy – mruknął. – Jestem przekonany, że Bill się go boi.

– Trzy razy – poprawiła Alice.

Coulton założył nogę na nogę, wygładził spodnie. Obrócił melonik w rękach.

– To przypadłość natury medycznej, panie sędzio. Nic więcej. Jest pan wykształconym człowiekiem. Wie pan, z jaką łatwością prości ludzie reagują strachem na to, czego nie rozumieją.

– Nie tylko prości ludzie. – Sędzia pochylił głowę. – Ten chłopak przeraża nawet mnie. – Światło dnia gasło i cienie rzeźbione przez gazowe lampy podkreślały bruzdy na jego twarzy i zdradzające zmęczenie zmarszczki pod oczami. – I jak mam to pogodzić z kwestią sprawiedliwości? Charles Ovid zabił człowieka.

– Tak, proszę pana.

– Białego człowieka – wtrąciła Alice. – Czy nie o to tak naprawdę chodzi?

– Istotnie, droga pani, „białego człowieka”. Znałem trochę Hanka Jessupa. Może i nie był dżentelmenem, ale z pewnością był uczciwym, porządnym człowiekiem.

Widywałem go w kościele co niedziela. Mam miasto pełne oburzonych obywateli piszących do mnie gniewne listy na temat tego, w jakim kierunku zmierza ten kraj. Połowa z nich miałaby ochotę na stary, dobry lincz.

– A druga połowa? – mruknęła zjadliwie Alice.

– Charlie Ovid został stracony w zeszłym tygodniu i nie była to publiczna egzekucja. – Coulton wszedł jej w słowo. – Nikt się o niczym nie dowie.

– To nie do końca prawda. Zaczniemy od tego, że są Bill i Alwyn. Mały Jimmy Mac był tamtej nocy w więzieniu. Do tego dochodzi żona Billa. Założyłbym się ze ślepym o dolara, że też wie.

– Proszę nie zapominać o mężczyznach, których wasz zastępca szeryfa przez cały tydzień wpuszczał do celi, żeby mogli katować chłopaka – dodała z goryczą Alice.

Sędzia zamilkł. Popatrzył na nią.

– Panie sędzio – odezwał się szybko Coulton – za pozwoleniem... Kto uwierzy, że w więzieniu w Natchez siedzi jakiś zakuty w łańcuchy czarny dzieciak, którego nie można zranić? To brzmi jak coś z Biblii, jak jakiś sakramencki cud. To zwyczajnie niemożliwe. Nieważne, co będą wygadywać wasze żony przy herbatce. Ludzie będą plotkować, bo taka ich natura. Jeśli jednak pan przemówi i powie, że chłopak został stracony, to kto ośmieli się to zakwestionować?

– Wtedy bym skłamał – odparł sędzia.

– Czyżby? – burknął Coulton, wygładzając nogawkę spodni. – Jedyne pański problem to chodzący trup, którego najwyraźniej nie ma się pan jak pozbyć. Ten chłopak umarł. Przestał oddychać. Nie ma znaczenia, czy wrócił do życia. Wyrok został wykonany, sprawiedliwości stało się zadość. Nie będę udawał, że sprawa nie jest dziwna, ale w kwestii sprawiedliwości nie widzę problemu. Wiem, że inni mogą się ze mną nie zgodzić, widząc, że chłopak nadal chodzi po świecie. Możliwe jednak, że my dwoje stanowimy tu rozwiązanie. Klinika, którą reprezentujemy, znajduje się w Szkocji i zapewniam pana, że jeśli odda pan chłopaka w nasze ręce, ten nigdy nie wróci do Natchez w stanie Missisipi. Jego przypadłość nadal nie została w pełni zrozumiana, jednakże z dotychczasowych obserwacji wynika, że ostatecznie prowadzi do śmierci. Chłopakowi zostało jeszcze kilka lat życia.

– Kilka lat.

– Właśnie, panie sędzio.

– Dlaczego zatem nie miałbym zamienić mu wyroku na dziesięć lat ciężkich robót?

– Czy pańscy wyborcy nie uznaliby tego za zbyt łagodną karę?

Alice obserwowała, jak sędzia to wszystko przyswaja. Przez całe życie miała do czynienia z takimi jak on – mężczyznami niezachwianie pewnymi swojej wiedzy, którzy woleli raczej patrzeć na śliczne stworzenie i pozwolić, żeby ich podziwiał, niż dać mu mówić. Przyszło jej do głowy, że może właśnie tak powinna postąpić: podziwiać go, pomrukiwać sympatycznie, gruchać i trzepotać rzęsami. Nie miała jednak zamiaru tego robić.

W pogłębiającym się półmroku sędzia przyglądał się im dwojgu sponad zetkniętych czubkami palców dłoni. W końcu westchnął, odwrócił się i wyjrzał przez okno.

– Moja żonka robi szarlotkę, jakiej w życiu nie posmakowaliście – powiedział. – Przez trzy lata z rzędu zdobywała za nią błękitną wstęgę na Pikniku Cór Konfederacji. W tej chwili kawałek takiej szarlotki leży i stygnie na talerzu u mnie w kuchni. Przykro mi, że przebyliście taki szmat drogi, naprawdę.

Coulton odchrząknął i wstał. Alice także się podniosła, suknia omiotła jej kostki. Coulton obracał melonik w palcach.

– Zechce pan przemyśleć sprawę przez noc, panie sędzio? Moglibyśmy wrócić rano...

– Panie Coulton, zgodziłem się na to spotkanie jedynie z uprzejmości, to wszystko.

– Ale panie sędzio...

Sędzia uniósł rękę.

– Ten chłopak opuści celę w sosnowej skrzyni. I nie obchodzi mnie, czy nadal będzie się w niej ruszał, czy nie.

– Sukinsyn – syknęła Alice, kiedy schodzili po schodach gmachu sądu. Szarpała się z gorsetem, sięgała pod suknię w sposób, w jaki nie przystoi damie, żeby poluzować sznurówki i swobodniej odetchnąć. Już było ciemno, ulice promieniowały nagromadzonym żarem dnia, rozbrzmiewały cykadami w ciepłe nocy. – I po to włożyłam sukienkę?

– Otóż to. Miejmy nadzieję, że nie natkniemy się na tego Alwyna. Jęzor wyciągnie mu się do samych butów, kiedy zobaczy panią tak wystrojoną.

Alice miała ochotę mu się odciąć, ale ugryzła się w język. Nadal była zbyt rozgniewana, żeby dało się tak łatwo odwrócić jej uwagę.

– Nie kłamał pan? Temu biednemu chłopakowi naprawdę zostało jeszcze tylko kilka lat życia?

Coulton westchnął.

– Charlie Ovid przeżyje nas wszystkich – odparł.

– Oni tu wszyscy są przekonani, że dzieciak jest jak Jezus. To tylko pogarsza jego sytuację. Skąd pewność, że nie można go skrzywdzić?

– Ależ można go skrzywdzić, jak najbardziej, tyle że potem on wraca do zdrowia.

Coś w tonie głosu Coultona dało Alice do myślenia.

– Pan w to wierzy?

Wzruszył ramionami.

– Nie widziałem na nim żadnych śladów obrażeń, a pani?

– Może gdyby podciągnąć mu koszulę? Albo może nogi ma pokiereszowane? Jak dobrze mu się pan przyjrzał?

Coulton westchnął.

– Wystarczająco, by wiedzieć, że świat nie jest taki, jak bym sobie tego życzył – rzekł półgłosem. – Proszę posłuchać: musi się pani przebrać, a potem wysłać swoje kufry na przystań. Proszę uregulować nasz rachunek. Spotkamy się w hotelu za godzinę. Myślę, że pora się wynieść z poczciwego Natchez.

Alice przystanąła na trawie na pustym placu pod posągami jakiegoś poległego konfederackiego generała. Po chwili Coulton też się zatrzymał, odwrócił i cofnął niespiesznym krokiem.

– Nie wyjadę bez niego – zapowiedziała Alice.

Powóz przejechał ulicą, kołysząc lampami. Kiedy zniknął, Coulton podszedł bliżej.

– Ja też nie – odparł z zawziętością.

Była dziewiąta, kiedy opuścili hotelowe foyer i przeszli promenadą Silver Street aż do rzeki, a potem zaułkami z powrotem do starego magazynu, który górował

nad nimi ciemny i zardzewiały w świetle wschodzącego na południu księżyca. Długo stali w cieniu, zanim w końcu bez słowa przeszli przez ulicę. Coś podzwaniało w wypchanej kieszeni płaszcza Coultona. Alice wypatrywała, czy nikogo nie ma na ulicy. Byli sami.

Coulton potrzebował tylko minuty, żeby uklęknąć przed grubymi drzwiami i wytrychami otworzyć zamki. Wstał, bez słowa spojrzął na Alice, a potem otworzył drzwi i wśliznął się w ciemność. Alice poszła w jego ślady. Nie wzięli żadnego źródła światła, ale pewnym krokiem przemierzyli korytarz, którym szli wcześniej. Przed celą młodego Ovida Coulton znowu wyjął kółko z wytrychami i zręcznie otworzył zamki.

W środku panowała ciemność. Alice przez długą chwilę niczego nie widziała i zastanawiała się, co widzi Charles Ovid, gdy się w nich wpatruje – co na pewno robił.

Coulton odchrząknął i szepnął:

– Charlie, chłopcze? Jesteś tu?

Milczenie się przeciągało. Alice zaczynała się obawiać, że więźnia zabrano. Wtedy jednak usłyszała w ciemności westchnienie i brzęk łańcuchów, a potem chłopak wszedł w plamę księżycowego blasku. Nie robił wrażenia zaskoczonego ich widokiem.

– Niech no to z ciebie zdejmę – wymamrotał Coulton.

Alice uważnie przyglądała się chłopakowi. Teraz, gdy jej wzrok przywykł do ciemności, weszła do celi.

– Przyszliśmy po ciebie – przemówiła cicho, powoli. – Chcemy cię stąd zabrać. Pójdiesz z nami?

Ovid tylko im się przyglądał. Coś w jego spokojnej czujności wyprowadzało Alice z równowagi.

– Dokumenty – szepnął. Mówił cicho, chrapliwie, jakby od dawna się nie odzywał. – Gdzie są?

Coulton się zdumiał.

– Jakie dokumenty? Co on ma na myśli?

Nagle Alice zrozumiała.

– List z Cairndale. Pokazywał go pan szeryfowi. Gdzie go pan ma?

Coulton wyjął kopertę z kieszeni kamizelki i rozłożył list.

– Nic z tego nie zrozumiesz, chłopcze. To tylko instrukcje, potwierdzenie zwolnienia z aresztu, dokumenty prawne...

Ovid jednak nie zwrócił uwagi na list i wziął do ręki kopertę. Przesunął delikatnie palcami po herbie Cairndale: dwóch skrzyżowanych młotach na tle gorejącego słońca.

– Co to jest? – spytał szeptem.

– Chłopcze, nie mamy czasu na... – zaczął Coulton.

– To herb Instytutu Cairndale – odparła Alice. – Jesteśmy jego pracownikami. – Coś przyszło jej na myśl. – Widziałeś już kiedyś ten symbol? Znasz go? Coś dla ciebie znaczy?

Ovid obliznął usta. Już miał coś odpowiedzieć, gdy wtem podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać w ciemności.

– Idzie tu – wyszeptał.

Alice zamarła.

A potem też to usłyszała: zgrzyt męskich butów na podłodze magazynu. Ktoś się zbliżał. Podeszła bezszelestnie do drzwi celi i zamknęła je cicho, po czym oparła się o ścianę za nimi. Coulton stanął obok niej. Owinął sobie łańcuch wokół pięści. Mężczyzna po drugiej stronie drzwi zaczął pogwizdywać i Alice rozpoznała ten dźwięk. To był zastępca szeryfa, Alwyn.

Coulton poklepał się po kieszeniach.

– Wzięłaś broń? – syknął.

Nie miała rewolweru. Celowo go nie zabrała, wiedząc, że jeśli strzeli, hałas ich zdradzi i przyciągnie uwagę. Zresztą własne pięści na pewno jej wystarczą.

Nagle Ovid znalazł się tuż przed nimi: doskoczył do nich szybkim ruchem i sięgnął do kieszeni Coultona. Zaskoczony mężczyzna nie oponował. Chłopak wyciągnął najostrzejszy z wytrychów, po czym przykucnął na brzegu ławki, podwinął rękawy, złapał wytrych w prawą pięść jak widelec i nagle, w ciemności, nie wydawszy choćby jednego dźwięku, dźgnął się w lewe przedramię. Wbił wytrych głęboko, orząc w ciele potworną ranę schodzącą aż do nadgarstka.

– Jezu! – wyrwało się Alice.

W ciemności krew kapiała czarnymi kroplami. Chłopak krzywił się, zaciskał zęby, oddychał gwałtownie przez nos, aż śluz bulgotał mu w nozdrzach. W końcu upuścił wytrych, który z brzękiem spadł na ziemię. Ovid wbił palce we własne ciało i wydobył gładki kawałek metalu o długości piętnastu centymetrów.

Ostrze.

A potem, może po minucie, Alice ze zdumieniem patrzyła, jak rozcięcie na ręce chłopaka zaczyna się zamykać, krawędzie ciała przywierają do siebie, aż została tylko krew – długi rozmazany ślad na skórze, rozbryzgi na koszuli i śliska kałuża na ziemi.

Miała wrażenie, że śni. Ovid wstał. Nie odezwał się ani słowem. Stał przed drzwiami, drżący i zawzięty, trzymał ostrze w opuszczonej prawej ręce i czekał.

Pomarańczowe światło wlało się przez szparę pod drzwiami, masywne zamki otwierały się jeden po drugim. Zastępca szeryfa zawołał wesóło:

– Hej, młody! Jednak wygląda na to, że się nie rozstaniemy.

Drzwi otworzyły się na oścież i na chwilę przesłoniły Alice widok, więc nie zobaczyła Ovida ani zastępcy szeryfa, który szurając butami, wszedł do kantorku. Zauważyła tylko, jak snop światła z latarni osuwa się niżej, usłyszała zaskoczone stęknienie, a potem coś upadło z brzękiem, latarnia rozbiła się na podłodze i zapadła ciemność.

Natychmiast wyskoczyła zza drzwi, unosząc pięści do ciosu, ale zastępca szeryfa już nie żył. Ostrze tkwiło głęboko w jego szyi. Ovid patrzył na niego z góry.

– Do diabła – zaklęła. – Co tu się wydarzyło?

Coulton pozostał niewzruszony.

– Pokaż, synu. – Złapał Ovida za nadgarstek i zaczął obracać jego rękę to w jedną stronę, to w drugą, aż chłopak ją zabrał.

Ovid uklęknął nad trupem, wyszarpnął ostrze, które z cichym mlaśnięciem wysunęło się z rany, otarł je o swoje spodnie i schował pod koszulą.

– Dlaczego po mnie wróciliście? – zapytał szeptem. Jego ruchy były spokojne, ale głos roztrzęsiony.

Alice, wciąż oniemiała, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Taką mamy pracę – odparła w końcu. – Nikt inny by nie przyszedł.

– Nie trzeba było tego robić.

– Dlaczego?

– Ja bym nie wrócił.

– Nie ma czasu do stracenia – przerwał im Coulton. – Parowiec odpływa za kwadrans. Musimy ruszać.

Alice patrzyła chłopcu w oczy przez długą chwilę.

– Może nadejdzie taki dzień, w którym po kogoś wrócisz – powiedziała. – Może będzie ktoś, po kogo warto wrócić.

Coulton już zdejmował płaszcz i podawał Ovidowi swój melonik. Chłopak wyglądał idiotycznie w tym stroju, zdaniem Alice był do niego zdecydowanie za wysoki, ale nie mogli nic na to poradzić. Ściągnęła buty zastępcy szeryfa i oddała je chłopakowi. Musieli być dyskretni i modlić się, żeby ulice były puste. Przypuszczała, że mają najwyżej dziesięć minut, zanim ktoś zauważy nieobecność zastępcy i przyjdzie to sprawdzić. Obciągnęła chłopakowi rękawy płaszcza i zapięła go szybko, żeby zasłonić zakrwawioną koszulę. Postawiła mu kołnierz. Odchrząknęła.

– W porządku – stwierdziła. – Chodźmy.

Coulton machnął na nich, żeby poszli przodem. Przebiegli przez magazyn i wynurzyli się na zalaną księżycowym blaskiem ulicę, po czym przemknęli wzdłuż srebrzącego się muru w stronę rzeki. Czyste powietrze zdawało się wręcz niewiarygodnie świeże w porównaniu z dusznym, śmierdzącym magazynem. Alice starała się nie myśleć o tym, co właśnie widziała, o chłopcu i jego przedramieniu, o ukrytym w nim ostrzu. Starła się, ale bez powodzenia.

Na przystani stał wielki rozświetlony parowiec z kołem łopatkowym. W wodzie odbijał się blask latarni, ludzie krzątali się w ciszy zajęci przenoszeniem ładunku i zwijaniem cum. Coulton poprowadził ich długą rampą do małej budki z biletami, gdzie ściszym głosem zamienił parę słów z mężczyzną za kontuarem. Po kilku minutach wyszli i pospiesznie wspięli się po trapie na pokład. Ovid naciągnął melonik na czoło, kołnierz płaszcza miał postawiony, ręce chował w kieszeniach, nadal jednak było widać, że to czarny dzieciak; wyglądał niedorzecznie w przydużych buciorach i przykrótkim płaszczu. Cokolwiek jednak załatwił Coulton, podziałało. Nikt ich nie zatrzymał. Po kilku minutach byli na pokładzie statku i szli korytarzem w ślad za bagażowym, który prowadził ich do prywatnych

kabin. Potem dobiegły ich pokrzykiwania pracowników portu, rzucono cumy i parowiec powoli ruszył. Potężna maszyna wpłynęła na ciemną Missisipi.

Alice i Coulton zjedli późną kolację na statku, nikt inny się nie skusił.

Zostawili młodego Ovida w kajucie Coultona; udawał, że śpi. Nie zwiążali mu rąk, doszedłszy do wniosku, że nie uwierzy im, jeśli oni nie okażą mu zaufania. W salonie światła gazowe były przygaszone, zza okien dobiegał głuchy turkot koła łopatkowego. Oparty o mosiężną poręcz baru czarny kelner przyglądał się gościom w lustrze. Coulton przeżuwał stek drobnymi kęsami, napychając policzki ziemniakami z sosem. Alice nie miała apetytu.

– Wiedział pan? – zapytała. – Wiedział pan, że on to potrafi?

Coulton popatrzył jej w oczy.

– Nie – odpowiedział cicho.

Pokręciła głową.

– Zastępca szeryfa próbował nam to wyjaśnić. Próbował nam powiedzieć.

– Te wszystkie dzieciaki, sieroty... Żadne z nich nie jest normalne. Ale to nie znaczy, że są potworami.

Przetrawiła jego słowa.

– Na pewno? – Podniosła na niego wzrok. – Czy właśnie nie to sprawia, że jednak nimi są?

– Nie – odparł stanowczo Coulton.

Alice siedziała z rękami złożonymi na kolanach i wpatrywała się w talerz. To prawda, że wszystkie te sieroty miały w sobie coś dziwnego, nieodgadnionego, o czym nigdy z Coultonem nie rozmawiali. Plotki o dawnym życiu snuły się w ślad za dziećmi.

– Mógł uciec w dowolnej chwili – zauważyła, cedząc słowa. – Przez cały ten czas nosił w sobie ostrze noża. Nosił je w sobie. Dlaczego wcześniej nie próbował uciec? – Spojrzała na Coultona. Przypomniała sobie, że w celi nie sprawiał wrażenia zaskoczonego, i nagle poczuła się niemądra, jakby ją okłamywano. – Czym właściwie jest Instytut Cairndale, panie Coulton? Proszę mi nie mówić, że te dzieci są chore. Dla kogo właściwie pracuję?

– Jesteśmy dobrymi ludźmi – odparł półgłosem.

– No jasne.

– Jesteśmy. Naprawdę.

– Każdy uważa, że jest tym dobrym.

Ale Coulton mówił poważnie. Przygładził włosy i zmarszczył czoło.

– Przed wyjazdem mówiłem pani Harrogate, że powinna pani więcej wiedzieć. Nie była pewna, czy jest pani dostatecznie... zaangażowana. Moim zdaniem nadszedł właściwy moment. Niech pani zapamięta swoje pytania i zada je osobiście pani Harrogate, kiedy już wrócimy do Londynu.

– Chce się ze mną zobaczyć?

– Owszem.

Alice była zaskoczona. Do tej pory tylko raz spotkała pracodawczynię. Sięgnęła po widelec i nóż.

– Nie wiem, jak pan to znosi – zmieniła temat. – Tych wszystkich ludzi. Tego sędziego. Najchętniej wyrzuciłabym go przez okno w jego gabinecie.

– I co by nam to dało?

– Mnie? Bardzo dużo.

– Znam trochę ten świat, panno Quicke. Tu uprzejmość jest ważniejsza od prawdy. Ważniejsza od tego, czy mamy rację.

Alice pomyślała o ubranym w lachmany chłopaku, o tym, jak drżał w magazynie.

– Uprzejmość – mruknęła.

– Właśnie. – Coulton uśmiechnął się do niej szeroko. – To może być dla pani trudne.

– Potrafię być uprzejma.

– Naturalnie.

– No co? Przecież potrafię.

Coulton przestał żuć. Przełknął kęs i napił się wina, a potem otarł usta i spojrzał jej w oczy.

– Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który bardziej niż pani przypominałby czyrak na czerwoniutkich czterech literach piekarskiego czeladnika, panno Alice Quicke. I mówię to w najlepszym możliwym sensie. – Z kieszeni płaszcza wyjął kawałek złożonego papieru. – Posłaniec przyniósł to do hotelu – powiedział i znowu zaczął przeżuwać. – Nowe zadanie. Chłopak nazywa

się Marlowe. Ma pani jechać do cyrku Beechera i Foksa w Remington w stanie Illinois.

– Remington.

– Otóż to.

– Zakład dla obłąkanych mojej matki jest w Remington. Albo tuż obok.

Coulton zmierzył ją wzrokiem.

– To jakiś problem?

Zawahala się, a potem pokręciła głową.

– Nie, żaden. To po prostu straszne zadupie. – Zamilkła. – Zaraz... Mam tam jechać sama? Bez pana?

– Ja odstawię młodego Ovida do Londynu. – Coulton wyjął z kieszeni nową kopertę. – Tu jest bilet dla pani. Parowiec do St. Louis wypływa o świcie. Proszę się nie martwić, nie zatrzymuje się w Natchez. Stamtąd pojedzie pani pociągiem do Remington. W kopercie są również referencje, które pozwoliłem sobie napisać dla pani, niezbędne dokumenty i tak dalej. A także adres w Londynie, pod którym znajdzie pani panią Harrogate. Proszę telegrafować do niej bezpośrednio, gdyby coś się wydarzyło. Jest też trochę pieniędzy na niezbędne wydatki oraz dwa bilety drugiej klasy na parowiec wypływający z Nowego Jorku za osiemnaście dni. – Przełknął kolejny kęs steku. – Znajdzie tam pani również oficjalne zaświadczenie, zgodnie z którym ów Marlowe został uprowadzony przez nianię i wywieziony z Anglii, a jego rodzina wynajęła panią, żeby go pani odnalazła i tak dalej, i tak dalej.

Alice zerknęła na dokumenty.

– Jakiś znak szczególny?

– Owszem. Znamię.

– To nietypowe.

Coulton skinął głową.

– Ile z tego jest prawdą?

– Część. Dostatecznie duża część.

– Ale to tylko kolejna sierota?

– Tak.

– Przynajmniej dopóki się z nim nie spotkam i nie zobaczę, jak wyciąga przedmioty z wnętrza ciała, tak?

Coulton się uśmiechnął.

Alice wzięła kęs do ust, przeżuła.

– Dlaczego zostaję z tym sama?

Otaksował ją wzrokiem. Malujące się na jego twarzy emocje były dla niej zaskoczeniem.

– Pojawiły się... pytania – przyznał niechętnie. – Dowiedziałem się o tym tuż przed wypłynięciem z Liverpoolu. Jakiś mężczyzna dopytywał o Missisipi, o amerykańską walutę. Zainteresował się, jeśli można tak powiedzieć, dziećmi, które gromadzimy. A z całą pewnością zainteresował się Ovidem. Trochę się obawiałem, że zobaczymy go w Natchez. Będę uważał na niego w drodze powrotnej.

Długo mu się przyglądała.

– To detektyw? – zapytała wreszcie.

Pokręcił przecząco głową.

– Kiedyś był związany z Instytutem. Nazywa się Marber. Jacob Marber.

– Jacob... Marber.

– Właśnie.

Coś w głosie Coultona sprawiło, że Alice zamarła. Poprawiła widelec i nóż na talerzu, dając sobie czas do namysłu.

– Pan go znał.

– Ze słyszenia. Cieszy się określoną... reputacją. – Coulton nerwowo zacierał rękę. – Jacob Marber to niebezpieczny człowiek, panno Quicke. Jeśli poluje na Charliego Ovida, to najlepiej, żeby chłopak jak najszybciej udał się od Londynu. Pani i temu Marlowe'owi nie powinno w Illinois nic grozić. – Skrzywił się, jakby się zastanawiał, czy powiedzieć coś więcej. – Marber miał do Instytutu pretensje, obwinał go o jakieś wydarzenie z przeszłości. Nie wiem dokładnie, o co poszło, wydaje mi się, że ktoś umarł. To bez znaczenia. Straciliśmy go z oczu wiele lat temu i nie słyszeliśmy o nim od tamtego czasu. Niektórzy uważają, że nie żyje, ale ja jestem innego zdania. Był za dobry w swoim fachu. Był jednym z najlepszych.

– A czym się zajmował?

Coulton spojrział Alice w oczy.

– Tym samym co my. Tyle że stosował bardziej krwawe metody.

Zastanowiła się nad jego słowami.

– Po czym poznam, że to on? Jeśli go zobaczę, naturalnie.

– Zorientuje się pani. To będzie człowiek, który panią przerazi.

– Ja się nie boję.

Coulton westchnął.

– Boi się pani, tylko że jeszcze pani o tym nie wie.

Alice złożyła ręce na kolanach. Nagle zrobiło jej się zimno. Patrzyła na odbicie ich dwojga w zdeformowanym szkle okna statku, na rozlewającą się szeroko w ciemności Missisipi, kelnera, który stał z dłońmi splecionymi z tyłu, pluszowe zielone fotele i przywiedle paprotki. Wszystko to tonęło w mglistym świetle gazowych kinkietów.

– Wobec tego rozczaruje się ten pański Marber – odparła. – O ile wybierze się do Remington.

Coulton skwitował jej brawurę znużonym uśmiechem, po czym spoważniał, odsunął talerz i wstał. Otarł zatłuszczone palce o serwetkę.

– Dla pani będzie najlepiej, jeśli znajdzie się pani daleko od Remington, kiedy on tam dotrze – powiedział cicho.

Dzieciak na końcu świata

Minęło trzynaście miesięcy, odkąd Brynt ostatni raz miała Sen. Teraz jednak wrócił, gorszy niż kiedykolwiek, i przeraził ją tak potwornie, że co noc starała się nie zasnąć, próbowała siedzieć do rana w ciemnym wozie, wspomagając się kawą. Patrzyła na śpiącego Marlowe'a i wmawiała sobie w blasku księżyca, że nic się nie stało, wszystko jest w porządku, nic im nie grozi.

Ale ostatecznie co noc jej powieki stawały się ciężkie, podbródek opadał na pierś i Sen zwyciężał.

Zawsze zaczynał się tak samo. Kucąła w szafie z dzieciństwa i próbowała się schować. Kwaśny smród kulek przeciwmolowych, szelest wiszących ubrań. Jakimś cudem znowu była małą dziewczynką, chociaż w gruncie rzeczy nigdy nie była mała, nie tak naprawdę. Znajdowała się w pensjonacie wuja w San Francisco, była noc i kiedy palcem uchyliła drzwi szafy, widziała wpadające przez okno światło księżyca. Chociaż była małą dziewczynką, to jednocześnie jakimś cudem była sobą, dorosłą Brynt, zatroskaną i zmęczoną, i był z nią mały Marlowe popłakujący cicho ze strachu. Powoli wychodziła z szafy, brała go za rękę i podnosiła palec do ust, żeby się uciszył.

W domu było coś oprócz nich.

Wychodzili na korytarz. Wąskie, strome schody, srebrna poświata księżyca na podeście półpiętra. Wszystkie drzwi do pokoi były otwarte. Schodziła razem z chłopcem powoli, wręcz nieznośnie wolno po kolejnych trzeszczących stopniach. Nadstawiała ucha, potwornie skupiona, żeby wychwycić odgłosy wydawane przez intruza, czymkolwiek był.

I wtedy to usłyszała: kroki nad głową. Coś ciemnego pojawiło się na górze i szło niespiesznie okolone cętkami cienia. Brynt zaczęła biec, przeskakiwała po dwa stopnie naraz, ciągnąc za sobą chłopca. Ciemność była jednak coraz bliżej, niewiarygodnie szybka, wyciągała długą, okropnie długą rękę z bladymi, zakrzywionymi, dziwnie wydłużonymi palcami; zdawało się, że tą dłonią zasysa światło. Marlowe krzyknął. Cień nie miał twarzy, a w miejscu ust...

Brynt usiadła na łóżku. Zaplątała się w koc, pot na jej twarzy stygł w mroku. Światło gwiazd wpadało przez wysoko umieszczone wąskie okno. Odgarnęła włosy z twarzy.

Marlowe.

Nie było go w łóżku. Poderwała się w panice, cały wóz cyrkowy zaskrzypiał i zadygotał pod jej ciężarem. Rzuciła się na drugą stronę postrzępionej kotary.

Przy wąskim stole Marlowe zajaśniała bułeczkę z masłem, przed nim leżała książka z rycinami – ilustracje Dore'a do *Piekieła* Dantego, stary podarunek od wielebnego, jedyna książka w wozie poza Biblią. Upiorne dusze wiły się w mękach.

Jej serce zwolniło bieg.

– Nic ci nie jest, skarbie? – zapytała zdławionym głosem. – Co robisz?

– Czytam.

Usiadła obok niego.

– Nie mogłeś spać?

– Znowu mówiłaś przez sen – odpowiedział. – To był ten koszmar?

Spojrzała na niego. Skinęła głową.

– A ja w nim byłem?

Jeszcze raz przytaknęła.

Blask gwiazd srebrzył jego czarne włosy, kładł się na rękawach koszuli nocnej. Marlowe patrzył na Brynt ciemnymi, poważnymi oczami. Twarz miał tak bladą, że mógłby być jednym ze zmarłych.

– Pomogłem ci tym razem?

– Tak, skarbie – skłamała. – Stale mnie ratujesz.

– To dobrze – odparł z przekonaniem i wtulił się w jej objęcia.

Przeczesała mu ręką włosy. Ostatni raz Sen dręczył ją ponad rok temu, w tym samym tygodniu, w którym wielebny zmarł w wilgotnym, zatęchłym pokoju

w Spitalfields. Trzymał się jeszcze przez dwa lata po tym, jak matka Marlowe'a rozplynęła się we mgle. Brynt przez jakiś czas starała się opiekować nimi oboma – małym chłopcem i umierającym mężczyzną. Połowę tego czasu wściekała się na Elizę, drugą bała się o nią. Cały czas myślała, że może dziewczyna wróci, ale tak się nie stało. Dzieciak nigdy nie mówił o tamtym wieczorze, właściwie prawie w ogóle nie wspominał o swojej matce, z wyjątkiem chwil przed snem, kiedy był już bardzo śpiący. Oczywiście Brynt wiedziała, że Eliza Mackenzie Grey nie była tak naprawdę jego matką, ale to ona, biedaczka, uratowała chłopca przed porzuceniem i opiekowała się nim bez względu na wszystko. Kochała go jak własne dziecko. Jeśli to miałyby nie wystarczyć, żeby nazwać ją matką, to chyba nic by nie wystarczyło.

Tymczasem Sen powrócił. Brynt siedziała z Marlowe'em przy nocnym stoliku i czuła osobliwe mrowienie w opuszkach palców – trochę jakby dręczyło ją złe przeczucie, trochę jakby miała nastąpić zmiana pogody. Dlatego wiedziała, że coś się zbliża, coś złego, a oni nie są na to przygotowani.

Marlowe nie był taki jak inne dzieci.

Brynt zdawała sobie z tego sprawę, jakżeby inaczej. Przede wszystkim zauważyła (nie dało się tego nie zauważyć), że chłopiec świeci. Jego skóra zaczynała jarzyć się upiornym błękitem, a wtedy w jego oczach malował się osobliwy spokój i nie kryła się w tym żadna sztuczka, nic z tych rzeczy. Oczywiście ani pan Beecher, ani pan Fox nie mieli o tym pojęcia – w końcu każdy artysta ma prawo do swoich sekretów i własnych sztuczek. Zakładali najpewniej, że Marlowe maluje się jakąś farbą luminescencyjną, może z dodatkiem irydu – Brynt słyszała, że używają go spirytyści przy produkcji tej swojej idiotycznej ektoplazmy podczas seansów na angielskich salonach. I nieważne, że ten blask był inny, dziwniejszy, znacznie piękniejszy, jakby przenikał człowieka na wylot, jakby można było spojrzeć przez skórę Marlowe'a w głąb i dostrzec tam jasne żyły, kości, płuca i całą resztę.

Pewnego razu, kiedy malowała się przed wieczornym występem, przyznał się jej, że boi się tego, co potrafi.

– A jeśli nie zdołam tego powstrzymać? Jeśli pewnego dnia mi się nie uda?

To był drugi powód jego wyjątkowości: robił wrażenie zatroskanego. Brynt nie znała drugiego takiego ośmiolatka.

– Czego nie zdołasz powstrzymać, skarbie?

– Tego, co się ze mną dzieje. Świecenia. A jeśli pewnej nocy to się pogorszy?

– To będziesz mógł sobie przyświecać, szukając po ciemku różnych rzeczy.

Z niezwykłą powagą popatrzył na jej odbicie w małym lusterku.

– Pozwól, że ja będę się martwić za nas oboje – powiedziała wtedy. – Dobrze?

– Mama zwykle mówiła, że mogę sam wybrać, co zrobię. Że to zależy ode mnie.

– Miała rację.

– Ale nie zawsze tak jest, prawda? To znaczy, nie zawsze ma się wybór. Nie zawsze można samemu decydować.

Zupełnie jakby myślał o czymś innym, mroczniejszym, bardziej niepokojącym. Nagle Brynt zaczęła się zastanawiać, czy nie chodzi czasem o jego matkę, czy chłopak nie myśli o Elizie.

– Czasem nie mamy wyboru – zgodziła się łagodnie. – To prawda.

– No właśnie.

Przyjrzała mu się wtedy, ale tak naprawdę. Zwróciła uwagę, jak patrzy na swoją szarą buzię w lustrze, jak zagryza usta, jak czarna czupryna opada mu na czoło. Odłożyła szminkę i przyciągnęła go do siebie.

– Och, skarbie – powiedziała, tak jak często jej się to zdarzało, kiedy nie wiedziała, co innego można by rzec.

A teraz szła wśród porannego blocka, gnoju i linek namiotowych do biura pana Beechera, jedną ręką przytrzymując podkasaną sukienkę. Marlowe prawie biegł, żeby dotrzymać jej kroku.

Beecher był kierownikiem cyrku i kasjerem. Już w nocy Brynt doszła do wniosku, że najwyższa pora spróbować z nim porozmawiać, ale rano, zaraz po śniadaniu, jakaś dziewczyna zapukała do ich wozu i powiedziała, że pan Beecher wzywa ją i chłopca do swojego biura. „Natychmiast, jeśli łaska”, dodała. Brynt nie wierzyła w zbiegi okoliczności, była przekonana, że świat i wszystkie wydarzenia mają swój kształt i sens – bez względu na to, czy ona potrafi je dostrzec. Pomyślała o swoim Śnie i o uczuciu, które nie dawało jej spokoju. Zmarszczyła brwi i sięgnęła po kapelusz.

Wszędzie cuchnęło mokrymi końmi i sianem. Śmieci i afisze walały się wdeptane w błoto. Na schodach wozów przysiadły nieogolone postaci z kawą w cynowych kubkach: ludzie, którzy ze swoimi umiejętnościami nie pasowali do tego świata. Dziwolągi i klauni, chiromanci i połykacze ognia, wszyscy wodzili za nią ciemnymi oczami. Już szósty tydzień pracowali z Marlowe'em w cyrku jako dodatkowe atrakcje, ale wciąż byli obcy, uznawani za przybyszów z zewnątrz. Brynt nie miała nic przeciwko temu, a nawet jej to odpowiadało. Przez całe życie przebywała wśród takich ludzi i wiedziała, że są nie gorsi od innych, a zarazem podobni do siebie, chociaż każdy z nich dziwaczny na swój sposób. Ludzie to ludzie – a to przede wszystkim znaczyło, że brali, co mogli i kiedy mogli.

Ona zawsze była inna, przez całe swoje życie.

– Jesteś jak lewa stopa – mawiał jej wuj.

Wtedy była jeszcze dziewczynką, mieszkała w San Francisco w zarządzanym przez wuja pensjonacie. Wuj był pięściarzem, sławnym w pewnych kręgach, wygrywał jedną walkę za drugą, aż pewnego dnia został pokonany, a potem zaczął się powolny zjazd w bóle głowy, pięści tak opuchnięte, że nie chciały się złożyć we właściwy sposób, bełkotliwą mowę. Ją też wychowywał do walki i zanim skończyła dziesięć lat, polowała na największych chłopaków na każdej ulicy. Czasem miała wrażenie, że nigdy nie pozna niczego poza walką. Kochała go jednak, kochała wuja za jego delikatność siłacza, kochała go za to, że przy nim zawsze czuła się normalna mimo swoich rozmiarów i ogromnej siły. Czasami, gdy myślała o swoim życiu, zadziwiała ją, jak dużo świata zobaczyła, odkąd w San Francisco poznała wielebnego. To było w tym samym roku, w którym zmarł jej wuj. Od razu wyjechali na południe, do Meksyku. Tam zrobiła sobie pierwszy tatuaż. Potem popłynęli z wielebnym do Anglii, podróżowali po Hiszpanii, znowu po Anglii. Później, po tym jak wróciła do Ameryki, zrozumiała, że nie ma swojego miejsca na świecie.

Brnęła zamyślona przez teren cyrku. Obok niej Marlowe skakał i ślizgał się w błocie. Czuła w sercu coś dziwnego. Młot dwa razy zadźwięczał w rześkim powietrzu, po chwili dźwięk znowu powtórzył się dwukrotnie, jakby ją przed czymś ostrzegał. Stareński klaun w samej koszuli podniósł twarz znad beczki z wodą. Trzymał w ręce otwartą brzytwę. Skinął im ponuro głową, gdy go mijali. Bliżej ogrodzenia kobieta w surducie i długich reformach dźwigała wiadro z wodą. Gdzieś daleko pasmo ciemnych chmur snuło się na tle jeszcze ciemniejszego nieba.

Brynt nie miała pojęcia, czego może od nich chcieć pan Beecher, pomyślała jednak, że pracują dla niego już ponad miesiąc, a to zdecydowanie za długo. Przyszła pora na przeprowadzkę.

Było ich troje. Siedzieli wokół biurka pana Beechera w ubłoconym namiocie, który nazywał biurem. Cała trójka odwróciła się w stronę wchodzącej Brynt. Musiała pochylić głowę w niskim wejściu. Wyciągnęła rękę i poczuła, jak Marlowe łapie jej dwa palce w małą piąstkę. Jedną z osób w namiocie była kobieta w niebieskiej aksamitnej sukni i kapeluszu z szerokim rondem, usadowionym precyzyjnie na żółtych lokach i ocieniającym oczy. Pod rąbkiem sukni Brynt dostrzegła zabłocone buty. Kiedy jej wzrok oswoił się z panującym w namiocie półmrokiem, zauważyła, że dawno złamany nos kobiety został źle złożony, a jej oczy są twarde jak krzemienie. Zrozumiała, że wbrew pozorom nieznajoma nie jest ani delikatna, ani wytworna. Roztaczała aurę zajadłości i podejrzliwości, która w innych okolicznościach mogłaby przyciągnąć Brynt.

Pan Fox – dżentelmen w każdym calu – wstał uprzejmie, gdy Brynt weszła, ale Beecher tylko rozparł się na krześle, żując w półmroku cygaro.

– Oto i Wielka Brynt we własnej osobie – oznajmił bezczelnie. – Miło, że przyprowadziłaś dzieciaka, złociutka. To panna Alice Quicke, prywatny detektyw z...

– Z Anglii – dopowiedziała nieznajoma, z ciekawością przyglądając się Marlowe'owi.

– ...pięknych, odległych angielskich wysp. Panna Quicke właśnie nam tłumaczyła, jak łatwo pomylić... Jak to pani ujęła? Jednego skradzionego chłopaka z innym.

– Nie powiedziałam „skradzionego” – odezwała się cicho kobieta.

Brynt się zawahała. Wodziła wzrokiem po ich twarzach, czekała, aż jej oczy na dobre przywykną do półmroku.

– Panie Fox, o co tu chodzi? – zwróciła się do trzeciej z obecnych osób.

– O chłopca, panno Brynt. O Marlowe'a. Proszę mnie poprawić, ale zdaje się, że nie jest pani jego krewną. Zgadza się? – Kiedy Brynt nie odpowiedziała, pan Fox odchrząknął przepaszająco. – Proszę usiąść. Na pewno da się to wszystko wyjaśnić. Cześć, smyku.

Marlowe rozejrzał się w milczeniu.

Wąski namiot oświetlała stara lampa stojąca na rogu biurka. Brynt przyszło na myśl, że mogłaby odejść, po prostu odwrócić się i wyjść, zabrać ze sobą Marlowe'a i nikt z tej trójki nie mógłby jej zatrzymać, nawet ta detektyw. Pamiętała kłopoty, w jakie wplątała się w Anglii Eliza. Nie wiedziała, czy obecna sytuacja jakoś się z nimi wiąże, ale nie miała ochoty tego sprawdzać.

Nie wyszła jednak. Umazane zaschłym błotem deski pod jej stopami przesuwały się i trzeszczały pod ciężarem, gdy podeszła, odwróciła puste krzesło tyłem, podkasła spódnicę i usiadła, krzyżując potężne ręce na oparciu.

– Naprawdę chłopiec nazywa się Stephen Halliday – powiedziała ta kobieta, panna Quicke. Zerknęła niespokojnie na Marlowe'a, który przywarł do ręki Brynt, a potem na samą Brynt. – Nie byłoby lepiej, gdyby nie był przy tym obecny? Dla jego dobra.

Kiedy nikt nie drgnął – a już na pewno nie Brynt – a Marlowe stał i słuchał w milczeniu, nieznajoma podjęła chyba w duchu jakąś decyzję, bo kontynuowała wyjaśnienia:

– Stephen Halliday został porwany przez swoją nianię osiem lat temu. Miało to miejsce w Norfolk, w Anglii. Jego rodzina nie może się doczekać, żeby go odzyskać. Przyjechałam tu w ich imieniu. Mam stosowne dokumenty, rzecz jasna.

Wyjęła zza pazuchy grubą kopertę przewiązaną szpagatem i podała ją Brynt. Ta rozłożyła dokumenty i zaczęła czytać. Od czasu do czasu wbrew sobie krzywiła się i podnosiła wzrok. W kopercie znajdowały się różne formularze i nakazy opatrzone pieczęciami i oficjalnymi potwierdzeniami zarówno w Londynie, jak i w Nowym Jorku. Nie wszystko była w stanie zrozumieć, ale większość papierów potwierdzała tożsamość i historię zaginionego chłopca. Znajdowały się wśród nich także pełnomocnictwa dla panny Alice Quicke, wystawione i podpisane przez lorda Hallidaya i potwierdzające, że jako prywatny detektyw ma pełne prawo do badania tej sprawy. Marlowe najwyraźniej był dziedzicem rozległych posiadłości Hallidayów na wschodzie Anglii. Został porwany, będąc zaledwie niemowlęciem, po czym rozpląnął się w Londynie jak we mgle. Od tamtego czasu rodzina nieustannie go poszukiwała. Można go rozpoznać po znamieniu w kształcie klucza na plecach.

Brynt zakręciło się w głowie, krew uderzyła jej do twarzy. Znała to znamię.

– Przykro mi – powiedziała cicho panna Quicke. – Rodzina jest pani wdzięczna, rzecz jasna.

– Nie – odparła Brynt.

Tylko tyle przyszło jej do głowy. Słowo to padło z jej ust szybko, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, i od razu tego pożałowała. Patrzyła, jak pan Beecher przesuwając palcem po wąsach i spogląda na pana Foksa; cygaro dymiło mu w zębach. Pomyślała o Śnie i złych przecuciach, próbowała je jakoś skonkretyzować, ale wątpiła, żeby chodziło o tę sytuację. Powoli podwinęła rękawy, odsłaniając grube wytatuowane przedramiona. Co jej odbiło? Tu chodziło o jego prawdziwą rodzinę. Prawdziwą matkę. Prawdziwy dom.

Panna Quicke przyglądała jej się uważnie, jakby wszystkie te refleksje po kolei odmalowywały się na jej twarzy.

– Przykro mi, panno Brynt. To nie jest prośba. To nakaz sądowy.

– Uruchomi maszynę prawną i wykorzysta ją przeciwko tobie – ostrzegł Brynt pan Fox. – Przeciwno nam wszystkim.

– Co to za prawo? – zapytała Brynt, biorąc się w garść. – Angielskie prawa tu nie obowiązują.

– Znając tożsamość chłopca – odezwała się panna Quicke – i odmawiając wydania go, stanie się pani współwinna porwania, podobnie jak panowie Fox i Beecher, a także całe to przedsiębiorstwo. Może pani spędzić dziesięć lat w więzieniu. Jeśli nie gorzej.

– Dobry Boże – mruknął pan Beecher, doskonale się bawił. – Rety, rety. Jeśli nie gorzej.

– Oczywiście jesteśmy gotowi to pani wynagrodzić – dodała panna Quicke.

Brynt objęła Marlowe'a za ramiona opiekuńczym gestem.

– Wynagrodzić?

– Finansowo. Zrekompensować utratę źródła dochodu.

– Utratę źródła dochodu?

Pan Fox zdjął okulary. Miał ręce i nogi długie jak odnóża pająka i podobnie małą, kudłatą główkę.

– Marlowe, synu, podciągnij koszulę i odwróć się.

Chłopiec zsunął szelki, podwinął koszulę i stanął tyłem. Pannie Quicke zaparło dech w piersi. Skóra chłopca była tak oślepiająco biała, jakby nigdy nie widziała słońca. Na plecach na wysokości krzyża miał czerwone znamię w kształcie klucza.

– To on – stwierdził pan Beecher. Spojrzał zdumiony na pana Foksa. – To młody Halliday.

Felix Fox włożył okulary, przyjrzał się znamieniu, po czym zdjął szkła. Odchrząknął cicho, ale się nie odezwał.

Nikt nic nie powiedział.

Pan Fox przetarł twarz. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie chce powiedzieć tego, co zaraz powie.

– Brynt – zaczął – za tym stoją pieniądze, duże pieniądze i wpływowi ludzie, przekonani, że to jest ich syn. Myślisz, że się wycofają? – Zmrużył wodniste oczy. – Wiesz, jaki jest świat.

Brynt myślała o tym samym.

Panna Quicke włożyła rękawiczki i przyklękła przed chłopcem. Nie dotknęła go.

– Naprawdę nazywasz się Stephen – powiedziała. – Stephen Halliday. Zaginałeś jako niemowlę. Wynajęto mnie, bym zabrała cię z powrotem do rodziców w Anglii.

– Ucieszą się, wiedząc, że jesteś bezpieczny – wtrącił pan Fox. – Panna Quicke przyjechała, aby ci pomóc. Możesz jej zaufać. Będzie dobrze. To dobra kobieta.

Chłopiec słuchał w milczeniu, przyglądał się uważnie ustom dorosłych. Niczym nie zdradził, że cokolwiek zrozumiał, poza sposobem, w jaki sięgnął po rękę Brynt i złapał ją mocno.

– On nie mówi? Jest głuchy? – spytała panna Quicke, wstając.

– Głuchy! – Beecher uśmiechnął się szeroko. – Dobry Boże! Na pewno nie jest głuchy, prawda?

Pan Fox skrzyżował ręce na piersi. Chciał jak najszybciej zakończyć tę sprawę.

– Nie ma na świecie prawa, które twierdziłoby, że nie będzie mu lepiej z własną rodziną, Brynt. – Zmarszczył czoło. – Panna Quicke zamierza wyjechać jutro z samego rana. Mam nadzieję, że dalsze rozmowy nie będą konieczne. Przygotujesz chłopca do wyjazdu.

– Przygotuję...? – Brynt podniosła głowę, jakby otrząsała się z zadumy. – Przygotuję?

– Ale, ale... Musimy jeszcze omówić kilka szczegółów – wtrącił pośpiesznie pan Beecher. – Rekompensatę i tak dalej. Zgodnie z propozycją. W końcu wiąże nas umowa.

– Zgoda – powiedziała panna Quicke.

Beecher wyciągnął długą szarą dłoń.

– Chłopiec wystąpi dziś po południu i wieczorem. Jest nasz aż do rana.

– Dobrze.

Chłopak wepchnął koszulę w spodnie i podciągnął szelki. A potem stał bez ruchu i gapił się na tę detektyw, pannę Quicke.

– Tak, synu? – zapytał pan Fox.

Marlowe nie odpowiedział. W namiocie zapadła cisza.

– Chłopcze... – odezwała się panna Quicke powoli i ostrożnie. – Wiem, że to wszystko musi ci się wydawać bardzo dziwne. Na pewno chcesz mnie o coś zapytać.

Wpatrywał się w nią z wielkim skupieniem jasnoniebieskimi oczami, jakby szukał w jej twarzy jakichś wskazówek na temat jej prawdziwej natury. Znosiła to w milczeniu, złożyła dłonie w białych rękawiczkach skromnie przed sobą, jakby rozumiała, że to ważne, by nie poruszać się i nie odwracać wzroku.

Brynt obserwowała Marlowe'a. Widziała jego długie ciemne rzęsy, pyłek piegów na nosie, sterczącą na głowie niesforną kępkę włosów – wszystkie te detale znała na pamięć. Był bardzo drobny jak na ośmiolatka. „A może tak właśnie wyglądają ośmiolatki”, pomyślała.

W końcu panna Quicke wzdrygnęła się i rozejrzała niepewnie.

– Czego on chce? – zapytała.

Brynt wpatrywała się w nią jak żmija.

– Proszę pani... – zaczął Fox.

Zanim jednak zdołał dokończyć, Marlowe wspiął się na palce i szepnął coś, bardzo cicho, do nachylonej ku niemu panny Quicke. Ta posmutniała, zerknęła na Brynt, po czym znów przy nim ukłękła.

– Nie, kochanie – odpowiedziała chłopcu. – Nie, Brynt musi zostać tutaj.

Wyszędłszy z namiotu Beechera, Alice Quicke miała wielką ochotę kogoś zdzielić – najchętniej swoją pracodawczynię, panią Harrogate, prosto w nalaną gębę. Albo może Franka Coultona. Właściwie kogokolwiek. Nienawidziła swojej roboty, nienawidziła tego, co musi robić, i ludzi, dla których pracuje.

„Biedny dzieciak”, pomyślała. „I ta biedna wytatuowana kobieta o smutnych oczach”.

Pochyliła się, żeby przejść pod linką namiotową, i ruszyła z powrotem przez błoto w stronę namiotu cyrkowego i drogi do Remington. W tej właśnie chwili zrozumiała, że ma dość tropienia sierot, kłamstw, wszystkiego. Kończy z tym. Nie chodziło tylko o Marlowe’a i o smutek całej tej sytuacji, lecz także o młodego Ovida z Missisipi, który musiał rozorać sobie rękę i wyjąć z niej ostrze noża. A do tego Coulton ostrzegający ją przed jakimś Jacobem Marberem, który gdzieś tam w świecie poluje na te dzieciaki? Jezu...

Nie, dokończy tę ostatnią robotę, odwiezie małego Marlowe’a z powrotem do Anglii. A potem powie Harrogate, co zdecydowała: że to koniec.

Rzecz w tym, że spotkała panią Harrogate tylko jeden jedyny raz, na samym początku, w hotelu Grand Metropolitan przy Strandzie. Hotel był mroczny, z błyszczącymi lustrami skrzącymi się w elektrycznym świetle, z wypolerowaną mahoniową boazerią, kandelabrami jak podwieszane do belek sufitowych ogniste koła – niczego nie brakowało. Wysokie marmurowe kolumny w recepcji, wyłożona aksamitem klatka windy, obsługujący ją dzieciak w liberii. Alice poszła za Coultonem i wjechała z nim na trzecie piętro z coltem model Peacemaker w jednej kieszeni i mosiężnym kastetem w drugiej.

Poprowadził ją długim korytarzem pełnym przytłaczających sprzętów, przystanął, żeby otworzyć kluczem szerokie drzwi, a potem wszedł do salonu, na którego drugim końcu znajdowały się uchylone drzwi. Na srebrnej tacy na chińskim stoliku z czerwonej laki stał parujący imbryczek z herbatą. Przy oknie naprzeciwko stała – zwrócona plecami do wejścia – ubrana na czarno kobieta w średnim wieku.

– Panna Quicke – powiedziała, odwracając się. – Słyszałam nadzwyczaj interesujące rzeczy na pani temat. Proszę wejść. Pan Coulton weźmie pani płaszcz.

– Nie trzeba – odparła Alice. W ręce trzymanej w kieszeni ścisnęła rewolwer.

Kobieta się przedstawiła: pani Harrogate, dawno temu owdowiała, przedstawicielka Instytutu Cairndale, rzec by można pełnomocniczka tej instytucji tutaj, w Londynie. Alice obserwowała ją uważnie. Jeśli pominąć wyraz oczu, wyglądała właściwie jak zwykła gospodyni domowa. Mogła mieć koło czterdziestki albo pięćdziesiątki. Sunęła po dywanie z rękami splecionymi z przodu, były zaczerwienione, jakby wyszorowała je w ługu. Nie nosiła żadnych pierścionków ani obrączek. Fioletowe znamię pokrywało jej policzek, nasadę nosa i całe jedno oko, przez co trudno było odczytać wyraz jej twarzy. Usta miała jednak wykrzywione w dół, jakby właśnie spróbowała czegoś kwaśnego, a jej ciemne oczy zdradzały bezwzględność. Nie miała makijażu, a z biżuterii nosiła tylko smukły srebrny krzyżyk na piersiach.

– Jestem brzydka – oznajmiła rzeczowo.

Alice się zaczerwieniła.

– Skądże.

Pani Harrogate wskazała sofę i usiadła. Alice po chwili poszła w jej ślady. Mężczyzna nazwiskiem Coulton podszedł, nalał herbaty i rozpląnął się w cieniu. Pani Harrogate wyjaśniła, czego oczekuje od Alice. Sprawa była prosta, chociaż może odrobinę nietypowa. Instytut Cairndale, jako instytucja dobroczynna, interesował się dobrostanem niektórych dzieci, które cierpiały na pewne rzadkie zaburzenie i nigdzie indziej nie mogły liczyć na właściwą opiekę. Alice miałyby pomagać w ich szukaniu: otrzymywałyby z Instytutu ich nazwiska i informacje o miejscu pobytu, a po ich odnalezieniu pan Coulton sprowadzałby je do Londynu, do pani Harrogate, która pilnowałaby, żeby bezpiecznie dotarli do Instytutu. Alice miałyby odpowiadać bezpośrednio przed panem Coultonem, który zadba o to, by otrzymywała pełną zapłatę, a także będzie pokrywał jej wydatki, i tak dalej. Umowa obowiązywałaby przez rok i mogłaby zostać przedłużona, jeśli usługi Alice w dalszym ciągu będą potrzebne. Wszystko to było, rzecz jasna, całkowicie zgodne z prawem, wymagało wszakże dyskrecji. Pani Harrogate wyraziła nadzieję, że Alice uzna te warunki za satysfakcjonujące.

Alice spojrzała w głąb filiżanki z ciemną herbatą. Nie piła. Myślała o dzieciach.

– Ach tak... – mruknęła pani Harrogate. – Pewnie się pani zastanawia, co będzie, jeśli nie zechcą tu przyjechać?

Alice skinęła głową.

– Nie interesuje nas porywanie dzieci, panno Quicke. Jeśli nie będą chciały przyjechać, to nie przyjadą. Chociaż nie przewiduję takiej sytuacji. Pan Coulton potrafi być nadzwyczaj... przekonujący.

Alice podniosła wzrok.

– Co to ma znaczyć?

– Cóż, panią udało mu się przekonać, nieprawdaż?

Alice poczuła, że rumieniec wypływa jej na policzki.

– Trudno to porównywać.

Pani Harrogate uśmiechnęła się i wypła łyk herbaty.

– Bez naszej pomocy dzieci będą cierpieć, panno Quicke – dodała po chwili. – Ten fakt zwykle przekonuje ludzi dość szybko.

– A ich rodzice? Przyjeżdżają razem z dziećmi?

Pani Harrogate zawahała się, filiżanka zawisała w pół drogi do jej ust.

– To bardzo nieszczęśliwe dzieci – odparła. Pochyliła się do przodu, jakby dzieliła się z Alice sekretem. – Nie mają rodziców, moja droga. Są samusieńkie na tym świecie.

– Wszystkie?

– Wszystkie. – Pani Harrogate zmarszczyła brwi. – Wygląda na to, że to jeden z objawów.

– Czego?

– Ich przypadłości.

– Czy to zaraźliwe?

Przez twarz pani Harrogate przemknął uśmiech.

– To nie jest choroba zakaźna, panno Quicke. Nie zarazi się pani. Nie zachoruje. Nie musi się tym pani martwić.

Alice nie była pewna, czy dobrze rozumie. Próbowała sobie wyobrazić, że wyruszy w świat i będzie zabierała dzieci, jedno po drugim, niczym jakiś potwór z bajki. Pokręciła powoli głową. Zawsze istniały inne możliwości zatrudnienia.

– Nie wydaje mi się, żebym chciała się tym zajmować – odrzekła niechętnie.

– Czym? Pomaganiem dzieciom?

– Wykradaniem ich.

Pani Harrogate uśmiechnęła się powściągliwie.

– Nie popadajmy w melodramatyzm, moja droga. Może pomogłoby pani, gdybym powiedziała jej, co wiem. Chociaż moja wiedza jest ograniczona. Słyszała pani może o Towarzystwie Królewskim? Tutaj, w Anglii, Towarzystwo zapoczątkowało stosowanie usystematyzowanego podejścia naukowego do otaczającego nas świata. Na jedno z pierwszych jego zebrań przeprowadzono niewidomą dziewczynkę, która cierpiała na niewyjaśnioną dolegliwość: wydawało jej się, że widzi umarłych. Żaden z naukowców nie dał się zwieść, takich oszustw dopuszczano się od wieków, jednakże, co było niepokojące, żaden z nich nie był w stanie udowodnić, że twierdzenia dziewczynki są fałszywe. Bardzo ich to martwiło, zwłaszcza anatomów. Instytut Cairndale został założony dwanaście miesięcy później specjalnie po to, żeby badać zjawiska wykraczające poza domenę zainteresowań czysto naukowych. W pierwszych miesiącach jego istnienia sprowadzono doń siostry bliźniaczki z walijskiej wioski. U obu zaobserwowano niezwykle objawy już w wieku pięciu lat. Były także inne dzieci, które cierpiały na podobne... jakby to ująć... przypadłości. Od tamtej pory Instytut nieustannie dokłada starań, żeby znajdować takie dzieci i pracować z nimi nad ich dolegliwościami.

– Pracować w jakim sensie?

Pani Harrogate spojrzała jej w twarz. Jej oczy były bardzo ciemne.

– Wygląda na to, panno Quicke – mruknęła – że ich ciała są zdolne do bardzo dziwnych rzeczy. Regenerują się. Przekształcają.

Alice się pogubiła.

– Nie rozumiem.

– Ja również. Nie jestem ekspertką. Wyobrażam sobie jednak, że dla ludzi bez naukowego przygotowania takie rzeczy mogą się wydawać niesamowite, mogą przypominać... czy ja wiem... cud.

Alice nagle zrobiła się nieufna. Usilnie próbowała zrozumieć, co pani Harrogate ma na myśli.

– Muszę o coś zapytać.

– Tak, moja droga?

– Dlaczego właściwie – zaczęła Alice, cedząc słowa – zwróciła się pani właśnie do mnie?

– Przecież sama pani wie.

– Są inni detektywi.

– Nie tacy jak pani.

Alice oblizwała usta. Zaczynała rozumieć.

– A kim właściwie jestem?

– Świadkiem, rzecz jasna. – Pani Harrogate wygładziła suknię. – Proszę dać spokój, panno Quicke, chyba nie spodziewa się pani, że nie dołożyliśmy należytej staranności?

Alice się nie odezwała. Pani Harrogate sięgnęła do torebki i wyjęła z niej podłużną szarą kopertę. Zaczęła czytać ze znajdujących się w niej dokumentów.

– „Alice Quicke z Chicago w stanie Illinois”. To pani, prawda? Wychowywała się pani we wspólnocie religijnej Adry Norn w Bent Knee Hollow, pod opieką matki, tak?

Oszołomiona Alice skinęła głową. Nie słyszała tego nazwiska od lat.

Osobliwa twarz pani Harrogate złagodniała.

– W dzieciństwie była pani świadkiem cudu. Widziała pani, jak Adra Norn weszła do ognia, stanęła w nim, a potem wyszła z niego bez oparzeń. Ta historia jest dosyć słynna w pewnych kręgach. Nasz dyrektor, doktor Berghast, korespondował z Adrą Norn. Znali się wiele lat. To potworne, co się stało, co zrobiła pani matka. Bardzo mi przykro z pani powodu. I pani matki, rzecz jasna.

– Była wariatką. Nadal jest.

– Mimo wszystko.

Alice wstała. Dość już usłyszała.

– Powinna pani uzalać się nad ludźmi, których spaliła w ich własnych łózkach. To dla nich powinna pani zachować swoje współczucie.

– Panno Quicke, niech pani usiądzie. Bardzo proszę.

– Trafię do wyjścia.

– Siadaj.

Głos był zimny, ponury, głęboki, jakby dobywał się z ust znacznie starszej i groźniejszej kobiety. Alice odwróciła się ze złością, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że pani Harrogate wcale nie stała się bardziej władczą: była tą samą

łagodną osobą ze znamieniem na twarzy i podrażnionymi, zaczerwienionymi palcami, które właśnie sięgały po drugą filiżankę herbaty.

– Panno Quicke, pani jak nikt inny powinna wiedzieć, jak bardzo życie potrafi być obciążone przesadami i jak szybko można wzbudzić w człowieku strach. Te dzieci pani potrzebują.

Alice stała z zaciśniętymi pięściami. Zauważyła, że stojący obok wieszaka na kapelusze Coulton opuścił wielkie włochate ręce, które wcześniej krzyżował na piersi. Z jego twarzy schowanej pod rantem melonika nie dało się niczego wyczytać.

– A jeśli odmówię?

Pani Harrogate tylko się uśmiechnęła i nalala herbaty.

Oczywiście nie odmówiła.

I teraz tkwiła tutaj, zmęczona i ubłocona, i robiła to, czego przysięgała sobie, że nigdy nie zrobi: brnęła pośród tych, którzy mieli na tym świecie mniej szczęścia od niej, i zaciskała dłonie w pięści, zupełnie jak potwór z bajki, który przyszedł porwać ośmiolatka.

Remington leżało prawie pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Bloomington, spory kawałek od magistrali. Wysiadła z pociągu w Bloomington, przeszła na drugi kraniec miasta i kupiła bilet na staroświecki dylizans pocztowy, który wyjeżdżał tego samego wieczoru, dopiero później wróciła odebrać swoje sakwojaże z pociągu. Było to cztery dni temu. Później przemierzyła zielone pola, topolowe zagajniki i dąbrowy. W zapadającym nad Środkowym Zachodem zmierzchu ogromne burzowe chmury gromadziły się ciemną masą na horyzoncie. Minęło prawie sześć lat, odkąd stąd wyjechała. Kraj się zmienił. Ona też się zmieniła.

Rozkojarzona opuściła teren cyrku. Przeszła do kuźni na obrzeżach miasta, tam kupiła wóz z żelaznymi obręczami na kołach, belę siana i konia jucznego utrzymanego w stajni na tyłach. Koń był wynędzniały, zebra sterczały mu pod skórą, miał wrzody na pysku i bielmo na oku, ale nie targowała się. Na hakach ponad ladą wisiały staroświeckie skórzane rzędy końskie. Wyglądały, jakby mogły pamiętać czasy założenia miasteczka. Kowal splunął w dłoń i wyciągnął rękę. Miał zmierzwioną blond brodę, brud wgryzł mu się w dłonie. Uściśnęła jego rękę. Po

sąsiedzku kupiła siekiere, parę koców i krzesiwo, a potem stanęła na chodniku, masując nadwyrężony nadgarstek. Spojrzała w zadumie na zdeptane pole w oddali i majaczący na nim namiot cyrkowy. Myślała o dziecku. Białe niebo przekreślały smugi ciemnego dymu. Kiedy podniosła na nie wzrok, musiała zmrużyć oślepienie oczy. W sklepie wielobranżowym kupiła kilkanaście bochenków chleba, zapas suszonego mięsa i worek pomarszczonych jabłek. Zabierze dzieciaka na wschód, z samego rana ruszą do Lafayette w Indianie.

Celowo starała się nie myśleć o matce zamkniętej w szpitalu dla obłąkanych niecałe dwadzieścia pięć kilometrów od miejsca, w którym się znajdowała. Nie widziała jej od lat. Ostatniego dnia pobytu w Illinois, przed wyjazdem na wschód, poszła ją odwiedzić. Zobaczyła ją spacerującą po terenie szpitala z pielęgniarką – matka była już wtedy siwa, zgarbiona, twarz miała upiornie gładką, a oczy szkliste i martwe, jej palce trzepotały w powietrzu jak ptaszki. Alice stała na końcu wydzielonego ogrodu i patrzyła, jak matka idzie ścieżką, przesuwał czasem palcami po kamiennym murze jak niewidoma, która szuka drogi. Nie zawołała do niej, nie podeszła, nie objęła matki i nie dała jej się objąć.

Było dopiero południe, kiedy prowadziła jucznego konia w stronę hotelu. Przebrała się z niebieskiej sukienki w rzeczy, które bardziej jej odpowiadały: męskie spodnie, wyblakły płaszcz i znoszony kapelusz ze sfatygowanym rondem. Wdrapała się na kozioł wozu, okryła kocem kolana, strzeliła lejcam i wyjechała z miasta na północ.

Drogę znała na pamięć. Po jakimś czasie zaczęło mżyć, ale nie zwolniła ani nie zatrzymała się pod drzewami, a wkrótce mżawka ustała i świat załśnił. Serce podchodziło jej do gardła. Właściwie nie bała się, nie wiedziała jednak, jak matka będzie wyglądać i czy w ogóle będzie wiedziała, kto do niej przyjechał. Minęło dużo czasu, a Bóg jeden wie, co robią pacjentom w takich miejscach.

Dojechawszy do zakładu, długo siedziała na wozie z lejcam owiniętymi wokół dłoni i przyglądała się ciemnej granitowej fasadzie i szybom, które oślepiały ją odbitym niebem. Było cicho, nawet ptaki nie śpiewały w drzewach na obrzeżach trawnika. Nie wiedziała, co zrobi ani co powie, nie była pewna, po co właściwie przyjechała. Co po tych wszystkich latach mogła jej zaoferować matka? Co ona mogła zaoferować matce?

Wóz zatrzeszczał i zadygotał, gdy z niego zsiadła. Weszła po starych schodach. Ciemny hol wejściowy pachniał pokostem, siedząca za wielkim biurkiem

pielęgniarka pisała coś w opasłej księdze. Podniosła głowę, gdy Alice przeszła przez próg, i zmierzyła ją od stóp do głów spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Była bardzo stara. Za jej plecami znajdowały się zamknięte drzwi na oddział.

Alice się zawahała.

– Przyszłam zobaczyć się z Rachel Quicke. Jest pacjentką tego szpitala, a ja jestem jej córką.

Przelotne zmarszczenie czoła.

– Odwiedziny są w niedzielę.

– Przyjechałam z bardzo daleka – odparła Alice. – Z Anglii. Wyjeżdżam jutro rano. Proszę mnie zrozumieć.

– I nie pomyślała pani, żeby wcześniej napisać? – Pielęgniarka stuknęła ołówkiem raz, drugi, trzeci. Westchnęła. W końcu zdjęła z półki za plecami ogromną oprawioną w czarną skórę księgę. – Potrzebuję numeru identyfikacyjnego pacjentki.

Alice pokręciła głową.

– Proszę wybaczyć, nie powiedziano mi...

– No oczywiście. Nikt nigdy tego nie mówi. A doktor Crane nie uznaje posługiwania się imionami pacjentów, rozumie pani. Nieważne, zaraz sprawdzę. Rachel Quicke, tak?

Alice skinęła głową.

– Zgadza się, proszę pani.

– Niedawno przyjęta?

– Osiemnaście lat temu.

Pielęgniarka podniosła wzrok.

– Z jakiego powodu?

Alice się zawahała.

– Mania religijna. Spaliła jedenastu śpiących ludzi. Próbowwała odtworzyć cud, który wydawało jej się, że widziała.

Pielęgniarka patrzyła na nią dziwnie.

– Pacjentka numer siedemnaście – powiedziała półgłosem. – Jest pani jej córką. Nie wiedziałam, że miała córkę. Nikt się z panią nie kontaktował?

– W jakiej sprawie?

Pielęgniarka zamknęła cicho księgę, przyglądając się twarzy Alice.

– Pani matka była wspaniałą kobietą, panno Quicke. Wszyscy ją znaleźliśmy. Była niezrównoważona, to prawda, ale mimo wszystko była dobrą osobą.

– O czym pani mówi? – wyszeptała Alice, nie rozumiejąc.

Kobieta z powagą wstała. Splotła dłonie przed sobą.

– Pani matka zmarła siedem lat temu. We śnie. Bardzo mi przykro.

Siedem lat.

Alice milczała. Może powinna się zawstydić. Nie czuła jednak niczego w sercu, była pusta – nie było w niej smutku, gniewu ani goryczy. I to ją zaskoczyło.

„Może na tym właśnie polega żałoba”, pomyślała. „Może tak się odczuwa stratę. Jako nicość. Wiatr zawodzący w pustce”.

Pielęgniarka narzuciła szal, wyprowadziła ją i wskazała mały cmentarz na wzgórzu. Alice poszła tam. Przez jakiś czas stała przy nagrobku matki, już podniszczonym. Nadal niczego nie czuła. Zastanawiała się, czy powinna coś powiedzieć, może się pomodlić, ale ostatecznie tylko patrzyła w niebo i nie myślała o niczym. W końcu wróciła do wozu i konia, który strzygł uszami i przewracał nerwowo ślepiami. Wsiadła na kozioł.

Zanim wróciła do Remington, zapadła już noc. Cienie zbierały się na ulicach obok plam światła padającego z barów. Słyszała dobiegające z cyrku odgłosy – dudnienie bębnow, odległy ryk tłumu.

W pokoju hotelowym na piętrze nie mogła zasnąć. Złożyła dłonie pod głowę i patrzyła na kolorowe plamy malowane na suficie przez cyrkowe latarenki. Myślała o Jacobie Marberze i o tym, co zobaczyła na twarzy Coultona, kiedy o nim mówił. Nie był to strach, lecz coś mroczniejszego i znacznie dziwniejszego.

Sen na dobre jej się wymknął. Ubrała się, usiadła na brzegu łóżka, wzięła buty i wyszła.

Cyrk był obwieszony czerwono-zielonymi latarenkami, w których płonęły świece. Przed namiotem kręcili się mieszczanie w garniturach, które dawno wyszły z mody, i wraz ze swoimi żonami wystrojonymi w kapelusze ze sztucznymi kwiatami nawoływali dzieci, aby się nie oddalały. Kłauun rozdawał ulotki z płóciennego worka. Z namiotu dobiegały już dźwięki puzonu i wielkiego bębna.

Odwróciła się i w ubłoconym płaszczu i męskich spodniach powędrowała dalej, jakby otulona prywatną ciemnością. Śmiechy stopniowo cichły. W końcu zatrzymała się przed pomalowanym od szablonu mniejszym namiotem, podniosła wzrok i odczytała szyld.

Niewiele brakowało, żeby ruszyła dalej. Cokolwiek jednak w niej tkwiło, nie zamierzało łatwo odpuścić. Siedzący na stołku przy wejściu naganiacz, który sprzedawał bilety z rolki, mierzył ją wzrokiem. Ręce trzymał nieruchomo, w ustach tkwił papieros.

W środku grupa mężczyzn w kapeluszach i surdutach oglądała dwie tańczące dziewczyny. Nie było muzyki. Dziewczyny miały na sobie peniuary i czarne skórzane wstęgi oplatające nadgarstki i przedramiona. Tańcząc, zakreślały rękami powolne koła, a wówczas wstęgi także się poruszały. Dopiero wtedy Alice zorientowała się, że to nie wstęgi, tylko węże. Mężczyźni obserwowali tancerki z ogromną powagą, jakby rozgrywające się przed nimi widowisko skrywało jakąś prawdę na temat jeszcze niezapisanej przyszłości. Kiedy tancerki skończyły, na scenę wyszedł mężczyzna z długimi włosami zaplecionymi w opadający na plecy warkocz. Przykucnął, przypiął łańcuch do kolczyków w sutkach, po czym, oparłszy ręce na kolanach, uniósł na łańcuchach kowadło i chwiejnym krokiem przemierzył scenę. Jedna z dziewczyn od węży przeszła wśród widzów. Oplatający jej szyję sznur podtrzymywał drewniane pudełko z pobrzękującymi buteleczkami alkoholu i kieliszkami. Pod warstwą pudru jej twarz sprawiała wrażenie wymizerowanej i zmęczonej.

Nagle w tłum weszła ta wysoka kobieta, Brynt, posępna i nieufna. Ludzie rozstępowali się przed nią. Stała przed Alice niczym zwalisty zwierz, piorunując ją wzrokiem. Potężne ręce miała nagie, skórę pokrytą tatuażami przypominającymi dziwne runy.

– Chcę, żebyś wiedziała – odezwała się chropawym głosem – że rano będzie gotowy do wyjazdu. Nie zatrzymam go. To dobre i słuszne dla chłopca, żeby wrócił do swojej rodziny. Nie będę mu stawać na drodze.

Błysk w jej oczach przeczył słowom i Alice nagle zrobiło się niedobrze na ten widok: ta kobieta okrutnie cierpiała. A ona знаła ten ból.

– Dowiozę go bezpiecznie na miejsce – zapewniła.

Brynt chrząknęła, odwróciła się i odeszła.

Później wprowadzono na scenę tego chłopca, Marlowe'a. Usiadł na krześle z drabiniastym oparciem i położył ręce na kolanach jak dziecko na lekcji w szkole. Publiczność czekała. Wszyscy milczeli. Naganiacz przeszedł wzdłuż ścian i pogasił latarnie jedna po drugiej, aż w namiocie zapadła ciemność.

Cóż to był za widok. Niebieskawe lśnienie, na początku słabiutkie, zdawało się sączyć z powietrza. Z czasem stało się jaśniejsze. Skóra chłopca świeciła, a on siedział nieruchomo, trzymając lewą dłoń w prawej, i skrzył się błękitnym światłem. Ciemność w namiocie zaczęła słyszalnie wibrować. Alice nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

Marlowe się zmieniał, jego skóra z wolna stawała się półprzezroczysta. Alice widziała przez nią organy wewnętrzne: niebieskie płuca, niebieskie kości, krzyżujące się niebieskie nici żył na twarzy i szyi. Wodził po sali gniewnym spojrzeniem czarnych oczu, twardych i lśniących jak obsydian. Na ich widok Alice nerwowo przełknęła ślinę. Dostała gęsiej skórki na rękach. Pewnego kwietniowego popołudnia w Chicago, kiedy miała sześć lat, dała się złapać burzy z piorunami i poczuła wtedy coś podobnego: elektryczność spowiła ją podwójną spiralą. Matka wówczas po nią wybiegła, zakutała ją w koc i zabrała do domu. Wycierała ją do sucha, nie bacząc na opuchnięte knykcie. W suterenie drewno syczało w piecyku, na dworze pioruny jeden za drugim waliły w jezioro. Zapach palonego cedru. Herbatka z dzikiej róży z Bostonu w wyszczerbionych kubkach. Zapach oleju i łoju na skórze matki.

Alice nie czuła go od ćwierćwiecza.

No i proszę, rozplakała się. Stała w ciemnym namiocie i wewnętrzną stroną nadgarstków ocierała oczy. W niebieskiej poświacie widziała twarze zebranych mężczyzn, także mokre od łez. Podniosła wzrok.

Świecący chłopiec stawał się jaśniejszy. Coraz jaśniejszy.

Człowiek wielu ciemności

Walter był głodny. Bardzo głodny.

Wśród mrocznego tłumu i hałaśliwych powozów Whitechapel szły obnośne handlarki, dziewczęta i kobiety o długich białych szyjach, w złachanych szalach jak strzępy cienia. Walter czaił się w zaułku. Obserwował je. Wąchał powietrze, gdy go mijaly, wciągał w nozdrza ciepłą woń ich krwi. Ciało miał szare i pozbawione owłosienia, usta czerwone i wilgotne, paznokcie ostre niczym noże. Ręce trzymał w kieszeniach.

Żadna z nich nie wiedziała, że je obserwuje. Lubił to. Polował na jedną w szczególności, tę wybraną spośród wielu. Na kobietę ze śladami oparzeń. Nie powinna się dowiedzieć, że jest blisko.

Hałaśliwy tłum płynął ulicą. Sprzedawca pasztecików głośno zachwalał swój towar. Walter próbował sobie przypomnieć, ale przypominanie sobie sprawiało mu ból. Była jakaś kobieta, która miała broń, sama była bronią albo coś w tym rodzaju. Mogła zranić jego drogiego Jacoba. Tego Walter się lękał. Wyszedł dziś w nocy, bo tego chciał Jacob, kochany, dobry Jacob. W odmętach cuchnących siarką zimnych nocnych mgieł mało kto widział go takim, jaki był naprawdę.

Walterze, Walterze, Walterze, Walterze...

Nie wiedział jednak, która to kobieta. Przekupka, którą śledził tej nocy, miała żółte włosy i wychudzoną twarz, blizny na piersi i szyi, jakby wytarzała się w ogniu. Czy to ona miała skrzywdzić Jacoba? Tłum się rozstąpił. Walter patrzył, jak kobieta kluczy, wlekąc grubą spódnicę w błocie. Tłum ponownie się zwarł.

Musi ją zapytać. Musi ją znaleźć i wyciągnąć z niej, co wie. Wspiął się na stos skrzynek w samą porę, żeby zobaczyć, jak handlarka chwieje się na nogach, jakby

pijana, pomiędzy dwojgiem oświetlonych latarniami drzwi, a potem znika w ciemnym zaułku.

...idź, Walterze, znajdź ją, każ jej pokazać, co ukrywa...

Walter oblizwał usta. Rozejrzał się. A potem szybko wynurzył się z cienia i niezauważony przemknął przez tłum z postawionym kołnierzem, w kapeluszu ściągniętym nisko na czoło.

Ciemny zaułek przywoływał go jak pieśń.

Obudził się nagle, spazmatycznie łapiąc powietrze. Co to było za miejsce? Ostatnie, co kołatało mu się w pamięci, to jak przechodził nocą przez port w Limehouse. Wcześniej był w pubie niedaleko rzeźni, więcej niczego nie pamiętał. Nie, to nieprawda. Był jeszcze pomost w ciemności, plusk Tamizy, pokrzykiwania kwiaciarki w zaułku. Otworzył zapiaszczone oczy. Półmrok, oblażące z farby brązowe ściany, ciała śpiące po kątach. W palcach nadal trzymał fajkę, teraz już zimną, czarna guma opium dawno się wypaliła.

Walterze, Wal...

Wstał chwiejnie, przytrzymując się ściany. Musiał wracać, powinien wrócić do pokoju, który wynajął za pół pensa za tydzień pod osypującymi się ruinami Saint Anne's Court.

Podłoga była mokra. Spojrzał w dół. Ktoś zabrał mu buty.

...terze, Walterze, co nam przyniosłeś, Walterze, Wal...

Głosy. Zawsze te głosy. Milkły za każdym razem, gdy palił opium, ale ledwie z obolałą czaszką wynurzał się z otępienia, wracały mu do głowy i szeptały, wiecznie szeptały.

Nie potrafił powiedzieć, która jest godzina, ale noc już się skończyła. Zaułek spowijała mgła. Jacob wyznaczył mu zadanie, o tak, zaufał mu, że znajdzie tę kobietę.

Chwiejnie wdepnął w kałużę, złapał się słupka we mgle, a potem rozpląnął w jazgocie Market Street. Później szedł pospiesznie wąską uliczką między czynszówkami, skręcił w lewo, przeszedł przez inną ulicę i zanurkował pod ociekającą wodą markizę trafiki. Zbiegł po kamiennych schodach i przemknął wąskim przejściem. Kulące się we wnękach drzwi dzieci wpatrywały się w niego, kobiety grzebały w śmieciach. Przy Saint Anne's Court skręcił, prześliznął się obok

poskręcanej żelaznej kraty i przeszedł ostrożnie po błocie, omijając głębokie kałuże pokryte tłustawym osadem. Z okna zwieszał się sznur z praniem – pożółkłym, połatanym, wiotkim. Pod osią stojącego w kącie uszkodzonego wozu spał pijany szczurołap. Wszędzie snuła się wodnista mgła.

Walterze, Walterze, Walterze, Walterze, Walterze...

Jego drzwi. Otwarte. Chwiejnym krokiem przestąpił próg, zszedł po trzech wilgotnych stopniach. Jedyne światło wpadało przez wybite okno.

...przyjdź do nas, Walterze, przyjdź do nas, przynieś nam kirasa i...

Próbował sobie przypomnieć. I nagle na półce pod przeciwległą ścianą zobaczył swoje śliczności błyszczące w mroku. Trzy ustawione w rzędzie ogromne szklane pojemniki. Wypełniający je zielonkawy płyn był mętny, a w każdym słoju – jak zamarynowany owoc – tkwiła blada sylwetka z wielką czaszką: ludzki płód, skulony, zdeformowany, usunięty. Oczy miały otwarte, powolnymi ruchami dłoni napierały na szkło, obserwowały go i nawoływały cichymi głosami.

Walterze, Walterze, co zostawiłeś w...

Wtedy odwrócił się i zobaczył połamane łóżko, a w pościeli żółtowłosą handlarkę. Szyję miała poderżniętą od ucha do ucha, brzuch rozpruty i rozpięty szeroko jak przygotowany pod nóż chirurga. Jakby ktoś w niej grzebał w poszukiwaniu czegoś. Wylupione oczy leżały obok.

...ponieważ chowała to, naprawdę chowała, ale gdzie to jest, Walterze, gdzie ten okrutny przedmiot...

Zamknął oczy, po czym je tworzył. Światło w piwnicy się zmieniło. Jego śliczności jarzyły się w szklanych słojach, zielonkawe, precudne. Wstał, lekko omoczony, i chwiejnie stanął nad martwą dziewczyną, po czym znów usiadł na lodowatej podłodze i zasnął. Kiedy się ponownie obudził, w głowie mu się przejaśniło. Nad łóżkiem stał nieoczekiwany gość, kobieta w średnim wieku. Patrzyła na ciało handlarki.

– Wygląda na to, że narobiłeś niezłego bałaganu, Walterze – stwierdziła rzeczowo. – Chociaż pretensje mogę mieć tylko do siebie. Powinnam była przyjść wcześniej.

...ona nas zna, Walterze, skąd ona nas zna...

– Znasz nas? – wybełkotał. – Skąd...?

– Nas?

Stała w słabym szarym świetle wpadającym przez okno, istota ze społeczeństwa i świata, które kiedyś znał. Ale to było dawno temu. W rękach odzianych w rękawiczki ścisnęła skromnie torebkę. Miała na sobie czarną sukienkę z kołnierzykiem i czarny kapelusz z niebieskim piórkiem. Znamię przesłaniało połowę jej twarzy. Oczy miała bardzo ciemne, a jej głos, kiedy się odezwała, brzmiał niebezpiecznie.

– Jesteśmy tu zupełnie sami, Walterze. Obserwuję cię od pewnego czasu.

– Walterze, Walterze, mały Walterze – wyszeptał.

...może ona to ma, może ona to

– Nazywasz się Walter Laster – powiedziała kobieta. – Jacob Marber był twoim przyjacielem.

„Tak, był moim przyjacielem. Nadal jest moim przyjacielem. Kocham go”, pomyślał.

Nagle spojrział na kobietę z wdzięcznością. Miała śliczną szyję.

– Jestem pani Harrogate, Walterze. Przyszłam ci pomóc.

„Tak, pani Harrogate nam pomoże”, przemknęło mu przez głowę.

Kiedy jednak wyprostował się na całą wysokość i poczuł pełnię swojej istoty, jego myśli, wszelkie ulotne iskierki zrozumienia, zaczęły umykać do pokoju jego czaszki, a potem drzwi do tego pokoju zaczęły się zamykać, on zaś odchodził, zasypiał, a szepty rozbrzmiewały coraz głośniejsze. Chciał ostrzec kobietę przed nimi, ale tego nie zrobił.

Podeszła do jego śliczności. Obracały się w słojach, rozjarzone nieziemskim światłem. Pani Harrogate przyjrzała im się uważnie w ich własnej zielonej poświacie.

...dlaczego ona na nas patrzy, Walterze, czego ona chce, Walterze, czy ona ma to, co rani...

To, co rani. Broń. Tak...

Odwróciła się do niego plecami. Przybliżył się nieco, raptem dwa i pół centymetra, centymetr, skradał się, skradał. Nie wiedział, co robi, ale przecież nie robił niczego złego, zupełnie nic nie robił, więc dlaczego miał zaciśnięte pięści, o tak, poczuł słodki zapach pudru w jej włosach...

...zrób to, Walterze, zrób to teraz...

– Och, Walterze – wymruczała kobieta, pani Harrogate. Słyszał ją jakby z bardzo daleka. – Ogromnie mnie rozczarowałaś. Naprawdę musisz się bardziej postarać, żeby nad tym zapanować.

...teraz, teraz, teraz, teraz, teraz...

Przysunął się jeszcze bardziej.

Szukała czegoś w torebce. Sięgnął do jej szyi, a wtedy ona odwróciła się w półmroku płynnym ruchem – była niska, korpulentna, ale zrobiła to wręcz niewiarygodnie szybko. Trzymała coś w ręce.

Potworny ból ścisnął czaszkę Waltera.

Margaret Harrogate schowała obszytą skórą pałkę i pospiesznie zapięła torebkę. Uderzyła go tak mocno, że zabołał ją nadgarstek.

„Walter Laster”, pomyślała. „Proszę, proszę”.

Uklęknęła przy nim i sprawdziła puls, ale nadgarstek miał chłodny, właściwie lodowaty, zimny jak śmierć. Wahała się tylko przez chwilę, zanim zdjęła kapelusz i rękawiczki i przyłożyła ucho do jego piersi. Nie usłyszała bicia serca, wiedziała jednak, że to nic nie znaczy, zupełnie nic. Ostrożnie odciągnęła mu górną wargę i zobaczyła długie żółte zęby, tym dłuższe, że zaczerwione dziąsła miał cofnięte, dokładnie tak jak jej powiedziano. Błada skóra była zupełnie bezkrwista, sinoszara jak zepsute mleko. Walter był łysy, pozbawiony owłosienia na całym ciele. Trzy czerwone linie jak fałdy skóry okalały jego szyję.

Wstała, założyła kapelusz, ostrożnie przestąpiła nad Walterem i podeszła do martwej kobiety na łóżku. Coś trzeba było z tym zrobić. I jak zawsze spadło to na nią.

Rozejrzała się szybko po żałosnym pokoiku: wilgoć wspinająca się po ceglach, ciemność prawie jak żywe stworzenie pod ścianą naprzeciwko, trzy osobliwie jarzące się płody w formalinie. A potem wzięła się do pracy. Znalazła ścierkę, której Walter używał jako ręcznika. Zgarnęła nią wnętrze martwej kobiety z powrotem do jamy brzusznej, schludnie włożyła na miejsce obie gałki oczne, po czym zawinęła ciało w podarty koc i sturlała je na podłogę. Spadło z głuchym łoskotem. Koc już przesiąkał, pojawiła się plama.

Zadowolona, że się przy tym nie ubrudziła, pani Harrogate wzięła się pod boki, a potem zgarnęła Waltera na ręce, wyniosła na podwórze, posadziła w błocie

i oparła o mur. Zaskoczyło ją, jaki jest kruchy, jaki lekki – proch i kości, prawdę mówiąc. Kiedy podnosiła jego ramię, miała wrażenie, jakby brała do ręki ptasie gniazdo.

Wróciła do sutereny, otworzyła torebkę i wyjęła z niej dwa słoiki nafty. Oblała nią łóżko, zawinięte w koc ciało kobiety i drewniane półki. Zawahała się przy słojach z okazami. Płody unosiły się w płynie, blade i nieruchome. Popukała knykciem w szybę. Biedactwa. Teratologiczne wady wrodzone. Na dwóch słojach nadal widniały nalepki kolekcji Huntera z Królewskiej Akademii Chirurgii. Nie miała pojęcia, w jaki sposób tak żalosne stworzenie jak Walter Laster zdołało się dostać do takiej instytucji i cokolwiek z niej wykraść. Jeszcze jedna tajemnica. Proszę, proszę.

Co to było, co pchnęło ją do następnego kroku? Przeczucie? Intuicja, jak mógłby powiedzieć Frank Coulton? Wewnętrzny głos, któremu nauczyła się ufać? Nie umiałyby powiedzieć. Zdjęła jednak trzeci ze słoików, ten z najmniejszym płodem, którego powieki były stulone jak płatki kwiatu, a delikatnie rysy wyglądały niemal ludzko. Był ciężki, znacznie cięższy niż Walter. Formalina pluskała o szklane ścianki, kiedy pani Harrogate wytaszczyła słoik na dwór. Walter nadal leżał nieruchomo w błocie.

Robiło się późno. Wróciła do środka, wyjęła z torebki długą zapalną, potarła ją o ceglana ścianę i upuściła na zlaną naftą pościel. Pokój buchnął ogniem.

Spuściła woalkę na twarz, zasłaniając znamię jak fioletowy odcisk ręki, rozciągające się od policzka i nosa ku oku. Nie wypadało ściągać na siebie spojrzeń. Spokojnie wyszła na zewnątrz, zostawiając otwarte drzwi. Wzięła Waltera pod pachę, drugą ręką zarzuciła szal na słoik i też go podniosła. Za jej plecami w suterenie huczał ogień. Pijak w kącie podwórza uniósł zapuchnięte oczy, a ona ruszyła przez mgłę ku Bloom Stairs Street, żeby zatrzymać tam dorożkę.

To było to, kluczowy element jej profesji, ta osobliwa makabryczność, zgoła niestosowna dla damy, a jednak nadzwyczaj przyjemna. Jej mąż, pokój jego duszy, dostrzegł to w niej i pokochał ją za to. Oczywiście nie każdy dzień wymagał palenia ciał albo porywania – tak, tak, nazwijmy rzeczy po imieniu – porywania otumanionych opium nieszczęśników o morderczych skłonnościach. Bynajmniej. Najczęściej była swego rodzaju kierownikiem, jakby pracowała w banku albo w towarzystwie ubezpieczeniowym: nadzorowała wykonywanie zleceń doktora

Berghasta w stolicy i maksymalnie usprawniała ich przebieg. Mimo to Margaret Harrogate wiodła życie tajemne, życie w oszustwie, które nawet w najnudniejszych chwilach za bardzo lubiła i była w nim zbyt dobra, żeby kiedykolwiek je porzucić.

Budynek Instytutu Cairndale przy Nickel Street West pod numerem 23 w Blackfriars nie miał tabliczki. Margaret Harrogate była jedynym mieszkańcem imponującego czteropiętrowego szeregowca. Sunęła przez ciemne, ciężko umeblowane pokoje wśród kominków na węgiel i grubych, ciepłych zasłon albo czaiła się jak duch przy wychodzącym na ulicę wykuszowym oknie. Dopóki jej mąż żył, w domu były pokojówki i kucharka, nawet powóz i konie trzymane w ogromnej wybrukowanej powozowni, przez którą wchodziło się z ulicy. Teraz jednak mieszkała tu tylko ona, samotna od tak dawna, że odbierała obecność innych jak zakłócenie, coś niewłaściwego. Sprawy Instytutu wypełniały jej całe dni. Sporo czasu pochłaniało przygotowywanie dokumentów, organizowanie korespondencji, niekiedy spotkania z inwestorami, ale przede wszystkim za każdym razem, gdy Frank Coulton albo jego nowa partnerka, ta cała Quicke, sprowadzali do Londynu sierotę, Margaret badała dziecko, potwierdzała naturę jego talentu i zapisywała wyniki badań w jednej z wielkich instytutowych ksiąg przechowywanych we wnęce za koszem na węgiel.

Talenty. Tak je nazywał doktor Berghast. Ona widziała w nich niepokojące zjawiska, jakby żywcem wyjęte z Biblii. Ciało falujące jak woda i zmieniające twarz dziecka w inną twarz. Mały chłopiec, który kładł ręce na trupie i go wskrzeszał, budził zwałistego olbrzymia jakby pozbawionego kości. Dwa lata temu na własne uszy słyszała, jak dwunastoletnia dziewczynka – kościana wiedźma, jak nazwał ją w liście doktor Berghast – gwizdaniem przywołała szkielet z trumny i zmusiła go do tańca przy wtórze klekotu jego własnych kości. To były sceny jak z koszmarów. Ona nie miała takich talentów, Bogu niech będą dzięki. Tak jak nie miał ich jej mąż. Prawdę mówiąc, nawet teraz nie była pewna, czy to, co potrafiły dzieci, jest zgodne z naturą, czy jej przeciwne. Dobre – czy złe.

Walter Laster był jednak złem wcielonym. Tyle wiedziała, dostrzegała to w jego bezkrwistej, bezwłosej jak u larwy skórze, w jego apetycie, w zębach podobnych do kłów. Był czymś nowym. Doktor Berghast z pewnością będzie zaintrygowany.

To przez męża związała się z Cairndale niemal trzydzieści lat temu. A raczej przez jego śmierć – zmarł na febrę podczas ich drugiej wspólnej zimy, w 1855 roku. Wciąż jeszcze była bardzo młoda. Kiedy pierwszy raz spotkała Henry'ego Berghasta – gdy trzy tygodnie po pogrzebie własnym kluczem otworzył żelazną furtkę przy Nickel Street West i zadzwonił do drzwi z bukietem lilii w jednej ręce oraz kapeluszem i skórzaną torbą w drugiej – nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Służbę już wtedy odprawiła. Sama musiała mu otworzyć.

– Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia, pani Harrogate – powiedział.
– Czy mąż wspominał może o mnie?

Popatrzyła na przystojną, wyrazistą twarz i wypomadowane czarne włosy. Nie była pewna, czy mąż cokolwiek mówił o tym człowieku.

– Jestem dyrektorem Instytutu Cairndale, byłem pracodawcą pani męża. Pragnę omówić z panią coś na osobności. Czy mogę wejść?

– Proszę – zgodziła się niechętnie.

Zaprowadziła go do salonu, wskazała mu sofę i usiadła pierwsza. Rękę w czarnych rękawiczkach złożyła na kolanach. Podejrzewała, że przyszedł ją eksmitować.

Trudno było określić wiek doktora Berghasta, nie był ani młody, ani stary, rzucało się jednak w oczy, że jest jakby nieobecny duchem – a zarazem roztaczał aurę skupienia, wyrazistą i intensywną niemal jak perfumy. Jego gesty były powolne, przemyślane. Kolana i kostki trzeszczały mu cicho, gdy zakładał nogę na nogę. Był barczysty, nosił gęstą czarną brodę, miał szare oczy i wyglądał na silnego. Jego nieskazitelny czarny garnitur był skrojony zgodnie z najnowszą modą, w butonierce tkwiła świeża biała róża. Margaret widziała przez okno, że popołudnie zrobiło się szare i deszczowe, ale gość nie zmókł.

– Proszę przyjąć kondolencje – zaczął. Bez śladu skrępowania przyjrzał się jej znamieniu. – Pani mąż nie bał się śmierci i nie chciałby, żeby z jej powodu pograżać się w żałobie. Często o tym rozmawialiśmy. Nie pomyślał jednak o tym, jak jego najbliżsi mają żyć dalej.

– Owszem.

– Zastanawiała się pani nad przyszłością? Wciąż jest pani młoda...

– Nie zostałam bez środków do życia, proszę pana. I mam siostrę w hrabstwie Devon.

– Ach tak. – Zawahał się, jakby coś rozważał. Oparł elegancki nadgarstek o kolano i zmarszczył czoło w uprzejmym grymasie. – Miałem nadzieję, że może rozważy pani inną możliwość. Pani Harrogate, codziennie towarzyszy nam to, co niewidoczne. Bo czymże innym jest strata? Czym jest śmierć? Kto nie wierzy w rzeczy, których nie potrafi wyjaśnić? Bóg i anioły, grawitacja i elektryczność, śmierć i tajemnica życia. Istnieją siły, które rozumiemy, i siły, które nas przerastają. Instytut Cairndale kultywuje i chroni jedną z takich tajemnic. Pani mąż był nam ogromnie pomocny, podobnie jak jego ojciec, a wcześniej ojciec jego ojca.

Margaret bez słowa pokiwała głową.

– Mówię o rzece, murze, zasłonie, całunie, pani Harrogate. Mówię o przejściu z tego świata do następnego. O śmierci, droga pani. Wiemy o niej więcej, niż nam się wydaje. – Pochylił się blisko, zniżając głos. Wyczuła zapach mięty i dymu z fajki. – Potrzebujemy umarłych bardziej, niż umarli potrzebują nas. Jednakże ciało ludzkie składa się niemal z takiej samej ilości martwej tkanki co żywej. Proszę o tym pomyśleć. Nosimy w sobie własną śmierć. Kto wie, czy w śmierci proporcje nie ulegają po prostu odwróceniu? Chemia śmierci, fizyka śmierci, matematyka królestwa umarłych... Oto tajemnice, których prób rozwikłania nauka jeszcze nawet nie podjęła. – Zamrugął łagodnie, płynnie. Obliznął wargi. Był przystojny i przerażający. – Są pośród nas tacy, pani Harrogate, teraz już starzy, nieliczni, którzy mieli dawniej... którzy urodzili się z pewnymi niemożliwymi do zatarcia... talentami. – Przyjrzał się uważnie jej twarzy. – Na przykład darem manipulowania martwymi komórkami. Widziała to pani może w pracach swojego męża? Nie? Talent ów może się przejawiać w wielu niezwykłych formach: uzdrawianie albo niszczenie, wstrzymywanie życia albo jego przywracanie. Wpływowi talentu nigdy nie ulega tkanka żywa. Tacy ludzie mieszkali w Cairndale od bardzo dawna. Odkąd byłem dzieckiem. A nawet wcześniej.

– Cairndale to pewnego rodzaju... szpital?

– Prywatna klinika, tak można by to ująć. Nadzwyczaj prywatna.

Margaret Harrogate w żałobnych szatach zmierzyła gościa przenikliwym spojrzeniem, ważąc w duchu jego słowa.

– Pan mnie chce zatrudnić – stwierdziła zdezorientowana. – Miałabym podjąć pracę po mężu.

– Pani mąż pokładał w pani wielką wiarę. To było jego własne życzenie.

Doktor Berghast wstał, szykując się do wyjścia. Margaret zauważyła, że paprotki na oknach nie były podlewane co najmniej od tygodnia. Jej gość wyjął z torby gruby, przewiązany szpagatem plik korespondencji z jej zmarłym mężem. Położył go na wyściełanej ławie pod ścianą.

– Ufam pani dyskrecji – dodał, zatrzymawszy się przy stojaku na kapelusze. – Bez względu na pani decyzję.

W ciągu następnych tygodni czytała listy przy świecach, bez pośpiechu. Wyglądało na to, że Instytut zajmuje rezydencję wzniesioną w siedemnastym wieku na brzegu jeziora i obejmującą posiadłość dawnego klasztoru na północny zachód od Edynburga. Doktor Berghast, syn poprzedniego dyrektora o tym samym nazwisku, dorastał tam i w końcu przejął stanowisko po ojcu. W listach męża często była mowa o rzeczach, których wówczas nie rozumiała – o orsine, czymkolwiek było, o gościach Instytutu. Z czasem miała się dowiedzieć więcej, niżby chciała, wtedy jednak zdała sobie sprawę, że kiedyś widziała już to miejsce – tylko raz, z oddali, w pierwsze lato po ślubie, gdy ręka w rękę spacerowali z mężem wzdłuż osypującego się niskiego muru otaczającego posiadłość; słoneczny blask, niebo tak granatowe, że prawie czarne. Znajdowali się na wysokim urwisku z dziwnej czerwonej gliny ponad ciemnym jeziorem, na którym w oddali leżała wyspa, a na niej majaczyły ledwie widoczne kamienne żebra wiekowego klasztoru i wyrastające z ruin złotolistne drzewo. Poruszany wiatrem zagajnik karłowatych sosen kołysał się niby mroczna fala. Po drugiej stronie muru wznosiła się wspaniała rezydencja, w murze zaś znajdował się łuk, pochodzący zapewne z czternastego wieku, zielony od mchu,znaczony dziwnymi symbolami, a w tej chwili przegrodzony czarną kratą z wyraźnie widocznym herbem Cairndale. Tam właśnie stanęli z mężem, zerknęli do środka pomiędzy prętami, ale dalej nie weszli.

Tak to właśnie wyglądało.

Zaintrygowana, w rozterce, napisała do doktora Berghasta, że chętnie przejęłaby obowiązki męża. I tak oto przed blisko trzydziestu laty zaczęło się jej dziwne drugie życie, płynące w mroku i pełne sekretów.

Obowiązki rzadko powadziły ją na północ do Instytutu. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy jednak musiała się tam udać, zatrzymywała czasem powóz przy

bramie, wspominała męża i zastanawiała się, jakie życie mogliby wieść razem. Lata mijały. Starzała się.

A potem pojawiło się coś nowego, potworna istota, którą doktor Berghast nazwał drughrem, stwór z cienia, który nie był ani żywy, ani martwy. Oczywiście Margaret słyszała już wcześniej różne pogłoski, aluzje do dziwnych wydarzeń w Cairndale, powtarzane szeptem plotki o prowadzonych przez doktora Berghasta eksperymentach. Starła się ich nie słuchać, ale podczas swoich rzadkich wypraw na północ widywała przelotnie, że Berghast się zmienia, że lęka się czegoś sprzecznego z naturą. Kiedy więc napisał jej o drughrze, który miał tropić młode talenty, nieodnalezione dzieci, ona także zaczęła się bać.

I tak właśnie dziesięć lat temu rozpoczęli poszukiwania. Doktor przysłał na Nickel Street West 23 dwóch mężczyzn, którzy mieli pracować pod jej nadzorem. Kompetentni, cisi, ponurzy, znajdowali dzieci – wyłącznie sieroty – i przyprowadzali je do niej. Albo przynosili wierzące się w jutowych workach, jeśli zaszła taka potrzeba. Nazywali się Frank Coulton (jego poznała już wcześniej) i Jacob Marber.

Jacob... Był taki czas, kiedy prawie mu współczuła. Znaleziony przez doktora Berghasta na ponurych ulicach Wiednia, wydobyty z biedy, otrzymał lepsze życie. Nie widziano go od ponad siedmiu lat, od tamtej straszliwej nocy, kiedy zaatakował Instytut Cairndale. To wtedy wszystko się popsuło, wtedy Jacob zwrócił się przeciwko Instytutowi i zamordował dwójkę dzieci na brzegu Lye, pomstując na potworności, z którymi ma do czynienia, i na okropieństwach, do których się zobowiązał i od których nie ma odwrotu, bo ciemność przenika cię na wskroś i niszczy wszystko, czym byłeś, wywraca cię na nice, odsłania szwy. Potem przepadł bez śladu, zniknął jak starty z powierzchni ziemi. Niektórzy mówili, że drughr go pożarł, ale Margaret wiedziała swoje – Jacob dał się uwieść drughrowi, uległ jego urokowi i nadal gdzieś tam żył i tropił dzieci jak potwór z baśni.

Margaret Harrogate bała się niewielu rzeczy, ale Jacob Marber ją przerażał.

O tym wszystkim rozmyślała, wywlekając Waltera z dorożki, ciągnąc go przez żelazną furtkę przy Nickel Street West 23, a następnie czterema biegami mrocznych schodów do pokoju, który przygotowała. Nie zatrudniała służących ani kucharzy, by nikt nie zakłócał jej prywatnego życia. Poza tym była z natury

samotniczką. Ciężka praca nigdy jej nie przeszkadzała, nawet w młodości, nie zniosłaby jednak plotkowania i przesądności służby.

Zostawiła Waltera nieprzytomnego, przywiązawszy mu nadgarstki i kostki nóg do mocnych dębowych kolumnienek pozbawionego pościeli łóżka, po czym zeszła na dół po słoje z okazem, który po krótkim wahaniu umieściła w salonie na stoliku pod oknem. Paprotki w donicach przeniosła na podest schodów.

Kiedy wróciła na górę, Walter obudził się i patrzył na nią z mieszaniną strachu i chytryści w oczach. Gdzieś po drodze zgubił buty. Podeszła do szafy w kącie, zdjęła z górnej półki fajkę, mały wyszczerbiony spodeczek i puszkę wielkości słoiczka z balsamem. Zdjęła z puszki wieczko i ostrożnie wyjęła z niej małą, czarną, gumowatą bryłkę opium. Odcięła z niej kawałek i rozsmarowała na spodeczku. Potem odwiązała Walterowi jeden nadgarstek. Mężczyzna podniósł się na łokciu i bez słowa sięgnął po fajkę. Margaret wyszła i po chwili wróciła ze świecą. Kilka razy przesunęła płomieniem pod spodkiem, aż czarna żywica zaczęła bulgotać i dymić. Walter wciągnął opary przez fajkę długimi, głębokimi wdechami i z westchnieniem osunął się na łóżko.

Tradycyjne metody jej pracy nie obejmowały opium, ma się rozumieć. W małych saszetkach z szarego papieru w zamkniętej szufladzie biurka trzymała proszek, który rozwiązywał języki co bardziej opornym gościom i zachęcał ich do podzielenia się prawdą. Walter potrzebował jednak czegoś mocniejszego.

Odstawiła spodek, zdmuchnęła świecę i wyjęła fajkę z jego wilgotnych palców. Pochyliła się tak, że jej usta znalazły się tuż przy małżowinie jego ucha. Wiele rzeczy już wiedziała. Między innymi to, że Jacob Marber zostawił Waltera w londyńskim rynsztoku, żeby ten odszukał kirasa. Wiedziała, że kiras jest bronią zdolną zniszczyć nawet to, czym stał się Jacob. Dlatego Jacob się go obawiał. I dlatego kiras nie mógł wpaść w jego ręce.

Podbródek Waltera uniósł się powoli. Jego półprzezroczyste powieki zatrzepotały, kiedy narkotyk zaczął działać.

– Walterze, Walterze... – szepnęła Margaret. – Śmiało, teraz możesz nam wszystko powiedzieć. Opowiedz nam o Jacobie. Był tu z tobą w Londynie? Musisz spróbować sobie przypomnieć.

Głos Waltera był ledwie szeptem.

– Jacob... Jacob tu był...

– Tak, tak, dobrze. – Delikatnym, matczynym gestem pogłaskała go po łysej głowie. – Ale czy wyjechał?

– Jacob... mnie zostawił...

– Tak, Walterze, zostawił cię – mruknęła. – Ale gdzie teraz jest Jacob Marber?

5

Coraz jaśniej

Intruz złowieszczo długim krokiem przemierzył pyliste równiny i mokradła, wszedł na drogę i bez wahania skręcił na zachód, w stronę miasta. Zdawał się nie rzucać cienia. Kiedy minął gospodarstwo starego Skinnera ze stodołą o zapadniętym dachu, słońce schowało się za chmurą i pociemniało. Nieznajomy nie zwalniał kroku. Nosił czarny płaszcz pokryty jasnymi smugami pyłu z drogi, wysoki czarny kapelusz zsunięty nisko na oczy i czarny szalik zasłaniający twarz. Sprawiał wrażenie, jakby się nie męczył.

Kowal obserwował go pełen złych przeczuć. Kiedy intruz się zatrzymał, mężczyzna wyprostował się nad paleniskiem. Rękawy miał podwinięte z powodu gorąca, koszula lepiła mu się do piersi. Nie umiałby tego uzasadnić, ale wypełnił go niepokój.

Nieznajomy przystanął w progu. Przy padającym mu zza pleców dziennym świetle jego twarz niknęła w cieniu.

Kowal przywykł do wizyt podróżnych w tarapatach, więc gdy gość się nie odzywał, odchrząknął i zagaił:

– Jakież kłopoty po drodze? W czym mogę pomóc?

Przybysz się poruszył, podniósł wzrok, ale nie opuścił szalika. Dwoje oczu płonących jak węgielki odbiło ognie kuźni.

– Szukam cyrku Beechera i Foksa – wyszeptał.

– A, pan cyrkowiec – stwierdził kowal, przetykając ślinę. – Właśnie pomyślałem, że pan nietutejszy. Odłączył się pan od reszty? Pańscy ludzie są w Remington. Ze trzy kilometry stąd na zachód.

– Remington – powtórzył półgłosem nieznajomy.

– Nie da się go przegapić. Nie przyszedł pan chyba pieszo, co?

Obcy odwrócił się i spojrzął na podkute konie rżące cicho w boksach. Ponownie zerknął na kowala i zaczął zdejmować czarne rękawiczki, jeden palec za drugim.

– Nie – odparł ledwie słyszalnie.

Bezszelestnie wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

Po wyjeździe Marlowe'a Brynt tylko spała, jadła i pracowała, zupełnie machinalnie, bezwolnie, jakby nic innego w życiu nie istniało. Co wieczór dwa razy stawała w światłach rampy w bocznym namiocie Foksa, na wpół rozebrana, ze srebrnymi włosami zaplecionymi w warkocz na plecach, i w blasku świec prezentowała swoje tatuaże. Paskudne gęby łypały na nią pożądlivym wzrokiem. W końcu podciągała ramiączka sukienki i stanowczym krokiem schodziła ze sceny. Głęboki smutek przepełnił ją jak narkotyk i nie chciał opuścić.

Za to Sen zniknął, odszedł razem z Marlowe'em, odjechał starym wozem, którym powoziła wynajęta detektyw, ponura kobieta o ciemnych oczach ubrana w nieprzemakalny płaszcz z postawionym kołnierzem. Brynt teraz prawie brakowało Snu, mimo pojawiającego się w nim mężczyzny w czarnym płaszczu, z twarzą ginącą w mroku i długimi białymi palcami. Prawie tęskniła za Snem, bo był jedną z tych rzeczy, które przypominają człowiekowi o tym, co miał i od samego początku bał się utracić.

Światło dnia dogasało. Pracowała w menażerii: sprzątała w zagrodach, nosiła szare kubły z wodą do mycia. Wciąż jeszcze śmierdziało dymem z poprzedniej nocy. Mulnik z młotkiem i przebijakiem w rękach garbił się przy warsztacie zajęty naprawą uprzęży, ponury i bezzębny jak stara szewska skóra. Ogrodniczki wisiały na nim luźno. Przeżył pół życia w rynsztokach miast, których nazw Brynt nie była w stanie nawet wymówić – w Argentynie i Boliwii. Emanował wrednością tak naturalną, tak oczywistą, że nieomal dało się znieść jego obecność. Zajęty swoją robotą klął cicho w żywy kamień, jakby nucił. Nie przeklinał niczego ani nikogo w szczególności, po prostu złorzeczył dla samego przeklinania, jakby czynność ta wymagała szczególnej staranności, niby modlitwa albo poezja. „Niechtoszlagwmordękopanyiskurwielwdupejegomać”, mamrotał. A Brynt – zmęczona i smutna – kiwała głową w rytm jego bluzgów.

Tamtego ostatniego ranka Marlowe w ogóle się nie odzywał. Nawet nic nie szepnął. Szła obok niego, nie dotykając go, aż do wozu stojącego na polu w bladym

świetle poranka. Mokra trawa sięgała im kolan. Brynt trzymała dłoń w pobliżu owiniętego jej szalem karku dziecka. Opiekuńczy gest. Miała nadzieję, że chłopiec coś powie, cokolwiek, nawet jeśli miałby przyznać, że jest cholernie zły, że tak się to wszystko ułożyło. On jednak szedł w milczeniu, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w buty. Wydał jej się wtedy taki mały... To chyba było dla niej najgorsze – to, że nie odezwał się ani słowem, nawet kiedy uklękła w zimnym błocie, objęła go i pożegnała. Detektyw wrzuciła jego kuferek na tył wozu i stanęła obok. Zębami ściągnęła rękawiczki i zaczerwienionymi dłońmi głaskała kobyłę po grzbiecie. A potem Marlowe wspiął się na kozioł, detektyw strzeliła lejcami, wóz zatrzeszczał i ruszył, telepiąc się po mokrym polu ku starej drodze na wschód, w stronę wstającego słońca.

Brynt próbowała sobie wyobrazić, że Marlowe jest szczęśliwy w towarzystwie tamtej kobiety, że śmieje się z jakichś głupstw, które ona mu opowiada, może zawija się senny w jej płaszcz przy ognisku gdzieś w rowie przy drodze, ale nie potrafiła. Zrozpaczona, zaciskała kurczowo powieki. Rodzina szukała go od ośmiu lat. To gest miłości, prawda? Na pewno musiał coś znaczyć.

„Przynajmniej będzie bezpieczny”, pomyślała.

Bezpieczny. Wtedy poczuła pajęczynę bólu wybuchającą w trzewiach, pod żebrami, nagłą, gwałtowną, aż wyprostowała się odruchowo i położyła rękę na brzuchu. Stała nieruchomo, wciągając łapczywie powietrze do płuc, i rozglądała się. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Zupełnie jakby przez moment nie mogła oddychać. Po chwili dziwne uczucie minęło, a przynajmniej minęła najgorsza jego część, bo Brynt wciąż była otumaniona tym samym ciężarem, który dokuczał jej, odkąd Marlowe wyjechał (czy raczej odkąd został zabrany); ciężarem, który składał się w trzech częściach z samotności, a w jednej z gniewu skierowanego przeciwko niej samej. Nie należało puszczać chłopaka samego. Powinna jechać razem z nim.

Pan Beecher srebrną laską odsunął na bok połę namiotu, ostrożnie, jakby nie chciał wybrudzić sobie eleganckiego ubrania, mimo że przecież podróżował z cyrkiem po najbardziej zapyziałych dziurach na Środkowym Zachodzie.

– Tu jesteś! – zawołał poirytowany. – Nie słyszałaś, że cię wzywałem?

Posłała mu gniewne spojrzenie i wytarła ubrudzone ręce o przód koszuli. Powinna go nienawidzić za to, jaką przyjemność sprawiło mu oddanie Marlowe'a tamtej kobiecie. Do diabła, może powinna zerwać z niego ten śliczny tweedzik

i unurzać mu goły tyłek w oślim łajnie. Nie zrobiła tego jednak. Co z nią było nie tak, że tego nie zrobiła?

– Nieważne – rzucił z niesmakiem. – Przejdę od razu do rzeczy. Nie jesteśmy organizacją charytatywną. W twoim wozie jest miejsce dla dwojga artystów, a teraz mieszkasz w nim sama. Zgadza się?

Brynt wzdrygnęła się i skinęła głową.

– Jest miło i przestronnie, prawda?

– Nie – odparła.

Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Mniejsza z tym.

– Miał pan od razu przejść do rzeczy, panie Beecher – przypomniała półgłosem.

Zaczerwienił się.

– Pani Chaswick wprowadzi się do ciebie. Rano przeniesie swoje rzeczy do twojego wozu.

– Pani Chaswick.

– To jakiś problem, panno Brynt?

– To ta, która rozmawia ze zjawami? Nie może spać tam, gdzie spała do tej pory?

– To nie twoja sprawa, ale obecnie śpi w stołówce razem z panem Jakesem. Tak nie wypada. A rozmawia z duchami, a nie ze zjawami. – Beecher już miał wyjść, ale zawahał się, zatrzymał. Ścisnął nasadę nosa. – Jeszcze jedno. Nie przychodź do mnie skarżyć się na jej zapach. Wiem o nim wszystko. Twoje skargi mnie nie zainteresują.

Brynt wyciągnęła rękę i powstrzymała wychodzącego chlebowodawcę.

– Panie Beecher, chwileczkę.

Zerknął na nią poirytowany.

– To nie są negocjacje, kobieto.

– Ta detektyw, z którą wyjechał Marlowe... Zostawiła adres tego miejsca, do którego się udała? To gdzieś w Szkocji, prawda?

Pan Beecher z roztargnieniem podszedł do boksu i otarł podeszwę buta o poprzeczną belkę. Koń w boksie odsunął się zaniepokojony. W drugim końcu namiotu mulnik cały czas przeklinał pod nosem. „Cholernasukapierdolona. Kurwakurwakurwakurwa”. Beecherowi to nie przeszkadzało.

– Proszę pana? – dopytywała się Brynt.

– Alice Quicke – odparł. – Tak się nazywała. A co, też chcesz nas opuścić? Myślisz o tym, żeby pojechać za chłopakiem? – Mówiąc to, uśmiechał się wrednie, półgębkiem. Wąsik mu drżał.

Brynt długo się nie odzywała.

– Możliwe – powiedziała w końcu.

– Jeżeli nie wywiążesz się z kontraktu, nie dostaniesz pieniędzy – ostrzegł Beecher.

– Chcę tylko napisać do niego list, panie Beecher.

Pociągnął nosem.

– Nie mogę ci pomóc. Może Felix będzie coś wiedział. Chociaż Bóg jeden raczy wiedzieć, ile z tego, co powiedziała ta kobieta, było prawdą. Potrafię wywachać kłamstwo jak krowi placek, w który ktoś przed chwilą wdepnął. Z ust tej kobiety nie padło prawdy choćby za pół dolara.

Brynt podniosła głowę i spojrzała Beecherowi w oczy. Czuła, że się rumieni.

– I pozwolił jej pan z nim odjechać? – szepnęła. – Nic pan nie powiedział?

Beecher uśmiechnął się szeroko.

– No spójrzcie tylko na nią... – Mrugnął porozumiewawczo. – Żartuję, kobieto, rozchmurz się.

I wyszedł. Brynt długo stała nieruchomo, w zadumie, zanim opuściła namiot z szuflą w garści. Musiała się przewietrzyć. Przerzucony przez ramię długi srebrny warkocz ciążył jej. Przesunęła wzrokiem po obwisłych, połatanych namiotach, nad którymi górował główny namiot cyrkowy rzucający na wszystko mętny, zimny cień na tle wieczornego nieba. „Marlowe”, pomyślała.

I wtedy coś zobaczyła.

Jakaś postać kluczyła pomiędzy linkami namiotów. Iskra ciemności.

Brynt zaczęła się trząść. Upuściła szuflę, która plasnęła w błoto. W głowie jej się zakręciło. To był on. Mężczyzna cień ze Snu o długich białych palcach, w smolście czarnym płaszczu, szaliku przesłaniającym twarz i kapeluszu zsuniętym na czoło.

Nie patrzył w jej stronę. Szedł długim krokiem, rozchlapując kałuże, przemykał między namiotami. Poruszał się bardzo cicho, ale było z nim coś nie w porządku, rozmazywał się jej przed oczami, jakby ciemny dym sączył się z jego ubrania. Był

wysoki, może nawet dorównywał jej wzrostem, chociaż na pewno nie siłą. Ogarnęło ją potworne, przyprawiające o mdłości uczucie.

Wiedziała, czego intruz szuka.

Marlowe'a.

Podniosła szufłę, unosząc ją przed sobą jak siekiere, otarła błoto o rękaw i ruszyła za nieznajomym: wysoka, srebrnowłosa i przepelniona nieznaną jej wcześniej furią. Nikt nie kręcił się po terenie, a i w namiotach z jakiegoś powodu zapadła cisza. Błoto mlaskało jej pod stopami, gdy podążając za intruzem, mijała stygnące ogniska.

Skręcił w lewo raz, potem drugi, pojawił się po drugiej stronie wozu. Brynt przyspieszyła. Nieznajomy nie oglądał się za siebie, ale i tak nie zwracała na to uwagi. Może nawet chciała, żeby się odwrócił i ją zobaczył, tak ogromna była jej złość. Znała swoją siłę. Kiedyś w pewnej zabitej dechami dziurze w Meksyku jednym ciosem powaliła pumę. To było wiele lat temu, dziś była znacznie starsza, zachowała jednak dość sił, żeby poradzić sobie z mężczyzną takiego wzrostu. Strach był dobry dla ludzi małych.

Zatrzymał się na chwilę przy namiocie Feliksa Foksa, wszedł do środka i zniknął. Brynt obrzuciła namiot spojrzeniem i z szufłą kolebiącą się w dłoni, głową pochyloną jak u byka i zmrużonymi oczami nawet nie zwolniła. Pośliznęła się na błocie, złapała równowagę, w końcu tuż przy wejściu wzięła głęboki wdech, szufłą odgarnęła połę namiotu i weszła.

W środku panował mrok. Cisza. Zatrzymała się, czekając, aż jej wzrok oswoi się z ciemnością. Biurko, szafka na dokumenty. Trzy krzesła, puste. Luźno leżące deski brudne od zaschniętego błota. Zrobiła krok do przodu. Część namiotu znajdująca się w głębi była oddzielona zasłoną, za nią Felix miał małe łóżko, szafę, wiadro do mycia. Zajrzała tam, ale nie znalazła nieznajomego, podobnie zresztą jak Feliksa – co było oczywiste, o tej porze powinien być na próbie w głównym namiocie. Czegoś jednak nie rozumiała. Intruz nie miał którędy wyjść, do namiotu prowadziło tylko jedno wejście. Cofnęła się przed zasłonę, garbiąc się, żeby nie uderzyć głową w sufit. Trzymała szufłę luźno przy boku i nasłuchiwała. Niczego nie wychwyciła.

– Wcale nie zwariowałaś – mruknęła, widząc swoją postać w wysokim lustrze.

Drobny pył pokrywał blat biurka. Pochyliła się nad nim z niepokojem, przesunęła dwoma palcami, zostawiając nierówny jasny ślad na drewnie. Jej palce zrobiły się czarne.

Zanim Felix Fox zostawił pana Beechera samego z jego księgami, kolumnami drobnych cyferek i rozkładami pociągów i ruszył znużonym krokiem przez błotnisty teren do cyrkowego namiotu, zapadła już noc. Złożone okulary trzymał w kieszeni spodni. Przed nim płonęły latarnie, z zagrody dobiegało rzenie koni. Niedługo będą musieli się przenieść, bilety marnie się sprzedają: tak brzmiało podsumowanie narzekań pana Beechera. Na razie jednak nie naprawili jeszcze wszystkich okuć kół wozów ze sprzętem po tamtej potwornej burzy, która dopadła ich pod Bloomington, a nowy kowal codziennie od rana chodził pijany. Zaczynał jeszcze przed śniadaniem.

„Niech Beecher się tym martwi”, powiedział sobie w duchu Fox. Jego wspólnik zajmował się pieniędzmi, organizacją, harmonogramami i rezerwacjami. Do diabła, praktycznie kierował cyrkiem podczas sezonu. Jeśli jednak Beecher był mózgiem przedsięwzięcia, to Felix Fox był jego sercem. Był artystą. Studiował *commedia dell'arte* w Bolonii, lalkarstwo w Pradze, pracował z akrobatami w słonecznych wioskach Prowansji. To on, Felix, wymyślał styl, motywy i choreografię numerów, to on codziennie trenował z artystami na arenie, to on malował scenografię, budował meble, sprawdzał węzły na linach zabezpieczających. To prawda, że bez Beechera nie byłoby cyrku, ale bez Feliksa nie byłoby przedstawień.

Zapałił krótkie cygaro, podchodząc do namiotu. Ze środka dobiegał śmiech. Scootch sprzedawał bilety przy wejściu: na szyi miał kasetę na pieniądze, rękę trzymał w kieszeniach.

– Interes wolno się kręci? – zapytał półgłosem Felix.

– Ślimak szybciej dupą rusza. – Scootch wzruszył ramionami, zsuwając kapelusz na tył głowy. – Za przeproszeniem, panie Fox, ale coś mi się widzi, że tu już osuszyliśmy studnię prawie do dna.

Felix mrugnął porozumiewawczo.

– Niedługo znowu ruszymy w drogę, chłopcze – odpowiedział. – Świeże pastwiska i tak dalej.

Wszedł do środka. Ławki nie były zajęte nawet w jednej czwartej. Młoda Astrid w scenicznym makijażu i obszernych pantalonach przechadzała się po arenie, wygrywając melodię na trąbce. Utalentowana dziewczyna. Nie miała jeszcze piętnastu lat, a potrafiła żonglować, chodzić po linie i błaznować jak mało kto. Po niedawnym upadku miała siniak na pół twarzy, ale dzięki scenicznemu makijażowi publika się nie zorientuje. To jedno nigdy nie przestawało go zdumiewać, niezwykłość tej przemiany, gdy sfatygowany, zachlapany błotem namiot w blasku świateł stawał się piękny. Artyści o podpuchniętych ze zmęczenia oczach i sterczących żebrach też zyskiwali na urodzie. Nawet muły, dzięki nałożonej tu i ówdzie odrobinie farby, zamieniały się w najelegantsze rumaki świata. O tak, bez wątpienia kryła się w tym magia.

Założył okulary i powoli obszedł arenę, by osobiście policzyć widzów. Z gwoździ na słupach nad ławkami zwieszały się lampy, odbijające się w lustrach świece imitowały światła rampy, w powietrzu unosił się dym i snuły się cienie. Felix naliczył dwadzieścia trzy osoby, przy czym w ośmiu z nich rozpoznał pracowników cyrku, co oznaczało, że sprzedało się tylko piętnaście biletów – i to mimo nowej, obniżonej ceny. Żalotne. Zdjął okulary, zamknął oczy i na moment przycisnął powieki palcami. Może dodatkowe atrakcje cieszą się większym zainteresowaniem.

Fakt, że zabrakło Marlowe'a – Niesamowitego Świecącego Chłopca – nie pomógł. Od jego wyjazdu Brynt występowała przygnębiona i pozbawiona życia.

„Źle się dzieje”, pomyślał Fox. Artyści przychodzili i odchodzili, normalna rzecz, ale rzadko zrywali umowy, a jeszcze nigdy nie stracił wykonawcy na rzecz jakiegoś detektywa.

Po ciemku wrócił do siebie. W zadumie rzucił cygaro w błoto, zmiażdżył je obcasem i wszedł do namiotu. Zdążył już w mroku zdjąć kapelusz, kiedy poczuł, że coś jest nie tak. Zalatywało sadzą.

– Halo? – zapytał. – Jest tu kto?

– Panie Fox – rozległ się głos. – Czekałem na pana.

– To mój prywatny namiot, proszę pana – odparł ostro Felix. Nie był pewien, skąd dobiega głos. – Domyślam się, że jest pan z „Daily Almanac”?

Usiadł za biurkiem, namacał lampę, zapalił knot, zamknął szklane drzwiczki i spojrział. Obok szafki na dokumenty stał nieznamy mężczyzna z twarzą

osłoniętą szalikiem. Felix przełknął niespokojnie ślinę. Przybysz w niczym nie przypominał małomiasteczkowego reportera. Był wysoki, chudy, nosił długi czarny płaszcz albo pelerynę i jedwabny kapelusz zsunięty nisko na czoło.

– Proszę, niech pan mówi, o co chodzi – rzucił Felix, nagle poirytowany. Był zmęczony. O tej porze nie wypadało się zjawiać bez zapowiedzi. Zaczął się bawić kołnierzykiem. – Wybaczy pan, ale mam cyrk na głowie. Ja pracuję.

– Proszę dziś nie zawracać sobie głowy występami, panie Fox. Już o to zadbano. – Nieznajomy mówił bardzo cicho, łagodnie, z angielskim akcentem. Zanim Felix zdążył zapytać, co on, u diabła, wygaduje, dodał: – Miał pan niedawno gościa, mężczyznę z Anglii. Przedstawił się jako Coulton, zgadza się?

Feliksowi nagle zaparło dech w piersi.

– Kto taki? – Rozejrzał się za szklanką wody. Na próżno.

– Coulton – powtórzył intruz. – Detektyw.

– Nigdy nie spotkałem żadnego Coultona – wychrypiął Felix. Oddech miał płytki, przyspieszony. – Czy mi się wydaje, czy tu jest nadymione? Może wyjdziemy na zewnątrz?

– Niech mnie pan nie okłamuje, panie Fox.

Felix wstał. W głowie mu się kręciło.

– Proszę mi wybaczyć, muszę się przewietrzyć...

– Siadaj.

Zaskoczony Felix usiadł.

– Odpowie pan na moje pytania.

Felix nagle się przestraszył. Spojrzał badawczo na nieznajomego. Nie wiedział, skąd to wie, ale w tej chwili zrozumiał, że to przyduszenie, uczucie zdławienia to jego dzieło.

– Detektyw – powtórzył cierpliwie nieznajomy. – Frank Coulton. Proszę mi o nim opowiedzieć.

– To była kobieta. – Felix gwałtownie wciągnął powietrze do płuc. – Alice Quicke. Przyjechała po chłopaka Brynt.

– Chłopaka Brynt?

– Marlowe'a. Pracował. Dla nas. Na bocznej scenie.

Nieznajomy poruszył się w ciemności. Skinął głową.

– Co dokładnie robił?

Oczy wychodziły Feliksowi z orbit, serce dudniło w piersi.

– Nic. Świecił. Na niebiesko. Jak latarnia. Proszę, nigdy nie pytałem...

– Proszę mi opowiedzieć o tej kobiecie, tej Alice... Quicke. Zabrała chłopca?

– Tak. Do Anglii. Halliday. Tak się naprawdę nazywał. Halliday.

– Kiedy wyjechała?

– W zeszłym tygodniu...

– Obawiam się, że dał się pan okłamać, panie Fox – wycedził nieznajomy. – Nie ma żadnego małego Hallidaya. Ten chłopak, Marlowe, został panu zwyczajnie wykradzony. Trafi teraz do pewnej rezydencji w Szkocji, do Instytutu Cairndale. Tam będą mu robić różne rzeczy. Okropne rzeczy. Miałem nadzieję mu tego oszczędzić.

Felix szarpał kołnierzyk, rozwiązywał krawat. Mężczyzna wynurzył się z ciemności, która jednak jakimś cudem wciąż kłębiła się wokół niego, jakby buchała z jego ubrania, wręcz ze skóry.

– Tak naprawdę, panie Fox, chciałbym usłyszeć wszystko, co pan wie o tym chłopcu: ile ma lat, jak wygląda, skąd pochodzi, kto się nim opiekował. Wszystko. Niech pan niczego nie pomija. Może to pan dla mnie zrobić?

Na obrzeżu pola widzenia Feliksa eksplodowały gwiazdy.

– Tak – wydyszał.

– Doskonale – odparł tamten. Podszedł, usiadł na krześle naprzeciwko biurka, założył nogę na nogę, wygładził spodnie. Przy każdym jego geście kłęb czarnego pyłu unosił się jak dym i rozpływał w ciemności. – Wobec tego nie traćmy czasu.

Zdjął kapelusz, odwinął długi czarny szalik i wtedy Felix zobaczył jego twarz.

Oczywiście ten łajdak Beecher nie mógł nic powiedzieć, złościła się Brynt. Od kiedy to miał pojęcie o czymkolwiek, co nie mieściło się w jego księgach rachunkowych?

Odłożyła puder i szczotkę z końskiego włosia i zagapiła się w lustro, które kilka miesięcy temu na prośbę Marlowe'a powiesiła na gwoździu na drzwiach wozu. Marlowe. Lustro umieściła na dogodnej dla niego wysokości, więc teraz musiała kucać na podłodze, żeby coś w nim widzieć. W migoczącym świetle

spojrzała na swoją sceniczną twarz: białą od pudru, z uczernionymi oczami, zawziętą. Poza tym była naga. Tatuaze pokrywały całe jej ciało, każdy z nich był wspomnieniem, elementem jej historii, częścią tego, gdzie była i kim była. Smok owinięty wokół półksiężyca wykonany przez chińskiego artystę w San Francisco: w tym samym tygodniu dowiedziała się o śmierci brata. Złamane drzewo nad lewym zębem, podarunek od cygańskiego tatuazysty w Hiszpanii. Romowie, tak nazywał swój lud. Byli kochankami przez dwa tygodnie, a potem pewnego dnia obudziła się na polu i odkryła, że zniknął, wymknął się w ciemności, zostawiwszy jej na pamiątkę złoty łańcuszek. Lisy, feniksy, duszki, skrzaty. Pomiędzy jej ciężkimi piersiami spoczywał ozdobny krucyfiks, Jezus w cierniowej koronie z odwróconą smutną twarzą: zapłaciła za niego ostatnimi dolarami przed śmiercią wielebnego. Tuż przed tym, jak Eliza Grey zniknęła i Brynt musiała zaopiekować się Marlowe'em. Ostatnie miejsce niezaczernione tuszem zostało nad sercem. Pewnego dnia wypełni je sylwetka świetlistego chłopca. Jej chłopca.

Ogarek świecy zamigotał na spodku na małym stoliku. Brynt podniosła się lekko, wcisnęła się w bieliznę i sukienkę, zarzuciła na ramiona najcieplejszy szal. Zgasła świeczkę.

„Mniejsza o Beechera”, pomyślała. Jeśli zamierzała wyruszyć za Marlowe'em, musiała porozmawiać z Feliksem Foksem.

Przy drzwiach zawahała się i obejrzała. Mały wóz był mroczny, wąski. Nie było w nim niczego, co kochała. Nawet nie mogła się w nim wyprostować. Gdziekolwiek jednak spojrzała, widziała Marlowe'a i słyszała jego wysoki, poważny głosik. Spakowała ubrania i osobiste drobiazgi do podróżnej dywanowej torby. Sięgnęła pod stół i wyjęła stamtąd książkę z rycinami, którą Marlowe lubił przeglądać. Ją również włożyła do torby. Rozejrzała się po wozie. Niech weźmie go sobie kobieta, która rozmawia ze zjawami. Jej, Brynt, rano już tu nie będzie.

„Oby”, pomyślała, schodząc po rozklekotanych drewnianych schodkach wprost w mlaskające błocko. „Oby tak właśnie było”.

Zapadła już noc, przedstawienie rozkręciło się na dobre. Powietrze było zimne. Kolorowe lampy lśniły na cyrkowym namiocie widocznym za ustawionymi w rzędzie wozami. Najpierw chciała usłyszeć, co powie jej Felix Fox, a potem... potem się zobaczy. Mimo że przemierzyła kawał świata i niespecjalnie martwiła się o swoje bezpieczeństwo, nadal musiała mieć od czego zacząć. Musiała się dowiedzieć, jak podjąć trop Marlowe'a.

Nie uszła nawet dziesięciu kroków, gdy za jej plecami rozległ się grzmot, jakby coś wielkiego nagle zassało powietrze, a potem pomarańczowa poświata rozświetliła niebo. Ściana gorąca przewaliła się pośród wozów i namiotów. Brynt obejrzała się przez ramię. Namiot cyrkowy płonął.

Zamarła. Stała w upiornym blasku ognia i patrzyła, próbując pojąć, co widzi. To działało się naprawdę. W końcu puściła się biegiem.

Ludzie mijali ją w pędzie: mężczyźni, kobiety. Ktoś wrzeszczał, żeby dać wiadra, przynieść wodę. Namiot cyrkowy stał się wielką kurtyną ognia, niebieskie i białe płomienie pełzały po brezencie i masztach jak żywe stworzenia. Żar był potworny. Słyszała dobiegający ze środka kwik koni, straszny, mrozący krew w żyłach. Próbowała obejść namiot dookoła, patrzyła w twarze umazane sadzą, przerażone, krzyczące, żeby dawać wodę, ustawić się w łańcuch, uprzątnąć wszystko z drogi. W świetle wszystko błyszczało jarmarcznie, fantasmagorycznie, dziwacznie, cienie na trawie poruszały się jak przedziwne żywe tatuaż. Mieszkańcy Remington, niektórzy na wpół ubrani, biegli przez pole na pomoc. Dostrzegła pana Beechera w samej koszuli, niosącego wiadra wody w obu rękach i zagryzającego niezapalone cygaro. Zobaczyła mulnika, który prowadził kulejącego konia jak najdalej od pożogi. Jego przekleństwa przebijały się nawet przez huk ognia. Dojrzała wysokiego klauna z topniejącą szminką na twarzy: chlustał w ogień wodą, wiadro za wiadrem.

Nigdzie jednak nie zauważyła Feliksa Foksa.

Przystanęła. Obracała się w miejscu i rozglądała na wszystkie strony, ale go nie było.

– Kto jeszcze tam został?! – zawołała do mężczyzny, który obsługiwał maszynię w głównym namiocie. Był cały czarny od dymu. – Pan Fox jest w środku?

Mężczyzna spojrzął na nią i pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie widziałem.

Znów zaczęła biec. Oddaliła się od ognia, czując potworny żar na plecach, wbiegła w chłód pomiędzy wozami. W namiocie Foksa nie paliło się światło. Wpadła do środka.

– Panie Fox! – krzyknęła. – Panie Fox!

W środku panowały cisza i ciemność. Ruszyła po omacku do biurka, wspomniawszy swoją wcześniejszą wizytę. Znalazła lampę i świeczkę i ze zdumieniem odkryła, że lampa jest ciepła. Ktoś tu niedawno był. Namacała krzesiwo, skrzesała iskrę, zapaliła świecę i zamknęła szklane drzwiczki. Wtedy zobaczyła ciało.

– Mój Boże! – wyrwało jej się z piersi.

Pan Fox pólleżał na krześle za biurkiem, długie nogi miał szeroko rozrzucone, but spadł mu ze stopy. Twarz miał ciemnoczerwoną, oczy skrwawione, powieki i skórę pod oczami zasiniałe i obrzęzione na czarno. Dłonie z palcami wykrzywionymi jak szpony trzymał na kolanach zwrócone wnętrzem do góry, jakby pragnął błogosławieństwa, szukał łaski.

Umarł w mękach.

Wszędzie – jak cieniuteńka warstewka czarnego śniegu – leżała ta sama dziwna, jedwabista czarna sadza, którą zauważyła już wcześniej tego dnia.

Wyszła. Kręciło jej się w głowie, ledwie mogła oddychać. Pożar wciąż szalał na terenie cyrku. Długo stała przed namiotem, napawając się bezruchem panującym na tej części pola, i patrzyła na pomarańczową łunę nad namiotami.

W końcu – bez zastanowienia, jakby robił to ktoś inny – wróciła powoli do swojego wozu, zabrała spakowaną wcześniej torbę z ubraniami i książką, po czym odwróciła się plecami do całej tej zgrozy, zgiełku i makabry i ruszyła do miasta.

Zatrzymała się jeszcze na obrzeżach łuny pożaru. Coś stało w pobliżu ogrodzenia, nieruchoma postać z kapeluszem w dłoni, prawie nieodróżnialna od mroku. Brynt – w ubraniu cuchnącym dymem i potem – natychmiast ją rozpoznała; wiedziała, kto to jest i co zrobił, a przede wszystkim wiedziała, kogo szuka. Krew dudniła jej w uszach. Potwór stał nieruchomo z rękami opuszczonymi po bokach i patrzył, jak namiot cyrkowy płonie, wali się, zapada w sobie. Po chwili włożył kapelusz, odwrócił się i ruszył bezgłośnie w noc.

Brynt podążyła za nim.

Przebudzenie litcha

Charlie Ovid nie pamiętał ojca. Czasami wieczorami, kiedy był bardzo mały, matka opowiadała mu o człowieku, który go spłodził i kochał, a on słuchał jej szeptu w blasku księżyca w jakimś zatłoczonym baraku. Był dobrym człowiekiem, chociaż wiecznie coś go trapiło, mówiła. Nigdy nie poznała jego bliskich. Porzucił wszystko i przyjechał do Londynu, żeby się dorobić. Tam właśnie go poznała i pokochała.

– Jego rodzaj i mój nie powinny żyć razem w żadnym miejscu na świecie, Charlie – tłumaczyła mu. – Ale jemu to nie przeszkadzało. Myślał, że nadchodzi lepszy świat, którego częścią wszyscy możemy się stać. Uważał, że musimy tylko tego dożyć.

Charlie słuchał w ciemności, z szeroko otwartymi oczami, a matka przeczesywała mu włosy stwardniałymi palcami. Była córką wyzwolenca z Jamajki, jej rodzice za młodu przybyli do Anglii z plantacji na północ od Kingston. Ich dobroczyńcą był biały, zamożny, uprzywilejowany mężczyzna – zarazem, jak uparcie twierdziła matka, rozgniewany na świat i bardzo w tym podobny do ojca Charliego. Może właśnie po części dlatego się w nim zakochała, szeptała. I czasem, kiedy myślała, że to bezpieczne, wyjmowała spomiędzy fałd spódnicy mały srebrny sygnet, który dostała od ojca Charliego, i przyciskała mu go do nadgarstka, żeby mógł w zimnym świetle księżyca popatrzeć na dziwne znaki, dwa skrzyżowane młoty na tle gorejącego słońca, dopóki nie zbladły na jego skórze i nie zniknęły.

Kim był jego ojciec, co mu się stało, jak wcześniej wyglądało jego życie? Wszystko to przekraczało wyobraźnię Charliego. To, co pamiętał, i to, czego nie mógł pamiętać, odczuwał jak ból przeszywający do szpiku kości. Myślał czasem

o tym, jak jego ciało leczy się ze wszystkich obrażeń, ale te prawdziwe rany, tkwiące gdzieś głęboko, nigdy się nie zamknęły. Po śmierci matki wędrował w poszukiwaniu pracy. Miał wtedy niesprecyzowany, mglisty pomysł, żeby znaleźć grób ojca przy szlaku osadników na zachodzie i zdjąć czapkę nad kopczykiem ziemi i kamieni przykrywającym człowieka, którego kochała jego matka i który kochał jego, Charliego. Chciał go w ten sposób pożegnać. Oczywiście nie było mu to pisane. Dzieciak półkrwi czarny bez rodziny i nazwiska nie mógł tak po prostu wędrować po południowych hrabstwach. Prędzej czy później musiał znaleźć się po niewłaściwej stronie kija.

Wtedy w jego życiu pojawił się pan Coulton, mężczyzna z Anglii, który go szukał – tak, właśnie jego, Charliego. Na kopercie, którą miał przy sobie, widniał ten sam herb: dwa skrzyżowane młoty na tle gorejącego słońca. Charlie był nieufny i ostrożny, pełen niepokoju, ale w Cairndale miał znaleźć odpowiedź na pytanie, kim był jego ojciec i co się z nim stało. Tego był pewien.

Musiał tylko tam dotrzeć.

Rzecz w tym, że pan Coulton – w jasnożółtej kamizelce, z kasztanowymi bokobrodami – nie przypominał Charliemu żadnego ze znanych mu białych. Chociaż nie, trochę kojarzył mu się z dobroczyńcą z opowieści matki sprzed wielu lat, białym mężczyzną, który pomógł jego dziadkom opuścić Jamajkę. A kiedy pan Coulton – podczas długiego rejsu przez ocean w luksusowej kajucie pierwszej klasy na SS „Servia”, parowcu z mnóstwem lśniących mosiężnych okuć, elektrycznym światłem w salonie oraz kadłubem, który ciął szare fale jak ostrze – patrzył na Charliego, to naprawdę na niego patrzył, bez cienia niesmaku czy gniewu; widział w nim człowieka, a nie szczura do rozdeptania. Tak samo patrzył na stareńkiego stewarda, który co wieczór przynosił im gorące ręczniki, albo na chłopca o rumianej twarzy, który dostarczał im wyprasowane pranie. I Charlie, który przez całe życie spuszczał wzrok na widok białego człowieka, drżał i czekał na chłostę, teraz najzwyczajniej w świecie nie wiedział, jak się zachować.

W pewien deszczowy poranek zeszli na ląd w Liverpoolu. Pan Coulton wziął swoją walizkę i ramię w ramię wspięli się pod górę do stacji kolejowej. Woda ściekała im za kołnierze i sączyła się do butów. Była niewiarygodnie zimna, w niczym nie przypominała deszczów w delcie Missisipi ani ulew na rzece, które Charlie znał przez całe życie. Nikt nie patrzył na nich krzywo, nawet

posterunkowy wymachujący w deszczu pałką. Pan Coulton – brodaty, z wielkimi jak bochny chleba dłońmi, w sfatygowanym meloniku – kupił im dwa bilety na południe, do Londynu, na dworzec St Pancras.

Wagon postukiwał miarowo, zmieniał tory i przyspieszał, szyby spływały deszczem. Coulton zamknął zsuwane drzwi przedziału, usiadł naprzeciwko Charliego, zdjął melonik i przeciągnął ręką po łysiejącej głowie. Poprawił kilka włosów, jakie mu zostały. Westchnął.

Przez całe życie Charlie nocował w Missisipi w ruderach, zatłoczonych komunalnych pokojach albo w środku lata w brzdach na polu. W niedzielę mył się w chłodnej wodzie rzek, a potem wlekł się prawie dziesięć kilometrów pylistą drogą do kościoła. Przez cały ten czas miał tylko jedną parę butów, które z za dużych zrobiły się przymałe, aż w końcu nic z nich nie zostało.

Biali... Nie chodziło tylko o to, że są bogaci, że mówią, jak chcą, albo idą, dokąd chcą. Nie chodziło tylko o ich wałachy, powozy i służbę w liberiach. To było coś więcej. Szli przez świat, jakby ten wcale nie musiał być taki, jaki jest, jakby mógł się zmienić – tak jak zmienia się człowiek. Zdaniem Charliego na tym właśnie polegała kluczowa różnica. Musiał sobie czasem przypominać, że jego ojciec też pewnie taki był. I ten mężczyzna, ten pan Coulton, który kupił mu komplet nowych ubrań w Nowym Orleanie, płacił za posiłki i mówił do niego spokojnie, cicho, nie prosząc go o nic, ten pan Coulton pod tym względem był taki sam. Zwyczajnie nie rozumiał, że wszystko, co ma, może mu zostać odebrane w mgnieniu oka, że całe jego życie nie jest warte złamanego grosza, gdy już będzie po nim. W gruncie rzeczy pan Coulton też był pod tym względem naiwny. Jak oni wszyscy.

Po tym, jak spędzili na oceanie kilka tygodni, przejazd pociągiem na południe, do Londynu, zajął im zaledwie kilka godzin, a mimo to podróż kolejną wydała się Charliemu równie długa jak wcześniejszy rejs. Gdziekolwiek spojrzeł, widział cuda: ciemnozielone pola, zagajniki przedziwnych drzew, ogrodzenia i owce na odległych wzgórzach jak na obrazie, który zobaczył w sądzie w Natchez tuż przed swoim procesem. A także inne, jeszcze dziwniejsze rzeczy: wszyscy ludzie na peronie i później, stłoczeni w wąskim korytarzu wagonu, byli biali, ale – inaczej niż w jego ojczyźnie – wcale nie wzdrygali się na jego widok. Po prostu kiwali głowami, uchylali kapeluszy i szli dalej.

Przez pierwszą godzinę Coulton siedział z zamkniętymi oczami, jego ramiona i żółta kamizelka telepały się w rytm stukotania pociągu. Charlie widział, że nie śpi. Przelatywali z rykiem przez tunele – długą, dudniącą ciemność – a potem wypadali w szare światło dnia.

– Panie Coulton? – odezwał się w końcu Charlie. – Proszę pana, czy ktokolwiek opuścił kiedyś Cairndale? To znaczy odszedł i słuch o nim zaginął?

– Cairndale to nie więzienie, chłopcze. Można stamtąd odejść, jeśli ktoś chce.

Charlie oblizał wargi. Był nieufny.

– Nie, nie, nie o to mi chodziło. Miałem na myśli... Czy zna pan kogoś, kto tak zrobił?

Coulton uniósł ciężkie powieki, mrużąc oślepienie światłem oczy.

– Nigdy nie znałem talentu, który chciałby odejść po tym, gdy już tam trafił – odparł – ale każdy ma wolny wybór. Anglia jest inna niż twój kraj. Przekonasz się.

Charlie przyglądał mu się badawczo.

– Londyn to prawdziwy ludzki tygiel – ciągnął Coulton. – Widywałem tam najrozmaitsze typy, i nie mam na myśli tylko Kitajców, Maurów czy innych takich, mówię o szulerach, rzezimieszkach i kieszonkowcach, którzy zwężdzą ci część ciała, a ty nawet tego nie zauważysz. O tak, to prawdziwe bijące serce tego przekłętą świata. I każdy z tych ludzi może swobodnie przyjść i odejść, kiedy tylko zechce.

Charlie nie zawsze rozumiał, co pan Coulton mówi. Nie chodziło tylko o akcent, ale także o sens jego słów. Czasem miał wrażenie, że Anglik przemawia w obcym języku.

– Nie wyglądasz na chłopaka, który zabił dwóch mężczyzn – dodał pan Coulton.

Może i nie zawsze Charlie wiedział, co ten mężczyzna ma na myśli, to jednak zrozumiał doskonale. Odwrócił wzrok po części dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć, ale głównie dlatego, że to nie była prawda: wcale nie był chłopakiem, który zabił dwóch mężczyzn. To było coś, o czym nikomu nie mówił. Prześladowało go wspomnienie dźgniętego w gardło zastępcy szeryfa, to fakt. Cały czas miał tę scenę przed oczami, pamiętał, jak się rozegrała, jak szybko wszystko się wydarzyło i jak się wtedy poczuł. Gdy do tego wracał myślami, robiło mu się niedobrze. Ale w delcie Missisipi samotny, pozbawiony opieki czarny dzieciak nie miał szans dorosnąć, nie brudząc sobie rąk.

Pierwszy raz bił się z mężczyzną w wieku dziewięciu lat. Już wtedy jego matka od niespełna dwóch tygodni spoczywała w grobie. Bił się o to, żeby nie stracić płóciennego woreczka z monetami, który mama wcisnęła mu do rąk na łożu śmierci. Mężczyzna pobił go do krwi i wyszedł ze stodoły z monetami za pazuchą. Charlie omal nie umarł potem z głodu. Miał dziesięć lat, gdy zostawił w deszczu człowieka przygwożdżonego kołem wozu do ziemi, zabrawszy mu uprzednio płaszcz i worek z jedzeniem, i uciekł w ciemność. Jeśli nawet nie było to morderstwo, to różnica była niewielka. Oczywiście był wtedy głodny, ale ten postępek wywołał w nim takie mdłości, że nie był w stanie zjeść zabranego ofierze jedzenia. Kiedy dwa dni później wrócił w tamto miejsce, mężczyzny, wozu i całej reszty już nie było.

Jednakże przed Bogiem nie dało się ani niczego ukryć, ani zataić, a prawda była taka, że zabił już wcześniej. Takie były przerażające fakty. Pewien chłopak taki jak on, czternastolatek, mieszkał w walącym się magazynie. To on po raz pierwszy uraczył Charliego alkoholem. Nazywał się Isaiah. Nie miał dwóch zębów z przodu i zezował jednym okiem, miał natomiast błyskotliwe poczucie humoru i umiał rozśmieszyć Charliego. Opróżnili razem butelkę i jak to bywa, gdy dzieciaki popiją, wdali się w kłótnię, a potem w bójkę. Charlie pchnął chłopaka na ścianę, z której wystawał szpikulec, jakiś hak na worki magazynowe, i chłopak zmarł, zanim się zorientował, co się stało. Ta śmierć złamała Charliego. Nigdy więcej nie tknął butelki, nie był w stanie.

Następny był nadzorca.

A potem zastępca szeryfa.

Wiedział, że zastępca szeryfa jest okrutnym człowiekiem. Gdyby nie dręczył Charliego, znalazłby sobie inną ofiarę. Chłopak zdawał sobie sprawę, że gdyby się nie wtrącił, Alwyn mógłby skrzywdzić białą damę, tę, która przybyła go ocalić, pannę Quicke. Alice. Wiedział to, lecz nadal robiło mu się słabo na myśl o tym, czego się dopuścił. Nie ma na świecie gorszej potworności niż odebranie komuś życia.

Nie mógł jednak powiedzieć o tym panu Coultonowi, nikomu nie mógł powiedzieć. Zachowywał swoje uczucia dla siebie i nie zagłębiał się w nie. Tylko w ten sposób mógł przetrwać.

I dlatego kiedy dojechali na St Pancras wśród świstu i kłębow pary i dymu, Charlie po prostu wysiadł i rozejrzał się zdumiony. Był dostatecznie wysoki, żeby

patrząc ponad kapeluszami innych podróżnych. W czarnym od sadzy powietrzu wysoko w górze wznosiło się sklepienie ze stali i szkła. Mrużąc oczy i dławiąc się dymem, ruszył za panem Coultonem, trzymając się go w tłumie. Mijali tragarzy w filcowych nakryciach głowy popychających wózki, na których piętrzyły się stosy kufrow; mężczyźni w jedwabnych czarnych kapeluszach; kwiaciarki z zawieszonymi na szyi pudełkami z towarem; robotników, zamiataaczy i żebraków. W końcu wyszli z dworca i zanurzyli się w mętny brunatny półmrok deszczowego popołudnia. Ciemny deszcz ciął z ukosa, na bruku tworzyły się kałuże błyszczące czernią, bo już zapalono gazowe latarnie. Charlie gapił się na to wszystko, wsłuchany w zgiełk ludzkiej ciżby. Hałas był taki, jakby cały świat przechodził przez brukowany plac przed St Pancras. I może tak właśnie było.

Pan Coulton zaprowadził go prosto na postój dorożek na rogu, kazał mu wsiąść do dwumiejscowego kabrioletu, sam również wsiadł, po czym wychylił się i przywołał dorożkarza, który stał na drugim końcu placu, przy wózku z jedzeniem, i rozcierał zmarznięte ręce. Podbiegł natychmiast, kiedy zobaczył, że Coulton na niego macha.

– Nickel Street West dwadzieścia trzy – powiedział Coulton, pukając laską w dach. Policzki miał zaczerwienione, jakby dziobate od chłodu. – Blackfriars. Tylko szybko, z łaski swojej – burknął. Poprawił się na siedzeniu, aż dorożka zadygotała i zatrzeszczała. Uśmiechnął się szeroko do Charliego. – Witaj w Londynie, młody. Witaj w wielkim dymowisku.

– Wielkie dymowisko – powtórzył ze zdumieniem Charlie, gdy ruszyli.

Jechali przez ciemne miasto. Deszcz srebrnymi sznurami spływał z końskiego zadu. Dorożka podskakiwała i trzeszczała na ruchliwych ulicach.

Powoli, niezwykle powoli, Missisipi wraz ze swoją zgrozą, bagnistym upałem, rozległym niebem i całą swoją podłością zaczęła blaknąć i rozpadać się w umyśle Charliego jak gazeta na deszczu.

Zatrzymali się przed rzędem wysokich, ozdobnych domów na rogu zadbanej ulicy. Okna były ciemne. Pachołki blokowały chodnik, bruk błyszczał w brunatnym mroku. Przygarbione postacie przemykały pospiesznie ulicą. Zamiast do małego bocznego wejścia Coulton poprowadził Charliego przez żelazną bramę do wysokiej, mrocznej powozowni, teraz pustej, dalej przez brukowane podwórko i schodami do ogromnych dwuskrzydłowych drewnianych drzwi. Nie zadzwonił,

po prostu nacisnął klamkę i wszedł, jakby to był jego własny dom. Jakby miał do tego prawo. Charlie nieco nerwowo poszedł za nim. Obrzucił wzrokiem elegancką boazerię w holu, wysoko zawieszony żyrandol, gęste paprocie wokół zmętniałego lustra, pusty stojak na kapelusze podobny do szkieletu stojącego na straży. Buty Coultona odciskały półksiężycy w miękkim dywanie, kiedy odstawił bagaż, otarł dłonią deszcz z twarzy i wszedł w głąb domu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił i odchrząknął.

Wspaniały hol wejściowy z krętymi schodami prowadzącymi na górę. Wysoki zegar, który wyglądał na zrobiony z kości, tykający głośno w ciszy. Na progu salonu Coulton zatrzymał się, blokując przejście Charliemu.

– A to co, u diabła? – mruknął.

Podszedł do stolika pod wielkim oknem. W mroku majaczyły masywne kształty ciężkich, okrytych pokrowcami mebli. Wziął coś w obie ręce i obracał to w słabym świetle.

Dopiero wtedy Charlie zorientował się, co to takiego: słoje na preparaty z zamkniętym w środku ludzkim płodem, zdeformowanym, zanurzonym w zielonym płynie i jarzącym się w ciemności.

– Proszę uważać – rozległ się głos. – Niełatwo zdobyć usunięte płody z wodogłowiem. A panu często towarzyszy zniszczenie.

Krępa kobieta w czarnej sukni stała nieruchomo przy oknie. Błede dłonie trzymała splecione z przodu. Podeszła płynnym ruchem. Ramiona miała zaokrąglone i miękkie, szyja przelewała się znad obcisłego kołnierzyka. Połowę jej twarzy pokrywało ciemne znamię, komplikując mimikę. Charlie nie słyszał, kiedy weszła. Miał wrażenie, że pojawiła się znikąd i sunie bezgłośnie niczym zjawa.

– Witaj, Margaret – powiedział Coulton, odstawiając ciężki słoje. Rybopodobny stwór unosił się i obracał w naczyniu, unosił się i obracał. – Zawsze podziwiałem pani gust.

– Zaciekawi pana, w jaki sposób weszłam w posiadanie tego słoja. Otóż był on własnością pewnego dość niezwykłego... kolekcjonera. – Margaret się odwróciła. – A to kto? Ten chłopiec z Missisipi? A gdzie ten drugi, z cyrku?

Coulton zdjął melonik, strzasnął deszcz z płaszcza.

– A może jakies „Witam z powrotem, panie Coulton”? – burknął. – „Jak minęła podróż, panie Coulton? Mam nadzieję, że wszystko potoczyło się jak należy, panie

Coulton”.

Kobieta wypuściła powietrze z płuc bardzo powoli, przez nos, jak osoba skrajnie udęczona, która bez słowa skargi znosi mordęgę.

– Witam z powrotem, panie Coulton. Jak minęła podróż, panie Coulton?

– Gładko jak po maśle – odparł Coulton z nagłym szerokim uśmiechem i położył kapelusz na sofę.

– W holu jest stojak na kapelusze. Zawsze tam był.

Coulton zamarł z ręką do połowy wyciągniętą z rękawa. Po chwili powoli i spokojnie skończył zdejmować płaszcz, ostentacyjnie złożył go i także położył na sofę. Jego garnitur w żółtą kratę jarzył się w półmroku jak ćma przy oświetlonym oknie.

Kobieta westchnęła.

– Charles Ovid – powiedziała, kierując spojrzenie ciemnych oczu na Charliego. – Nazywam się Harrogate i jestem pracodawczynią pocziwego pana Coultona.

Charlie starał się nie przyglądać jej zbyt demonstracyjnie.

– Tak, psze pani – potaknął i skinął głową.

– O nie, nie, tak rozmawiać nie będziemy – odparła ostro.

Przeszła przez salon, ujęła jego podbródek trzema palcami i obróciła mu głowę tak, żeby musiał spojrzeć jej w oczy. Był od niej znacznie wyższy. Zerknął na jej znamię.

– O, proszę – powiedziała. – To nie Ameryka, Charlesie. Tutaj będziesz sobą, nie kimś gorszym, niż jesteś. Przynajmniej w mojej obecności. Czy wyraziłam się jasno?

Skinął głową zaniepokojony, skonsternowany. Bał się odwrócić wzrok.

– Tak, psze pani – szepnął.

– Tak, pani Harrogate – poprawiła go.

– Tak, pani Harrogate.

– No dobrze – powiedziała i odwróciła się do Coultona. – A gdzie ten chłopak z cyrku?

– Teraz? Pewnie gdzieś w połowie drogi przez Atlantyk. – Coulton usiadł na aksamitnej sofie i oparł buty na stoliku; na koronkowej serwetce zostały mokre,

brązowe, podkowiaste ślady. – Zostawiłem to pannie Quicke. Pomyślałem, że sobie poradzi.

Pani Harrogate wzięła głęboki wdech.

– Sama?

– Owszem, jest całkiem niezła. To jakiś problem?

– Nie takie wydałam instrukcje. – Pani Harrogate nie wyglądała na zadowoloną.

– Nie dostałam od niej telegramu, nic. Poinformuję Cairndale.

– Proszę posłuchać, Alice Quicke jest dwa razy lepsza ode mnie. I twarda jak skała. A Środkowy Zachód to praktycznie dzicz. Dajmy jej szansę. Bardziej bym się martwił, gdyby przesłała jakąś wiadomość.

– Pokłóciliście się? Dlatego pojechała sama?

Coulton uśmiechnął się spokojnie, choć z pewną irytacją.

– Papier ścierny bywa gładszy w obejściu, ale nie, nie pokłóciliśmy się – zniżył głos. – Słyszałem plotki. W Liverpoolu. Jeszcze zanim wyjechałem.

– Tak?

– Myślę, że nasz stary przyjaciel mógł wrócić. Podejrzewam, że interesuje się tym chłopakiem, którego przywiozłem. Charliem.

– Nasz stary przyjaciel.

– Mhm. Marber.

– Wiem, kogo ma pan na myśli, panie Coulton, ale minęło siedem lat. Dlaczego miałby pojawić się właśnie teraz?

Coulton wzruszył gniewnie ramionami, jego okrągła twarz poczerwieniała.

– Do diabła, nie wiem! Nie czytałem jego pamiętnika. Może poczuł się samotny.

Charlie z uwagą śledził tę scenę, stojąc obok z odkrytą głową, w spodniach pociemniałych od deszczu. Nauczył się być nieruchomy i niewidoczny. Teraz ponownie próbował tej sztuczki. Kiedy jednak pani Harrogate spojrzała na niego, jej wzrok był równie przenikliwy jak wcześniej. Ani na chwilę nie zapomniała o jego obecności.

– Panie Ovid – powiedziała ostro – na nocnym stoliku stoi miska z podgrzaną wodą, wyłożyłam też dla pana świeże ręczniki. Pozwoliłam sobie zakupić w pana imieniu trochę stosownych ubrań. Spodziewałam się, że będzie pan niższy, ale

powinny się nadać. Pański pokój jest na piętrze, pierwszy od schodów. Na pewno jest pan zmęczony po podróży. Niedługo przyniosę panu jakąś przekąskę.

Charlie niepewnie odwrócił się i wszedł po schodach. Witraże na podeście, słabo podświetlone przez uliczne latarnie, rzucały na jego ręce i ubranie osobliwą zieloną poświatę. Jego pokój był ogromny, wytapetowany, bogato urządzony. Zasłony na oknie zostały zaciągnięte, światło wpadało tylko przez wąską szczelinę pośród fałd materiału. Szerokie łóżko było schludnie posłane. Na mahoniowym nocnym stoliku stała nakryta ściereczką porcelanowa miska, a obok niej zobaczył złożony ręcznik. Gdy Charlie wziął go do ręki, okazał się wprost niewiarygodnie miękkim. Pachniał bzem. Na koniec podniósł ściereczkę z miski i patrzył, jak para kłębi się wokół jego dłoni i nadgarstków niczym sen.

Wiedział, że pani Harrogate odesłała go z salonu, żeby porozmawiać na osobności z panem Coultonem. Nie przeszkadzało mu to, został więc w pokoju, gdy już umył twarz i szyję. Miło było się odświeżyć. Wreszcie po jakimś czasie otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Inne pokoje były otwarte. Miał przeczucie, że zarówno dalekie Cairndale, jak i pani Harrogate kryją coś więcej, ale nie potrafił sobie wyobrazić, co to takiego. Odnosił wrażenie, że wkroczył do dziwnego świata – świata cieni i upiornie zdeformowanych istot zamkniętych w słojach, świata tajemnic, mydła i cudownie miękkich ręczników. Szaleństwo tej sytuacji przyprawiało go o zawrót głowy.

Wyszedł na podest schodów, przechylił się nad balustradą, zerknął w dół, potem w górę, aż wreszcie – z powodów, których nie potrafiłby wyjaśnić – wszedł na wyższe piętro. Kolejny korytarz, kolejne drzwi. Otworzył je niepewną ręką.

To, co zobaczył, ścięło mu krew w żyłach. W zapadłym wiekowym łożu, dokładnie takim samym jak jego własne, we wzburzonej pościeli leżała bezwłosa postać o szarej twarzy i skórze pozbawionej koloru. Spała, a śpiąc, nie wydawała żadnych odgłosów. Na nocnym stoliku Charlie spostrzegł fajkę, świeczkę i talerzyk z rozmazaną kawałkiem czarnej żywicy, trochę podobnym do odcisku palca. Mężczyzna był przywiązany do kolumnienek łóżka za nadgarstki i kostki.

– To nie twój pokój, chłopcze – rozległ się głos.

Charlie aż podskoczył. To był pan Coulton: stał w otwartych drzwiach, jego twarz ginęła w cieniu. Wydawał się większy niż zwykle, bardziej zwalisty, widoczne w zarysie długie bokobrody i kanciasta głowa upodabniały go do włochatego goryla. Deski podłogi zaskrzypiały pod nim, gdy wszedł przez próg.

– Nie dam się tak związać – ostrzegł go Charlie.

Coulton odchrząknął.

– Ty? Jezu, dzieciaku, oczywiście, że nie.

– Kim jest ten człowiek? Co zrobił?

– Kim był, chciałeś zapytać – poprawił go Coulton. – Kim był? Przyjacielem i powiernikiem człowieka, który, na ile go znam, życzy ci śmierci, chłopcze. To przeklęty Walter Laster.

Charlie nie wiedział, co o tym myśleć. Wszyscy, którzy życzyli mu śmierci, byli w tej chwili w Natchez i wściekali się na niego z powodu nadzorca oraz zastępcy szeryfa, którego zaszlachtował w progu kantorka, wątpił jednak, żeby to o nich mówił Coulton. Spojrzał na skrępowaną postać, wychudzoną, posiniaczoną jak bokser, o ustach miękkich i soczyscie czerwonych. Chude, kościste palce sprawiały wrażenie całkiem silnych.

– Co mu się stało? Jest chory?

– Nie, nie jest chory – odparła pani Harrogate. Weszła do pokoju przy wtórze szelestu czarnej sukni. – Jest martwy.

Coulton zerknął na nią.

– Nie wspomniała pani, że go znalazła.

– Dopiero co pan przyjechał.

Charlie bał się, że będą na niego źli, bo bez pozwolenia wyszedł ze swojego pokoju, ale nic na to nie wskazywało. Zdziwił się.

Pani Harrogate podeszła do okna, dwoma palcami rozsunęła zasłony i spojrzała na mokrą od deszczu nierówną tafłę szkła.

– To litch, Charlesie – wyjaśniła. – Jest jednocześnie martwy i niemartwy. – Odwróciła się. – Oj, nie patrz tak na mnie. Masz pewne pojęcie, co jest możliwe, a co nie, prawda? Podejrzewamy, że pan Laster zmarł na suchoty jakiegoś... Ile to już? Siedem lat temu, panie Coulton? A jednak wygląda na to, że ktoś znalazł sposób, by go zakonserwować.

Charlie nie posiadał się ze zdumienia.

– Zakonserwować?

Nie doczekał się jednak dalszych wyjaśnień.

– To on, prawda, Margaret? – stwierdził Coulton. – To Jacob. To musi być on.

Pani Harrogate skinęła głową.

Wtedy pan Coulton zrobił krok do przodu; cuchnął dymem fajkowym i popiołem. Pochylił się nad leżącym na łóżku chorym – chorym czy... jak mu tam... litchem. Położył ostrożnie rękę na czole stwora, po czym cofnął ją zdumiony.

– Wiedziała pani, że Jacob to potrafi?

Pani Harrogate ściągnęła brwi.

– Stał się silny – mruknęła.

Margaret Harrogate zostawiła Coultona i chłopca w salonie, a sama poszła na czwarte piętro, na poddasze. Owinęła ramiona szalem, wciągnęła rękawiczki z kozłcej skóry. Na tej wysokości w domu było zimno. Nie spuściła na twarz woalki. Otworzyła kluczem niewielką żeliwną kratę na końcu schodów i uchyliła ją ze szczękiem, po czym weszła na zatęchły, smagany przeciągami strych. Padający przez cały czas deszcz bębnił w dach równo, żałośnie.

Po drugiej stronie przeszklonych drzwi wychodzących na niewielki balkonik snuła się zimna brązowa mgła. Jedno ich skrzydło było stale otwarte. Na papie pod nim zebrała się kałuża wody.

Zbliżyła się do dużego drewnianego gołębnika połączonego drutem. Za podestem do lądowania majaczyły ciemne kształty kościanych ptaków, milczące i nieruchome, małe piąstki bezruchu na chwiejnej żerdzi. Nowo przybyły czekał w pułapce.

Ostrożnie otworzyła zasuwkę na drzwiach i weszła do środka. Założyła grubą skórzaną rękawicę sokolniczą na lewą rękę i przyjrzała się kościanym ptakom, delikatnym, bladym tworom z piór i kości. Ich puste oczodoły były ciemne, czaszki chygotały się na boki. Wyglądały naprawdę makabrycznie, ale nie potrzebowały snu ani pożywienia, nigdy też nie błędziły. Niezwykły mechaniczny napierśnik, dzieło doktora Berghasta, podtrzymywał ich żebra i mostek, intrygujące przekładnie i pancerz otaczały kręgosłup i miękką potylicę.

Zdjęła przewiązany czarną nitką list z nóżki kościanego ptaka i rozwinęła papier. Wiadomość brzmiała następująco:

Proszę nie badać małego M., tylko natychmiast odstawić go na północ.

Z C. Ovidem postępować jak zwykle. B.

Z szuflady stolika wyjęła niewielką kartkę, polizała ogryzek ołówka i napisała odpowiedź. Zawahała się, po czym dodała, że drugi z chłopców, Marlowe, wciąż jeszcze nie dotarł do Londynu. Zwinęła ciasno papier, przewięzała czerwonym sznurkiem i wsunęła do małej skórzanej sakiewki na nodze najbliższego kościanego ptaka.

Powoli, żeby go nie przestraszyć, wyniosła go na deszcz i rzuciła w powietrze. Ptak wzbił się bezszelestnie, zamachał skrzydłami, dwa razy okrążył dach i odleciał.

Henry Berghast zwykle nie interesował się nieodnalezionymi talentami, nie mówiąc już o tym, żeby miał się denerwować z powodu jakiegoś konkretnego dziecka. A jednak ten ostatni chłopak, ten cały Marlowe z cyrku w Illinois... Nazwisko nie brzmiało znajomo, ale Margaret i tak wiedziała, o kogo chodzi. Pamiętała zgrozę tamtej nocy sprzed siedmiu lat, gdy z lampami krążyli po ciemnych terenach Cairndale, dragowali jezioro i dźgali zarośla tyczkami, a Jacob Marber był gdzieś w ciemności wśród wzgórz. Kołyska znieruchomiała w pokoju dzieciennym, łóżko niani było puste. To dlatego dziś Berghast pisał co kilka dni, zdeterminowany, wściekły, to dlatego ciągle posyłał kościane ptaki na południe, domagając się najnowszych wieści: czy już dotarli, w jakim stanie i czy zauważyła coś dziwnego. O tak, doskonale go rozumiała.

Gdyby jej życie ułożyło się inaczej, gdyby jej kochany mąż nie odszedł tak szybko, gdyby spotkało ich to błogosławieństwo... O tak, wtedy też nie zawahałaby się przed niczym, by odzyskać swoje dziecko.

Wysławszy kościanego ptaka w drogę, zasłoniła twarz woalką, zeszła tylnymi schodami dla służby i wyszła do miasta. Na Thorne Street dorożka przejechała tuż obok niej. Końskie kopyta rozbryzgiwały kałuże, woń mokrego włosia i metalu wypełniła jej nozdrza. Mimo wstrętnej pogody na ulicach panował tłok. Przeszła dwie przecznice na wschód, a następnie skręciła na północ, oddalając się od rzeki. Minęła herbaciarnię i Wyndleman's Bank. Kupiła trzy paszteciki z wołowiną i cebulą z wozu na obrzeżach parku, po czym ruszyła w mozolną drogę powrotną wśród kałuż, niosąc pod pachą gorące zawiniątko w tłustym papierze.

„Jacob Marber”, pomyślała. „Na miłość boską. Jacob Marber polował na syna Berghasta. Cóż, powodzenia”.

Świat był rozległy, a poszukiwania trudne. Czyż sam Henry nie potrzebował ośmiu lat, żeby namierzyć dziecko? A przecież miał na swoich usługach glifina, który wskazywał mu drogę.

Dlaczego Jacob wyobrażał sobie, że dokona tego szybciej?

„Są jeszcze inne naglące kwestie”, upomniała się w myślach. „Na przykład badanie”. Należało przebadać zdolności Charlesa Ovida, wykonać płytkę z jego podobizną w pobliskim zakładzie fotograficznym, założyć mu teczkę. Dobrze się złożyło, że przygotowała pokój w podziemiach, zanim jeszcze sprowadziła Waltera.

Zatrzymała się tuż za furtką prowadzącą do domu przy Nickel Street West, kciukami rozwinęła paszteciki i wmieszała do mięsa proszek z małej saszetki. Chwilę potem, w salonie, dała wszystkie trzy paszteciki chłopcu, wzięła świeczkę w lichtarzyku i udała się na górę. Wiedziała, że minie kilka minut, zanim proszek zadziała. Nie było pośpiechu.

W pokoju Waltera Lastera zastała Coultona.

Przy łóżku płonęła druga świeca. Coulton stał nad litchem, obracając melonik w rękach. Bokobrody miał nastroszone i postrzępione, oczy błyszczały mu odbitym światłem.

– A więc wrócił – mruknął, nie patrząc na nią. – To pewne. Jacob Marber wrócił.

– Istotnie – przytaknęła Margaret.

– Proszę spojrzeć, co zrobił. Walter, ty durny gałganie. – Coulton położył melonik na brzegu łóżka i powiódł palcami po rzednących włosach. – Nie można go tu trzymać, Margaret, to niebezpieczne: dla chłopca i dla nas obojga. Nie wiemy nawet, czy te sznury są dostatecznie mocne.

– Są.

– Drzwi mają zamek?

– Nie wyjdzie stąd.

– Dopóki śpi. Ale kiedy się obudzi? Co wtedy?

– Zabiorę go do Cairndale. Cóż by innego?

Coulton się roześmiał.

– Jasne. I może nakarmi go pani dzieciakiem albo dwoma, kiedy będzie czekał?

Wiedziała, że to szalony plan. Spojrzała Coultonowi w oczy i stwierdziła, że spochmurniał.

– Pani mówi poważnie – zreflektował się. – Do Instytutu? Ale po co, u diabła? Czy w ogóle będzie w stanie tam wejść? Mimo zabezpieczeń?

Odstawiła lichterzyk, wyjrzała na korytarz, by mieć pewność, że chłopaka nie ma w pobliżu, po czym splotła dłonie przed sobą.

– To nasz jedyny trop bezpośrednio związany z Jacobem. Postąpilibyśmy nierozsądnie, gdybyśmy go nie wykorzystali.

– Wykorzystali? W jaki sposób? Jest psem spuszczone z smyczy.

– Potrafi być dość rozmownym psem, panie Coulton. Już powiedział sporo ciekawych rzeczy na temat Jacoba Marbera. Na przykład to, że Jacob wyznaczył mu tu, w Londynie, zadanie do wykonania. Szukał... – Margaret zniżyła głos – ...kirasa.

Zapadła cisza, Coulton podrapał się po wąsach.

– To nie brzmi... dobrze – odparł z namysłem.

Margaret obserwowała go bacznie.

– Nie ma pan pojęcia, co to jest, prawda?

– Zielonego.

– To broń, panie Coulton. Bardzo potężna. Gdyby Jacob ją zdobył, miałyby to dla niego wielkie znaczenie. Oczywiście nie muszę mówić, że to mu się nie uda. Zwłaszcza gdy jego wierny sługa zostanie zamknięty w Cairndale. Poza tym spodziewam się, że doktor Berghast będzie chciał osobiście zbadać Waltera.

Coulton pomasażował mięśnie ręki, zacisnął pięść.

– Pewnie tak – zgodził się niechętnie. – Tym go pani karmiła? To chyba nie smoła? Skąd wytrzasnęła pani mak?

– Mam swoje źródła, panie Coulton. Tak samo jak pan.

– Powinniśmy od razu zabić łajdaka. – Coulton pochylił się nad nieruchomą postacią, która kiedyś była Walterem Lasterem. – O ile w ogóle wiemy, jak to zrobić. Trzeba wbić się tutaj, wyciąć serce. Nie tak to się załatwia?

– To pan zna się na litchach, nie ja. Spotkał pan już jednego, nieprawdaż?

Coulton się skrzywił.

– Tak, lata temu. W Japonii.

– Jak go pan zniszczył?

– Nie ja to zrobiłem, lecz ta, która go stworzyła.

– Hm... Moglibyśmy ją zapytać.

Coulton westchnął, a Margaret przez moment dostrzegła w nim współczucie, tę cząstkę jego osoby, którą skrywał pod szorstkością.

– To, co się tam wydarzyło, było potworne – oznajmił. – Nie chciałbym dręczyć tej biednej dziewczyny. Nie musi drugi raz przez to przechodzić. – Podeszedł do okna, odchylił firankę i spojrzał w gęstniejący mrok. – No dobrze – powiedział, odwracając się. – Czy nasz obecny tu przyjaciel zechciał podzielić się jakimiś wskazówkami odnośnie do miejsca pobytu tego przeklętego Jacoba Marbera? Jeśli nie spotkaliśmy go w Natchez ani nigdzie indziej w drodze powrotnej, to dlaczego pytał, dokąd się wybieram? Dokąd pojechał?

Margaret przyglądała mu się uważnie.

– Nie wie pan?

Przebłysk zrozumienia przemknął przez twarz Coultona.

– Dzieciak z cyrku – mruknął. – Marlowe.

Margaret wygładziła czarną suknię, po czym ponownie splotła dłonie przed sobą.

– W ogóle nie interesował się Charliem – dodał Coulton. – Od początku chodziło o Marlowe’a.

– I jeśli jeszcze go nie znalazł – dodała cicho Margaret – wkrótce to zrobi.

Kiedy nadszedł czas, Margaret zaprowadziła Coultona i chłopca do piwnicy. Przez grube nieoznakowane drzwi, drugim korytarzem, ciemnym i wilgotnym, przez kolejne drzwi zaopatrzone w zamek, aż do wiekowego pomieszczenia. Jego ściany były kamienne, koślawe i wyglądały tak staro, że mogły powstać już za czasów Rzymian. Piwnica była głęboka i pozbawiona okien. To tutaj Margaret od lat badała nowe dzieci. Zdaniem Coultona tym razem nie było to konieczne.

– Ten chłopak to zdrowiec – powiedział jej wcześniej. – Nie ma go co badać, widziałem na własne oczy. Wyjął sobie z przedramienia ostrze noża i poderżnął nim mężczyźnie gardło.

Margaret wiedziała jednak, że zdrowcy zdarzają się rzadko i talent ten objawia się w różnym stopniu, najlepiej więc było oceniać takie rzeczy osobiście. Otworzyła drzwi, podnosząc wysoko lampę. Pokój badań był dźwiękoszczelny. Sufit, ściany, a nawet porcelanowe płytki na podłodze pomalowano na biało. W podłodze zainstalowano odpływ jak w rzeźni. Przygotowując się na powrót Coultona, ustawiła przy drzwiach stolik z różnymi ostrymi narzędziami leżącymi pod białym ręcznikiem. W przeciwległym kącie stała czerwona skrzyneczka przykryta prześcieradłem. Pośrodku pokoju, nad odpływem, stało złowieszczo wyglądające krzesło z żelaznymi okowami przykręconymi do podłokietników i nóg. Miało wzbudzać strach, nie ból. Strach skutecznie wyzwał utajone talenty.

Charles zatrzymał się w progu.

– Panie Coulton?

Wyglądał na przestraszonego.

– Śmiało, chłopcze – zachęcił go Coulton. – Nic ci nie grozi. Przysięgam.

Margaret ponagliła ich – konkretna, surowa. Wytarła ręce z wilgoci. Wilgoć: na tę jedną rzecz nie miała wpływu. A wystarczyłby mały piecyk w kącie. Mógłby się zresztą przydać do innych rzeczy, do spalania na przykład.

– No dobrze, Charlesie – zaczęła rzeczowo – co powiedział ci pan Coulton? Wiesz o Cairndale, o celach jego działalności?

Kiedy chłopiec nie odpowiedział, tylko zerknął na Coultona, ściągnęła brwi z dezaprobatą. Przygotowanie dzieci należało do Coultona, nieprawdaż?

– Instytut Cairndale to azyl, bezpieczne miejsce dla ludzi takich jak ty, gdzie mogą się nauczyć panować nad swoim darem. Kieruje nim niejaki doktor Berghast. Jeśli ta próba potoczy się zgodnie z moimi oczekiwaniami, to niedługo go poznasz, najpierw jednak muszę potwierdzić, co potrafisz. Czy to jasne?

Chłopak powoli zamrugnął powiekami. W jego oczach kryła się ostrożna inteligencja. Na pewno świetnie się sprawi.

– Nie dam się skuć – zapowiedział.

– Dasz – odpowiedziała. – Okowy są dla twojego bezpieczeństwa, Charlesie, nie naszego. Po co mielibyśmy ściągać cię z drugiego końca świata, by teraz sprawiać ci ból? Na pewno rozumiesz, że nie miałyby to najmniejszego sensu.

Chłopiec popatrzył na krzesło, na nią, zawahał się, a potem usiadł. Coulton przykleknął obok niego, zamknął okowy małym kluczykiem, dwukrotnie obracając

go w każdym zamku. Zostawił kluczyk w drugim zamku i skinął chłopcu głową. Odsunął się bez słowa.

– Pan Coulton mówi mi, że jesteś zdrowcem. Tak nazywamy twój talent. Jest dość rzadki, ale nie jesteś jedyny. Są inni. Ile miałeś lat, kiedy pierwszy raz się przekonałeś, co potrafisz?

Charlie obliznął wargi.

– Mama mi mówiła, że potrafiłem to od zawsze. Powiedziała, że nie należy tego nikomu pokazywać. Kazała mi to trzymać w tajemnicy i strzec pilnie.

– Twoja matka była mądrą kobietą. Ilu ludzi widziało, co potrafisz?

– Nie wiem, pani Harrogate.

– Zapewne wielu. Zgodzisz się ze mną?

Chłopiec skinął głową.

– Co najmniej tuzin w samym Natchez – wtrącił Coulton. – Wszyscy, którzy byli obecni podczas egzekucji.

– Oni akurat nie uwierzą w to, co widzieli – mruknęła Margaret. – Znajdą jakieś wyjaśnienie. Zawsze znajdują. To żadna przeszkoda. Powiedz mi, Charlesie, ilu ludzi zabiłeś?

Natychmiast podniósł głowę.

– Słucham, psze pani?

– Ilu, Charlesie? Ilu ludzi zabiłeś?

Odpowiedział cichutkim głosem:

– Dwóch, pani Harrogate.

Zacmokała z dezaprobatą. Okłamywał ją, rzecz jasna, miał to wyraźnie wypisane na twarzy. Proszek, którym go nakarmiła, nie zaczął jeszcze w pełni działać. Nieważne. Ucieszyło ją to kłamstwo, ucieszył ją wstyd, jakim go napawało. Wiele dzieci widziało na tym krześle, krzywdzonych raz za razem przez ten okrutny świat, aż cierpienie – własne i cudze – przestawało być dla nich powodem do wstydu. To takie dzieci bardziej ją martwiły.

Przeszła przez pokój przy wtórze szelestu czarnej sukni. Ze stolika przy drzwiach wzięła długi skalpel.

– Czy to boli, Charlesie? Kiedy się uzdrawiasz?

– Tak. Jakbym płonął od środka.

– Muszę to zobaczyć na własne oczy, sam rozumiesz. Muszę cię teraz zranić, ale chciałabym, żebyś wyraził na to zgodę.

Patrzył na nią spokojnie.

– Dobrze, proszę pani, może to pani zrobić.

Podeszła i rozcięła mu rękę. Jasnoczerwona krew popłynęła powoli po jego nadgarstku, kostkach dłoni, skapnęła na białe kafelki. Chłopiec zazgrzytał zębami z bólu, z zapartym tchem odwrócił głowę i spojrzał na ranę.

Na oczach wszystkich rozcięcie się zasklepiło.

Margaret Harrogate popatrzyła na Coultona, który ze znudzoną miną wzruszył ramionami. Odwróciła się.

– Istnieje pięć kategorii talentów, Charlesie. Twój należy do drugiej. Jesteś zdrowcem; doktor Berghast nazwałby cię regeneratorem. Kiedy dowolne komórki twojego organizmu zaczynają umierać, twoje ciało je ożywia. To rzadki talent, nadzwyczajny. Będziesz starzał się inaczej niż my wszyscy. Inaczej będziesz pojmował ryzyko, niebezpieczeństwo, miłość. A teraz zastanów się dobrze, Charlesie. Czy potrafisz robić coś jeszcze?

– Coś jeszcze?

– Coś niezwykłego. Wyjątkowego. Czy potrafisz... manipulować swoim ciałem? Na przykład osiągnąć rzeczy, które powinny znajdować się za daleko? Czy kiedykolwiek wśliznąłeś się do miejsca, które było dla ciebie za małe i teoretycznie nie powinieneś się w nim zmieścić?

– Nie wydaje mi się, pani Harrogate. Nie.

– W kącie stoi skrzynka. Widzisz ją? Chcę, żebyś spróbował po nią sięgnąć. Skup się, proszę.

Ovid zamknął oczy. Otworzył je.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Zamknij oczy. Chcę, żebyś wyobraził sobie białe niebo. Puste. Niczego na nim nie ma. A teraz na białym niebie pojawia się czarna chmura. Ma kształt drzwi. Zbliży się, patrz na nią. Jest w niej dziurka, a ty trzymasz w dłoni klucz. Co się stanie, kiedy przekręcisz go w zamku?

Chłopiec był skonsternowany, nieszczęśliwy.

Margaret w zadumie przesunęła językiem po zębach. Może jego talent nie obejmował ciągłości. A może po prostu musiał nauczyć się nad nim panować. Mniejsza z tym.

Postanowiła zmienić podejście.

– Opowiedz mi o swojej matce – zaproponowała. – Jakie są twoje najszczęśliwsze wspomnienia z nią związane?

– Z moją mamą? – Charlie zerknął spode łba na Margaret. Czekala cierpliwie. – Z moją mamą... – powtórzył ciszej.

Teraz widziała, że proszek zaczyna działać.

– Mama była jedyną dobrą rzeczą w moim życiu – powiedział. – Nie pamiętam teraz nawet jej głosu. Śpiewała w kościele, jej śpiew był jak słońce, które oświetla anioły. Jak miód na języku. Tak to odczuwałem. Pewnego dnia wróciła do domu, pachnąc mąką i cukrem, bo pracowała wtedy w starej kuchni i właśnie piekli ciasta. Podwinęła rękawy i wszędzie na łokciach i na rękach miała cukier. Zlizywaliśmy go razem.

Margaret się uśmiechnęła.

– Czy potrafiła... robić różne rzeczy? Tak jak ty potrafisz?

– Nie.

– A twój ojciec, czy on coś potrafił? Ewidentnie był biały...

– Nie pamiętam taty – rzucił rozgniewany Charles. Spuścił oczy i zapatrzył się na czerwone rozbryzgi krwi na białych kafelkach.

Widziała, że chłopak nie chce mówić więcej, czuła ukłucie wyrzutów sumienia, ale to było konieczne; pewnych rzeczy musiała się dowiedzieć. Charlie walczył ze sobą, ale w jego krwiobiegu krążył proszek.

– Umarł w drodze do Kalifornii – powiedział w końcu. – Zawsze chciałem odnaleźć miejsce, gdzie został pochowany, by mu powiedzieć, że dorosłem i staram się być dobrym człowiekiem. Takim jak on, zdaniem mamy. Był dobrym człowiekiem, kochał nas i wierzył w lepszy świat. Mama wciąż to powtarzała. Ale też bał się, cały czas się bał. O mnie. Może wiedział, co potrafię, nie wiem. Byłem mały. – Podniósł wzrok. Oczy mu się szklily. – Może po prostu wiedział, że nie ma miejsca na świecie dla kogoś takiego jak ja. Że nigdzie nie znajdę swojego kąta.

– Rozumiem.

– Pochodził stąd. Tyle wiem.

– Z Londynu?

– Nie, proszę pani, stąd.

Margaret zmarszczyła brwi, nie bardzo wiedząc, co chłopak ma na myśli. Zerknęła pytająco na Coultona, który słuchał uważnie. Już miała zacząć się dopytywać, kiedy coś ją powstrzymało, jakiś instynkt, któremu dawno nauczyła się ufać. Zamiast tego przyglądała tylko suknię i się odwróciła.

– W porządku, Charlesie, dziękuję. Teraz chcę, abyś się skupił. Wiem, że jesteś zmęczony, ale mam ostatnie pytanie. Czego pragniesz, Charlesie?

Głowa chłopca opadła na pierś i zaraz znów się podniosła.

– Żeby już nikt nigdy mnie nie krzywdził – odparł. Jego słowa stawały się bełkotliwe.

– Ile proszku mu dałaś? – zapytał Coulton. – Mam wrażenie, że pomału kończymy. Dowiedziałaś się wszystkiego, czego potrzebowałaś?

Margaret skinęła głową.

– Chcę wiedzieć, jak wyglądał... jak wyglądał mój ojciec... – mamrotał chłopak. – Chcę znowu usłyszeć głos mamy, nie pamiętam jej głosu...

Margaret odpięła okowy na krześle i pomogła Coultonowi dźwignąć chłopaka, który wstał chwiejnie. Był chudy, tyczkowaty, nogi się pod nim uginały.

– Biedactwo – powiedziała, odsuwając się. – Jak oni wszyscy. Zasługują na coś więcej z naszej strony.

Charlie Ovid obudził się w salonie na aksamitnej sofie, z rękami złożonymi pod głową. Ogień płonął na kominku. Bolała go głowa. Leżał nieruchomo, próbując sobie przypomnieć badanie.

Wiatr hulał w przewodzie kominowym i zawodził cicho. Kilka ulic dalej śpiewał jakiś pijaczyna. Końskie kopyta stukały na bruku. Deszcz tłukł w okno w powolnym, stałym rytmie, to słabnąc, to znowu się nasilając.

Poruszył się, bo było mu niewygodnie, usiadł w mroku. Przesunął dłonią po twarzy. Nawet w nocy Blackfriars tętniło życiem. Ktoś uchylił nieco okno. Deszczowe powietrze zostawiało kredowy posmak w ustach. Dotknął nosa i odkrył, że nozdrza ma pokryte czymś czarnym. Nigdy w życiu nie widział takiego

miejsca jak ten cały Londyn – ogromne miasto zbudowane ludzkimi rękami, stare, o tak, niesamowicie stare, jakby istniało od zawsze, ciągnące się kilometrami jak wielka brązowa Missisipi, którą kochał. Londyn z jego brudem, ginącymi w mroku przepastnymi zaułkami, krzywymi uliczkami, ciemnymi schodami do piwnic, gdzie ludzie pojawiali się jak zjawy, a wszystko to widziane tylko przelotnie w zmętniałym od deszczu powietrzu, z dorożki pędzącej wśród rozchlapywanych kałuż po zatłoczonych ulicach z dworca St Pancras...

Co z nim było nie tak? Rozmasował nadgarstki. Pani Harrogate sprawiała wrażenie zadowolonej, wtedy, w tamtym upiornym podziemnym pokoju. Nie ufał jej, rzecz jasna, nie ufał temu, jak bezgłośnie sunęła w tej swojej czarnej sukni, z posępnym spojrzeniem nieruchomych oczu i niepokojącym fioletowym znamieniem na starzejącej się twarzy.

Nie, zrugął się ostro, to niesprawiedliwe tak myśleć, wiedział przecież doskonale, co to znaczy być innym. Nie mógł jednak otrząsnąć się z wrażenia, że kiedy na niego patrzyła, taksowała go, ważyła jak worek towaru, oceniała jego wartość. Owszem, panu Coultonowi też nie wierzył, ale jemu przynajmniej przyjrzał się uważnie i doszedł do wniosku, że to dobry człowiek, cokolwiek miałyby to znaczyć. Kierujący się współczuciem, jak mógłby powiedzieć młody pastor w kościele. Domyślał się, że oboje poszli do swoich pokoi na górze, tam, gdzie spał też tamten stwór, ten litch, związany i otumaniony, z szarosiwą skórą i krwistoczerwonymi ustami jak potwór z koszmarnego snu.

Charlie wyciągnął się na sofie, rozmyślając o Instytucie, o tym, jak mu tam będzie. Te myśli napępniały go zgrozą.

I wtedy coś usłyszał.

Gdzieś w domu skrzypnęły drzwi. Uchyliły się. Powoli, jednak nie rozległy się żadne kroki ani skrzypienie podłogi.

Czekał. Nikt nie przyszedł.

A potem usłyszał ciche skrobanie, jakby drobnych pazurków o drewno. Usiadł i zaczął wpatrywać się w schody prowadzące w głąb domu.

Nic. Tykanie kościanego zegara odmierzało ciche sekundy. Poza tym było słycać tylko bębnienie deszczu o szybę.

Charlie wstał i podszedł do podnóża schodów. Oparł rękę na poręczu i nasłuchiwał.

– Panie Coulton?! – zawołał. – Pani Harrogate?!

Nikt mu nie odpowiedział.

Wszedł na schody. Na pierwszym piętrze było ciemno i cicho. Tak samo na drugim. Na trzecim drzwi do pokoju litcha były otwarte. Za nimi panowała całkowita ciemność.

Charlie zamarł. Serce waliło mu młotem.

– Proszę pana? – rzucił półgłosem. – Obudził się pan?

Coś bladego, niewyraźnego poruszyło się nad framugą drzwi, jakby czekało, i to właśnie na niego. Rozmazana plama w ciemności ześliznęła się w jego pole widzenia i zawisała do góry nogami, spoglądając na niego wielkimi czarnymi oczami. Charlie nie spuścił wzroku. Nie rozumiał, co się dzieje.

Powoli, bardzo powoli stwór obnażył długie zęby. Na ten widok coś w Charliem drgnęło. Strach.

Otworzył usta, żeby zawołać pana Coultona albo panią Harrogate, kogokolwiek, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Zatoczył się do tyłu. Litch spełził na podłogę i stanął wyprostowany. Z jego nadgarstków i kostek zwieszały się zerwane sznury.

A potem skoczył.

Charlie rzucił się do ucieczki. Zbiegał chodami po cztery stopnie naraz, ślizgając się i potykając, na parterze przeturlał się po podłodze, zerwał na nogi i chwiejnie wpadł do salonu. Zatrzasnął za sobą drzwi. Niczego nie słyszał. Gdzie byli pan Coulton i pani Harrogate? Czy nic im się nie stało? Potknął się o własne nogi i na czworakach cofał się od drzwi. Namacał sofę, spróbował wstać. Przez długą chwilę nic się nie działo. Powiedział sobie, że zachowuje się głupio, że zwiódł go zmysły.

I wtedy coś uderzyło w drzwi. Raz, drugi. W ciszy, która potem zapadła, klamka poruszyła się powoli, skrzypnęły zawiasy, drzwi się uchyliły i Charlie patrzył ze zgrozą, jak szaroskóry litch wpełza niczym człowiek pajak po ścianie na zdobiącą sufit sztukaterię i stamtąd popatruje na niego, przekrzywiając głowę i kłapiąc zębami.

Zanim Charlie zdołał zareagować, zawołać o pomoc, poszukać jakiejś broni, stwór z prędkością błyskawicy skoczył w jego kierunku i zderzył się z nim, tłukąc po drodze donicę z paprociami, łamiąc konsolę i inne meble. Rzucił się Charliemu do gardła, rozorał mu ręce, gdy ten próbował się zasłonić. Zerwane sznury

tworzyły rozmazane plamy. Litch pochylał się nad chłopcem i kłapał szczękami. Charlie walczył bez słowa, w milczeniu. Udało mu się wepchnąć kolano pod stwora i mocno go kopnąć. Litch spadł – był upiornie lekki – i uderzył o przeciwległą ścianę. Charlie błyskawicznie poderwał się z podłogi. Mignął mu dziwny płód w słoju. Wydawało się, że gapi się na Charliego, że go rozpoznaje, kiedy przyciska zdeformowane rączki do szkła. Kiedy jednak litch znowu zaatakował, Charlie uniósł słoje nad głowę i z hukiem roztrzaskał go na łbie atakującego.

Zapanowała przerażająca cisza. Ogłuszony litch leżał w cuchnącej kałuży, obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Ślizgał się na szkle, ściskając w szponach oślizgłe paskudztwo. Charlie nie czekał, nie przyglądał mu się dłużej: z impetem otworzył drzwi, przebiegł przez hol wejściowy i wypadł na dwór. Potknął się, złapał równowagę i doskoczył do żelaznej furtki. Otworzył zasuwkę i ze szczękiem zatrzasnął bramkę za sobą, a potem odsunął się od niej. Stał na ciemnym, śliskim od deszczu bruku, wpatrując się w ciemność.

Przemoczona koszula kleiła mu się do ciała. Nie wiedział, czy stwór przedostanie się przez furtkę, ale wątpił, by mu się to udało. Wtedy usłyszał brzęk tłuczonego szkła: ktoś rozbił duże wykuszowe okno w salonie. W czarnych strugach deszczu ujrzał bladą postać czepiającą się ściany budynku.

Puścił się biegiem. Ślizgając się pomiędzy pacholkami i po bruku, skręcił w ciemny zaułek, potknął się o stos połamanych skrzynek. We wnękach drzwi siedziały jakieś postaci, odwracały się za nim, unosiły w mroku głowy, ale on się nie zatrzymywał. Minął małe podwórko i skręcił w uliczkę koło niewielkiego parku z ławkami i posągami majaczącymi w świetle gazowych latarni, po czym prawie spadł z koślawych schodów. Zatrzymał się. Jakimś cudem stwór go wyprzedził: zgarbiony litch przycupnął na najniższym stopniu i patrzył do góry na niego, wydając ten sam dziwny odgłos co wcześniej, to charakterystyczne szczekanie zębami.

Przedramiona i pierś Charliego płonęły w miejscach, w których litch go podrapał, próbując dobrać mu się do gardła. Chłopak z trudem łapał oddech. To był dziwny ból, inny niż dotychczas, nie przypominał zwykłego bólu. Charlie stał zdyszany w deszczu, tracił siły i czuł, jak narasta w nim strach.

I wtedy stwór zaczął wdrapywać się bokiem i rzucił na czworakach w górę schodów. Pozrywane sznury u nadgarstków i kostek smagały bruk. Charlie odwrócił się i znów zaczął biec. Zerwał pokrywkę żelaznego kosza na śmieci, zrobił

obrót i zamachnął się z całej siły. Trafił litcha tuż poniżej szczęki. Ten wrzasnął, obrócił się i czmychnął w bok, w ciemność, a Charlie ponownie zaczął biec. Paroma susami przesadził kamienne schody i wybiegł na ulicę lśniąca w słabym świetle gazowych lamp.

Przed sobą miał rzekę, płynną ciemność pełną pomarańczowych odbłasków i dziwacznych kształtów, barek, może łodzi wiosłowych. Po lewej zobaczył most. Rzucił się w jego stronę. Nikogo nie widział. Jego kroki rozbrzmiewały głośno na bruku. Był w połowie długości mostu, kiedy zatrzymał się i obejrzał za siebie. Litcha nigdzie nie było widać. Obliznął wargi. Dyszał ciężko. Przez chwilę się zastanawiał, zanim podbiegł do kamiennej poręczy, wychylił się... i wtedy go zobaczył.

Litch pędził po kamiennym łuku nośnym mostu do góry nogami: niewyraźna plama szarości. Charlie zerwał się do ucieczki, ale pokonał nie więcej niż trzy metry, kiedy stwór przelazł przez poręcz przed nim i przykucnął w kałuży mglistego gazowego światła. Przechylił głowę i zaczął mu się przyglądać.

– Czego ode mnie chcesz?! – krzyknął Charlie. – No czego?!

Litch podpełzł bliżej. Usta miał otwarte.

– Zostaw mnie! – wrzasnął Charlie. – Idź sobie!

Litch zamarł. Przez długą chwilę nic się nie działo. A potem stwór skoczył z wyciągniętymi pazurami i rozwartą szczęką. Charlie, który tym razem spodziewał się ataku, uskoczył w bok, więc litch ledwie zahaczył go w przelocie. Charlie natomiast uderzył go pięściami, aż ten pofrunął w górę, uderzył o kamienną balustradę i spadł po jej drugiej stronie. Przekoziółkował w locie, po drodze skrobiąc kamień pazurami, chcąc się go chwycić. Nie udało się mu. Ściskając obolały bok, zapłakany i zadyszany chłopak patrzył, jak litch zakreśla w powietrzu makabryczny łuk i przepada w mrokach Tamizy.

Osunął się na ziemię, oparł plecami o lodowatą kamienną balustradę pośrodku przesła, otulony bladą deszczową aureolą gazowego światła i zaczął się trząść. Trząśł się i trząśł, i nie wiedział, czy to deszcz ma w oczach, czy łzy, czy jeszcze coś innego.

Każdy nieznajomy to nowy początek

Alice Quicke oplotła lejcami masywne nadgarstki i wyjechała z Remington w szarym brzasku. Świecący chłopiec drzemał na wozie przykryty kocem. Mżyło, czerwona poświata rozpościerała się wachlarzowato w półmroku ponad drzewami. Wśród długich cieni przejechali przez Merville i Oaks Hollow. Na noc zatrzymali się w porzuconej stodole przy drodze, po czym rankiem ruszyli dalej. Spotkali niewielu konnych. Następnej nocy Alice położyła się spać na wozie, w ubraniu, zmarznięty chłopiec wtulił się w nią. Kolejnego dnia wjechali do Indiany. Noc spędziła na ziemi, oparta plecami o opasane żelazną obręczą koło wozu. Głowa opadła jej na pierś, buty roztrząsały popiół ogniska, kiedy śniła.

W Lafayette dwa dni zajęło jej sprzedanie konia i wozu. Kupiła dwa bilety trzeciej klasy na południe do Carmel, skąd – mając w przedziale do towarzystwa starszą panią z pieskiem salonowym – dotarli aż do Columbus w Ohio, a dziewięć dni później znaleźli się w Rochester w stanie Nowy Jork. Wpisała się do oprawnej w skórę księgi meldunkowej jako pani Coulton. Zacinający deszcz chłostał werandę, stojący obok Alice chłopiec ociekał wodą. Dziwki wychylały się z pięterka pod wielkim okrągłym świecznikiem. Balkon ginął w cieniu, jedwabne wachlarze w obleczonych w rękawiczki dłoniach trzepotały jak skrzydła ptaków.

Następnego dnia rano przeczytała o pożarze.

Nie była to świeża wiadomość. W zgiełkliwej jadalni Alice odliczyła wstecz dni podróży: pożar wybuchł sześć dni po ich wyjeździe. Z głównego namiotu cyrkowego rozprzestrzenił się na menażerię, łącznie zginęło w nim jedenaścioro ludzi i dwadzieścia sześć zwierząt. Artykuł opatrzone kiepskiej jakości linorytem przedstawiającym płonący namiot. Deszcz kreślił cienie na szybach

mansardowych okien, smężna atmosfera przenikała do wnętrza jadalni. Alice spojrzała na chłopca, który z poważną miną zjadał stek z jajkiem sadzonym, i z bólem serca postanowiła mu o niczym nie mówić.

Dzień spędzili w centrum na zakupach – chłopak potrzebował ubrań, a wieczorem poszli coś zjeść do herbaciarni z widokiem na park, w którym małe wesołe miasteczko rozświetlało zapadający zmierzch. Później, w nocy, nie mogła zasnąć. Usiadła przy oknie, położywszy rewolwer na niskim stoliku pod ręką, i zerknęła zza zasłony. Jeszcze raz przeczytała artykuł o pożarze, po czym złożyła wycinek na czworo i ukryła w rękawie jak chusteczkę. Zdmuchnęła świece. Podłużne kałuże na środku ulicy mieniły się roztańczonym pomarańczowym blaskiem dworcowych lamp.

Marlowe nie był rozmownym dzieckiem, przez pierwszy tydzień wspólnej podróży odezwał się ze dwa razy. Przeczesała palcami swoje przetłuszczone włosy, rozmyślając o pożarze i jego ofiarach. W gazecie napisali, że był to nieszczęśliwy wypadek. Co by o tym powiedział Coulton? Przypomniała sobie jego jasne, poważne oczy, znużone usta, mrok w jego głosie, kiedy mówił o tym człowieku, Marberze. Jacob Marber, łowca nagród, który wcale nie był łowcą nagród.

W ciemności za jej plecami czarnowłosy dzieciak oddychał spokojnie. Cały i zdrowy.

Takie rzeczy się zdarzały, świat był okrutny, a jednak coś nie dawało jej spokoju. Przypomniał jej się przytułek, w którym jej matka dożyła swoich dni: bezruch wyszorowanych posadzek, samotność cmentarza. Matka. Alice próbowała doszukać się w niej czegoś dobrego, ale bez powodzenia. A sama jaką dobroć okazała jej w zamian? Przesunęła knykciem pod jednym okiem, pod drugim. Nie miała ani jednego dagerotypu matki, żadnej pamiątki tego, jak wyglądała za życia. A teraz ta kobieta po prostu zniknęła, jakby nigdy nie istniała. Co po nas zostaje?

Spojrzała na wtulonego w poduszkę chłopca. Zabierze go do Londynu, do starej pani Harrogate. Tyle na pewno może dla niego zrobić.

Fale deszczu smagały szybę. Dwie postaci chwiejnym krokiem przeszły przez ulicę, nisko naciągnąwszy kapelusze dla ochrony przed porywami wiatru. W sercu Alice zalegał cień, mroczny lęk, przecucie zbliżającego się zła. Odruchowo sięgnęła po schowany w rękawie wycinek.

– O co tu chodzi? – mruknęła zaniepokojona. – Czego nie dostrzegam?

Jej twarz odbita w szybie majaczyła w ciemności niczym duch.

Rankiem chłopak spał długo. Nie przeszkadzała mu. Przysiadła na łóżku, powstrzymała się od pogładzenia go po wzburzonych włosach i po prostu czekała, aż sam się obudzi.

– Dzień dobry – szepnęła, kiedy zaczął się wiercić.

– Śniłem o koniach – wymamrotał sennym głosem. – Tak jak mi powiedziałaś.

Jaki on był mały... Przez całą podróż nigdy nie skarżył się na niewygodę – przez pierwszy tydzień w ogóle się nie odzywał, dopiero ostatnio stał się nieco bardziej skory do rozmowy. Jeżeli bał się o swoją przyszłość, to o tym nie wspominał. W swoim dorosłym życiu Alice poznała niewiele dzieci i była zaskoczona, jak przyjemnie się czuje, kiedy malec dotyka jej ręki, wciska piąstkę w jej dłoń albo uśmiecha się do niej, odsłaniając drobne, krzywe zęby. Spał z rękami wyciągniętymi nad głową, jak sterroryzowana ofiara napadu na bank. Jadł widelcem i łyżką, na przemian nagarniając jedzenie i skrobiąc talerz. Kiedy wkładał nowe buciki, stale mylił prawy z lewym.

– No, wstawaj, wstawaj – ponagliła go. – Pociąg odjeżdża w południe.

Zamrugął zaspany.

– Mówiłaś, że będziemy mogli tu zostać. Zobaczyć jezioro.

– Jeszcze się napatrzysz na wodę, kiedy wypłyniemy z Nowego Jorku. Zbieraj się.

Jego drobne ciało leżało nieruchomo pod kocem. Alice spodziewała się, że może coś powie, ale milczał. Nie poskarżył się, w ogóle się nie odezwał, po prostu wstał i zaczął się szykować. Kiedy patrzyła, jak chlapie się w misce, zrobiło jej się go żal.

– Dobrze spałeś? – zapytała targana poczuciem winy.

Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo zależy mu na zobaczeniu jeziora. Ale czy można mu się było dziwić? Biedaczysko pewnie widział niewiele świata poza miejscami, w których zatrzymywał się cyrk.

Z wielkim zaangażowaniem wyszorował różową buzię, różowe uszy i różową szyję, po czym wytarł się ręcznikiem do sucha. Bardzo się pilnował, żeby nie patrzeć na Alice.

– Widzisz... – Podeszła i stanęła za jego plecami. – Musimy pilnować rozkładów jazdy. Statek wypływa za niecały tydzień, nie chcę, żebyśmy się spóźnili.

Zmarszczył brwi, patrząc na nią w lustrze.

– Ludzie na nas liczą – ciągnęła. – Chcą cię poznać, i to od dawna. Dobrzy ludzie.

Odwrócił się i podniósł na nią wzrok.

– To znaczy jacy? – zapytał.

– Czy ja wiem... – Przełknęła ślinę. – Życzliwi?

– Nie jesteś przekonana.

Alice oblizwała wargi. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– To twoja rodzina, Marlowe.

– Brynt jest moją rodziną.

– Nie – odparła stanowczo. – Brynt na pewno nią nie jest.

Ale ścisnęła ją w gardle, kiedy to mówiła. To była najdłuższa rozmowa, jaką odbyli przez całe wspólnie spędzone dwa tygodnie. Pieprzony Coulton, to on ją w to wpakował. Co za zaszara robota...

Deszcz tłukł o szyby. Marlowe patrzył na nią spokojnie. Na jego twarzy malowały się smutek i osobliwa mądrość, jakby aż za dobrze rozumiał, jak działa ten świat, i żał mu było Alice, że musi robić to, co robi.

Zdegustowana sięgnęła po buty.

„Moja ostatnia misja, potem z tym kończę”, pomyślała.

Złe przeczucie nie dawało jej spokoju.

Przeciwnie, zyskało na intensywności w miarę zbliżania się do Nowego Jorku. Trzy dni później wysiedli na dworcu Grand Central wprost w białe kłęby pary. Pod wysklepionym, poczerniałym od dymu szklanym dachem wzniesionym na stalowych podporach zgiełk był przytłaczający. Alice z duszą na ramieniu przyglądała się mijającym ich ludziom: blade twarze, ciemne kapelusze, błysk okutych srebrno lasek. W prawej dłoni, wciśniętej głęboko w kieszeń płaszcza, ścisnęła rękojeść naładowanego peacemakera i bawiła się kurkiem.

Przy wysiadaniu Marlowe wziął ją za drugą rękę. Spojrzała na niego zdumiona. Może po prostu bał się zgubić w tłumie, ale tak czy inaczej spodobał jej się ten gest,

była zaskoczona, jak wielką sprawił jej przyjemność. Posłała chłopcu przelotny, nerwowy uśmiech i razem przepchnęli się do bagażowych.

Na skraju peronu czaiła się niewidoma kobieta o ściągniętej twarzy i skołtunionych włosach.

– Nie tędy, nie tędy, nie tędy! – nawoływała przechodzących obok podróżnych. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Nie gap się, Marlowe – pouczyła go Alice, wyczuwając fascynację chłopca. – Jest obłąkana, gada do siebie. Nie przejmuj się nią.

Kiedy ją mijali, zwróciła okryte bielmem oczy w ich stronę. Jej wynędzniała twarz obracała się powoli w ślad za nimi, jakby w jakiś sposób śledziła ich wzrokiem. Alice, która co chwilę nerwowo oglądała się przez ramię, zadrżała. Niewzruszony tłum przepływał obok nich.

Mieli za sobą tygodnie spędzone w zapuszczonych pokojach, brudnych hotelach i niedopranej pościeli. Zaczynało ją to męczyć, ale zabrała Marlowe'a w labirynt krzywych uliczek nieopodal portu, w którym cumowały ogromne pasażerskie liniowce, i znalazła tam zaniedbany pensjonacik, może przeznaczony dla marynarzy, a może dla pasażerów trzeciej klasy: stary drewniany budynek, dwa piętra, mansardowe okna, dachówki prawie w komplecie. Mógł mieć nawet ponad sto lat, być może przed rewolucją, zanim miasto obrosło go ze wszystkich stron, był całkiem przyzwoitym lokum.

Hol wejściowy był wąski, wysoki i mroczny. Zawieszone powyżej boazerii lampy naftowe rzucały słabe pomarańczowe światło, drewniana podłoga trzeszczała jak na statku.

„Ciekawe, ile tysięcy ludzi przemierzyło przed nami te korytarze”, pomyślała Alice.

Jej lęk wzmógł się, gdy spróbowała wynająć pokój. Właściciel, zgarbiony staruszek, wyszedł do nich niepewnym krokiem, z lampą w jednej i pękiem kluczy w drugiej ręce. Przetłuszczony włosy opadały mu na kołnierz. Na łokciach miał naszyte łaty.

– A gdzie pani mąż? – zapytał podejrzliwie.

Spojrzała mu w oczy. Wcześniej wdepnęła w kałużę zielonej mazi z ulokowanego po sąsiedzku warsztatu wytwarzającego świece i teraz starannie wytarła buty o dywan.

– Nie żyje – odparła.

Mężczyzna tylko chrząknął i przeniósł wzrok na Marlowe'a.

– To pani syn? – burknął. – Bo ja tu prowadzę porządną pensjonat, wie pani. I żeby nie widział żadnych gości.

Alice zmarszczyła brwi. Nie spodobała jej się ta aluzja. Mogłaby mu złamać nos w sześciu miejscach, zanim zdążyłby mrugnąć, ale i tak nic by nie poradziła na jego zbereźne myśli.

– Weźmie pan nasze pieniądze czy nie? – zapytała spokojnie. – Potrzebujemy pokoju na trzy noce.

– Płatne w całości z góry.

Kiedy Alice nie zaprotestowała, staruszek skinął ręką, żeby poszli za nim.

„Będzie dobrze”, uspakajała się w duchu, wciąż przepełniona niewytłumaczalnym lękiem.

Dostali jednoosobowy pokój na samej górze. Właściciel rozsunał zasłony, strzepnął zjedzone przez mole koce i otworzył drzwi szafy ubraniowej tak, że światło dnia odbiło się w zmatowiałym pionowym lustrze, po czym zostawił ich samych. Ściany i podłoga były tak cienkie, że Alice wyraźnie słyszała, jak kuśtyka do schodów, schodzi po nich, przemierza długi korytarz piętro niżej i w końcu wraca na parter.

Spojrzeli z Marlowe'em po sobie.

– Dla myszy to by był prawdziwy pałac – powiedziała Alice.

Chłopiec uśmiechnął się w odpowiedzi.

Czekało ich sporo pracy. Przez następne dni wystawali w kolejkach w porcie, przytupując przy tym, żeby się ożywić, wypełniali formularze celne i szukali bagażowego, który przyszedłby do pensjonatu i zabrał ich nieliczne tobołki na pokład statku. W porcie panował ożywiony ruch. Dźwigi przenosiły palety pełne skrzyń z magazynów na barki, policjanci z groźnymi minami przechadzali się wśród robotników, wszędzie tłoczyły się rodziny imigrantów przybyłych ze Staten Island – skulonych, wynędzniałych, podejrzliwych. Alice prowadziła Marlowe'a przez tę ciżbę, a dręczące ją złe przecucie stale narastało. Miała wrażenie, że ktoś ich śledzi, takie to właśnie było uczucie. Ilekroć jednak nurkowali we wnękę przy drzwiach albo przystawali przed witryną sklepu, żeby obejrzeć odbicia w szybie, nikogo nie dostrzegali.

Ostatniej nocy w Nowym Jorku nie zmrużyła oka. Leżała w łóżku obok Marlowe'a, słuchała jego oddechu i w ciemnościach wpatrywała się w sufit. Za kilka godzin wejdą po trapie, znajdą swoją kabinę, statek wyjdzie z portu i odpłynie w dal.

Było już po północy, wcześniej słyszała dzwony w żeglarskiej kaplicy parę przecznic dalej, gdy wybijały dwunastą. Połąc tynku na suficie odbarwiła się po jakimś dawnym zalaniu. Widok żółtawej plamy przywiódł Alice na myśl panią Harrogate i znamię na jej twarzy.

Już niedługo.

Wtedy to poczuła.

Poczuła, bo z początku to nie był dźwięk, a raczej wrażenie – jakby cień przesłonił słońce i nagle się ochłodziło. Zmarszczyła brwi, odwróciła głowę na poduszce i znieruchomiała.

Dopiero w tej chwili coś usłyszała: ciche skrzypnięcie na korytarzu piętro niżej, jakby ktoś bardzo się starał poruszać bezszelestnie. Wstała, wciągnęła spodnie, włożyła koszulę i buty, po czym zastygła w bezruchu i znów nadstawiła ucha. Szuranie się przybliżało, powoli, po schodach prowadzących na drugie piętro. Ich piętro.

Pospiesznie, nie wydając żadnego dźwięku, zaczęła upychać nieliczne posiadane drobiazgi do walizek: ubranie Marlowe'a, własne podróżne lusterko. Podeszła do okna i je otworzyła. Noc była chłodna. Rozpierzana gniewem Alice wyjęła peacemakera, odciągnęła kurek, powoli zakręciła dobrze naoliwionym bębenkiem i schowała broń do kieszeni.

– Marlowe – szepnęła.

Potrząsnęła nim, a gdy zaniepokojony otworzył oczy, przytknęła palec do ust i spojrzała na drzwi.

W pensjonacie panowała absolutna, wręcz nienaturalna cisza. Nie było słychać chrapania, pokasływania, pomruków innych mieszkańców. I właśnie to, ten całkowity bezgłos, najbardziej ją niepokoił. Marlowe już wkładał swoje małe buciki (na odwrót), już narzucal płaszczyk. Alice podeszła do drzwi i przytknęła do nich ucho.

Nagle oboje to usłyszeli: wyraźne, spokojne, niespieszne kroki rozbrzmiewały coraz bliżej na korytarzu. Alice oparła dłoń o drzwi, odsunęła się od nich na

odległość wyprostowanej ręki i wycelowała rewolwer na wysokości piersi. Kroki ucichły.

Nic się nie poruszało. Nic nie było słychać.

Ktoś – coś – jakiś mężczyzna odchrząknął w ciemności. Na ten dźwięk zgroza zakradła się do jej serca. Ogarnął ją strach. Zamrugła gwałtownie, żeby lepiej widzieć, i zobaczyła – to było dziwne – czarny dym przesączający się przez szparę pod drzwiami. Dym rozwiął się nieco, a potem zaczął się wciskać do pokoju wszystkimi szczelinami dookoła drzwi, gęstnieć i ciemnieć. Drzwi zadrżały w futrynie, jakby ktoś próbował je otworzyć.

Poczuła lodowate przerażenie.

„Uciekaj”, pomyślała. „Uciekaj, kurwa!”

Złapała Marlowe’a za rękę i zaciągnęła pod otwarte okno.

– Pospiesz się! – syknęła. – Na Boga, szybciej!

Wspięła się na parapet, wystawiła obie nieduże walizki na dach, a potem złapała chłopca pod pachy i również przeniosła go za okno.

Ktokolwiek stał za drzwiami, musiał coś usłyszeć, bo zaczął w nie bić i kopać. Powietrze zgęstniało od czarnego dymu śmierdzącego sadzą i kurzem. Alice przytknęła chusteczkę do ust i odwróciła się tyłem do pokoju gotowa wyjść przez okno. Potem jednak obróciła się gwałtownie w miejscu, podbiegła do szafki nocnej i wyjęła z szuflady bilety na transatlantyk oraz resztę dokumentów podróжных. Hałasowała teraz za dwoje, miotając się po pokoju, ale zupełnie się tym nie przejmowała. Drzwi zadygotały, zadudniły głucho.

Marlowe przykucnął na pochyłym dachu, tuląc kolana do piersi. Alice złapała go jedną ręką, drugą chwyciła walizki i balansując nimi, wspięła się aż pod komin. Zjechała po dachu w pół drogi do krawędzi okapu z drugiej strony, po czym przerzuciła walizki nad wąską przerwą dzielącą dom od sąsiedniego budynku.

Przycisnęła Marlowe’a do piersi, a on wtulił głowę w jej ramię.

– Zamknij oczy – szepnęła.

I skoczyła.

Wylądowała marnie, uderzyła lewym kolaniem o dach i upadła na bok. Pozbierała się jednak błyskawicznie i spojrzała za siebie. Nikt ich nie ścigał. To było jakieś szaleństwo.

Dach był płaski, z boku miał przytwierdzoną drabinkę pożarową z kutego żelaza. Ponagliła Marlowe'a i pospiesznie zeszła za nim na ulicę, skąd było widać ich wynajęty pokój na mansardzie. Wyteńczyła wzrok, ale nikogo nie dostrzegła w oknie – tylko wąty dym sączył się w noc.

A potem nagle na tle ciemnego wnętrza zamajaczyła inna, głębsza ciemność, czarna ludzka sylwetka, która podeszła do okna i patrzyła, jak się oddalają – bo Alice już zdążyła ponownie złapać chłopca za rękę i kulejąc (obite kolano dawało jej się we znaki), usiłowała ni to iść, ni to biec w mrok, w noc, jak najdalej stamtąd.

Na szczęście kolano nie było złamane, ale spuchło, a skóra zrobiła się fioletowa, cętkowana i dziwnie miękka, upodobniając je do ogromnego bakłażana. Nie było też w stanie udźwignąć jej ciężaru.

Dokuśtykała z Marlowe'em do Washington Avenue. Przemknęli na drugą stronę wśród eleganckich czarnych powozów teatromanów, nieustannie oglądając się za siebie, po czym w małym parku, za pomnikiem jakiegoś nieżyjącego amerykańskiego rewolucjonisty, Alice przystanęła i z wyprostowaną lewą nogą osunęła się na wilgotną trawę.

Próbowała złapać oddech, przesyć wzrokiem ciemność, zebrać myśli. Zmierzyła chłopca surowym spojrzeniem.

– Widziałeś kiedy coś takiego? Kiedykolwiek?

Pokręcił głową. Niebieskie oczy miał szeroko otwarte.

Wiedziała, że dzieci, które znajdują, bywają różne. Coulton nazywał je „talentami”. Wiedziała również, że tamten człowiek – tamten stwór – nie miał nic wspólnego z normalnością.

– Nie kłam, Marlowe – ostrzegła go sztywno.

– Nie kłamię – odparł głosikiem niewiele donośniejszym od szeptu.

Nagle jej noga eksplodowała płomieniem bólu. Alice krzyknęła i złapała się na kolano. Jej głos odbił się od murów, poniósł w dal, ścichł w ciemnościach.

– Czy on nas ściga? – zapytał Marlowe.

Zamiast odpowiedzieć, Alice rozejrzała się pospiesznie. Park – skwer właściwie – był nieduży, kwadratowy trawniczek wokół pomnika z samotną latarnią uliczną na rogu. Z trzech stron okalały go ślepe ściany domów. Ulicą za plecami Alice od

czasu do czasu turkotała dorożka. Gdyby tamten mężczyzna ich tu znalazł, nie mieliby dokąd uciec.

Musiała zemdleć, bo kiedy otworzyła oczy, Marlowe zmienił pozycję: siedział teraz po turecku tuż obok niej, podsunąwszy jej pod głowę swój złożony płaszczyk niczym poduszkę. W ciemności ledwie widziała jego bladą buzię.

Spróbowała usiąść, lecz opadła z powrotem na ziemię.

– Noga cię boli? – spytał szeptem.

– Kolano. Długo byłam nieprzytomna?

– Przewróciłaś się, tak jakby. Na bok.

Chciała zażartować ze stwora, którego widzieli w hotelu, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Po chwili znów zamknęła oczy.

– Alice?

– Tak?

– Tak naprawdę wcale się nie nazywam Stephen Halliday, prawda?

Otworzyła jedno oko. Cierpiała.

– Dlaczego... Dlaczego mnie o to pytasz?

– Ja to wiem. Umiem poznać.

– Masz rację – przyznała niechętnie. – Nie nazywasz się tak.

– Kim w takim razie jestem?

– Musimy teraz o tym rozmawiać? – Zgrzytnęła zębami, spojrzała mu w oczy. – Posłuchaj, nie wiem, kim jesteś. A kim chcesz być?

– Marlowe'em.

– Proszę bardzo. – Ponownie oparła głowę na złożonym płaszczu.

– Alice? Dlaczego powiedziałaś, że nazywam się Stephen Halliday, skoro to nieprawda?

Kolano znów ją rwało. Ubranie przesiąkło wilgocią z trawy i przemarzła do szpiku kości. Dotarcie o poranku na pokład statku będzie nie lada wyzwaniem.

Skrzywiła się.

– Chyba dlatego, że tak mi kazali moi pracodawcy. A ja uznałam, że to najlepszy sposób na to, by cię ze sobą zabrać, bo to... najmniej zaboli ludzi.

– Mówisz o Brynt?

– Tak, mówię o Brynt. Ale o tobie też.

Marlowe umilkł. Widziała, jak żuje rąbek rękawa.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Do Londynu, a potem do takiego jednego miejsca w Szkocji, które nazywa się Instytut Cairndale. Tam będziesz bezpieczny. Są tam inne dzieci takie jak ty, też potrafią... robić różne rzeczy.

– A ty pojedziesz ze mną?

Skrzywiła się.

– Kawalek tak. Zwykle ograniczam się do... odszukania dzieci.

Pokiwał głową.

– Nie powinnaś była mnie okłamywać – powiedział, po czym wstał i odszedł w noc.

Zanim zdążyła zapytać, co wyrabia, wrócił, obszedłszy cały skwerek dookoła; jego buty poskrzypywały na mokrej trawie. Uklękął przy Alice.

– Wiem, dlaczego mnie szukają – powiedział. – Ludzie, dla których pracujesz. Wiem, czego ode mnie chcą.

Dziwne słowa jak na ośmiolatka, upiornie spokojne. Włoski na karku Alice stanęły dęba.

– Co masz na myśli? – zapytała.

Zamiast odpowiedzieć, coś zrobił, coś, czego zupełnie się nie spodziewała. Wyprostowanymi palcami dotknął jej nadgarstka.

– Co ci się stało?

– Mówisz o tym? – Zaskoczona pokręciła głową. – To nic, tylko go nadwyrężyłam.

Przypomniała sobie, jak do tego doszło; jak odtrąciła dłoń mężczyzny, który próbował złapać ją w pól w barze w White Rapids, i jak jego znajomi zanieśli się śmiechem. Był poganiaczem bydła, poinformował ją z uśmiechem, i właśnie dostał wypłatę, a wcześniej przez cztery miesiące nie widział kobiety. Coulton patrzył z dezaprobatą, nie ruszywszy się od stolika, jakby to ona była winna całemu zamieszaniu. To ją najbardziej rozwścieczyło. Kiedy kowboj znów wyciągnął rękę, żeby położyć ją na jej biodrze, stanęła w lekkim rozkroku, tak jak ją uczył Allan Pinkerton, napięła muskularne ramiona i z całej siły wyrznęła łajdaka pięścią

w twarz. Coś trzasnęło, pod kowbojem ugięły się nogi i padł jak ścięty. Na chwilę zrobiło się cicho, wszyscy odwrócili wzrok, po czym znów zapanował zwyczajny barowy zgiełk. Coulton nie zareagował.

Marlowe siedział przy niej z rękami splecionymi na podolku, gdy wtem rozpostarł dłonie i podniósł je, jakby chciał jej coś pokazać.

– Co robisz? – zaciekawiała się.

Powoli rozwiązał jej but, ściągnął go, podwinął nogawkę spodni. Nie przeszkadzała mu. Odśloniwszy obite kolano, Marlowe spojrzał na nią pytająco, po czym nadzwyczajnie delikatnym gestem przyłożył do niego dłonie. Bijące od nich ciepło, bardzo przyjemne, popłynęło w górę uda. Alice poczuła ból. Ciepło się wzmogło, kolano rozgrzewało się coraz bardziej. Spojrzała na chłopca: miał zamknięte oczy i świecił. Lśnił znajomą niebieską poświatą emanującą z żyłkowanej światłem skóry.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami. Widziała przez skórę na wskroś, dostrzegła pod nią żyły i zarysy kości czaszki i dłoni. Wilgotna trawa wokół nich i krawędzie pomnika nabrały niebieskiego odcienia.

Nagle ciepło w kolanie stało się trudne do zniesienia, ból się nasilił i z krzykiem cofnęła nogę.

Żar ustąpił. Światło chłopca zgasło.

– Marlowe... – wysapała. – Marlowe?

Coś się zmieniło, od razu to wyczuła. Błękitny blask wciąż tlił się na obrzeżach jej pola widzenia. Spojrzała na swoją nogę, zgięła ją w kolanie, poruszyła nią na boki. Kolano zostało uzdrowione.

Patrzyła na nie z niedowierzaniem. Serce biło jej jak szalone.

– Nie złość się – wyszeptał Marlowe.

Pobladł na twarzy i ostrożnie przyciskał nadgarstki do piersi. Alice zwróciła uwagę, że są opuchnięte.

– Nic mi nie będzie – zapewnił ją z twarzą wykrzywioną bólem. – Zabrałem twój ból. Teraz ja go mam. A kiedy ja go mam, to on szybko mija.

Starła się zrozumieć, co chłopiec do niej mówi, ale nie była w stanie. Przypomniał jej się Coulton, a potem Charlie Ovid skrywający ostrze noża we wnętrzu ciała.

– To niemożliwe – powiedziała.

Wstała, ostrożnie obciążając nogę. Wciąż nie mogła uwierzyć.

– Mówiła, że mi nie uwierzysz – szepnął Marlowe.

– Kto tak mówił?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Ale Alice mu uwierzyła, jakżeby inaczej, kolano było najlepszym dowodem. Przed oczami stanęła jej matka, zgoła nieproszona, z oczami rozpalonymi zielonym ogniem obłędu, gdy wiara przejmowała nad nią władzę. Pomyślała o tym, w co uwierzyłaby jej matka, gdyby była świadkiem tego cudu. Zamknęła oczy, zmagając się z przytłaczającą falą żałoby. Mama.

Nie minęła godzina, gdy Marlowe rozprostował ręce, pokręcił dłońmi, pokazał Alice nadgarstki. Opuchlizna zeszała, skóra znów zaczynała się leciutko jarzyć.

Zamarłe miasto wokół nich zdawało się puste.

– To nigdy nie trwa długo przy takich drobnych rzeczach – wyjaśnił chłopiec.

Nagle Alice poczuła coś na kształt niesmaku. Zaskoczona i zakłopotana nie miała ochoty dotykać Marlowe'a. Zaufał jej w ważnej sprawie, pomógł i to jej zniesmaczenie było czymś w rodzaju zdrady.

– Często to robiłeś? – spytała, znizywszy głos.

– Tak – przytaknął bez ogródek.

– Jak to się zaczęło?

Zmieszany wzruszył ramionami.

– Nie zawsze udaje mi się to kontrolować. Kiedyś w ogóle nie potrafiłem.

– W Cairndale ci z tym pomogą. – Alice wstała sztywno, potupała chwilę, żeby rozgrzać nogi, i zapytała: – A twoja przyjaciółka, Brynt, wiedziała?

Zajęty wkładaniem płaszczyka Marlowe nie podniósł na nią wzroku.

– Nie rozmawialiśmy o tym – odparł.

Alice pokiwała głową. Rozejrzała się po pustym skwerku, powiodła wzrokiem po szarych sylwetkach domów na tle nieba. Gdzieś tam czaił się człowiek... nie, nie człowiek: stwór, który zmieniał się w dym. Tropił ich. Zakrawało to na szaleństwo, a jednak było prawdą. Widziała go na własne oczy.

– Musimy znaleźć ci coś do jedzenia – orzekła. – Chodźmy do portu. – Zgarnęła obie walizki, wydeła policzki.

– Alice? – Marlowe patrzył na nią pytająco.

– Tak?

– Czy to w porządku, że się boję?

– Każdy się czasem boi. Ja też.

– Tak jak w hotelu?

Skinęła głową.

– I przy innych okazjach też. Strach to nic złego, to sposób, w jaki głowa mówi sercu, żeby zachowało ostrożność. Naprawdę ważne jest dopiero to, co z nim zrobisz.

Marlowe wyglądał, jakby analizował jej słowa.

– To coś w hotelu mnie przeraziło.

Alice zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem.

– Za godzinę będziemy na statku. Potem już nigdy tego czegoś nie zobaczymy.

– Właśnie, że zobaczymy.

Chłopiec miał drażniący dar mówienia z niezachwianą pewnością o rzeczach, które się nie wydarzyły. Patrząc na niego, Alice widziała małe bezbronne dziecko i ten widok odciskał trwałe, bolesny ślad w jej sercu, które nigdy nie przepadało za dziećmi, miłością ani związkami międzyludzkimi. Jednocześnie na myśl o tym, co chłopak potrafi, denerwowała się i odczuwała niesmak zupełnie nowego rodzaju. Nie była z natury religijna i nie doszukiwała się w jego darze uzdrawiania żadnych duchowych podtekstów, ponieważ nie potrafiła sobie wyobrazić Boga, który stworzyłby świat tak bardzo pełen cierpienia. Niektórzy naturaliści z Waszyngtonu uważali, że każde stworzenie jest elementem ogólniejszego schematu rozwojowego; że w przeszłości ludzie przypominali małpy, lecz z czasem rozwinęli się i zmienili. Patrząc na Marlowe'a, lepiej rozumiała tę tajemnicę. Przypomniało jej się, jak matka powtarzała, że świat jest pełen cudów, które większość ludzi boi się zobaczyć. „Patrz sercem, nie oczami”, mamrotała, przeczesując zimnymi palcami włosy Alice. Twierdziła, że wystarczy odrobina wiary, by znaleźć to, co cudowne. „Wierzysz?”, pytała. Na co Alice odpowiadała uroczystym tonem: „Wierzę, mam. Naprawdę wierzę”.

Przez całe życie takie wspomnienia tliły się w niej jak płomyk: świadomość istnienia innego świata poza tym jednym, świata, w którym – gdyby tylko zdołała go dostrzec – niemożliwe stałoby się możliwym.

„To, że go nie widzisz, córeczko”, szeptała matka, „nie znaczy wcale, że go nie ma”.

No to teraz go zobaczyła. I uwierzyła.

O brzasku weszli na pokład w tłumie podróżnych i bagażowych wwożących kufry po trapie. Stewardzi w wykrochmalonych białych uniformach witali ich poważnymi skinieniami głowy. Nad portem niesły się krzyki krążących pod szarym niebem mew. Transatlantyk łśnił nowością. Bagaże czekały już na Alice i Marlowe’a w prywatnej kabinie drugiej klasy. Na korytarzach tłoczyli się mężczyźni palący cygara i roześmiane kobiety zasłaniające usta dłońmi w rękawiczkach. Marlowe trzymał się blisko Alice, która czuła na sobie dziwne spojrzenia pasażerów zaskoczonych jej męskim strojem. W kabinie przebrała się w liliową sukienkę z turniurą; czuła się w niej niezręcznie, obcisły strój krępował ruchy.

Marlowe siedział przy oknie i patrzył na przepływające obok statki.

Kiedy statek wypływał z portu, wyszli na pokład razem ze wszystkimi, stanęli przy relingu i patrzyli na zgromadzony tłum. Stada mew przesłaniały niebo, na nabrzeżu szpilki nie dałoby się wcisnąć, taki był ścisk. Pokład przenosił wibracje silników. Huknęło, rzucono serpentyny, syrena statku ryknęła ogłuszająco. Zebrani na nabrzeżu odpowiedzieli głośnymi wiwatami.

Uwagę Marlowe’a przykuł jeden ze zgromadzonych ludzi. Trzymający się z tyłu, w cieniu magazynu, wysoki mężczyzna emanował czarnym dymem i był prawie niewidoczny. Twarz osłonił czarnym szalikiem, który skrywał jego rysy. Miał jedwabny kapelusz, długi czarny płaszcz i czarne rękawiczki. Nienawistnym wzrokiem wpatrywał się w chłopca.

Tymczasem liniowiec zdążył już odejść od nabrzeża. Potężne turbiny jęczały na wstecznym biegu, wciągane kabestanami na pokład cumy ociekały wzburzoną oleistą wodą. Alice wychyliła się przez reling i wyciągała szyję, żeby jak najdłużej widzieć intruza. Wiedziała, kto to taki.

W tej samej chwili ruszył naprzód, z potężną siłą przeciskając się w tłumie gapiów i odprowadzających. Statek oddalał się od lądu, serpentyny frunęły w powietrzu, orkiestra na pokładzie zagrała walca i w końcu w ogólnym zamieszaniu Alice straciła mężczyznę z oczu. Roztaczało się przed nią morze niewinnych, zwyczajnych twarzy, ponad nimi trzepotało mrowie dłoni

w rękawiczkach, a w dali wznosiły się zabudowania Nowego Jorku. Mroczny, nieznajomy przepadł w dymie z kominów statku, który snuł się nad nabrzeżem, rzedł i rozpływał w powietrzu.

Potwory we mgle

Walterze, Walterze, Walterze, zbudź się, Walterze, zbudź się...

Walter Laster kurczowo zaciskał powieki obolałych oczu. Przeświecający przez nie blask i tak był oślepiający.

...chłopiec, Walterze, chłopiec, co z chłopcem, nie skończyłeś tego, co zacząłeś, Walterze...

Bardzo.

Zimno.

Był przemarznięty.

Potrząsnął głową. Policzek i lewe ucho miał oblepione błotem. Wstał, spowity białym światłem dnia, jak stwór wynurzający się z ziemi. Rozejrzał się, mrużąc oczy. Rzeka. Tamiza. Tkwił w mulistym osadzie na brzegu Tamizy, głębokiej, kleistej mazi, która w niczym nie przypominała błota.

...chłopiec, chłopiec, chłopiec, chłopiec...

Ach tak, chłopiec.

Miał znaleźć chłopca.

Usłyszał ściszone gwizdnięcie, potem śmiech. Odwrócił się.

Dzieciaki. Trójka usmarkanych nadrzecznych urwisów z brudnymi, zarumienionymi od zimna gębami, w podwiniętych powyżej kolan obszarpanych spodniach.

Próbował brnąć przed siebie, podskoczył, przewrócił się, wygramolił z błocka. Dzieciaki rozbiegły się ze śmiechem. Jeden rzucił w niego kamieniem.

Pamiętał most w deszczu. Pamiętał, że tonął. Tak, tonął przez długi czas. Kilka dni? Był boso, stopy bolały go z zimna. Ubranie miał sztywne od oblepiającego je

cuchnącego żółtego blocka. Nieco dalej przy brzegu dostrzegł samotną postać w długim połatanym płaszczu i kapeluszu. Brnęła po płyciźnie. Walter ciężkim krokiem ruszył w jej stronę. Próbował sobie przypomnieć coś ważnego. Co to było?

Wiesz, co to jest, Walterze, wiesz, co to jest...

Postać w płaszczu łypnęła na niego podejrzliwie. Stary człowiek miał zapadnięte policzki i bokobrody, cuchnął zjełczalym potem i wyglądał paskudnie.

– Spadaj stąd – syknął na Waltera i machnął ręką w obszarpanym płaszczu. – Sam sobie coś znajdź.

Walter złapał go za kołnierz. Starzec zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękami – w białym świetle dnia, pod białym niebem, tuż przy wznoszącym się nad ich głowami murem nabrzeża. Tego było za wiele, Walter chciał tylko, żeby się uspokoił, więc wcisnął mu twarz w błoto, głęboko, głębiej, jeszcze głębiej. Ręce zamłóciły ostatni raz i znieruchomiały. Wtedy odwrócił mężczyznę na plecy i spojrzał z bliska w oblepioną błotem twarz i wytrzeszczone oczy. Wygarnął maź z bezzębnych ust. Na koniec ściągnął starcowi worek z ramienia, wyłuskał ciało z płaszcza i porzucił je, wpatrzony w niebo. Przedreptał dalej, podniósł sflaczały kapelusz, nałożył go razem z płaszczem, po czym ruszył w stronę odległego mniej więcej dwadzieścia metrów wylotu kanału ściekowego.

Kanał był dostatecznie wysoki, żeby mógł się w nim wyprostować. Środkiem płynęła leniwa struga cuchnącej brei, obrosnięte warstwą brudu ściany były wilgotne. Ciemność przypadła do gustu jego oczom.

Och, Walterze, przyjdź do nas, przyjdź do Jacoba, on przybywa, Jacob przybywa po chłopca...

Jacob. Jego przyjaciel. Chciał znaleźć chłopca dla Jacoba, tak, właśnie o to chodziło. Tak.

Za zakrętem kanał się rozwidłał. Ze wschodniej odnogi dobiegał cichy szmer. Walter wspiał się po krótkiej drabince na platformę ponad głęboką komorą pełną ścieków. Ściana naprzeciwko zdawała się poruszać. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że roi się tam od szczurów.

Dziesięć metrów dalej z odchodzącego w bok korytarza sączyło się chybotliwe światło: samotna świeca skwierczała na spodku, w dziwny sposób tworząc i uwypuklając cienie. Na końcu przejścia stał ogromny stary zbiornik na wodę. Był pusty. Większość wnęk w jego ścianach zajmowali pojękujący i wiercący się przez

sen biedacy. Przez chwilę stał nieruchomo w wejściu. Rozpoznał skuloną w kącie trójkę dzieciaków znad rzeki: teraz już się nie śmiały, obserwowały go tylko podejrzliwie. Potykając się, dobrnął do pustej wnęki, w której leżał zawszony, brudny, skłębiony koc i wcisnął się w nią. Chciał tylko spać. To wszystko. Spać.

Zasnął.

Gdy się obudził, poczuł w ustach dziwny, jakby żelazisty posmak. Dopalająca się świeca migotała resztką sił. Kiedy spał, ktoś wbił mu nóż w pierś i teraz jego trzonek sterczał pomiędzy żeber. Na rękach i koszuli miał zakrzepłą krew. Przy każdym oddechu rękojeść noża unosiła się i opadała chybotliwie. Zmierzył go zdumionym spojrzeniem, a potem powiódł wzrokiem po wnętrzu zbiornika. Było puste. Gdzie oni wszyscy się podziali?

Obiema dłońmi chwycił rękojeść i pociągnął. Nóż powoli wyszedł z rany, a wtedy Walter z wysiłkiem wstał i zobaczył ciała, dziesięć, może dwanaście bezwładnych ciał w łachmanach rzuconych w kąt. Ktoś wylupił im oczy. Krwawe ślady znaczyły posadzkę w miejscach, gdzie wleczono po niej zwłoki. Rozejrzał się ponownie. Nic z tego nie rozumiał.

Wyszedł do ciemnego kanału. Powoli, niepewnie, cofnął się po własnych śladach. Był otępiały, nie mógł zebrać myśli. Na zewnątrz zapadła noc, wszystko osnuwał gęsty opar. Przez jakiś czas stał i patrzył na drugi brzeg rzeki i dziwaczne żółte światła w mglistych aureolach. Po stromych kamiennych schodach wspiął się na nabrzeże. A potem zatrzymał się przed oświetloną witryną i patrzył na widoczny za szkłem manekin. Było mu potwornie zimno. Dlaczego nigdy nie mógł się rozgrzać?

Później znalazł się na podwórku, gdzie powinien być jego wynajęty pokój. Otaczały go zarysy ruin. Dom się zawalił. Z gruzowiska sterczały osmolone belki.

Powiódł dłonią po gładkiej czaszce. Całe ciało miał gładkie, nieowłosione, jak u dziecka. Zagapił się w mgłę, w ciemność, a potem bosy, ślizgając się na kanciastych bryłach gruzu, wrócił w noc.

Chłopiec. Prawie czuł zapach chłopca, ostrą, metaliczną woń w sercu miasta. Kręcił się w miejscu, węsząc.

Jeszcze długo po tym, jak litch wpadł do rzeki, Charlie siedział na środku mostu Blackfriars i kulił się z bólu. Nocny deszcz padał mu na głowę i plaskał o kamienną

balustradę, ciemny bruk i kałuże lśniły upiornie. Nie potrafił opanować dreszczy. Pierś i ramiona paliły go żywym ogniem, z głową zresztą też było coś nie w porządku. Na przemian to przymykał oczy, to się budził, nie wiedząc, gdzie jest. Deszcz zelżał, wreszcie całkiem ustał i wąły, ziarnisty, szary brzask rozsączył się po wilgotnych kamieniach. Dorożki i powozy zaturkotały na moście, pojawili się urzędnicy w ciemnych garniturach i melonikach – omijali Charliego, przestępowali nad nim, nie zwracali na niego uwagi.

Jakiś czas później posterunkowy postukał go pałką w kolano.

– Przejdź się, czarnuchu – powiedział. – Chyba że marzy ci się nocka w pierdlu.

Półprzytomny Charlie wstał z trudem.

– Do portu tędy – dodał posterunkowy ze znudzoną miną. Odwrócił się, spojrzął i pałką wskazał w dół rzeki.

Charlie oddalił się niepewnym krokiem. Niebo jaśniało, zbliżał się ranek. Dookoła rozciągał się labirynt krętych uliczek i ciemnych zaułków, a w nim zamiatacze w łachmanach, konie srające na bruk i makabryczny smród bijący z rynsztoków. Już od ogromu miasta kręciło mu się w głowie.

Pospał trochę we wnęce jakichś spróchniałych drzwi. Kiedy się obudził, gigantyczny szczur łąził mu po stopie. Ukradł pasztecik z mięsem z obwoźnego kramu na skrzyżowaniu, po czym przepchnął się przez gąszcz koni i dorożek na okutych kołach, o włos uniknąwszy rozjechania. Całe ręce i pierś miał jakieś dziwne, opuchnięte, miękkoškóre, bolesne pod dotykiem. A przecież powinien już zacząć się leczyć. Może na szponach litcha był jad, który przeniknął w głąb ciała?

Przespał się w kałuży w zaułku nieopodal rzeki, a gdy się obudził przemoknięty do suchej nitki, znów był ranek. Obok niego przykucnęła bosa dziewczynka w łachmanach. Druga, młodsza, stała z tyłu.

– Ej, ty – zagadnęła pierwsza półgłosem. – Powinieneś wstać, nie? Ej?

Złapała go za pulsującą bólem rękę i pociągnęła. Jęknął, zadygotał i najpierw dźwignął się na czworakach, a potem z trudem stanął na nogi.

– No, już lepiej – stwierdziła i posłała mu uśmiech od ucha do ucha.

Była półkrwi czarna, jak on, ale jeszcze mała, mogła mieć sześć, siedem lat, nie więcej. Włosy miała brudne, twarz umazaną czymś jasnym. Jej młodsza towarzyszka miała długie, skołtunione, mysio brązowawe włosy. Dłubała palcem w nosie, taksowała Charliego wzrokiem i milczała.

– Ja jestem Gilly – powiedziała starsza i znów się uśmiechnęła. – Ona nazywa się Jooj. A ty się tak nie gap, bo wyglądasz gorzej niż my.

Głowę wypełniał mu lepki żar. Chciał coś powiedzieć, ale tylko się zachwiał.

Wzięły go każda za rękę i zaczęły prowadzić w półmrok i zatęchłe cienie Wapping, jakby próbowały zaciągnąć niechętnego gościa do wesołego miasteczka. Cuchnąca rzeka musiała płynąć gdzieś blisko. Od czasu do czasu Gilly i Jooj przystawały, żeby dać mu odpocząć. Opierał się wtedy o oślizły mur i sapał ciężko przez chwilę, a dziewczynki przyglądały mu się z zainteresowaniem. Kiedy indziej zatrzymywały się, aby wygrzebać z rynsztoka guzik lub jakiś kawałek metalu; potem wycierały go do czysta o przód koszuli i ukrywały gdzieś wśród łachów na sobie.

Zaprowadziły go do wnętrza magazynu, którego oblażące z farby koślawe ściany chwiały się i poskrzypywały we mgle. Weszli po rozchwierutanych schodach na piętro, a tam pod ścianą z mnóstwem potrzaskanych okien ujrzał gromadkę dzieci, które zmierzyły go podejrzliwym wzrokiem.

– Do licha, Gilly – odezwał się wysoki chłopak. Był młodszy od Charliego, ale prawie dorównywał mu wzrostem. – A to co za jeden? Nie możesz ot, tak sobie przyprowadzać tu każdej znajdy z ulicy, nie? Co powie pan Plumb?

– Pana Plumba to ja trzymam w garści. – Gilly wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Taaa, jasne.

– Ależ Millard – odezwała się piskliwym głosikiem mniejsza z dziewczynek – zawsze powtarzasz, że potrzebna nam czujka. On się nada.

Wysoki chłopiec podszedł do Charliego. Otaksował go takim spojrzeniem, jakby oglądał kawał mięcha.

– Nazywa się jakoś?

– Pewnie – odparła Gilly. – Rupert.

– Eee tam, żaden z niego Rupert. Nazywasz się Rupert?

Charlie ścisnął obolałą pierś, skrzywił się i osunął na podłogę.

– Co z nim? Ktoś go pochłastał?

– Nie, Rupert jest po prostu trochę słabowity. Musi coś przekąsić.

– Jezu, Gilly, on się wcale nie nazywa Rupert. Weź, spójrz na niego. Jest ranny, krwawi.

Charlie zgrzytnął z bólu zębami i łypnął na kłócące się dzieciaki.

– Charlie... – wyszeptał. – Mam na imię... Charlie.

Millard uśmiechnął się do dziewczynek. Nie miał ani jednego zęba na przedzie.

– Mówiłem.

– Cześć, Charlie. – Gilly przykucnęła. – Nie słuchaj Millarda, on się stale czymś przejmuje. Przejdzie mu.

Chwilę później tuż obok Charliego jak spod ziemi wyrosła Jooj, trzymając sfatygowaną blaszaną miskę. Ze znajdującej się w naczyniu grudy zimnej owsianki sterczała łyżka.

– Masz, jedz – ponagliła Charliego Gilly, wyjmując małej miskę z rąk. – Nie otrujesz się.

Zjadł, znów zasnął, a po przebudzeniu poczuł się trochę lepiej. Przenikliwy ból w piersi i rękach słabł. W magazynie zrobiło się ciemniej, popękane szyby skrzyły się jak od szronu. Siedzący obok Millard obejmował ramionami przyciśnięte do piersi kolana.

– Myślałem, że nie żyjesz – odezwał się z uśmiechem. – Masz. Powinno pomóc.

Podał Charliemu zawiniątko z woskowanego papieru zawierające trzy ciepłe bułeczki. Miały słodki smak. Charlie żuł powoli, przepychał kawałki z jednego policzka w drugi, z trudem przetykał. Myślał coraz trzeźwiej, jaśniej, przytomniej.

– No, już lepiej... – mruknął Millard. – Chce ci się pić?

Dał Charliemu blaszany kubek, z którego Charlie ze zdumieniem pociągnął łyk portera: krzepki, gorzki, sycący. Otarł usta dłonią.

– Jest robota – kontynuował Millard. – Będziesz miał okazję się wykazać. Chodź.

Poprowadził Charliego po schodach z powrotem na dół, do magazynu, gdzie zebrali się mali złodzieje wyposażeni łącznie w cztery przyćmione ślepe lampy. Gilly wyszła mu na spotkanie, otaksowała go wzrokiem i z aprobatą pokiwała głową na widok jego twarzy.

– Gotowi? – zapytał Millard.

Gilly wzruszyła ramionami.

– Pewnie. – Z zainteresowaniem spoglądała na Charliego. – Lepiej się czujesz? Super. Bo będą nam potrzebne twoje patrzyły. Gwizdać umiesz?

– Gwizdać? – powtórzył Charlie.

Obok Gilly zmaterializowała się Jooj, obiera rękami przyciskając lampę do piersi. Skinęła na Charliego.

– Fiuu, fiuu, fiuu – zagwizdała cichutko. – Właśnie tak – podpowiedziała cieniutkim głosem.

– Tak – odparł. – Umiem gwizdać.

– No i git – skomentował Millard. – Jak zobaczysz łapsów, to dasz sygnał: trzy krótkie, szybkie gwizdnięcia, jak przed chwilą Jooj. Kapujesz?

– Zaczekajcie. Dlaczego właśnie ja? Do czego wam jestem potrzebny?

– Ech, Charlie, Charlie... – Gilly spojrzała na niego jak na głuptaska. – Dlatego, że my jesteśmy dziatki, a ty nie.

– Dzatki?

Jooj z zapalem pokiwała głową. Oczy miała wielkie jak spodki.

– No tak – podjął Millard. – Gdybyśmy my tak po prostu stanęli na ulicy i nic nie robili, to łapsy zaraz by się zorientowały, że coś się święci. Ale ty? Ty szukasz pracy.

– Po ciemku? W środku nocy?

Gilly wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Ty chyba od niedawna jesteś w Londynie, co, Charlie?

Noc była gęsta i zimna. Dzieciaki wysypały się w ciemność i rozpierzchły jak szczury. Charlie ruszył za Gilly i oboje podążyli za wąskim snopem światła lampy Jooj, który przerzynał się przez zasnuwające Wapping mgły. Nikogo nie widzieli. Przemykali wąskimi uliczkami po śliskich drewnianych chodnikach, ponad otwartymi rynsztokami, po sfatygowanych schodach i wzdłuż kamiennego muru rozdzielającego brudne, ponure podwórka. Następnie przekradli się przez opuszczony budynek, skręcili w lewo, przebiegli po wilgotnych stopniach, znów skręcili w lewo i przegramolili się przez drewnianą barierkę, która pod ciężarem Charliego się zakolebała. Znaleźli się w błocie pod pomostem. Gilly przytknęła palec do ust. Jooj zasłoniła lampę i po ciemku wyprowadziła ich wolniutko na górę. Część młodocianych złodziejasków czekała już na krańcu pomostu, wpatrzona w rzekę i światła unoszących się na niej barek.

Gilly pociągnęła Charliego za rękaw. Pochylił się.

– Idź w prawo – poleciła mu szeptem. – Tam. Stań na rogu, przy magazynach. Trzymaj się w cieniu. Gwizdnij, jak zobaczysz łapsów.

– A co z tobą i Jooj?

Zniecierpliwiona pokręciła głową.

– Idź już.

Ruszył przed siebie, gdy wtem usłyszał szmer wody. Odwrócił się i zobaczył zbliżającą się do pomostu ciemną łódź popychaną drągami przez cztery drobne, obszarpane postaci. Kiedy podpłynęła dostatecznie blisko, Gilly i pozostała dwójka wskoczyli na pokład. Łódź zakołysała się raz, drugi, a potem ruszyła w długą, powolną drogę do zacumowanej barki.

Tak jak mu kazano, przyczał się w cuchnącym mroku. Mijały minuty. W pewnym momencie na drugim krańcu portu zamajaczyła mu kołysząca się lampa: kluczyła wśród budynków, ale się nie przybliżała. Spojrzał w tamtym kierunku i dostrzegł małe postaci przenoszące drewniane skrzynki; czasem trzeba było siedmiorga, ośmiorga łobuziaków, żeby dźwignąć jedną. Pracowali szybko, sprawnie, zupełnie się nie kryjąc – ktoś gdzieś musiał dostać w łapę. Usłyszał krzyk, zaraz po nim odległy plusk. Przykucnął i wyteżył wzrok: łódź kołysała się wściekle na wodzie, dzieciaki roily się na niej jak mrówki, ale wreszcie ruszyła w drogę, wróciła i zacumowała do pomostu. Skrzynie wyładowano za pomocą sieci podwieszanej do wyciągarki zainstalowanej przez tę część szajki, która została na lądzie, a potem wszyscy razem – po sześcioro naraz – zaczęli przenosić skrzynie pod pomost, gdzie ustawiali je w stopy w gęstym bloku. Przetransportowanie na raty dziewięciu skrzyń do magazynu zajęło im blisko dwie godziny i wymagało ogromnego wysiłku. Charlie z początku zastanawiał się, co takiego ukradli, że tyle waży, wkrótce jednak znużenie i powtarzalność pracy wypchnęły mu z głowy wszelką ciekawość.

Zbliżał się świt, gdy wreszcie wrócili z portu. Wkrótce potem do uszu Charliego dobiegło popiskiwanie okutych żelazem kół i stłumione rzenie konia. Do magazynu weszli dwaj dorośli – wysocy ponurzy mężczyźni w melonikach, spod których wystawały przydługie, przetłuszczone włosy.

– Witajcie, moje dziatki – odezwał się wyższy i chudszy z tej dwójki.

Nikt się nie poruszył.

– To byk – szepnął Millard Charliemu do ucha, ruchem głowy wskazując wysokiego chudzielca, który wyszedł na środek magazynu. Drugi został przy drzwiach. – Siedź cicho. Lepiej, żeby nie zwrócił na ciebie uwagi.

Byk podrapał się po bokobrodach.

– Podjedzie pan tutaj tym wozem, panie Thwaite! – zawołał do swojego towarzysza. – Wygląda na to, że przyszła dostawa. No, no...

Obszedł powoli skrzynki dookoła, licząc je demonstracyjnie.

– Raz, dwa, trzy, cztery, tak, tak, doskonale... pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć. Cudownie. – Odwrócił się do przerażonych łobuziaków i rozpromienił w uśmiechu. – Niech no pomyślę: dziewięć. Dziewięć... dziewięć... – Uniósł w zdumieniu brwi, okręcił się w miejscu, uchylił melonika. – Ale jak to? Nie dziesięć? Czyżbym się pomylił w rachunkach?

– Jedną zgubiliśmy, proszę pana – odezwała się półgłosem Gilly.

Chudy znieruchomiał.

– Że co? Nie dosłyszałem...

– Powiedziała, że jedną zgubiliśmy, proszę pana – powtórzyła głośniejszym głosem Gilly. – Wpadła nam do wody.

Byk natychmiast do niej podszedł. Nogi miał długie i cienkie jak ostrza nożyc, jego sztormiak skrzypiał przy każdym ruchu. Wsparł dłonie na kolanach, zgiął się wpół i pochylił bardzo, bardzo nisko, żeby spojrzeć Gilly prosto w oczy.

– Jedną zgubiliście – powtórzył. – Wpadła wam do wody.

– Zgadza się, panie Plumb.

– Zlecenie było na dziesięć skrzynek, nie? Dobrze mówię, panie Thwaite?

– Na dziesięć, panie Plumb – potwierdził mężczyzna przy drzwiach.

– Jest ich prawie dziesięć – wyszeptała Gilly. – Prawie wszystkie.

– Prawie wszystkie... – Pan Plumb złapał ją za nadgarstek, podniósł do góry chudą rączynę, po czym zaczął odliczać na jej palcach: – Policzmy, nie? Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. Zgadza się? I druga rączka: sześć, siedem, osiem, dziewięć.

Złapał ją za mały palec i wygiął go w tył, w tył, bardzo mocno w tył, aż krzyknęła i sama odchyliła się do tyłu.

– Ale przecież ten mały jest nieważny – mówił dalej. – Nadal masz prawie wszystkie.

Gilly niemal zawisła przed nim w powietrzu. Wydawała się w tej chwili bardzo, bardzo mała. Nikt inny się nie poruszył, nikt nie śmiał się odezwać.

– Nie trzymam was tu z dobroci serca – ciągnął chudy – tylko po to, żebyście wykonywali swoją pracę.

Charlie nie mógł dłużej na to patrzeć. Serce podchodziło mu do gardła, ale wystąpił naprzód.

– Zostaw ją! – zawołał. – To jeszcze dziecko.

Grubszy, ten przy drzwiach, pan Thwaite, przemieścił się płynnie jak cień. Dobyta z fałd jego płaszcza pałka mocno trafiła Charliego z boku w twarz, aż poleciał na podłogę. Świat w oczach chłopca najpierw się przekrzywił, a potem poczerniał. Charlie dyszał ciężko, nie mógł wstać, nie mógł złapać równowagi, dzwoniło mu w uszach.

– A to co za jeden? – Pan Plumb puścił Gilly, która opadła na ziemię, i zwrócił się ku Charliemu. – Jakiś nowy?

– Pan nie zwraca na niego uwagi, panie Plumb – odezwała się Gilly, ściskając obolałą dłoń w drugiej, zdrowej. – Taki tam... głuptasek. A ty zamknij dziób – rzuciła pod adresem Charliego.

Cofnął się, skonsternowany i urażony. Bolała go skroń, czuł spływającą po policzku krew.

– Jak będzie pyskował, to mu wyrwę język – zapowiedział pan Plumb.

– Sama mu go wytnę – zaofiarowała się Gilly.

Pan Plumb parsknął śmiechem.

– A wierzę ci, wierzę, mała rzeźniczko. Prawdziwa z ciebie dzikuska.

Po wyjściu mężczyzn Gilly podbiegła do Charliego. Pałka trafiła go pod okiem, rozcięła skórę i rozkwasiała nos. Potrząsnął głową, ciążyła mu jak bukłak z wodą.

– Twój palec...

– Nieważne – mruknęła Gilly. – Pokaż no się.

Delikatnie ujęła go pod brodę, podniosła mu głowę...

Charlie usłyszał, jak zaparło jej dech w piersi. Zrozumiał w okamgnieniu. Wyrwał się, odsunął, zasłonił policzek dłonią – ale wszystko za późno. Gilly wpatrywała się w niego ze zgrozą.

– Coś ty zrobił? – zapytała szeptem. – Charlie?

Spojrzał na nią ze łzami w oczach.

– To nie jest normalne – wyszeptała i cofnęła się o krok. – Ludzie tak nie mają.

– Gilly...

– Zostaw mnie! – wydarła się zniecierpliwiona Gilly. – Jooj! Zobacz, co się stało z raną Charliego!

Zanim myszkowata Jooj zdążyła się do niej precyzyjnie przycisnąć, pierwszy przez tłumek przepchnął się Millard. Złapał Charliego za głowę i odwrócił ją w jedną stronę, potem w drugą. Dzieciaki tłoczyły się wokół niego: umorusane twarze, wybałuszone oczy.

– A niech to wszyscy diabli... – mruknął Millard. – To jakiś dziwoląg, mówię wam. Potwór normalnie.

Charlie go odepchnął.

– Charlie jest potworem? – zapytała jedna z najmniejszych dziewczynek, może trzyletnia, i się rozpląkała.

– Nie... – zaczął szeptem Charlie.

– To Sprężynowy Jack!^[2] – krzyknął ktoś inny.

Dzieci rozpierchły się z piskiem – wszystkie oprócz Millarda i Gilly. Charlie zatoczył się do tyłu, rozdzierany bólem, złością oraz upokorzeniem. Łypnął złowieszczo na majaczące w półmroku twarze: wyzierały zza beczek, skrzyń, zmurszałych drewnianych filarów. Wszystko to – litch, pościg w ciemności, cios pałką jak wspomnienie dawnego życia w Missisipi, a teraz jeszcze wyzwanie go od dziwolągów i potworów – sprawiło, że wezbrało w nim coś, czego już dawno nie pozwolił sobie odczuwać.

Furia.

– Niech was diabli wezmą! – wykrzyknął do przyglądających mu się obdartusów. – Niech was wszystkich diabli wezmą!

Kopniakiem otworzył drzwi magazynu i ze łzami w oczach wypadł w mrok i mgłę. Biegł przez zimne brukowane ulice, ciemne dróżki, koślawe zaułki i próchniejące kładki. Nad drzwiami pubów płonęły pochodnie w naściennych uchwytach, ale poza tym wszędzie zalegał mrok i gęstniała mgła. Nagle poczuł się nieswojo: oto znów znalazł się w mieście całkiem sam, a przecież gdzieś tam wciąż mógł kryć się przyczajony litch, który go szuka i łązi po murach domów jak bladokóry pająk.

Nie wiedział, jak długo błąkał się bez celu, ale była jeszcze noc, gdy w końcu wyszedł na szeroką brukowaną ulicę, zobaczył omglone latarnie gazowe, usłyszał

śmiech. Mężczyźni w jedwabnych kapeluszach i kobiety w etolach przechadzali się niespiesznie po nabrzeżnej promenadzie. Wrócił nad rzekę. We mgle majaczyły lśniące powozy. Przechodnie obrzucali go niechętnymi spojrzeniami, kiedy przemykał obok, kuląc się i obejmując ramionami. Zdawał sobie sprawę, że wygląda jak ostatni łachmaniarz.

A potem znów znalazł się na jakimś moście. Zatrzymał się przy balustradzie w połowie długości przęsła. Miejsce wydało mu się znajome, nie wiedział jednak, czy to jest ten sam most, na którym stoczył walkę z litchem, czy po prostu wszystkie londyńskie mosty wyglądają tak samo. Zrozpaczony zdał sobie sprawę, że to miasto jest całym światem i choćby nie wiadomo jak długo po nim wędrował, nigdy już nie znajdzie Coultona ani pani Harrogate. Mgła gęstniała wokół niego jak żywa istota, która zamierza go pochwycić i uprowadzić.

I wtedy usłyszał głos. Brzmiał znajomo. Krępy jegomość w meloniku, z bujnymi bokobrodami, narzucił mu płaszcz na ramiona.

– Pan Coulton? – Charlie z niedowierzaniem zamrugał powiekami. – To naprawdę pan?

Coulton odchrząknął.

– Wszędzie cię szukam, chłopcze, po całym tym przeklętym mieście.

– To przez litcha, on...

– Wiem, chłopcze. Wiem.

Nagle Charlie rozkleił się zupełnie i rozplakał. Zadrżał, wstrząsany potężnym szlochem. Coulton tulił go mocno. Ciemna mgła skłębiła się wokół nich, przesnuła dalej po moście Blackfriars i rozplynęła w mroku nocy.

Charlie dał się przytulić i ponieść.

Dokładnie w tym samym czasie na dworcu Charing Cross nieznajomy wysiadł spokojnie z pociągu ekspresowego na peron trzeci. Zostawiał na ziemi ślady czarne jak sadza. Nie miał bagażu. Jego jedwabny kapelusz był pozbawiony połysku, jakby pokryty brudem. Długi czarny płaszcz i czarne rękawiczki zdawały się zasysać całe światło z otoczenia, przez co inni podróżni i bagażowi instynktownie schodzili intruzowi z drogi, żeby się o niego nie otrzeć.

Nie przybył sam. Kilka wagonów dalej z pociągu wysiadła srebrnowłosa kobieta w niebieskiej sukience i szalu. Wysoka, mocno zbudowana, silna – zwracała na

siebie uwagę. Dłonie, nadgarstki i szyję miała pokryte tatuażami.

Ponad ogólny zgiełk wzbily się syczenie pary i szczęk puszcanych w ruch stalowych tłoków. Śledzony przez nią mężczyzna był niebezpieczny, owszem, ale i z nią należało się liczyć. I tak jak wcześniej w Liverpoolu, tak jak kilka tygodni przedtem w ziarnistym porannym mroku nowojorskiego portu, tak jak nawet w Remington, do diaska, niemal miesiąc temu, kiedy to w pożarze spłonął namiot cyrkowy – tak i teraz jakaś jej częśćka marzyła o tym, żeby intruz odwrócił się i na nią spojrzeć. Brynt potrzebowała pretekstu, okazji do tego, by zrobić mu to samo, co on zrobił nieszczęsnemu Feliksowi Foksowi. Miała ochotę własnoręcznie zmiażdżyć mu tchawicę.

Nie odwrócił się jednak, nie dostrzegł, że jest śledzony – po prostu się oddalił, dobrze widoczny w tłumie w swoim jedwabnym kapeluszu. Przepchnął się przez ścisk przy kasach biletowych, przeszedł przez postój dorożek i dalej, szerokim tunelem, aż wyszedł na miasto i zniknął w mętym londyńskim mroku. Brynt wiedziała, że przyjechał po jej chłopca. Tropił małego Marlowe'a.

Przygryzła wargę do krwi. Przystanęła w wyjściu na Charing Cross, rozejrzała się. Ulicą turkotały szkieletowe kształty. W końcu go dostrzegła tuż przed tym, jak przepadł we mgle.

Wyłamała po kolei palce, aż strzeliły jej stawy, i ruszyła za nim.

Nickel Street West 23

Alice Quicke dotarła z chłopcem do Londynu dwadzieścia dwa dni po opuszczeniu Nowego Jorku.

Przechorowała cały rejs: wdychała duszące opary i bardziej czuła obecność Marlowe'a, niż go widziała, kiedy klęczał przy jej koi i w rozszczepionym przez iluminator światło wilgotną ściereczką ocierał jej twarz. Teraz wychudzona i z zapadniętymi oczami pchnęła skrzypiącą furtkę domu przy Nickel Street West i zapukała do drzwi. Adres znalazła w dokumentach otrzymanych od Coultona dawno, dawno temu, na pokładzie parowca wypływającego z Natchez.

Pani Harrogate otworzyła z triumfalnym błyskiem w oku: odziana na czarno, z przesłaniającą twarz czarną woalką i małym, lśniącem srebrnym krzyżykiem na szyi. Prześliznęła się spojrzeniem po Alice i przeniosła wzrok na Marlowe'a.

Za jej plecami było widać kręcących się po salonie robotników: piłowali coś, przybijali, naprawiali rozmaite uszkodzenia.

– Remoncik? – zapytała z przekąsem Alice.

Pani Harrogate odwróciła się, zaklaskała i zaczęła wypraszać robotników.

– No już, już, zbierajcie się, panowie. Kończymy na dzisiaj, dziękuję pięknie.

Nie takiego domu spodziewała się Alice: wewnątrz było pogodne, ciepłe i jasno oświetlone, w salonie stały paprotki w doniczkach, okryte pokrowcami sofy, zbieranina ozdobnych stolików, a nawet – w kącie – fortepian z osłonkami na nogach. Wyglądało na to, że robotnicy byli zajęci wymianą stłuczonej szyby w wykuszu od strony ulicy, kit jeszcze nie wysechł. W ścianach ziały wybite dziury, w podłodze było widać wgniecenia. Przebieg bójki, która musiała się tu rozegrać, był dla Alice oczywisty, jak wypisany wielkimi literami.

Dzień był szary i pochmurny, jak zwykle w Londynie, dlatego nie od razu zobaczyła siedzącego z boku Charliego Ovida: on obserwował ją spokojnie, a ona w ogóle go nie zauważyła, dopóki Marlowe nie puścił jej ręki i nie usiadł obok niego. Huśtając jedną nogą, zerknął nieśmiało na starszego chłopca.

– Witaj, Charlie – powiedziała, zdejmując kapelusz. – Dobrze cię tu widzieć.

Zdobył się na wątle skinienie głową.

– Pan Ovid jest trochę zmęczony – wtrąciła gładko pani Harrogate, wchodząc pomiędzy nich. – Pani zapewne również, panno Quicke. Spodziewaliśmy się was wcześniej.

Alice wzruszyła ramionami.

– Wolno się płynęło.

– Taaak... Na to wygląda.

Kiedy robotnicy wyszli, pani Harrogate zdjęła woalkę, przykucnęła przed Marlowem, ujęła go pod brodę i obróciła jego głowę w jedną stronę, a potem w drugą.

– Marlowe... – mruknęła. – Od dawna cię szukaliśmy, moje dziecko. Jestem pani Harrogate i moje zadanie polega na bezpiecznym dostarczeniu cię tam, gdzie twoje miejsce.

Alice widziała, że chłopiec jest zdenerwowany. Pani Harrogate kazała mu odpiąć szelki i podciągnąć koszulę, obejrzała jego znamię, po czym wyprostowała się nad nim, splotła dłonie na brzuchu i po prostu patrzyła. Alice zmarszczyła brwi, nie wiedziała, co się dzieje. Miała tylko znaleźć chłopca i odstawić go w umówione miejsce, ale teraz złapała się na tym, że reakcja pani Harrogate budzi jej niepokój. Ta kobieta zachowywała się tak, jakby oglądała konia, którego zamierza kupić.

Wtedy jednak pani Harrogate odwróciła się od chłopca, jakby nagle straciła nim zainteresowanie, spokojnym, beznamiętnym tonem spytała, czy są głodni lub zmęczeni, po czym zaprowadziła Alice do nakrytego stołu przy oknie. Całe jej zachowanie wyglądało zupełnie (albo prawie zupełnie) zwyczajnie, a w każdym razie nie miało w sobie nic złowieszczonego ani wyrachowanego i Alice pomału zaczęła się odprężyć. Odmówiła herbaty. Przeczesała palcami włosy, rozruszała zeszywniałą szyję i ramiona, aż w końcu zaczęła opowiadać o nocnej napaści

w Nowym Jorku, o pożarze w cyrku, o chłopcu, który świeci, i wreszcie o swoim uzdrowionym kolanie.

Pani Harrogate słuchała z uwagą, od czasu do czasu tylko mrugając powiekami, ale po wysłuchaniu całej historii spojrzała na Marlowe'a jakoś inaczej, z osobliwą zachłannością, trochę tak jak kot mógłby patrzeć na ptaka. Alice znów się zaniepokoiła.

– Ten człowiek nazywa się Marber – wyjaśniła pani Harrogate, mieszając malutką łyżeczką w filiżance. Nie odrywała oczu od chłopca. – Jacob Marber. Nie jest... taki jak my.

– Co też pani nie powie... – skomentowała z przekąsem Alice.

– Obawialiśmy się z panem Coultonem, że coś takiego może się wydarzyć, kiedy Jacob nie przyszedł po pana Ovida. – Pani Harrogate gwałtownie wciągnęła powietrze przez nos, jakby z wysiłkiem tłumiała złość. – Chcę, by pani wiedziała, że celem działań pana Coultona jest zapobieżenie powtórzeniu się takiej sytuacji w przyszłości. Po to właśnie został zatrudniony. Proszę przyjąć wyrazy ubolewania, panno Quicke, nie powinna być pani zmuszona do stawienia czoła Jacobowi Marberowi.

Alice – która przez całą podróż morską przez Atlantyk, a następnie przejazd pociągiem do Londynu hołubiła swoją złość, podtrzymywała ją w sobie i szykowała do wybuchu – nagle poczuła się zbita z pantałyku i ułagodzona. Sięgnęła po filiżankę herbaty, za którą wcześniej podziękowała.

Jak zwykle po dostarczeniu dziecka otrzymała zapłatę w gotówce: dwadzieścia szeleszczących banknotów w portfelu, który tym razem czekał na nią na jednej z konsol. Pani Harrogate dała jej niedwuznacznie do zrozumienia, że w dalszym ciągu będzie potrzebowała jej usług. Kiedy Alice zakładała kapelusz, szykując się do wyjścia, Marlowe pociągnął ją za rękaw, a gdy się pochylała, szepnął jej do ucha:

– Nie zostawiaj mnie, proszę.

Spojrzała na jego drobną buzię i wielkie ufne oczy.

– Niedługo wrócę – skłamała.

I wyszła we mgłę, nienawidząc siebie, swojego zajęcia, pani Harrogate i Coultona, gdziekolwiek w tej chwili był. Zatrzymała dorożkę i kazała się zawieźć do Deptford. Znalazłszy się u siebie w mieszkaniu, obeszła wszystkie pokoje w poszukiwaniu śladów włamania, ale od jej wyjazdu wewnątrz się nie zmieniło:

było tak samo niechlujne i mroczne, tylko sprzęty pokryły się cieniuteńką warstewką sadzy wciskającej się przez nieszczelne okna. Zeszła na parter, zapłaciła właścicielce za kilka kolejnych miesięcy z góry, po czym wróciła do siebie. Otworzyła szafę, przebrała się w jedną z dwóch czystych koszul i nałożyła nowy kapelusz – po czym zdjęła go i ponownie włożyła stary, przybrudzony po podróży. Spojrzała w lustro i krytycznym wzrokiem obrzuciła nieprzemakalny płaszcz, wyblakły i popękany na szwach. Ściągnęła z półki pudełko z amunicją do peacemakera i napełniła nabojami kieszenie. Przeszło jej przez myśl, żeby zostać w mieszkaniu na noc: panowała w nim przyjemna cisza, łóżko było takie zwyczajne i miękkie... A potem przypomniał jej się Marlowe.

– Niech to szlag! – mruknęła.

Zanim wróciła na Nickel Street West, zapadł wieczór. Wszystkie okna płonęły jasnym światłem.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział do niej Marlowe, gdy tylko weszła do ciepłego salonu.

Jego oczy zdradzały jednak, że wcale nie był tego pewny, i ich wyraz sprawił jej ból. Marlowe zdążył zjeść posiłek, obmyć twarz i przebrać się we flanelową nocną koszulę, która była na niego stanowczo za długa. Siedział obok Charliego Ovida na grubym perskim dywanie pod świeżo oszklonym oknem – może rozmawiali, a może tylko siedzieli, tego Alice nie umiała rozstrzygnąć, ale na jej widok Charlie bez słowa wstał i wyszedł najpierw do jasno oświetlonego holu, a potem na piętro, do swojego pokoju.

Posłała Marlowe'owi znużony uśmiech.

– Przecież mówiłam, że wrócę, prawda? – Gestem ręki wskazała schody, na których zniknął Charlie. – Co z nim? Dobrze się czuje?

– Lubię go. – Marlowe uśmiechnął się nieśmiało. – Jest miły.

Miły. Ona by go tak nie nazwała. Pamiętała, jak w Natchez poderżnął gardło strażnikowi i jak wcześniej wydarł z własnego ciała ostrze noża, które mu do tego posłużyło. Skrzywiła się przelotnie. Nie ulegało wątpliwości, że Charliemu coś się stało, było to widać nie tylko po słabo gojących się śladach na szyi. Jego twarz przybrała nieznaną wcześniej drapieżny, nieszczęśliwy wyraz. Zanotowała w pamięci, żeby go o to zapytać. Jego albo Coultona, gdyby się pojawił. A właśnie, gdzie podziewał się Coulton, u licha?

– Załatwia sprawy – brzmiała cała odpowiedź pani Harrogate.

Zresztą podobnych odpowiedzi udzielała zawsze w przelocie, bo akurat wspinała się na poddasze, gdzie – jak wyjaśniła – trzymała gołębie, nakładała kapelusz i rękawiczki, żeby w pośpiechu wybiec z domu, albo właśnie wróciła ze sklepu z pakunkiem pod pachą i szła do któregoś z pokoiów na drugim piętrze. Minął jeden dzień, potem drugi. Poirytowana Alice nie mogła się oprzeć wrażeniu, że pani Harrogate celowo jej unika, jakby wiedziała, że Alice chce jej zadać pytania, które domagają się odpowiedzi.

Jeśli jednak unikała Alice, to z pewnością nie unikała Marlowe’a. Któregoś mrocznego popołudnia Alice z Marlowe’em przechodzili akurat korytarzem, gdy pani Harrogate zawołała ich do kuchni. Na wiekowym piecu coś gotowało się w ogromnym garze. Stojąca przy długim blacie pani Harrogate bardzo ostrym nożem kroїła marchewki na plasterki – ciach, ciach, ciach – pokrojone wrzucała do garnka i kroїła dalej.

– Co to za instytucja, która nie może zatrudnić kucharki? – zdumiała się Alice.

– Jest różnica między „nie może” a „nie chce” – odparła pani Harrogate. – Służący gadają.

– Ale także gotują – wytknęła jej kąśliwie Alice.

– Powiedz no mi, Marlowe – zagadnęła gospodyni, puszczając jej słowa mimo uszu – jak ci się u nas podoba? Widziałam, że zaprzyjaźniliście się z Charliem.

Stojący tuż za progiem Marlowe w milczeniu kiwnął głową.

Pani Harrogate oderwała się na chwilę od krojenia.

– Nie garb się. No, od razu lepiej. Nie powinniśmy się garbić jak jakieś wałkonie. Powiedz mi, dziecko, czego cię uczyli w tym waszym cyrku? Umiesz czytać?

– Tak, pani Harrogate. – Chłopiec skinął głową.

– Rachować?

– Też.

– Znasz Biblię? Wychowano cię po chrześcijańsku?

Marlowe przygryzł wargę. Poczzerwieniał.

– Rozumiem... – Pani Harrogate wróciła do swojego zajęcia, ale nie odrywała wzroku od chłopca. – Pokaż ręce. Są brudne. Czystość to jedna z największych cnót, moje dziecko. Czy w podróży panna Quicke nie nauczyła cię myć rąk?

– Panna Quicke dobrze się mną opiekowała, pani Harrogate.

– Opiekowała się tobą przez kilka tygodni, a twoje ręce nic a nic się nie zmieniły. Panno Quicke, tu jest Anglia, musi się pani bardziej postarać, żeby pomóc chłopcu wtopić się w tłum. – Pani Harrogate ponownie zwróciła się do chłopca: – Na pewno jesteś ciekawy, dlaczego się tu znalazłeś. Otóż jesteś wyjątkowym chłopcem.

Marlowe dzielnie wytrzymał spojrzenie starszej pani. W wyrazie jego twarzy było coś zawziętego, upartego, przeczącego jego młodemu wiekowi.

– Jestem tu z powodu tego, co potrafię – powiedział. – Jest więcej dzieci takich jak ja. Mam je poznać.

– Trzeba ci wiedzieć, że te inne dzieci nie są dokładnie takie jak ty – odparła pani Harrogate, starannie dobierając słowa. Wyszła do przyległej spiżarki i wróciła z niej z porcją ziemniaków. – Chociaż one również mają pewne niezwykle zdolności i podobnie jak ty są talentami. Tak to nazywamy.

– Talenty – mruknął Marlowe, wypróbując nowe słowo.

– Niedługo wyruszymy na północ, do Instytutu, gdzie poznasz doktora Berghasta. Wiesz, kto to taki?

– Nie, pani Harrogate.

– Jest twoim opiekunem. Twoją rodziną.

Alice zmarszczyła brwi. To było coś nowego.

Marlowe patrzył na panią Harrogate bez cienia lęku.

– Nie musi pani kłamać – powiedział. – Wiem, że nie ma żadnej rodziny, która mnie szuka.

– Kto ci tak powiedział, moje dziecko?

– To nic złego, pani Harrogate. Bywa tak, że rodzinę wybieramy sobie sami.

– Kto ci powiedział, że nie masz rodziny?

Alice poczuła, że Marlowe po omacku szuka jej dłoni. Było oczywiste, że nie chce jej zdradzić, ale nie wiedział, jak inaczej odpowiedzieć na to pytanie.

– Ja – powiedziała.

Pani Harrogate spochmurniała. W tej chwili zdawała się emanować chłodną natarczywością, prawie jakby roztaczała własną woń.

– Panna Quicke się myli, chłopcze – odparła cichym, niebezpiecznym głosem. Mówiąc, gestykulowała ręką z nożem, który wykonywał w powietrzu płynne figury taneczne. – Prawdą jest, że zostałeś adoptowany, ale to niczego nie zmienia. Zapewniam cię, że twój ojciec naprawdę istnieje i wprost nie może się doczekać waszego spotkania. Twoja niania uprowadziła cię, kiedy byłeś niemowlęciem, wykradła cię nocą z Instytutu Cairndale.

– Mój... ojciec... – Marlowe jakby sprawdzał smak tego słowa na języku, wypróbował je, testował.

– Tak. Miałeś ojca. Do czasu gdy, jak wspomniałam, zostałeś porwany.

– Dlaczego ktoś miałby mnie porywać?

– Dlatego, że człowiek nazwiskiem Jacob Marber zamierzał cię zabić – odparła rzeczowo pani Harrogate. – Już wcześniej próbował to zrobić. Nie smuć się tak, nie było w tym żadnej twojej winy. Byłeś wtedy jeszcze zupełnie malutki. Jacob Marber wychował się w Cairndale, ale nie nauczył się ostrożności w posługiwaniu się swoją zdolnością. Przed wielu laty jego młodszy brat zginął w odległym mieście z ręki okrutnego człowieka. Ta strata zniszczyła Jacoba. Żałoba i nienawiść są ze sobą blisko spokrewnione. Kiedy w tamtą straszliwą noc przyszedł po ciebie, twoja niania bała się, że nikt w Cairndale nie zdoła cię ochronić. Postąpiła niegodziwie, zabierając cię stamtąd, ale słusznie obawiała się Jacoba Marbera.

Marlowe słuchał jak urzeczony.

– Potem... coś się wydarzyło. Niania zmarła, nie zdążywszy cię odwiedzić z powrotem, a ty zostałeś znaleziony w wagonie kolejowym przez obcą kobietę. Zabrała cię i wyglądało na to, że straciliśmy cię na zawsze. Nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało, ale nie wiedział tego także Jacob Marber. Nie mogąc cię znaleźć, ostatecznie sam przepadł bez śladu. Tak to wyglądało z punktu widzenia twojego ojca, doktora Berghasta. Wraz z twoim zniknięciem stracił resztkę rodziny, ale dzielnie to zniósł. Cechują go niezwykła siła i determinacja. O Jacobie słuch zaginął na lata, ale wszystko wskazuje na to, że teraz i on wrócił. Twój ojciec, co zrozumiałe, lęka się o twoje bezpieczeństwo. Musimy zawieźć cię do Cairndale.

– To Jacob Marber próbował nas skrzywdzić w hotelu, prawda? – spytał półgłosem Marlowe. – To on jest potworem z dymu.

– „Potwór” to dość skrajne określenie. – Twarz pani Harrogate jaśniała w łagodnym kuchennym świetle. – Ale zdajesz sobie sprawę, że Jacob w dalszym

ciągu chce cię skrzywdzić?

– Tak, proszę pani.

– Wobec tego rozumiesz też, jak ważne, byś przebywał tutaj z nami, a także jak najszybciej odbył podróż na północ. Tam będziesz bezpieczny. Jacob Marber nie może wejść do Instytutu.

– Dlaczego?

– Ponieważ Instytut jest... chroniony.

Marlowe wyraźnie się wzdrygnął.

– Pani Harrogate? Jaki jest mój ojciec?

Jej oczy zabłysły.

– Przebiegły jak sam diabeł. Wkrótce go poznasz, wtedy sam się przekonasz. Tymczasem mam nadzieję, że oboje chętnie zjecie trochę potrawki, hm?

Od tej pory Alice wolała nie zostawiać Marlowe'a samego. Wielki dom był zbyt duży dla tak nielicznych mieszkańców. Wspólna sypialnia Charliego i Marlowe'a na drugim piętrze była ogromna i nieprzytulna: koronkowe pokrowce na nogach krzeseł i klamce w drzwiach, ozdobna sofa u stóp łóżka, ściany zdobione grubą jedwabną tapetą. Chłopcy spali w łóżku z kolumienkami, skuleni i przytuleni jak bracia, którzy zawsze mogą na siebie liczyć. Alice nabrała zwyczaju zarywania nocy, żeby popatrzeć, jak śpią. Dostała własny pokój, dość osobliwy, ze zgromadzonym pod jedną ze ścian stosem dziwacznych urządzeń z mnóstwem kół (była to, jak wyjaśniła jej pani Harrogate, pozostałość po staraniach jej męża zmierzających do zbudowania maszyny lokucyjnej), które w ciemnościach przybierały upiorne kształty. Alice zresztą i bez tego źle sypiała, często budziła się z przeświadczeniem, że w pokoju jest coś jeszcze, jakaś przyczajona zła istota, która nieustannie ją obserwuje. Dlatego wolała siedzieć u chłopców. Pani Harrogate sypiała w pokoju na końcu korytarza, zawsze przy uchylonych drzwiach, jakby bała się, że po zmroku może wydarzyć się coś niespodziewanego. Już pierwszej nocy spędzonej przy Nickel Street West Alice znalazła na trzecim piętrze ramę łóżka, upchnięty w szafie poplamiony siennik oraz powiązane w supły sznury. Nie odkryła jednak żadnych wskazówek odnośnie do ich przeznaczenia.

A Coulton w dalszym ciągu się nie pojawił.

Ślady pazurów na szyi Charliego płonęły – tak to przynajmniej odczuwał, kiedy leżał w półmroku sypialni, wpatrzony w dekoracyjne stiuki na suficie, i starał się nie myśleć.

Rany dawno powinny były się zagoić.

Upłynęło już kilka dni, odkąd wrócił, a on wciąż nie wydobrał. Kiedy pan Coulton odstawił go na Nickel Street West, Charlie zaczął się trząść, na co pani Harrogate natychmiast kazała mu się położyć. Tamtej pierwszej nocy usiadła przy jego łóżku, a on – zaskoczony jej delikatnością – o wszystkim jej opowiedział. Żadna jego częśćka nie chciała zaufać drugiemu człowiekowi, ale po tym, jak naoglądał się przeróżnych niezwykłości, było mu ciężko, bardzo ciężko w dalszym ciągu nikogo nie potrzebować. Od tamtej pory ani słowem nie wspomniał o litchu.

Na szczęście litch chwilowo zniknął: nie pojawił się w domu, a pani Harrogate nie napomykała o nim w rozmowach. Tylko Coulton od razu wyszedł z powrotem do miasta w zapiętym pod szyję nieprzemakalnym płaszczu, z rewolwerem w kieszeni i praktycznie się nie pokazywał – nawet wtedy, gdy zjawiała się jego towarzyska, panna Alice. Po tym właśnie Charlie poznał, że Coulton poluje na litcha w tych okropnych, ociekających mgłą zaułkach.

Leżał w pościeli i czuł bliski oddech tego nowego chłopca. Marlowe, tak się nazywał. W obecności dorosłych prawie się nie odzywał, za to kiedy zostawali sami, opowiadał o życiu w cyrku, o swojej ogromnej wytatuowanej opiekunce, nawet trochę o tym, co się wydarzyło w pensjonacie w Nowym Jorku. O napaści. Mówił, że czuje się okropnie samotny i boi się wielkiego miasta, a trzeciej nocy opowiedział Charliemu o swoim przybranym ojcu, który czeka na niego w Cairndale. Bardzo chciał go poznać. Charlie słuchał go z półprzymkniętymi powiekami, nie wspominając ani słowem o własnych przeżyciach, matce i ojcu, którego nie znał i nigdy już nie pozna. Mały wpatrywał się w niego wyczekująco, tak jakby Charlie mógł mieć dla niego jakieś odpowiedzi, jakby wiedział coś o świecie, w który mimowolnie wpadli, jakby mógł zapewnić mu bezpieczeństwo. Marlowe był jeszcze dzieckiem, chociaż zachowywał się tak, jakby nie zdawał sobie z tego sprawy. Zdarzało mu się zakładać lewy but na prawą nogę i prawy na lewą. Któregoś ranka zapomniał zapiąć rozporek.

Może przez makabryczne przeżycia, spotkanie z litchem i jego pazurami, a może z powodu poczucia zagubienia w mieście wielkim jak cały świat – tak czy inaczej, kiedy Charlie po powrocie został na chwilę sam, zrobił coś, czego nigdy

przedtem nie robił. Wziął z biurka pani Harrogate nożyk do otwierania listów, rozorał sobie nim nogę i nie zważając na ból, tak długo grzebał w mięśniach uda, aż wyłuskał z nich srebrny pierścionek po matce. Sygnet nie był ani delikatny, ani kobiecy. Prawdę mówiąc, wyglądał dość dziwnie jak na pierścionek panny młodej. Kiedy rana się zasklepiała, Charlie wytarł srebro do czysta, przesunął palcami po ozdobnych rytach i spróbował włożyć pierścionek: był przymały, właściwie wchodził tylko na palec serdeczny, a i na nim mocno się trzymał. Charlie go zdjął i przyjrzał się z bliska zdobiącemu go herbowi, dwóm skrzyżowanym młotom na tle ognistego słońca. Myślał o matce, o potworze, który go zaatakował, i próbował sobie wyobrazić zimną północną twierdzę Cairndale, do której miał się udać. Wiedział, że jego ojciec miał z nią coś wspólnego, sygnet był tego najlepszym dowodem. Na północy czekała pogrzebana prawda o tym, kim był jego ojciec i co się z nim stało. Charlie poprzysiągł sobie, że ją odkryje.

Od tamtej pory nocami leżał w łóżku, nie śpiąc, z pierścionkiem założonym na palec i zwróconym do wnętrza dłoni, w które wrzynał się niczym ściskany w rękę talizman. I właśnie w jedną z takich nocy z zadumy wyrwał go szept tego nowego, Marlowe'a:

– Charlie?

Charlie ani drgnął, ale Marlowe nie dał się zwieść.

– Charlie, wiem, że nie śpisz.

– Śpię – odparł szeptem Charlie. – Ty też śpij.

– Widzę, jak mrugasz powiekami.

Charlie przesunął się i odwrócił głowę. Marlowe gapił się na niego.

– Śpię – powtórzył Charlie.

– Jak to śpisz? Przecież rozmawiamy.

– Mówię przez sen. Tak już mam.

– Wcale nie śpisz – orzekł Marlowe.

Charlie z westchnieniem zamknął oczy. Na podeście schodów panna Alice i pani Harrogate rozmawiały przyciszonymi głosami. Wiedział, że panna Alice zwykła siadywać przy ich łóżku i przyglądać im się we śnie. Odgłosy jej obecności przyjmował z wdzięcznością i zarazem ich nienawidził, ale fakty były takie, że kiedy nie było jej w pokoju, nie mógł zasnąć.

Marlowe odchrząknął cicho.

– Charlie? – zagadnął szeptem.

– Co? – Charlie otworzył oczy.

– Ty też jedziesz do Szkocji? Do Instytutu?

– Przecież wiesz, że tak.

– Pani Harrogate mówi, że tam jest mój ojciec i że się spotkamy. Może twój też tam będzie.

– Mój ojciec nie żyje, mówiłem ci już. – Charlie skrzywił się, obrócił i podparł na łokciu. Mocno zacisnął dłoń z pierścionkiem matki. – Nigdy przedtem nie widziałeś ojca?

– Nie.

– To skąd będziesz wiedział, że to naprawdę on?

Marlowe przez chwilę w milczeniu przetrwał to pytanie.

– Zorientuję się – odparł w końcu. – Zresztą on i tak nie jest moim prawdziwym ojcem, tylko... opiekunem. A rodzinę się wybiera. Brynt jest moją rodziną. Tylko że została daleko stąd.

Charlie spojrzał na niego.

– Widzisz, Mar, ja w ogóle nie mam rodziny i jakoś sobie radzę.

– Moim zdaniem to smutne.

– Myślisz tak, bo jesteś jeszcze mały. A to wcale nie jest smutne. W ogóle nie jest ani takie, ani siakie.

– Nie jestem mały. Ile masz lat?

– Nie wiem. Szesnaście.

– Nie wiesz, ile masz lat?

– Szesnaście, przecież mówię.

– Ja mam osiem.

– Gratuluję – powiedział Charlie i więcej się nie odezwał.

Marlowe też długo milczał, aż Charlie zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zasnął albo nie poczuł się potraktowany zbyt obcesowo, ale wtedy chłopiec przysunął się do niego w ciemności i objął go ramieniem. Było miękkie, ciepłe i niewiarygodnie lekkie. Dawno już nikt nie dotykał Charliego z taką delikatnością. Nie wiedział, jak zareagować. Serce pędziło mu jak oszalałe.

- Jesteś taki sam jak ja – wymamrotał sennie Marlowe.
- Wcale nie – zaprzeczył Charlie. – Jestem zupełnie inny.
- No właśnie jesteś inny – zgodził się dzieciak. – Tak jak ja.

I zasnął wtulony w Charliego. Jego skóra pachniała mlekiem. Cała ta scena miała w sobie takie ciepło i słodcz, że Charlie pierwszy raz, odkąd wrócił do domu przy Nickel Street West – a może nawet pierwszy raz, odkąd pamiętał – po prostu zamknął spokojnie oczy i chwilę później już spał.

Późno, bardzo późno w nocy wrócił Coulton. Potknął się przy wejściu. Dom był cichy i ciemny, chłopcy spokojnie spali. Marlowe zarzucił jedną rękę na ciało Charliego, który zwinął się w kłębek wokół poduszki.

Alice usłyszała otwierające się i zamykające drzwi wejściowe, potem powolne, ciężkie kroki Coultona na schodach. Rozpoznawszy je, zaczęła wstawać, ale kiedy dotarły na piętro, znieruchomiała i nadstawiła ucha. Głuchy łoskot, potem przeciągłe, ciche chrobotanie: Coulton włókł coś dyskretnie do sypialni w głębi korytarza. Chwilę potem dał się słyszeć ściszony głos pani Harrogate.

Alice wstała. W domu było ciemno, ale odgłos wleczonego po podłodze ciała rozpoznała bezbłędnie. Nie złościła się już, niezupełnie. Przez ostatnie dwa dni jej gniew ostygł i przemienił się w coś innego, coś twardego, ostrego i ponurego, ale przede wszystkim miała dość sekretów. Zeszła piętro niżej i usiadła na parapecie witrażowego okna przy schodach, żeby tam zaczekać na Coultona. Pierwsza zjawiła się jednak pani Harrogate: zeszła bezszelestnie, ubrana w czarną wdowią sukienkę, niosąc zapaloną świecę na spodeczku.

– Nazywa się – odezwała się półgłosem, stanąwszy na podeście schodów – Walter Laster.

Alice zmierzyła ją spokojnym wzrokiem.

- I też jest sierotą?
- Nie. Walter jest... czymś innym.

Czarne, surowe oczy pani Harrogate załśniły w świetle. Kiedy tak stała, spodek ze świecą zdawał się unosić przed nią w powietrzu. Jej zniekształcona twarz była pełna cieni, dziwaczna, niezwykła.

- Skąd znacie nazwiska dzieci? – zapytała zniecierpliwiona Alice.
- No tak. Pan Coulton uprzedzał, że będzie miała pani pytania.

Alice puściła tę uwagę mimo uszu.

– Cały czas się nad tym głowię – ciągnęła – ale nie potrafię nic wymyślić. Charlie Ovid nie istnieje, nie ma go w żadnym rejestrze. Proszę nie zaprzeczać. A Marlowe to znajda z pociągu towarowego. Nikt na świecie nie umiałby wytropić takiego dziecka.

– A jednak ktoś to potrafi – zauważyła rzeczowo pani Harrogate.

– Panią to bawi?

– Ani trochę.

– Chyba nadeszła pora, by mi pani wszystko opowiedziała.

– Pochlebia mi pani wiara w moje możliwości. Nie wiem wszystkiego.

Także i te słowa Alice postanowiła zignorować.

– Na początek proszę mi powiedzieć, co to za diabelstwo śledziło nas w Nowym Jorku. I niech mi pani nie wmawia, że Jacob Marber w czymkolwiek przypomina Marlowe’a albo Charliego, bo to nieprawda.

Pani Harrogate długo milczała, jakby wążąc w duchu jakąś decyzję.

– Późno już – orzekła w końcu.

Zaprowadziła jednak Alice do swojego gabinetu naprzeciw salonu i zamknęła za nimi drzwi. Alice, która nigdy przedtem nie widziała tego pokoju, była zaskoczona zapachem dymu fajkowego w powietrzu, obitymi ciemną skórą meblami, olbrzymim biurkiem – wszystko było utrzymane raczej w męskim stylu. Pani Harrogate przełożyła świecę do starej lampy i gabinet nabrał miękkości w jej łagodnym blasku. Za biurkiem znajdował się wygaszony kominek. Pani Harrogate podeszła do stojącego obok kosza na węgiel, sięgnęła dalej, jakby w głąb ściany, i wyjęła stamtąd butelkę. Następnie przyniosła z kredensu dwie filizanki i do obu naląła whisky na grubość palca. Otaksowała Alice wzrokiem.

– Dobrze – powiedziała. – Dość zagadek. – W jej dłoni pojawiła się moneta, szyling, którą najpierw zręcznie przełożyła między palcami po wierzchu dłoni, a potem podniosła do światła. – Wszystko na świecie ma dwie strony, tak jak moneta ma awers i rewers – zaczęła półgłosem. – Zazwyczaj jedna strona jest widoczna, druga ukryta. Wyobraźmy sobie jednak, że awers i rewers są widoczne jednocześnie, a strona ukryta jest w istocie trzecią stroną, znajdującą się we wnętrzu monety. Żywi i martwi są właśnie jak awers i rewers monety, która

jednak ma jeszcze trzecią stronę. Tą trzecią stroną są te dzieci. Talenty, jak je nazywamy.

– Mówiła pani, że kończymy z zagadkami...

Pani Harrogate uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Jacob Marber, który prześladował was w Nowym Jorku, też był niegdyś talentem, wcale nie tak bardzo różnym od Marlowe’a czy Charlesa. Był pyłowładcą. Dostał się jednak pod wpływ istoty skrajnie złej i niegodziwej. Ta istota ma wiele imion, my nazywamy ją drughrem. Jest, a właściwie była... Rety, jak to wytłumaczyć? – Wydeła usta. – Talenty, panno Quicke, są czymś w rodzaju pomostu łączącego to, co żywe, z tym, co martwe. Istnieją pomiędzy znanymi nam stanami egzystencji, pomiędzy światami, można by powiedzieć. Drughr jest plugawym wypaczeniem tej idei, mrocznym talentem, którego żywa część... zniknęła.

– I w Nowym Jorku zaatakował nas...

– W Nowym Jorku to był Jacob Marber, nie drughr.

– Ale Marber wypełniał wolę drughra?

– Tak. Jest jego sługą.

– A o co właściwie chodzi temu całemu... drughrowi?

– O dzieci – odpowiedziała pani Harrogate wprost. – Pożera je.

Alice, która właśnie zamierzała się napić, zamarła z filiżanką przy ustach. Z jej gardła dobył się gniewny dźwięk, coś pośredniego między śmiechem a warknięciem.

– Musi pani zrozumieć, że choć drughr nie jest istotą z krwi i kości, to jednak podlega rozkładowi. Musi się pożywiać, żeby... podtrzymać swój byt. Kiedy nabierze dość sił, będzie mógł bez przeszkód przemierzać nasz świat i karmić się talentami, starymi i młodymi.

– To jakiś obłąd – wyszeptała Alice.

– Trzydzieści lat temu czułam się tak samo. – Pani Harrogate zmarszczyła brwi.

– Zapomniałam już, jakie to wszystko wydało mi się wtedy dziwaczne.

Alice odwróciła wzrok. Wróciła pamięcią do pierwszego spotkania z panią Harrogate w pokoju hotelowym. Próbowwała jakoś połączyć nowe fakty z tym, co jej powiedziano wtedy, przy okazji werbunku. Coś sobie przypominała.

– Moja matka... – zaczęła, starannie dobierając słowa. – Powiedziała pani, że to z powodu tego, co się z nią stało, co zobaczyła, postanowiliście mnie odszukać. – Z wysiłkiem przełknęła ślinę. – Wy... wiedzieliście.

– Owszem.

– Wiedzieliście, co zobaczyła tego dnia, gdy Adra Norn wyszła z płomieni cała i zdrowa. Moja matka doświadczyła cudu. Czy Adra była jedną z waszych... Czy była jak inne sieroty? Była talentem?

Pani Harrogate wygładziła sukienkę na kolanach.

– I tak już za dużo powiedziałam – odparła niechętnie. – Więcej dowie się pani od doktora Berghasta.

– Od doktora Berghasta...

– W Instytucie. Doktor Berghast wie, co się wydarzyło we wspólnocie Adry Norn.

Opadające włosy przesłoniły twarz pani Harrogate. Kiedy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał inaczej, ozięblej, bardziej oficjalnie, jakby nagle nabrała dystansu.

– Z samego rana wyruszymy do Cairndale – zapowiedziała. – Wszyscy. Pan Coulton zasugerował, że już czas, by poznała pani szczegóły naszej działalności, a ja się z nim zgadzam. Proszę udać się z nami na północ, będzie pani mogła wypytać doktora Berghasta o wszystko.

– Nie wybieram się do Szkocji – odparła Alice.

Pani Harrogate wstała. Spojrzała w dal ponad ramieniem swojej rozmówczyni, która, odwróciwszy się, stwierdziła, że Coulton był w pokoju i trzymając się w cieniu, śledził ich rozmowę. Nie wiedziała, od jak dawna tam stoi.

– Proszę odpocząć, panno Quicke – poradziła jej pani Harrogate. Filizanki brzęknęły w jej dłoni, butelka zniknęła w fałdach sukienki. – Mam nadzieję, że zmieni pani zdanie. Ekspres odjeżdża wcześniej rano, nie wypada się spóźnić. – I wyszła.

Coulton jęknął przeciągle, podszedł i usadowił się na jej miejscu. Zdaniem Alice wyglądał fatalnie, twarz miał poszarzałą ze zmęczenia i wyżłobioną głębokimi zmarszczkami.

– Psiakrew! – mruknął. – Najchętniej przespałbym cały tydzień bez przerwy. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Ale miło mi panią widzieć.

– Nie rozmawiacie z panią Harrogate? – Alice zmierzyła go badawczym spojrzeniem. – Pokłóciliście się?

– Między nami wszystko jest w porządku. – Coulton zamknął oczy i przycisnął palcami powieki. – Albo będzie. Po prostu czasem trzeba tyle powiedzieć, że nie wiadomo, od czego zacząć. Nie dogadujemy się w kwestii staruszka Lastera. Ale, ale: widzę, że Marlowe jest cały i zdrowy.

– Jest w lepszym stanie niż Charlie.

– Co prawda, to prawda. Biedny chłopak.

– Marlowe go polubił.

– Tak jak pani Marlowe’a.

Na to Alice nie znalazła odpowiedzi. Znała chłopca od nieco ponad miesiąca, a już budził w niej intensywne uczucia: troskę i lęk na przemian z obezwładniającą miłością. Takie przywiązanie zupełnie nie było w jej stylu.

– Jest mi go żal – odparła w końcu.

– Mhm.

Coulton przyglądał jej się z uwagą, a ona zastanawiała się, o czym myśli. Pochylił się, otworzył szklane drzwiczki lampy i przypalił krótkie cygaro.

– Margaret mówi, że widziała pani Jacoba Marbera. W Nowym Jorku.

– Na to wygląda. – Alice skinęła głową.

– Spodziewałem się, że wyprawi się po Charliego.

– Skąd mógł pan o tym wiedzieć?

Coulton zmierzył ją wzrokiem. W pomarańczowym blasku lampy cienie pełgały mu po twarzy.

– To moja wina – przyznał. – Przepraszam. Znałem go dawno temu. Można by powiedzieć, że współpracowaliśmy. Razem tropiliśmy nieszczęsne dzieciaki. Wtedy był zupełnie inny, nie poznałaby go pani. Delikatny. Nieśmiały. Zawsze mu powtarzałem, że nadałby się na księdza. A jakie miał zręczne, długie palce... Jak pianista. Kobiety się nimi zachwycały, co nieustannie wprawiało go w zakłopotanie.

– Wcześniej mówił pan, że ledwie go znał.

Spojrzał jej prosto w oczy, bez cienia skrępowania.

– Niektórych tajemnic po prostu się nie zdradza, sama pani powinna to wiedzieć najlepiej.

– Czy cokolwiek z tego, co pan o nim powiedział, było prawdą?

– Owszem. Jacob naprawdę poczuł się zdradzony. Miał o to pretensje do wszystkich, do mnie chyba największe. Ale prawda jest taka, że wtedy już służył innemu panu. To nie żadna tragedia tak go zmieniła, tylko on sam. Bo taki właśnie był.

– Innemu panu... Ma pan na myśli drughra.

Długo patrzył na nią bez słowa.

– Margaret zwykle nie jest taka gadatliwa – zauważył w końcu.

Posłała mu niewesoły uśmiezek.

– Byłam bardzo grzeczna.

Odpowiedział jej takim samym uśmiechem.

– Owszem – podjął. – Jacob stał się sługą drughra. Ale wcześniej był talentem, pyłowladcą, tak nazywamy ten typ. Wyszukiwane przez nas dzieciaki nie są jedynymi, które potrafią różne rzeczy.

Coś w tonie głosu Coultona dało Alice do myślenia. On tymczasem rozsiadł się wygodniej, a jego twarz zniknęła w cieniu. Było widać tylko koniuszek cygara, który na przemian rozżarzał się i przygasał.

– W Natchez nazwała pani Charliego potworem – przypomniał wciąż ukryty przed jej wzrokiem. – Wszystkich ich pani tak nazwała. Skoro tak, to ja również jestem potworem.

Przełknęła ślinę.

– Jest pan taki jak... oni?

– Owszem.

Słyszając brzemie smutku w jego głosie, nagle zaczęła się zastanawiać, jak wiele widział w życiu. Przez co musiał przejść. Nic o nim nie wiedziała. O co mu teraz chodziło? Jaki miał dar? Też potrafił ukryć nóż w głębi ciała? Wpatrzona w swoje dłonie zmagala się ze sobą. Bardzo chciała zapytać i równie mocno starała się tego nie zrobić.

– Obiecałam sobie, że to ostatni raz – przyznała wreszcie. – Że odstawię Marlowe'a bezpiecznie do Londynu i na tym koniec. Nie potrzebuję tej pracy. Nie

chcę jej, jeśli nie mogę się dowiedzieć, o co tu chodzi.

– Może więc powinna się pani dowiedzieć.

Odwróciła wzrok. Nagle ogarnęło ją zmęczenie. W domu panowała cisza. Pomyślała o Marlowie śpiącym na górze u boku Charliego.

– Harrogate wyjęła wcześniej butelkę whisky z za tego kosza z węglem – powiedziała. – Myśli pan, że trzyma ich tam więcej?

Coulton pochylił się do przodu, światło znów padło na jego rumianą twarz. Z uśmiechem przygryzł cygaro.

– Znam tę butelkę. Jest tylko jedna. – Spojrzał Alice w oczy. Spoważniał. – Proszę posłuchać: jeżeli chce pani poznać odpowiedzi, znajdzie je pani w Szkocji. Musi pani tam pojechać. Margaret już panią zaprosiła?

Alice skinęła głową.

– To proszę jechać z nami.

– Do Cairndale – powiedziała półgłosem, jakby do siebie.

– Otóż to. – Coulton zaciągnął się głęboko i zatrzymał dym w płucach. Oczy mu zabłyśły. – Do Cairndale, psiakrew.

Cisza przed burzą

Nadal było ciemno, gdy Brynt w ślad za potworem dotarła na dworzec St Pancras. Stojąc wśród tłumu urzędników spieszących do miasta do pracy, patrzyła, jak kupuje bilet, a potem podeszła do tego samego biletera i zapytała go o cel podróży mężczyzny w czarnym płaszczu. Bileter zdjął okulary, zmarszczył brwi i spojrzał na nią dziwnym wzrokiem. Na rękach miała żółte rękawiczki z kozłej skóry – zrobił je dla niej na zamówienie rękawicznik w Toledo, by mogła ukryć tatuaże w kraju pełnym katolickich chłopów. Poza tym była ubrana w swoją jedyną przyzwoitą sukienkę (trudno było jej zdobyć coś w odpowiednim rozmiarze), która już zaczęła się robić przybrudzona pod pachami, a utyłana w zaschniętym błocie halka wisiała na jej wychudzonej sylwetce jak na wieszaku. Brynt nie spuściła jednak wzroku, tylko zażyczyła sobie biletu na ten sam pociąg. Ostatecznie kasjer tylko wzruszył ramionami i wypisał jej bilet do Horsechester.

– To daleko? – zapytała.

– Z pięćdziesiąt kilometrów na północ od Londynu, nie więcej. To urocza wioseczka.

Wciąż panował półmrok przed świtem i gdy spiesznie szła po peronie, potwora nie było nigdzie widać. Nagle dostrzegła go, wspinającego się po schodach pociągu i znikającego w wagonie ze świetlikami w podwyższonym dachu. Przepchnęła się przez tłum i wsiadła do wagonu trzeciej klasy w poszukiwaniu miejsca przy oknie i blisko wyjścia. Wagon świecił pustkami, zastała w nim tylko mężczyznę w tweedach, który niespiesznie obierał scyzorykiem cebulę, oraz guwernantkę z podopiecznym siedzącą w milczeniu, z rękami na podołkach. Chłopiec boleśnie przypominał jej Marlowe’a.

W Horsechester potwór wysiadł otulony parującą z niego ciemnością. Z twarzą zasłoniętą szalikiem, obojętny na zaniepokojone spojrzenia innych pasażerów, wyszedł z małej stacyjki na oblewane brzaskiem brukowane ulice sielankowej miejscowości. Brynt – zawzięta, a teraz na dodatek także głodna – ruszyła za nim.

Słońce rozkrwawiało się na wschodzie, a on szedł przez łąki: samotna mroczna postać w miejskim ubraniu. Brynt śledziła go ostrożnie pełna lęku. Nie miała pojęcia, co on planuje. Szła wzdłuż torów biegnących wśród pól, a gdy wynurzyła się z za ślepego zakrętu w miejscu, gdzie kolej objeżdżała wzgórze, stwierdziła, że potwór nieoczekiwanie się zatrzymał. Stał wśród wysokich traw z rękami zwieszonymi u boków.

Brynt skuliła się w zaroślach pięćdziesiąt metrów za jego plecami.

W powietrzu niosło się bzyczenie owadów. Wiał chłodny wiatr. Bezchmurne poranne niebo poblękitniało. Od czasu do czasu przejeżdżał pociąg. Południe nadeszło i minęło, popołudnie przeszło w wieczór, ten ściemniał do zmierzchu, a potwór wciąż stał nieruchomo.

Brynt od czasu do czasu zmieniała pozycję: najpierw dokuczały jej drętwiejące nogi, potem zaczęły ją boleć plecy. Zapadła noc i zrobiło się zimno. Marnie spała, a gdy noc wreszcie zaczęła mieć się ku końcowi, przejęta zgrozą spodziewała się, że potwór zniknął – ale on wciąż stał w tym samym miejscu powyżej biegnących w wykopie torów, mroczna, cierpliwa, nieruchoma sylwetka.

Sytuacja napawała ją coraz większym niepokojem. Wczesnym rankiem pod ponownie błękitnym niebem zamajaczył widoczny za zakrętem, ponad drzewami, pióropusz dymu z komina lokomotywy. Brynt czuła, że coś się zmieniło, nie umiała jednak powiedzieć, co dokładnie. Wkrótce usłyszała pociąg, miarowy i szybki mechaniczny łoskot, a chwilę potem niebezpiecznie blisko rozległ się przenikliwy świst gwizdka. Odwróciwszy się, stwierdziła, że potwór zszedł na tory.

Pociąg wynurzył się z za zakrętu – ekspres pasażerski mknął z niewiarygodną prędkością, wściekły kłęb ognia, dymu, lśniącej zieleni i błyszczących złotych liter. Serce podeszło Brynt do gardła.

Pociąg pędził, gwizdząc przeraźliwie.

Potwór rozłożył szeroko ręce.

Brynt zerwała się na równe nogi.

Nie odskoczył, w ogóle się nie poruszył i lokomotywa w tumanach czarnego dymu i sadzy wpadła prosto w niego, przejechała przez miejsce, w którym stał. Dym rozpostarł się wokół niej jak wielkie czarne skrzydła, po czym – zassany pędem pociągu – opadł z powrotem i otulił ciemnością ją, tender i ozdobne drewniane wagony pasażerskie, by w końcu rozwiać się i rozplynać w powietrzu. Brynt stwierdziła, że potwór zniknął, po prostu zniknął, bez reszty unicestwiony. Dudniąca, rozdygotana masa metalu wyhamowała z ogłuszającym zgrzytem mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej, wśród snopów iskier tryskających spod dociśniętych potężnymi hamulcami kół.

Brynt puściła się biegiem.

Panna Quicke obudziła się pierwsza. Przy Nickel Street West 23 wszyscy wstali rozespani i rozdrażnieni. Po omacku odbyli poranne ablucje, zeszli na parter, zjedli nędzne śniadanie i wyszli do czekających dwóch dorożek – Margaret przezornie zamówiła drugi pojazd, którym miał jechać dyskretnie przemycony Walter, ale Charlie i tak go zobaczył, a wtedy na jego twarzy odmalowały się strach i poczucie zdrady.

Odjechali o czasie. Po godzinie od wyruszenia z Londynu wagonem gwałtownie szarpnęło, zatrzęsło i cały pociąg zaczął z przeciągłym jękiem hamować. Kufry i walizki z łoskotem spadały na podłogę, pisk hamulców trwał bardzo długo. Zaniepokojona Margaret złapała się parapetu, żeby nie stracić równowagi, i spojrzała podejrzliwie na Waltera. On jednak – poszarzały na twarzy, osłabiony i spętany sznurem – nadal był oszołomiony i spokojnie przysypiał na siedzeniu naprzeciwko. Nawet nie drgnął. Na wszelki wypadek sprawdziła węzły, zanim podeszła do okna i rozsunęła zasłonki. Jechali z Walterem w przedziale sypialnym znajdującym się blisko końca składu, tuż przed wagonem bagażowym. Drugi przedział, na przeciwległym krańcu pociągu, a więc na początku składu, był przeznaczony dla chłopców, Coultona i panny Quicke.

Pociąg zatrzymał się na zakręcie i przez okno było widać lśniącą lokomotywę, figurkę ubranego w kombinezon maszynisty, który wyskoczył z kabiny, obłok czarnego dymu z komina. Żywiła szczerą nadzieję, że pociąg się nie wykoleił. Rozkłady jazdy były od tego, żeby się ich trzymać.

Chwilę później ktoś zapukał do drzwi przedziału.

Coulton, któżby inny. Od razu zerknął spoде łba na związanego Waltera.

– Wszystko w porządku?

– Powinien pan być z dziećmi – wytknęła mu. – Pańskim zadaniem jest bezpieczne dostarczenie ich do Cairndale.

– Wiem. – Znów tylko prześliznął się po niej wzrokiem i spojrzął na litcha. – Znam swoje obowiązki, ale musimy porozmawiać.

– Nie tutaj.

Wypchnęła grubianina za drzwi, w boczny korytarzyk, po czym zasunęła drzwi przedziału i zamknęła je na klucz. Ściskając mosiężny kluczyk w jednej ręce, splotła dłoń z przodu.

– Słucham. Jeśli chodzi o Waltera Lastera, to nie mam ochoty o nim rozmawiać. Ta sprawa jest zamknięta, panie Coulton. Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Nie wiem. – Coulton zamrugał, zbity z tropu. – Proszę posłuchać...

– Uderzyliśmy w coś? Coś leżało na torach?

– Nie wiem, Margaret...

– Jeżeli spóźnimy się na przesiadkę, będę nad wyraz niezadowolona.

– Do diabła, Margaret! – zachnął się Coulton. – Dajże mi coś powiedzieć.

Zmarszczyła z dezaprobatą brwi, rozejrzała się po korytarzu, wreszcie spojrzała Coultonowi w oczy.

– Wydaje mi się, że dość już dałam panu powiedzieć, panie Coulton – odparła celowo ściszonegłosie. – W dodatku nadzwyczaj niestosownym językiem.

– Wcale nie.

– Wcale nie co?

– Wcale nie dość. Walter powiedział mi, że Jacob jest w drodze i że będzie wiedział, jak go znaleźć.

Niezadowolona Margaret rozdęła nozdrza i uniosła podbródek.

– Wątpię – oznajmiła.

– Uważa pani, że to niemożliwe? Czy po prostu chciałyby pani, żeby tak było?

– Sam pan powiedział, że Walter raczył się opium i był nim praktycznie odurzony.

– To jeszcze nie znaczy, że kłamał.

– Jedziemy do Instytutu, panie Coulton. Jacob Marber nie mógłby przechwycić Waltera, nawet gdyby wiedział, jak to zrobić. Nie ma go w pociągu.

Coulton spochmurniał.

– To prawda – przyznał jej niechętnie rację.

Już zamierzała odejść, ale w ostatniej chwili się zawahała.

– Coś jeszcze?

Coulton poczerwieniał.

– Jeszcze nie jest za późno na zmianę kursu. Jeżeli Jacob faktycznie szuka tego drania, to może mieć jakiś sposób, żeby go znaleźć, rozumie pani. Podąży za nim na północ. Może powinienem zabrać Waltera i pojechać dalej innym pociągiem?

– To zły pomysł.

– Jak nie ja, to może pani? Wszystko jedno. Odseparowalibyśmy go od dzieci. Widziała pani, co zrobił z Charliem.

Na te słowa Margaret poczuła ukłucie żalu. Wierzyła w siłę opium, myślała także, że więzy są mocniejsze. Dlatego teraz zwiększyła dawkę i poprawiła węzły, a przede wszystkim zamierzała przez całą drogę na krok nie odstępować litcha. To powinno wystarczyć. A ponieważ i tak nie wiedzieli, kiedy Jacob Marber się zjawi, zależało jej na jak najszybszym zamknięciu Waltera za murami Cairndale.

Za oknem mignął jej konduktor w niebieskim mundurze i czapce z daszkiem: szedł przez wysoką trawę i machał do kogoś. Część pasażerów również wysiadła: wspinali się na zbocza wykopu, palili fajki, rozmawiali, grzali się w słońcu.

Pokręciła głową.

– Co dokładnie pan proponuje, panie Coulton? – spytała półgłosem. – Mamy wywlec Waltera z pociągu i zanieść go na najbliższą stację? Kto to robi, pan? Zostawi pan dzieci? Czy może ja, słynna ze swojej siły fizycznej? Nie, mój panie, obawiam się, że jest o wiele za późno na „zmiannę kursu”, jak to pan ujął. Proszę wracać do swojego przedziału.

Coulton podrapał się po bokobrodach. Margaret nie była zachwycona sposobem, w jaki na nią patrzył. Jakby był nią rozczarowany.

– Jeśli coś się tym dzieciakom stanie – zapowiedział posępnym głosem – będzie pani musiała z tym żyć.

W przedziale na przedzie pociągu Charlie Ovid z dłonią opartą o szybę patrzył, jak maszynista z konduktorami cofają się po torach, zagląдают pod koła wagonów, nogami rozgarniają pożółkłe wybujałe chwasty. Jasnoniebieskie niebo, chmury jak kłębuszki waty – prawie zapomniiał, jak wygląda świat z dala od mglistego Londynu. Koźle rękawiczki Coultona leżące na krzyż na półmatowym mahoniowym siedzeniu przypominały o jego nieobecności. U góry – siatkowa półka na kapelusze i parasole. Nowoczesny przedział zaopatrzone w przesuwane dębowe drzwi prowadzące do wewnętrznego korytarza. Charlie błędził wzrokiem po ozdobnej ciemnej boazerii i koronkowych firankach przesłaniających szybę w drzwiach. Marlowe przyciskał twarz do okna i z zainteresowaniem śledził poczynania ludzi na zewnątrz.

– Lokomotywa musiała w coś uderzyć i tyle. – Alice oparła palce na powiekach i zamknęła oczy. Zsunęła kapelusz na czoło. – Pewnie w jakąś owcę. Nic złego się nie dzieje, spokojnie.

– Zagląдают pod wagony – powiedział chłopak.

Charlie zmarszczył brwi. Coś było nie tak, czuł to wyraźnie.

– Dokąd poszedł pan Coulton, panno Quicke? – zapytał cicho.

– Wiesz, dokąd poszedł – odparła, tkwiąc w bezruchu.

– Poszedł zapytać o coś panią Harrogate – wtrącił Marlowe. – Tak powiedział, zanim wyszedł.

Charlie nerwowo oblizwał wargi. Wiedział, kogo zabrała w podróż pani Harrogate i dlaczego jedzie w innym wagonie. Kiedy przykuła go do krzesła w pokoju badań, wyjaśniła, że robi to dla własnego bezpieczeństwa. Rozumiał ten rodzaj lęku.

– Coś długo go nie ma, prawda?

– Dwanaście minut, Charlie. – Panna Quicke podniosła kapelusz i uchyliła jedno oko. – Spróbuj się przespać.

W tej samej chwili wagonem szarpnęło, rozległ się głośny zgrzyt, lokomotywa wydała trzy przeraźliwe gwizdnięcia i powoli, bardzo powoli pociąg ruszył. Z początku toczył się w ledwie spacerowym tempie, a potem odgłosy pracującej maszynierii zaczęły powtarzać się coraz szybciej i szybciej, w miarę jak się rozpędzał. Zielone pola rozplywały się za oknami.

– Widzisz? – odezwała się znowu Alice. – Nie było się czym przejmować.

Ale złe przeczucie zamiast opuścić Charliego, tylko się wzmogło. Patrzył na siedzącą naprzeciwko Alice: w długim nieprzemakalnym płaszczu przywodziła na myśl właścicielkę rancza. Wiedział, że w leżącej na półce walizeczce trzyma rewolwer. Widział, jak go czyści i zawija w ceratę, zauważył, jak jej dłoń na chwilę zawisła nad bronią – i już wiedział, jaką jest osobą. Wcale go to nie uspokoiło.

Nagle Marlowe zeszywniał. Alice musiała coś wyczuć, bo zdjęła kapelusz z twarzy, usiadła prosto i spojrzała na niego z uwagą. Chłopiec odsunął się od okna, podszedł do drzwi i przyłożył do nich dłoń.

– O co chodzi? – spytała Alice. – Co się stało?

Pociąg nabierał prędkości, wszyscy zgodnie kołysali się w rytm jego podskoków.

– To on – wyszeptał przerażony Marlowe. – Znalazł nas. Jest tutaj.

Świecący chłopiec

Pociąg ruszył.

Z początku niepewnie, nierówno, szarpiąc, ale w końcu potoczył się po szynach. W wąskim bocznym korytarzu Margaret Harrogate zatoczyła się na Coultona. Widoczne za oknem pole zaczęło się z wolna przesuwać. Była zmęczona i zirytowana – także dlatego, że jakaś jej część musiała przyznać Coultonowi rację. Dobrze przynajmniej, że przestał się z nią kłócić. A może po prostu zrezygnował z prób jej przekonania. Chwilami bywał wprost nieznośnie pewny siebie.

Nagle uniósł stwardniałą od odcisków dłoń, odwrócił głowę w bok i zaczął nasłuchiwać. Okna i okucia podzwaniały cicho, przez podłogę niósł się turkot kół na łączeniach szyn. Oparła się ręką o ścianę i obserwowała jego tęgą, rumianą twarz. Zamrugał.

– Co się stało? – spytała.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Wydawało mi się, że coś słyszę.

Spojrzała ponad jego ramieniem w głąb korytarza, w stronę przedziału, w którym zostawiła litcha. Drzwi w dalszym ciągu były zamknięte, niebieskie zasłonki w oknie zaciągnięte. Cętki światła i cienia przemknęły po nich i zniknęły, gdy pociąg wyjechał z dąbrowy na otwarty teren.

I wtedy usłyszeli krzyk.

Dobiegał z jednego z przedziałów. Margaret okręciła się w miejscu z głośnym szelestem czarnej sukienki, biegiem dopadła do swojego przedziału, przekręciła kluczyk w zamku i otworzyła przesuwane drzwi.

Na obiciu zajmowanego przez litcha siedzenia zostały plamy. Przegryzione, wystrzępione sznury leżały skłębione w nieładzie. Z zasłon na oknie zostały strzępy szarpane silnymi podmuchami powietrza. Podeszła do wysokiego okna: było otwarte na oścież. Wiatr targał jej włosy.

– Niech to szlag! – warknęła.

Coulton splunął.

– Jak on się przez to przecisnął, u diabła?

Kolejny krzyk rozległ się po sąsiedzku. Coulton natychmiast cofnął się na korytarz i zdążył raz grzmotnąć pięścią w drzwi przedziału obok, zanim potargana młoda kobieta w okularach i nauczycielskiej bluzce wypadła z krzykiem prosto w jego ramiona.

– Boże! Boże! O mój Boże! – powtarzała.

– Na wszystko, co święte, uspokój się, dziecko! – zrugła ją Margaret. – Mówże do rzeczy.

Zapłakana dziewczyna bełkotała jednak bez ładu i składu. Twarz miała popielatoszarą.

– Okno, za oknem, był za oknem, tam, za oknem...

Powiedziała wystarczająco dużo. Coulton odsunął ją – roztrzęsioną i wtuloną w niego – jakby przestawiał worek ziemniaków, z kieszeni płaszcza wyjął peacemakera, poruszył masywnymi ramionami, żeby je rozluźnić, i wszedł do przedziału. Margaret deptała mu po piętach, ale i ten przedział okazał się pusty: poduszczyk na szpilki, tamborek z haftem upuszczony w panice na podłogę, turlające się pod oknem nadgryzione zielone jabłko. Coulton zdał z głowy melonik, wychylił się przez okno i mrużąc oczy, spojrzał najpierw do przodu, pod wiatr, a potem w przeciwnym kierunku.

– I co? – spytała niecierpliwie.

Była wściekła na siebie. Zrobiła wszystko, co przyszło jej do głowy, żeby zapobiec powtórzeniu się tej sytuacji.

– Skurczybyk zniknął! – odkrzyknął Coulton z twarzą nadal smaganą wiatrem, zanim cofnął się z powrotem do przedziału. – Wypadł, wyskoczył... Trudno powiedzieć.

– Nie wyskoczył – stwierdziła stanowczo Margaret. – Nadal jest w pociągu.

Coulton otworzył bębenek rewolweru, sprawdził, czy jest naładowany, i zatrzasnął go z powrotem.

– W porządku – mruknął, biorąc do ręki melonik.

Nagle znieruchomiał.

– Słucham – powiedziała Margaret z goryczą w głosie. – Śmiało, proszę mi wytknąć, że nie miałam racji. Nie powinnam była tego robić.

Pokręcił głową.

– To nie pani wina.

Zmarszczyła brwi i zabrała mu broń. Z wprawą uniosła ją do oka i spojrzała wzdłuż lufy.

– To ja zabrałam go do pociągu – odparła – więc owszem, to moja wina.

Otworzyła drzwi i zobaczyła niezadowolonych pasażerów, którzy zdążyli się zebrać na korytarzu, głównie mężczyzn w jedwabnych kapeluszach, podsuwających chusteczki zapłakanej kobiecie. Przeciskający się przez tłum konduktor dopytywał się, co się stało.

Odwróciła się do Coultona, położyła mu dłoń na nadgarstku.

– Proszę zadbać o bezpieczeństwo dzieci. Jeżeli kogoś szuka, to w pierwszej kolejności właśnie ich.

Coulton skinął głową.

– A pani?

Spojrzała mu w oczy i poprawiła zawieszony na szyi krzyżyk.

– Ja to zakończę – odparła ze złością.

W przedziale drugiej klasy w wagonie na początku składu Alice zaciągnęła zasłony w oknie. Zapadł półmrok. Głowiła się nad tym, co Marlowe miał na myśli, mówiąc: „Znalazł nas. Jest tutaj”.

– Ale kto? O kim on mówi? – zapytał Charlie. Stał na środku przedziału, chwiejąc się na nogach w rytm kołysania wagonu i niepotrzebnie zajmując miejsce. – Czyba nie Walter Laster? Pani Harrogate mówiła, że Walter się nie obudzi.

– Walter... Laster? – powtórzyła Alice.

– Walter. Litch.

Alice podeszła do drzwi i zamknęła je na zamek. Następnie zdjęła z półki swoją walizkę, wyjęła zawinięty w ceratę rewolwer i otworzyła skórzaną sakiewkę z nabojami. Starannie naładowała broń, starając się uspokoić myśli. Walter Laster: to on musiał towarzyszyć pani Harrogate w ostatnim wagonie. Człowiek, którego poprzedniej nocy Coulton przywłókł do domu.

– Pani Harrogate mówi, że jest martwy – mówił tymczasem Charlie. – Martwy i jednocześnie żywy. – Miał przyspieszony oddech, niemal dyszał ze strachu. – Musimy stąd wyjść. Musimy uciekać. Ja go widziałem, ma takie długie zęby, chodzi po ścianach jak pająk, a jego skóra jest zupełnie biała... – Zaczął się szarpać z drzwiami, aż szyba zaklekotała w oprawie.

– Drzwi są zamknięte, Charlie – przypomniała mu Alice, usiłując go uspokoić. – Nikt tu nie wejdzie, a pan Coulton niedługo wróci. Wszystko będzie dobrze.

– Nic nie będzie dobrze – odparł chłopak, ale przestał się mocować z drzwiami. – Pani nie rozumie, czym on jest. Nie jest człowiekiem. – Jego głos przybrał piskliwy ton. – Nic nie jest w stanie mnie zranić, panno Alice. Nic. Ale on? O tak, jemu się udało. – Rozpiął mankiety koszuli i podwinął rękawy. Na jego przedramionach widniały po cztery głębokie ślady pazurów. Wyglądały, jakby wdała się w nie infekcja. – Pani Harrogate powiedziała, że jest martwy. Jaki trup mógłby zrobić coś takiego?

– Trup, który potrzebuje dodatkowej zachęty, żeby naprawdę umrzeć. Na przykład kuli prosto w oko. – Alice spojrzała na Marlowe'a. – To o nim mówiłeś? O Walterze Lasterze?

– Nie – odparł szeptem Marlowe. Oczy wychodziły mu z orbit.

– A o kim?

– O tym drugim. Tym z hotelu.

Alice zamarła w bezruchu.

– Jacob Marber jest w pociągu?

Chłopiec skinął głową.

– I wie, że my też tu jesteśmy – dodał głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Czekali. Minuty płynęły. Charlie i Marlowe sprawiali wrażenie coraz bardziej przerażonych. Coulton nie wracał. Za drzwiami zaległa gęsta, stłamszona cisza, jakby wagon opustoszał albo wszyscy pasażerowie zapadli w głęboki sen.

Od czasu do czasu Alice unosiła rąbek zasłonki i wyglądała na korytarz. Nic się tam nie działo, zupełnie nic. Coulton nie przyszedł, konduktor się nie zjawił.

Za jej plecami Charlie Ovid uchylił zasłony na oknie. Jechali przez peryferia jakiegoś szarego ośrodka przemysłowego: przybrudzone sadzą ceglane mury, żelazne balustrady powykrzywiane jak w męczarniach, tuzin kominów plujących w niebo brunatnymi plamami, zmatowiałe od sadzy dachy. I już opuszczali miasto, kierując się na północ, na wyżej położony teren.

Coulton powinien był już dawno wrócić. Cisza stała się upiorna, ale przynajmniej dało się w niej wyraźnie słyszeć trzask otwieranych zewnętrznych drzwi korytarza, przez chwilę łoskot kół na szynach, a potem szcęk drzwi przy zamknięciu. I ciężkie, powolne kroki – przybliżające się jednak od czoła pociągu, od strony wagonu obsługi i znajdującej się przed nim lokomotywy. Alice zmarszczyła brwi, przesiadła się na miejsce zwrócone przodem do kierunku jazdy i ostrożnie uchyliła zasłonki.

I natychmiast ze zgrozą zasłoniła okno z powrotem.

To był on.

Czarny płaszcz, kapelusz i rękawiczki dymiły mrokiem ciemnym jak sadza. Był wysoki, chudy, ale zarazem barczysty. Nosił gęstą czarną brodę, starannie przystrzyżoną wzdłuż linii żuchwy. Szedł z głową zwróconą w bok, zaglądając do kolejnych przedziałów, i Alice nie widziała jego oczu. W miarę jak posuwał się naprzód, cały wagon zdawał się tonąć w coraz głębszych ciemnościach. Charlie z Marlowe'em siedzieli zupełnie nieruchomo, wpatrzeni w Alice, ciekawi, co wyczytają z jej twarzy. Spojrzała im w oczy. Nie próbowała ukrywać prawdy. Serce waliło jej jak młotem.

– To on – wyszeptał Marlowe.

Nie odpowiedziała. Rozejrzała się po niewielkim przedziale, siatkowych półkach, mahoniowej okładzinie drzwi. Spojrzała na trzymany w ręce rewolwer i schowała go do kieszeni płaszcza. Podeszła do okna, przez chwilę się z nim mocowała, w końcu udało jej się je otworzyć. Zassane pędem powietrza zasłonki trzepotały o zewnętrzną ścianę wagonu. Wyjrzała na zewnątrz, mrużąc oczy. Wiatr przyklejał jej włosy do głowy.

Przez całą długość wagonu nad oknami biegła poręcz, a u dołu ciąg wąskich występów, które od biedy nadałyby się na stopnie. Będą musiały wystarczyć.

Zakręciło jej się w głowie. Cofnęła się do przedziału.

– Szybko, musimy przenieść się na tył pociągu. Pospieszcie się.

Charlie spojrzał z niepokojem na Marlowe'a.

– On nie powinien wychodzić przez okno jadącego pociągu, panno Alice. Jest za mały.

Ale Alice już w pośpiechu zapinała chłopcu płaszczyk. Zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem i z zadowoleniem skinęła głową.

– Trzymaj się mnie – poleciła mu – i pod żadnym pozorem nie puszczaj. Rozumiesz? Chcę, żebyś zamknął oczy i nie otwierał ich, dopóki nie przedostaniemy się do następnego wagonu. Tak jak to było w hotelu. Dasz radę?

Marlowe spojrzał z lękiem na zamknięte drzwi: rzadki czarny dym przesączał się z wolna przez szpary wokół ich krawędzi.

– Marlowe? – ponagliła go szeptem.

– Dobrze – powiedział.

Złożyła kapelusz, wcisnęła go do kieszeni, zapięła płaszcz, odgarnęła włosy z twarzy i związała je tak, żeby nie przeszkadzały. Położyła ręce na ramionach Charliego.

– Dasz radę, Charlie.

Pokiwał głową.

– Nawet jak spadnę, to nie zrobię sobie wielkiej krzywdy – odparł szeptem.

Cały przedział zadygotał, gdy ktoś zapukał cicho do drzwi. Przesunęli się pod okno. Nie było czasu do stracenia. „Gdzie, do diabła, podział się Coulton?”

Przytulila do piersi Marlowe'a, który splótł drobne rączki na jej karku, i wyszła przez okno. Gwałtowny podmuch uderzył w nią z przyprawiającym o zawroty głowy hukiem i omal jej nie strącił. Zacisnęła dłonie na poręczy nad oknem i powoli zaczęła się przemieszczać na tył wagonu. Pęd powietrza popychał ją w pożądanym kierunku. Pod jej nogami przesypane tłuczniem podkłady rozmazywały się w jednolitą plamę. Charlie, zwinny i szybki, najpierw usiadł na oknie i zwiesił nogi na zewnątrz, a następnie wyszedł w ślad za nią.

Marlowe cały się trząsł, wtuliwszy drobną buzię w jej pierś.

– Wszystko będzie dobrze – szeptała mu do ucha. – Wszystko będzie dobrze.

Zaglądała przez okna do kolejnych mijanych przedziałów. Z jakiegoś niepojętego powodu wszystkie były puste.

Dotarła niemal na koniec wagonu, gdy coś czarnego i twardego zrykoszetowało tuż obok niej o ścianę. Obejrzała się za siebie. Jacob Marber również przywarł do zewnętrznej ściany, na przedzie wagonu. Był bez kapelusza. Kiedy patrzyła na niego zdumiona, zaczął powoli, bokiem, przybliżać się do nich, przekładając na poręczy okryte rękawiczkami dłonie. Jego miękkie buty ślizgały się na prowizorycznych stopniach. Wiatr zwiewał mu włosy na twarz, ukrywając ją, lecz Alice czuła jego złowrogie spojrzenie i wiedziała, że wpatruje się natarczywie w Marlowe'a i Charliego.

– Charlie! – zawołała. Chłopaka dzieliło od niej co najmniej trzy metry. – Szybciej!

Otulający Marbera długi płaszcz łopotał wśród ryku pędzącego powietrza i wyciągał się ku nim jak macka ciemności.

Znajdujący się przy końcu składu wagon bagażowy był cichy i ciemny. Jedyne światło – blada strużka szarzyzny – wpadało przez dwa wyniesione nad poziom dachu wywietrzniki. Margaret Harrogate skradała się wśród stosów kufrów, walizek i powiązanych sznurową siecią bezkształtnych worków, wsłuchana w miarowy turkot pociągu, by wylapać jakikolwiek inny dźwięk. W ręce trzymała rewolwer Coultona.

Na środku wagonu zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Nic.

– Walter? – odezwała się niezbyt głośno. – Walterze drogi, to ja, pani Harrogate.

Był blisko, wiedziała, że jest blisko, czuła jego obecność, chociaż nie umiałaby wyjaśnić, jak to możliwe. Spokojnie ruszyła dalej. Jej gniew się ulotnił, strach zniknął. Niczego nie odczuwała. W półmroku majaczyły niewyraźne kształty: pakunki, torby, kosze.

Dotarłszy na drugi koniec wagonu, odblokowała zasuwkę i otworzyła przesuwane drzwi. Łoskot kół na szynach zabrzmiał ogłuszająco. Wyszła na platformę, zwinnie pokonała barierkę dzielącą ją od sprzęgu, wspięła się na platformę ostatniego wagonu w składzie, po czym – wśród świstu powietrza i głośnego szelestu spódnic – otworzyła drzwi. Był to wagon pocztowy. Zamek został wyrwany z oprawy.

Potężny przeciąg poderwał z podłogi chmurę kawałków papieru, które uniosły się w powietrzu niczym konfetti. Pochodziły z porozdzieranych worków z pocztą.

Z głośnym metalicznym łoskotem zamknęła za sobą drzwi i wtedy, w tej osobliwej śnieżycy, dostrzegła Waltera: siedział skulony w kącie naprzeciw wejścia z głową odwróconą w bok. Był bez koszuli, przez co dobrze widać było sterczące mu pod skórą łopatki i połyskujące w półmroku wypukłości kręgosłupa. Nie miał też butów. Nie wiedzieć skąd dobiegało osobliwe ciche turkotanie, jakby noży przesypujących się w szufladzie.

Schowała rewolwer za plecami.

– Walterze – przemówiła spokojnym tonem. – Tu jest zimno. Nie marzniesz?

Na dźwięk jej głosu zamarł w bezruchu. Nie odwrócił się w jej stronę. Uszy sterczały mu po bokach gładkiej, bezwłosej głowy jak para pokręteł. Wzburzone skrawki papieru wolno opadały na podłogę. Dopiero teraz Margaret spostrzegła, że litch nad czymś się pochyla. Podeszła bliżej i zobaczyła parę znoszonych brązowych butów (jeden był rozsznurowany) i wystające z nich owłosione nogi. Urzędnik pocztowy.

– Walterze... – odezwała się, usiłując ukryć gniew. – To nadzwyczaj niestosowne.

Wreszcie się poruszył: przegramolił się przez ciało i wśliznął głębiej w cień, po czym podniósł głowę. Usta miał umazane krwią, która wielką czerwoną plamą ściekła dalej, na białą nieowłosioną pierś. Szczekał długimi zębami. Zwróciła uwagę, że źrenice ma rozszerzone, a oczy zdawały się zupełnie czarne, jakby wciąż był pod wpływem opium.

– Jacob wie o chłopcu – wymamrotał.

Margaret znieruchomiała.

– Przybywa. – Jego głos brzmiał jak szuranie sznura wleczonego po kamieniu. – Jest coraz bliżej. – Obnażył zęby w grymasie, który wyglądał jak uśmiech, ale równie dobrze mógł być zupełnie nieświadomy. – Pamiętam panią, pani Harrogate. Jacob o pani opowiadał. O pani i o wspaniałym panu Coultonie.

Serce podeszło jej do gardła. Zaczęła kręcić głowę. Wydawał się tak spokojny, do tego stopnia pogrążony w zadumie, że przeszył ją dreszcz. Trzymając rewolwer za plecami, z największą ostrożnością kciukiem odwiodła kurek.

– Jacob Marber nie przyjdzie – odparła stanowczym tonem. – To mak mąci ci w głowie. Jacob cię zostawił, Walterze, zostawił cię samego w tym okropnym

mieście. To ja cię znalazłam, nie Jacob. To byłam ja. Ale dość tych bzdur, pójdiesz teraz ze mną. Pomogę ci.

Przekrzywił głowę, jakby się nad tym zastanawiał, ale ten gest nie miał w sobie nic ludzkiego. Podniósł ręce. Na podłodze zostały dwa ciemne, krwawe odciski dłoni.

– Mój Jacob... – zaczął powoli.

– Zapomniał o tobie.

Przysunął się odrobinę, mięśnie jego nóg wyraźnie się napięły.

– Ależ pani Harrogate... – wyszeptał i postukał się palcami w skroń. – On już tu jest. Słyszę go.

Przez długą chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Margaret patrzyła w oczy litcha. Pociąg turkotał i trząśł się na torach.

Aż nagle Walter rzucił się na nią, jego długie zęby zaślśniły w szeroko rozdziawionym zakrwawionym pysku. W tej samej chwili Margaret Harrogate wycelowała i strzeliła z rewolweru.

Brynt starała się nie zwymiotować.

Kuliła się na tylnej platformie wagonu pocztowego, oplótłszy wytatuowanymi rękami barierkę. Wokół huczał wiatr. Schodki z obu stron platformy były odgradzone sznurem z chwościami, za plecami miała solidne drzwi.

„Marlowe”, upomniała się w duchu. „Jesteś tu dla niego. Rusz się”.

Powtarzała to sobie w kółko, jakby miało jej to pomóc, ale nie ruszyła się z miejsca. Tkwiała wczepiona w barierkę na końcu pociągu i patrzyła na rozwijające się spod wagonu szyny. Nie cierpiała szybkich środków lokomocji – koni, liniowców pasażerskich, ale ta odsłonięta platforma w pędzącym pociągu była chyba najgorsza ze wszystkiego.

Wcześniej na widok konduktorów i maszynisty wskakujących z powrotem do zatrzymanego pociągu zgarnęła obszerną spódnicę i pognęła po torach na złamanie karku. Słońce świeciło z tyłu, przed nią kładł się jej długi cień. Ledwie zdążyła dopaść schodków ostatniego wagonu i wspiąć się na platformę, gdy zwalniane hamulce jęknęły, pociąg ruszył i zaczął nabierać prędkości. Zasapana chwyciła się poręczy. Była święcie przekonana, że ktoś musiał ją widzieć – ale nic

się nie wydarzyło: pociąg nie zwolnił, nikt z obsługi nie przybiegł na nią nawrzeszczyć.

Widziała, na własne oczy widziała, jak ten mężczyzna, ten człowiek cień zmienił się w dym w tej samej chwili, gdy wjechała w niego lokomotywa. Maszynista też go widział, dlatego zahamował gwałtownie, a potem szukał ludzkich szczątków pod kołami. Patrzyła, jak chodzi wzdłuż pociągu, zdejmuje czapkę, kuca, zagląda pod kolejne wagony. Ani on, ani nikt z ekipy konduktorskiej niczego nie znaleźli. Patrzyła na tych mężczyzn i rozmyślała o kłębach dymu, który otulił lokomotywę i tender, a potem rozwiął się bez śladu. Cokolwiek widziała, z pewnością nie było to samobójstwo. Ten człowiek, potwór, czymkolwiek był, w jakiś sposób wsiadł do tego pociągu. A to oznaczało, że Marlowe również nim jedzie.

Tak w każdym razie myślała, leżąc w wysokiej trawie. Teraz jednak, gdy tkwiła na tylnej platformie wagonu pocztowego, z warkoczem targanym wiatrem i twarzą wykrzywioną w grymasie przerażenia, tamta myśl wydawała jej się niedorzeczna. Ludzie nie wybuchają chmurą dymu.

A cyrkówki nie wskakują do jadących pociągów.

Nagle dobiegł ją głuchy łoskot, jakby w wagonie ktoś rzucił czymś ciężkim o ścianę. Znieruchomiała. Odgłos powtórzył się, tym razem nieco głośniejszy. Teraz już nie mogło być wątpliwości: w środku trwała walka.

Brynt przytknęła ucho do drzwi. Nic.

W tej samej chwili coś przeszło drewnianą ścianę tuż obok jej głowy: brzmiało jak rozjuszona osa i zostawiło po sobie mały czarny otworek. Pocisk.

– Boże przenajświętszy... – wyszeptała.

Zakołysała się z boku na bok, odsunęła od drzwi.

A potem w jej głowie uformowała się jedna klarowna myśl: „Ruszaj!”.

Rozprostowała palce, spojrzała do góry na krawędź dachu i zaczęła się wspinać.

Alice otworzyła klekoczące drzwi wagonu, popchnęła Marlowe’a przed siebie w korytarz i wyciągnęła rękę do Charliego Ovida. Na razie Marbera nie było widać.

Ruszyli dalej. Zataczając się od ściany do ściany, przebiegli obok kilku prywatnych przedziałów, obojętni na zdumione spojrzenia zajmujących je pasażerów. Alice co rusz oglądała się z lękiem za siebie. Wreszcie otworzyła drzwi na końcu wagonu, wyszła na platformę i na wpół ogłuszona znajomym zgiełkiem

wiatru, kół i szyn najpierw przełożyła Marlowe'a ponad sprzęgiem, a potem sama przeszła przez barierkę i przeskoczyła do następnego wagonu.

Był to wagon trzeciej klasy, zatłoczony i hałaśliwy, z ustawionymi w rzędach drewnianymi ławkami. Powietrze gęstniało od dymu z fajek, gazety szeleściły, siedzące po dwóch stronach przejścia kobiety w szalach rozmawiały podniesionymi głosami.

Alice i chłopcy wyglądali niechlujnie, rozczochrani, z odsłoniętymi głowami i ubraniami w nieładzie. Alice wyjęła rewolwer, a gdy w wagonie nagle zrobiło się cicho, podniosła wzrok. Z kolejnych rzędów wyzierały wpatrzone w nią pobladłe twarze. Nie zwracając na nie uwagi, ponagliła chłopców, żeby jak najszybciej przeszli na koniec wagonu. Ręce pulsowały jej bólem, a po przejściu po ścianie na zewnątrz nie zdążyła jeszcze złapać tchu. Rozpoznała niektórych pasażerów, widziała ich na peronie w Londynie – te dwie ubrane na czarno wdowy o ściągniętych, zgorzkniałych twarzach albo tamtego mężczyznę z klatką na ptaki, który teraz odprowadzał ich niedowierzającym spojrzeniem.

Musieli minąć jeszcze trzy rzędy ławek, zanim dotrą do wyjścia, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł przez nie Coulton. Zgubił gdzieś melonik, jego rumiana z natury twarz poczerwieniała bardziej niż zwykle. Wzrok miał posepny.

– Zostawiłeś nas, sukinsynu – wysyczała Alice. Pchnęła go w pierś.

Spojrzał obok niej, na chłopców.

– Nic się wam nie stało? – zapytał.

– Nie – odburknął Charlie.

Alice pociągnęła go za rękaw, żeby się uspokoił. Pasażerowie cały czas się na nich gapili.

– Marber idzie za nami – powiedziała. – Nie możemy tu zostać. Pospieszmy się.

– Jacob jest... – Coulton złapał ją za ramiona i spojrzał jej z bliska w oczy. – Powiedziała pani...

Nagle umilkł, a jego ponure spojrzenie prześliznęło się dalej, za jej plecy, na przód wagonu. Alice odwróciła się, żeby zobaczyć, co przyciągnęło jego uwagę.

W głębi przejścia przy drzwiach stał Jacob Marber – zadyszana sylwetka w czerni. Niektórzy pasażerowie zerwali się z miejsc. Od Marbera biły kłęby dymu i sadzy jak od czegoś na wpół przypalonego, co przed chwilą wyjęto z ognia. Jego czarne rękawiczki zdawały się nienaturalnie długie. Nie miał kapelusza,

zmierzwiłone włosy sterczały mu na wszystkie strony. Nie próbował podejść bliżej. Brodę miał bujną jak starotestamentowy prorok. Alice nie widziała jego oczu.

– Stańcie za mną – syknął Coulton.

Wyplątał się z kurtki i podwinął rękawy jak pięściarz szykujący się do ulicznej bijatyki. Żółta kamizelka opinała mu się na brzuchu i ramionach. Alice zwróciła uwagę, że ma wyjątkowo krótki, masywny kark. Nagle Coulton zafalował jej przed oczami i dziwnie okrzepł, jakby jego skóra stała się grubsza. Kamizelka zaczęła pękać, a on zrobił się jeszcze szerszy w barach. Coś się działo.

– Nie powinieneś był wracać, Jacobie.

Na widok tężejącego Coultona i ociekającego dymem niczym upiorny cień Marbera Alice poczuła strach, jakiego nie znała, czystą, bezbrzeżną zgrozę. Ścisnęło ją w żołądku z taką siłą, że niewiele brakowało, by złapała się za obolały brzuch. Poczowała, jak Marlowe mocniej czepia się jej ręki.

W tej samej chwili Coulton zrobił krok naprzód. Jacob Marber rozchylił wargi jak do krzyku. Miał czarne zęby, mrok wypełniał mu usta niczym krew. I wtedy na ścianie za jego plecami coś się pojawiło.

Mógł to być odcisk brudnego od sadzy palca albo maźnięcie smołą, plama zaczęła się jednak rozlewać w drewnie jak kropla atramentu w wodzie. Na ten widok Alice zadrzała. Szybko rozprzestrzeniająca się kałuża absolutnej ciemności pożerała ścianę. Jacob Marber rozłożył ręce z dłońmi zwróconymi ku górze niczym kaznodzieja w oczekiwaniu jakiegoś straszliwego omenu, a potem pchnął je z wysiłkiem do przodu, jakby zmagał się z przeciwnym nurtem. Czerń zza jego pleców przeląła się po ścianach, podłozie i suficie, zaciemniła okna i pogasiła światła: pochłaniający wszystko żywy cień zagarnął pasażerów.

Wagon zadygotał. Ludzie krzyczeli, zgięci wpół ze zgrozy. Alice dobytego colta, ale ręka tak jej się trzęsła, że musiała podtrzymać kolbę drugą dłonią. Dopiero wtedy udało jej się wycelować. Strzelała raz za razem w mrok, w miejsce, gdzie przed chwilą stał Jacob Marber, aż opróżniła bębenek i kurek zaczął trzaskać metalicznie w pustych komorach. Nic nie wskórała. Ciemność wciąż napierała.

Mimo to Alice stała w miejscu i raz po raz naciskała spust. Dopiero gdy Coulton oparł jej dłoń na przedramieniu, ciężką i zimną jak worek z piaskiem, otrząsnęła się.

– Uciekajcie! – krzyknął. – Uciekajcie!

Jego twarz stężała osobliwie, jakby nadmiar ciała oblał znajome rysy, głęboko osadzone oczy lśniły jak para niewielkich rzecznych otoczków.

Odwrócił się, zacisnął nabrzmiałe pięści i rzucił się w mrok.

Pierwsza kula wystrzelona przez Margaret Harrogate chybiła celu i przebiła na wylot ścianę wagonu. Walter – niewiarygodnie szybki, wprost zbyt szybki – wskoczył na ścianę i wspiął się na sufit. Snop światła wpadł do wnętrza przez pozostały po kuli otworek wielkości jednocentówki i rozkwitł niczym kwiat.

„Jaki piękny”, pomyślała Margaret.

Walter rzucił się na nią z zębami i pazurami.

Poczuła wilgotne chłaśnięcia jego szponów. Rewolwer wypadł jej z ręki, przeleciał po podłodze i zatrzymał przy worku z pocztą. Walter był lekki, upiornie lekki, do tego stopnia, że mogłaby go podnieść w jednej ręce, a przecież nie była żadną siłaczką. Mimo to był piekielnie silny. Szarpała się, wierzgała, próbowała go odepchnąć, ostatecznie udało jej się tylko wcisnąć mu łokieć pod brodę i zatrzymać sztyletowate zębiska, zanim sięgnęły jej gardła. Gwałtownym skrętem całego ciała zrzuciła go z siebie.

Spadł na plecy, błyskawicznie się poderwał i na czworakach ponownie rzucił się w jej stronę. Usiłowała przez ten czas dosięgnąć rewolweru, ale litch złapał ją za kostkę. Długie pazury przebiły skórzaną cholewkę buta i weszły w ciało.

Walczyli w niemal całkowitej ciszy, było słyhać tylko przyspieszone oddechy, plask i łoskot ciał o deski. Krew spływała Margaret po skroni i wsiąkała we włosy, ręce paliły ją żywym ogniem. Kopnęła Waltera w twarz – raz, drugi, zmiażdżyła coś obcasem, wreszcie udało jej się uwolnić i dopaść broni. Okręciła się w miejscu i oddała pięć szybkich kolejnych strzałów prosto w pierś napastnika. Impet pocisków odrzucił go do tyłu, cisnął na worek z pocztą, zaplątał w siatkę bagażową.

Chwiejnie wstała. Lewą rękę miała częściowo niewładną, krew – spływająca nie wiadomo skąd – zalewała jej oczy. Przetarła twarz nadgarstkiem, aż zatrzepotał rozdarty rękaw, i spojrzała na bladego, chudego, skulonego litcha. Leżał nieruchomo.

Nagle zadygotał niczym z zimna, jakby przeszył go lodowaty dreszcz, podniósł głowę i spojrzał prosto na nią. Oczy miał czarne, całkowicie czarne, obsydianowe,

lśniące, nieludzkie.

Nie zastanawiała się ani chwili: pociągnęła za spust, raz, drugi, trzeci... Ale bębenek był pusty. Odwróciła broń w dłoni, gotowa użyć jej jak pałki i z zawziętą miną zaczęła się powoli cofać pod ścianę, aż oparła się o nią plecami. Rozejrzała się w poszukiwaniu jeszcze czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń.

Walter wstał, jego długie zęby zgrzytnęły cicho.

Uśmiechnął się.

Alice stała bez ruchu i patrzyła, jak Coulton wbiega w ciemność, która była Jacobem Marberem.

W tej samej chwili paralizujący strach nagle stracił nad nią władzę. Złapała pod pachę małego Marlowe'a, który odwrócił głowę od przerażającego widoku, przycisnęła go do piersi i drugą ręką otworzyła zewnętrzne drzwi. Wyszła na smaganą huczącym wiatrem platformę, żeby przejść z niej na podest sąsiedniego wagonu. Idący tuż za nią Charlie Ovid zamknął drzwi i zaczął się z nimi mocować: pęd powietrza próbował mu je wyrwać, a on szukał jakiejś zapadki albo zasuwki, by je zablokować. Alice, której zaczęło się już przejaśniać w głowie, zdawała sobie sprawę, że niczego takiego nie znajdzie. Pod jej stopami szyny umykały w tył.

„Skurczybyk”, pomyślała. Jeżeli Coulton go nie powstrzyma, Marber będzie ich ścigał przez kolejne wagony aż do końca składu.

Stanęła w lekkim rozkroku, otworzyła bębenek, wytrząsnęła łuski i pospiesznie włożyła nowe naboje do komór. Z wagonu nie dobiegały żadne dźwięki. Tuż przed tym, jak przegramoliła się przez balustradę platformy, żeby iść dalej, podniosła wzrok i dostrzegła umieszczoną z boku drabinkę. Podsadziła Marlowe'a i we dwoje wspięli się na dach.

Otoczyło ich bezkresne niebo i olśniewające światło. Pęd powietrza zapierał dech w piersi, łopoczące poły płaszcza płątały jej się wokół nóg. Przypadła do dachu na czworakach, osłaniając kulącego się pod nią Marlowe'a. Charlie z otwartymi ustami podczołgał się obok niej.

– Lokomotywa! – zawołała. – Musimy przejść na sam przód, do lokomotywy, i zatrzymać pociąg!

Charlie skinął głową.

Mocowany gwoździami drewniany dach był wariacko spadzisty. Alice pokonała zaledwie kilka metrów, gdy Marlowe znieruchomiał. Przejężdżali akurat mostem nad rzeką, po obu stronach daleko w dole srebrzyła się woda, odbijające się od niej światło przyprawiało o zawroty głowy. Na wschodzie w oddali majaczyła niewyraźna brunatna plama miasta. Chłopiec zacisnął kurczowo powieki i skulony na dachu wczepił się w ramię Alice tak, że nie mogła się ruszyć z miejsca.

– Marlowe! – krzyknęła mu do ucha. – Nie możemy tu zostać!

Wydało się jej, że słyszy łoskot otwieranych drzwi wagonu. Odwróciła się z lękiem, ale niczego nie zobaczyła.

„Może to Coulton”, pomyślała.

Charlie – ze wszystkich sił wczepiony w dach, z głową pochyloną jak przed zacinającym deszczem – zdążył się tymczasem wysforować ze trzy metry przed nimi. Powoli, z ogromnym wysiłkiem Alice pchnęła Marlowe’a do przodu kilka centymetrów, potem znowu. Coulton na pewno już ich szukał po wagonach – Coulton albo Marber. Jeszcze raz szturchnęła Marlowe’a, a potem podniosła głowę i mrużąc oczy, stwierdziła, że jest mniej więcej w połowie długości wagonu. Jeszcze dwa wagony dzieliły ich od tendra i lokomotywy.

– No dalej – wyszeptała.

Znów obejrzała się do tyłu. Dlaczego to zrobiła?

To, co zobaczyła, sparaliżowało ją i sprawiło, że objęła Marlowe’a opiekuńczym gestem.

Jacob Marber wspiał się na dach sąsiedniego wagonu, na którym balansował teraz w śliskich butach, przyklęknąwszy na jedno kolano, z głową pochyloną pod wiatr. Czarny płaszcz łopotał głośno wokół niego, gdy rozłożył ręce dla zachowania równowagi. Alice ze zgrozą patrzyła, jak z jego ciała unoszą się smugi dymu. W jego oczach nie dostrzegła zupełnie niczego – nie było w nich wrogości, zła, gniewu: dwie kałuże bezdenne mroku pochłaniały całe światło i nie odbijały go ani krztyny.

Kłęczał tak przed nią bez kapelusza i patrzył. Nie spieszył się.

I wtedy Alice zrozumiała: Coulton zginął. Nikt nie przyjdzie im na pomoc.

Na skraju dachu wagonu pocztowego Brynt osunęła się gwałtownie i niewiele brakowało, żeby spadła. Zdążyła jednak chwycić się poręczy i podciągnąć. Gdzieś

po drodze zwiało jej czepek, podarła też rękawiczki. Wiatr targał jej obszerną spódnicę. Zatrzymała się na chwilę przed opuszczeniem się pomiędzy wagony. W tym samym momencie przesuwane drzwi wagonu pocztowego otworzyły się i coś wyskoczyło ze środka.

Cóż to był za stwór? Bez koszuli, białoskóry, zakrwawiony, z dziwnie długimi palcami. Brynt nie widziała dobrze jego twarzy, dopóki nie odwrócił się, żeby otworzyć drzwi kolejnego wagonu – wtedy mignęły jej ciemne oczy i kości jarzmowe jak wyrąbane siekierą, a także krew na ustach, brodzie, piersi i przedzie spodni.

Wszystko to zarejestrowała w ułamku sekundy, w okamgnieniu, przykucnięta na krawędzi dachu, tuż przed tym, jak stwór przepadł w wagonie bagażowym.

„Marlowe!”, pomyślała w desperacji.

Spóźniła się. Tamten już go znalazł.

Zeskoczyła ciężko na podest i z walącym sercem wparowała do wagonu pocztowego, rozglądając się w poszukiwaniu chłopca. Podłoga była zasypana podartym papierem, wszędzie wały się skrzynki i regały. Prześliznęła się po nich wzrokiem, zanim wreszcie w głębi wagonu dostrzegła drobną postać. Zaparło jej dech w piersi.

To nie był Marlowe, tylko jakaś kobieta, bynajmniej nie tamta detektyw z cyrku, która go zabrała i obiecała chronić. Ta była starsza, w średnim wieku, ubrana w czarną wdowią suknię (w tej chwili paskudnie poszarpaną). Twarz i ręce miała brutalnie poharatane, rany widniały także na brzuchu i piersi. Twarz była tak zakrwawiona, że trudno byłoby ją rozpoznać. Brynt uklękła przy niej, wyciągnęła niepewnie rękę, ale się zawahała. Bała się jej dotknąć. Kobieta wciąż jeszcze oddychała.

Brynt rozejrzała się i dostrzegła drugie ciało, leżące z rozrzuconymi ramionami kilka metrów dalej: urzędnik pocztowy. Marlowe'a nie było.

Odwróciła się z posępną miną i spojrzała w kierunku, w którym zniknęła białoskóry stwór.

Alice patrzyła za siebie. Pęd powietrza huczał jej w uszach, groził wytrąceniem z równowagi, usiłował ją zepchnąć z dachu.

Jacob Marber się nie poruszył: nie wstał, nie próbował posuwać się naprzód, przeskoczyć na ich wagon – po prostu przyklęknął na kolanie i z pochyloną głową wpatrywał się w nią martwymi oczami.

„Jakby na coś czekał”, pomyślała ze zgrozą. „Na coś albo na kogoś”.

– Panno Alice! – zawołał z przeciwnej strony Charlie. – Panno Alice, proszę się pośpieszyć!

Nie wiedziała, jakim cudem udało jej się to zrobić, ale zgarnęła Marlowe'a w ramiona, wstała i pobiegła do przodu, pod wiatr, nieco bokiem, żeby ramieniem osłonić chłopca. Jej buty głośno łomotały o drewniany dach.

Przebiegła przez całą długość wagonu i z rozpędu, nie zatrzymując się, przeskoczyła na następny. Wylądowała w pełnym biegu. Charlie już na nią czekał, podał jej rękę, pomógł złapać równowagę.

Obejrzała się do tyłu.

Jacob Marber wyprostował się i teraz wolno szedł naprzód: ciemna, wątła jak cień sylwetka. Zdawało się, że nie skacze z wagonu na wagon, tylko raczej spływa z pierwszego z nich i płynnie wspina się na następny.

Alice dostrzegła coś jeszcze. Coś gorszego.

Tuż obok Jacoba ponad krawędź dachu wychynęła długa biała dłoń. Chwilę potem pojawiła się druga. Litch podciągnął się i stanęli obok siebie, niemal identyczni – mimo że jeden był bezwłosy i szary jak larwa. Wyglądali tak samo makabrycznie, potwornie, okrutnie.

Nie spojrzeli na siebie, nie porozumieli się żadnym słowem ani znakiem. Wyglądało to tak, jakby po prostu wiedzieli. Jacob Marber stał z opuszczonymi rękami, emanując tym osobliwym gęstym dymem, a przykucnięty obok niego na czworakach Walter Laster – półnagi, bosy, pająkowaty, zdeformowany – łypał złowieszczo na Alice. Był nienaturalnie blady, twarz i pierś miał umazane krwią. Otworzył usta, odsłaniając zęby jak sztylety.

Alice zerknęła na Charliego: zasłaniał uszy dłońmi i patrzył na nich z bezbrzeżną zgrozą.

– Nie, nie, nie, nie, nie – mamrotał pod nosem.

Alice nie słyszała wprawdzie jego słów, ale czytała je z ruchu warg.

Litch – Walter – ruszył pierwszy.

Poruszał się swobodnie, lekko, jakby niestraszne były mu pęd powietrza i skradanie się na czworakach po dachu pędzącego pociągu. Długie pazury dawały mu solidne oparcie, krzesząc iskry, gdy zaczepiał nimi o żelazne mocowania okapów nad oknami.

Alice schowała Marlowe'a za plecami, wyjęła peacemakera i przyklękła, żeby łatwiej jej było zachować równowagę. Odwiodła kurek.

Wcześniej już wystrzelała cały magazynek w czarnego intruza i nie przyniosło to żadnego skutku. Nie spodziewała się również, aby kule wyrządziły krzywdę Walterowi, ale niech ją diabli wezmą, jeśli przynajmniej nie spróbuje. Wiedziała, że musi wyczekać, aż litch znajdzie się bardzo, bardzo blisko. Będzie miała tylko jedną szansę. Jej serce biło spokojnie. Wycelowała.

Szybko się zbliżał, wyraźnie słyszała zgrzyt i szcęk jego pazurów. Jacob Marber trzymał się z tyłu, stał nieruchomo, jak zahipnotyzowany, i tylko patrzył.

Odetchnęła głęboko.

Nagle stwór jednym susem przesadził lukę pomiędzy wagonami. Zanim jednak zdążył wylądować po drugiej stronie, jeszcze w locie zahaczył o coś stopą, wykręcił się w bok, po czym – gwałtownie szarpnięty wstecz – z ogromną siłą uderzył o dach, z którego przed chwilą skoczył.

Z przerwy między wagonami na dach wspięła się jakaś olbrzymia sylwetka: wysoka, potężnie zbudowana kobieta w rozwianej sukni, z żądzą mordy w oczach.

– Brynt! – wykrzyknął Marlowe. – Brynt!

Olbrzymka okręciła się w miejscu, wypatrując źródła okrzyku. Jej srebrzysty warkocz zafurkotał w powietrzu i Alice rozpoznała wytatuowaną kobietę z cyrku. Opiekunkę Marlowe'a.

Litch miotał się wściekle w jej uścisku, młócił rękami, jego pazury raz po raz cięły powietrze. Zwinął się w kłęb i płynnym, łasicowatym ruchem wspiął po ramieniu Brynt, szybki jak żywe srebro wskoczył jej na plecy i zaczął szarpać ciało pazurami. Alice wyraźnie widziała wyrywane kawałki mięsa. Brynt wyginała się i skręcała, usiłując dosięgnąć stwora, a gdy w końcu udało jej się mocno go złapać, przeniosła go ponad głowę i grzmotnęła nim o dach. Kiedy się wyprostowała, potwór tkwił wczepiony w jej rękę i dalej kłapał zębami.

Nagle jednak puścił ją i znów skoczył naprzód, jakby zamierzał dopaść Marlowe'a. Olbrzymka ponownie rzuciła się za nim i złapała go za kostkę. Alice

próbowała wziąć go na cel, ale w zamieszaniu nie mogła dobrze przymierzyć. Brynt podniosła głowę i przez moment spojrzały sobie w oczy. Jej twarz niczego nie wyrażała, zupełnie niczego. Litch szarpał się desperacko, próbując się uwolnić, ale olbrzymka chwyciła go teraz także drugą ręką i całym ciężarem ciała rzuciła się w bok, za krawędź dachu.

– Nie! – krzyknęła Alice.

Przez jedną niewiarygodnie długą chwilę wbite w dach pazury litcha utrzymywały połączony ciężar jego i Brynt, która – wisząc na rękach – objęła się o zewnętrzną ścianę wagonu. Litch zawarczał, posłał chłopcu jeszcze jedno desperackie spojrzenie, ale ostatecznie ciężar Brynt przeważył i stwór, który w przeszłości był Walterem Lasterem, odpadł od dachu. Pęd powietrza porwał ich oboje i zdmuchnął na bok.

– Brynt! – wołał Marlowe. – Brynt!

Alice musiała mocno go przytrzymać, gdy zaczął się szarpać w jej objęciach. Przez rozwiane włosy patrzyła, jak Jacob Marber rusza po dachu szybkim, zdeterminowanym krokiem. Zamierzał ich dopaść. Ciemność przesłoniła słońce.

Cierpiąca katusze Margaret Harrogate otworzyła oczy.

Bolał ją każdy skrawek ciała. Kawałki papieru poprzyklejały jej się do zakrwawionych rąk i brzucha, na dodatek coś było nie w porządku z jej nogami. Spróbowała wstać, zachwiała się, opadła na podłogę. Spróbowała drugi raz, ale tylko jęknęła. Powiodła dookoła półprzytomnym wzrokiem.

Walter zniknął.

W mrocznym wagonie panowała cisza. Przez podłogę niosło się turkotanie kół o szyny.

Dźwignęła się na klęczki, złapała za brzuch, wreszcie zdołała wstać. Zatoczyła się w stronę drzwi. Musiała znaleźć Waltera, ostrzec Coultona, dać znać dzieciom...

Cudem przegramoliła się przez sprzęg do wagonu bagażowego, gdzie również panował przeraźliwy bałagan. Z wysiłkiem, chwiejnie przebrnęła przez całą jego długość, wśród huku powietrza pokonała kolejne złączenie wagonów i znalazła się w bocznym korytarzyku tego samego wagonu, w którym – na otulonym świetlistą mgłą londyńskim dworcu – ulokowała oszołomionego i związanego Waltera.

Miała wrażenie, że było to bardzo dawno, w innym życiu. Wagon był zniszczony: potrzaskane drzwi i powyłamywane z futryn, potłuczone szyby, zawodzący w wybitych oknach wiatr. I zwłoki na korytarzu, ciała z rozszarpanymi gardłami, podłoga czarna, lepka i tłusta od krwi. W połowie długości wagonu Margaret pośliznęła się na jakiejś ledwie zgęstniałej mazi i z trudem złapała równowagę. Z bólu zaparło jej dech w piersi.

Niektórzy z leżących, jeszcze nie całkiem martwi, pojękiwali i nawoływali ją cicho, gdy przechodziła obok. Nie zatrzymała się jednak, nie mogła, dopóki nie dotarła do zatłoczonego wagonu trzeciej klasy, gdzie zobaczyła pasażerów siedzących jak wcześniej na swoich miejscach, tyle że poduszonych, z pozbawionymi krwi, poszarzałymi twarzami i oczami wychodzącymi z orbit. Niektórzy wciąż tulili bagaże do piersi.

Coulton leżał na brzuchu w przejściu. Jego skóra była kredowobiała i pomarszczona, jak na palcach po zbyt długiej kąpieli. Wyglądał, jakby z ciała odessano całą krew.

– Nie, nie, nie, nie, nie – szeptała.

Kucnęła przy nim i oparła jego głowę na swoich kolanach. Krew z jej ran skapywała na jego twarz, na skórę. Zamknęła mu powieki, zostawiając na nich dwa czerwone odciski palców.

Podniosła wzrok, słysząc dobiegające z góry chrobotanie. Nie wiedziała, co się dzieje. Nagle rozległ się głośny łoskot, cały wagon zadygotał i zakolebał się gwałtownie na boki... I wtedy to do niej dotarło. Tamci byli na dachu.

Z mozołem wstała i wyszła na zewnętrzną przednią platformę. Wiatr tarosił jej suknię, gdy przechodziła do następnego wagonu. Z całej siły chwyciła się barierki, zacisnęła zęby i spojrzała w górę. Zobaczyła Waltera, który z kimś walczył, z jakąś kobietą, wysoką, potężną, w szarpanej wiatrem sukience. Z góry dobiegł krzyk Alice Quicke. Pani Harrogate desperacko próbowała się skoncentrować i zebrać myśli.

Jej wzrok padł na grzechoczący łańcuch sprzęgu między wagonami i zdała sobie sprawę, że to jedyna szansa. Wychyliła się, jak mogła najdalej, i spróbowała przekręcić śrubę sprzęgu. Ta jednak nie chciała się poruszyć, nawet nie drgnęła. Zderzaki tarły i uderzały o siebie, przemykające w dole podkłady rozmywały się

w litą plamę. Z góry dobiegł zgrzyt pazurów Waltera, krzyk olbrzymki, a potem oboje spadli z dachu. Margaret stęknęła z bólu i cofnęła się pod ścianę.

Nie da rady.

Rany na brzuchu boleśnie dawały jej się we znaki, przód sukni miała cały zakrwawiony. Wiatr ją ogłuszał, wyciskał łzy z oczu, siekł boleśnie.

A potem jakby gdzieś bardzo daleko od tego miejsca Margaret Harrogate z namysłem zacisnęła zęby, wstała, wychyliła się i z całej siły spróbowała poruszyć śrubę.

Alice pociągnęła za spust.

Widziała, jak pocisk uderza Jacoba Marbera prosto w pierś. Impet trafienia wstrząsnął nim, ale Marber natychmiast odzyskał równowagę i szedł dalej – szybko, miarowo, zdecydowanie – prosto w ich stronę.

Strzeliła jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, aż opróżniła bębenek. Za każdym razem wydawało się, że kule dosięgają celu, zostają na moment wchłonięte przez mroczny rdzeń jego istoty, po czym przechodzą na wylot, nie czyniąc mu żadnej krzywdy – chociaż nie miało to za grosz sensu i przeczyło wszystkim znanym Alice prawom natury. Marber w ogóle nie reagował na strzały, po prostu szedł przed siebie poprzedzany falą mroczniejącego powietrza.

Charlie, który dotarł już na przeciwległy kraniec wagonu, trzymał się mocno dachu i nawoływał Alice. Próbowwała pchnąć Marlowe'a w tę stronę, ale mały nie chciał się ruszyć z miejsca: stał i patrzył na nią z niewzruszonym wyrazem twarzy, jakby na widok Brynt zaszła w nim jakaś przemiana.

– Uciekaj, Marlowe! – ponagliła go. – Idź do Charliego. No już, uciekaj!

Obejrzała się na Marbera... i zobaczyła długą, zakrzywioną kosę utkaną z ciemności, która jak macka cienia wyłoniła się z ciała potwora i wyciągnęła w jej stronę. Nie zdążyła uskoczyć. Poczowała, jak coś wbija się jej w bok i przeszywa żebra, zadając przy tym palący ból. A potem – choć wydawało się to niemożliwe – nabita na ostrze ciemności została na nim podniesiona w powietrze. Wiatr chłostał ją bez litości.

Nigdy jeszcze nie zaznała takiego bólu. Próbowwała chwycić ciemność, odpychać ją, walczyć, ale z trudem łapała oddech. Nagle Marlowe wyciągnął ręce w górę, przyłożył do jej żeber dłonie z podkulonymi kciukami i zaczął świecić. Jego skóra

stała się błękitna i przezroczysta jak nigdy przedtem. Alice poczuła, że ostrze cofa się, a potem wyslizguje z jej ciała. Osunęła się bezwładnie na dach. Ciemność, czymkolwiek była, kłębiła się spiralnie wokół Marlowe'a. Mimo że rozpraszana przez wiatr i rozsnuwana na boki, utrzymywała kształt i otaczała chłopca wirem, a on stał w jego środku z rękami i dłońmi zwróconymi do góry i patrzył spokojnie na Jacoba Marbera.

Marber doszedł prawie do krawędzi dachu, był dosłownie o krok od przerwy między wagonami. Dzieliło ich około pięciu metrów, gdy wtem Marlowe wyciągnął drobne, dziecinne, bezbronne rece przed siebie, jakby chciał ostrzec potwora, by nie zbliżał się bardziej. Jakby chciał go zatrzymać.

Alice patrzyła oszołomiona, jak okalająca chłopca ciemność w ułamku sekundy runęła na Marbera i go otoczyła. Od spodu mrok skrzył się charakterystycznym dla Marlowe'a błękitem i po chwili potwór zniknął w powodzi światła, aż został z niego tylko ledwie widoczny zarys szamoczącej się rozpaczliwie sylwetki, niczym uwieszonej w niebieskim bursztynie.

Marlowe osunął się na dach.

Rozległ się donośny głuchy łoskot. Łuk błękitnego światła wytrysnął z postaci Jacoba Marbera, który na klęczkach powoli podniósł głowę. Jego oczy zdawały się krwawić ciemnością, twarz stężała w grymasie wściekłości i bólu. Wstał. Alice podczołgała się do przodu, nie bacząc na rozdzierający ból w boku, i wzięła Marlowe'a w ramiona.

I właśnie wtedy rozległ się przeciągły, zgrzytliwy metaliczny jęk i odstęp pomiędzy wagonami zaczął się powiększać. Tylna część pociągu zwalniała i coraz wyraźniej odstawała od przedniej.

Przykucnięta Alice tuliła Marlowe'a do piersi. Wiatr rozwiewał jej włosy wokół twarzy, gdy zwrócona tyłem do kierunku jazdy patrzyła na Jacoba Marbera stojącego nieruchomo na dachu wagonu. Ciemność kłębiła się i wirowała wokół niego jak rój pszczół, a on patrzył, po prostu patrzył, jak się oddalają, i dopóki Alice go widziała – zanim skurczył się w oddali i zniknął jej z oczu – zdawał się tkwić zupełnie nieruchomo.

Pociąg pędził na północ, do Szkocji.

ZNIKNIĘCIE JACOBA
MARBERA

1873

Komako i Teshi

W noc poprzedzającą dzień, w którym miała poznać osobiście Jacoba Marbera i stać się świadkiem niezwykłych wydarzeń na zawsze zmieniających jej życie, Komako Onoe – dziewięcioletnia zaklinaczka kurzu, córka wiedźmy i siostra umierającej dziewczynki – leżała na tatami obok młodszej siostry i modliła się.

Zwracała się do każdego boga, który mógłby jej wysłuchać: „Ocal moją siostrzyczkę, proszę”.

Było to w miesiącu hazuki, całe Tokio dusiło się w parnym skwarze. Nadgarstek Komako i jego cień uniosły się i zawisły przed latarnią, dziwnie splecione w półmroku, w którym blask rozżarzonych węgli rozpływał się w ciemności posadzki.

– Pokaż, Ko – wyszeptała jej siostra. Poruszyła się, oczy jej zabłysły. – Pokaż jeszcze raz. Pokaż mi dziewczynkę z kurzu.

Dookoła poskrzypywały dębowe dźwigary teatru, po drugiej stronie okiennic riksze klekotały na wyłożonych drewnem ulicach starej dzielnicy.

Komako bała się, że nie zdążą: trzeci akt dobiegł połowy i gdyby zaplątały się z Teshi pod nogi któremuś z pracowników, zrugałby je, pobił albo i gorzej. Znała teatr kabuki i temperament jego aktorów tak jak inne dziewczynki znały kaligrafię i etykietę. Mimo to odsunęła w bok ścianę, która szcęknęła cicho, i w pantoflach podeszła do klapy w podłodze za systemem wszystkich lin i bloczków. Jej siostrzyczka, wątła jak pasmo dymu, wstała z tatami i ruszyła za nią.

Nikt ich nie zobaczył. Pod sceną zalegała duszna, nieruchoma ciemność. Komako odczekała, aż jej siostra zejdzie na sam dół tunelu technicznego, po czym wróciła na górę i pociągnąwszy za pleciony sznur, zamknęła klapę. Z góry dobiegał

śpiew ducha i tupot nóg aktorów, pomarańczowe światło przesączało się prążkami przez deski sceny, padało na jej twarz i dłonie w rękawiczkach.

Obi siostry szurało po deskach. Komako odwróciła się do niej.

– Teshi? – szepnęła. – Chcesz odpocząć?

Ale uparta pięciolatka zrobiła tylko zawziętą minę i czołgała się dalej.

Wśród rekwizytów i starych masek zrzuconych na stos w głębi pomieszczenia odszukały kartonowe pudełko pełne drobniuteńkiego szarego kurzu, pieczołowicie zebranego przez Komako.

Komako odwinęła płótno z dłoni. Były spierzchnięte i zaczerwienione.

Odsłoniła stare lustro i położyła je na płask, żeby wykorzystać jego gładką powierzchnię. Przyklękła nad nim i powoli wysypała na taflę pył, tworząc dymiącą stertę. Zamknęła oczy, czekając na znajomy spokój i bezruch. Pot spływał jej po piersi. Kurz, już wcześniej chłodny w dotyku, nagle stał się jeszcze zimniejszy. Chłód wniknął w nasady jej dłoni – aż przygryzła wargę, tak szybko się to stało – a potem zaczął ogarniać ją całą. Ból przesączał się w głąb nadgarstków i łokci. Wolno poruszyła dłońmi, a wtedy pył również się poruszył, zafalował na ciemnym zwierciadle. Odbicia sióstr zadygotały i rozplynęły się w wirującym prochu.

Komako straciła czucie w rękach. Ziąb zakradał jej się do piersi. Otworzyła oczy i zaczęła nadawać kształt powietrzu, formowała je delikatnymi, łagodnymi ruchami. Kurz przybrał postać niedużej lalki, która skłoniła się lekko przed Teshi.

Dziewczynka zaśmiała się cicho.

– Każ jej zatańczyć, Ko – poprosiła szeptem.

Komako poruszyła palcami jak lalkarka i figurka z kurzu przetańczyła po szkle zwierciadła z pobożnie złożonymi dłońmi. Perfekcyjna imitacja księżniczki kabuki.

Słyszając, jak coś zmienia się w rytmie oddechu siostry, Komako przeniosła na nią wzrok. Oczy Teshi stały się ogromne i bardzo ciemne, wargi intensywnie czerwone.

– Teshi? – szepnęła z troską starsza siostra.

Spocone włosy kleiły jej się do skroni. Uwolniła pył, który opadł w nieożywiony mięciutki kopiec. Jej dłonie pulsowały.

– Powinnyśmy wracać na górę – orzekła. – Musisz odpocząć.

Teshi zachwiała się, jakby miała upaść.

– Jak tu zimno, Ko – wymamrotała. Jej biała skóra zdawała się lśnić w ciemności.

– Dlaczego tu jest tak zimno?

Gekijo mausu, tak je nazywano. „Myszy z teatru”. Teatr Ichimura-za od blisko dwudziestu lat stał w gęsto zamieszkaney dzielnicy Asakusa Saruwaka-cho, rozświetlony latarniami i słynny w całym Tokio za sprawą przedstawień kabuki. Dziewczynki mieszkaly w nim i po godzinach pracy teatru opiekowały się rekwizytami, pilnowały, żeby piecyki zostały opróżnione z węgla, świece pogaszone, drzwi pozamykane. W 1858 roku teatr spłonął doszczętnie, a w mieście z drewna i papieru lęk przed pożarem był w dalszym ciągu najzupełniej zrozumiały. Kiedy stary mistrz wycofał się z aktorstwa, jego syn Kikunosuke, który przejął interes, postanowił nie zwalniać sióstr. Nie dostawały pieniędzy, ale mogły dojadać resztki po aktorach – kulki lepione ze słodkiego ryżu, niedopity rosół, czasem, jeśli miały wyjątkowe szczęście, przysmażony pierożek. W zimowe poranki kuliły się przy koszu z żarzącym się węglem drzewnym. Na zewnątrz ulewa smagała fronty domów, a pusty teatr poskrzypywał wokół nich i mogły sobie wyobrażać, że są same na świecie. Dzięki okrągłym oczom i bladej cerze wyróżniały się z tłumu. Były *hāfu*, do nikogo nie należały i nigdzie nie miały swojego miejsca. Wiele było zaułków, w które nie mogły się zapuszczać, bo ulicznicy i obszarpańcy zaraz zaczęliby je gonić i obrzucać kamieniami. Owszem, wiedziały, jak może wyglądać świat, były świadome jego okrucieństwa i tego, że sprawiedliwość istnieje tylko na scenie. Ich ojciec wrócił do swojej ojczyzny daleko na zachodzie, kiedy Teshi tkwiła jeszcze w łonie matki. Gdy zabrakło pracy, matka przytoczyła sobie Teshi do pleców, wzięła Komako za rękę i wyżebrała im wszystkim drogę na północ, do Tokio. Takie właśnie było najdawniejsze wspomnienie Komako: jak w deszczu przechodzi z matką przez ogromną bramę miasta.

Matka, córka od dawna nieżyjącego ubogiego kaligrafa, zmarła na febrę w przytułku zaledwie dwa lata po narodzinach Teshi. Komako słabo ją pamiętała. Jej miękkie włosy w blasku światła. Smutek w zmarszczkach wokół oczu. Bajki, które czasem im opowiadała, o *yōkai*, świecie duchów i o ich wysokim, brodatym ojcu z włosami ogniste rudymi jak u smoka. Z upływem lat wszystko blakło

i Komako nie umiałaby już stwierdzić, ile z tego naprawdę pamięta, ale opowiadała Teshi, że matka układała ją na noc do snu w wielgachnym drewnianym bucie, nazywała swoim małym świerszczykiem i śpiewała jej kołysanki, a ona, Komako, patrzyła, jak w świetle księżycy na buzię siostry zakrada się sen. Czasem opowiadała też o tym, jak w wieku zaledwie pięciu lat dzień po dniu nosiła Teshi po deszczowych ulicach, zakradała się do któregoś z teatrów, żeby się zagrzać, i skulona gdzieś na tyłach słuchała spektaklu kabuki, a po jego zakończeniu wczolgiwała się pod ławkę i wkładała siostrze palec do buzi, żeby nie płakała. Kiedy zostały złapane, trzymała się Teshi kurczowo, krzyczała i wierzyła na zamiatacza, który mimo to i tak zabrał je za kulisy, gdzie stary mistrz, cały w białym makijażu, siedział nieruchomo i patrzył. O nic nie zapytał. Bez peruki, wśród rozlewających się fałd szaty wyglądał jak najprawdziwszy demon. Komako była przerażona.

W końcu mistrz odchrząknął i przyglądał wąsy.

– To twój brat, myszko? – zapytał basem, przeciągając zgłoski.

Komako mocniej przytuliła siostrę do piersi.

– Siostra, mój panie – odparła szeptem.

– Hm... – Obejrzał się na klęczącego przy wejściu zamiatacza. – I tak mamy tu już myszy w ścianach. Dwie więcej nie zrobią różnicy.

– Nigdy nikomu o tym nie mów – powtarzała młodszej siostrze. – O tym, co potrafię. Przenigdy.

– A gdyby to miało komuś pomóc? Gdyby wybuchł pożar, a ty mogłabyś kogoś uratować?

– Niby jak?

– Mogłabyś kurzem zgasić ogień.

Komako stanowczo pokręciła głową.

– To tak nie działa, Teshi. Zresztą ludzie by nie zrozumieli. Baliby się.

Powiedziała tak dlatego, że sama się bała. Odkąd sięgała pamięcią, czuła, że tkwi w niej coś niewłaściwego. Już jako mała dziewczynka lękała się znajdujących w jej umyśle drzwi, które prowadziły w ciemność. Tak właśnie sobie to wyobrażała. Kiedy wyciągała ręce nad kopczykiem kurzu, te drzwi w głowie otwierały się, ciemność ją wciągała i Komako lądowała w bezbrzeżnej czerni, poruszając dłońmi

na oślepie; krew tętniła w uszach, chłód zapuszczał korzenie w jej ciele. To nie była magia, Komako nie potrafiła czarować: to pył był jak żywa istota, myślała nawet, że stanowi część świata duchów, do którego czasem udawało jej się zajrzeć, ale ponieważ nie miał w sobie nic pięknego, odrzuciła tę możliwość. Jej dar oddziaływał tylko na taki właśnie drobny pył: nie umiała poruszyć piasku ani sypkiej ziemi, za to kurz potrafiła unosić, kształtować, ożywiać, tkąć z niego srebrne wstęgi w ciemności, kreślić popielne kwiaty, a w miarę dorastania uczyła się coraz lepiej nad nim panować. Teshi z błyskiem w oku zaciskała palce na rąbkach powycieranego kimona i patrzyła jak zaczarowana, a i Komako nie odrywała wzroku, prawie jakby nie miała z tymi cudami nic wspólnego, jakby kurz miał własne pomysły i pragnienia, a siostry mogły oglądać tylko to, co sam zechce im pokazać.

– Jakie to uczucie, Ko? – wyszeptała którejś nocy Teshi. – Bardzo źle ci z tym?

Komako rozczochrała jej włosy. Palce – stale zaczerwienione i obolałe – owijała w pasy płótna, żeby nie było ich widać.

– Wyobraź sobie ciemność – odpowiedziała półgłosem. – Wyobraź sobie ciemność, która jest w tobie, ale nie jest częścią ciebie. Czujesz ją. Czeka.

Teshi zadrżała.

– Boisz się jej?

– Czasami. Nie zawsze.

Ale Teshi nie wiedziała, co to strach, nie tak naprawdę. Kiedy pierwszy raz zobaczyła Komako manipulującą kurzem, zaniósła się śmiechem. Wtedy jeszcze nie chorowała: miała trzy latka, trzymała w ręce jabłko i nawet nie zauważyła, kiedy je upuściła, bo oniemiała patrząc na dłonie siostry, w skupieniu śledziła złożone kształty kreślone przez nie w powietrzu, patrzyła na tańczący kurz, aż w końcu uśmiechnęła się od ucha do ucha, zaklaskała w dłonie i zaczęła się hałaśliwie śmiać.

– Komako! Patrz, Ko! Zobacz, co potrafisz!

Dla niej dar Komako był zabawą. Wszystko było zabawą. Potrafiła wetknąć głowę przez ścianę do pomieszczenia, w którym Komako sikała do nocnika, i chichotać. Albo wspiąć się na ustawione w chwiejny stos pudła w rekwizytorni, żeby wystawić palce przez szpary w podłodze obok tatami siostry i poruszać nimi tak długo, aż Ko je zauważy i wrzaśnie ze strachu.

Choroba rozwijała się stopniowo. Z początku myślały, że Teshi jest po prostu zmęczona, potem, że to jesienne przeziębienie, które kiedyś minie. Teshi niczego się nie bała – w przeciwieństwie do Komako, tę często dręczył lęk, najczęściej o siostrę, która zdawała się taka mała, krucha i drogocenna. Teshi leżała, kaszłała i pluła krwią, a jej skóra stawała się coraz bledsza. Komako zabrała ją do portugalskiego lekarza w darmowej klinice, ale nie umiał jej pomóc. Trzy razy była z nią w starej dzielnicy, u wiedźmy, która znała dawne sposoby i potrafiła ukoić rozzłoszczone *yōkai*, ale wiedźma tylko dała Teshi paczuszkę suszonego mchu i kazała pić napar z niego co wieczór o wschodzie księżyca. Nic z tego nie wynikło.

– Musisz mi lepiej zapłacić – wyjaśniła wiedźma, ściskając Komako za przegub dłoni – jeśli chcesz, żeby duchy cię usłyszały. Musisz pokazać mi coś niezwykłego.

Tak jakby wiedziała, co potrafi Komako. Jakby się domyślała.

Po tej rozmowie Komako nie prowadziła już siostry do wiedźmy. Była jednak taka jedna okropna letnia noc, dokładnie przed rokiem, kiedy rozpalona Teshi leżała w ramionach siostry i tylko posapywała ciężko, pospiesznie, niezdolna złapać tchu, aż w końcu przewróciła oczami i znieruchomiała. Zapłakana Komako przyciskała piąstki do oczu i modliła się, modliła się do umarłych, do ducha matki, do wszelkich nadprzyrodzonych bytów – żeby jej siostra nie umarła.

Była późna noc, siedziały same w swoim maciupieńkim pokoiku na najwyższej kondygnacji teatru, gdy Komako poczuła zimne ukłucia: zaczęły się w przegubach dłoni, podpełzły w górę rąk, przeobraziły się w pulsujący ból. Nie miało to nic wspólnego z kurzem, w ogóle z niczym. Trzymała siostrę przy koszu z węglami, czuła, jak trzepocze jej w ramionach niczym zniewolone skrzydełko, i się modliła.

I Teshi przeżyła. Jakimś cudem nie umarła. Tyle że po tamtej nocy straciła część wewnętrznego ognia, jej skóra zbladła, stała się niemal przezroczysta, a wargi przybrały intensywnie czerwony odcień. Na szyi pojawiły się trzy poprzeczne czerwone linie, jak krwawe naszyjniki. Czasem, budząc się, Komako zastawała siostrę stojącą obok w ciemnościach i wpatrującą się natarczywie w tatami, jakby usiłowała sobie przypomnieć coś ważnego: biała sylwetka, osobliwa, upiorna w blasku księżyca. Bardziej duch niż ciało.

W dodatku stale marzła. Skarżyła się, że jest jej zimno, i miała zimną skórę.

„Zimną jak u trupa”, pomyślała Komako.

Tego lata cholera przeorała starą dzielnicę. Uderzyła z wściekłością i wygaśla w porze jesiennych deszczy, ale następnego lata wróciła. Ciała piętrzyły się na dusznych ulicach jak stosy drewna na opał, sklepy świeciły pustkami, a ozdowieńcy z pustką w oczach palili kadzidelka, by przebłagać złe duchy zabijające ich najbliższych. Rok strachu.

Teshi zaczęła lunatykować, na bosaka przemierzać we śnie (o ile w ogóle wtedy spała) ciemne i lśniące podłogi teatru. Pewnej nocy Komako przyłapała siostrę stojącą w drzwiach wychodzących na ulicę, wpatrzoną niewidzącym wzrokiem w noc i owiewaną ciepłym powietrzem. Kilka tygodni później Teshi zapuściła się sama w ciemne zaułki wśród domów gry: przystawała przy zwłokach ofiar cholery porzuconych na ulicach w blasku pochodni i mamrotała coś o drzwiach, których nie potrafi otworzyć. Po przebudzeniu Komako zastała drzwi otwarte na oścież. Wybiegła w pośpiechu i znalazłszy siostrę w takim stanie, narzuciła jej koc na ramiona i pokierowała ją z powrotem do domu. Mający w półmroku pracownicy i żałobnicy odprowadzali je wzrokiem, a rankiem na drzwiach teatru ktoś czerwoną farbą namalował znaki pisma oznaczające „robactwo”. Dwa dni później po zakończeniu wieczornego przedstawienia mistrz Kikunosuke odebrał liścik z ostrzeżeniem przed dzieckiem demonem. Od tego czasu Komako nauczyła się widzieć to samo co wszyscy, włącznie z aktorami i pracownikami teatru, którzy znali Teshi od małego.

– Przekleństwo – szeptali między sobą. – Choroba przychodzi nocą, stąpa na dwóch nogach i płacze jak dziecko.

To była prawda – i Komako wiedziała, że tak jest: Teshi naprawdę była inna. Mało spała, prawie nie jadła, potrafiła całymi dniami się nie odzywać. To nie cholera się w niej zaległa, ale cokolwiek to było, Komako uległa w końcu swoim lękom i poprosiła wiedźmę o spotkanie. W zamian obiecała jedyną rzecz, jaką mogła jej ofiarować: tajemnicę kurzu.

Trzy dni czekała na odpowiedź: złożoną karteczkę dostarczył mały nerwowy ulicznik w obdartych porciętach. Było na niej napisane tylko jedno słowo: „Przyjdźcie”.

Przyszły więc. Pierwszy raz od miesiąca Komako wyprowadziła siostrę na niebezpieczne ulice, oko w oko z zarazą. Padał ciepły deszcz. Przemierzyły zaułek, przeszły na drugą stronę brukowanej ulicy pełnej porzuconych, znieruchomiałych

riksz i skręciły w kolejną wąską przecznicę, w głąb ubogiej dzielnicy. Zwłoki piętrzyły się na wozach, śmierdziało chorobą i nędzą. Siostry szły powoli, ich drewniane *geta* grzęzły w błocie. Teshi, zakutana w koc i płaszcz, żeby nie dało się jej poznać, zanosila się wilgotnym kaszlem.

Biedne uliczki były wąskie, wilgotne, pełne sklepików i warsztatów. Woda ściekała z okapów. Majaczące w półmroku postaci odrywały się na chwilę od swoich zajęć, by odprowadzić dziewczynki wzrokiem.

Dom więdzmy dawno popadł w ruinę. Stał w głębi pustej parceli, okolony gąszczem karłowatych bambusów. Okna na piętrze – długie i niskie, w starym stylu – zostały zabite deskami. Brakowało części dachówek. Koślawe bambusowe żaluzje zwisały z okapu nad głęboką werandą, której deski zaskrzypiały i zatrzęszczały pod ciężarem sióstr.

Stały przy pozbawionym drzwi ciemnym otworze wejściowym.

– Proszę pani! – zawołała Komako.

Stojąca obok Teshi zakaszlała.

– Halo, jest tam kto?

W mroku coś poruszyło się powoli, zaszeleściło jak skrzydła. Komako poczuła, jak siostra tuli się do niej.

– Nie sądziłam, że wrócisz – zabrzmiał cichy, łagodny, niemal piękny głos. – Co mi przynosisz, *on'nanoko*?

Komako przyklękła, zdjęła zawiniątko z pleców i złożyła je w ciemności przed sobą, po czym powoli je rozpakowała. Było to zabrane z teatru kartonowe pudełko z drobnym czarnym pyłem, którzy skrzył się teraz srebrzyście. Komako się cofnęła, a wtedy odbite światło rozbłysło, zafalowało i się rozpląnęło.

– Bliżej – rozległ się ten sam głos. – Przysuń je. Mój wzrok już nie jest taki jak dawniej.

Komako wstała i wniosła pudełko w głąb gorącej ciemności, z którą jej oczy już się oswajały. Przekroczyła próg pokoju gościnnego, uklękła i pochyliwszy głowę, z twarzą wilgotną od potu, zaczęła się pomalutku posuwać naprzód. Postawiła pudełko tuż przed szarą postacią.

Wiedzma go nie dotknęła.

– Właśnie tak – powiedziała tylko półgłosem. – Dobrze. Nie wiem, czy zdołam pomóc twojej siostrze, ale postaram się. Rozumiesz?

Komako skinęła głową.

– Weźcie ze sobą pył – poleciała wiedźma.

Wstała płynnie i poprowadziła siostry w głąb zniszczonego domu.

W długim dusznym korytarzu Teshi mocno ścisnęła dłoń Komako. Drobne palce miała zimne, a paznokcie ostre, przez swoje płócienne owijki Komako wyraźnie czuła jedne i drugie. Większość papierowych przegród *shōji* dawno przegniła i po obu stronach korytarza otwierały się mroczne pustki. Zalatywało zepsutymi warzywami i odchodami gryzoni. Z przodu zamajaczyło światło dnia i w końcu wyszły do wewnętrznego ogródka. Mimo siąpiącej mżawki dzień – przez kontrast z mrocznym wnętrzem – wydawał się całkiem jasny. Niegdyś ogród musiał być piękny, z czasem jednak zarósł chwastami i posmutniał. Na głazie pośrodku zielonego stawu stał zaniedbany kamienny pomnik okolony trzcina. Nieco dalej było widać zawalony drewniany mostek. Wszystko to minęły bez słowa, weszły na kolejną zadaszoną werandę i znów zagłębiły się w mrok.

Wiedźma nie była stara. Miała bardzo piękne włosy, upinała je wysoko, podtrzymywała dwiema lśniącymi kościanymi spinkami i zdobiła *kanzashi* wyrazistymi i białymi jak jej szyja. Sunęła szybko, bezgłośnie, odziana w sztywne *furisode* w kwiatowy deseń. Nie oglądała się za siebie, nie czekała na siostry. Komako słyszała, że wiedźma owdowiała, ponieważ sama pozbyła się męża, i że za wyrządzone zło została ukarana oszpeceniem i od czasów szogunatu nie opuszcza domu. Zastanawiała się teraz, czy cokolwiek z tego jest prawdą.

Zajmowała dwa pokoje w głębi domu. Podeszła do kosza z węglami (żarzyły się mimo gorąca), odrzuciła koc, zapaliła lampę i postawiła ją przy tatami. W cieniu na podłodze krył się na wpół zardzewiały imbryk na herbatę, obok stała porcelanowa czarka, ledwie widoczna w półmroku.

Wiedźma odwróciła się i znieruchomiała. Jej dłonie ginęły w przepastnych rękawach *furisode*.

– Byłaś z nią u lekarza? – zapytała.

– Jesteśmy biedne, pani.

– To może chociaż w portugalskiej klinice?

Komako kiwnęła głową.

– Niczego nie znaleźli. Teshi stale marznie, jest osłabiona i łatwo się męczy. I jest z nią coraz gorzej.

Wiedźma zmarszczyła brwi. Komako zwróciła uwagę, że oczy ma osobliwie płaskie i pozbawione wyrazu, jak namalowane.

– Ty, moje dziecko. Podejdz. Połóż się tutaj.

Teshi posłusznie wyciągnęła się na macie. Wiedźma przepadła w mroku na dłuższy czas, a gdy wróciła, w drżących rękach niosła drewnianą tacę, na której cicho dźwięczały i grzechotały czarki, kadzidelka, grudki wosku i wiekowy nóż z kościaną rękojeścią. Uczernionym w popiele kciukiem narysowała sobie poprzeczną pręgę na czole.

Wzięła biały kamień, wsunęła go Teshi w dłoń i zacisnęła jej palce wokół niego.

– Trzymaj i nie puszczaj – poleciła. – Jak się nazywasz?

– Teshi Onoe.

– Ile masz lat?

– Pięć, pani.

– Skąd przybywasz?

– Z Tokio, pani, z Asakusa Saruwaka-cho.

Wiedźma zacmokała z dezaprobatą.

– Skąd przybywasz? – zapytała ponownie.

Teshi zawahała się, spojrzała na Komako.

– Nie ro...

– Z pyłu, moje dziecko. Jesteś z pyłu i w pył się obrócisz. – Twarz wiedźmy wynurzyła się z ciemności. – Czego szukasz? – spytała szeptem.

Teshi nie odpowiedziała.

– Wypij to. – Wiedźma podsunęła jej czarękę z herbatą.

Teshi wypija.

Wiedźma wstała z klęczek i podniosła ręce. Obszerne rękawy opadły, odsłaniając dwa trzymane przez nią klocki drewna. Zderzyła je nad głową Teshi. Stuknęły głośno, chmura jasnego pyłu eksplodowała w ciemności i opadła. Wiedźma obeszła dziewczynkę dookoła, uderzając klockami o siebie, po czym zaczęła śpiewać.

Komako nigdy przedtem nie słyszała takiej pieśni, upiornej i smutnej zarazem. Powieki Teshi stały się ciężkie, w końcu opadły. Skórę miała rozpaloną jak piec.

Wiedźma umilkła i zapaliła stożkowate kadzidelko, jego żarzący się czubek zakreślił łuk w półmroku.

A potem w ciszy rozległ się cichy stukot.

Biały kamień wypadł z dłoni Teshi.

– Tak musi być – powiedziała półgłosem wiedźma.

Nagle Komako ogarnął lęk. Nie wiedziała, co znaczą te słowa.

Teshi zatrzepotała powiekami, zaczęła szybciej oddychać. Komako dotknęła rękawa jej kimona.

– Pył ożywia twój dar, *on'nanoko* – odezwała się wiedźma, nie odrywając wzroku od Teshi. – Ale ten sam pył jest w twojej siostrze i odpowiada za jej chorobę. Musi z nim walczyć.

Coś poruszyło się w ciemnościach w głębi domu, za drugim pokojem. Komako spojrzała w tamtą stronę. Włoski zjeżyły jej się na karku.

– Ktoś tam jest?

Wiedźma skinęła na pudełko pełne kurzu.

– Pył nie bez powodu się w niej zbiera. Jest coś, co go przyciąga, pęta jego esencję. To coś... nadzwyczajnego. Słyszałam o czymś takim, ale nigdy tego nie widziałam.

– Pył – powtórzyła jak echo wystraszona Komako.

Wiedźma przyglądała swoje obi.

– Powiedz, proszę – odezwała się znów Komako – czy to ja? To przeze mnie choruje?

– Dlaczego ty miałabyś być temu winna, moja droga? – spytała wiedźma tonem, który sugerował, że wie znacznie więcej, niż mówi. – Pokaż, co potrafisz.

Komako powoli odwinęła płótno z rąk. Dłonie miała zaczerwienione, swędzące. Trzęsły się, gdy podniosła wieko pudełka.

– Nie zawsze się udaje – zastrzegła szeptem.

Wiedźma stanęła bliżej. Komako poczuła woń jej skóry, podobną do zapachu skwaśniałego mleka. Zawahała się z rękami zawieszonymi nad pudełkiem i nagromadzoną w nim ciemnością.

– Pomożesz mojej siostrze? – zapytała mężnie. – Musisz mi obiecać, pani.

Wiedźma prychnęła zniecierpliwiona.

– To nie takie proste, *on'nanoko*.

– Ale coś na pewno możesz zrobić, prawda? Obiecuj mi.

Cień przemknął przez twarz więdźmy.

– Owszem, można coś dla niej zrobić – odparła, starannie dobierając słowa. – Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy.

Komako wyciągnęła dłonie nad pudełkiem, rozprostowała palce i poczuła znajomy chłód wnikający w nadgarstki. Wzdrygnęła się.

Długi, cienki słupek pyłu wzbił się, zawisł w powietrzu i zaczął przybierać kształt kuli, ruchliwej jak kropla rtęci i pięknej w półmroku. Więdźmie zapało dech w piersi. Komako już czuła ból w nadgarstkach. Była zmęczona. Poruszała dłońmi wokół kuli kurzu, jakby w dalszym ciągu ją formowała, utrzymywała w powietrzu niczym maleńki księżyc, aż w końcu z westchnieniem opuściła ręce i pyłowy glob opadł z powrotem do pudełka, nieruchomy i martwy.

Więdźma patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– A więc to prawda – wyszeptała. – Jesteś... talentem.

– Wcale nie, jestem po prostu sobą. – Roztrzęsiona Komako wcisnęła dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać. Była wyczerpana, twarz miała wilgotną. – Pomożesz mojej siostrze, pani?

Więdźma ponownie wstała, odsunęła się na skraj ciepłej ciemności i niewidzącym wzrokiem spojrzała w dal.

– To ona – powiedziała. – Miałaś rację.

– Ko-ma-ko... – odpowiedział jej głos z mroku, powoli, dzieląc na sylaby, jakby smakował każdą z osobna. – Tak, Maki-chan. To ona.

Komako zerwała się na równe nogi i zatoczyła w tył.

W plamie światła pojawiły się dwie postaci. Dwaj mężczyźni, obcokrajowcy. Wyższy miał gęstą czarną brodę, jedwabny kapelusz, który trzymał w rękach, głęboko osadzone oczy i atramentowoczarne włosy, które zaczesywał do tyłu znad porytego zmarszczkami troski czoła. Jego ubranie roztaczało leciuteńką woń sadzy.

– Nie lękaj się – powiedział półgłosem. – Musieliśmy zobaczyć, co potrafisz. Ja musiałem to zobaczyć. Zrobiłem to dla siebie. Chciałem mieć pewność.

Wydał jej się bardzo wysoki. Na chwilę przeniosła wzrok na jego towarzysza: był bardziej przysadzisty, rumiany, ocierał pot z twarzy.

– Kim jesteście? – zapytała. – Czego chcecie?

Podszedł, przystanął nad tatami i spojrzał z góry na drobną, śmiertelnie bladą Teshi.

– Twoja biedna siostrzyczka... Musi jej być bardzo zimno.

– Czego chcecie? – powtórzyła Komako, tym razem bardziej zapalczywie.

Podeszła i stanęła w takim miejscu, żeby odgrodzić go od Teshi. Zacisnęła drobne pięści. Nie miała pojęcia, czego cudzoziemiec mógłby od niej chcieć, gdy wtem coś przyszło jej do głowy.

– Przychodzicie... od mojego ojca?

Nieznamy nie odpowiedział. W skupieniu przykucnął nad pudełkiem z kurzem i zdjął czarne rękawiczki. Miał skórę jak mleko i przepiękne palce – długie, miękkie, eleganckie. Wykonał nimi kilka osobliwych gestów, jakby pisał w powietrzu.

Tym razem to Komako zaparło dech w piersi.

Pył w pudełku się poruszył. Na jej oczach popłynął w górę, wprost w bladą skórę dłonie mężczyzny, a potem zaczął figlarnie skakać z palca na palec i srebrzystą wstążką okręcać się wokół nadgarstków. Mężczyzna trzymał go tak przez chwilę, jakby pocieszał żywą istotę, zanim pozwolił mu przelać się płynnie z powrotem do otwartego pudełka.

Nakrył wieko i spojrzał Komako w oczy.

– Nie przysłał mnie twój ojciec – odparł szeptem i palcami przeczesał brodę. – To, co potrafimy, Komako... Tam, skąd pochodzę, nazywamy to pyłowładztwem. Twój dar czasem cię przeraża, prawda? Używanie go sprawia ci ból? I nie możesz tego robić zbyt długo, żeby się w nim nie zatracić?

Pokiwała głową. Przyciskała palce do ust, bojąc się odezwać.

– Mam tak samo – dodał ze smutkiem mężczyzna.

Jacob Rzeźnik, Jacob Krew

Brodającym mężczyzną był, rzecz jasna, Jacob Marber, wówczas jeszcze młody. Jego świat obfitował w bezgraniczne możliwości.

Letni dzień dogasał, gdy wyszedł z ogródka wiedzmy. W okolicznych błotnistych zaułkach panował spokój, wrony poprzysiały na mokrych dachach. Zatrzymali z Coultonem riksę i wyboistymi ulicami wrócili do znajdującej się powyżej portu gospody dla cudzoziemców, mijając po drodze ciemne witryny sklepów i rozświetlane blaskiem pochodni zaułki. Chore miasto cuchnęło zgnilizną. Jacob obracał w palcach jedwabny kapelusz i dumał nad Komako i nad tym, co zobaczyli. Czuł się dziwnie szczęśliwy. Pierwszy raz spotkał kogoś, kto tak jak on władał pyłem.

Riksza podskoczyła gwałtownie na poluzowanym drewnianym kločku nawierzchni. Coulton zachwiał się i machnął ręką, łapiąc równowagę.

– Jedno ci powiem – odezwał się, przerywając długie milczenie. – Nie będzie łatwo ją przekonać, żeby wyjechała z nami.

Jacob spojrział na niego zaskoczony.

– Wydawało mi się, że nieźle nam poszło – przyznał.

– Akurat.

– Zmieni zdanie. Dajmy jej dzień do namysłu. Co ty na to?

Coulton zmierzył go tym swoim charakterystycznym spojrzeniem. Jacob słabo go znał. Coulton był od niego dziesięć lat starszy, chętnie mu o tym przypominał i lubił wykorzystywać ten fakt do usprawiedliwiania cynizmu, w którego szczerść Jacob mocno powątpiewał.

– Posłuchaj, chłopcze – powiedział teraz Coulton. – Kiedy będziesz w moim wieku, napatrzysz się już w życiu na najdziwniejsze rzeczy. Uwierz mi, kiedy mówię, że to dziecko nie chwyciło naszej przynęty.

Jacob nałożył kapelusz – niespiesznie, starannie poprawił rondo. Spojrzał na ciągnącego ich riksę mężczyznę: był bosy, w łachmanach, jego skóra lśniła od potu. Wysokie koło rikszy wirowało tuż przy prawym łokciu Jacoba.

– Zawsze znajdzie się jakiś sposób – powiedział. – Zobaczysz.

– Nie, nie zawsze.

Jacob tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Riksza turkotała w gęstniejącym zmierzchu, ulice lśniły po deszczu.

Prawdę mówiąc, wcale nie był taki pewny, że ma rację. Nie chodziło tylko o długi rejs, który mieli za sobą, tak jak nie chodziło tylko o tę dziewczynkę i jej siostrę. Ostatnio Jacob coraz częściej przypominał sobie swoje dzieciństwo w Wiedniu, gdzie jako kominiarczyk ledwie zarabiał na życie, był wiecznie głodny, zapłakany i zrozpaczony w tych samotnych latach po śmierci brata bliźniaka.

To było, zanim Henry Berghast pojawił się w jego życiu, wyrwał go z wiedeńskiej makabry i zabrał do Cairndale, a tam odział go, nakarmił i nim pokierował. Jacob zdążył jednak zachorować w tym swoim pierwszym życiu: nie dość, że miał kłopoty z oddychaniem, to jeszcze cierpiał z powodu zupełnie innej choroby serca. Często się potem zastanawiał, dlaczego Berghast nie zjawił się wcześniej, dlaczego nie przybył, kiedy Bertolt, jego brat, jeszcze żył.

Snując takie myśli, nienawidził siebie, Berghasta, losu i Boga.

Ze środka ulicy dobiegł ich śpiew i ujrzeli procesję mnichów w żółtych szatach: uderzali drewnianymi klockami o siebie i śpiewali z tą swoją osobliwą intonacją. Rikszarz zjechał na skraj ulicy, zatrzymał się i przepuścił pochód. Jacob zmarszczył brwi i odwrócił wzrok. Nie, nie chodziło tylko o zadawnioną troskę, z którą żył, odkąd pamiętał, a która od zawsze ciążyła mu ciężkim brzemieniem. Były jeszcze sny.

Tak przynajmniej sobie tłumaczył, że to sny. Coultonowi na razie o nich nie wspomniał – chociaż nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Może przez ich wyjątkowy realizm, przez to, że nie umiałby wytłumaczyć, jak bardzo rzeczywiste mu się wydawały, jak bardzo odległe od snów. Zawsze w jakiś sposób wiązały się z jego nieżyjącym bratem, chociaż ten się w nich nie pojawiał, nie występował

nawet jako wspomnienie. Była w nich natomiast kobieca postać spowita w mrok, odziana w staroświecką suknię z wysokim kołnierzem, pelerynę i jedwabny kapelusz. Rozmawiała z Jacobem spokojnym, rozsądnym, łagodnym tonem, zadawała mu pytania, mówiła zagadkami. Działo się to w tym pomieszczeniu, w którym akurat zdarzyło mu się zasnąć – w kajucie na statku podczas rejsu, w starej skrzypiącej japońskiej gospodzie tutaj, w Tokio, trzy przecznice od portu. Zawsze też sen wyglądał tak, jakby Jacob się budził, a kobieta siedziała w pokoju naprzeciw niego, niczym gość przynoszący nowiny z niewyobrażalnego świata.

– Wróciłeś – odzywał się we śnie przestraszony Jacob. – Czym jesteś?

Czyż nie jesteśmy wszystkim, co potrafimy sobie wyobrazić? – odpowiadała cichym, kojącym tonem.

Próbował usiąść w pościeli, dostrzec twarz kobiety.

– Czego chcesz? – Własny głos wydawał mu się płaczliwy i przerażony. – Po co do mnie przychodzisz?

I tak zaczynała się ta osobliwa senna rozmowa, pytanie – odpowiedź, jak litania. Pytań kobiety nie potrafił zignorować, a odpowiadał jej niemal wbrew swojej woli, jakby wcale tego nie chciał.

Czego pragniesz, Jacobie?

– Chcę wiedzieć, że ci, których kocham, są cali i zdrowi. I sprowadzić z powrotem tych, których kochałem.

Czy ci, których kochałeś, nie są stale przy tobie?

– Nie wiem. Odczuwam lęk.

Mówię o twoim bracie bliźniaku.

– Nie ocalałem go. Nie ocalałem.

Łagodny głos kobiety nagle przepelniła miłość.

Śmierć nie jest śmiercią, Jacobie. Nic nie jest wieczne. Ja mogę do niego dotrzeć i ty również. A jeśli Berghast nie pozwoli ci otworzyć orsine, musisz znaleźć własną drogę do mnie...

W tym momencie sen się rozpląwał, roztapiał, przeistaczał w zwyczajne śnienie, a gdy Jacob wreszcie się budził rozstrojony, nie był do końca pewien, że naprawdę mu się to śniło.

Po powrocie do gospody zdjęli z Coultonem buty, włożyli podane im pantofle i cicho weszli na piętro. Obaj spływali potem. Lśniło polerowane ciemne drewno, w powietrzu unosił się słodki zapach ciętych kwiatów ze stojącego na korytarzu wazonu. Chwilę później usłyszeli przytłumione słowa powitania: to żona właściciela gospody przyniosła zawiniętą w ręcznik butelkę ciepłego sake. Uklękła, odsunęła papierową przegrodę, weszła do pokoju, ponownie uklękła i zamknęła wejście za sobą. Następnie pozapalała lampiony, nie patrząc przy tym na twarze gości. Jacob nie mógł się nadziwić wszechobecnej w tym kraju niespiesznej gracji, pięknu zakłętemu nawet w najdrobniejszych gestach.

– Ma taki sam talent jak ja, Frank – stwierdził, kiedy znów zostali sami. Swobodnie kontynuował wcześniejszą myśl, jakby wcale nie przerwali rozmowy. – Włada pyłem.

Coulton tylko lekko pokręcił głową. Nie odpowiedział, zajęty zdejmowaniem mokrego płaszcza.

– Widziałeś to samo co ja.

– Owszem – potaknął bez entuzjazmu Coulton. – Widziałem też jej siostrę. To już nie jest twój talent, chłopcze.

– Może. A może to sprawka pyłu.

– Ty nigdy czegoś takiego nie zrobiłeś.

– Nigdy nie próbowałem.

– Ach tak. – Coulton z uśmiechem nalał sake na grubość palca do czarki. – Czyżbym słyszał zazdrość w twoim głosie?

Zirytowany Jacob zmarszczył brwi. Coulton się z nim droczył, ale prawdę mówiąc, Jacob był poniekąd zafascynowany potencjałem dziewczynki. Nie udało mu się dotychczas ustalić żadnych granic pyłowładztwa. Kto wie, do czego jeszcze był zdolny?

Zamiast jednak powiedzieć to na głos, odparł:

– Jeżeli chcemy ją przekonać, by z nami wyjechała, najłatwiej będzie obiecać, że pomożemy jej siostrze. To jej słaby punkt. Możemy powiedzieć, że w Cairndale ją wyleczą.

– Tego, co stało się z tym dzieckiem, nie da się wyleczyć.

Jacob podniósł wzrok. Coulton obserwował go spod półprzymkniętych powiek. W końcu Jacob powiedział na głos to, czego obaj próbowali uniknąć:

– Ponieważ jest litchem, tak? O to ci chodzi? Młodsza z siostr jest litchem.

– Tak. A starsza myśli, że jest po prostu chora.

– Na pewno zna prawdę – odparł półgłosem Jacob. – Zna ją, nawet jeśli nie chce w nią uwierzyć.

Coulton podszedł do okna. Otwarte drewniane okiennice były zablokowane drewnianym kołkiem.

– Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść – przyznał. – Stworzenie litcha wymaga czasu, prawda? Musi potrwać.

– Tak twierdzi Berghast – przypomniał Jacob.

– Zgadza się. Tak twierdzi doktor Berghast.

– Ale co on wie? Widział kiedykolwiek litcha na własne oczy? Może da się go stworzyć szybciej, może pyłowładztwo w jakiś sposób to ułatwia... – Jacob zawiesił głos, nie kończąc tej myśli. Przypomniała mu się kobieta ze snu, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie zaczął mówić. Teraz tylko zarumienił się i urwał w pół zdania.

Coulton, który z niepokojem śledził ruch ludzi z pochodniami na ulicach, chyba niczego nie zauważył. Otarł twarz rękawem koszuli. Miejscowi układali ofiary cholery na wozy i wywozili z miasta.

– No dobrze – powiedział – wracając do tej dziewczynki, Komako. Miałyby zrobić z siostry litcha i w ogóle nie zdawać sobie z tego sprawy? To sugerujesz?

– Na to wychodzi.

Coulton się odwrócił, a wtedy Jacob aż się wzdrygnął na widok malującego się na jego twarzy bólu.

– To by znaczyło, że ta młodsza, jak jej było... Teshi...

– ...już nie żyje.

Z ciemności dobiegło głębokie westchnienie Coultona.

– Kurwa mać...

Najstarsze wspomnienie Jacoba wiązało się z pyłem.

Miał cztery lata. Była letnia noc w posępnym domu dziecka w Wiedniu. Kulił się spocony pod przeżartym przez mole kocem, obok kucał jego brat i razem nadstawiali uszu, słuchając oddalających się korytarzem kroków zakonnicy na

nocnym dyżurze. Byli bliźniakami, ale nie identycznymi. Brat nie miał daru Jacoba, jego talentu. Nie potrafił robić tego co on.

Światło widocznej przez otwarte okno ulicznej latarni przesączało się przez koc. Jacob poruszał rękami nad kopczykiem kurzu wygarniętego z kątów sali. Pod jego dłońmi pył wirował, przemieszczał się i układał w spirale, gdy nagle jeden ze starszych chłopców zerwał zasłaniający łóżko koc. Jacob nie miał pojęcia, co chłopak zobaczył: czy dostrzegł działanie jego talentu, a nawet jeśli tak, to czy uwierzył własnym oczom.

Jego brat, Bertolt, natychmiast zeskoczył z łóżka i rzucił się na większego chłopaka. W ciemnej zbiorowej sypialni zaczął go ciągnąć za koszulę, okładać po twarzy i tłuc pięściami po ciele. Mimo że tamten był od niego starszy i wyższy, Bertolt zaatakował z taką furią, że to przeciwnik musiał zawołać o pomoc. Bertolt został złapany za szyję, odciągnięty i dotkliwie pobity, a na dokładkę siostry obwieściły, że ma w sobie diabła – i nigdy mu tego nie zapomniały, ale pozostali chłopcy również dostali nauczkę i od tej pory rzadko ośmielali się niepokoić braci.

Spędzali całe dni na zbieraniu pakul i szyciu, a gdy trochę podrośli, siostry zaczęły ich wypożyczać do fabryk, gdzie byli użyteczni ze względu na swój niewielki wzrost: wciskali się w głąb maszynierii, wślizgiwali pomiędzy wielkie wirujące koła zębate, by odplątać zahaczony skórzany pas albo obstukać oporną śrubę. Bertolt nigdy nie puszczał Jacoba do tej pracy, wszędzie pchał się pierwszy, nawet kiedy zaczął się na to robić za duży. Byli tam chłopcy bez palców, chłopcy bez dłoni.

Po kilku latach w pewne niedzielne popołudnie Bertolt wziął Jacoba za rękę i jakby nigdy nic wyszli przez otwartą bramę fabryki prosto na brudną Unterstrass, by wieść życie kominiarczyków w jednej z ekip czyszczących kominy w zamożnych domach przy najlepszych wiedeńskich ulicach. Taki właśnie był Bertolt: wchodził prosto w swoją przyszłość i zabierał Jacoba ze sobą – a Jacob go uwielbiał, podziwiał i chciał być taki sam.

Zostali kominiarczykami. Sadza różniła się od zwykłego kurzu – była kleista, gruzłowata, mazała się i Jacobowi trudniej było ściągać ją w dłonie i formować. Musiał wspinać się, przeciskać i ślizgać w tłustych przewodach kominowych, wiecznie zadyszany, zwinny, drobny chłopiec w przydużej odzieży, w ciemności, w której błyskały tylko białka jego oczu. Ale zupełnie się tym nie przejmował – bo

liczył się tylko Bertolt, Bertolt był najważniejszy na świecie, a czyszczenie kominów było bezpieczniejsze od czołgania się wśród maszynierii.

Zawsze opiekowali się sobą nawzajem. Kiedy w prowadzonym przez zakonnice sierocińcu Jacob zachorował na szkarlatynę, to czteroletni Bertolt ocierał mu pot z czoła i zmieniał pościel. To Bertolt przynosił mu resztki jedzenia, kiedy Jacob za karę nie dostał kolacji. To Bertolt był powodem, dla którego warto żyć i walczyć. Nie pamiętali swoich rodziców, nic im po nich nie zostało. Jeżeli nawet ocalał jakiś dagerotyp, naszyjnik czy inna pamiątka, to siostry nie uznały za stosowne ich zatrzymać. Zostali tylko oni dwaj, sami na świecie.

– Co teraz zrobimy, Bertolcie? – zapytał pewnej zimy przemarznięty do kości Jacob. Znow podrośli i przestawali się mieścić w kominach; kolana i plecy mieli poobijane i pościerane do krwi.

– Coś sobie znajdziemy – zapewnił go brat. – Zawsze jest jakieś wyjście.

– Ale jakie? Co znajdziemy?

– Nie wiem, ale znajdziemy.

Dwa tygodnie później Bertolt utknął w kominie i się udusił. Szef porzucił jego drobne ciało w brudnym zaułku, a Jacob zrozumiał wtedy, że jedyne, co znajdują dzieci takie jak oni, to ból, cierpienie i śmierć. Rozpierzany furją, jakiej nigdy przedtem nie zaznał, zaczął śledzić szefa. Poszedł za nim do domu gry i tam, przy karcianym stole, w ciemnych godzinach wczesnego poranka udusił go kurzem, dusił go tak długo, aż oczy niemal wyszły mężczyźnie z orbit. Miał dziesięć lat.

Został sam. Ukrywał się, przymierał głodem, żył w lęku. Tej samej zimy znalazł go Henry Berghast, jakby szukał go od urodzenia. Zabrał go w długą podróż pociągami i powozami przez całą Europę i dalej, przez szare morze, aż do białych, zimnych wnętrz Cairndale.

Snując takie myśli, Jacob zostawił Coultona samego i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Rozpalone powietrze stało nieruchomo. Na podłodze wyłożono już matę do spania wraz z tą dziwną, okrągłą japońską poduszką pod głowę. Słyszał, jak Coulton siąka nosem, kaszle chrapliwie, kręci się w swoim pokoju. Zdjął koszulę, rozpiął spodnie, zaczesał do tyłu opadające na twarz włosy. Spodziewał się, że nie zaśnie łatwo.

W nocy znow przysła do niego ta kobieta, zadumany cień w kącie sennego wnętrza.

– Wróciłaś – wycedził powoli; zawsze tak się to zaczynało. – Czym... jesteś?

Czyż nie jesteśmy wszystkim, co potrafimy sobie wyobrazić? – zabrzmiała znajoma odpowiedź.

Tym razem jednak wydała mu się pospieszna, zdawkowa, jakby kobietę – jak zwykle nie do końca widoczną, otuloną mrokiem, ale emanującą jakimś nowym, niepokojącym napięciem – zniecierpliwiło jego pytanie.

Czas nagli – dodała znienacka i splotła dłonie za plecami.

Powoli, jakby wszystko to działo się gdzieś bardzo daleko, Jacob zamknął oczy, znów je otworzył. Spróbował potrząsnąć głową.

– To... nie jest sen. Wcale nie śnię, prawda?

Żałuję, że nie mamy więcej czasu. Muszę mówić wprost.

– Dobrze.

Jesteś wyjątkowy, Jacobie. Inny niż wszyscy. Zawsze o tym wiedziałeś. Pewnego dnia dokonasz wielkich rzeczy, sprowadzisz na świat wielkie dobro. Pomożesz wielu ludziom. A wszystko rozpocznie się od Bertolta.

– Od Bertolta...?

On cierpi, nawet teraz. Cierpi jego duch.

Jacob z niedowierzaniem przetarł twarz dłonią.

Można mu pomóc, ale tylko ty możesz to zrobić. Tylko ty masz dość siły. Można sprowadzić go z powrotem.

– Co masz na myśli? – spytał szeptem. – Jak to: sprowadzić z powrotem?

Śmierć to tylko drzwi – orsine, w Cairndale. Henry Berghast z glifinem pilnują, by pozostało zamknięte. Musisz znaleźć sposób otwarcia go... Kobieta w mroku zawiesiła głos. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz, Jacobie. Nie zapominaj. Niektórzy będą twierdzili, że źle ci życzę, ale ty wiesz, ty czujesz, że to nieprawda.

– Zaczekaj. Jeżeli orsine zostanie otwarte, przejdą przez nie umarli...

Najlepsze są te kłamstwa, w których zawarte jest ziarno prawdy, Jacobie. Nie można ufać Henry'emu Berghastowi. Będzie twierdził, że orsine oznacza zniszczenie, zagładę. To nieprawda. Chcę ci pomóc, chcę pomóc Bertoltowi, ale musisz mi na to pozwolić.

Na te słowa przeszło go uczucie zgrozy, nawet tam, we śnie, straszliwe, lodowate, złowieszcze, jakby te słowa mogły stać się dla niego zagrożeniem, zapowiedzią zła.

Obudził się.

Drewniana konstrukcja gospody poskrzypywała wokół niego. Leżał na tatami zlany potem i wsłuchiwał się w ciemność, w absolutną ciszę okalającego go miasta. Serce waliło mu jak młotem. Oblizął usta. Sen już blakł.

Otworzył oczy.

W kącie pokoju stała ta kobieta, emanująca złowrogą aurą, nieprawdopodobnie wysoka i przekrzywiona jak cień kładący się na suficie. Ciemność skrywała jej twarz.

– JACOB! – wrzasnęła dzikim, przerażającym głosem.

Krzyknął, odruchowo odwrócił się i sięgnął po jakąś broń, po cokolwiek, ale niczego nie znalazł, a gdy znów spojrział w kąt, kobieta zniknęła. Pokój był pusty.

Został sam.

Frank Coulton znał smak straty. Wiedział również, jakie to uczucie zostać ostatnim z większego grona. W wieku trzydziestu czterech lat był wrakiem człowieka: z rana nie dawały mu spokoju płuca zmaltretowane latami tytoniowego nałogu, wieczorami zaś – plecy udręczone ogólnie ciężkim życiem. Szybko tracił włosy, za kilka lat zupełnie wyłysieje. Z kasztanowych bokobrodów wyhodował gęstą brodę. Dłonie – z natury spore i obrzmiałe od boksowania – miał tak duże, że zdawało się, jakby stale nosił rękawice. Miał kręłą sylwetkę, byczy kark i uwielbiał kolorowe kamizelki. Większość czasu spędzał samotnie i często nie bardzo wiedział, jak zachować się wśród ludzi. W przeszłości był hazardzistą, armatorem parowca rzeczno, żołnierzem w armii Unii, uczniem introligatora, a także cieślą w wielkich bibliotekach w Londynie i Bostonie. Przeżył wiele niedobrego i niewiele naprawdę złego, a gdyby go zapytać, co dziś o tym sądzi, odparłby, że zawsze woli coś niż nic.

Nigdy by się do tego nie przyznał, ale serce – jak to śpiewają balladziści – miał nieskalane. Wierzył w niezłomność cnót. Dobro nie było dla niego kwestią punktu widzenia. Dość się napatrzył na cierpienie, by nie chcieć go więcej oglądać, ale źle ulokowana nadzieja prowadziła do zgorzknienia, a zgorzknienie – prosto do rynsztoka. Widział to w szpitalach polowych, tę rezygnację. Jego talentem była siła, umiał tak mocno utwardzić ciało, upakować mięśnie tak gęsto, że od jednego jego ciosu pękał ceglany mur, a on wychodził z tego niedraśnięty. Na polu bitwy

kula nie zagłębiłaby się w niego zbyt. Sprawiałaby ból, ale nie wyrządziła szkody. Mimo to przy każdym użyciu talentu czuł się tak, jakby ściany, sufit, nawet gołe niebo zaciskały się wokół niego, przygniatały go piekielnym ciężarem, aż nie mógł oddychać. Doktor Berghast wytłumaczył mu, że ta powszechna na kontynencie europejskim przypadłość, przez nowe pokolenie badaczy umysłu nazwana klaustrofobią, najwyraźniej jest skutkiem ubocznym działania jego talentu. „Nauczy się pan z nią żyć”, powiedział Berghast. „No dobrze, ale jak mam to zrobić?”, zapytał wtedy Coulton. „Proszę się po prostu nie poddawać, panie Coulton”, brzmiała odpowiedź. „Proszę się nie poddawać”.

Wiedział co nieco o niepoddawaniu się.

Obudził się rankiem w rozchwierutanej drewnianej gospodzie, wysoko nad omglonym tokijskim portem. Od razu usiadł na łóżku. Koszulę nocną miał mokrą od potu. Rozejrzał się po pokoju.

Coś go obserwowało. Czuł to.

Prawdę mówiąc, czuł to od tygodni, odkąd w Tokio zeszli ze statku, a nawet jeszcze wcześniej, gdy starą kryptą płynęli z Singapuru, trzymając się blisko wybrzeża porośniętego dżunglą, a on stał przy relingu i patrzył, jak wśród wszechobecnej mgielki marynarze uwijają się w olinowaniu. Jakby coś się do niego zakradało. Kątem oka zdarzało mu się dostrzec ruch, niewyraźną postać, ale kiedy odwracał się w tę stronę, znikало. Ostatnio było coraz gorzej, złudzenie stało się natarczywsze, włoski na karku stawały mu dęba i nabrał nawyku oglądania się za siebie w najmniej oczekiwanych momentach, próbując dostrzec swojego prześladowcę. Jacob patrzył wtedy na niego jak na wariata.

Ubrał się, wciąż niespokojny i zamyślony, złożył matę i zostawił ją na lśniącej, ciemnej podłodze. Słyszał szuranie szczotki, to żona gospodarza zamiatała schody. Pokój Jacoba był pusty i schludny. Ten chłopak zdecydowanie lubił chadzać własnymi drogami.

Mimo wszystko Coulton powinien być zadowolony. Od tygodni szukali małej Onoe, podążając skrajnie wątlm tropem w wiecznie wilgotnym mieście wstrząsanym epidemią cholery, aż w końcu im się udało. Teraz musieli ją tylko przekonać, żeby pojechała z nimi, a będą mogli porzucić ten przeklęty kraj i wrócić do świata, jaki znali.

Sięgnął po kapelusz i znieruchomiał z ręką zawieszoną w powietrzu. Zamiast leżeć otworem do dołu, kapelusz stał na denku, odwrócony do góry nogami. Coulton nigdy by go nie zostawił w takiej pozycji. Przyszło mu do głowy, że może żona gospodarza zajrzała do pokoju, kiedy spał, albo Jacob odwrócił kapelusz, ale obie te możliwości wydały mu się mało prawdopodobne. Czyżby wieczorem był tak zmęczony, że naprawdę sam go tak położył? Być może.

Zjadł na śniadanie opiekaną rybę z ryżem dostarczoną pod drzwi w drewnianym pudełeczku (jadł palcami, nie sięgnął po śmieszne patyczki używane tutaj do jedzenia), po czym wyszedł z gospody.

Na ulicach panowała upiorna cisza. W portfelu miał adres domu publicznego w dzielnicy Yoshiwara. Udał się tam, mijając ozdobne, kryte dachówką dwupiętrowe domy z wiklinowymi balkonami i wysokimi, rogatymi szczytami. Niektórzy z napotkanych Japończyków – w ciemnych garniturach i jedwabnych kapeluszach – wyglądali osobliwie, ale większość przechodniów o tej porze miała na sobie ciemne kimona albo spodnie z szorstkiego płótna i poruszała się w dwu-, trzyosobowych grupkach.

Burdel, którego szukał – Dom Żółtego Kwiatu – był ciemny, pusty i zatechły. Zamiatająca przed wejściem kobieta oderwała się na chwilę od pracy, posłała mu przeciągłe posępne spojrzenie i zniknęła w półmroku wnętrza. Na jej miejsce wyszła młoda dziewczyna w czerwonej szacie przepasanej białą szarfą. Upinając włosy, powiedziała coś szybko po japońsku.

Coulton zdjął kapelusz i pokręcił głową.

– Szukam tego człowieka – powiedział i podał dziewczynie kartkę, którą mu dano.

Dziewczyna skłoniła się, wzięła od niego karteczkę, znów się skłoniła i weszła do budynku. Coulton wszedł za nią, zatrzymał się, po czym zaczął się przechadzać, wyglądając od czasu do czasu na tonącą w parnym świetle dnia szeroką ulicę. W końcu zjawił się poszukiwany przez niego człowiek – mężczyzna w średnim wieku, w szlafroku, z posiwiałą już brodą i niechętnym wyrazem oczu, które mrużył, oślepione światłem.

– Kapitan Johannes? – upewnił się Coulton.

Kapitan skrzywił się, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej fajkę.

– Pan musisz być tym gościem z Cairndale.

– Zgadza się.

– Chcesz pan wynająć statek do Singapuru.

– Do Kalkuty, ściśle rzecz biorąc.

– Nie pływam do Kalkuty. Tylko wolne porty. Mogę was odstawić do Singapuru, stamtąd łatwo znajdziesz pan transport, nawet parowiec prościutko do Anglii. Chcesz pan wejść, obgadać to?

Coulton zajrzał obok gospodarza do wnętrza.

– To konieczne?

Johannes uśmiechnął się niespodziewanie, odsłaniając podwójną lukę w uzębieniu.

– Pańscy chlebodawcy dali mi już wszystko, czego potrzebuję. Chyba że nastąpiła jakaś zmiana planów?

Coulton pomyślał o dziewczynce, przypomniał sobie, co wieczorem mówił Jacob. Spojrzał prosto w szare oczy kapitana.

– Proszę dać mi jeszcze tydzień – powiedział. – Odezwę się, jeżeli coś się zmieni, nie? Będzie pan tutaj uchwytany?

– Czekam cierpliwie, krzywda mi się tu nie dzieje. Chyba że za to zapłacę. – Johannes mrugnął porozumiewawczo. – Trzy osoby, zgadza się?

– A to ważne?

– Dla mnie nie. – Kapitan wzruszył ramionami.

Przed wyjściem z domu Coulton zawinął kulkę ryżu w serwetkę i schował ją do kieszeni płaszcza. Wyjął ją teraz i snując się w cieniu jak zwyczajny ubogi mieszkaniec miasta, trzymał w palcach i jadł po kawałku. Widząc zaniepokojone spojrzenia przechodniów, uśmiechał się drapieżnie. Nie miało znaczenia, w której części świata się znalazł: ludzie wszędzie lubili patrzeć z góry na innych.

Po południu wrócił do starej dzielnicy, na rażone cholerą uliczki wśród dusznych sklepików, teraz pustych – w głębi przyczały się okutane na ciemno postaci, a na podwórkach leżały zawinięte w białe płótno ciała. Towarzyszyły mu szmer zrywających się do lotu, krążących i lądujących wron i wszechobecny odór choroby. Zatrzymał się przed starym, zarośniętym domem Maki-chan. Mocno, zdecydowanie zastukał we framugę drzwi i czekał.

Zafascynowała go, to fakt. Dzięki doktorowi Berghastowi mógł ją poznać osobiście. Była wiedźmą wierną miejscowej tradycji, ale Coulton umiał rozpoznać kobietę wykształconą i Maki-chan zrobiła na nim piorunujące wrażenie.

Powitała go w ciepłym półmroku, ukłoniła mu się i skinęła, żeby szedł za nią, po czym, szurając stopami w maciupieńkich pantofelkach, zaprowadziła go do pawilonu w zapuszczonym ogrodzie.

Herbatę już podano, jakby Maki-chan spodziewała się jego wizyty. Imbryk był gorący.

Z kieszeni kamizelki Coulton wyjął ściągniętą sznurkiem skórzaną sakiewkę. Ciężka od monet, zadźwięczała metalicznie w jego dłoni. Podał ją gospodyni, a gdy ta nie wyciągnęła po nią ręki, zmieszany położył ją między nimi na podłodze.

– Uzgodniona suma – powiedział. – W całości, nie? Chcesz przeliczyć?

Nie wykonała żadnego ruchu, który sugerowałby, że zamierza to zrobić, skłoniła tylko lekko głowę i kolejny raz spojrzała mu w twarz. Miała ciemne oczy, bardzo piękne zdaniem Coultona.

Odkasznął.

– Wczoraj to nie było to, co się mogło wydawać – zaczął nieprzekonująco.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

– Ta dziewczynka... – podjął Coulton. – Jest trochę dziwna, wiem, ale wcale nie tak bardzo.

Umilkł. Wiedźma zwilżyła wargi językiem i przemówiła wyraźną, precyzyjnie artykułowaną angielszczyzną:

– Wydaje mi się, Coulton-san, że pan również jest niezwykłym człowiekiem.

Poczuł, że oblewa się rumieńcem. Niełatwo było go wprawić w zakłopotanie, ale w spojrzeniu tej kobiety było coś niepokojącego. Nie odpowiedział. Kolana zaczynały mu już drętwieć od klęczenia. Poruszył się, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję i ożywić krążenie krwi.

– Nie tylko Komako-san mnie wczoraj zaskoczyła – podjęła Maki-chan. – Nie spodziewałam się, że Berghast-san przyśle do mnie talenty.

– Wiesz o... talentach? – Coulton nie krył zaskoczenia.

– Świat niewidzialny jest wszędzie wokół nas, Coulton-san. Chociaż rzadko go dostrzegamy. – Wiedźma klęczała bez ruchu, z delikatnymi dłońmi złożonymi na

kolanach. – Mój *obaa-san* mawiał, że każdy z nas jest domem – ciągnęła półgłosem. – Tutaj. – Dotknęła piersi. – I tutaj. – Dotknęła czoła. – W każdym domu zjawiają się goście, a my powinniśmy przyjmować ich uprzejmie.

– Talent – odparł Coulton, marszcząc lekko brwi – to nie są odwiedziny drugiej osoby. To część nas samych, jak dłoń. Albo jak myśl.

– Widział pan kiedyś, jak spływające krople wody łączą się ze sobą? Są dwie, a po chwili jest jedna. Kiedy gość przychodzi do domu, staje się domem.

Patrzył na nią w milczeniu. Nie wiedział, co odpowiedzieć, ale chyba nie miało to znaczenia. Przeszło mu przez myśl, że ona też może być talentem, mieć własny dar. W tym kraju o niczym nie mówiło się wprost.

Milczenie się przeciągało.

– Skąd znasz doktora Berghasta? – zapytał w końcu.

Uśmiechnęła się, starannie zakasała obszerne rękawy i nie spiesząc się, celebrując każdy gest, naląła herbaty.

– U nas też trafiają się talenty, Coulton-san – odparła w końcu, jakby czytała mu w myślach. – Wiedza o ich istnieniu nie ogranicza się do waszej części świata. Aczkolwiek my tutaj nie gromadzimy się przy orsine ani nie mamy glifina, który pomagałby nam w poszukiwaniach. Talenty same muszą nas znaleźć. Skoro jednak istnienie małej Onoe zostało objawione Cairndale, to tam właśnie musi się udać. Należy uszanować wolę glifina. – Zawiesiła na chwilę głos. – Nie sądził pan chyba, że wasz azyl jest jedyny na świecie?

Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Po prostu jechał tam, dokąd go wysyłano, i zabierał dzieci, które kazano mu odszukać. Wiedział, że w Paryżu mieszkają talenty, ponieważ Berghast z nimi korespondował, ale poza tym? Poczul ułkanie złości na doktora Berghasta, który nie uznał za stosowne go poinformować. Przez niego wyszedł na głupca.

Z pochmurną miną obracał czarkę w palcach, dmuchając na herbatę, żeby przestygła.

– Dla kogo w takim razie pracujesz? – zapytał.

– No tak. – Znow ten sam uśmiech. – Mam zaszczyt pracować dla pana, Coulton-san.

To nie była żadna odpowiedź. Sakiewka pełna dziwnych japońskich monet nadal leżała pomiędzy nimi nietknięta, ale Coulton poczuł, że w tym momencie

coś się zmieniło, nastąpiło delikatne zachwianie równowagi, jakby zapłata została w końcu przyjęta. Nie po raz pierwszy zadumał się nad osobliwością panujących w tym kraju obyczajów.

Było już ciemno, kiedy wrócił do gospody. Sklął pod nosem Jacoba, którego nie zastał w pokoju, i nagle – stojąc tyłem do odsuniętej papierowej przegrody – znieruchomiał.

Odwrócił się powoli. Znów odniósł to samo upiorne wrażenie, że ktoś jest tuż obok.

– Halo? – odezwał się półgłosem.

Korytarz tonął w ciemnościach, ciepłą podłogę skrywał cień, schody i lśniąca poręcz majaczyły w półmroku.

– Wyczuwam twoją obecność, wiesz? – warknął. – Nie myśl, że nie.

Wciąż nic. W końcu Coulton skrzywił się, zasunął przegrodę, która zamknęła się z cichym szczękiem, zdjął kapelusz i płaszcz. Na pewno nie zwariował, o nie. Wiedział, co czuje, do diabła. Wiedział i już.

Stał i poirytowany patrzył z góry na przygotowaną do snu tatami. Pomysł sypiania na cienkiej macie na podłodze nie przypadł mu go gustu, ale w gospodzie nie było żadnego robactwa, a prawdę powiedziawszy, po takiej nocy plecy bolały go z rana mniej niż zwykle.

Został w samej koszuli, ale i tak trochę się poccił. Usiadł przy niskim biurku, żeby opisać w instytutowym dzienniku postępy poszukiwań.

Jacob wrócił.

– No, no... – Coulton podniósł na niego wzrok. – Spójrzcie państwo, co kot przywłókł do domu. Gdzie się podziewałeś przez cały dzień? – zapytał, ale wyraz twarzy Jacoba go zaniepokoił. – Co się stało, chłopcze? Nic ci nie jest?

Jacob dłuższą chwilę stał w półmroku przy wejściu, zanim podszedł i przykucnął przy papierowym lampionie. Słabe pomarańczowe światło osobliwie rzeźbiło jego rysy.

– Byłem w porcie – odparł półgłosem. – Rozmyślałem.

– Rozmyślałeś? – Coulton wyszczerzył zęby w uśmiechu. – No to nie dziwota, żeś taki wykończony.

Ale Jacob nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Miewam... sny. Niezwykłe sny. Bardzo realistyczne. Jakbym wcale nie spał.

Coulton w milczeniu śledził przepływające po jego twarzy sprzeczne emocje.

– Jest w nich... kobieta. Nie widzę jej oblicza, trzyma się w cieniu. Mam wrażenie, jakby siedziała u mnie w pokoju, kiedy śpię.

Coultona przeszedł dreszcz. Przypomniał sobie znaleziony rano odwrócony kapelusz.

– To dziwny kraj – powiedział. – Powrót do Anglii, do porządnego świata, dobrze nam zrobi.

Ale Jacob pokręcił głową.

– Nie chodzi o miejsce, Frank. Te sny przesładują mnie od dłuższego czasu, zaczęły się jeszcze w Cairndale.

– No dobrze. To czego chce ta twoja kobieta ze snu?

– Żebym otworzył orsine w Cairndale.

Coulton, który zaczął się uśmiechać, nagle spowaźniał.

– Dzisiejszej nocy – podjął Jacob – powiedziała, że zostało mi niewiele czasu... że mój brat wcale nie odszedł, nie tak do końca... że jeszcze mogę mu pomóc.

– Twój... brat. Znaczy Bertolt. Ten sam Bertolt, który zmarł wiele lat temu.

Jacob skinął głową.

Coulton w skupieniu pochylił się nad biurkiem. Pokój wokół nich jakby się przemieścił i skurczył.

– Nie mówię, że to wariactwo – rzekł. – Wcale tak nie twierdzę.

Jacob wyciągnął długie, piękne palce nad lampionem.

– Powiedziała ci, jak masz to zrobić?

– Nie. – Głos Jacoba był niewiele głośniejszy od szeptu.

– Posłuchaj, chłopcze. Ja też miewałem różne sny, niektóre z nich były realistyczne jak kula w plecy...

Jacob uśmiechnął się lekko.

– Myślisz, że wariuję?

– Myślę, że kto umarł, ten nie żyje, bez względu na to, jak bardzo byśmy pragnęli, żeby było inaczej.

Jacob wychwyił w słowach Coultona ostrzegawczy ton. Wstał gotowy wyjść, ale przy przegrodzie zatrzymał się jeszcze.

– Tej nocy powiedziała: „Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz”. Rozumiesz, co to może znaczyć? – zapytał.

Coulton podrapał się po bokobrodach. Uniósł brwi.

– Za cholerę – odparł.

– No właśnie.

Jacob wyszedł i zasunął za sobą przegrodę, a Coulton siedział nieruchomo w słabej poświacie lampionu i dumał. Znał ludzi, którzy podczas wojny żyli w takim strachu, że śniły im się mroczne postaci stojące nocą nad ich pryzkami. Myślał o dręczących go od tygodni dziwnych przeczuciach, wrażeniu, że jest śledzony, a nocami coś przestawia drobne przedmioty. Przypomniało mu się, jak coś dostrzegął kątem oka – na statku, w zaułkach starej dzielnicy, potem także tutaj, w gospodzie. Kiedy kładł się już spać, przyszła mu do głowy jeszcze jedna rzecz, słowa jednego z talentów, kobiety poznanej w salonie w Cairndale. Powiedziała, że każde światło tworzy cień i że jedno nie może istnieć bez drugiego. Znał też opowieści, stare opowieści, o mrocznym talencie przebywającym po drugiej stronie orsine, wśród cieni, w szarych pokojach. Drughr, tak go nazywano. Drughr przychodził w snach. „Ale może to tylko takie tam bajanie”, dodała wtedy ta kobieta. Zdjęła pogrzebacz z uchwytu i przegrabiła żarzące się w półmroku węgle. „Drughr pewnie wcale nie istnieje”.

„Weź się w garść”, zrugął się w duchu Coulton. „Drughr to bajka, a bajka przecież nie zrobi ci krzywdy, prawda?”

Zniesmaczony zamknął oczy.

Nadzieja to mechaniczne serce

W ściekła jak osa Komako zabrała siostrę i wyszła.

Opuścili ogród wiedźmy i ruszyli do starego teatru. Zakutana w aktorski płaszcz Teshi trzęsa się z zimna i kryła twarz w fałdach tkaniny. Komako prowadziła ją najciemniejszymi uliczkami. Wszystko było kłamstwem, od początku do końca. Wiedźma nie miała lekarstwa ani dla niej, ani dla Teshi.

Krzywiła się ze złości, ale przez wzgląd na siostrę wolała się nie odzywać. Ich drewniane *geta* klekotały w błotnistych zaułkach, a Komako cały czas miała przed oczami scenę z domu wiedźmy: kurz opływający piękne palce mężczyzny niczym dym i tańczący na knykciach jego dłoni. Był tam także ten drugi człowiek, milczący, z dziwnymi kasztanowymi bokobrodami: trzymał się blisko drzwi, patrzył i słuchał. Miał zbyt stare oczy jak na tak młodą twarz.

Pewnego dnia – dawno temu, gdy Teshi była jeszcze malutka – Komako usłyszała dobiegający z garderoby starego mistrza dziwny dźwięk. Kobieta – gejsza – przyszła do mistrza w odwiedzinach. Była bardzo piękna, siostry nigdy wcześniej jej nie widziały. Miała białą twarz, błękitno-złote kimono i smukłe, jasnoskóre palce trzepoczące jak ptaki. W skupieniu stroiła *samisen*. Na *kotatsu* leżało rozpakowane zawiniątko ze śpiewnikami. Struny dźwięczały szaro, melancholijnie, a kiedy gejsza zaczęła śpiewać, we wnętrzu Komako otworzyła się pustka, w której głos kobiety niósł się echem czegoś innego, ukrytego w mrocznej głębi. Teshi zacisnęła dłoń na rękawie siostry. Obie ledwie ważyły się oddychać. Śledząc tę scenę ze swojej kryjówki, Komako miała wrażenie, że gejsza znajduje się za taflą szkła, tak bardzo odległa od świata się zdawała, poruszana przezeń, ale

niebędąca jego częścią. Gdy w końcu oderwała od niej wzrok, stwierdziła, że mistrz płacze.

Teraz, patrząc na siostrę, odnosiła podobne wrażenie: jakby Teshi znajdowała się za szybą.

Po powrocie do teatru ułożyła trzęsącą się z zimna Teshi w ich małym pokoiku i przykryła kocem, po czym wzruszyła węgle w koszu. Przez cały wieczór nie mogła skupić się na pracy pogrążona w myślach i dręczona wątpliwościami. Gasiła lampy, kiedy aktorzy byli jeszcze w pokojach, rozlała na podłogę kubel brudnej wody, a podczas pierwszego spektaklu wypuściła z rąk pudło ze starymi maskami, czym narobiła takiego hałasu, że ukryła się pod schodami, by uniknąć chłosty. Żle potem spała, w upale dręczyły ją dziwaczne sny, a następnego dnia wieczorem, wciąż roztargniona, bezskutecznie usiłowała skupić się na obowiązkach.

Młody pomocnik teatralny znalazł ją i Teshi, gdy na klęczkach, w kimonach podkasanych na wysokość ud szorowały szczotkami brudną podłogę garderoby. Komako postękiwała z wysiłku, Teshi poruszała się powoli, machinalnie, jakby ożywiana cudzą wolą.

Chłopak wręczył starszej z sióstr mały szary woreczek.

– Jakiś *gaijin* kazał ci to dać – wyjaśnił. – Nie powiedział, jak się nazywa. – Zmierzył Komako przeciągłym spojrzeniem, jakby próbował odgadnąć, w co jest zamieszana, i wyszedł.

Komako ogarnął lęk. Płótno na dłoniach miała całe przemoczone. Wytarła nadgarstki o fartuch. Podłoga dookoła lśniła, wypełniający się teatr rozbrzmiewał gwarem głosów. Teshi na klęczkach przyglądała się jej z głębi pomieszczenia, zza zasłony opadających na twarz włosów.

– To ten mężczyzna co wcześniej? – szepnęła Teshi. – Czego chce, Ko?

Komako nie odpowiedziała: „Mnie. Chodzi im o mnie”. Zamiast tego rozsznurowała i otworzyła woreczek.

Był pełny drobnutkiego srebrnego pyłu.

Jacob odczekał jeszcze dwa wieczory, zanim wrócił.

Nie wiedział, czy dziewczynka dostała zostawiony dla niej woreczek z pyłem, nie wiedział też, czy zechce się z nim spotkać, czy będzie podejrzliwa, może

niezadowolona... Po cichu liczył na to, że w obliczu szalejącej zarazy teatr będzie pusty albo prawie pusty; wtedy łatwo byłoby się wśliznąć od zaplecza i ją odszukać.

Ale wcale nie było łatwo.

Przede wszystkim nie był sam.

Na ulicy przed teatrem ludzie zdawali się nie zauważać kobiety. Miała na sobie tę samą staroświecką suknię z marszczonym płóciennym kołnierzem, którą znał ze snu, tę samą długą ciemną pelerynę ze srebrną zapinką, ten sam jedwabny czepek opięty na zakrzywionej drucianej ramie. Wiedział, że powinien odczuwać zagrożenie albo przynajmniej niepokój, a tymczasem ogarnęło go osobliwe, senne ukojenie, jakby kobieta niosła życzliwość i nadzieję.

Odwrócił się i dołączył do ludzkiej rzeki wlewającej się do teatru, żeby obejrzyć spektakl.

Zatrzymał się w nisko sklepionym tunelu wejściowym, wśród dymu z pochodni, zaskoczony, że nikt się na niego nie gapi, a gdy rozbrzmiał pierwszy gong, cofnął się, skręcił... i stwierdził, że znajoma widmowa postać obserwuje go z bocznego korytarza. Zaraz jednak zniknęła.

Poszedł za nią, poruszając się z senną powolnością. Mroczna kobieta poprowadziła go w labirynt ciemnych, dusznych przejść, odsuwanych przegród i koślawych schodków, z którego wyszedł ostatecznie do maleńkiego, ciasnego pokoiku na najwyższej kondygnacji. Na środku podłogi stał kosz z żarzącymi się węglami. Obok ujrzał tę dziewczynkę, Komako.

Kłęczała przy leżącej siostrze, ale na jego widok zerwała się na nogi. Mignął mu sznur przywiązany do kostki, jakby mający unieruchomić młodszą z sióstr.

– Kto pana tu wpuścił? – spytała Komako ostrym tonem.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się, przesunęła w bok fragment ściany i wyszła na korytarz. Po skrzypiącej podłodze dotarła do niewidocznych w mroku wąskich schodów, a nimi na górę, do klapy w suficie. Jacob wyszedł za nią i znalazł się wysoko na dachu. W dole rozpościerało się miasto, przyprawiające o zawrót głowy morze małych ogników i kolorowych lampionów. Dławiące wilgotne powietrze pachniało deszczem.

Przemykająca zwinnie po dachówkach bosa dziewczynka wysforowała się trzy metry przed nim. Nie zatrzymała się, nie odwróciła, nie sprawdziła, czy za nią idzie.

Kiedy w końcu się z nią zównał, stała na ogrodzonym balkoniku z dwuspadowym daszkiem, przed niskimi, ciemnymi drzwiami, które wyglądały na zamknięte na głucho i od lat nieużywane. Misternie pleciona z jakiegoś rodzaju wikliny barierka miała już swoje lata, Jacob nie był skłonny powierzyć jej swojego ciężaru.

Dziewczynka usiadła i zwiesiła nogi w dół pod barierką – jak dziecko, zupełnie jak dziecko. Jacob nagle boleśnie uświadomił sobie, jaka jest młoda. Zdjął kapelusz i usiadł obok niej. Włosy kleiły mu się do skroni.

– Co to za miejsce? – spytał półgłosem.

– Nie powinien był pan przychodzić. Nie chcę pana widzieć.

Postanowił jej nie wytykać, że sama wyciągnęła go na dach. Mogła przecież to samo powiedzieć mu od razu na dole albo po prostu odmówić rozmowy. Albo zawołać kogoś, kto by go wyrzucił.

– Wybacz – powiedział – rozgniewałem cię.

– Wcale się nie gniewam.

Jacob miał ochotę uśmiechnąć się na te słowa, ale tylko zmierzył Komako poważnym spojrzeniem. Przypomniało mu się, jaki był w jej wieku, kiedy Berghast znalazł go wśród wiedeńskich brudów, jaki czuł się dorosły, gdy patrzył na elegancki strój i miękką twarz mężczyzny, jaki był przekonany, że ktoś taki nie ma pojęcia o świecie, nie tak naprawdę. A oprócz tego czuł wielki strach, o tak. Czuł go zresztą w dalszym ciągu.

Patrzył na dziewczynkę i zastanawiał się, jak zagać rozmowę.

– Świetnie mówisz po angielsku.

Wzruszyła ramionami.

– To język mojego ojca. Mama kazała mi się go uczyć.

– W takim razie mam szczęście. Co ci się stało w ręce?

Zawahała się, a po chwili zaczęła wolno odwijać płócienne bandaże. Podniosła dłonie. Małe palce miała zaczerwienione i spierzchnięte.

– Zawsze tak wyglądały. Pan tak nie ma?

– Nie.

– Kiedy się pan... dowiedział? – zapytała, starannie dobierając słowa. – Znaczy, że umie pan... no, wie pan... – Strzepnęła dłońmi, jakby formowała kształty z pyłu.

Nagle stało się dla Jacoba oczywiste, jak bardzo dziewczynka pragnie porozmawiać, jak wiele musi mieć pytań. W tej właśnie chwili postanowił być z nią jak najbardziej szczerzy.

– Wiedziałem od zawsze.

– Potrafi pan coś więcej?

Nie odpowiedział od razu. Przyjrzał się jej badawczo.

– Na przykład? – zapytał.

– Cokolwiek.

Pokręcił głową.

– Nie, nic. Tylko władać pyłem.

– Sprawia to panu ból?

– Czuję zimno, zwłaszcza w nadgarstkach. Potrafi boleć.

Zastanowiła się nad jego słowami.

– Jak nauczył się pan to kontrolować?

Objął się ramionami, zadarł głowę i spojrzał w zamglone nocne niebo. Nie było widać gwiazd.

– Z początku uczyłem się sam – odparł cicho. – Tak jak ty. Ale potem znalazłem się w Cairndale i tam nauczyłem się dużo o tym, jak robić to bezpiecznie.

– Cairndale... Stamtąd przyjechaliście?

– Tak. To w Szkocji.

– W Europie?

– Tak.

– Przemierzyliście pół świata – zauważyła ściszym głosem.

Pokiwał głową.

Komako, niezadowolona, zaczęła na powrót owijać ręce bandażami. Robiła to szybko, zręcznie.

– Przemierzyłeś pół świata... ze względu na mnie, ponieważ potrafię to co ty. Ale dlaczego? Czego ode mnie chcesz, Jacobie Marber?

Dziwnie się czuł, słysząc swoje nazwisko z jej ust. Nie mówiła jak dziecko.

Znów na nią spojrzał.

– Chcę, żebyś pojechała z nami do Cairndale.

Prychnęła śmiechem, krótko, ostro, ze złością.

– A czemu nie? – dociekał. – Co cię tu trzyma? Kto potrafi coś takiego jak ty? Kto by zrozumiał, gdyby zobaczył, co robisz?

Przygryzła wargę, odwróciła wzrok.

– Nic o tobie nie wiem – zauważyła. – Możesz być kimkolwiek.

Jacob wiedział jednak, że Komako myśli o siostrze i o tym, co się z nią stanie.

– Jedną rzecz o mnie już wiesz – przypomniał, obracając kapelusz w palcach. – To nie wystarczy?

Zerknęła przelotnie na jego dłonie i natychmiast znów spuściła wzrok.

– Nie możesz zostać tutaj bez żadnej ochrony, Komako-chan. Nie na zawsze. Tacy jak my kiepsko radzą sobie w życiu sami. Ludzie się nas boją.

– W Szkocji nie ma ludzi?

– Trochę jest. – Uśmiechnął się powoli. – Ale Szkoci są z natury bardzo... pragmatyczni.

Spojrzał na nią i mrugnął porozumiewawczo, po czym spokojnym, cichym głosem zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie, o tym, jak żył na wiedeńskich ulicach, wystraszony i głodny, aż przyjechał po niego pewien mężczyzna, doktor, ten sam, który przysłał im teraz do Kioto list z informacją o niej. Od ponad miesiąca byli już w Japonii i tylko łut szczęścia pozwolił im się z nią spotkać. Łut szczęścia albo przeznaczenie, niech Komako sama rozstrzygnie. Wytłumaczył jej, że pyłowładztwo nie jest jedynym talentem na świecie. Na przykład jego towarzysz, pan Coulton, potrafił przydać sobie nadludzkiej siły i było to coś, co naprawdę warto zobaczyć. Słuchała w milczeniu, wpatrzona w niego jak w obrazek. Nie umiałby stwierdzić, na ile mu wierzy. Powiedział, że też miał rodzeństwo, brata bliźniaka, który zmarł, kiedy byli mniej więcej w jej wieku. Śmierć brata była dla niego ciosem, po którym nie podniósł się i już nigdy się nie podniesie. Na koniec opowiedział jej o glifinie, człowieku wiekowym jak najstarsze drzewo, który mieszka w ruinach starego klasztoru w Cairndale. Nazywali go Pajakiem przez wzgląd na to, co potrafił. Przez wzgląd na jego talent. Bo Pajak potrafił znajdować ludzi.

– To on nas do ciebie doprowadził – wyjaśnił. – Śni przyczajony w samym środku swoistej pajęczyny i za każdym razem, gdy ktoś gdzieś użyje talentu, wyczuwa jego wibracje i próbuje ustalić ich źródło.

Komako śledziła ruchy jego ust, zafascynowana słowami. Umilkł, nagle zakłopotany.

– Przyznaję, Komako-chan, różnimy się. Nie znam twojego życia, nie wiem, przez co przeszłaś, mimo to w pewnym sensie ty i ja jesteśmy tacy sami. To musi coś znaczyć.

Przeczesał brodę palcami. Komako mogła być w takim samym wieku jak on, kiedy Henry Berghast znalazł go w Wiedniu. Oczy miała ciemne i smutne, dłonie owinięte bandażami, jakby poparzone.

– Czy twój brat chorował? – zapytała.

– Nie. – Jacob pokręcił głową. – To był wypadek.

– A ten doktor, który cię znalazł, nie mógł go uratować?

– To się zdarzyło dużo wcześniej, doktor... nie zdążył.

– A ty zrobiłbyś wszystko.

Jacob wciągnął do płuc nocne powietrze i westchnął cicho.

– Wszystko – potwierdził. – Teraz też.

Kiedy wypowiedział te słowa na głos, kiedy je usłyszał, nagle zdał sobie sprawę, że są prawdziwe. Przypomniała mu się kobieta z cienia mówiąca o orsine.

Komako wzięła głęboki, niespieszny wdech.

– Moja siostra jest chora. Nikt nie wie, co jej jest.

Jacob skinął głową.

– Nie mam pojęcia, co robić – dodała dziewczynka.

Starał się na nią nie patrzeć, nie do końca wiedział, jak to ująć w słowa.

– Twoja siostra... – Z wysiłkiem przełknął ślinę i zaczął jeszcze raz: – Twoja siostra, Teshi, czy ona wcześniej poważnie chorowała? Czy był taki dzień, taka noc, kiedy bałaś się, że może umrzeć na skutek tej choroby? – Uważnie obserwował Komako. – Jest taka blada... Na pewno bardzo marznie. Dużo śpi?

– W ogóle – odparła Komako szeptem. – W ogóle nie sypia.

– A jej zęby są... ostre? Czy ma trzy poziome czerwone linie na szyi, o tutaj? – Skubnął rondo kapelusza. – Teshi nie jest chora, Komako-chan. To nie choroba.

Powoli zwróciła twarz w jego stronę. W jej oczach czaiło się niewypowiedziane na głos przerażające pytanie.

– Twój talent to... coś więcej niż pyłowladztwo. – Spojrzał na jej nieruchomą buzię i ogarnęły go mdłości na myśl o tym, co musi jej powiedzieć. – To przez ciebie. To ty ją tu trzymasz, twoja miłość do niej nie pozwala jej odejść. Nie sprawiasz jej bólu – dodał pospiesznie – ale... Powinnaś dać jej odejść. Inaczej nie zazna spokoju.

Kręciła głową, jakby nie wierzyła jego słowom, nie rozumiała ich albo jedno i drugie naraz, ale Jacob wiedział, że jakaś jej częśćka rozumie i wie, że tak właśnie musi być.

– Ona już odeszła – dodał. – Przykro mi.

Naprawdę było mu przykro, żal ścisnął go za serce i dławił boleśnie w piersi. Nie mógł teraz spojrzeć na Komako. Spodziewał się, że zacznie na niego krzyczeć, okładać go piąstkami albo po prostu wstanie ze złością i pójdzie, ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Siedziała bez ruchu, wpatrzona w ciemność, jakby go w ogóle nie słuchała.

I wtedy znów to poczuł, wyczuł czyjąś obecność.

Rozejrzał się po dachu. Kobieta z dymu wróciła, stała na ceramicznych dachówkach, jej sylwetka rysowała się ciemno na tle jeszcze ciemniejszej nocy. Przeszyło go zimne, nieszczęśliwe uczucie.

Zaczął siąpić delikatny deszczyk, z okapu balkonu popłynęły strużki ciepłej wody. Uwagę kobiety zwróciło coś na ulicy, jakiś ruch. Wyciągniętą ręką wskazała to miejsce. Jacob wstał, żeby spojrzeć.

Ulicą biegła drobna postać, upiornie biała pośród mroku. Oddalała się od teatru, by zagłębić się w duszny, ciemny gorąc starej dzielnicy.

Usłyszał, jak Komako gwałtownie wciągnęła powietrze.

To była Teshi, jej siostra.

Uwolniła się.

Dziewczynka, którą wszyscy widzieli

Komako śmignęła przez klapę w dachu i zbiegła po schodach po dwa stopnie naraz. Strach i dezorientacja boleśnie wezbrały jej w gardle, gdy pędziła ciemnym korytarzem, obok pokoju, w którym mieszkali z siostrą. Przeklinając poły kimona, pokonała przedostatni bieg schodów, wylądowała na półpiętrze i pognęła dalej, na parter. Słyszała za sobą kroki Jacoba – wolniejsze, cięższe, głośniejsze w okutych butach, ale nie czekała na niego, nie mogła czekać, nie teraz, kiedy Teshi przepadła w ubogiej dzielnicy, gdzie szalała cholera – Teshi, która sama była jak pięcioletni żywy obraz choroby. Komako znała przesadną biedotę, mieszkała wśród niej całe życie. Wiedziała, do czego tacy ludzie są zdolni.

Oparci o miotły sprzątacze teatralni obejrzeli się za nią, kiedy przebiegła obok. Zupełnie się tym nie przejęła, miała wrażenie, że coś, co zawsze było w jej życiu, właśnie dobiega końca. Z impetem otworzyła boczne wyjście i wypadła w zaułek na ciepły deszcz.

Nie myślała o słowach Jacoba i o tym, co próbował jej powiedzieć. Rozumiała go albo przynajmniej wydawało jej się, że go rozumie – w każdym razie rozumiała dostatecznie dużo, żeby wezbrała w niej urażona wściekłość na to, co śmiał zasugerować.

„Niech on też zniknie”, pomyślała. „Jeżeli nie pomoże Teshi, to nie jest mi do niczego potrzebny”.

Deszcz zacinął jej prosto w twarz, siekł po oczach. Otarła go otwartą dłonią. Po całej Asakusie niósł się trzask zamykanych okiennic, jakby ludzie spodziewali się gorszej pogody. Lampy paliły się jeszcze pod okapami niektórych domów, a także kołysząc się na sznurach nad skrzyżowaniami.

Nagle dostrzegła przed sobą błysk białego kimona znikającego za rogiem.

Jacob wołał, żeby zwolniła. Był tuż za nią, wielki mroczny cień, z gołą głową i kapeluszem trzymanym w ręce. Teshi była jednak tuż-tuż.

Komako pochyliła się i skręciła w wąski zaułek zalewany wodą spływającą z okapów domów. Wyminęła skuloną pod parasolem ubogą kobietę... i zobaczyła siostrę.

Teshi była taka mała. Taka blada. Stała nieruchomo – mała zagubiona istotka z mokrymi włosami – dygotała z zimna na ciepłym deszczu i patrzyła na zawinięte w płótno ciała, ułożone w stos jak drewno na opał pod markizą zakładu trumniarskiego. Płonęły lampy, ze środka dobiegało miarowe stukanie młotka.

Komako złapała siostrę za ramiona i odwróciła do siebie.

– Nie wolno ci tak robić! – krzyknęła. – Nie możesz tak po prostu przychodzić tutaj beze mnie, to niebezpieczne! Słyszysz, co do ciebie mówię, Teshi?

Siostra spojrzała na nią tępo. Oczy miała bardzo, bardzo ciemne.

– Tak mi zimno... – wyszeptała.

Jacob zatrzymał się w odległości kilku metrów i stał na deszczu z rękami wspartymi na kolanach, patrząc na nią. Oddychał ciężko, woda ściekała mu z czarnej brody.

– Muszę ją stąd zabrać – rzuciła Komako przez ramię. – Nie jest tu bezpieczna.

Nagle drzwi warsztatu trumniarskiego otworzyły się i uliczkę zalała fala światła. Głosy. W mieszczącym się na piętrze domu gry w madżonga z trzaskiem uchyliła się okiennica, ktoś wyjrzał na zewnątrz. W ciemnym wnętrzu świątyni po sąsiedzku coś się poruszyło. Komako instynktownie zasłoniła siostrę. To były wdowy, ojcowie, synowie, którym cholera zabrała bliskich.

– Komako... – dobiegł ją nagłący szept Jacoba.

Ale ostrzeżenie przyszło za późno. Pograżeni w żałobie biedacy, pograżeni w żałobie gniewni biedacy w łachmanach i wystrzępionych słomianych kapeluszach wstawali od czuwania przy zmarłych i wychodzili na deszcz. Niektórzy nieśli pochodnie, inni kije, jakiś mężczyzna wznosił wysoko nad głowę zębate grabie.

W tejże chwili daleko od tego miejsca, po drugiej stronie drewnianego starego miasta Frank Coulton w samej koszuli siedział po turecku pośrodku swojego

pokoju w gospodzie. Z belek stropowych zwieszał się papierowy lampion, jego słaby pomarańczowy blask padał na rzednące włosy i masywne nadgarstki mężczyzny oraz sfatygowany skórzany kufer podróżny, który stał otwarty pod ścianą naprzeciwko. Coulton w jednej ręce trzymał nabity rewolwer, w drugiej mosiężny kastet, jakby zamierzał się do nich modlić. Wszystko dookoła, całą podłogę i odsłonięte powierzchnie oprószył drobnym srebrzystym pyłem.

„No dalej, draniu”, pomyślał. „Pokaż się, łajdaku”.

Przegrody *shōji* we wszystkich trzech ścianach zostawił zapraszająco otwarte. Zamknął oczy, oddychał miarowo i wytężał słuch w półmroku.

Dwie godziny wcześniej puścił Jacoba samego do teatru kabuki, pozwolił mu stawić czoło dziewczynce – po części dlatego, że misja zapowiadała się łatwo, a Jacob nosił urok osobisty w kieszeniach jak inni ludzie noszą drobne, ale głównie z tego powodu, że też miał zadanie do wykonania i chciał zostać sam.

Nie co dzień człowiek zasadza się na drughra, żeby go zabić.

Bo to był właśnie drughr, doszedł do wniosku Coulton, uwierzywszy w istnienie niewidzialnego stwora, który śledzi jego i Jacoba. Było mu obojętne, że brzmi to jak wariactwo. Drughr nie wdarł się do jego snów, przynajmniej na razie, nie w taki sposób, o jakim mówił Jacob, ale Coulton czuł przez skórę jego obecność, pełną powoli po kręgosłupie dreszcz zgrozy. Nie znał się na starych opowieściach o zmarłych, którzy wcale nie umarli, tylko przekroczywszy granicę światów, pojawiali się w szarych pokojach; o adeptach mrocznych talentów, potwornych z wyglądu i niewiarygodnie silnych; o istotach, które przenikały przez zamknięte drzwi, ściany, nawet przez ludzkie ciało; o istotach jak ze snów – i podobnie jak sny niewidocznych w świetle dnia.

„Łatwizna”, pomyślał z przekąsem. „Co może pójść nie tak?”

Mocniej ścisnął rewolwer.

W ciągu kilku dni po odnalezieniu dziewczynki wydarzyły się dwie rzeczy, które przekonały go, że naprawdę coś go śledzi. Pierwsza sytuacja miała miejsce tu, w gospodzie, gdy schodząc na parter, zawrócił u dołu schodów, zapomniawszy z pokoju listy sprawunków. Wspinając się pospiesznie po schodach, otarł się o coś ramieniem. Zatrzymał się i sięgnął ręką w próżnię; gospodyni przyglądała mu się z dołu z beznamiętną miną. Potem były pomruki na korytarzu przed jego pokojem, w środku nocy ciche, natarczywe mamrotanie, słowa, których nie

potrafił zrozumieć, trochę jakby słyszał tylko jednego z dwójki rozmówców. Wstał cicho i zwinnie niczym kot odsunął przegrodę na bok i wyszedł – w samej tylko koszuli nocnej – na pławiący się w blasku księżyca korytarz. Nikogo w nim nie było.

Nic nie powiedział Jacobowi. Jeżeli tropił ich niewidzialny prześladowca, to mógł ich podsłuchać w każdej chwili i w każdym miejscu. Od tej pory Coulton zaczął jednak planować konfrontację z potworem.

Plan był prosty i miał tylko dwa pożądane możliwe skutki. Pierwszym było zabicie bestii, ale nawet gdyby Coulton tylko ją rozjuszył i sprowokował do objawienia się, również uznałby to za sukces. Musiał się dowiedzieć, z czym ma do czynienia.

Dlatego siedział w słabej pomarańczowej poświacie lampionu i czekał. Bał się. Nie zwykł się bać i nie bardzo wiedział, jak się zachować.

Upłynęła godzina.

Nic nie przyszło.

I nagle coś znalazło się w pokoju razem z nim.

Włoski na karku stanęły mu dęba.

– Wiem, że tu jesteś – powiedział z zawziętą miną. – Słyszę, jak oddychasz, nie?.

Cisza.

Odchrząknął. Zamknął oczy. Odwołał się do swojego talentu, zageścił mięśnie, utwardził je, nadał im niewiarygodną siłę. Serce zaczęło mu bić szybciej, owładnęło nim znajome uczucie stłamszenia, jakby ściany zaciskały się wokół niego. Nie spodziewał się, że dorówna drughrowi siłą. Jeśli legendy się nie myliły, to nie mógł nawet o tym marzyć, ale miał jeszcze rewolwer, a kiedy to ostatnio drughr dostał z colta prosto w twarz i poszedł dalej, jakby nigdy nic? Miał przyspieszony oddech. Czuł, jak poruszają mu się węzłaste mięśnie szyi, gdy odwrócił głowę w bok, nasłuchując.

– Tak się zastanawiałem – mówił cicho – co takiego mnie prześladowuje od tygodni. Tak, tak, wiedziałem, że jesteś blisko, na statku też, kiedy wypływaliśmy z Singapuru. – Powoli omiół pokój spojrzeniem. – Potem mieliśmy to małe spotkanko na schodach. Widzisz, rzecz w tym, że jeśli ja mogę cię dotknąć, to tak samo może cię dotknąć moja pięść. A także pocisk. Rozumiesz, do czego zmierzam?

I wtedy to zobaczył: ruch w pyłe na podłodze. Ślady stóp. Coś weszło z ciemnego korytarza do pokoju. Minęło otwarty kufer i biurko z kałamarzami. Ogarnięty nagłą zgrozą Coulton zwalczył panikę. Zastanawiał się, z czym ma do czynienia, jak duża może być ta istota, czego chce. Tkwił nieruchomo.

– Problem z twoją niewidzialnością jest taki – podjął spokojnie – że choć niewidzialny, to jesteś tutaj. A jeżeli jesteś tutaj, to nie ma cię gdzie indziej.

Podniósł wzrok i spojrzał dokładnie w to miejsce, w którym stał drughr.

Ślady stóp znieruchomiały. Stwór poruszył się lekko, jakby oglądał się przez ramię, i w tej samej chwili Coulton zdał sobie sprawę, że drughr wie: wie, że go widać, i wie, że wszedł prosto w pułapkę.

Coulton rzucił się z impetem w miejsce, w którym spodziewał się go znaleźć. Po drodze potracił lampion, który zaczął się kołysać, budząc wszędzie dzikie, skaczące cienie. Poczul, że z czymś się zderzył, jego zaciśnięta dłoń na coś natrafiła. Cios nie był czysty, pięść ześliznęła się w bok, a on stracił równowagę, wpadł na papierową ścianę i przebił ją na wylot. Upadł.

Natychmiast poderwał się na nogi i okręcił w miejscu, kaszląc. Nie widział drughry, zgubił rewolwer, pył z podłogi wzbił się w powietrze i dopiero zaczynał opadać. Nie było w nim widać zarysu sylwetki i Coulton zaczął się obawiać, że stwór mu się wymknał.

Nagle jego wzrok spoczął na kufrze podróżnym, dopchniętym bokiem do wspornika sufitu. Ze środka dobiegł cichy dźwięk do złudzenia przypominający jęknięcie. Coulton wahał się zaledwie ułamek sekundy, zanim skoczył naprzód, zatrzasnął wieko kufra i zamknął go na kłódkę. A potem odsunął się wśród osiadającego pyłu i patrzył.

Wszystko znieruchomiało. Z parteru dobiegały odgłosy krzątania gospodyni: weszła na schody, ale zatrzymała się w pół drogi. On jednak nie odrywał wzroku od kufra. Milczał, nie drgnął i tylko krew dudniła mu w skroniach.

„To niemożliwe”, pomyślał. „Po prostu niemożliwe. Do diabła, nie da się przecież zamknąć drughry w kufrze podróżnym. A może?”

W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na jego wątpliwości, wieko kufra szarpnęło się i zadudniło dwa razy, po czym ze środka zaczęło dobiegać wściekłe bębnienie. Coulton zacisnął pięści i odruchowo cofnął się o krok.

„A niech mnie”, pomyślał.

Zanim pierwszy człowiek w tłumie podniósł pałkę do ciosu, zanim Komako zdążyła złapać siostrę za przegub dłoni i odciągnąć poza zasięg gniewnej tłuszczy, z deszczu wynurzył się ten Anglik: targany wiatrem długi płaszcz chłostał go po nogach, a on rzucił jedwabny kapelusz na ziemię i uniósł pięści w wyzywającym geście. Komako spojrzała mu w oczy – były całkowicie czarne, rozdęte źrenice wypełniły się mrokiem, białka znikły.

– Stań za mną – polecił jej surowym tonem.

Wiedziała, że miejscowi są przesądni, wierzą w demony i złe duchy, tak jak wierzą, że cholera jest dowodem działania złych czarów. Pamiętała, że zawsze krzywo patrzyli na Teshi, i bała się.

Opiekuńczym gestem objęła siostrę, która – oszołomiona, jakby na wpół śpiąca, zupełnie nieświadoma niebezpieczeństwa, w jakim się znalazły – stała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w złożone pod markizą zwłoki. Tłum gęstniał. Byli w nim także uzbrojeni w noże *bakuto* z zawieszonymi na szyi sakiewkami ze sfalszowanymi kośćmi do gry. Dwadzieścia, trzydzieści twarzy łypało gniewnie na Komako, a gdy obejrzała się za siebie, stwierdziła, że kolejni napastnicy odcięli im drogę ucieczki. Znaleźli się w potrzasku.

Pierwszy mężczyzna wziął zamach i uderzył pałką, która zakreśliła w powietrzu długi świszczący łuk. Jacob przechylił się na bok i przyjął cios na żebra, rozległ się paskudny trzask. Stęknął z bólu i Komako aż się skrzywiła, ale on złapał pałkę obiema rękami, szarpnął i strząsnął napastnika, który zatoczył się w głąb zaułka. Z pałką w dłoniach Jacob wyprostował się na całą wysokość, po czym... nie, nie dało się tego inaczej nazwać: ryknął, naprawdę ryknął jak niedźwiedź. Dźwięk bezgranicznej furii poniósł się w mrocznym deszczu.

Tłum zawahał się i cofnął.

– Uciekajcie, Komako! Uciekajcie!

Nie miały jednak dokąd uciec. Z tłumu wystąpiła stara kobieta w obdartej, przemoczonej, smętnie obwisłej jukacie. Zakrzywionym palcem wskazała Teshi. Zapadła cisza.

– To ona – wyszeptała starucha. – Córka demona.

Tłum zafalował, ktoś z tyłu coś krzyknął, ktoś inny mu zawtórował. Obok Teshi spadła cegła, kamień trafił Komako w pierś. Gniewna horda zbierała się na

odwagę.

– Jacobie! – zawołała Komako. – Nie możemy...

Już stał przy niej. Wziął Teshi na rękę, ruszył w deszczu w stronę najbliższego sklepiku, kopniakiem wyważył drzwi i wciągnął Komako za sobą w mrok, po czym stanął w drzwiach – wysoki, brodaty, rozpierany furją. Gniewnym spojrzeniem zmierzył ciżbę przed sobą.

Komako pospieszyła w głąb budynku. Sklepik zajmował dwa nieduże pomieszczenia, jedno od frontu, drugie na tyłach. Nie było z niego innego wyjścia. W powietrzu unosiła się odrażająca woń: pomieszczenie na zapleczu było wypełnione ciałami ofiar epidemii.

– Stąd nie ma wyjścia! – zawołała. – Jacobie, jesteśmy w potrzasku!

Jacob tylko pokręcił głową.

– Musimy tylko schronić się przed deszczem, Ko. Chodzi o to, żeby nie moknąć. Zobaczyła, że zdejmuje rękawiczki. Kurz. Zamierzał użyć kurzu.

– Nie – wyszeptała. – Nie możesz tego zrobić.

Spojrzał na nią całkiem czarnymi oczami. Wyglądał, jakby czekał na ciąg dalszy, ale Komako nie wiedziała, co powiedzieć. Rozejrzała się w poszukiwaniu Teshi: jej siostra – jasna sylwetka w półmroku – klęczała w drugim pokoju pośród złożonych tam zwłok. Komako przypomniała sobie, co powiedział jej Jacob na dachu teatru. Cokolwiek złego działo się z jej siostrą, nie była to choroba.

Jacob odwrócił się i podniósł rękę. Cały nagromadzony w zapuszczonym sklepie kurz popłynął wprost do jego palców, zaczął wirować i okręcać się wokół wyciągniętych ramion.

Od tłumy odłączył się mężczyzna z pochodnią, płomień skwierczał na deszczu, ale nie zgasł. Komako zorientowała się, że będzie próbował podpalić sklep, żeby ona, Teshi i Jacob spłonęli żywcem w środku. Niewiele myśląc, odwinęła bandaż z dłoni. Lodowaty ból przeszył jej nadgarstki, gdy zgarnęła odrobinę kurzu i posłała ją łukiem w stronę pochodni. Płomień sapnął cicho i zgasł zdławiony dymem.

Tłum odpowiedział stłumionym okrzykiem zgrozy. Komako zerknęła na Jacoba: spirala kurzu spowijała go całego, gdy wyszedł pod ociekający wodą okap, podniósł wzrok i spojrzał wściekłym ludziom w oczy. Na ich twarzach malował się strach, oto byli świadkami działania demonów, duchów, złej magii. Ani Komako, ani

Teshi nie będą mogły dłużej tu zostać, nie po czymś takim. Nie po tym, jak wszyscy ją widzieli.

Komako kątem oka dostrzegła błysk światła: spojrzała w bok i stwierdziła, że ktoś podpalił strzechę. Mimo padającego deszczu ogień już sunął w ich stronę.

– Jacobie! – zawołała.

– Zabierz siostrę! – odpowiedział jej z wyraźnym wysiłkiem.

Nie posłuchała go jednak, nie od razu. Patrzyła, jak przykłęka na kolano i z trudem, napiąwszy mięśnie, przesuwa ręce ku przodowi, jak w głębokiej wodzie. Wielki wir kurzu wystrzelił w twarze i oczy gapiów, miliardy drobinek opadły ich jak rój szarańczy. Znienacka oślepieni ludzie zaczęli krzyczeć, potykać się, trzeć oczy.

– Pospieszcie się! – upomniał ją Jacob.

Komako cofnęła się w głąb sklepu, chwyciła siostrę za przegub dłoni i wyciągnęła na dwór. Jacob wziął Teshi na ręce i pobiegli we troje w deszczu przed siebie, byle dalej od spływających wodą sklepików, domów gry, wściekłych żałobników i milczących zmarłych, ciemnymi uliczkami w stronę starego teatru kabuki i jedyne go domu, jaki znała Komako.

W rozkołysanym świetle lampionu Coulton patrzył na kufer z podrygującym od ciosów zamkniętym wiekiem.

Serce waliło mu jak młotem. Z dołu dobiegł przerażony głos gospodyni nawołującej Jacoba:

– Marubu-san? Marubu-san!

Jeszcze chwilę się wahał, zanim w końcu podszedł, schował rewolwer i uklęknął obok kufra.

– Nie wiem, czy mnie rozumiesz – burknął półgłosem – ale albo natychmiast się uciszysz, albo wywalę w tę skrzynię cały bębenek colta. Niewidzialność zatrzymuje kule?

Łomotanie ustało. Kufer znieruchomiał.

– Tak myślałem – mruknął Coulton.

Wyszedł na korytarz, wychylił się przez poręcz i odkrzyknął spokojnym głosem, że to nic wielkiego, przewrócił się tylko i zniszczył jedną ścianę, ot, zwykły

wypadek, ale nic mu się nie stało, wszystko jest w najlepszym porządku i nie ma żadnych powodów do zmartwień. Oczywiście, że zapłaci za szkody. Naturalnie. Tak, tak, tak.

W słabym świetle na schodach mającyla zwrócona ku górze blada twarz. W drżących rękach gospodyni dzierżyła miotłę, jakby to miała być broń. Jej oczy były bez wyrazu. Coulton nie miał pojęcia, ile rozumiała z jego przemowy, ale odpowiedziała coś szybko po japońsku, zawróciła i zeszła z powrotem na parter.

Wrócił do pokoju i zagapił się na kufer. Nie wiedział, co robić. Słyszał, że drughr w środku porusza się, ale przynajmniej przestał wrywać się na wolność.

Nic z tego nie rozumiał. Przecież to niemożliwe, żeby taka zwyczajna rzecz jak kufer podróżny mogła powstrzymać drughra. Czy drughry nie powinny przenikać przez ściany? Nie powinny być ogromne, potężne, o wiele za duże, żeby przez przypadek wpaść do kufra i nie móc się wydostać? Kurwa mać, przecież taki nie całkiem celny cios nie miał chyba prawa ogłuszyć drughra?

Znów zerknął na kufer. Wahał się. W gospodzie panowała niczym niezmacona cisza.

Powoli, nie odwracając się tyłem do kufra, zaczął sprzątać, ustawiać przewrócone meble, zamiatać pył, zbierać kawałki papierowej przegrody. Skończywszy, wziął się pod boki i rozejrzał. Pokój w dalszym ciągu wyglądał fatalnie.

Nic więcej nie przychodziło mu do głowy, usiadł więc na podłodze przed kufrem i po prostu na niego patrzył. Postanowił zaczekać na Jacoba. Wstał, podszedł do okna, wyjrzał w deszcz. Wrócił, założył ramiona na piersi i znów popatrzył na kufer. Zrobiło się późno.

Nagle usłyszał swoje nazwisko.

– Panie Coulton? – rozległ się stłumiony głos. – Jest pan tam jeszcze, panie Coulton?

Nie brzmiało to jak głos potwora.

Wyciągnął rewolwer z kieszeni. Krew dudniła mu w uszach. Minęło kilka minut. Coulton się skrzywił.

„Jak bardzo muszę być głupi”, pomyślał.

– Proszę! – zabrzmiało błagalnie.

„Kurewsko głupi, ot co”, odpowiedział sam sobie. Podszedł, szybkim ruchem otworzył kłódkę i odrzucił wieko.

W kufrze było dziecko.

Leżało na dnie, skulone w nienaturalnej pozie. Dziecko, psiakrew. Zwykle dziecko, dziewczynka: naga, chuda, brudna, piegowata i zasmarkana, ze zmierzwionymi rudymi włosami, w których roiło się od wszy, jakby nigdy w życiu nie były myte. Nosiła je przycięte krótko jak u chłopca. Z chudą szyją i pociągłą twarzą przywodziła na myśl wybitnie kościste, oskubane z piór kurczę.

Patrzyła na niego mętным wzrokiem, z rozdziawionymi ustami. Miała przerwę między przednimi zębami. Była zaskoczona, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że naprawdę ją uderzył: po lewej stronie twarzy, gdzie trafiła pięść Coultona, już rozlewał się siniak.

Nagle dziewczynka usiadła, spojrzała na niego spode łba i rozmasowała obolały policzek.

– Jezu... – mruknęła. – A to za co?

Wycelował rewolwer prosto w jej serce.

– Czym jesteś? – zapytał szeptem. – Pokaż mi swoją prawdziwą postać. Pokaż mi!

Patrzyła na niego zdezorientowana.

– Pokaż! – krzyknął.

– Ej, no! – odkrzyknęła. – Słyszałam! Nie jestem głucha! – Ostrożnie obmacała szczękę, łypiąc na Coultona wilkiem. – Auć! Właściwie dlaczego mnie uderzyłeś?

Zbity z pantałyku Coulton zmarszczył brwi. Patrzył na nią, a w myślach próbował ocenić tę sytuację z każdej strony. Nic nie miało tu sensu.

Ostrożnie sięgnął za plecy, wziął swoją koszulę nocną i rzucił ją dziewczynce.

– Narzuc to, na litość boską.

Posłuchała. Koszula zwisała jej z ramion i rozlała się szeroką kałużą bawełny wokół stóp. Ręce przepadły w rękawach. Wyciągnęła jeden rękaw do Coultona na powitanie.

– Jestem Ribs – przedstawiła się i nagle zobaczyła jego minę. – No co, nigdy nie widziałeś niewidzialnej dziewczyny?

Coulton zamrugął z niedowierzaniem.

– To jakiś żart?

Nieoczekiwanie posłała mu chytry uśmiezek.

– Aleś się wystraszył, co? Widziałam! Byłeś przerażony!

– Wcale nie.

– Nie gadaj, mało żeś się nie złał w gacie. Oj, nie mogę się tak śmiać. Boli. Ale trudno się powstrzymać. Żałuj, że nie widziałeś swojej miny!

– Ty powinnaś zobaczyć swoją – odburknął Coulton. Położył rękę z rewolwerem na kolanach, ale nie zwolnił kurka. – Co ty właściwie robisz? Dlaczego nas śledzisz? Nie słyszałem o talencie, który pozwala być niewidzialnym.

– Słodki Jezusie... – wycodziła Ribs z udawaną powagą i szeroko otworzyła oczy. – Jeśli o czymś nie słyszałeś, to pewnie takie coś nie istnieje. Dobrze myślę?

– Bardzo jesteś sympatyczna.

– Ależ dziękuję, panie Coulton.

– Nie ma takiego imienia jak Ribs.

– Powiedz to mojej mamie.

– A gdzie ją znajdę?

– Ach, niestety, nieszczęsne ze mnie dziecię, łaskawy panie Coulton. Tragiczna jest historia mego żywota. – Ribs dygnęła. W przydługiej nocnej koszuli wyglądała nedorzecznie. – Nigdzie się nie urodziłam, za to wszędzie wychowałam. Samotność była mi matką, nędza ojcem.

– Poczekaj chwilę, muszę sobie popłakać.

Ribs znów wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nikomu nie powiem.

Coulton zmierzył wzrokiem jej piegowatą buzię i szelmowskie zielone oczy. Skinął głową.

– No dobrze, nie ma mowy, żeby prawdziwy drughr był tak irytujący. Ale i tak mógłbym cię zastrzelić, na wszelki wypadek.

– No dobrze, dobrze, posłuchaj – odparła wyraźnie rozbawiona Ribs, po czym nagle spoważniała. – Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by potrafił to co ja. Albo coś podobnego. Aż pewnego dnia zobaczyłam, co Jacob robi z kurzem. W Singapurze, nie? Chciałam zobaczyć, coście za jedni, więc zem się wśliznęła na pokład i popłynęła z wami. Nie wiedziałam, że wybieracie się do Japonii.

- Jak taki utrapieniec jak ty w ogóle wylądował w porcie w Singapurze?
- To dopiero piękna historia – odparła z uśmiechem Ribs. – Piękna i rozdzierająca serce, łaskawy panie Coulton.
- Omal cię nie zabiłem, dziewczyno. Wziąłem cię za drughra.
- Za co?
- Za dru... – Coulton pokręcił głową. – Nieważne.
- Aha. No to mam dla ciebie jeszcze jedną ważną nowinę: jednorożcem też nie jestem!

Coulton nadał policzki. Zastanawiał się, czy strzał z rewolweru ściągnie mu na głowę tokijską policję, a jeśli tak, to czy ciało tej dziewczynki będzie widzialne, czy nie, i że nawet jeśli będzie, to może i tak warto spróbować.

Tymczasem Ribs z każdą chwilą zachowywała się coraz swobodniej. Zatarła rękę, rozejrzała się, podrapała po rudej czuprynie.

- No dobra. Gdzie Jacob? Poszedł pogadać z tą całą Komako?
- Wiesz o niej? – zdumiał się Coulton.
- Trudno nie wiedzieć, kiedy stale o niej rozmawiacie.
- Jak dużo słyszałaś? Wiesz, czym się zajmujemy?
- Mhm.
- Wiesz, skąd przybyliśmy?
- Mhm.
- Pięknie... – mruknął Coulton. – Berghast żywcem obedrze mnie ze skóry. – Pokręcił głową. – No i co ja mam z tobą zrobić? Nie można pozwolić, żebyś tak po prostu włóczyła się po mieście.

Ribs spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nastroszone włosy sterczały jej we wszystkie strony.

- Jezu, co z ciebie za gość... Przecież nie łażę za wami, żeby się doksztalcać. Chcę jechać z wami, to chyba oczywiste.
- Ale jak to? Do Cairndale?
- Mrugnęła porozumiewawczo.
- Tylko nie w tym przeklętym kufrze, jasne?

Lało jak z cebra, kontury dachów pagód rozplywały się w ciepłym deszczu.

Komako zostawiła Anglika na pustej ulicy przed wejściem do teatru, na oświetlonym pochodniami postoju za rogiem złapie osłoniętą przed deszczem riksę. Skonsternowana zamętem w sercu, niczego mu nie zaproponowała, nie obiecała, za nic nie podziękowała. Ocalił ją i zarazem zniszczył jej życie. Ujawniła swój talent, od tej pory już się nie ukryje.

Popchnęła Teshi do środka, na górę, przez ciemne pomieszczenia, w których na szczęście nikogo nie spotkały. Dotarły w końcu do swojego pokoiku, gdzie ułożyła siostrę na tatami. Węgle żarzyły się jeszcze w żeliwnym koszu i pulsowały ciepłem.

Wreszcie otworzyła drewnianą okiennicę i wyjrzała na dwór. Jacob nadal tam stał: ciemny zarys w deszczu, bez kapelusza, przemoczony do suchej nitki wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła. Widziany w nocy znów wydał jej się upiorny, obcy, przerażający. Ale wiedziała, że w końcu czekanie mu się znudzi.

Wyczuła obok siebie czyjaś obecność: to Teshi wstała z maty. Oczywiście miała zapadnięte. Wsparła się na ramieniu siostry, żeby nie stracić równowagi. Komako przeszedł zimny dreszcz.

– Czego on chce, Ko? – spytała szeptem Teshi. – Dlaczego tam stoi?

– Przyszedł po mnie – odparła bez ogródek Komako.

Usiadła po turecku na podłodze, plecami do ściany. Teshi podczołgała się bliżej i złożyła główkę na jej kolanach, tak jak robiła to, kiedy była znacznie mniejsza, dawno, jeszcze zanim zachorowała. Komako pogładziła ją po włosach.

Cała się trzęsła, ale nie z powodu tego, co powiedziała. Myślała o słowach Jacoba, o tym, że to jej wola uniemożliwia siostrze znalezienie spokoju i że powinna ją uwolnić. Przed oczami stanęła jej bledziutka postać Teshi zafascynowanej wystawionymi w zaułku ciałami, przypomniawszy sobie jej nienaturalną obojętność nawet w obliczu nieprzyjaznego, rozkrzyczanego tłumu. Teshi nieustannie marzyła, w ogóle nie spała, a jej zęby – jak słusznie domniemywał Jacob – były drobne i ostre jak u ryby. Przypomniawszy jej się lekarz z kliniki, który patrzył na Teshi jakby ze zgrozą, a także wiedźma, która potraktowała je z chłodnym zniesmaczeniem, i zorientowała się, że wiedziała już wcześniej, zanim jeszcze Jacob jej powiedział, wiedziała od dawna, co jest nie tak z jej siostrą, wiedziała, że to wcale nie jest choroba, a to, co trzeba zrobić, będzie dla Teshi poniekąd aktem łaski.

Teshi splotła swoje drobne zimne palce z jej palcami.

– Dobrze, Ko – wyszeptwała.

Jakby wiedziała.

Ale przecież nie mogła wiedzieć, po prostu nie mogła. Komako przyjrzała się jej badawczo, doznając uczucia, jakby ciągnęło ją w przód, ku jasności, która będzie bolesna dla nich obu, ku dwóm obcym mężczyznom i nieznannej prawdzie, którą przywieźli. Z wysiłkiem przełknęła ślinę, zamknęła oczy i starała się o tym nie myśleć, ale nie potrafiła się powstrzymać, zwyczajnie nie potrafiła, i nagle poczuła, że spada w światło, i to było jak umieranie.

„Ach, Teshi”, pomyślała nagle, zapalczywie i spadła. „Tak mi przykro, Teshi, tak mi strasznie przykro...”

I wtedy coś w jej wnętrzu się rozluźniło, jakiś mocno zaciśnięty supeł napięcia zaczął się rozplýwać i Komako poczuła okrutne mdłości w żołądku. Ledwie powstrzymując szloch, otworzyła oczy i zaczęła się rozglądać na wszystkie strony w słabym blasku kosza z węglami. Teshi trzymała głowę na jej kolanach, oczy miała zamknięte, zupełnie jakby spała – tyle że to wcale nie był sen.

Drughr

Wiele lat później, długo po tym, jak przestał być tym, czym był, po tym, jak z parującą skórą wylądował w szarych pokojach po drugiej stronie orsine, gdzie duchy o żałobnych oczach zebrały się, żeby go powitać; po tym, jak stał się – tak, tak – stał się tym, kim zawsze było mu przeznaczone się stać: przedłużeniem drughra, w którym pył wzbierał jak tłąca się ciemność, aż zapomniał nawet własnego imienia; po tym, jak zabił tamtych dwoje dzieci nad rzeką, i to wydarzenie go przemieniło, przemieniło go ostatecznie i nieodwołalnie i nagle wszystkie zdrady i kłamstwa Instytutu stały się oczywiste; nade wszystko zaś po tym, jak ruszył wytropić dziecko z Cairndale, świecącego chłopca – w dalszym ciągu w małym zamkniętym pokoiku swojego serca Jacob przechowywał wspomnienie tego dnia, wyjazdu i rozpoczynającej się podróży. To był jego drugi początek.

Wyłynęli z Zatoki Tokijskiej pod płaskim, białym, bezsłonecznym niebem. Czworo pasażerów na pokładzie przemytniczego statku Szweda: on, Coulton, pogrążona w żałobie Komako i osobliwa pasażerka na gapę, niewidzialna dziewczynka imieniem Ribs.

Minęli przybrzeżną płyciznę, zagle zatrzeszczały i wypełniły się wiatrem. Jacob obserwował Komako. Stała przy relingu ze wzrokiem utkwionym w oddalające się dachy rodzinnego miasta, na jej twarzy malował się szczery smutek. Prawie się nie odzywała, ani słowem nie wspominała o siostrze, ale Jacob po tym milczeniu poznawał, co zrobiła i co musi w niej tkwić. Przypomnił mu się Bertolt sprzed lat, jak leżał w tamtym zaułku z brudnymi od sadzy, bezwładnie rozrzuconymi rękami i nogami. Zastanowił się, czy sam potrafiłby zrobić to samo – i od razu, w tej samej chwili, zrozumiał, że nie, nie byłby do tego zdolny, jego miłość do brata nie była

dostatecznie potężna albo dostatecznie altruistyczna. Zawstydzony spuścił wzrok. Bez Bertolta, który był mu kotwicą, nie wiedział, kim właściwie jest na świecie.

Po jakimś czasie dołączył do Komako na rufie. Zacisnął dłonie na relingu z taką mocą, jakby zamierzał go udusić, i razem patrzyli na mijane dziwne, piękne miasto.

– Nieprędko znowu je zobaczysz – zapowiedział półgłosem.

– Nienawidzę go – odparła Komako i odeszła.

Przez chwilę patrzył za nią, a potem podniósł wzrok. Kobieta z cienia, odziana w czarną suknię istota z dymu i ciemności, stała cicha i zamyślona przy gładkim grotmaszcie. Przykucnięty obok marynarz, kompletnie nieświadomy jej obecności, wyskubywał pakuły ze zwiniętej liny. Jacob nie wiedział nawet, jak kobieta ma na imię. Dziwnie się czuł z tym, że nie wie, jak się do niej zwracać. „Drughr”, rzecz jasna, byłoby w sam raz, tego już się domyślił. Ale chyba nie była z natury zła. Czy to możliwe? Ostatnio często mu towarzyszyła, nie tylko we śnie, także na jawie, niczym przedziwny drugi cień tego, co możliwe w przyszłości. Wieczorami czaiła się w kajucie kapitana za plecami Coultona, kiedy ten przy stole szarpał palcami chleb. Stała niewzruszona na osłonecznionym pokładzie, gdy statek kołysał się w przód i w tył, a bukszpryt nurzał się w pianie, całkowicie nieważka, z suknią nigdy nierozwiewaną wiatrem. W ciasnej, ciemnej kajucie, którą dzielił z Coultonem, często przystawała w otwartych drzwiach, jakby zawieszona w powietrzu nad podłogą, z oczami przesłoniętymi dymem. Czasami go przerażała, najczęściej jednak na jej widok czuł się niewytłumaczalnie stary i smutny.

Przez pierwsze dni rejsu niewiele mówił. Wieczorami przyglądał się w świetle lampy rumianej twarzy i kasztanowym bokobrodem Coultona. Patrzył, jak jego towarzysz zaciąga się głęboko cygarem i z zamkniętymi oczami przetrzymuje dym w płucach – wyglądał wtedy na człowieka wielce zadowolonego z życia. Dużo rozmawiał z Ribs, chudą niecnotą z szopą rudych włosów, która wiecznie coś jadła i zawsze żuła z otwartymi ustami, odsłaniając przerwę między zębami.

Coulton wyraźnie się rozluźnił, stał się szczęśliwszy, można by nawet powiedzieć. Jacob cieszył się jego szczęściem, o którym wiedział, że nie wynika tylko z tego, że wreszcie wracają co domu. Coulton ewidentnie dobrze się czuł w towarzystwie tej aroganckiej dziewczuchy.

„Czyli Frank Coulton jednak ma serce”, myślał wtedy Jacob, widząc go w takim stanie. Kto by pomyślał?

Ribs smykała jak salamandra z pokoju do pokoju, gdziekolwiek Jacob się pojawił, prawie jakby go unikała, prawie jakby wiedziała coś, czego on nie wie. Była wszędzie i zarazem nigdzie, wychudzona i prędką kręciła się jak fryga, miała oczy, które nie były oczami dziecka, a jej głos niósł się po wszystkich zakamarkach skrzypiącej krypy. Pierwszego ranka włożyła żółte kimono, które Coulton wybrał dla niej starannie w dzielnicy bławatnej, ale na drugi dzień przebrała się w marynarskie spodnie z podwiniętymi nogawkami i koszulę z obdartymi rękawami (które i tak były za długie) i w tym stroju występowała już do końca podróży. Serce krajało się Jacobowi, kiedy na nią patrzył i zastanawiał się, jak ciężkie musiało być jej życie, jak wiele okrucieństwa doświadczyła i jak mało dobroci, ale Ribs zdawała się nie rozpamiętywać dawnych krzywd. Milkła tylko wtedy, gdy przysiadła obok Komako na przywiązanej do pokładu skrzyni na dachu rufówki i razem spoglądały w roziskrzoną wodę i drobne fale mieniące się w słońcu jak sztylety: dwie dziewczynki w podobnym wieku, pomiędzy którymi – być może – zadzierzgały się więzi przyjaźni.

Wiał silny południowy wiatr. Wyłynęli już z zatoki Sagami i halsowali na zachód, w stronę Oshimy, obrawszy kurs na Morze Wschodniocchińskie i Tajwan.

Na statku niewiele było do roboty: Jacob starał się mieć dziewczynki na oku, drzemał, osłaniał oślepięte odblaskami oczy, śledził poczynania marynarzy, którzy huścili się w takielunku jak makaki, i wybiegał myślami ku Szkocji, odludziu Cairndale, kamiennym zabudowaniom Instytutu. Już zbyt długo go tam nie było.

Na statku trudno było o prywatność: zawsze gdzieś w pobliżu krzątał się zajęty swoimi obowiązkami marynarz, niespokojny Coulton wychodził akurat spod pokładu, Ribs przebiegała obok w drodze nie wiadomo dokąd. Albo Jacob odwracał się zniechęca i dostrzegał drughra, który niczym duch obserwował go z drugiego krańca pokładu. Coraz gorzej sypiał. Świadomość tego, co Komako zrobiła z Teshi, utkwiała także w nim i nie umiał się jej pozbyć. Dumał nad tym, rozmyślał, obracał w głowie na wszystkie strony, aż w końcu jego myśli zlewały się w jedno ze słowami drughra o duchu małego Bertolta, cierpiącym, samotnym, przerażonym i o tym, że Jacob mógłby sprowadzić brata z powrotem.

I tak oto o trzeciej nocy na morzu przywołał drughra. Wszedł na pokład w świetle gwiazd, żeby znaleźć odrobinę samotności, i usiadł na fordeku oparty plecami o reling. Ciepły wiatr rozwiewał mu brodę. Mocno zacisnął powieki i przywołał drughra. I drughr przyszedł.

Powiedziałeś o nas panu Coultonowi, przemówiła kobieta. W jej głosie brzmiało niezadowolenie.

Jacob przycisnął kolana do piersi i podniósł wzrok. Stała tak blisko, że mógłby wyciągnąć rękę i chwycić w palce rąbek jej sukni. Ponad sztywnym marszczonym kołnierzem, w miejscu, w którym powinna znajdować się jej twarz, kłębił się gęsty dym.

– Nie ma żadnego „my” – odmruknął. – Powiedziałaś, że śmierć to tylko drzwi; że może je otworzyć lub zamknąć każdy, kto wie, jak to zrobić.

Owszem.

– Czy on nadal jest... sobą? Bertoltem? Tym, kim był?

Musisz otworzyć orsine. Musisz je otworzyć, żeby nie zostało ponownie zamknięte.

– Przekażesz mu wiadomość ode mnie?

Sam mu wszystko powiesz, kiedy otworzysz orsine.

– Dlaczego ty nie możesz tego zrobić? Do czego jestem ci potrzebny? – Ze złością przetarł twarz i gniewnie spojrzał w ciemność. – Zresztą i tak nie wiem, jak to zrobić. Nie da się otworzyć czegoś, czego się nie rozumie.

To proste, Jacobie. Musisz zabić glifina.

Jacob wytrzeszczył oczy.

– Pana Thorpe'a?!

Ma wiele imion, ale to jedna i ta sama istota. Tak.

– Wiem, kim jesteś – wypalił Jacob.

Czym zatem jestem?

Przełknął ślinę.

– Drughrem.

Przykucnęła skromnie, dłonie w rękawiczkach złożyła na podolku.

To jedno z imion. Są inne. Jestem stara, starsza od pocziwego doktora Berghasta, starsza nawet od waszego ukochanego glifina.

– Coulton mówi, że jesteś złem – wyszeptał Jacob.

Odchyliła się do tyłu, jakby mierzyła go przeciągłym, beznamiętnym spojrzeniem.

Zło to kwestia punktu widzenia, odparła półgłosem.

– Wcale nie.

Czyżby? Czy drzewo jest złe? Albo kurz? Jesteśmy po prostu częścią większej ciemności, Jacobie. Drugą stroną medalu. A ty kim jesteś? Czym jest kurz? Co to znaczy mieć nad nim władzę? Czy to nie zło?

– Talenty nie są złem.

Ale twój talent jest raczej wyjątkowy, czyż nie?

Jacob zobaczył sylwetkę marynarza, który wstał z fordeku i podszedł do relingu. W blasku gwiazd spokojne morze jarzyło się upiorną siną poświatą meduz. Marynarz wrócił na swoje stanowisko.

Wyobraź sobie, co by było, gdybyś wtedy potrafił to, co potrafi Komako. Mógłbyś zachować Bertolta przy życiu. Zatrzymać go przy sobie. To część daru pyłowładcy. Berghast ci nie powiedział? Oczywiście, że nie, nie chciałby, żebyś o tym wiedział. Ja jednak mogę dać ci tę moc.

– Nie przyjąłbym jej. Nie chcę jej.

Jest twoja bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie. Drughr się pochylił. Twarz miał utkaną z dymu i czerni. Pyłowładztwo to moc sprowadzania ciemności na świat. Niewiele wiesz o swojej prawdziwej naturze, Jacobie. Jesteś jeszcze bardzo młody. W środku dnia na Ar-Rab al-Chali widziałam burze piaskowe, które kompletnie przestaniały słońce. Można by pomyśleć, że zapadła noc. Ryk takiej burzy zagłusza wszelkie inne dźwięki, a dotyk piasku smagającego skórę unicestwia wszelkie inne doznania. Znikają zapachy, smaki, dźwięki. Jest tylko piasek, który odziera człowieka ze wszystkich ludzkich zmysłów, aż ten przestaje być człowiekiem. Zostaje odcięty od swojej istoty. Taka właśnie jest moc pyłu.

– Nie chcę nikogo krzywdzić...

Naturalnie.

Jacob pokręcił głową. Czuł się senny, niemal zamroczony. Taki właśnie wpływ miał na niego drughr.

– Mówiłaś, że... że wiesz, jak...

Jak znaleźć twojego brata w tym drugim świecie, zgadza się. I jak mu pomóc. Orsine to drzwi, ale są jeszcze inne drogi, które tam prowadzą. Małe okienka. Mogę cię tam zabrać, Jacobie, mogę zrobić to, czego nie robi Henry Berghast, ale orsine musi zostać otwarte, jeżeli twój brat ma wrócić na dobre.

– Mówiłaś, że cierpi...

To nie będzie łatwe. I ma swoją cenę. Zapłacisz ją? Oto jest pytanie.

– Jaka to cena?

No tak... Drughr zawiesił głos, jakby się zastanawiał. Dlaczego najmniejsze stworzenia, Jacobie, najbardziej bezbronne, myszy i krety, przedkładają ciemność ponad światło dnia? Twój doktor Berghast chce zachować świat taki, jakim jest. Potężni zachowują swoje wpływy, a pokorni będą znali swoje miejsce. Ja natomiast... uważam, że wcale nie musi tak być. Wiesz, dlaczego mroczne talenty nazywa się mrocznymi? Nie ma to nic wspólnego z dobrem i złem, sprawiedliwością i niesprawiedliwością. Nazywa się je tak, ponieważ pozwalają słabym się kamuflować i żyć tak, jak żyją silni.

– Bertolt nie był słaby – wyszeptał Jacob.

Drughr milczał, dym kłębił się wokół jego twarzy.

– Dlaczego chcesz mi pomóc? Dlaczego?

Takielunek skrzypnął w świetle gwiazd. Drughr wyprostował się płynnym ruchem: ciemniejszy cień na tle majaczących w mroku masztów.

Dlatego, że ja również czegoś potrzebuję, odparł cicho. Potrzebuję twojej pomocy, Jacobie.

Nastał nowy ranek. Coulton siedział na beczce ustawionej na pokładzie i słuchał szelestu rozdawanych kart. Ciepły wiatr rozdymał mu koszulę i trzepotał połaciami płótna nad jego głową, cienie igrały na jego twarzy. Nie mógł się skupić, myślał o Jacobie. Martwił się o niego. W spojrzeniu chłopaka było coś niezdrowego, jakby coraz bardziej niedosypiał.

Czterej żyłaści, ogorzali marynarze z „Orang Laut” siedzieli w kółku na pokładzie i z uśmiechem patrzyli, jak drugi oficer rozdaje karty. Zagrywali się do upadłego w *zanmai*, grę z użyciem tych dziwnych, małych, kolorowych kart *karuta*, które na ulicach Tokio spotykało się na każdym kroku. Zasady były proste – trzy karty, zbieranie do dziewiętnastu punktów – za to techniki oszustwa były niezwykle wyrafinowane.

Coulton – koneser każdej po mistrzowsku opanowanej umiejętności bez względu na jej charakter – świetnie się bawił, patrząc, jak gracze podnoszą z pokładu kolejne monety, wydając okrzyki zaskoczenia za każdym razem, gdy udało im się dobrać do dziewiętnastu.

– Wiem, jak to robią – powiedziała mu Ribs później, pod wieczór. – Widziałam. Mogę ci powiedzieć.

Oderwał się od swojego zajęcia i spojrzał na nią.

– Jeśli ktoś na tym statku przyłapie cię na używaniu talentu, wszyscy popłyniemy do Singapuru w pław. Spróbuj udawać zwyczajne dziecko. Dasz radę?

Ribs zmierzyła go niechętnym spojrzeniem. Prychnęła.

– Nie jestem dzieckiem – wycedziła, artykułując z przesadną starannością.

Słoneczne dni były długie, ciepłe powietrze gęste jak zupa i Coulton nie umiał mieć do Ribs pretensji, że się nudzi. Sam też zaczynał mieć dość tego rejsu: falowanie morza coraz częściej przyprawiało go o chorobę morską, tęsknił za suchym lądem i zimną kąpielą, był coraz bardziej rozdrażniony i coraz trudniej było mu ukrywać irytację.

Dwa dni wcześniej minęli Tajpej. Coulton siedział w swojej kajucie. Drzwi były zamknięte, hamak zwinięty, a on tkwił przy wąskim biurku przyśrubowanym do podłogi i pisał w dzienniku. Nagle znieruchomiał, odłożył pióro i odwrócił się na stołku.

– No dobrze – powiedział półgłosem, patrząc w sufit. – Jeżeli chcesz z nami jechać aż do Szkocji, musimy wprowadzić pewne zasady, nie? Zasada pierwsza: żadnego zakradania się do cudzych kabin.

Kajuta była pusta, Jacob wyszedł na pokład. Statek unosił się i opadał, unosił i opadał. W końcu w pustce zabrzmiał głos Ribs:

– Jak się zorientowałaś, że tu jestem?

– Po zapachu.

– Niemożliwe. – Ribs bez przekonania pociągnęła nosem. Zawahała się. – Prawda, że nie?

Coulton zamknął dziennik, zaznaczywszy stronę, i z irytacją przetarł twarz.

– Obiecałaś, że nie będziesz używać talentu na pokładzie, nie? Że się powstrzymasz.

Zmaterializowała się przed nim z powietrza, chuda i naga.

– Tak lepiej? – I uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Wzdrygnął się, cofnął gwałtownie i odwrócił oblaną rumieńcem twarz. Po omacku sięgnął na hamak po nadjedzony przez mole koc.

– Na litość boską, co ludzie pomyślą, kiedy zobaczą cię chodzącą tak po statku? Kazałem ci zachowywać się jak normalny człowiek. To nie jest normalne.

– Frank, Frank, Frank... – Nie przestawała się uśmiechać.

– Dla ciebie „pan Coulton”. A może wolisz odbyć podróż w kufrze, co?

Zaśmiała się i zniknęła w mgnieniu oka. Stary koc opadł na ziemię.

O ile jednak działalność Ribs ograniczała się do żartów i wygłupów, o tyle Jacob posępniał z każdym dniem i robił się coraz bardziej humorzasty. Unikał słońca, regularnie tarł oczy i rozmasowywał nasadę nosa, a Coulton patrzył, jak sińce pod jego oczami zmieniają kolor z żółtego na szary, i się martwił. Jacob zrzucił ciemny płaszcz, rozpiął kołnierzyk, pozbył się fularu, kapelusz zostawił w kabinie i chodził po statku prawie półnagi, w samej tylko koszuli. Wszechobecna apatia i identyczność długich dni potrafiły zaburzyć człowiekowi dyscyplinę codzienności i przyprawić o żeglarskie szaleństwo.

Czasem Coulton budził się w nocy i stwierdzał, że hamak Jacoba jest pusty. Wychodził wtedy na pokład i zastawał chłopaka na gapieniu się gniewnym wzrokiem w rozgwieżdżone niebo. Bywały też wieczory, gdy nie pojawiał się na kolacji przy kapitańskim stole. I nigdy nie chciał o tym rozmawiać.

Aż pewnej nocy zmienił zdanie. Wszedł do ich wąskiej kajuty i zaczął się po niej przechadzać w tę i z powrotem, wyłamując długie, piękne palce. Coulton, który siedział przy biurku pod iluminatorem, odwrócił się w jego stronę z ołówkiem w ręce i czekał. Kark miał spalony słońcem, skóra schodziła mu z wydatnego zaczerwienionego nosa. W porównaniu z nim Jacob wydawał się niemal blady.

– Nie mogłem jej pomóc, Frank – odezwał się niepewnym, zbolalym głosem. – Nie mogłem nic zrobić, by jej pomóc.

Coulton potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć, o kim Jacob mówi: o młodszej siostrze Komako.

– Przecież jej pomogłeś – zauważył.

– Nie rozumiesz. – Jacob pokręcił głową. – Nie było cię przy tym. Komako błagała mnie, żebym uratował Teshi.

– Nie zrobiłeś nic złego, chłopcze.

– Powiedziałem, żeby pozwoliła siostrze odejść. To ja to zrobiłem. Ja.

– No tak, ale jaki miała wybór? Jak to sobie wyobrażasz, że zabrałaby litcha na pokład i razem wrócilibyśmy do Cairndale? Czy w ogóle nie zamierzałeś jej zabierać i miałaby po prostu zostać z litchem w mieście? Długo by przetrwały, jak myślisz?

– Jej siostra nie musiała umierać.

– Jej siostra już nie żyła, chłopcze.

Jacob zmierzył niechętnym spojrzeniem swoje wykręcające się nerwowo palce.

Coulton wstał. Zmusił się, żeby spojrzeć na cierpiącego chłopaka, popatrzył mu prosto w oczy i powiedział:

– Nie chcesz takiej mocy. Wydaje ci się, że jej pragniesz, ale to nieprawda.

– A może nie masz racji? – odparł Jacob z błyskiem w oku. – Może powinienem mieć większą moc? Po co nam talenty, kiedy nie możemy nikogo ocalić?

– Kogo ocalić? I od czego, od śmierci?

– Tak!

Coulton patrzył na rozgoryczonego Jacoba, po prostu patrzył i nie wiedział, co powiedzieć – nie wiedział, ponieważ rozumiał.

– Ale Bertolt już nie żyje, chłopcze – przypomniał półgłosem. – Jest martwy. Nie da się go sprowadzić z powrotem.

Rozzłoszczony Jacob odwrócił się do niego plecami.

– Nasze talenty nigdy nie miały służyć takim celom – ciągnął Coulton. – Śmierć nie jest najgorszą rzeczą, sam wiesz.

Jacob – nieszczęśliwy i impulsywny – otworzył kopniakiem drzwi i wybiegł z kajuty.

Nie odbiegł jednak zbyt daleko, na statku nie było dokąd uciec.

Wspiął się po drabince na fordek, a gdy tam nie znalazł prywatności, przeszedł na rufę, by krążyć przy relingu jak kot na łowach, patrzeć na zachodzące słońce i gotować się ze złości.

Wiedział, że Coulton nie jest niczemu winny, ani Coulton, ani nikt inny. Naprawdę to wiedział.

Wściekał się na dogasający dzień, gdy znalazła go Komako. Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu. Przeniósł wzrok na nią i na jej kimono w kwiatowy wzór. Jego złość natychmiast się ulotniła. Dziewczynka wydała mu się zagubiona i onieśmielona.

– O co chodzi? – zapytał.

Wzruszyła ramionami. Na północy zbierały się ciemne chmury, ale poza tym niebo było poprzecinane złotymi pasmami.

– Czy w Instytucie – zaczęła – będą inni tacy jak ja? Jak Ribs?

Jacob nie zrozumiał, a potem zrozumiał.

– Pytasz o dzieci? A co, martwisz się czymś?

Ledwie zadał to pytanie, zrobiło mu się głupio. Przecież to oczywiste, że Komako się niepokoi. Przypomniawszy sobie, jak i on się bał, gdy wiele lat temu wsiadał do pociągu w towarzystwie Henry'ego Berghasta.

– Posłuchaj. – Uklęknął, czasem zapominał, że Komako ma dopiero dziewięć lat.

– To miejsce, w którym będziesz bezpieczna. Tak, spotkasz tam inne dzieci. Z niektórymi się zaprzyjaźnisz, z innymi nie, a gdy będziesz starsza, może znajdzie się ktoś, kogo polubisz bardziej od innych. Czeka ją na ciebie nauczyciele, lekcje i książki, będziesz się uczyć o pyłowładztwie, o tym, czym jest, co pozwala robić i jakie ma ograniczenia. Instytut mieści się w wielkim starym domu wśród pól. Ziemia jest tam czerwona jak krew, a trawa zieleńsza niż woda w tokijskim porcie. Zobaczysz. Jest też jezioro, w którym latem można się kąpać, a na jeziorze wyspa z ruinami.

Zatopił się we wspomnieniach i głos mu się załamał. Ciepłe powietrze pachniało solą i spieczonym na słońcu drewnem. Bosi marynarze – półnaczy i spaleni słońcem jak figi – uwijali się w olinowaniu, biegali po rejach, zwijali żagle i obwiązywali je na drzewcach. Ich cienie sięgały daleko ponad wodę.

– A co z tobą? – spytała cichutkim głosem Komako.

Jacob zamrugnął zaskoczony.

– Ze mną?

– Też tam będziesz? Nie zostawisz mnie?

Powoli wyciągnął rękę i objął dziewczynkę. Nie wzdrygnęła się, nie spięła, nie próbowała się odsunąć. Stali tak razem w świetle zachodzącego słońca.

– Nigdzie się nie wybieram – skłamał Jacob.

Tej nocy w hamaku, w wąskiej kajucie, którą dzielił z Coultonem, przyśnił mu się Bertolt. Nie wyglądało to jak sen. Jacob znajdował się we wspólnej sali sypialnej w Cairndale. Wszystkie łóżka poza jednym były puste, pozdejmowane materace stały oparte o ścianę. Przez muślinowe firanki do sali przesączało się światło dnia. Bertolt leżał w łóżku, odwróconą na bok zarumienioną twarz przyciskał do poduszki, blade dłonie spoczywały nieruchomo na przykryciu. Był w tym samym wieku co w chwili śmierci – i był bardzo mały. Pielęgniarka, której Jacob nie poznawał, szybkim krokiem przemierzyła salę, stukając obcasami, i zatrzymała się przy łóżku Bertolta. Ujęła jego nadgarstek, podniosła go, puściła. Nachyliła się nad chłopcem i zajrzała mu pod powieki. W sali zrobiło się jaśniej, jeszcze jaśniej...

Jacob się obudził. Koszulę nocną miał przepoconą na wskroś. Odwrócił się, powiódł sennym wzrokiem dookoła i stwierdził, że hamak Coultona zwisa smętnie jak pusty worek, a jego nigdzie nie widać. Lampa wisząca na wbitym w belkę haku płonęła słabiutkim światłem.

Zwiesił nogi z hamaka, zsunął się na podłogę, przetarł twarz.

W kącie stał drughr.

– Na litość boską! – syknął Jacob. Serce waliło mu jak młotem.

Wcześniej obserwowała cię ta niewidzialna dziewczynka. Nie zauważyłeś jej. Musisz być ostrożniejszy, jest bardzo ciekawska.

– Nie ona jedna. Gdzie Coulton?

Pan Coulton na razie nie wróci.

Jacob słuchał jednym uchem. Nagle sylwetka drughra wydała mu się znajoma, jej widok obudził dawne wspomnienie z Wiednia, z czasów dzieciństwa.

– Ja cię znam! – wypalił znienacka. – Widziałem cię już, kiedy byłem mały...

Zgadza się. Na Stephanplatz.

– Pod łukami katedry. To było w dniu, w którym Bertolt upadł na ulicy po tym, jak kopnął go koń.

Był to także dzień, w którym pierwszy raz przekroczyliście próg sierocińca. Patrzyłam, jak wchodzicie po schodach i jak siostry zabierają was do środka. Odwróciłeś się, obejrzałeś się na mnie. Pamiętasz?

Wolno pokręcił głową. Chciał sobie przypomnieć, ale nie potrafił.

Także później, w pociągu, kiedy Henry Berghast zabrał cię z Wiednia. Siedziałam po drugiej stronie przejścia, przy oknie. Obserwowałam cię. Co chwilę na mnie zerkales.

– Tak, to pamiętam – przyznał szeptem Jacob.

Zawsze byłam przy tobie. Zawsze nad tobą czuwałam. Jesteś bardzo cenny, tkwi w tobie wielka moc. Pomyśl o tym, jak wiele dobra mógłbyś uczynić, ilu ludziom mógłbyś pomóc, gdybyś tylko pozwolił sobie być tym, kim jest ci przeznaczone zostać.

– Bertolt zawsze powtarzał, że nowy dzień to nowy początek. Nikt jeszcze nie próbował tego, co chcemy zrobić.

Ale te decyzje już zapadły: co zrobisz, czym się staniesz... Niektóre rozstrzygnięcia są od nas niezależne.

– Ja... nie wiem, co robić.

To twoje przeznaczenie. Pomóc mu. Znaleźć go.

Czuł się wyczerpany, jakby od tygodni nie spał. Nie rozumiał, co się z nim dzieje.

Drughr podpłynął bliżej. Zamiast twarzy miał leniwie skłębiony dym, rozległe chmury, przepływające plamy cienia – widok był fascynujący i bezdeny, jakby się patrzyło w toń jeziora rozświetlanego na wielkiej głębokości jakąś upiorną żywą luminescencją, której źródło prawie, prawie można dostrzec.

Jacob wielkim wysiłkiem woli oderwał wzrok od tej twarzy.

On cierpi, Jacobie. Nadal jest dzieckiem, takim samym jak był w chwili śmierci. Pozostanie samotny i cierpiący, chyba że...

– Chyba że co?

Drughr zdjął rękawiczki.

Wyciągnij ręce przed siebie, polecił. Odwróć je.

Dłonie drughra były szerniałe i powykręcane jak u trupa. Czubkami palców musnął ręce Jacoba. Jacob się wzdrygnął. Dotyk był niezwykły, niematerialny, przypominał muśnięcie oddechu na skórze, lecz niewątpliwie był dotykiem. Początkowy wstrząs Jacoba szybko przeszedł w zgrozę, gdy drughr – ta zjawą, to urojenie – złapał go za nadgarstki i przeszywający ból popłynął z nich w górę rąk. Jacob zadrzał i zachwiał się w mocnym uścisku, ogarnęła go głęboka, bezbrzeżna słabość, ale drughr nie puszczał, trzymał go na odległość wyciągniętych rąk, jakby

w ten sposób pieczętowali zawartą umowę, tylko że Jacob na nic się nie umawiał, a tymczasem dłonie płonęły mu żywym ogniem, knykcie i nadgarstki skwierczały bólem, aż dłużej nie mógł się powstrzymać.

Krzyknął.

Drughr go puścił.

Jacob zatoczył się do tyłu, tuląc podkulone ręce do piersi. Na dłoniach i przedramionach rozlały mu się atramentowoczarne plamy, jakby wymoczył je w roztworze chininy. Wyglądały jak tatuowane w wiry, spirale i inne wzory, ale te tatuaże się poruszały, przemieszczały się leniwie tuż pod skórą. Kostki palców uległy deformacji, kciuki wydłużyły się monstrualnie, palce żółkły i popękały.

– Co mi zrobiłaś? – wyszeptał ze zgrozą.

Klamka zapadła, Jacobie Marber.

Kobieta skinęła w kąt kajuty. Lampa na belce kołysała się ospale. Własne serce wydało się Jacobowi ciężkie i obolałe. Zmasakrowane palce drgnęły niemal z własnej woli i nagle malutki wir kurzu uniósł się z podłogi i podpłynął do niego. Jacob odwrócił dłonie i wtedy to poczuł, tę siłę, przenikającą go zimną moc, której wcześniej tam nie było. Spróbował pokierować kurzem i ze zdumieniem patrzył, jak pył skręca się, skłębia, gęstnieje i czernieje coraz bardziej, jakby mnożył się na jego oczach, był zarazem kurzem i czymś innym, czymś więcej, przyćmił światło lampy na żelaznym haku, przesłonił hamaki i wypełnił malutką kajutę gęstą atramentową czernią.

Teraz pył jest częścią ciebie, Jacobie, zabrzmiał głos drughra. Stwora nie było już widać wśród zgęstniałych oparów. Wyczuwam w tobie piękny głód. Ty też go poczuj, poczuj, do czego jesteś zdolny.

Jacob posłuchał... i rzeczywiście: czuł się cudownie, jakby nie było dla niego rzeczy niemożliwych, jakby czystą siłą woli mógł sprowadzić ciemność na świat.

Zacisnął pięść. Atrament w jego skórze zamglił się, zaczął na przemian łączyć się i rozdzielać niczym dym, gdy wtem kurz został zassany wprost pod monstrualnie przemienione palce – i zniknął. Pył był teraz w nim, płynął w jego wnętrzu jak prąd elektryczny.

Jacob przyjrzał się swoim zdeformowanym dłoniom. Czuł się jakoś inaczej, jakby się postarzał.

– I to mi pomoże... sprowadzić brata z powrotem?

To tylko przedsmak. Za ledwie początek.

Oblizwał wargi. Nagle przypomniał sobie o Coultonie i dręczony wyrzutami sumienia obejrzał się na drzwi, jakby te lada chwila miały się otworzyć. Coulton nigdy by nie zrozumiał.

– Powiedz mi – odezwał się, zniżając głos jeszcze bardziej. – Powiedz, co muszę zrobić.

Kołysząca się lampa skrzypiała mu nad głową, słychać było delikatne chlupotanie wody o kadłub.

Coś dziwnego działo się z powietrzem za plecami kobiety, jakby otwierał się w nim postrzępiony otwór.

Podróż jest długa, a noce krótkie, odmruknęła. Musisz udać się ze mną. Musisz zostawić to wszystko i pójść za mną. Na razie nie jesteś jeszcze silny.

– Ale będę – zapowiedział Jacob. – Stanę się silny.

Niezwykła wyrwa w powietrzu rozszerzyła się na tyle, że mógł przez nią przejść.

Zatem chodź ze mną, zabrzmiała jak szept odpowiedź drughry. Chodź ze mną i zmień świat.

INSTYTUT

1882

Szlachetne dzieła Instytutu Cairndale

Alice Quicke obudziła się w obcym łóżku. Nie wiedziała, czy jest ranek, czy popołudnie. Jej schludnie złożone ubranie i kapelusz leżały na nocnym stoliku. Za oknem kapanie ściekającego z dachów deszczu mieszało się z głosami dzieci.

Przy każdym wdechu czuła ból w lewym boku, gdzie dźgnął ją Jacob Marber, ale kiedy ostrożnie namacała obolałe miejsce, pod palcami nie wyczuła żadnego śladu zranienia. Spróbowała przestać oddychać. Krzywiąc się i mrużąc oczy utkwione w belkach sufitu, usiłowała sobie przypomnieć.

Ogłuszający pęd powietrza. Rozpędzony pociąg oddalający się od potwora. Dym snujący się wstęgami ze wzniesionych pięści Marbera. Marlowe w jej ramionach. I później: oczekiwanie gdzieś na jakimś peronie, jakby w półśnie. Krzątający się dookoła konduktorzy. Olbrzymie, lśniące, prychające parą lokomotywy na torach. A potem inny wagon, w nocy. I stara szkocka kalesza z popękkanymi resorami, cuchnąca cygarami i turkocząca głośno po fatalnych drogach. A potem... to miejsce: ciemnawy, wysoko sklepiony pokój. Skromne wyposażenie. Kamienne posadzki. Wyblakła zielona tapeta w japoński deseń.

Nie wiedziała, gdzie jest.

– Jest pani w Cairndale – poinformowała ją pielęgniarzka, która przyszła zmienić pościel. – I wygląda pani znacznie lepiej niż wcześniej. Jak się pani czuje?

– Cairndale – powtórzyła tępo Alice. – Gdzie Marlowe? Czy nic mu się...

– Świecący chłopiec? Na pewno jest gdzieś w pobliżu. On i jego przyjaciel.

– Długo spałam?

– Niespecjalnie. No, spróbujemy wstać. Pomalutku... Pięknie.

Alice nie mogła się oprzeć wrażeniu, że od czasu ataku w pociągu czas się wydłużył, rozciągnął i uległ dziwnym deformacjom. Wszystkie te wydarzenia zdawały się bardzo odległe. Patrzyła, jak pielęgniarka zwija pościel i upycha ją w koszu stojącym na metalowym wózku, a potem drzwi się za nią zamknęły i skrzypienie kółek oraz odgłos kroków ucichły w oddali.

Wstała z łóżka. Płomień bólu przeszył jej zebra. Zdjęła koszulę nocną i powoli się ubrała. Nie znalazła swojego colta peacemakera. Rozsunęła zasłony. Padało, dzień był pochmurny i mroczny, a mimo to światło poraziło jej oczy i przyprawiło o nieprzyjemne mrowienie skóry. Bok pulsował bólem. Dziesiątki razy była bita, kopana i obijana na wszelkie możliwe sposoby, ale to, co zrobił jej Marber – to, co zrobił z nią jego pył – było inne. Cała czuła się inna.

Okno okazało się zżółkłymi ze starości przeszklonymi drzwiami z mosiężną klamką. Zostały uchylone, żeby pokój choć trochę się przewietrzył. Mimo bólu i oślepiającej jasności Alice wyszła na zadaszony balkon. Znajdowała się na piętrze starej kamiennej rezydencji. W oknach nie paliły się światła, mokry od deszczu dziedziniec tonął w cieniu. Pod jedną ze ścian stała zabawkowa obręcz z kijem, wspomnienie dzieciństwa. Pod okapem troje dzieci w szarych płaszczach bawiło się w jakąś grę – w kulki albo hacele, tak to przynajmniej wyglądało. W pewnym momencie jedno z dzieci – dziewczynka – wyciągnęło trzymaną za plecami fajkę, ukradkiem zaciągnęło się dymem i puściło fajkę w obieg. Na kamiennej ławce przy stróżówce stała zapalona ślepa latarnia. Po drugiej stronie, za bramą, ciągnęła się kręta alejka z czerwonej gliny wśród suchych brunatnych traw, w oddali majaczyły jakieś zabudowania. Budynek stał wysoko nad jeziorem i Alice dostrzegła wyspę, a na niej ruiny i wyrastające z nich ogromne drzewo z parasolowatą koroną złotych liści. Dalej wił się okalający posiadłość wiekowy mur. Było to zimne, samotne miejsce.

„Szkocja, psiakrew. Jesteś w Szkocji, Alice Quicke”, pomyślała.

Nigdzie nie widziała ani śladu Coultona, Charliego ani Marlowe’a, w ogóle nie widziała żadnych oznak życia poza wysokim oknem na piętrze we wschodnim skrzydle gmachu, w którym mignęła jej stara kobieta: zaszuszone dłonie trzymała splecione przed sobą, przerzedzone siwe włosy miała w nieładzie. Po dłuższej chwili kobieta zaciągnęła zasłony.

– Zaczynałam się już obawiać, że będzie pani spała aż do przesilenia letniego.

Alice odwróciła się do drzwi. W progu stała pani Harrogate. Jej twarz o miękkich rysach była mocno poobijana, prawe oko zapuchło, pokryło się fioletem i przybrało odcień ciemniejszy od znamienia. Miała na sobie piękną suknię – spiralne czarne obszycia na piersiach, wąskie mankiety, wysoki haftowany kołnierz zasłaniający szyję – ale i tak w oczy rzucały się bandaże, grubą warstwą spowijający jej głowę i zakrywający lewe ucho, oraz siateczka drobnych zadrapań na twarzy i dłoniach. Alice nie mogła oderwać od nich wzroku.

Pani Harrogate wpełnęła do pokoju. Spojrzenie miała smutne, zrezygnowane.

– Wiem, że zwracam uwagę, panno Quicke, ale proszę się tak na mnie nie gapić. I proszę wracać do łóżka, nie powinna pani jeszcze wstawać.

– Zabrali mi rewolwer.

– Z pewnością zrobili to dla pani bezpieczeństwa. Jak się pani czuje? To dość niezwykły uraz, ale powiedziano mi, że z czasem będzie lepiej.

Alice powoli podniosła dłoń do żeber, przetrawiając te słowa.

– Marlowe jest bezpieczny – ciągnęła pani Harrogate, jakby czytała jej w myślach. Posłałam kogoś, żeby dał mu znać, że się pani obudziła. Jak sama się pani przekona, Marlowe jest tu dość sławny: chłopiec, który uciekł Jacobowi Marberowi... Inne dzieci, a nawet starsi mieszkańcy Instytutu są nim niezwykle zaintrygowani. Chyba nikt się nie spodziewał, że wróci.

Alice się skrzywiła. Wcześniej pielęgniarka nazwała Marlowe'a „świecącym chłopcem”, a ona przypomniawszy sobie tamtą noc w nowojorskim parku, gdy Marlowe uleczył jej kolano i wchłonął jej ból.

– Czy on mnie...?

– Uzdrowił? Tak, w powozie, w drodze do Instytutu. Nie wiem, czy w ogóle by tu pani dotarła, gdyby nie on. – Pani Harrogate spochmurniała. – Doktor Berghast był bardzo zadowolony.

Dziwne to były słowa, zanim jednak Alice zdążyła o nie zapytać, starsza kobieta usiadła obok niej na łóżku i musnęła jej rękę.

– Muszę to pani powiedzieć, panno Quicke. Teraz, kiedy jesteśmy same. Pan Coulton nie żyje.

– Coulton?

– Jacob go zamordował. – Pani Harrogate rozdeła nozdrza. – W pociągu.

– Aha – potaknęła oszołomiona Alice.

– Pan Coulton był bardzo silny, myślał, że nic nie może go zranić. Ja... również tak myślałam.

Alice przypomniła sobie, jak Coulton osłonił ją i dzieci, gdy mrok rozlewał się po wagonie.

– Kiedy go ostatni raz widziałam, wyglądał... inaczej – powiedziała. – Chyba użył swojego talentu, tak przypuszczam. To było w wagonie, rzucił się na Marbera. Dzięki temu my zdążyliśmy uciec.

– To do niego podobne. – Pani Harrogate pokiwała głową i odwróciła się, kryjąc twarz przed wzrokiem Alice. Zaczęła poprawiać bandaż na uchu, żeby zająć czymś ręce. – Musimy wziąć się w garść – podjęła ochryplym głosem. – Pan Coulton nie byłby zachwycony przesadą w okazywaniu uczuć, prawda? No dobrze, widzę, że przywdziała pani strój podróżny. Mam rację?

Alice spojrzała po sobie.

– Ja... Ja nie...

– Jeśli chodzi o mnie, wracam do Londynu, mam tam do załatwienia sprawy niecierpiące zwłoki. W przedziale będzie wolne miejsce. – Pani Harrogate się zamyśliła. – Nie widziała pani jeszcze Cairndale, naturalnie. Chciałaby je pani obejrzeć?

Alice, wciąż wstrząśnięta, bez słowa skinęła głową.

Korytarz na piętrze był długi i szeroki. Szły nim powoli niczym dwie inwalidki. Gdyby ktoś je teraz zobaczył – Alice w nieprzemakalnym płaszczu trzymającą się obiema rękami za żebra i starą panią Harrogate we wdowiej żałobie, z podbitym okiem i zabandażowanym uchem – mógłby się na nie zagapić z niedowierzaniem albo parsknąć śmiechem. Nie spotkały jednak nikogo, zupełnie nikogo, szły więc spokojnie korytarzem, który był wyłożony ciemną boazerią i słabo oświetlony (pałił się tylko co drugi kinkiet), szurając stopami, mijały kolejne zamknięte drzwi, aż doszły do zakrętu i szerokich schodów na dół. Usłyszały głosy uczniów i tupot stóp. Alice nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wnętrze Instytutu jest większe, niż być powinno. I miało zbyt wiele drzwi.

– To dlatego, że Instytut został zbudowany przy orsine – wyjaśniła pani Harrogate, która obserwowała ją kątem zdrowego oka, ciekawa jej reakcji. – Zaimponowała mi pani, mało kto tak szybko zwraca na to uwagę. Wrażenie bywa

silnie dezorientujące. Mieliśmy tu kiedyś kobietę, która z tego powodu była wprost fizycznie chora. – Uniosła brew. – Rezydencja Cairndale jest większa w środku niż na zewnątrz. To przestrzeń progowa. Granica światów. Kraina żywych styka się tutaj z krainą umarłych.

Alice spojrzała na nią z niepokojem, ale się nie odezwała.

Zeszły na kamienne schody. Światło wpadające przez witraż, który przedstawiał żywoty martwych świętych, oblewało ich twarze krwawą czerwienią.

– Orsine, panno Quicke, to ostatnie przejście pomiędzy tymi światami. Dawniej istniały jeszcze inne, ale obecnie Cairndale jest jedynym aktywnym. Naszym zadaniem, zadaniem doktora Berghasta, jest stać na jego straży. Bo widzi pani, orsine musi pozostać zamknięte.

– Dlaczego?

– Żeby nie przeszli przez nie umarli – wyjaśniła bez ogródek pani Harrogate. – A także inne, jeszcze gorsze istoty.

Alice uniosła brew w sceptycznym grymasie. To brzmiało jak jakieś wariactwo.

– W takim razie to chyba dobrze, że jest zamknięte – mruknęła.

– Cairndale zawsze tu było – mówiła dalej pani Harrogate. – Najstarsze zabudowania mają wieki. Są o wiele starsze, niż można by przypuszczać. Dawniej mieścił się tu klasztor, do dziś zresztą zostały z niego ruiny na wyspie na Loch Fae. Widziała je pani? Z balkonu? Bardzo dawno temu zakon odsprzedał te ziemie pierwszemu z talentów, samozwańczemu lordowi, który wybudował tę rezydencję w takim kształcie, w jakim dziś ją oglądamy. Był pierwszy, ale kiedy się dowiedział, że takich jak on jest więcej, postanowił stworzyć dla nich azyl. Proszę: oto jego podobizna.

Przystanąły przed poszarzałym od dymu portretem. Ciemne oczy wзираły z dawno nieżyjącej twarzy.

– Rezydencja została rozbudowana, ma się rozumieć. Z początku mieścił się tu szpital dla ubogich, potem sanatorium dla przewlekle chorych, obecnie jest tu klinika. Przynajmniej takie chcielibyśmy sprawiać wrażenie, bo w rzeczywistości zawsze było to schronienie dla talentów. Większość z nich zdążyła się już zestarzeć. Zobacz pani niektórych, kiedy wyjdą ze swoich pokojów, przynajmniej tych, którzy chcą być widziani. W ostatnich latach działa tu również swojego rodzaju... szkoła.

– Dla dzieci.

– Właśnie. Jest ich tu obecnie dwadzieścioro jedno. Oczywiście niektóre odchodzą po osiągnięciu dorosłości. Wcześniej muszą się nauczyć panować nad swoimi talentami. Ogniskować je. – Pani Harrogate przystanęła. – Pewnie to wszystko wydaje się pani dość dziwne.

Alice przeniosła wzrok w górę, na zwieszające się z kasetonowego sufitu okrągłe żyrandole ze świecami.

– Dziwniejsze od czego? – zapytała.

Pani Harrogate z uśmiechem ruszyła dalej.

– Obecnie przebywa tu niespełna tuzin starszych mieszkańców, nie licząc doktora Berghasta i jego skromnego personelu. Dzieci uczą się w małych grupach pod okiem garstki nauczycieli. Staramy się je... zniechęcać do kontaktów poza obrębem grup. Doktor Berghast uważa, że lepiej nie dopuszczać do wykształcenia się nadmiernej zażyłości.

– Dlaczego?

Pani Harrogate wzruszyła ramionami.

– Doktor nie zwykł się tłumaczyć ze swoich decyzji, a już na pewno nie przede mną.

Zeszły do wspaniale urządzonego holu wejściowego. W kątach pomieszczenia na perskich dywanach stały skórzane fotele, nieskazitelne i puste. W ścianie naprzeciw wejścia znajdował się ogromny kominek, w tej chwili wygaszony. Po obu jego stronach otwarte drzwi prowadziły do tonących w półmroku dalszych pokoi.

– Tam podawane są posiłki, panno Quicke. A tutaj jest palarnia, tylko dla panów. Alice prychnęła lekceważąco.

– Otóż to – zgodziła się z nią pani Harrogate. – Przypuszczam, że skandaliczne odwiedziny w niej na długo stałyby się tematem rozmów wśród starszych mieszkańców. Korytarz po lewej prowadzi do klasy, w której będą się uczyć Charlie i Marlowe. Ich nauczycielką będzie panna Davenshaw, osoba surowa, ale sprawiedliwa. Najczęściej jednak zajęcia odbywają się w innych budynkach ze względu na swój... bardziej praktyczny charakter. Może się pani bez przeszkód poruszać po terenie posiadłości, ale proszę się nie zapuszczać w pobliże tych zabudowań. Tak będzie dla pani lepiej, panno Quicke.

Alice odpowiedziała poirytowanym spojrzeniem.

Jeśli pani Harrogate je zauważyła (a Alice była pewna, że tak, bo nic nie uchodziło jej uwagi), to w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać. Splotła tylko dłonie i z powagą pokiwała głową.

– Na pewno będzie pani miała więcej pytań. Doktor Berghast przyśle po panią, gdy tylko nabierze pani sił.

W tej samej chwili rozległ się pospieszny tupot, wiekowe dębowe drzwi otworzyły się z impetem i do holu wpadła dziewczynka z powiewającym za plecami długim warkoczem. Po piętach deptał jej Charlie, długonogi niczym wielbłąd. Na widok Alice stanął jak wryty i wybałuszył oczy. Przez tę chwilę wydało jej się, że wygląda prawie jak szczęśliwy młody człowiek, którym mógłby być w innym życiu, w innym świecie.

Za Charliem do holu wbiegła jeszcze jedna postać, niższa, drobniejsza, mająca wyraźny kłopot z nadążeniem za tamtą dwójką: koszula wychodząca ze spodni, potargane włosy, drobne ramiona młóćące powietrze.

Marlowe.

– Alice! – zawołał i podbiegł do niej. – Obudziłaś się!

Nogi się pod nią ugięły.

– Bogu niech będą dzięki – wyszeptwała i porwała go w ramiona, spragniona życzliwego ciepła jego małego ciała.

Było późno, kiedy Margaret Harrogate przecięła wilgotny po deszczu dziedziniec Cairndale i przez zwyczajnie wyglądające drzwi weszła do wschodniego skrzydła gmachu. Myślała o Alice Quicke. Głowa i ucho znów dawały jej się we znaki. Przyciskając dłoń do bandaża, jakby w ten sposób mogła powstrzymać ból, szybkim krokiem przemierzała kolejne pokoje. Okna były w nich zasłonięte, sprzęty poprzykrywane białymi pokrowcami. W końcu zastukała dwukrotnie do grubych dębowych drzwi, a gdy z drugiej strony zabrzmiał czyjś głos, uniosła ciężki żelazny pierścień, przekręciła go w bok, otworzyła drzwi i przekroczyła próg.

Powiało kurzem, przyprawami korzennymi i rozkładającą się ziemią. Tylko doktor Berghast lubił przebywać w starym magazynie Instytutu. Na długich metalowych półkach ciągnęły się rzędy słoików z pozółkłymi, wyblakłymi

etykietami, a pod ścianami stały małe drewniane stoły robocze zastawione staroświeckimi odważnikami, pojemnikami i miarkami najróżniejszych rozmiarów.

Stał przy oknie i patrzył na deszcz. Kiedy pani Harrogate go poznała, włosy miał czarne jak skrzydło kruka. Teraz opadały mu na kołnierzyk długie i posiwiałe. Mocne dłonie trzymał złączone za plecami, knykcie miał obrzmiałe i wystające jak sęki w drewnie, ale nadal był barczysty i silny jak dawniej.

– Myślałem o tym stworzeniu, które mi pani wiozła – zaczął, nie odwracając się do niej. – O litchu, który wypadł z pociągu. Czy pani zdaniem jest martwy?

– Nie – odparła zdumiona Margaret. – Coś takiego nie wystarczy, żeby go zabić.

– Czy można go odszukać?

– Nie byłoby to łatwe.

– Nic, co warto zrobić, nie jest łatwe, pani Harrogate. – Odwrócił się i spojrzał na nią. Miał pozbawioną zmarszczek twarz młodego mężczyzny. – Jak się miewa panna Quicke?

– Za wcześnie wyrokować. Poinformowałam ją o śmierci pana Coultona, choć może powinnam była z tym poczekać. Kiedy się spotkacie, zapyta pana o Adrę Norn. Co jej pan powie?

Doktor Berghast przyglądał brodę.

– Prawdę – odparł z namysłem. – Przynajmniej na tyle, na ile sam ją znam. – Oczy zabłysły mu jak szare kamyki. – Alice Quicke nadal ma do odegrania ważną rolę w całej sprawie. Czy pani zdaniem nada się do naszych celów?

Margaret zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Nie jest gotowa – odparła w końcu – ale będzie. Widział się pan z chłopcami?

– Jeszcze nie, wkrótce się z nimi spotkam. – Zmierzył ją badawczym spojrzeniem. – Wie pani, kim jest ten młodszy?

Skinęła głową.

Berghast w zadumie zakręcił młynka kciukami.

– Wrócił do mnie – powiedział z dyskretną nutą zadowolenia w głosie. – Zgodnie z pani zapowiedzią.

Na widok malującej się na jego twarzy mrocznej zachłanności panią Harrogate przeszedł dreszcz.

Młode talenty

Bezpieczny. Charlie Ovid czuł się bezpieczny.

Poczucie bezpieczeństwa było czymś niezwykłym dla chłopca, który najpierw został uprowadzony z ojczyzny przez tajemniczego uzbrojonego Anglika, następnie przewieziony do tonącego we mgle miasta, po czym (w tymże mieście) napadnięty przez najprawdziwszego potwora – a jednak naprawdę czuł się bezpieczny. Długą pierwszą noc w Instytucie przespał w wąskim pokoiku ze skośnym sufitem. Obok na drugim łóżku spał Marlowe. Makabryczne wspomnienia ucieczki z Londynu wyblakły i rozwiały się jak sen. Wszystkie znane mu niebezpieczne światy – duszny areszt w Natchez, spalone słońcem pola bawełny w delcie Missisipi, nawet mroczne ulice nocnego Wapping – wydawały się teraz bardzo odległe.

Bezpieczny. To był prawdziwy cud. Dlatego kiedy tego pierwszego ranka obudziły go ściszone głosy – dziewczęce – nie przestraszył się. Nie zerwał się na nogi, nie zacisnął pięści, po prostu leżał nieruchomy i senny pod kocem i wytężał słuch. Dziewczyny były dwie. Rozmawiały o Marlowie.

– Myślisz, że to prawda z tym świecącym chłopcem? – szepnęła pierwsza. – Że to naprawdę on?

– Tak przypuszczam.

– Ha... A taki jest niepozorny.

– I kto to mówi?

– Cicho, bo cię usłyszy.

– Panna Davenshaw mówi, że znaleźli go w Ameryce, razem z tym drugim. Ciekawe, jak tam dotarł. Podobno Jacob Marber zaatakował ich pociąg. Walczyli

z nim i go pokonali, znaczy, ten chłopiec go pokonał. Znowu.

– Wszystko to wiesz od panny Davenshaw?

– Tak.

– Mnie aż tyle nie powiedziała. Ciekawe dlaczego.

– Naprawdę nie wiesz? Nie żartuj.

Stłumione prychnięcie, jakby śmiech.

– Do licha z nimi, równie dobrze mogliby ich znaleźć w przeklętej Arktyce, to bez znaczenia. Nie wierzę, że stary Jacob im odpuści. – Szelest. Dziewczyna się przybliżyła. – Widzisz, Ko? Obudziłaś go.

Charlie uchylił jedno oko. Pokój pławił się w dziennym świetle. Poruszył szczękami, wciągnął haust powietrza. Język miał dziwnie obrzmiały. Marlowe dalej spał w najlepsze, zaplątany w białą pościel. Sen wygładził jego drobną, ufną twarz.

Charlie podniósł głowę i zobaczył dziewczynę.

Mogła być ze dwa lata starsza od niego. Ubrana w zwykły szary fartuch, przysiadła na skraju wąskiego biurka i zwiesiła nogi. Nie była biała – w Natchez zdarzało mu się widywać Chińczyków zatrudnianych na kolei i ta dziewczyna wyglądała podobnie. Szczupła twarz, szerokie ramiona, długie, czarne, lśniące włosy zaplecione w opadający do pasa warkocz. Nosila czarne rękawiczki z kozłej skóry z odkrytymi palcami. Oczy miała tak samo czarne jak włosy. Nigdy nie widział kogoś takiego.

Zdał sobie sprawę, że się na nią gapi. Zarumienił się i spuścił wzrok.

– Wiedziałam, że nie śpisz – powiedziała. – Zupełnie nie umiesz udawać. Często tak robisz? Udajesz, że śpisz, żeby podsłuchiwać dziewczyny?

– Ale ja wcale... – wymamrotał. – Nigdy bym...

– Jesteś Charlie Ovid – podjęła obojętnie i zmierzyła go wzrokiem. – Myślałam, że będziesz starszy. Ja się nazywam Komako.

Rozejrzał się z niepokojem. Nigdzie nie widział drugiej z dziewcząt.

– Z kim rozmawiałaś?

– Hm? – Komako z niewinną miną skubnęła czubek warkocza.

– Przed chwilą. Słyszałem. Był tu ktoś jeszcze.

– Tutaj?

Charlie zamrugął. Stracił rezon.

W tej samej chwili powietrze przy jego łóżku zadrżało gwałtownie, jakby wpadające przez okno ponure światło zafalowało.

– Bu!– szepnęła mu do ucha druga dziewczyna.

O mało nie spadł z łóżka. Odskoczył, cofnął się pod wezglowie i patrzył w pustkę, w której nikogo nie było. Serce waliło mu jak oszalałe.

– Oj, Charlie, przecież jestem tutaj. A teraz tutaj.

Obracał głowę to w jedną stronę, to w drugą, toczył dzikim wzrokiem, jakby tracił zmysły. Może w pociągu uderzył się w głowę i teraz słyszał głosy?

Ale nie, ten głos był jak najbardziej rzeczywisty.

– Nie zwariowałeś – usłyszał. – Takich jak ja nazywa się niewidzialnymi, nie?

Wyciągnął rękę. Dotknął tylko powietrza.

– Jesteś... duchem?

Komako się skrzywiła.

– Jest talentem, Charlie. Jak my wszyscy.

– Ribs jestem. – Tym razem wesoły głos dobiegał z odległości metra. – A ty nie mów tak głośno. Nie powinniśmy tu przychodzić, to niestosowne, nie? Panna Davenshaw obdarłaby nas ze skóry, gdyby się dowiedziała. Więc to naprawdę jest ten świecący chłopiec? Ten, który stał się z Jacobem Marberem i przeżył, nie?

– Ekhm... – zająknął się Charlie. – No tak...

– Zaczekaj, nie wiesz, kim on jest? Komako, on nie wie!

– Twój mały przyjaciel jest sławny – wyjaśniła Komako. – Wszyscy myśleli, że nie żyje.

– Sławny?

Wzruszyła ramionami.

– No jasne. Świecący chłopiec. Osiem lat temu powstrzymał Jacoba Marbera przed wymordowaniem wszystkich w Cairndale. A wtedy był jeszcze malutki. Tylko że potem zniknął, został uprowadzony...

Charlie obejrzał się na śpiącego Marlowe'a. Sam wciąż był senny i zdezorientowany i trudno mu było zrozumieć paplaninę dziewcząt. Zorientował się, że chyba czekają, aż coś powie.

– Kto to jest panna Davenshed? – zapytał.

– Davenshaw. Nasza guwernantka. Nie taka znowu najgorsza. – Ribs, niewidzialna dziewczyna, zacmokała. – Niedługo ją poznasz. Ale na razie mów, jaki on był? W pociągu, znaczy. Jacob.

– Skąd wiecie o pociągu?

– Jejku, wszyscy wiedzą. O niczym innym się tu nie mówi. A Alfie z klasy pana Smythe'a to nawet przyjmował zakłady. Jechałeś tym pociągiem, prawda? Pokonaliście Jacoba?

Charlie otulił się kocem i usiadł.

– Głównie to Marlowe go pokonał. Marlowe i Alice. Ja niewiele zrobiłem.

– Przynajmniej nie zginąłeś, to już coś. – Komako zeskoczyła na podłogę i podeszła do łóżka Marlowe'a. Długi warkocz kołysał się jej za plecami. – Nieduży jest.

– No.

– Ile ma lat?

– Osiem.

– To by się zgadzało. – Twarz Komako miała dziwny wyraz, jakby złość mieszała się ze smutkiem. – Nie ma tu takich małych dzieci.

Zatrzeszczał materac: to Ribs przysiadła na łóżku Charliego.

– Tak czy inaczej, znów jest jednym z nas – powiedziała. – Ty też. No dobrze – zniżyła głos do teatralnego szeptu – a teraz powiedz, co potrafisz? Jaki masz talent? Nie mów tylko, że trzymasz pod łóżkiem ciałołbrzyma.

– Hm... co?

– On nie wie, co to jest – odparła cierpliwie Komako. – Niedługo poznasz Lymentona, Charlie-Który-Teraz-Jesteś-Jednym-Z-Nas. Jest trochę... obrzydliwy.

– Nie gadaj, Ko. Jest milusi.

– Wcale nie. Nawet Oskar nie uważa, żeby był milusi.

– Ja... potrafię się leczyć – odparł półgłosem Charlie. – Zawsze potrafiłem. Nie można mi zrobić krzywdy, zabić mnie ani nic.

Komako patrzyła na niego badawczo, a on nagle poczuł bolesne szczyknięcie w przedramię.

– Jezu! – zakwilił. – Za co to?

– Mówiłeś, że nie można ci zrobić krzywdy – przypomniała Ribs.

– Zrobić krzywdę można, ale ja się leczę.

– Aha.

– Ribs bywa czasem dosłowna – wyjaśniła Komako. – Dawno nie mieliśmy tu nowego zdrowca.

– A co to w ogóle za imię, Ribs? – Charlie łypnął spode łba.

– Bardzo ładne – zabrzmiał głos Ribs. – Zresztą Charlie to dobre imię dla konia, więc co się dziwisz?

– Naprawdę nazywa się Eleanor Ribbon – odparła Komako, która nagle zaczęła sprawiać wrażenie, jakby świetnie się bawiła. – Ale jeśli spróbujesz tak do niej mówić, nie skończy się na niewinnym uszczypnięciu.

Charlie w dalszym ciągu rozcierał obolałą rękę, kiedy zaskrzypiało drugie łóżko. Marlowe usiadł, przecierając oczy piąstkami. Rozejrzał się z sennym uśmiechem.

– Cześć – powiedział nieśmiało.

Chłopcy się ubierali, a Komako czekała na nich w korytarzu i myślała intensywnie. Nie powinny z Ribs kręcić się pod pokojem chłopców, ale pan Smythe i pozostałe dzieci albo już zeszli na śniadanie, albo nawet zdążyli rozejść się na lekcje. A panna Davenshaw o niczym nie musi wiedzieć.

Prawda była taka, że Komako nie wiedziała, co myśleć. Chłopcy wyglądali całkiem zwyczajnie, jeśli można w ogóle było mówić o zwyczajności w Cairndale, ale widok Marlowe'a wywołał falę wspomnień. Tamta noc, gdy Jacob wrócił – przemieniony, gwałtowny, mroczny jak proch emanujący z jego dłoni... Widziały go wtedy z Ribs, z daleka, po ciemku. Nie zdołały do niego podejść, nie na tyle blisko, by z nim porozmawiać. Niemowlęcia, po które przyszedł, żeby je wykraść lub zamordować, w ogóle nigdy nie widziały, zdarzało im się co najwyżej słyszeć, jak płacze, gdy okno jego pokoju było w nocy uchylone. Później – rankiem następnego dnia – Komako zobaczyła połamaną kołyskę i wybite okno. Od tamtej pory stale miała do siebie pretensje: może gdyby udało jej się porozmawiać z Jacobem, zdołałaby go powstrzymać.

Z takimi właśnie myślami zmagala się, czekając na chłopców. Czowała na sobie spojrzenie Ribs, która próbowała z jej twarzy wyczytać, co ją dręczy.

– Powinniśmy zabrać ich do panny Davenshaw – odezwała się półgłosem Komako. – Skoro już nie śpią, będzie na nich czekać.

– Ale – zabrzmiał odcieleśniony chytry głos Ribs – moglibyśmy pójść okreźną drogą. Zaprowadzić ich w pewne miejsce. Wyciągnąć z nich ich tajemnice, nie?

– Nie, Ribs, nie zabierzemy ich do Pajaka – odparowała zniecierpliwiona Komako. – Mowy nie ma.

– Jezioro jest takie piękne o tej porze, mogłoby być miło...

– Nie.

Pajakiem nazywały istotę śpiącą w ruinach klasztoru. Glifina. Mówiło się, że nigdy się nie budzi, nie tak do końca, i że jest tak prastary, że wrósł w korzenie wyrastającego z ruin wiązu górskiego. Podobno wystarczyło musnąć jego skórę, żeby ujrzeć prawdę. W swoich snach Pajak znajdował zaginione dzieci, ale – co o wiele ważniejsze – pilnował, żeby orsine pozostało szczelnie zamknięte i umarli nie wydostali się na świat wraz z wszelkim innym złem. Gdyby coś mu się stało, orsine zostałyby rozdarte, otwarte na oścież i umarli przeszliby przez nie bez przeszkód. Nikt nie umiał powiedzieć, co by to w praktyce oznaczało, ale zarazem nikt nie miał wątpliwości, że sytuacja zrobiłaby się paskudna. Obecność Pajaka chroniła mury Cairndale przed takimi istotami jak Jacob i drughr. Dlatego nie wolno było mu przeszkadzać.

Co Ribs, rzecz jasna, dawno już dążyła zrobić – wścibska, ciekawska, niewidzialna Ribs. Nikt inny się nie odważył. Komako nie miała pojęcia, jak często Ribs nachodzi Pajaka, ale ta zarzekała się, że nigdy, przenigdy nie dotyka jego skóry.

Ribs – wciąż niewidzialna – z głuchym odgłosem oparła się o ścianę i z trzaskiem wyłamała sobie palce, jeden po drugim.

– Przystojniaczek z tego Charliego. Znaczy, na ile wystraszony królik może być przystojny.

– Nie bądź ordynarna.

– Ale zgadzasz się ze mną. Widziałam.

– Nie ufam mu i ty też nie powinnaś.

– Ty nikomu nie ufasz. Przez całe życie miałam do czynienia ze złymi ludźmi, Ko. On taki nie jest. – Ribs pociągnęła nosem i dodała figlarnie: – A zaufanie wcale

nie jest takie trudne, wiesz? Wystarczyłoby jedno dotknięcie Pająka i dowiedzieliśmy się takich rzeczy...

W tej właśnie chwili chłopcy wyszli z pokoju, nadal rozczochrani i senni, ale ubrani w koszule z kołnierzykiem i szare kamizelki, jakie dostawali wszyscy uczniowie w Cairndale. U Marlowe'a przydługie rękawy koszuli powiewały swobodnie, u wysokiego i tykowanego Charliego były z kolei przykrótkie i odsłaniały kościste nadgarstki. Jedną ręką Charlie podciągał opadające spodnie. Kiedy Komako uniosła brew na ten widok, zmieszał się i zagapił na czubki swoich butów.

Spojrzała na niego spod oka, żeby się nie uśmiechnąć. Jakże łatwo było go wprowadzić w zakłopotanie... Miedzianej barwy skóra na jego twarzy i szyi była tak idealnie gładka i pozbawiona skaz, że zdawała się niemal lśnić.

– Chcę zobaczyć Alice – oświadczył ten mniejszy, Marlowe. – Możemy jej poszukać? Proszę.

– Jeszcze się nie obudziła – odpowiedział mu głos Ribs. – Zresztą i tak najpierw powinniście się spotkać ze starą Davenshaw.

Komako zauważyła, że Marlowe zerknął z niepokojem na Charliego. Obaj milczeli. Rozumiała ostrożność, rozumiała strach. Przebywała w Szkocji już od dziewięciu lat i nadal odczuwała jedno i drugie, mimo że Tokio, stary teatr, jej najdroższa Teshi – wszystko to wyblakło, spłowiło w odcieniu sepii jak stary dagerotyp. Owszem, wciąż zdarzało jej się budzić z obolałym gardłem, kiedy sen, w którym ścisnęła drobną rączkę siostry, wciąż był żywy, namacalny, ciepły, a ból, gdy to wszystko zniknęło, osuwało się poza krawędzie jamy, był niemal nie do zniesienia. W takie poranki chciało jej się płakać. Ktoś tak mały i dobry nie powinien zostać wyrwany ze świata, nie w taki sposób.

Ogólnie jednak przywykła już do życia w Cairndale. Bez trudu doszlifowała swój angielski, zaprzyjaźniła się z Ribs i Oskarem. Pogodziła się z tym, że pogoda jest tu zazwyczaj smętna i zimna, jedzenie ciężkostrawne i kwaśne, a ubrania sztywne i niepraktyczne. Dłonie nadal miała zaczerwienione i spierzchnięte, ale pamiętała, że Cairndale nie jest całym światem. Dorastała w innym miejscu, okrutnym i przykrym, i cieszyła się, że znalazła takie schronienie.

Charlie i Marlowe również z czasem nauczą się tak myśleć.

Minęli pokoje innych chłopców – drzwi otwarte na oścież, łóżka schludnie posłane, każdy drobiazg na swoim miejscu. Popatrywała na Charliego i Marlowe’a, kiedy szli korytarzem, potem na dół wąskimi schodami dla służby i dalej do sali lekcyjnej na spotkanie z panną Davenshaw. Dziwnie się czuła z myślą, że ci dwaj stawili czoło Jacobowi, widzieli go z bliska, nawet z nim walczyli. Ona sama nie widziała go od lat, chociaż zdarzało jej się go czasem wspominać. Pamiętała go głównie z tamtych pierwszych dni w Tokio i późniejszego rejsu: cichy smutek w jego oczach, jego dobroć, spokojne wspólne milczenie, kiedy razem stali przy relingu i patrzyli, jak słońce zanurza się w morzu. Nauczył ją władać talentem, pokazał, jak przyciągać kurz w taki sposób, by mniej ranił i mniej boleśnie ziębił przeguby dłoni. Wiedziała, że Jacob stara się w ten sposób odwrócić jej uwagę od straty siostry, już wówczas zdawała sobie z tego sprawę i była mu za to wdzięczna. Ale nawet wtedy, podczas pierwszego etapu ich podróży prowadzącego wzdłuż wybrzeży Chin, dostrzegała, jak bardzo Jacob wycofuje się w głąb siebie. Jak mało sypia. Była pewna, że pan Coulton też to widział. A potem zaczęło się jej nowe życie w Cairndale: lekcje z panną Davenshaw, arytmetyka, literatura, nauka pisania, geografia. Przyjaźń z Ribs. Poznawanie historii orsine i natury talentów. Zajęcia praktyczne z władania pyłem i kurzem.

Wszystko było dobrze aż do tamtej okropnej nocy, kiedy Jacob wrócił. Zabił te biedne dzieci nad rzeką, a później jak opętany rzucił się na niemowlę, które cudem przeżyło, podrosło i stało się chłopcem, sławnym świecącym chłopcem, i dzisiaj znów było tutaj, wśród nich.

Wyjrzała przez okno. Padał deszcz. Byli już całkiem blisko sali lekcyjnej, kiedy Charlie dogonił ją i zapytał o jej talent.

– Nie powiedziałaś, co ty potrafisz – zauważył. – Jaki masz talent?

Otaksowała go wzrokiem. Zdążyła już położyć na klamce obleczonej w rękawiczkę dłoń, ale wtedy coś w niej, jakaś uparta część jej natury, ta sama, która wszystkich odpychała i o której Ribs zawsze mówiła, że nie powinna się jej poddawać, ta właśnie nieszczęśliwa część spojrzała Charliemu prosto w oczy, dostrzegła w nich absolutną szczerłość i uciekła przed nią.

– Pamiętasz tego stwora, który zaatakował was w pociągu? – spytała. – Jacoba Marbera?

Charlie skinął głową.

– Jestem taka sama jak on – wyznała bez ogródek Komako.

Nie czekała na efekt swoich słów. Nie musiała. Wiedziała, że reakcją będzie zniesmaczenie, odraza, coś w tym rodzaju. Dlatego tylko gniewnym gestem otworzyła drzwi i weszła za próg.

Charlie nie zareagował bynajmniej zniesmaczeniem, odrazą ani niczym w tym rodzaju. Słyszając ból w słowach Komako, wiedział, z czego wynika – ze wstydu, takiego samego wstydu, jakiego sam doświadczał przez całe życie. Nagle źle się poczuł z tym, że zapytał.

Sala mogła dawniej mieścić bibliotekę: dobrze oświetlona, z całą przeszkloną ścianą naprzeciwko wejścia i tapicerowanymi skórą sofami po bokach. Marlowe wziął Charliego za rękę i weszli pomiędzy biurka. Po obu stronach ciągnęły się regały z książkami, po lewej dodatkowo wznosiła się antresola.

Na końcu pomieszczenia na tle okien rysowała się kobieca postać, wysoka, prosta, surowa jak suwak logarytmiczny. Miała na sobie spódnicę do ziemi i białą bluzkę, która uwypuklała kośćistość jej sylwetki. Stała przy biurku, nieco z boku. Panna Davenshaw.

Kiedy się do nich odwróciła, Charlie zobaczył czarną przepaskę na jej oczach. Była niewidoma.

– Pan Ovid. I młody pan Marlowe. Jesteśmy niezwykle zadowoleni, że możemy was gościć w Cairndale. Jak mi nie mam, panna Onoe oprowadziła już panów po rezydencji?

Zmieszany Charlie zerknął na Komako.

– No tak jakby...

– Rozumiem. – Kobieta odwróciła się twarzą do ściany, nasłuchując. – Niegrzecznie jest podsłuchiwać, panno Ribbon – zabrzmiał jej ostry głos.

– Nie podsłuchiwałam – zaprotestowała Ribs. – Przysięgam.

– Nie należy również czaić się i czyhać, a już z całą pewnością nie na golasa. – Panna Davenshaw płynnym krokiem podeszła do szafki pod oknem i namacała szufladę. Wyjęła z niej złożony fartuch. – Proszę do nas dołączyć, gdy tylko stosownie się pani odzieje, dobrze?

– Tak, panno Davenshaw – odparła potulnie Ribs.

Charlie patrzył z niedowierzaniem, jak fartuch unosi się w powietrze, odpływa i znika za stojącą nieopodal tablicą. Chwilę później Ribs wyszła zza niej – widzialna, obłana rumieńcem, z odrzuconymi z twarzy rudymi włosami. Była niższa od Komako, miała piegi, miękkie wargi i bardzo zielone oczy. Charlie nie mógł oderwać od niej wzroku. Marlowe również.

– No co? – Zmrużyła oczy. – Nie wyrosła mi chyba druga głowa?

Charlie z wysiłkiem przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

– Jesteś... śliczna – wyszeptał Marlowe.

Komako prychnęła.

Panna Davenshaw znów stanęła przy biurku.

– Panie Ovid. – Skinęła palcem. – Proszę podejść.

Charlie zerknął niepewnie na Komako. Stojąca obok niej Ribs szczyrzyła zęby w uśmiechu i kiwała zachęcająco głową. Podszedł do panny Davenshaw, która wyciągnęła rękę i z niezwykłą delikatnością powiodła czubkami palców po jego twarzy, musnęła nasadę nosa i zagłębienia oczodołów, prześliznęła się po wargach. Jej dotyk był chłodny, miękki, cudowny.

– Teraz cię widzę – mruknęła. Jej głos miał w sobie coś z błogosławieństwa.

Kiedy tak samo postąpiła z Marlowe'em, ten ją zagadnął:

– Panno Davenshaw? Czy Alice nic się nie stało? Chcę ją zobaczyć.

Jej palce przesunęły się po linii jego szczęki ku górze, do muszelkowatych uszu.

– Panna Quicke odpoczywa, moje dziecko. Później będziesz mógł ją odwiedzić. Ale słyszałam, że szybko wraca do pełni sił i że dzieje się tak dzięki tobie. Taaak, ty również wyrosłeś na pięknego młodego człowieka. Zastanawiałam się przez te lata, jak będziesz wyglądał. Cieszę się, że nie stałeś się potworem. Możesz usiąść.

– To był żart – szepnęła Ribs do Charliego. – Czasami bywa niesamowicie zabawna.

Ale Charlie wciąż obracał w głowie słowa niewidomej kobiety odnoszące się do Alice i Marlowe'a. Nie rozumiał ich.

– Dzięki tobie? – powtórzył szeptem, gdy obaj usiedli. – O czym ona mówi?

– Pomogłem – odparł Marlowe. – W powozie, kiedy tu jechaliśmy. Alice była chora, a ja jej pomogłem.

– Z pewnością macie mnóstwo pytań – odezwała się ponownie panna Davenshaw. – Pozwólcie, że was uspokoję. Panno Ribbon, jaki jest cel istnienia Instytutu Cairndale? Zechce pani oświecić naszych gości.

– Ekhm... To nasz... dom?

– Dom nie jest celem, panno Ribbon. Panno Onoe?

– To bastion dla obrony przed umarłymi.

– W rzeczy samej. Przed umarłymi i przed drughrem. Doglądamy przejścia pomiędzy światami i pilnujemy, by pozostało zamknięte. A jaki jest cel Instytutu w waszym życiu?

– Ma nas przygotować – odparła Komako. – Wyposażyć w niezbędne umiejętności, abyśmy mogli bezpiecznie żyć.

– W umiejętności i wiedzę. Mamy tu dwudziestu jeden uczniów. Nie wątpię, że ostatecznie poznacie ich wszystkich, ale większość czasu będziecie spędzać w swoim gronie. W tym celu nasze dni zostały podzielone na poranne zajęcia lekcyjne, podczas których kształcicie się z teorii, oraz wieczorne ćwiczenia praktyczne, gdy doskonalicie i wzmacnacie swoje talenty. Od lat nie mieliśmy wśród nas zdrowca, panie Ovid. Jest nam bardzo miło, że pan do nas dołączył.

– Dziękuję pani.

– Pan zaś, panie Marlowe, powinien pamiętać, że będąc znanym, warto pozostać nieznanym.

Zdezorientowany Marlowe spojrzał na pannę Davenshaw wielkimi oczami.

– Dobrze, proszę pani.

– W porządku. – Twarz guwernantki była nieprzenikniona. – Na początek kilka zasad. Kiedy do was mówię, słuchacie. Mam nadzieję, że nie będę musiała się powtarzać. Lekcje zaczynają się codziennie rano o godzinie pół do dziewiątej. Nie będę tolerowała spóźniałstwa. Nie wolno przestawiać mebli i sprzętów w klasie, postawienie mi krzesła na drodze nie spotka się z życzliwym przyjęciem. Posiłki wydawane są w jadalni, obecność obowiązkowa. Pod żadnym pozorem nie wolno wam opuszczać terenu Instytutu bez opieki kogoś z personelu. Nie chcielibyśmy, aby obdarzone niezwykłymi talentami dzieci błąkały się po okolicy i straszły miejscowych. Nasze bezpieczeństwo w Cairndale zależy od naszej dyskrecji. Dalej. Obowiązuje zakaz wstępu do pokoi starszych mieszkańców Instytutu, a także do wschodniego skrzydła gmachu, gdzie pracuje doktor Berghast. Nie chcę

słyszeć, że gdzieś tam węszyliście. Nie interesujcie się innymi dziećmi ani ich nauczycielami, wasza klasa jest tutaj. I rzecz najważniejsza: bezwzględny zakaz wstępu na wyspę glifina. Nie wolno mu przeszkadzać. Czy wyrażam się jasno?

Marlowe podniósł rękę.

– Ona cię nie widzi – szepnął Charlie. – Musisz się odezwać, Mar.

– Panno Davenshaw? – zagadnął Marlowe. – Co to jest glifin? Czy to wielkie żółte drzewo?

Panna Davenshaw zacmokała z dezaprobatą i przekrzywiła głowę, jakby w ten sposób mogła ich lepiej widzieć.

– Myślałam, że panna Onoe powiedziała wam już wszystko o naszym glifinie, kiedy rano poszła was obudzić. Nie? Naprawdę nie wspomniała o Pająku?

Komako skubnęła koniuszek warkocza i oblała się rumieńcem.

– Od glifina, moje dziecko, zależy los nas wszystkich. Dzięki niemu jesteśmy bezpieczni. Żyje pod korzeniami drzewa, w podziemiach ruin starego klasztoru na wyspie. Ujarzmia moc orsine i pilnuje, by pozostało zamknięte. Gdyby coś się stało glifinowi, orsine zostanie rozdarte. To cienka membrana, po jej drugiej stronie rozciąga się inny świat. Świat ducha.

– Mogłaby im pani przynajmniej powiedzieć, jak wygląda – wypaliła Ribs.

Panna Davenshaw zmarszczyła brwi.

– Przejawia pani niezdrowe zainteresowaniem naszym glifinem, panno Ribbon. Podobnie jak wszystkim, co zakazane.

– Wcale nie.

Guwernantka uniosła brwi.

– Znaczy... nie tylko – wymamrotała Ribs.

– Jestem pewna, że panna Ribbon uraczy was najbardziej fantastycznymi opowieściami w kwestii natury i wyglądu naszego glifina. Słuchajcie ich na własne ryzyko. Nie sądzę, by ten temat już teraz was zainteresował, wrócimy do niego, kiedy już się u nas zdomowicie.

Panna Davenshaw srodze się jednak myliła, twierdząc, że Charliego nie zainteresują mroczniejsze aspekty funkcjonowania Instytutu, niezwykła istota nazywana przez dzieci Pająkiem czy tajemnicze orsine. Przeciwnie, w ciągu następnych tygodni posiadał znaczną wiedzę na te wszystkie tematy, w przyszłości

zaś miał się dowiedzieć o orsine i niebezpieczeństwach drzemiących po jego drugiej stronie niemal najwięcej ze wszystkich talentów na świecie.

Na razie jednak wszystko to miało pozostać owiane nimbem tajemnicy, bo nagle w drzwiach stanął pulchny chłopiec, mniej więcej w wieku Charliego albo nieco młodszy, o bladych wargach, jasnobłękitnych oczach i włosach tak jasnych, że niemal białych. Wyglądał jak obtoczony w mące.

– Tak, Oskarze? – Panna Davenshaw zwróciła się w jego kierunku. – O co chodzi?

Chłopiec wparował do sali. Dyszał i przez cały czas nerwowo nawijał i odwijał zaplątany wokół palca kawałek sznurka. Dopiero wtedy Charlie dostrzegł przepychającą się za nim drugą postać, wielgachną i bezkształtną. Można by ją wziąć za cień chłopca, gdyby nie była materialna i lita – chociaż zarazem niezbyt twarda, bo zdawała się mieć konsystencję galarety: przy każdym ruchu cała się trzęsła. Ciało miała pożyłkowane i wilgotne jak surowe mięso. Obracała pozbawioną twarzy głowę to w jedną stronę, to w drugą, jakby próbowała zobaczyć to samo, co widzi Oskar. Nie miała jednak oczu, którymi mogłaby patrzeć, nie miała również uszu, ust ani nosa. Wokół niej krążyły muchy. Zapach nieświeżego mięsa rozszedł się w powietrzu i trwał.

Siedzący obok Charliego Marlowe wstrzymał oddech, sam Charlie nie miał jednak czasu dziwić się niezwykłej istocie – jak ją nazwała Ribs... ciałolbrzym? – bo Oskar przyniósł wiadomość.

Alice w końcu się obudziła.

Szklany dom

Marlowe i Charlie, Charlie i Marlowe.

W tej chwili byli dla niej wszystkim.

Kłęcząca w ogromnym holu rezydencji, jakby gotowa na przyjęcie jakiegoś sakramentu. Chłopcy podeszli do niej, a wtedy wzięła ich w ramiona i przycisnęła do serca.

Mogłaby ich tak trzymać w nieskończoność, lecz mieli sobie wiele do powiedzenia i gdy pani Harrogate poszła, chłopcy – ubrani w identyczne białe koszule, szare kamizelki i szare spodnie, proste i niedopasowane – ostrożnie, z dbałością odprowadzili Alice do jej pokoju. Złościła ją nieporadna troskliwość tego gestu, ale zarazem była im za nią wdzięczna. Nie chciała się widzieć z dziewczyną, która pierwsza do niej przybiegła, nie miała również ochoty na spotkania z innymi młodymi talentami – niewidzialną dziewczyną czy chłopakiem z ciałolbrzymem. Zamiast tego razem z Marlowe’em i Charliem powspominali i opłakali Coultona. Marlowe uparcie odmawiał rozmowy o Brynt. Tej pierwszej nocy po wschodzie księżyca wyszli we troje na trawnik przed budynkiem, wzięli się za ręce i odmówili modlitwę za swoich zmarłych.

Nie wszystko było takie smutne. Labiryntowe wnętrza Cairndale, szmer głosów, starsi ludzie znikający za zakrętem korytarza – wszystko to nadawało ich pierwszym dniom w Instytucie cudownie upiorny charakter, jakby nieoczekiwanie znaleźli się w bajce dla dzieci. Przychodzili na kamienistą plażę nad jeziorem i patrzyli na wyspę, zrujnowany klasztor i złote drzewo wyrastające spośród kamiennych żeber. Alice tymczasem dużo spała i wracała do zdrowia.

Kiedy trzeciego dnia rano wstawała od śniadania, poinformowano ją, że doktor Berghast chce ją widzieć.

Służąca poprowadziła ją korytarzem na tyłach gmachu na zewnątrz, do kopulastej oranżerii o żelaznej konstrukcji. Tysiące zaparowanych od środka szybek było matowych. Z jednej strony budynek przylegał do ściany powozowni i w połączeniu z rozpościerającym się od południa dziedzińcem wykładanym płytami piaskowca bardziej niż oranżerię przypominał kruchy statek uwięziony na lądzie. Po drugiej stronie trawnika znajdowały się stajnie, a daleko za nimi Alice dostrzegła mur okalający posiadłość.

Pierwszym, co zwróciło jej uwagę, był ubiór pani Harrogate: płaszcz w kratę, dobrany do niego kapelusz i trzymany w obu rękach podróżny kuferek. Pani Harrogate wracała do Londynu. Dopiero po chwili Alice zauważyła stojącego w głębi jednej z alejek krzepkiego mężczyznę z siwą brodą, w skórzanym fartuchu z kieszeniami, przez który z początku wzięła go za ogrodnika. Na jego ramieniu siedział ptaszek o biało-szarym upierzeniu. Mężczyzna pochylał się nad metalowym wózkiem, zajęty sadzeniem czegoś w doniczce. Pod fartuchem miał czarny garnitur z wysokim, nakrochmalonym kołnierzem, zbyt elegancki do takiej pracy.

– Pomarańcze, panno Quicke! – zawołał i grzebiąc w ziemi, skinieniem głowy wskazał najbliższe Alice drzewka. – Mamy również truskawki w styczniu. Największym problemem jest ogrzewanie. Słyszałem, że konstruuje się już bojłery, które mogą pracować całą noc bez przerwy. To znacznie wydajniejsze od instalacji parowej.

Mężczyzna podniósł wzrok na Alice. Oczy miał zdumiewająco jasnoszare, jakby rozświetlone od środka.

Alice, niepewna, jak się zachować, spojrzała pytająco na panią Harrogate, ale doktor Berghast – bo to on był ogrodnikiem – przywołał ją gestem. Jego nadgarstek i bark zatrzeszczały przy tym cicho.

– Kiedyś Heraklita odwiedził pewien gość. Przybył prosić o radę i zakłopotany odszukał gospodarza grzejącego się w kuchni. Trzeba pani wiedzieć, że w starożytnej Grecji kuchnię postrzegano jako pomieszczenie nieczyste. Ale Heraklit zawołał tylko: „Wejdz, proszę, wejdz, nie lękaj się! Bogowie są także tutaj”.

W tym momencie siedzący mu na ramieniu ptaszek zaklekotał dziwnie i Alice z niepokojem stwierdziła, że jest zrobiony z kości. Żelazna klamra niczym zbroja obejmowała jego delikatny kręgosłup. Smukłe pióra kontrastowały z metalowym pancerzem.

– A tak, nazywam go kościanym ptakiem – powiedział doktor Berghast, widząc jej spojrzenie. – Niezwykły twór, nie sądzi pani?

Alice tylko pokiwała głową, niezdolna oderwać wzroku od ptaka.

– Dawno temu kościana wiedźma zrobiła ich trochę dla nas. Służą nam jako posłańcy, są skuteczniejsze i bardziej godne zaufania niż poczta. – Zerknął z ukosa na stwora na swoim ramieniu, który ponownie zaklekotał i mocniej zacisnął łapki.

– Ich twórczyni niestety zmarła, ale jej cudowne dzieła trwają. Mają dziś dziewięćdziesiąt sześć lat, pochodzą sprzed rewolucji francuskiej.

Puste oczodoły ptaka zdawały się świdrować Alice. Z trudem powstrzymała się od wzdrygnięcia.

– Pani Harrogate powiedziała mi, że życzy pani sobie usłyszeć o Adrze Norn. Powinna pani wiedzieć, że dawno nie miałem z nią kontaktu, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Jesteśmy rówieśnikami, czyli jest naprawdę bardzo, bardzo stara. Powiem pani jednak tyle, ile mogę.

– Jak się poznaliście?

– Grono naukowców dzielających moje... zainteresowania, panno Quicke, nie jest zbyt liczne. Wszyscy się znamy. Przez lata korespondowaliśmy z Adrą, dzieliliśmy się naszymi teoriami i wynikami badań. Nie dyskutowaliśmy o sprawach osobistych. Nie widziałem jej od wielu, wielu lat, ostatni raz spotkaliśmy się w Marsylii na zjeździe naukowców zainteresowanych przenikaniem się nauki i religii. Moje podejście było, naturalnie, skażone przywiązaniem do nauki, Adra stanęła po drugiej stronie barykady, ale i tak wiele nas łączyło. Na przykład oboje wierzyliśmy w istnienie świata niewidzialnego.

– A co to takiego?

– To nie jest konkretny obiekt, panno Quicke, tylko przyjęcie do wiadomości, że nie widzimy wszystkiego, co istnieje. – Doktor Berghast wygrzebał dołek w wypełniającej doniczkę czarnej ziemi i kciukiem wcisnął weń nasiono jak rodzynek w ciasto. – Adra twierdziła, że do osiągnięcia świętości niezbędne jest

oddzielenie się od zepsutego świata materialnego. Wierzyła, że obdarzona prawdziwą łaską będzie mogła czynić cuda.

– Na przykład wyjść żywa z pożaru.

Berghast kiwnął głową.

– Rozumie pani, że z naukowego punktu widzenia nie było to szczególnie rozsądne domniemanie.

– Sama widziałam tu już trochę nienaukowych zjawisk – odparła Alice, wskazując kościanego ptaka.

– Ale nie cudów, panno Quicke. Nie cudów. Cuda są w swojej istocie potworne, sprzeczne z prawami tego świata. Talenty zaś są czymś całkowicie naturalnym. Marlowe i Charlie są takimi samym dowodami na działanie Boga jak pani albo ja.

– Niektórym to wystarczy.

– Niektórym tak.

Alice przyglądała się niepobrużdżonej zmarszczkami twarzy Berghasta. Mimo siwych włosów wyglądał na jakieś czterdzieści lat – wiedziała jednak, że jest znacznie starszy.

– Twierdzi pan zatem, że Adra nie ocalała z tamtego pożaru?

– Mnie wydaje się to nieprawdopodobne. A pani?

– Ja przy tym byłam. Widziałam to.

– Była pani dzieckiem, wie pani to, co się jej wydaje, że widziała. – Miał długie, ciemne, piękne rzęsy. – Adra była inna niż mieszkańcy Instytutu. Nigdy nie należała do naszego świata. Zdaje sobie pani sprawę, że Bent Knee Hollow nie była jedyną założoną przez nią wspólnotą?

Berghast zmierzył Alice badawczym wzrokiem. Przemawiał bardzo łagodnym głosem, ale w tej chwili wyraźnie poczuła przyprawiającą o zawrót głowy moc jego uwagi i koncentracji.

– Adra gromadziła wokół siebie ludzi, którzy w jej przekonaniu byli najbardziej... podatni – mówił dalej. – Takich jak pani matka. Zaskoczyłem panią? Oczywiście, że o pani słyszałem. Czy nie dlatego pani Harrogate uznała, że będzie pani odpowiednią kandydatką?

Alice nie była jednak zaskoczona. Domyślała się, że doktor Berghast wie wszystko na jej temat. Prawdę mówiąc, byłaby zdziwiona, gdyby czegoś nie

wiedział.

– Musi pani zrozumieć, że Adra oczekiwała od swoich uczniów czegoś wyjątkowego, szczególnego rodzaju wiary – podjął. – Interesowało ją, w czym tkwi istota rzeczy: w przyczynie czy w skutku? Czy cud jest cudem dlatego, że nastąpił, czy dlatego, że wierzymy, iż nastąpił?

– Chce pan powiedzieć, że wspólnota w Hollow była czymś w rodzaju eksperymentu?

– Panno Quicke, nawet najświętsi spośród nas płoną w zetknięciu z ogniem.

– Tam zginęli ludzie.

Berghast bez słowa pokiwał głową.

Alice zdławiła ogarniającą ją złość. Rozumiała już swoją nadzieję, że Adra Norn okaże się talentem, że w tym, co widziały z matką tamtej nocy, kiedy Adra przeszła przez ogień, tkwi jakieś ziarno prawdy, że jakiś okrucieństwo tłumaczy to, co zrobiła jej matka. Niczego takiego nie znalazła.

– Moja matka wierzyła – odparła półgłosem. – Tak bardzo, że postradała przez to zmysły. Wierzyła we wszystko, co mówiła Adra. A Adra zwykła była mówić, że „silna wiara wszystko zmienia”.

– Nie możemy zmienić tego, kim jesteśmy. Jedynie to, co robimy.

– Jak tego dokonała? Co takiego zrobiła, że wyglądało, jakby wyszła żywa z pożogi?

Doktor Berghast rozłożył ręce. Dłonie miał ubrudzone ziemią. Zatrzeszczały skrzydełka kościanego ptaka.

– Tego nie wiem – przyznał – ale przypuszczam, że była to jakaś jarmarczna sztuczka. Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło. Zawsze uważałem, że wiarę niewiele dzieli od szaleństwa. Ostrzegałem Adrę, ale była uparta i zdeterminowana, żeby bawić się w niebezpieczne gry.

– Czy w swoich listach wspominała kiedykolwiek o mojej matce?

Doktor Berghast nie odpowiedział od razu. Zmierzył Alice badawczym spojrzeniem. Twarz miał spokojną, nieprzeniknioną: albo sięgał do wspomnień, albo po prostu zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie – odparł w końcu. – Nigdy.

Ogarnięta palącym rozczarowaniem Alice zaczęła się odwracać do wyjścia.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, doktorze. I za szczerość.

Berghast wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

– Ja zaś dziękuję za wszystko, co zrobiła pani dla młodego Marlowe’a i Charliego. Pani Harrogate twierdzi, że gdyby nie pani, nie przeżyliby podróży na północ.

– Przeżyli dzięki Coultonowi. To jemu powinien pan dziękować. A także opiekunce Marlowe’a, Brynt. Walczyła z tą bestią zębami i pazurami.

– A tak, kobieta z tatuażami... Słyszałem o niej.

– To okropne – wtrąciła cicho pani Harrogate. – Taka przykra śmierć... Ale na tym się nie skończy, panno Quicke. Zło wydostało się na świat, zło nadzwyczaj żarłoczne.

Alice, która niemal zapomniała o jej obecności, odwróciła się w stronę kobiety.

– Ma pani na myśli Jacoba Marbera.

– Mam na myśli drughra.

– Jacob jest tylko... jego narzędziem – uzupełnił doktor Berghast.

Sięgnął do ramienia, wziął kościanego ptaka w dwa palce i przeniósł go na pobliski drążek. Ptak przesunął się nieco w bok, a kiedy przekrzywił łebek, kruche kosteczki stuknęły cicho o siebie.

– Mam z tego powodu wyrzuty sumienia – ciągnął Berghast. – Widzi pani, to ja odkryłem go w Wiedniu. To ja dostrzegłem jego talent. Ale kiedy go znalazłem, nie był już dzieckiem, jego przemiana już się rozpoczęła, tylko że wtedy tego nie widziałem. Osobiście go uczyłem, a gdy osiągnął wiek męski, posłałem na poszukiwanie nieodkrytych talentów. Dziewięć lat temu na wyspach japońskich znalazł jedno takie szczególne dziecko, pyłowładczynię taką jak on. W drodze powrotnej przepadł bez śladu. Jego towarzysz, a pani znajomy, pan Coulton, mówił później, że to była dla nich trudna ekspedycja. Młodsza siostra tamtej dziewczynki zmarła. – Doktor Berghast powoli, ociężale otrzepał rękę z rąk. – Wtedy oczywiście jeszcze nie wiedzieliśmy, że Jacob dał się zwieść drughrowi. Rok później niedaleko stąd zabity został talent, kobieta, młoda matka. Mordercą był Jacob. Zabrał nowo narodzone dziecko wprost z jej ramion, żeby oddać je drughrowi, który chciał się nim pożywić. Udało mi się go powstrzymać. Matki nie zdążyłem uratować, zdołałem jednak ocalić dziecko. Chociaż tyle.

– Marlowe... – wyszeptała Alice.

– Tak, mówię o chłopcu, którego zna pani jako Marlowe’a. Stałem się jego opiekunem i ojcem. Jacob jednak był nienasycony. Wytropił dwoje dzieci zmierzających do naszego Instytutu, przechwycił je i zabrał nad Lye, by tam poderżnąć im gardła i oddać je drughrowi. W zamian drughr, nabrawszy sił, pomógł mu włamać się do Cairndale. Próbowali uprowadzić Marlowe’a.

– Dlaczego? Dlaczego akurat jego?

– Tego, panno Quicke, nie umiem powiedzieć.

– To... – Alice z wysiłkiem przełknęła ślinę. – To straszne.

– Owszem, straszne. Jak wspomniałem, mam do siebie pretensje. Musi pani jednak zrozumieć, że wtedy niewiele wiedziałem o pragnieniach i zamiarach drughra. Sądziłem, że te najgorsze opowieści na jego temat to zwykłe bajania. Niektórzy ze starszych mieszkańców Cairndale wierzyli w nie, ale nie ja. Ja wiedziałem tylko, że coś wydostało się przez orsine na drugą stronę. Coś stamtąd uciekło.

– Co to jest owo... orsine?

– Przejście do krainy umarłych, panno Quicke. Przynajmniej na to wygląda, bo nikt nie ma stuprocentowej pewności. Istnieją dwa takie przejścia, to drugie, w Paryżu, od wieków pozostaje nieaktywne, nasze jednak wciąż ma nieprzyjemny zwyczaj... otwierania się. Tymczasem te dwa światy muszą pozostać rozdzielone, rozumie pani, muszą znajdować się w stanie równowagi. Dlatego naszym zadaniem jest pilnowanie, by orsine się nie otworzyło. Umarli są tak samo śmiertelni jak my. Błąkają się po szarych pokojach, z wolna tracą pamięć, aż wreszcie, po upływie stuleci, rozplývają się wśród tworzących wszechświat cząstek. Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdyby mogli powrócić.

– Skąd pan tyle wie na ten temat?

– A skąd rybak wie, jakie zwierzęta żyją w morzu? Przez całe życie mieszkam tuż obok orsine.

– Mówi pan o duszach.

– Wolę nie mieszać do tego religii – odparł Berghast, marszcząc brwi. – Nie ma tam anielskich zastępów wyśpiewujących hosanny. To świat taki jak nasz, tylko inny. I nie ma z niego powrotu.

Alice w zadumie masowała knykcie dłoni.

– Wyjątkiem od tej reguły – doktor Berghast wyraźnie sposepniał – okazał się drughr. Jemu jakoś udało się wrócić. Przebywa teraz tutaj, w tym świecie, pośród nas, i rośnie w siłę.

– Czym dokładnie jest drughr?

– Duszą, która lęka się śmierci bardziej niż czegokolwiek innego. Lęka się unicestwienia, które niesie śmierć. Wedle dawnych podań został przed wiekami, po wielkiej wojnie, zamknięty za żelazną kratą. Żywiono nadzieję, że kiedyś w końcu rozplynie się bez śladu, tak jak to się dzieje ze zwyczajnymi umarłymi, a wraz z nim zniknie przepelniające go zło. Miał błąkać się po tamtej stronie i karmić zagubionymi duszami, tak to przedstawiano. W naszym świecie podlega rozkładowi, podobnie jak wszystko inne. Dlatego musi się dopuszczać niewyobrażalnych czynów, by przetrwać.

– Dzieci – domyśliła się Alice.

Doktor Berghast pokiwał głową.

– Na razie dzieci, ponieważ wciąż jeszcze jest słaby. Kiedy okrzepnie, będzie zerował na wszystkich talentach. Gdzie drughr, tam rzeź. Ludzkie życie nic dla niego nie znaczy. Jest drapieżnikiem, my jesteśmy jego zwierzyną, a Jacob Marber jego żywicielem. Drughr nie jest dość silny, żeby przetrwać w naszym świecie bez pomocy Jacoba.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi?

– Dlatego, że potrzebuję pani pomocy. Chciałbym, żeby znalazła pani Jacoba Marbera.

Zaskoczona Alice aż parsknęła śmiechem.

– Ja?

– Dopóki drughr pozostaje na wolności, panno Quicke – zabrała głos pani Harrogate stojąca nieruchomo przy końcu przejścia – Marlowe nie jest bezpieczny. Charlie również.

Doktor Berghast odstawił doniczkę na miejsce.

– Na razie drughr musi działać poprzez Jacoba – wyjaśnił – który jest jego słabym punktem. Bez Jacoba znów stanie się niczym. Jednakże po każdym zerowaniu, po każdym pożartym dziecku drughr rośnie w siłę. Wkrótce zjawi się tutaj. Widziała pani, do czego zdolny jest Jacob. Drughr jest jeszcze gorszy.

– Moje metody sprawdzają się w przypadku ludzi – zaproponowała Alice. – Jacob Marber może być gdziekolwiek. Nie mamy pojęcia, jak ktoś taki myśli. A jeżeli chce go pan znaleźć, musi pan myśleć jak on. – Pokręciła głową. – Nikt z was nie potrafił go znaleźć. Skąd pomysł, że mnie się uda?

– Wiemy, że jest w Londynie – wtrąciła pani Harrogate.

– Londyn jest ogromny.

Doktor Berghast wytarł brudne ręce w fartuch i spojrzał Alice w oczy.

– Poza tym mamy teraz coś, czego wcześniej nie mieliśmy – powiedział.

– Mianowicie?

– Panią.

Alice prychnęła.

– Dokładnie rzecz biorąc, pani ranę – uściślił Berghast.

Pochylił się nad niedużym drewnianym biurkiem i ze słoika wysypał na nie żelazne opiłki. Wyjął z kieszeni magnes, ujął go w dwa palce, żeby Alice mogła go obejrzeć, po czym przesunął nim nad opiłkami.

– Widzi pani, jak żelazo lgnie do magnesu? Tak samo pył szuka Jacoba. Jest jego częścią. Kiedy panią zaatakował, trochę tego pyłu zostało w pani ciele. – Mówił bardzo spokojnie, ale oczy błyszczały mu aż nazbyt jasno. – Naturalnie wątpi pani w moje słowa, panno Quicke, ale proszę zamknąć oczy i sięgnąć w dal. Proszę spróbować go namierzyć. Czuje go pani?

Nieufna Alice spełniła tę prośbę i – stojąc tam, w oranżerii, ze spierzchniętymi ustami i trzepoczącymi powiekami – rzeczywiście coś poczuła, osobliwe mrowienie, którego wcześniej tam nie było, jakby ktoś szarpał za haczyk zaczepiony o jej zębra.

Nie była zachwycona.

Berghast przyglądał się jej z uwagą.

– Łączy was więź – dodał.

Alice, zdeglustowana i coraz bardziej rozeźlona, pokręciła głową. Czuła się zbezczeszczona. Spojrzała na stojącą obok panią Harrogate w podróżnym stroju, zaciskającą dłonie na uchwycie kuferka.

– Jeżeli to zrobię, jeżeli go dla was znajdę... co z nim zrobicie?

– Zabiję go – odparła pani Harrogate.

– Jak zabić coś takiego? – Alice przeniosła wzrok na doktora Berghasta. – Zakładam, że ma pan jakiś plan.

– Nie ja.

– Jest pewien sposób. – Pani Harrogate uśmiechnęła się leciutko. – Proszę mi zaufać, panno Quicke.

Alice powiodła wzrokiem po równiutkich rzędach doniczek, zanim znów spojrzała na Berghasta: szare oczy, usta skryte w gęstej brodzie, muskularny kark i ramiona. Słońce niespodziewanie wychynęło zza chmur, rozświetliło szklane ściany i nagle przestała widzieć jego twarz.

„Chrzanić to”, pomyślała.

Odwróciła się do pani Harrogate.

– Będzie mi potrzebny mój rewolwer.

Ci, którzy zniknęli

Charlie źle sypiał. Przebywał w Instytucie od blisko dwóch tygodni, gdy pierwszy raz zobaczył czarny powóz.

Spotkanie to okazało się jego pierwszym kontaktem z innym Cairndale, niewidzialnym bliźniakiem oryginału, identycznym, nie do odróżnienia, włącznie z akwarelami na ścianach korytarzy i kurzem zalegającym po kątach, ale zarazem dziwnie złowrogim, jakby pełnym złych intencji. Od tego momentu Charlie zaczął się poważnie zastanawiać, co tu się właściwie dzieje i czego mu nie mówią.

Tydzień wcześniej Alice udała się do Londynu. Zmierzch zapadł wtedy wcześnie, na wschodzie kłębił się wał rdzawych chmur. Wyściskała Marlowe'a, potem Charliego. Zniecierpliwiona pani Harrogate czekała na schodkach powozu. Woalka przesłaniała jej twarz, oczy zdawały się twarde jak szklane kulki.

Potem zostali sami z Marlowe'em. Ogromnie się zbliżyli, stali się bardziej wyczuleni na siebie nawzajem, tak jakby cała ich relacja była osnuta wokół bolesnego rdzenia, którego dotknięcie przypominało o wspólnym cierpieniu. Komako i Ribs oprowadzały ich po Instytucie. Czasem dołączał do nich Oskar, pulchny chłopak z Polski, jasnowłosy i diabelnie nieśmiały, chodzący za nim krok w krok ciałolbrzym naśladował każdy jego ruch. Marlowe przez cały czas starał się trzymać jak najbliżej Charliego, bardziej nawet niż zwykle: w jadalni przysuwał się do niego z krzesłem, po zgaszeniu świateł gramolił mu się do łóżka i tak dalej. Zachowywał się dokładnie tak, jak mógłby się zachowywać młodszy brat – i Charlie był mu za to wdzięczny. Pierwszy raz w życiu nie musiał być sam.

Którejś nocy po wyjeździe Alice obudził się niespodziewanie i dostrzegł na tle szyby zarys sylwetki: Marlowe siedział na ławie pod oknem z kolanami

podciągniętymi do piersi i wyglądał na zewnątrz.

– Co się stało? – spytał szeptem Charlie. – Zły sen?

Marlowe odwrócił się do niego. Miał smutne oczy.

– Usłyszałem konie – odparł.

Okno było otwarte i teraz Charlie również coś usłyszał: ciche końskie rżenie. Wstał. Z ich pokoju rozciągał się widok na jezioro, pomost i pogrążoną w ciemnościach wyspę z powykręcaną sylwetką prastarego wiązu. Tam jednak niewiele się działo, a dziedziniec rezydencji znajdował się po drugiej stronie, poniżej pokojów dziewcząt.

Charlie zadrżał z zimna – był tylko w koszuli – i skrzyżował ramiona na piersi.

– Jak myślisz, gdzie w tej chwili jest Alice? – spytał Marlowe, przygryzając wargę.

– W łóżku, jeśli ma choć odrobinę oleju w głowie.

– Charlie?

– No?

– Myślisz czasem o tym, co mogłoby być inaczej?

– Pewnie. – Charlie przysiadł obok Marlowe'a. Westchnął. – Ale takie myślenie nie pomaga. Można od niego zwariować. Przynieść ci wody?

Marlowe, zajęty drapaniem się jedną stopą po drugiej, nie dał się zbić z tropu.

– Co by było, gdyby Brynt wzięła mnie do siebie? Albo gdyby uciekła przed Alice w cyrku pana Foksa? Albo gdyby Alice nie zdążyła zabrać mnie z tamtego hotelu, zanim przyszedł Jacob Marber? Gdyby zmienić jakiś drobiazg... – Było po nim widać, że go to gryzie. – Myślisz, że powinniśmy się tu byli znaleźć? Że to dlatego wszystko układa się tak, a nie inaczej?

– Nie każda rzecz ma swoją przyczynę.

– Moja mama powtarzała: „Zawsze mamy wybór”. Brynt też tak mówiła. Ale to nieprawda, my wcale nie chcieliśmy tu przyjeżdżać.

– Ja chciałem – przypomniał Charlie.

Marlowe zamyślił się na chwilę.

– Z powodu ojca.

– Nie tylko. – Charlie pokiwał głową. – Ale tak.

– Pokażesz sygnet pani Davenshaw? Może ona ci powie, co oznacza.

– To tajemnica, Mar, rozumiesz? Nikomu o nim nie mów. Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego?

– Nie wiem – przyznał z ciężkim westchnieniem Charlie.

W granatowoczarnych oczach Marlowe'a odbijał się mrok nocy. Zamrugał, aż zatrzepotały długie rzęsy, i przeniósł wzrok na przyjaciela. Jego spojrzenie wyrażało czystą, głęboką ufność.

– Wiesz co, Charlie? – zagadnął szeptem. – Cieszę się, że wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło. Cieszę się, bo teraz jesteś tu ze mną.

– I nigdzie się nie wybieram – zapewnił go Charlie i ścisnął jego dłoń. – Co najwyżej pójdę po szklankę wody. Połóż się, zaraz przyjdę.

Bezszelestnie jak dym wymknął się na korytarz. Wszystkie kinkiety pogaszono. Na konsolce przy końcu korytarza stał dzbanek z rżniętego szkła, a obok – taca ze szklankami ustawionymi do góry dnem na ściereczce. Dzbanek był jednak pusty. Po chwili namysłu Charlie przemknął cicho zimnym korytarzem i skręcił w lewo, w korytarz dziewcząt. Ustawiony na znajdującym się w nim stoliku dzbanek był w połowie pełny. I właśnie nalewając z niego wody do szklanki, Charlie wyjrzał przez okno i zobaczył powóz.

Okno wychodziło na dziedziniec. Powóz zatrzymał się przy wejściu do wschodniego skrzydła. Gdzieś tam na dole musiało się palić światło, bo rdzawy odblask kładł się na szybie. Charlie bez trudu dostrzegał zaciągnięte firanki, mosiężne okucia drzwi, rozłożone schodki, lśniące czarne ściany pojazdu. Wszędzie poza tym zalegał gęsty mrok. Lampy powozu były zasłonięte. Konie w uprzęży parskały cicho.

Zmarszczył brwi i podszedł bliżej, niemal przycisnął twarz do szyby. Ze wschodniego skrzydła wyszło dwóch mężczyzn niosących podłużną skrzynię, nieco podobną do trumny. Włożyli ją do powozu z przeciwnej strony, stanęli przy koniach i wdali się w rozmowę. Kaptur i mrok skrywały twarz woźnicy owiniętego czarną wełnianą peleryną, było widać tylko obłoczek jego oddechu. Mała sakiewka przeszła z ręki do ręki, po czym woźnica z mozołem wspiął się na kozioł i wziął do ręki bicz. Zadźwięczała uprzęż, zgrzytnęły okute koła.

Ale to pasażer przyciągnął uwagę Charliego. Kiedy się odwrócił, żeby dosiąść się do woźnicy, przez moment jego twarz, podświetlona słabą czerwonawą poświatą,

stała się dobrze widoczna: pobliźniona, bez brody, z oczami o surowym wyrazie. Mężczyzna rozejrzał się, obrócił i spojrzał wprost na Charliego.

Charlie nie miał pojęcia, czy nieznajomy zobaczył go wyraźnie, czy tylko mignęła mu jego sylwetka, ale nagle zdjął go strach. W tej samej chwili czyjaś dłoń z niespodziewaną siłą zacisnęła się na rękawie jego koszuli i odciągnęła go spod okna w cień.

Stanął twarzą w twarz z Komako.

– Co... – próbował zapytać. Krew głośno tętniła mu w uszach.

Pociągnięty do tyłu, wypuścił z ręki szklankę, ale Komako jakimś cudem zdołała przykucnąć i złapać ją tuż na podłogę, tak że rozlało się tylko trochę wody, a szklanka się nie stłukła. Nikt się nie obudził. Nikt nie przybiegł.

Dziewczyna zmierzyła go ponurym spojrzeniem i oddała mu szklankę. Nie miała rękawiczek. Uwagę Charliego zwróciły czerwone plamy na jej dłoniach. Minę miała zawziętą, czujną, ale na jej twarzy malowało się coś jeszcze.

Strach.

– Ćśśś. – Podniosła zaczerwieniony palec do ust.

Odwróciła się i bezszelestnie odeszła w głąb korytarza. W nocnej koszuli przywodziła na myśl ducha z długim warkoczem. Minęła pokoje innych dziewcząt, aż doszła do tego, który dzieliła z Ribs. Patrzącemu za nią Charliemu przypomniały się słowa Marlowe'a: nie wybrali sobie takiego życia. O wszystkim, co im się przydarzało, decydowały przypadek albo przeznaczenie, a oni nie mieli jak ich odróżnić.

Dziwne to było spotkanie, prawie jak sen. Charlie nie potrafił nawet zgadywać, co takiego zabrali ze wschodniego skrzydła woźnica i jego pasażer. Komako nie wracała do tej sprawy, a on miał dość rozumu, żeby nie dopytywać. Poza tym w Cairndale toczyło się normalne życie, istniał cały przedziwny nowy świat lekcji i nauki.

W Instytucie przebywało około piętnastu chłopców. Ich sypialnie znajdowały się w jednym krótkim korytarzu, na którego końcu mieścił się pokój przełożonego, pana Smythe'a. Wieczorami, zanim podopieczni pokładli się spać, drzwi do niego pozostawały uchylone. Uczniowie byli zazwyczaj starsi od Charliego, a także w większości biali, chociaż było wśród nich paru Chińczyków i dwaj małomówni

bracia ze Złotego Wybrzeża, którzy trzymali się nieco na uboczu. Wszyscy obrzucali Marlowe'a zaciekawionymi spojrzeniami – zresztą nie tylko uczniowie, bo także nauczyciele oglądali się za nim i szeptali między sobą. Wszyscy słyszeli opowieści na jego temat, a niektórzy byli tamtej nocy na miejscu, gdy Jacob włamał się do Cairndale. Marlowe, który przeżył atak Marbera, był dla nich po części żywym cudem, po części zaś potworem. Ale do diabła z nimi: Charlie z Marlowe'em dużo czasu spędzali w pokoiku, który przydzielono im pierwszego wieczoru po przyjeździe, i – nie licząc Oskara – rzadko spotykali się z innymi chłopcami.

Znacznie więcej czasu spędzali w towarzystwie Komako i Ribs. Panna Davenshaw połączyła ich w jedną grupę lekcyjną. Jak wyjaśniła, odpowiadało jej, że przejawiają tak bardzo różne talenty.

– Będziecie uczyć się od siebie nawzajem – powiedziała. – Przekonacie się, że każdy ma jakiś dar, którym może się podzielić z innymi.

Jeżeli kierowały nią inne, bardziej mroczne powody, to nie zająknęła się o nich ani słowem.

Codziennie rano budził ich pan Smythe: wychodził na korytarz, dzwonił dzwonkiem i ponaglał wszystkich, żeby się ubierali. Gromadzili się w jadalni, gdzie wśród pokrzykiwań, śmiechów, szcękania sztuców i talerzy zjadali śniadanie, a potem rozchodzili się do przydzielonych sal lekcyjnych. Marlowe, Charlie, Komako, Ribs i Oskar każdy dzień nauki zaczynali w bibliotece, pod niewidzącym spojrzeniem surowej panny Davenshaw.

Pobierane u niej nauki miały być chyba najbardziej zwyczajnymi w całym instytutowym procesie edukacji, chociaż w tym momencie Charlie nie mógł o tym wiedzieć. Podchodzili kolejno do stojącej sztywno nauczycielki, odbierali wyznaczone zadania, po czym siadali w ławkach i rozpoczynali naukę. Charlie nie miał nic przeciwko temu, lubił uczyć się pisać i czytać coraz szybciej i płynniej. Dalej szła geografia, zdobycze terytorialne imperium brytyjskiego, kraje Orientu, niekończąca się litania miast, państw i języków. Następna była historia Wysp Brytyjskich, lista królów, królowych, dat i bitew. Na koniec dochodzili do arytmetyki: wykonywali zadane działania na stojącej w kącie tablicy, a panna Davenshaw – choć niewidoma – cmoknięciem dezaprobaty kwitowała każdą pomyłkę. Białe światło poranka z wolna wypełniało wysoko umieszczone okna, padało na regały i stopniowo spelzało na dywan.

Po lunchu przemierzali gęsiego martwy angielski ogród i po czerwonej jak krew glinie udawali się do zabudowań pomocniczych, gdzie zgłębiali subtelne tajniki talentów.

Tego właśnie elementu Charlie wyczekiwał z największą niecierpliwością – i zarazem największym niepokojem. Dwa podłużne budynki z poszarzałego drewna z przeciekającymi dachami i klepiskiem zamiast podłogi przywodziły na myśl stodoły albo magazyny. Nie były ogrzewane. Właściwie, jak zauważyła z uśmiechem Ribs, z trudem zasługiwały na miano budynków.

Czekali tam już inni ludzie, dorośli, niektórzy bardzo starzy. Panna Davenshaw każdemu z dzieci przydzieliła innego nauczyciela, Charliego zaś zatrzymała przy sobie.

– Mam pewne doświadczenie ze zdrowcami – wyjaśniła. – Nauczę pana tyle, ile zdołam... Zaskoczony?

Charlie, który z marsem na czole patrzył na czarną przepaskę na jej oczach, poczuł, że się rumieni. Panna Davenshaw posłała mu cierpki uśmiech – zupełnie jakby naprawdę go widziała.

– To nie jest moje własne doświadczenie, panie Ovid. Nie jestem taka jak pan. Ale mój praprapradziadek był zdrowcem. To on mnie wychowywał. Dawne dzieje, dziś już... nie ma go wśród nas. Ja jednak wiem co nieco o tym, co potrafił zrobić, a czego nie.

Charlie, który przez całe swoje krótkie życie wykorzystywał talent do tego, żeby przetrwać, założył ręce na piersi.

– Wiem, jak działa mój talent, trochę... sam z siebie, jakby...

– Jakby reagował na to, co się z panem dzieje? To prawda. Jego możliwości są jednak o wiele większe. Można nim kierować. Aczkolwiek będzie to wymagało pewnego wysiłku z pańskiej strony. O ile chce się pan uczyć, naturalnie. Chce pan tego?

– Być może – odparł ostrożnie Charlie.

Stali tuż przy otwartych drzwiach, owiewani chłodnym powietrzem. Podniósł wzrok na znajdujący się w głębi budynku stryszek. Gdy znów spojrział w dół, panna Davenshaw wyszła na zewnątrz. Przez jedną króciuteńką chwilę zastanawiał się, czy na pewno wie, dokąd idzie.

– Pańska ostrożność jest całkowicie zrozumiała – mówiła, jakby Charlie wcale nie został daleko w tyle – ale niepotrzebnie się pan boi.

– Nie boję się.

– Rozumiem. To dobrze.

Po zbrązowiałej trawie dotarli na obrzeża terenu Instytutu. Niebo groziło deszczem. Charliemu, który pierwszy raz znalazł się przy zewnętrznym murze, strach buczał dyskretnie pod czaszką, jakby robił coś złego, jakby nie powinien tu być. Próbował się z niego otrząsnąć, ale niepokój uparcie się nasilał.

Sięgający mu do pasa mur wyglądał na bardzo stary. Gdzieniedzie się kruszył, w wielu miejscach porastał go czarny mech. Został zbudowany z luźno ułożonych, płaskich naleśnikowatych kamieni, które mogły pochodzić z dna morza. W obie strony ciągnął się jak okiem sięgnąć, biegł po pagórkach, okalał ciemne jezioro i wznoszące się nad nim gliniane urwiska.

Ruszyli wzdłuż niego po śliskiej glinie. Panna Davenshaw wodziła smukłą, bladą dłonią po kamieniach. Po drugiej stronie łąki za budynkami pomocniczymi wznosił się gmach Instytutu, dziwny i złowieszczy.

– Czuje pan, panie Ovid? – zagadnęła półgłosem panna Davenshaw, nie odwracając się w jego stronę. – Czuje pan działanie bariery? Nieprzyjemne, prawda?

Rzeczywiście coś czuł, mrowienie na całym ciele, ułucia elektrycznych iskierek ze wszystkich stron naraz, basowe buczenie w powietrzu tuż poniżej progu słyszalności. Działo na nerwy i było źródłem jego niepokoju.

– Jest dziełem glifina, panie Ovid. Glifinowi zawdzięczamy nasze bezpieczeństwo. Talenty takie jak pan nie mogą przekroczyć bariery wbrew jego woli. Powiedziano mi, że jej utrzymanie wymaga ogromnego wysiłku. Glifin musi stale czuwać, między innymi dlatego odwiedziny na wyspie są surowo wzbronione. Nie chcielibyśmy, żeby Jacob Marber albo jego litch przyszli tu nieproszeni, prawda?

Charlie powstrzymał instynktowny dreszcz. Wciąż miał koszmary po londyńskim spotkaniu z potworem.

– Jednocześnie bariera zabezpiecza nas przed wścibstwem zwykłych ludzi – ciągnęła guwernantka – którzy byliby nadzwyczaj zaniepokojeni, wiedząc, co się tu wyrabia, nie sądzi pan? Ktokolwiek próbuje bez zaproszenia wejść na teren

Instytutu, odczuwa silny... dyskomfort, który z czasem staje się wręcz obezwładniająca. Zawraca, nie uszedłszy nawet trzech metrów, choć nie umiałby wyjaśnić, dlaczego to robi. Z tego powodu Cairndale cieszy się w okolicy nie najlepszą opinią. Sam się pan przekona, jeśli kiedyś wyjdzie poza teren Instytutu. Miejscowi będą traktować pana podejrzliwie i z lękiem.

Charlie, który przez całe życie czuł na sobie nieprzyjazne spojrzenia białych, pokiwał głową.

– Przypuszczam, że i bez tego by mnie tak traktowali. Nie wyglądam jak...

– Wiem, jak pan wygląda, panie Ovid. Nie jest pan jedynym cudzoziemcem w Cairndale.

Charlie przystanął i spojrzał na niewidomą guwernantkę, rozzłoszczony jej przyganą. Chciał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Ponad kruszącym się murem widział w oddali cały wirujący dostojnie świat.

– Pańskie zdolności, panie Ovid, zdolności wszystkich talentów to rodzaj... nekromancji, interakcji z nieożywioną tkanką. Nikt nie potrafi oddziaływać na tkankę żywą, tak jak nikt nie potrafi użyć swojego talentu na ciele drugiej osoby. Przejdźmy się. – Panna Davenshaw ruszyła dalej, przekrzywiwszy głowę, jakby czegoś nasłuchiwała. – Istnieje pięć rodzajów talentów – podjęła rzeczowym tonem. – Dendele, aktywatorzy, impostorzy, pyłowładcy i glifini. Proszę pilnie słuchać, panie Ovid, to ważne. Dendele potrafią manipulować swoim ciałem. Pan, jako zdrowiec, zalicza się właśnie do tej grupy. Wraz z siłaczami, których przedstawicielem był nieodżałowany pan Coulton, a którzy potrafią tak zageścić i utwardzić swoje mięśnie, że te zatrzymają nawet kulę z pistoletu. Dalej idą aktywatorzy, którzy specjalizują się w ożywianiu doczesnych szczątków. Kamienne wiedźmy, które przywołują szkielety, są aktywatorkami. Podobnie pan Czekowisz, czyli pański przyjaciel Oskar z towarzyszącym mu ciałolbrzymem Lymenionem. Trzecia kategoria to impostorzy, którzy zmieniają wygląd: panna Ribbon, jak panu wiadomo, umie stać się całkiem przezroczysta. Inni potrafią nawet przyjąć cudzą postać. Czwarta grupa to pyłowładcy, tacy jak panna Onoe: manipulują własnymi martwymi komórkami, które tworzą pył, i przyłączają do nich inne części. Na koniec zostawiłam glifinów, grono osobliwe i nieprzeniknione. Wrastają w swój talent jak drzewo w zbocze wzgórza. Są samotni, potężni i kto chce ich spotkać, musi sam się do nich udać. Ich dar lub

przekleństwo, zależy jak na to patrzeć, polega na tym, że widzą sieć łączącą nas wszystkich i mogą śledzić jej nici. Ich moc jest naprawdę niebывała.

– Pięć talentów – mruknął Charlie, próbując sobie to wszystko poukładać w głowie.

– Niektórzy uczniowie będą panu napomykać o jeszcze jednym, szóstym – powiedziała panna Davenshaw – ale szósty talent nie istnieje. Radzę panu skupić się na faktach i stawić opór plotkom. A w Cairndale krąży mnóstwo plotek.

Charlie zerknął na nią ukradkiem. Nie był pewien, co chciała mu dać do zrozumienia. Wydawało się niemożliwe, żeby wiedziała o jego podejrzeniach, ślubnym sygnecie mamy z herbem Cairndale albo czarnym powozie i jego pasażerze.

– Wasze ciała zawierają substancję – ciągnęła panna Davenshaw – którą w Cairndale nazywamy pyłem, mimo że wcale nie jest pyłem ani kurzem w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Ta właśnie substancja ożywia waszą tkankę. Nieożywione komórki. Dlaczego u jednych występuje, a u innych nie? Tego nie wiemy. Ale to właśnie dzięki pyłowi pańska cielesna powłoka staje się... niezwykła. Pył znajduje się w panu, przenika pana na wskroś i zostawia swój ślad wszędzie tam, gdzie użyje pan swojego talentu. Ciało człowieka obdarzonego talentem to mapa jego pyłu, panie Ovid. Glifin czyta w niej jak w książce. Jest pan zdrowcem, dlatego pańskie ciało samo się leczy, odnawia się, kiedy zostanie uszkodzone, naprawia martwe komórki i tak to przynajmniej wygląda, przywraca utraconą krew. Nie da się pana trwale utopić, poparzyć ani udusić. – Przystanąła i sięgnęła smukłymi palcami do twarzy Charliego. Musnęła ją przelotnie delikatnym gestem. – Wszystko musi mieć swoje źródło. Talenty są zasilane energią życiową ich użytkowników. Czy podczas działania talentu czuje pan przenikliwy ból? Każdy tak ma. To cena, którą trzeba zapłacić. Talenty płoną jasno, ale szybko się wypalają. Chociaż pan, panie Ovid, jest w tym względzie wyjątkiem. Kiedy osiągnie pan wiek dorosły, około dwudziestki, proces starzenia pańskiego organizmu ulegnie spowolnieniu. Wszystkich nas pan przeżyje.

– To znaczy, że ja... nie umrę?

– Wszystko umiera, panie Ovid, wszystko poza Bogiem, aniołami i ideą wolności w sercach ludzi czystych.

Charlie zmarszczył brwi.

– Żartowałam. Będzie pan żył bardzo długo, ale nic nie trwa wiecznie. Pański talent też kiedyś osłabnie, a wtedy ciało zacznie się starzeć: z początku powoli, później coraz szybciej. Nagle się pan zestarzeje i nagle umrze. Mój praprapradziadek na dwa dni przed śmiercią był krzepkim, żwawym trzydziestolatkiem. Kiedy zmarł, był kruchy i wiotki jak papier.

Charlie przełknął ślinę.

– Ile to trwa?

– Umieranie?

– Życie.

– To zależy od siły talentu. Nie wszystkie są równe. Ale będzie pan żył co najmniej sto pięćdziesiąt lat.

Charliemu wydało się, że się przesłyszał. Zaczął rachować w pamięci.

– Nie chciałbym tego – powiedział.

– Zatem jest pan mądrzejszy od większości ludzi. Ale to bez znaczenia, bo taka po prostu jest pańska natura. Chcenie i niechcenie nie mają tu nic do rzeczy. Musi pan jednak wiedzieć, że ten dar ma pewne ograniczenia. Oddzielone od ciała kończyny odrosną, ale odłączenie od niego głowy natychmiast zakończy pański żywot. Największy koszt talentu będą ponosiły pańskie serce i dusza. To bardzo ciężkie brzemię przeżyć tych, których się kocha. I patrzeć, jak zmienia się świat. Na to jednak nic panu nie poradzę.

Charlie kiwał głową. Ich stopy plaskały w błocie.

– Na naszych zajęciach będzie się pan uczył kontrolowania swojego talentu. Bo kontrola jest wszystkim, a na razie nie ma jej pan za grosz. Kiedy zostanie pan zraniony, pańskie ciało się naprawia, to wszystko. Ale pańskie możliwości są o wiele większe, panie Ovid. Dar zdrowca ma ogromny, choć nieoczywisty potencjał. Wiem, że już potrafi pan ukrywać przedmioty pod skórą. Niektórzy zdrowcy umieli natomiast usunąć kawałek własnego ciała, nawet kość, gdy zaszła taka potrzeba. Jeszcze inni opanowali swój dar tak doskonale, że zamiast naprawiać martwą tkankę, nauczyli się ją naginać do swojej woli. W ten sposób mogli przekształcać swoje ciała.

– Jak to „przekształcać”?

– Określamy to jako ciągliwość. Można by wręcz powiedzieć, że to dopiero był prawdziwy talent, rzeczywisty cel sztuki zdrowców. Potrafili dowolnie wydłużać

kończyny, wciskać się w niewiarygodnie wąskie szczeliny, otwierać zamki poprzez włożenie palca w dziurkę od klucza i tym podobne. Towarzyszący temu ból musiał być okrutny, a oswojenie się z nim będzie jednym z elementów pańskiej nauki. – Panna Davenshaw rozděła nozdrza i wzięła głęboki wdech. – To naprawdę niezwykły talent, panie Ovid.

Charlie słuchał uważnie. Panna Davenshaw – z tą swoją upiorną czujnością i niewidzącymi oczami, które zdawały się widzieć wszystko – napawała go coraz większą zgrozą. Jak przez mgłę przypominał sobie spotkanie z panią Harrogate w pierwszym tygodniu pobytu w Londynie, w domu przy Nickel Street West. Pani Harrogate prosiła go o takie właśnie rzeczy, prawda?

Zabudowania Instytutu zostały daleko z tyłu. Powiódł wzrokiem po pustej łące. Mimo wszystko i wbrew sobie był autentycznie zaintrygowany.

– Jak ja mam coś takiego zrobić? Tę całą... ciągliwość?

– Pan? Nijak, młody człowieku.

– Ale powiedziała pani...

– Na razie brakuje panu odpowiednich umiejętności. Coś panu pokażę. Proszę podejść. I proszę nie zważać na barierę, glifin nie robi panu krzywdy. Wie, że tu jesteśmy, i zna nasze zamiary. Proszę spojrzeć tutaj, na styk tych dwóch kamieni. – Panna Davenshaw wzięła go za rękę i poprowadziła jego palce do szczeliny w murze. – Przez tę lukę mógłby się pan przecisnąć. Wydaje się to niemożliwe, prawda? A jednak. Ciągliwość pozwala przemieścić ciało bez wykonywania najmniejszego ruchu. Przerośnięte pańskie wyobrażenia.

Charlie namacał szczelinę i zamknął oczy. Całe ciało wibrowało mu energią bariery. Nagle wszystko zamarło, cisza przemieniła się w dźwięk wypełniający uszy. Coś się zaczęło dziać. Czuł, jak przywarte do kamieni opuszki palców wyszukują luki pomiędzy nimi. Spróbował sobie wyobrazić, jak ta luka się poszerza, rośnie, staje dość szeroka, by zdołał w nią przelać palce.

Nic się nie stało.

– Nie... nie mogę... – wydyszał. – Po prostu nie mogę.

Dziwnie się czuł, jakby zawiódł pannę Davenshaw.

– Pomalutku, panie Ovid. Nie wszystko naraz. Jest pan gotowy?

– Dobrze. – Charlie z trudem powstrzymał gniewną nutę w głosie. – Tak, jestem gotowy.

Panna Davenshaw wskazała ułożony w czerwonej glinie krąg z kamieni.

– Wobec tego zaczynamy.

Mijały dni.

Któregoś popołudnia Komako zastała go w rozświetlonej blaskiem świec bibliotece. Nabrał zwyczaju noszenia sygnetu po matce na sznurku na szyi – między innymi dlatego, że ukrywanie go w ciele i wyjmowanie z niego nie było ani łatwe, ani przyjemne. Siedział zadumany na ławie przy oknie i z nieszczęśliwą miną ścisnął go w dłoni, kiedy usłyszał zgrzyt masywnej mosiężnej klamki, a potem stukot butów Komako na ozdobnym parkiecie. Schował sygnet pod koszulę.

– Ribs cię szuka – oznajmiła z wahaniem.

– Po co?

– Bez jakiegoś konkretnego powodu. – Uśmiechnęła się leciutko, samymi kącikami ust. – Mam wrażenie, że nie może się odprężyć, kiedy nie wie, gdzie jesteś.

Charlie zmarszczył brwi. Nie umiał stwierdzić, czy Komako się z nim droczy.

Podeszła bardzo blisko, przysunęła sobie krzesło i usiadła. Poczł bijący z jej skóry zapach mydła. Dla ochrony dłoni znów nosiła rękawiczki z kozłej skóry.

– Jak wypadła pierwsza lekcja z panną D? – zapytała. – Nie chcę sobie nawet wyobrazić, czego uczy się zdrowiec. Kazała ci recytować z pamięci pięć talentów? – Zniżyła głos do szeptu: – Wspomniała coś o szóstym?

– Nie ma szóstego talentu.

Komako skubnęła gruby warkocz.

– A może po prostu chcą, żebyśmy tak właśnie myśleli? Pogadaj o tym z Ribs, ona ma najróżniejsze teorie na temat szóstego talentu. Mrocznego talentu, bo tak go nazywa. Starsi uczniowie chętnie powtarzają legendę o tym, jakoby miał sprowadzić koniec świata i zniszczyć wszystkie inne talenty... – Zawiesiła głos i przesunęła się, żeby lepiej widzieć twarz Charliego na tle okna. – Ej, Charlie, tak cię tylko podpuszczam. Co się stało?

– Nic. Wszystko w porządku.

– Na początku też stale chodziłam smutna, i to nie tylko z powodu tego miejsca. Znaczy, trochę tak, ale tylko trochę.

– Ja się nie smucę.

– A ja się smuciłam. – Jej wargi były lekko rozchylone, jakby w wyczekiwaniu. Jakby wiedziała, z jaką uwagą Charlie się im przygląda. – To było zaraz po tym, jak straciłam siostrę. Teshi. Była ode mnie młodsza, długo chorowała... a potem nagle przestała chorować. Pan Coulton i Jacob znaleźli mnie i opłacili moją podróż. Ribs też płynęła z nami, można powiedzieć, że się do nas... przyczepiła.

– Jacob...? – Charlie uniósł głowę.

– Tak, Jacob Marber. Wtedy jeszcze był inny. Nie wiem, jaki jest teraz. Zniknął, kiedy płynęliśmy z Tokio na południe, najpierw był na pokładzie, aż któregoś ranka go nie było. Po prostu. Marynarze twierdzili, że musiał wyskoczyć za burtę. Ale po latach widziano go, jak przechadzał się po dolinach niedaleko Cairndale. Patrzył pod nogi, jakby czegoś szukał.

Charlie powstrzymał odruchowy dreszcz. Wyobraził sobie, jak potwór z dymu i ciemności krąży wokół murów Cairndale i szuka drogi do wewnątrz.

– Wiem, jak to wygląda. – Komako spoważniała. – Doktor Berghast, panna Davenshaw i reszta zachowują się tak, jakby to był azyl, schronienie dla nas i innych takich jak my. I naprawdę chcą, żeby tak było, ale nigdzie nie jest bezpiecznie, nie tak do końca. Uważaj na siebie, Charlie-Który-Teraz-Jesteś-Jednym-Z-Nas.

– Nie masz pojęcia, co przeżyłem. Umiem o sobie zadbać.

– Nie ty jeden masz za sobą ciężkie przejścia.

Było coś takiego w Komako, w sposobie, w jaki to powiedziała, że Charlie spojrzał na nią z uwagą, naprawdę na nią spojrzał, i nagle po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, co musiała przeżyć. Jak umarła jej siostra? A rodzice? Co takiego się stało, że porzuciła całe swoje dawne życie i przybyła do Cairndale?

Zakłopotany zaczął skrobać paznokciem po parapecie.

– Ten powóz, który widziałeś nocą na dziedzińcu... – odezwała się znowu. – Nie powinieneś był go zobaczyć. Czasem coś nim przywożą, jakieś skrzynki. Czasem zabierają też coś z powrotem.

– Ja się nie boję.

– Tylko dlatego, że nie wiesz, co się tu dzieje.

Charlie wziął skwierczącą świecę ze spodeczka, wylał trochę wosku i postawił ją z powrotem.

– To mi powiedz – poprosił.

Widział jednak, że Komako toczy jakąś wewnętrzną walkę. Wstała, podeszła do drzwi i przez chwilę nasłuchiwała, mierząc go posępnym wzrokiem. Jej oczy błyszczały w świetle świecy. W końcu wróciła i usiadła bardzo blisko niego.

– Dzieci znikają – wyszeptała.

Zamrugnął zaskoczony.

– Z Cairndale?

Z powagą skinęła głową.

– Może nawet ktoś je zabija, nie wiemy. W poprzednim semestrze widziałam, jak w środku nocy Brendan O'Malley wsiadł do tego powozu. Słuch o nim zaginął, a kiedy o niego zapytałam, powiedziano mi, że po osiągnięciu pełnoletności wrócił do rodziny. Tylko że on nie miał rodziny, w każdym razie takiej, do której warto byłoby wracać.

– Zaczekaj. Do czego zmierzasz? Co chcesz właściwie powiedzieć?

– Na razie nie wiem, ale się dowiem. Dowiemy się we trójkę: ja, Ribs i Oskar.

– Jak?

Komako nachyliła się jeszcze bliżej, aż Charlie poczuł jej oddech na policzku.

– O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Potrzebujemy twojej pomocy.

To Ribs wpadła na pomysł, żeby zagadnąć Charliego i poprosić go o pomoc. Oskar i Lymenton nie byli zachwyceni tą propozycją, natomiast Komako doceniła jej sensowność. Charlie miał zwyczaj mierzyć wszystkich ostrożnym, czujnym spojrzeniem, jak dzieciak, który niejedno przeżył – dlatego właśnie pomyślała, że może się zgodzić. Poza tym był przecież zdrowcem.

I właśnie to ją ostatecznie przekonało: jego talent. Bo jeżeli naprawdę chcieli dowiedzieć się czegoś więcej, jeżeli chcieli przybliżyć się do serca tajemnicy, to potrzebowali zdrowca.

Pierwsze dzieci przepadły bez śladu przed dwoma laty. Zniknięć nie było wiele, nie aż tyle, by ktoś się zaniepokoił, zwłaszcza że zawsze znajdowało się jakieś wytłumaczenie: ktoś wyjechał do Londynu, ktoś inny wrócił na łono rodziny, został

wysłany do Rumunii, Pekinu, Australii... Tylko że nikt się nigdy nie żegnał, a w dodatku zostawiali w Instytucie wszystko, co wcześniej było dla nich najważniejsze. Zanim Brendan został w środku nocy przemycony do powozu, budował w sypialni model Cairndale z zapalek. Nie dokończył go, porzucił w połowie. Wisława, która przepadła pół roku wcześniej, niedługo przed swoim zniknięciem schwytała królika i hodowała go w klatce na tyłach szopy, a wyjechała, zapominając o nakarmieniu pupila. Faktem było, że Komako niezbyt dobrze znała dzieci, które poznikały, w Cairndale przestrzegano ścisłych podziałów wśród uczniów, ale słyszała swoje i wiedziała, że nie były to dzieciaki, które chciałyby odejść z Instytutu.

Działo się zatem coś niepokojącego – i to było najgorsze. Ktoś w Cairndale wiedział o tym, wiedział o wizytach powozu i uczestniczył w tym procederze. Niestety Instytut sam w sobie był takim kłębowiskiem tajemnic, że znikanie dzieci mogło być przy nich niczym, a mogło być wszystkim. Komako mieszkała w Cairndale od blisko dziesięciu lat, czuła się tu bardziej w domu niż gdziekolwiek indziej, a mimo to wciąż istniały takie części gmachu, których natury nawet się nie domyślała.

Wiedziała za to o wielu innych rzeczach, na przykład o tym, że starsze talenty w Cairndale umierają. Zostało ich jedenaście: jedenaścioro posiwiatych mężczyzn i kobiet, zasuszonych i skurczonych jak owady w gablocie, poruszających się z powolnością śmierci. Czasem ktoś z tej grupy pojawiał się na dziedzińcu, popychany przez pielęgniarkę w wiklinowym wózku na kółkach albo drepczący krok za krokiem w szlafroku i bamboszach. Wiedziała także, że niektórzy nocą odwiedzali glifina, przeprawiwszy się przez jezioro starymi łodziami wiosłowymi. Byli tacy, którzy już nie wracali, inni wracali znacznie osłabieni. O tak, w Cairndale pozory naprawdę mogły mylić, wszystko jednak wskazywało na to, że z wielu trapiących Instytut tajemnic najsmutniejszym jest sekret samego doktora Henry'ego Berghasta.

Doktor był dobrym człowiekiem, co do tego Komako nie miała wątpliwości. To on zapewniał im wszystkim bezpieczeństwo. Nie wiedziała, skąd pochodzi: jego wiek, przeszłość, rodzina – wszystko osnuwała mgła tajemnicy. Mówił bez żadnego charakterystycznego akcentu, osobliwie gładkim, niemelodyjnym tonem, jakby pochodził zewsząd i jednocześnie znikąd. Barczysty, krewki, sprawiał wrażenie mężczyzny w kwiecie wieku, ale Komako wiedziała, że to tylko pozory,

bo jednocześnie był całkowicie siwy, a jego oczy zdradzały znużenie. Słyszała krążące wśród starych talentów plotki o tym, że od co najmniej osiemdziesięciu lat, a więc od czasów, do których nawet oni nie sięgali pamięcią, Berghast stoi na straży orsine i glifina. Niepokojąca była tylko jego obsesja na punkcie drughra. Mało sypiał, gdyż często wyjeżdżał nocą w sprawach służbowych zapewne po to, by tropić drughra, Jacoba oraz istotę, w którą Jacob się zmienił. Panna Davenshaw twierdziła, że doktor Berghast obwinia się o to, co się stało, a Komako wiedziała jedno: doktor Berghast, wiekowy, a zarazem niepodlegający władzy czasu, roztaczający aurę prawości człowiek o jasnoszarych oczach, z wolna unicestwiał sam siebie w tym upartym polowaniu na potwora. Kiedy na to patrzyła, pękało jej serce.

Z tego też powodu nie poszła od razu do niego, nie podzieliła się z nim swoimi podejrzeniami na temat znikających dzieci, nie ostrzegła go przed czarnym powozem. Na razie ona, Ribs i Oskar niczego tak naprawdę nie wiedzieli. Wypatrywali kościanych ptaków na niebie i za każdym razem, gdy jakiś przybył do Instytutu, zakradali się na stryszek, gdzie się gnieździły. Komako z Oskarem zostawali na czatach, a Ribs przemykała do środka, odczepiała wiadomość od nóżki ptaka, czytała ją pospiesznie i przywiązywała z powrotem. Ptaki wokół niej szeleściły, klekotały i kręciły bezokimi łebkami, jakby chciały ją lepiej widzieć. Na razie nie dowiedzieli się zbyt wiele, odebrali tylko kilka dziwacznych wiadomości od pani Harrogate i zaszyfrowany liścik z Francji.

W końcu któregoś ranka Komako wysłano z wiadomością do starego magazynu, w którym mieściło się laboratorium doktora Berghasta. Stojący nad zlewkami, destylatorami i buteleczkami pełnymi tajemniczych eliksirów doktor przetarł zmęczone oczy, wziął list i odprawił posłańca. Zanim wyszła, jej wzrok padł na piętrzący się na biurku stosik kilku kopert z szarego papieru. Wiedziała, skąd pochodzą. Ich widok podsunął jej pewien pomysł.

Jeżeli mieli wytropić znikające dzieci, potrzebowali kogoś, kto mógłby się wymknąć nocą z gmachu Instytutu, zakraść przez okno do gabinetu doktora i otworzyć od środka zamknięte na klucz drzwi. Wtedy Ribs mogłaby tam wejść i przejrzeć trzymaną w wielkiej szafie dokumentację wszystkich talentów, które na przestrzeni lat trafiły do Cairndale, by znaleźć te, które ich interesowały: akta zaginionych dzieci.

Inaczej mówiąc, potrzebowali Charliego Ovida.

Pogwizdując pod nosem, Komako spieszonym krokiem przemierzała korytarze Cairndale. Bo Charlie właśnie zgodził się im pomóc.

Tajemnice innych osób

Jadąca do Londynu Alice Quicke złapała się na tym, że rozmyśla o umarłych.

Przede wszystkim o Coultonie, naturalnie. Wciąż słyszała jego głos – wysoki, oschły, z charakterystycznym akcentem. Widziała strzępiaste kasztanowe bokobrody, które tak starannie zapuszczał, rzędzące włosy zaczesywane na pożyczkę w poprzek różowej łysiny i rumianą, dziobatą twarz z obwisłymi policzkami. Owszem, bywało, że doprowadzał ją do szału – przez większość czasu był skryty, sarkastyczny i nieznośny, a przez resztę zwyczajnie zarozumiały – ale ufała mu, ponieważ zapracował sobie na jej zaufanie i nigdy nie traktował jej jak kobiety detektywa, tylko po prostu jak detektywa. Nade wszystko zaś był dobrym człowiekiem i przyjacielem.

Kiedy jednak kręciła się po peronie w Edynburgu i patrzyła na uwijające się na torach grupki żebraków albo siedziała przy świecach w wagonie restauracyjnym w towarzystwie milczącej pani Harrogate, a na talerzach baranina i placki ziemniaczane pławiły się w gęstym sosie, nie myślała o Coultonie, tylko o swojej matce.

Nie umiałyby tego wyjaśnić. Matka nazywała się Rachel Coraline Quicke. Alice – obrażona na nią i zdegustowana jej zachowaniem – przez lata jej unikała. Praktycznie nie miała dzieciństwa. W jej najstarszym wspomnieniu znajdowały się we dwie na błotnistej chicagowskiej uliczce, gdzie matka obrzucała przekleństwami i grudami błota zamknięte okiennice domu właściciela ich czynszówki, ponieważ jej drzwi były zamknięte, a ona zgubiła klucz. Potrafiła okropnie się wściekać. Miała szerokie biodra i miękki brzuch. Żłopała piwo z wielkich kufli w irlandzkim barze przy Declamey Street, skąd wracała do domu,

zataczając się i klnąc jak szewc. Pracowała w niemieckiej piekarni w sąsiednim kwartale domów. Przychodziła do pracy jeszcze w nocy, długo przed brzaskiem, i pryhając jak koń, zwinnymi palcami formowała ludziki z ciasta. W piekarni pachniało słodko preclami, babeczkami i kruchymi ciasteczkami z dżemem. To były jedyne chwile, kiedy wydawała się zadowolona z życia. Malutka Alice czasem jej towarzyszyła: nie zważając na wczesną porę, udawała, że dokłada do pieców albo ściera mąkę ze stołów. A potem skończyła cztery lata, ojciec odszedł i zostały same z matką. Przez krótki czas miała irlandzkiego setera imieniem Scratch, ale pewnego dnia on także zniknął: może zginął w jakiejś szarpaninie, może koń go kopnął, a może też po prostu uznał, że ma dość i poszuka sobie miejsca, gdzie się łatwiej żyje.

Alice w dzieciństwie była typowym ulicznym urwisem. Dokazywała po zachodnich slumsach, w których mieszkały z matką, w towarzystwie starszych dzieci imigrantów, głównie z Irlandii. Biegali po ulicach pomiędzy powozami i dorożkami, wzniecali małe pożary na bazarze przy Randolph Street, rzucali kamieniami w okna magazynów i uciekali przed strażnikami. Zdarzało się, że ktoś z jej przyjaciół został złapany i pobity, ale nie ona. Już wtedy okazywała się dla wszystkich za szybka. Ówczesne Chicago było rozległą połącią brudu i błota zalewaną na przemian ściekami i wodą z rzeki. Latem cuchnęła rzeka, wiosną i jesienią ulice przemieniały się w składowiska gnoju, tak że na niektórych skrzyżowaniach nawet konie grzęzły w pokładach odchodów. Co krok natykał się człowiek na tory kolejowe, hotele i hurtownie, wszędzie ciągnęły się magazyny, zagrody dla zwierząt i elewatory zbożowe – a wszystko to jasno oświetlone. Chicago było miastem ognia.

Miała siedem lat, kiedy jej matka znalazła Boga. Nastął osobliwy czas modlitw, spotkań w kościele i letnich niedzielnych pikników nad rzeką. Alice miała jedną sukienkę, którą matka starannie prała. Charakter matki się nie zmienił, ale wiara – jeśli to faktycznie była wiara – nappełniła ją nową energią, która kazała jej co wieczór chłostać się brzoźową witką po plecach. Ślady uderzeń czerwieniały, puchły i długo nie chciały się goić. Popołudniami, po pracy, wychodziła na któreś skrzyżowanie, stawiała na przyniesionej skrzynce i ciskając na przechodniów gromy, kazała im się zainteresować stanem swoich dusz. Trudno powiedzieć, czy odbiło się to jakoś na jej pracy, faktem jest jednak, że pod koniec roku straciła

posadę w piekarni – jedyne regularne zajęcie, o jakim Alice wiedziała, jedyny stały element w ich życiu. Od tego momentu wszystko się zmieniło.

W Kościele Nowego Kanaan zjawiała się kobieta z zachodu, z niedużej wspólnoty religijnej wyrosłej wśród pszenicznych pól Illinois. Nazywała się Adra Norn. Była wysoka, miała długie włosy barwy ołowiu, twarz jak suszony na słońcu owoc i wielkie dłonie, szorstkie i męskie, które mogły rozedrzeć Biblię na dwoje. Kiedy mówiła, nawet mężczyźni słuchali. Twierdziła, że ich Bóg jest bogiem złym i mściwym, a jego złość jest skierowana przeciw mężczyznom. Dlatego jej wspólnota była miejscem przeznaczonym wyłącznie dla kobiet, schronieniem przed zepsuciem tego świata. O ile Alice matki się po prostu bała, o tyle Adrę Norn darzyła uczuciem innym, bliższym nabożnej czci. Ta kobieta przemierzała świat z impetem huraganu, a jej ogromne ręce same rwały się do pracy. Jej niepokojące przemowy brzmiały jak wyjęte z Biblii. Mówiła z silnym akcentem i chwilami trudno ją było zrozumieć, ale przekaz był jasny: „Bóg cię nie kocha. Bóg cię nie potrzebuje. Kto przyprawi go o niezadowolenie, będzie cierpiać”.

– Zarazem dla ludzi, których dotknęła Jego ręka – mówiła też – nie ma rzeczy niemożliwych.

Matka Alice przyswoiła sobie to powiedzenie, powtarzała je pod nosem raz za razem, kiedy myślała, że nikt nie słucha. Pewnej niedzieli Alice zobaczyła ją pogrążoną w rozmowie z Adrą Norn, a niedługo potem Adra zaczęła je odwiedzać wieczorami w domu. Dwa miesiące później, gdy Adra szykowała się do wyjazdu, Rachel także spakowała ich skromny dobytek i razem z Alice udały się w drogę do świętej wspólnoty w Bent Knee Hollow.

Tę podróż, pierwszą w swoim życiu, Alice miała zapamiętać na zawsze. Stada wron zrywające się do lotu z rżysk, szybkie jak myśl i skwierczące jak iskry – tak właśnie wyobrażała sobie myślenie. Czerwone słońce zapadające się za linię drzew. Puste pyliste drogi emanujące prastarym blaskiem. Zielone dęby i wierzby na brzegach chłodnych rzek. Jechały tak pięć dni. Stary wóz pionierski skrzypiał w koleinach niczym wielki lądowy statek. Adra z Rachel siedziały na twardym koźle zatopione w rozmowie, a Alice miała dla siebie całe wnętrze wozu: wylegiwała się wśród skrzyń z nasionami, worków z ziarnem, bel materiału, siekier, szpadli, szufli i innych narzędzi. Było lato, więc każdej nocy spała pod gołym niebem, przy tłącym się ognisku, po tym, jak Norn najpierw błogosławiła

ich los, jedzenie, a także sam ogień, zanim złożyła stalowosiwą głowę na spoczynek.

Do Bent Knee Hollow przybyły pod wieczór. Rozciągające się dookoła złociste pola lśniły rdzawo w krwawych promieniach zachodzącego słońca. Alice zeskoczyła z wozu na ziemię i razem z matką stanęła niepewnie naprzeciw wzburzonego tłumu kobiet, które wyległy im na spotkanie – w fartuchach, z kuchennymi nożami, siekierami i kłębkami wełny w rękach. Twarze miały zmęczone, ale szczęśliwe, oczy im błyszczały. Adra szła wśród nich i obejmowała je po kolei, a one, znienacka onieśmielone, spuszczały wzrok. Bent Knee Hollow tchnęło spokojem i łagodnością.

Alice potrzebowała kilku tygodni, by nazwać przepełniające ją uczucie: to był spokój ducha.

Czas płynął. Rachel zaczęła się zmieniać. Z początku zmiany były drobne, niezauważalne, z czasem jednak zaczęły się rzucać w oczy. Nie odstępowała Adry na krok. Ścięła włosy krótko, tak jak ona, i przywdziała taką samą szarą sukienkę z grubego płótna. Jeżeli złość nadal w niej kipiała, to pozostała dobrze ukryta, Alice nie widywała już u niej znanych oznak napięcia: wyraźnych zmarszczek na czole albo kurczowo zaciśniętych szczęk – ale w ogóle rzadko widywała matkę, bo sama miała dni wypełnione pracą na rzecz wspólnoty. Była jedynym dzieckiem w Bent Knee Hollow, ale jak wszyscy zbierała, rąbała, obierała, warzyła zupę w wielkich kotłach, układała drewno na opał, łątała ubrania, trzepała kijem koce, szyła buty. W porze żniw kobiety wynajmowały się do prac u okolicznych farmerów w zamian za jedzenie i inne towary. Pracowały w klasztornym milczeniu. W niedziele spotykały się o zmierzchu przy ogromnym ognisku, by razem śpiewać hymny i piec ziemniaki w mundurkach. Adra Norn nauczała, że ogień jest święty i gdy nadejdzie kres dziejów, oczyści cały świat. I tylko ci o czystym sercu, przestrzegala, przejdą przez ogień i zostaną zbawieni.

Oczywiście Margaret Harrogate doskonale o tym wiedziała.

Jeśli nawet nie o wszystkim, to o większości na pewno. Słyszała o Bent Knee Hollow i głupocie Adry Norn. Czytała raporty lekarzy Rachel Quicke na temat tego, co ta obłąkana kobieta uczyniła nieszczęsnym mieszkańcom komuny. Znała również treść długiego listu Coultona o Alice i stanie jej umysłu. O tak, Margaret

wiedziała bardzo dużo. Jeśli w Cairndale sekrety były walutą, to ona miała pełny portfel.

Sęk w tym, że zupełnie jej to nie interesowało. Interesował ją wyłącznie doktor Berghast – Henry – który został w Cairndale.

Nie był już człowiekiem, którego znała od lat, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Zaszła w nim jakaś złowieszcza zmiana, dostrzegalna nie tylko dla niej, ale obecnie już chyba dla wszystkich. Żaloba, lęk, smutek, nadzieja... Wszystko to stało się nieważne. Liczył się tylko drughr. Czy Henry w ogóle sypiał? Mocno w to powątpiewała. Czy śnił? Wyłącznie o drughrze. Obwinił się o wyrządzone przez niego potworności i wina ta zżerała go niczym rak. Owszem, na co dzień brzmiał rzeczowo, spokojnie, rozsądnie, ale wstyd i gniew tak długo przesączały się do jego serca, że nie tylko przestało się kojarzyć z czymkolwiek dobrym, ale także było skłonne usprawiedliwić każde działanie zmierzające do unicestwienia drughra. Margaret bała się o Henry'ego.

Pociąg pędził na południe, zachlapano deszczem okna klekotały w oprawach, a ona siedziała w małym przedziale i patrzyła na swoją śpiącą towarzyszkę podróży. Nie sposób było zaprzeczyć, że panna Quicke okazała się kobietą niezwykle dzielną, a także skrajnie lojalną – przynajmniej wobec dzieci. Pan Coulton zawsze się zarzekał, że jest godna zaufania i kompetentna.

„Cóż, wkrótce się przekonamy”, pomyślała z westchnieniem Margaret.

W tej chwili przemierzały północną Anglię. Miały za sobą dwie przesiadki, podczas każdej z nich rozglądała się po tonących w półmroku peronach w poszukiwaniu Marbera i jego litcha. Nikogo (i niczego) nie dostrzegła, ale widok kas biletowych, stoisk z prasą, samotnych mężczyzn w czarnych garniturach i kapeluszach mocno ściskających swoje aktówki nie napawał jej spokojem.

Wybiegła myślami naprzód, do Londynu. Przede wszystkim należało dać pannie Quicke odpocząć i nabrać sił. Następnie będzie musiała skontaktować się z panem Fangiem, swoim informatorem w społeczności imigrantów. Poprzez niego zdobędzie to, czego potrzebuje: broń zdolną zabić Jacoba Marbera.

Tej samej broni przed kilkoma tygodniami szukał Walter – mimo że ani jemu, ani nawet Margaret na nic by się nie zdała. Żadne z nich nie byłoby w stanie się nią posłużyć, kiras reagował wyłącznie na dotyk pyłowładcy. Jeśli jednak Margaret się nie myliła (a była praktycznie pewna, że się nie myli), to panna Quicke – za sprawą

zadanej przez Marbera rany, w której utkwiły śladowe ilości jego pyłu – powinna móc nim władać. Powinna móc go kontrolować.

Patrzyła na ściągniętą i bladą twarz młodej kobiety, na jej ramiona podrygujące w rytm ruchu pociągu, na przepływające po niej plamy światła i cienia. Panna Quicke spała w najlepsze.

„Oby tylko okazała się dostatecznie silna”, pomyślała Margaret.

Alice wcale nie spała.

Wiedziała, że pani Harrogate ją obserwuje. Wiedziała i zupełnie się tym nie przejmowała.

Żebra i głowa dawały jej się we znaki, była zmęczona, obolała i zła, że zostawiła chłopców samych w upiornej rezydencji. Spotkanie z doktorem Berghastem bynajmniej jej nie uspokoiło. Zorientowała się, że coś jest z nim nie w porządku, było widać, że zмага się z jakimś skrywanym pragnieniem, utajoną furią. Nie wiedziała, jakie jest jej źródło ani znaczenie, ale jeżeli Berghast naprawdę był opiekunem prawnym Marlowe'a, to nie spodobało się jej, że nie poświęcił chłopcu ani jednego czułego słowa. Przypomniła sobie, jaki Marlowe był dawniej, w cyrku, u boku Brynt, pełen nadziei i lęku zarazem. Pomyślała o tym, jakim nowym życiem, jaką obietnicą rodziny próbowała go skusić. Była na siebie zła, że to zrobiła.

Wszystko to jednak mogło na razie poczekać. Siedziała ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczami między innymi dlatego, że nie miała ochoty na rozmowę z panią Harrogate, nie w tej chwili, ale zmęczenie nie było jedynym powodem. Alice chciała spokojnie pomyśleć.

Przede wszystkim musiała pomścić Coultona. Był dobrym człowiekiem, w głębi serca życzliwym i honorowym. Nie zasługiwał na śmierć. A pani Harrogate miała rację: jeżeli Alice naprawdę zależało na bezpieczeństwie Marlowe'a i Charliego, będzie musiała zabić Jacoba Marbera. Raz na zawsze.

Cóż, trudno. Nie będzie to pierwsze zabójstwo w jej życiu.

Miała jedenaście lat, kiedy w Bent Knee Hollow Adra Norn rozebrała się do naga i weszła w ogień. Zaskoczone kobiety przestały śpiewać i zaczęły krzyczeć, niektóre pobiegły po wodę, inne załamały ręce i wybuchnęły płaczem, ale po

upływie paru minut Adra wyszła z pożaru niedraśnięta. Z dymiącą fryzurą i błyskiem w oku, z odsłoniętym trójkątem włosów i ciężkimi piersiami stanęła naga w blasku ognia i rozłożyła ręce w triumfalnym geście.

Żywa. Zdrowa. Święta.

W matce Alice zaszła wtedy jakaś zmiana – może zresztą nie tylko w niej, może w innych kobietach również, jednak Rachel Quicke wpadła w prawdziwą obsesję. Alice widywała ją po nocach, jak wpatrzona w blask świecy trzymała dłoń nad płomieniem albo patrzyła na śpiącą Adrę z osobliwym wyrazem oczu, w których których strach mieszał się z zachwytem i złością.

– Dla ludzi, których dotknęła Jego ręka – mamrotała pod nosem. – Dla ludzi, których dotknęła Jego ręka.

Jej dawny gniew wrócił ze zdwojoną siłą. Potrafiła godzinami bez przerwy rąbać drewno ubrana w grubą spódnicę, obojętna na zalewający ją pot. Szorowała sukienki na tarze z taką siłą, że robiły się w nich dziury. Inne kobiety na jej widok ciałniej wiązały czepki i odwracały wzrok.

Jakieś pół roku później podczas pełni księżyca Alice obudziło szarpnięcie szorstkiej dłoni: jej matka stała nad nią w ubraniu i przyciskała palec do ust. Wyprowadziła ją z dormitorium. Po drodze Alice mignęła Adra, śpiąca w dużym łóżku blisko wejścia. Matka zabrała córkę na ukwieconą łąkę, kazała jej tam czekać, a sama zniknęła w ciemnościach. Trawa mieniła się srebrzyście w blasku księżyca.

Minął może kwadrans, gdy Alice zobaczyła pomarańczowy płomień: to matka niosła pochodnię.

– Mamo?

Matka nie odpowiedziała. Dała Alice pochodnię i zaprowadziła ją z powrotem do dormitorium. Pod oknami leżały sterty słomy przyniesionej ze stodoły. Matka z dzikim, zawziętym wyrazem twarzy mocno ścisnęła nadgarstek Alice i kazała jej podpalać każdą stertę po kolei. Obeszły w ten sposób całe dormitorium. Płomienie z cichym szumem sięgały coraz wyżej.

Zdezorientowana Alice popłakiwała cicho, kręciła głową i popatrywała na matkę. Dopiero teraz zauważyła, że drzwi dormitorium zostały zabarykadowane z zewnątrz.

Żar był okrutny. Musiały się odsunąć, potem cofnąć jeszcze bardziej. Matka zabrała jej pochodnię. Ogień szybko się rozprzestrzenił, pochłaniał ściany, zakrzywiał się ponad okapem i sięgał na dach jak przygięta wiatrem wysoka trawa. Okna trzaskały z gorąca jedno po drugim. Alice zatoczyła się do tyłu i zakryła twarz dłońmi. Ze środka dobiegały okrzyki bólu.

– Mamo! – zawołała i rzuciła się naprzód.

– Stój! – powstrzymała ją matka.

Alice zamarła. Oczy kobiety pały dzikim blaskiem.

– Stój i patrz, córko! Albowiem one powstaną i wyjdą z pożogi o własnych siłach!

Alice stała, jak jej kazano – stała tak w środku nocy odziana tylko w koszulę nocną, a żar chłostał ją po twarzy niczym wichura. Nigdy nikomu nie powiedziała o tym, co zrobiła. Matka również nie zdradziła ich sekretu nikomu, nawet swojemu adwokatowi. Alice stała, patrzyła i płakała. Wielka machina jej życia wykonywała powolny obrót, a jej dzieciństwo zmierzało ku końcowi, który nastąpił na dobre wraz z procesem i uwięzieniem matki. Dla Alice nastaly głodne lata na chicagowskich ulicach. Stała i patrzyła.

Dormitorium huczało i trzeszczało, dach się zapadł, pożar szalał w najlepsze, a ze środka nikt nie wyszedł. Gwiazdy krążyły na swoich orbitach, niebo na wschodzie pojaśniało, a zachłanny ogień nie gasł.

Gabinet niemożliwości

Był późny wieczór, gdy Charlie udał się do umówionej wnęki w murze przy skraju dziedzińca. Komako, blada jak duch, już na niego czekała. Długi warkocz zwinęła i upięła sobie na głowie.

Nocne powietrze mroziło twarz i ręce. Charlie musiał wcisnąć dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać. Pod płaszczem miał tylko koszulę, żeby łatwiej było mu się wspinać. W oknach niektórych starszych talentów płonęły lampy, ich pomarańczowa poświata odbijała się w oczach Komako jak luna pożaru. Nigdzie nie było widać Ribs ani Oskara z Lymenionem.

– Ribs już czeka – wyjaśniła półgłosem Komako. – Czai się pod gabinetem Berghasta, odkąd pogaszono światła. Tylko jej nie rozpraszaaj, naprawdę potrzebujemy tych akt. Otwierając drzwi, nie będziesz jej widział, ale nie zapominaj, że cały czas tam będzie. – Zawiesiła głos. – Chyba że się znudzi, rzecz jasna. I zaśnie.

Charlie uśmiechnął się szeroko, ale na widok miny Komako natychmiast spoważniał.

Wzruszyła ramionami.

– No co, to nie byłby pierwszy raz.

– A jeśli doktor Berghast jest u siebie? – spytał Charlie. – Powiedzmy, że wespnę się do okna i...

– Nie ma go. Widziałam, jak wychodził.

– A jeśli wróci?

– Po co miałby wracać?

– Nie wiem, bo nie może spać? Zapomni czegoś?

Komako zmierzyła go pytającym spojrzeniem. Była prawie o głowę niższa.

– Jeżeli nie chcesz tego robić...

– Tego nie powiedziałem.

– Jeżeli nie chcesz tego robić – ciągnęła ściszym głosem Komako – to nie musisz. Nikt o tobie źle nie pomyśli, jeśli się boisz.

– Nie boję się – burknął Charlie. Wychylił się z wnęki, wsłuchał w noc, wreszcie wskazał ręką wschodnie skrzydło gmachu. – To tamto okno? Pod tym śmiesznym daszkiem? Nie bardzo jest się czego złapać.

– Dlatego właśnie potrzebujemy ciebie.

Charlie rozumiał, co Komako ma na myśli: wiedziała, że zadanie jest niebezpieczne i może się skończyć poważnym urazem, dlatego potrzebowali ciała, które w razie pomyłki może spaść na bruk z wysokości dziewięciu metrów i nie zostanie z niego krwawa miazga. Inaczej mówiąc, potrzebowali kogoś, kto może sobie połamać kości (nawet więcej niż raz) i mimo to nie da się złapać.

Było jednak coś, czego on sam potrzebował. I nie zamierzał opuścić gabinetu Berghasta bez tej zdobyczy.

„Nie przestajesz być głupcem. Zawsze musisz pchać rękę w ogień”, zrugął się w duchu.

Przygarbiony przemknął przez dziedziniec.

W tym samym czasie Ribs, zajęta liczeniem kwiatów na tapecie we wschodnim skrzydle, dotarła do sześciuset dwunastu i zaczęła dochodzić do wniosku, że kwiaty się przemieszczają. Nagle podniosła głowę, zastrzygła uchem, straciła rachubę... i musiała zacząć od początku. Siedziała przytulona do ściany, z kolanami przyciągniętymi do piersi i nudziła się jak mops. Była, ma się rozumieć, niewidzialna. Punkcik światła na skórze odczuwała niemal jak ukłucie prądu elektrycznego. Jakby pławiła się naga w wannie pełnej gwoździ.

Po wyjściu doktora Berghasta i jego służącego kinkiety zostały pogaszone, a drzwi zamknięte na głucho. Ciemny korytarz miał w sobie coś upiornego. Upewniwszy się, że została sama, Ribs wstała i na wszelki wypadek sprawdziła drzwi gabinetu: były zamknięte na klucz, jakżeby inaczej. Podeszła do okna. Na zewnątrz było ciemno, nie widziała Charliego ani Komako i nagle przyszło jej do

głowy, że może w ogóle nie przyjdą, może ją wystawili, zakpili z niej, żeby przesiedziała całą noc we wschodnim skrzydle, a potem rano musiała się gęsto tłumaczyć.

Uśmiechnęła się pod nosem. Może ona tak by właśnie zrobiła, ale Ko? Nie. Nigdy.

W niszy w ścianie stała stara witryna z mnóstwem sielankowych ferrotypów i rycin przedstawiających Cairndale sprzed dziesięcioleci. Pochyliła się nad nią, próbując znaleźć okna do pokoi dziewcząt, ale były w niewłaściwych miejscach.

Zaskoczyło ją, że Charlie zgodził się im pomóc. W rozmowie z Ko i Oskarem utrzymywała z niezłomnym przekonaniem, że tak będzie, bo Charlie taką właśnie ma naturę, ale prawdę mówiąc, wcale w to nie wierzyła. Dlatego – targana zazdrością na myśl o tym, że spotkali się tylko we dwoje, bez niej – zastanawiała się, co takiego powiedziała mu Ko, że zdołała go przekonać.

„Do diabła z tym. Na pewno niedługo przyjdzie. Najwyższy czas. Zrobiło się późno”, pomyślała.

Nasłuchiwała dźwięków dobiegających z zewnątrz – chrobotania o mur, klekotania łupkowych dachówek – gdy nagle usłyszała coś zupełnie innego: niespieszne kroki w głębi korytarza.

Ktoś nadchodził.

Charlie rozwiązał i zdjął buty, podwinął spodnie i położył płaszcz obok rynny. Komako nie poszła za nim przez dziedziniec, a kiedy się odwrócił, nigdzie nie było jej widać.

Cofnął się o krok, zadarł głowę i obrzucił spojrzeniem ścianę rezydencji. Gabinet Berghasta mieścił się na ostatniej, trzeciej kondygnacji zwieńczonego blankami wykusza z ogromnymi oknami. Na lewo i w dół od niego znajdował się balkon, a jeszcze dalej – na poziomie ziemi – wejście osłonięte łupkowym daszkiem. Na całej fasadzie nie brakowało kamiennych parapetów, wiekowej cegły i żelaznych rynien.

Będzie łatwo spaść.

Wydał policzki, skrzywił się, a potem lekkim krokiem doskoczył do ściany i podciągnął się na wąski daszek nad wejściem. Czuł na sobie wzrok Komako

obserwującej go z ciemności. Starał się poruszać wolno, pewnie, jakby wiedział, co robi.

Chociaż wcale nie wiedział. Nigdy nie lubił się wspinać i teraz dręczyło go niemiłe uczucie, że zwyczajnie się błążni, łażąc nocą po ścianie.

„Dobrze przynajmniej, że nie pada”, pomyślał.

Powinien bardziej się bać, że ktoś – ktokolwiek – będzie akurat przechodził korytarzem w zachodnim skrzydle, wyrzy przez okno i zobaczy go łażącego jak pajak po murze. Albo że ktoś o tej nieludzkiej porze zapanuje się na dziedziniec i usłyszy szczęk i trzask dachówek pod jego stopami.

Rozpłaszczył się na ścianie i wyciągnął daleko, jak tylko mógł najdalej, żeby czubkami palców zahaczyć o parapet najbliższego okna. Ledwie zdołał go dosięgnąć, ale zacisnął palce i podciągnął się – powoli, z wysiłkiem, niezgrabnie, szorując bokiem o cegły.

Tuż obok miał teraz załom muru. Przycisnął się doń ramieniem, sięgnął za niego i złapał się żelaznych prętów na następnym, wyższym parapecie. Skręcił szczupłe ciało, przestawił stopy i wpełzł – inaczej nie da się tego opisać – na górę: jedno kolano, drugie, wreszcie uklęknął, po czym zdołał chwiejnie wstać.

Znajdował się jakieś dziewięć metrów nad ziemią. Może nie wspinał się pięknie, ale był skuteczny. Musiał dostać się na drugie piętro i przejść w poprzek ściany do wykusza. Przymierzył się do przeskoku na balkon z żelazną balustradą, od którego dzieliło go mniej niż półtora metra. Musiał to zrobić bardzo cicho, bo nie wiedział, co znajdzie za mijanymi po drodze oknami.

Kiedy jednak spiął się do skoku, coś poszło nie tak: palce jego stopy ześliznęły się w bok z parapetu i choć rzucił się naprzód z rozcapierzonymi dłońmi, w niewytłumaczalny sposób chybił krawędzi balkonu i spadł. Powietrze zaświszczało mu w uszach.

„Ech, Charlie”, zdążył jeszcze pomyśleć, „ależ z ciebie przekłety...”.

Ciemne płyty dziedzińca wybiegły mu na spotkanie i ucięły myśl w połowie.

W ciemności z za zakrętu korytarza wyłoniła się postać – wysoka, w surducie, bez kapelusza. Ribs natychmiast rozpoznała Bailey'a, osobistego służącego doktora Berghasta. Mimo że pozostała niewidoczna, przycisnęła się do ściany.

„Charlie, gdziekolwiek jesteś, nie przychodź jeszcze. Jeszcze nie teraz”, pomyślała.

Bailey był przerażający. Głowę miał kościstą jak naga czaszka i prawie się nie odzywał, tytał tylko na wszystkich groźnie z taką miną, jakby miał ochotę udusić każdego, kto się nawinie, włącznie z dziećmi i talentami. Był po części służącym Berghasta, po części jego sekretarzem, po części zaś małpą. Ribs nie wiedziała dokładnie, jakie usługi świadczy doktorowi, ale na pewno nie było to nic przyjemnego.

Zatrzymał się przed drzwiami gabinetu i zaczął powoli przeglądać pęk zawieszonych na kółku kluczy. W pewnym momencie przestał, zmarszczył brwi i się rozejrzał. Patrząc dokładnie w to miejsce, w którym czaiła się Ribs, zupełnie jakby ją widział, powoli wyciągnął przed siebie rękę i zaczął macać w powietrzu.

Ribs jeszcze mocniej przywarła do ściany poza jego zasięgiem. Wyciągniętym palcem Bailey'a zabrakło dosłownie milimetrów, żeby dotknąć jej twarzy, kiedy wreszcie usatysfakcjonowany odwrócił się do solidnych drzwi, znalazł właściwy klucz i otworzył zamek.

Ribs ledwie ważyła się wypuścić powietrze z płuc. Serce w piersi waliło jej jak oszalałe. Przyzwyczaiła się, że niektórzy ludzie wyczuwają jej obecność i rozglądają się podejrzliwie, ale mało kto był aż tak precyzyjny jak Bailey.

„Niepotrzebnie się przejmujesz”, upomniała się w duchu. „Nie robiłaś nic złego. Jeśli chcesz, możesz sobie stać na korytarzu. To nie przestępstwo”.

Kiedy snuła takie rozważania i czekała, aż serce jej się uspokoi, Bailey schylił się w progu i wszedł do niedużej poczekalni. Ribs bezszelestnie przysunęła się do drzwi. W poczekalni stały małe biurko, przy którym Bailey pracował w ciągu dnia, i dwa fotele dla gości. Naprzeciw wejścia znajdowały się drzwi do gabinetu Berghasta.

Otwarte.

„Niech bozia ma w opiece pańskie małe, zimne serduszko, panie Bailey”, pomyślała Ribs i uśmiechnęła się z przekąsem. Rozejrzała się po korytarzu, znów zajrzała do poczekalni... Nagle przypomniała sobie o Charliem: jeżeli wdrapie się na okno, kiedy Bailey będzie w gabinecie...

Musiła go jakoś ostrzec.

Zacisnęła zęby i bezgłośnie wśliznęła się za drzwi.

Charlie skrzywił się z zakłopotania. Komako klęczała nad nim, bojąc się go dotknąć, i szeptała jego imię. Czuł, że połamane piszczele już zaczynają się zrastać. Coś było nie tak z biodrem, miał też wybity bark po tym, jak uderzył bokiem o ziemię. Usiadł, nie zważając na ból, nastawił sobie bark i czekał, aż jego ciało wśród chrzęstów i zgrzytów odzyska dawny kształt.

Słodki Jezu, ależ to bolało.

Miał zakrwawioną twarz i rękę, krew zalewała mu także oczy i musiał ją wytrzeć rękawem koszuli. Komako cofnęła się w cień. Na jej twarzy malował się strach, ale też coś jeszcze – fascynacja. Charlie ze zdumieniem stwierdził, że to mu się podoba.

– Charlie? – szepnęła. – Jesteś cały?

– Pewnie. – Wzruszył ramionami i spróbował się uśmiechnąć. – Po prostu ten balkon niezbyt mnie lubi. Nikt nie słyszał?

– Nie.

Tyle dobrego.

Wstał, krzywiąc się z bólu. Ziemia lepiała mu się do wilgotnych podeszew stóp i musiał je wytrzeć o wewnętrzną stronę nogawek, zanim znów zaczął się wspinać. Tym razem posuwał się szybciej, odważniej, jakby najgorsze miał już za sobą i nie było się czego bać: parapet, balkon, parapet – przemieszczał się pewnie, w równym tempie. W jednym oknie płonęła świeca. Widząc przesuwaną się przed nią cień, Charlie przywarł do ściany i czekał. Kiedy jednak nic więcej się nie poruszyło, prześliznął się na drugą stronę okna i kontynuował wspinaczkę.

W którymś momencie, znalazłszy się dalej, niż zaszedł za pierwszym razem, zahaczył nogą o starą ołowianą rynnę. Znieruchomiał wsłuchany w metaliczny łoskot niosący się echem po dziedzińcu, przekonany, że ktoś przecież musiał to usłyszeć. Nikt się jednak nie pojawił. Nie otworzyło się ani jedno okno.

Ruszył dalej.

Ribs patrzyła, jak siedzący przy biurku Bailey powoli przetrząsa zawartość szuflad. Zapalił świecę, której pomarańczowy odblask pląsał po jego twarzy, blacie biurka i dywanie. Bailey po kolei brał wielkie księgi i pliki papierów w wielgachne dłonie i bez pośpiechu układał je w stos.

Ribs cichutko przekradła się w bok od drzwi do gabinetu i tam znieruchomiła, ledwie śmiejąc oddychać. Nawet minimalne zafalowanie powietrza mogło sprawić, że ktoś wyczuje jej obecność, a Bailey zdawał się wyjątkowo świadomy wszystkiego, co się wokół niego dzieje.

Wcześniej tylko dwukrotnie odwiedziła gabinet Berghasta, za każdym razem na jego wyraźne polecenie: pierwszy raz krótko po przybyciu do Cairndale, kiedy to została przedstawiona doktorowi, drugi – pośród chaosu i paniki po ataku Jacoba Marbera. Zapamiętała jasnoszare oczy doktora, jak gdyby rozświetlone od wewnątrz. Patrzyły na nią tak przenikliwie, jakby zaglądały jej wprost do serca. Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

Gabinet był mroczny, bardzo zimny i urządzony ciężkimi, przytłaczającymi sprzętami. W jednym krańcu znajdował się wyrzeźbiony w białym kamieniu kominek, obok niego biurko i kilka foteli ustawionych w półksiężyc. W trzech ścianach były drzwi, nazbyt liczne, każde inne, niepasujące do wnętrza, dziwaczne, niepodobne do żadnych innych w całym Instytucie. Ribs była ciekawa, dokąd prowadzą. Na jednej ze ścian wisiał podłużny, osobliwie oprawiony rysunek wykonany tuszem, przedstawiający nakładające się okręgi pocięte liniami prostymi. Nie wiedzieć czemu przywodził na myśl schemat wnętrza potężnego, skomplikowanego drzewa. W kącie stała wysoka klatka, w której wierciły się i klekotały dwa kościane ptaki. Na koniec wzrok Ribs padł na szerokie panoramiczne okno. Zasłony były rozsunięte, żelazne pręty na zewnętrznym parapecie wyraźnie widoczne mimo oślepiającego odbicia światła w szybie. Owca

Charliego nigdzie nie było widać.

W końcu Bailey znalazł to, czego szukał: odłożył wybrany plik dokumentów na bok i zaczął chować resztę na miejsce. Odkasznął, przetarł ręką oczy i w tej krótkiej chwili wydał się Ribs niemal ludzki, bezbronny, z cieniem rozlewającym mu się spod dłoni jak płynna ciemność. Patrzyła na niego z fascynacją. Lubiła przyłapywać ludzi w takich momentach. Podobała jej się prawda, jaka się wtedy przed nią odkrywała.

I właśnie wtedy Bailey odwrócił się i spojrział w okno. Serce podeszło Ribs do gardła. Ona również usłyszała ten dźwięk.

Ciche szurnięcie, jakby za oknem czyjaś dłoń namacała dogodny uchwyt.

Bailey wstał.

Charlie stał wychylony ponad ciemnością i oddychał, po prostu oddychał. Jedną ręką trzymał się żelaznej balustrady, drugą ostrożnie obmacywał krawędź pochyłego kamiennego parapetu. Palcami stóp zahaczył o gzyms pod oknem i trzymał mocno, zbyt mocno. Nagle zdał sobie sprawę, że jeśli rozluźni palce, to odchyli się od ściany i spadnie.

I wtedy palce jego dłoni namacały głęboki rowek, w sam raz zdatny, żeby utrzymać jego ciężar. Skrzywił się, puścił jedną ręką, rozhuśtał i wykorzystując impet bujnięcia, podciągnął się wyżej. Aż stęknął z wysiłku.

Stał na gzymsie pod dachem budynku. Bolały go ręce i brzuch, w całym ciele czuł ogniki po upadku, ale teraz był już blisko, naprawdę blisko: wyrzawszy za róg gmachu, widział już panoramiczne okno gabinetu. Sterczące z parapetu szpikulce wyglądały groźnie. Przyszło mu do głowy, że mógłby wspiać się na dach i w ten sposób je obejść, gdy wtem dostrzegł wąski, prawie niewidoczny ceglany gzymsik łączący miejsce, w którym stał, z parapetem okna gabinetu.

Oczywiście po drodze nie miał się czego chwycić – ale nie było daleko: może przy odrobinie szczęścia niesiony rozpędem przesmyknie po wążutkim jak moneta występie i złapie się szpikulców, zamiast przelecieć tuż obok nich i znowu spaść.

Może.

Widział stojącą w dole Komako: z opuszczonymi rękami i zadartą głową śledziła jego ruchy. Ciekaw był, jak w tej chwili wygląda.

„Pospiesz się. Od czekania gabinet się nie przybliży”, ponaglił się w duchu.

Na chwilę zamknął oczy, odetchnął głęboko, zwilżył wargi językiem. Przykucnął, wybił się z obu nóg i dwoma pospiesznymi krokami przebiegł po gzymsiku nie tyle nawet balansując na nim, ile raczej kontrolując upadek. Wyciągnął ręce do parapetu pod oknem i nadzieją się na wystające z niego szpikulce, nabił się na nie ramionami i w ten krwawy sposób zawisł w powietrzu, machając nogami w pustce.

Czuł, jak biceps napina się i rwie pod jego ciężarem i jak to samo dzieje się z mięśniami przedramienia i dłoni. Ból był potworny. Krew wsiąkała mu w koszulę. Kiedy się szarpnął, szpikulce rozpruły mu nadgarstek, rozpychając się wśród drobnych, ptasich kosteczek. Ogarnęła go fala mdłości.

A potem – nie wiedząc jak i kiedy, wielkim wysiłkiem woli – znalazł się na górze, podciągnął się, wyszarpnął nadziane na kolce ręce i przycisnął do piersi. Przyklęknął, oparty o szybę, gdy wtem usłyszał metaliczny szczęk: ktoś odblokował i otworzył zasuwkę i okno otworzyło się na zewnątrz, omal nie spychając go przy tym z parapetu.

W oknie nikt się nie pojawił, dał się za to słyszeć przyciszony, nagły głos:

– Nie spieszyłeś się... Bardziej nie dało się hałasować?

Coś złapało go za przód koszuli i wciągnęło do pokoju. Osunął się w krwawy stos na dywan. Ribs skwitowała jego widok nienadającym się do powtórzenia przekleństwem.

Prawdę mówiąc, Ribs myślała, że już po nich – albo przynajmniej po Charliem, bo kiedy Bailey niczym chodzący nagrobek ciężkim krokiem podszedł do okna, była przekonana, święcie przekonana, że to właśnie Charliego usłyszała.

A jednak nie, to było coś innego. Ptak? Nietoperz? W każdym razie nie Charlie, który najwyraźniej miał dwa razy więcej szczęścia – i zarazem dwukrotnie mniej kości, którymi rzucał. Jakoś zawsze umiał się wygrzebać z tarapatów.

Była to jedna z rzeczy, które jej się w nim podobały.

Bailey wrócił do biurka, zgarnął papiery, po które przyszedł, pozostałe poupychał po szufladach, a te następnie starannie zamknął. Kciukiem i palcem wskazującym zgasił świecę i nagle zapadła ciemność. Ribs wstrzymała oddech i, niewidzialna i bezgłośnie, nadstawiła ucha. Drzwi się zamknęły, szczęknął zamek. Kroki Bailey'a rozbrzmiały w poczekalni, potem na korytarzu, w końcu ucichły w oddali.

Odetchnęła z ulgą.

Zawsze coś się musiało wydarzyć.

I właśnie wtedy usłyszała Charliego, tym razem prawdziwego Charliego, który sapiąc, skrobiąc i na oślep łapiąc się muru, gramolił się na zewnętrzny parapet. Podbiegła do okna, otworzyła je i wciągnęła go do środka.

Wyglądał fatalnie: obdarty, zakrwawiony, z poharatanymi rękami... ale na jej oczach rany zamykały się, zasklepiały, leczyły. Obie ręce trzymał dziwacznie wykręcone, żeby krew nie kapiała na dywan ani na meble, a było jej mnóstwo. Było widać ubrudzone nią dłonie Ribs, mimo że reszta jej ciała pozostała niewidzialna.

– Jak tu weszłaś? – spytał Charlie szeptem.

Patrzył na zamknięte w klatce kościane ptaki. Ribs, stojąca nieco z boku, odchrząknęła, a wtedy pospiesznie zwrócił się w jej kierunku.

– Ribs? Tam jesteś?

– Nie panikuj. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Farciarz z ciebie, Charlie. Dopiero co był tutaj sekretarz Berghasta, szukał jakichś papierów. Gdybyś się ociupinkę pospieszył, spotkalibyście się oko w oko.

Charlie przetrwał jej słowa i skinął głową w charakterystyczny dla siebie, niepewny sposób.

– Spadłem – wyjaśnił. – Inaczej faktycznie byłbym wcześniej.

Ribs parsknęła śmiechem.

– No to dzięki Bogu, że nie jesteś tak zwinny jak ja. Bo musiałabym dźgnąć starego Baileya pogrzebaczem, a potem schować się w damskiej łazience.

Pogrążony w ciemnościach gabinet sprawiał upiorne wrażenie.

Charlie słyszał, jak Ribs podchodzi do stojącej pod ścianą wielkiej drewnianej szafy na dokumenty i zaczyna majstrować przy szufladach. Długi, ciężki plik akt poszybował w powietrzu, zadygotał, osunął się na podłogę. Samej Ribs oczywiście nie było widać, tylko niepewne ruchy teczek z papierami. Jedna z nich uniosła się i otworzyła. Była pusta. Wróciła na miejsce, otworzyła się inna – również pusta.

– Nie my jedni interesujemy się tymi znikającymi dzieciakami – wyszeptała Ribs. – Dziwne. Kto mógł zabrać wszystkie dokumenty, a zostawić te czki?

Poleciała Charliemu odłożyć szuflady na miejsce, a sama już wyciągała następną i bobrowała w aktach. Teczki zaginionych dzieci zostały opróżnione. Ogółem tych teczek mogło być około dziewięćdziesięciu, może stu.

„Wszystkie zgromadzone w Cairndale talenty”, pomyślał z niedowierzaniem Charlie.

Ułożone alfabetycznie. Pochylił się nad literą O, znalazł swoją teczkę, szukał dalej. Więcej Owidów nie było.

Wzdrygnął się, czując dotknięcie Ribs, i podniósł wzrok. Obok niego unosiła się w powietrzu otwarta teczka, przewracały się kartki. Ribs wpadła na ten sam pomysł: wyjęła swoje akta.

– Myślałam, że będzie tego więcej, wiesz? – mruknęła. – W końcu nie jestem tu od wczoraj. Zobaczmy no... Inteligentna, tak, odporna, zgadza się, ale dlaczego w „umiejętnościach” nic nie ma? Umiem to i owo... Gadatliwa... Ja gadatliwa? – Teczka się zamknęła, odwróciła bokiem, ponownie otworzyła. – To na pewno właściwe akta? Brakuje jej wytrwałości w staraniach, łatwo się rozprasza... Ha. – Roześmiała się. – To chyba racja. Zobacz, Charlie, zobacz: przypuszczalnie pochodzi z Kornwalii! Nie jestem z żadnej Kornwalii, do cholery! – Położyła teczkę na biurku i sięgnęła po pióro.

– Co robisz? – spytał szeptem Charlie.

– Uzupełniam. Jak się pisze „urzekająca”?

– Co?

Pióro zachrobotło o papier.

– Panna Davenshaw twierdzi, że Eleanor wykazuje wybitne uzdolnienia we wszystkich dziedzinach, przewyższając nawet pannę Onoe, której wyniki w ostatnim okresie są raczej rozczarowujące... – Ribs zawiesiła głos. – Tak lepiej. – Pióro znieruchomiało. – Coś nie tak, Charlie? Tu masz swoją teczkę.

Charlie zamarł z dłonią zawieszoną nad swoimi aktami. Jeżeli miał nadzieję znaleźć teczkę drugiego Ovida, wskazówkę, kim mógł być jego ojciec, to czekało go rozczarowanie. Otworzył swoje akta i zaczął czytać od początku, od pierwszego wycinka. Szczegółów było jednak niewiele i nie bardzo mu pomogły. Lista zarzutów, które przedstawiono mu w Natchez. Interesujący list od pana Coultona z opisem Charliego i jego talentu: „Młodego człowieka cechuje wielka prawość mimo okrucieństw, jakim go poddawano. Godny kandydat na ucznia Cairndale”. I żadnej wzmianki o jego pochodzeniu lub miejscu urodzenia.

Za to na samym końcu znalazł drugą teczkę, wciśniętą tam jakby przez pomyłkę. Była podpisana *Hywel Owydd*.

To był jego ojciec, Charlie wiedział to, zanim jeszcze zaczął czytać. Nie znał nazwiska ojca, a jednak był pewny, że ma rację, bez cienia wątpliwości. Krew dudniła mu w uszach. Odwrócił się plecami do Ribs i powoli zaczął czytać, korzystając z wpadającego przez okno mizernego światła.

Wyglądało na to, że jego ojciec był Walijszczykiem. Przybył do Cairndale w wieku dwunastu lat po tym, jak manifestował dar dendela, siłacza, najpowszechniejszy z talentów. Mimo młodego wieku od dwóch lat pracował już wtedy

w kamieniołomie i do jego uwolnienia niezbędna okazała się jakaś forma zachęty dla jego nadzorcy (tak właśnie zapisano to w aktach: „forma zachęty”). Został opisany jako „małomówny, uzdolniony matematycznie, drobnej budowy ciała”. Dwukrotnie upomniany za pływanie nago w jeziorze. Dalej następowało kilkanaście opatrzonych uwagami stron opisujących jego postępy w nauce oraz jeszcze jedna strona z mnóstwem dat i skrótów, które nie miały żadnego sensu. Na końcu znajdował się zapisek z lutego 1864 roku odnoszący się do jego nagłego zniknięcia z Cairndale.

„Widziany w Londynie przez R. F.”, brzmiała tajemnicza adnotacja. „Talent znacznie osłabiony. Ex-73”.

Charlie patrzył i patrzył, ale nie potrafił rozszyfrować tych skrótów. U dołu strony widniała nagryzmołona niebieskim atramentem uwaga: „H.O. zniknął. Brak dalszych szczegółów. R. donosi, że Tamiza wezbrała. Obiekt najprawdopodobniej nie żyje”.

W gabinecie nic się nie poruszało, słaba księżycowa poświata sączyła się przez okno. W całej rezydencji panowała niczym niezmacona cisza.

„Hywel Owydd. Mój tata”, pomyślał rozgoryczony Charlie.

Wciąż nie znał i nigdy nie pozna ojca, który w jego wieku przemierzał te same ponure korytarze, potem z jakiegoś powodu uciekł do Londynu i nie miał na świecie żadnej rodziny, która by go zechciała – poza tą, którą miał w przyszłości założyć, a następnie stracić na bezkresnym amerykańskim zachodzie.

– Co tam masz? – zainteresowała się Ribs. Charlie próbował się odsunąć, ale było już za późno. – Owydd? – odczytała półgłosem. – Znaczy... jak Ovid?

– To mój ojciec – przytaknął cicho Charlie.

Wzięła teczkę z jego rąk, zaczęła przekładać kartki... Chrząknęła.

– To nie ma sensu, Charlie. Nie mógł być talentem. To tak nie działa. Talentów się nie dziedziczy w rodzinie, są bardziej... przypadkowe, nie? Dlatego rodzice zwykle wyrzucają dziecko z domu, kiedy odkryją, co potrafi.

Charlie z wysiłkiem przełknął rosnącą w gardle gulę.

– No proszę... – Ribs czytała dalej. – Więc był w Londynie?

Trochę to było niepokojące nie widzieć Ribs, kiedy się z nią rozmawia. Charlie patrzył na unoszącą się w półmroku teczkę.

– Czy to coś znaczy? – zapytał szeptem. – Słyszałaś o tym, żeby jakiś talent stąd wyjechał? Myślisz, że uciekł?

– Aż do Londynu? Nieee... Ale odsyła się tam wygnańców.

– Kogo?

– Tych, którzy po osiągnięciu dorosłości tracą talent. Nie wszyscy tak mają, ale czasem to się zdarza. Nikt nie wie dlaczego. – Głos Ribs stał się bardzo cichy. – To okropnie smutne, trudno jest tak wrócić pomiędzy zwykłych ludzi, nie potrafiąc już tego co dawniej. Trochę tak, jakby człowiek tracił część siebie. Żal mi twojego staruszka.

Charlie podrapał się knykciem po nosie. Próbował sobie to wszystko wyobrazić.

– Był dzieckiem jak my.

Ribs zamknęła teczkę i odłożyła ją z powrotem do szuflady.

– Gdybyś kiedyś chciał o tym pogadać – zabrzmiał tuż przy uchu Charliego jej głos – to jestem świetną słuchaczką. Nawet się nie zorientujesz, że jestem przy tobie. Każdy z nas ma swoją historię, Charlie. Każdy wie, jak to jest.

Charlie poczuł, że się rumieni.

Na szczęście Ribs zdążyła się zainteresować szufladami biurka. Wszystkie były zamknięte. Zmieszany Charlie odwrócił się, wciąż jeszcze myśląc o ojcu, i wtedy jego uwagę zwróciło coś na dywanie.

Był to dziennik doktora Berghasta, który musiał wypaść spomiędzy papierów przeglądanych przez Baileyą. Ribs go podniosła. W dalszym ciągu nie zapalili świecy, więc cofnęła się pod okno i w sączącej się przez nie bladej poświacie zaczęła przewracać kartki. Trudno było odszyfrować pismo doktora. Ciąg dat, liczb i liter dla Berghasta zapewne coś znaczył, ale Ribs i Charlie nie umieli z niego nic wyczytać. Następna strona: wykresy i – być może – coś jakby mapy.

Charlie przestał krwawić i zaczął się odważnie rozglądać po gabinecie: oglądał z bliska co bardziej niezwykle przedmioty i próbował otworzyć drzwi, kiedy jednak Ribs nagle ze świstem wciągnęła powietrze, natychmiast do niej podszedł.

– Co tam masz? – szepnął. – Co znalazłaś?

Unoszący się w powietrzu dziennik zamknął się.

– Ribs?

– Chyba już wiem, z kim musimy porozmawiać – mruknęła Ribs. – Na pewno nie z tym przeklętym Berghastem.

– Z Pajakiem?! – Komako wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem. Było późno. Spotkali się w sali lekcyjnej i starali się mówić jak najciszej. Zerknęła pytająco na Charliego. – Ona mówi serio?

Charlie zamrugął w blasku świecy.

– Tak przypuszczam.

Wydawał się przygaszony. Może po prostu był zmęczony. Komako zdawała sobie sprawę, że będzie musiał w jakiś sposób pozbyć się podartej, zakrwawionej koszuli. Jego upadek wyglądał okropnie: sylwetka spadająca z góry w ciemnościach, a potem głuchy łoskot uderzenia o bruk.

– Tak, mówię serio – potaknęła szeptem Ribs. Była widzialna: ubrała się w szary fartuch, gęste kępy rudych włosów sterczały jej na wszystkie strony. – Słowo honoru, klnę się na...

– Dobra, dobra. Rozumiem.

– A ja nie – przyznał wyraźnie podenerwowany Oskar. Stojący obok Lymenion burknął gardłowo, jakby na znak zgody. – Po co Pajakowi te... te... te znikające talenty?

Ribs mrugnęła porozumiewawczo.

– Może je zjada.

Komako spiorunowała ją wzrokiem.

– Nie piszą o tym w tym przeklętym dzienniku, jasne? – zachnęła się Ribs. – Są tylko ich nazwiska w jednej kolumnie i powtarzające się nazwisko Pajaka w drugiej. A na następnej stronie są rozpisane zamówienia na świece, razem z datami i godzinami dostaw. Więc tak sobie myślę, że chyba musimy do niego pójść i po prostu zapytać.

Oskar głośno przełknął ślinę. Na przemian nawijał sznurek na palec i go odwijał.

– Zapytać... Pajaka, tak?

Komako się skrzywiła. Nie ulegało wątpliwości, że Ribs ma rację: musieli sprawdzić, jak dużo uda im się dowiedzieć od glifina. Może wystarczy, że poszuka

zaginionych talentów tak, jak to zawsze robi, spróbuje je wyczuć. Może to właśnie miał na myśli doktor Berghast, może on również szukał tych zaginionych dzieci.

– Odłożyłam dziennik na miejsce. Nie mogłam go przecież zabrać ze sobą, nie?

– Odłożyłaś go.

– No tak.

– To dobrze. Bardzo dobrze. I nie zostawiliście żadnych śladów?

– Żadnych.

Jednak Komako wychwyciła w głosie Ribs podejrzaną nutę.

– Charlie? – zagadnęła. – Czego Ribs nie chce nam powiedzieć?

– Słucham? Eee... no... Krew. Było trochę krwi. Coś mogło skapnąć na dywan.

Komako nerwowo oblizwała usta.

– Twojej krwi, tak?

Charlie z roztargnieniem skinął głową.

– Dziadek Berghast niczego nie zauważy – pospieszyła z zapewnieniem Ribs. – A nawet jeśli, to i tak nie będzie wiedział, czyja to krew. Po Charliem nic nie znać, nie ma nawet zadrapania. Zresztą czego któreś z nas miałoby szukać w jego gabinecie? Nie wymyślaj problemów, Ko. Byliśmy jak wiatr w gałęziach drzewa.

– Jak poetycko.

Pięgowata twarz Ribs wykrzywiła się w uśmiechu.

– Ma się ten dar.

Oskar zakaszlał nieśmiało. Wpatrywał się z namaszczeniem w swój owinięty sznurkiem palec.

– Nie lubię... Pająka – wymamrotał. – Przeraza mnie. Ale panna Davenshaw mówi, że to jest... jak pajęczyna. Że wszystko się ze sobą łączy. Że Pająk umie... umie... umie wyczuć, kiedy coś w tej pajęczynie się porusza. Czuje jej drgania. W taki sposób znajduje talenty. Kiedy śpi. Może znajdzie Brendana, Wisławę i inne zaginione dzieci?

– Na pewno. U siebie w brzuchu.

– Ribs...

– Chodzi mi o to – ciągnął Oskar – że on... on taki właśnie jest, prawda? Umie znajdować różne rzeczy. Dzieci, takie jak my. To on znalazł Charliego

i Marlowe'a...

– Mnie znalazł pan Coulton – wtrącił Charlie.

– Pewnie, geniuszu – zakpiła Ribs – ale skąd wiedział, gdzie szukać?

– Oskar ma rację – orzekła stanowczo Komako, skubiąc warkocz. – Nawet jeśli Pająk nie ma z tą sprawą nic wspólnego, może zdoła nam pomóc. Wystarczy, że będziemy wiedzieli, gdzie szukać. Już samo to może nas naprowadzić na jakieś odpowiedzi. W każdym razie nikt z nas nie jest tu bezpieczny, to właśnie wynika z zapisków Berghasta. I druga rzecz: wszystkie zniknięcia są ze sobą powiązane. Czyli mieliśmy rację. Skoro tamci mogli zniknąć, nam też to grozi. Musimy porozmawiać z Pajakiem.

– Czy nie tego właśnie zakazała nam wprost panna Davenshaw? – Charlie otrząsnął się z zamyślenia.

– Owszem – przyznała Ribs. Podniosła rękę. – To jak, kto chce do niego pójść?

Komako też podniosła rękę. Następny był Oskar, chwilę potem Lymenion.

– Charlie? – zagadnęła Komako.

– Char-lie – wyszeptała Ribs. – Char-lie...

Charlie wydał policzki i zrobił zatroskaną minę.

– Naprawdę myślicie, że Pająk zechce z nami porozmawiać?

– Musimy go ładnie poprosić, nie? – Ribs znów puściła oko. – A on wie naprawdę mnóstwo rzeczy.

– Kiedy idziemy? – zapytał Charlie.

– Od razu – zaproponowała Ribs. – Jeszcze dzisiaj.

– Jutro – powiedziała Komako.

Siedzący przy kominku Oskar spuścił wzrok. Na fotelu naprzeciwko ciałolbrzym też siedział ze spuszczoną głową, garbiąc się w podobny sposób.

– Jutro? – powtórzył żałośnie Oskar. – Czy to aby nie... za wcześnie?

W tej samej chwili z drugiego końca pokoju dobiegł czyjś głos. Kasetonowe drzwi były otwarte, stał w nich Marlowe odziany w nocną koszulę. Był upiornie blady, miał zapadnięte oczy.

– Ja też chcę iść – oznajmił.

– Ojejku! – mruknęła Ribs. – A ten skąd się tu wziął?

– Mar? – zdziwił się Charlie. – Długo tak stoisz? – Wstał, podszedł do Marlowe’a, zamknął drzwi i uklęknął przy nim. – I co w ogóle tutaj robisz? Znów miałeś jeden z tych swoich snów?

Chłopiec pokiwał głową. Zerknął ponad ramieniem Charliego i spojrział w oczy Komako, która natychmiast odwróciła wzrok – choć nie umiałyby powiedzieć dlaczego.

Problem polegał na tym, że widok tego malucha za każdym razem łamał jej serce. Patrząc na niego, widziała swoją młodszą siostrzyczkę Teshi. Nie miało znaczenia, że Teshi – gdyby wciąż żyła – byłaby dzisiaj dwa razy starsza. Komako nadal czuła jej drobną rączkę w swojej dłoni, pamiętała, jak Teshi wyciągała ramiona, żeby ją wziąć na ręce – Komako sadzała ją sobie wtedy na biodrze; jak w niektóre poranki Teshi siadywała za jej plecami i małymi paluszkami przeczesywała jej włosy, miękko, delikatnie niczym łagodny zefirek; jak potrafiła się uśmiechnąć, zanim jeszcze Ko powiedziała jej, czego chce; jak ziewała – dosłownie całą buzią, odsłaniając drobne ząbki. Pamiętała wszystko.

– Chcę iść z wami zobaczyć Pajaka – powtórzył Marlowe i zacisnął zęby w upartym grymasie. – Nie zostawiaj mnie, Charlie. Obiecałeś, że mnie nie zostawisz.

Nikt się nie odezwał.

Ciałolbrzym uniósł pozbawioną twarzy głowę. Było w nim coś żalosego i uroczego zarazem. Sapnął głośno, przez nos.

– Rrrh – zadudnił.

Następnego ranka wszyscy byli zmęczeni, ale jeżeli panna Davenshaw to zauważyła, to w żaden sposób nie skomentowała. Kiedy jednak nikt nie potrafił odpowiedzieć na zadawane przez nią pytania, z wyraźną irytacją zatrzasnęła podręcznik, wstała i kazała wszystkim iść za nią. Wzięła ze sobą świecę na spodeczku (nie dla siebie, ma się rozumieć) i sprowadziła ich w głąb mrocznych podziemi Cairndale. Powietrze było zimne. Świeca zamigotała, przygasła, po czym znów się rozjarzyła. Kamienie zalatywały rozkładem. Poszarpane pajęczyny falowały w podmuchach powietrza. Charlie rozmyślał o Pajaku, o swoich aktach w gabinecie Berghasta i o tym, jakie to wszystko jest niesamowite. Ciekaw był, czego dowiedzą się od Pajaka.

Szli szerokim korytarzem wyłożonym kamiennymi płytami. W niektórych miejscach ściany zapadły się lekko pod wielusetletnim naporem ziemi, posadzkę pokrywał kurz, w którym odciskały się ślady idących. Panna Davenshaw – choć niewidoma – prowadziła szybko, niemal ze złością, aż Charlie zaczął się zastanawiać, czy jej talent (na czymkolwiek polegał) nie dublował przypadkiem zmysłu wzroku. Była ubrana w powłóczytą zieloną sukienkę, którą zmiatała kurz z podłogi. Włosy związała w sztywny kok, szyję – długą i jasnoskórą – zdobiła wąska aksamitka.

Charlie był tu pierwszy raz, ale innym to miejsce było już znane.

– Oskarowi to nie przeszkadza – usłyszał tuż przy uchu głos Ribs – ale dla mnie dzieci w słojach są tak samo obrzydliwe jak ślimak w zapiekance.

– Nie ociążać się! – ponagliła ich zniecierpliwiona panna Davenshaw, zupełnie jakby usłyszała ich rozmowę. Ciemność pochwyciła jej głos i poniosła go szeptem w dal.

Zaprowadziła ich do niewielkiego składziku z mnóstwem regałów, na których stały słoje ze zdeformowanymi ludzkimi płodami. Wetknęła świecę w uchwyt na ścianie, migotliwe światło budziło najdziwaczniejsze cienie. Marlowe wzięła Charliego za rękę i podszedł bliżej.

– Czym jesteśmy? – zagadnęła mentorskim tonem panna Davenshaw. – Jaka jest natura istoty zwanej człowiekiem? Czy zostaliśmy stworzeni na Boży obraz i podobieństwo, hm? Śmiało, spójrzcie na zgromadzone na tych półkach okazy. Zastanówcie się nad tym, co widzicie. W tym miejscu nadmierną wrażliwość zostawiamy przed drzwiami.

Wszyscy ruszyli posłusznie wzdłuż półek, zaglądając po kolei do brudnych słoików. Charlie z Marlowe'em wzięli przykład z przyjaciół. Były tam niemowlęta z jednym tylko okiem, oparte o ściany słoików, jak pogrążone we śnie, były takie, które w miejscu czaszki miały masę powęzłonego mięsa, a także inne – z przesadnie wielkimi głowami, z dwiema głowami zamiast jednej, a nawet dziecko z jedną głową, za to dwoma tułowiami. W blasku świecy niemal zdawały się poruszać.

– Jak brzmi naukowe określenie tych słoików, panno Ribbon?

– To okazy teratologiczne, panno Davenshaw – odparła potulnie Ribs.

– W rzeczy samej. Widzicie tutaj okazy ze śmiertelnymi wadami twarzoczaszki, bliźnięta syjamskie, a także dzieci z cyklopią. Z punktu widzenia medycyny to

potwory. Jeśli jednak mamy zrozumieć, kim jesteśmy, powinniśmy się zastanowić nad tym, jak powstaliśmy. Wszystko, co tu widzicie, powstało w zgodzie z własną specyficzną logiką. Te aberracje nie mają nic przypadkowego ani arbitralnego, każda z nich różni się od normalnie rozwiniętego w łonie płodu w sposób powtarzalny i przewidywalny. Wypiekamy się w łonie jak ciasto w piecu. Jeżeli przepis będzie wadliwy albo składniki źle wymieszane, efekt będzie odbiegał od pożądanego. – Panna Davenshaw klasnęła w dłonie i odwróciła się do swoich uczniów. – Każde z was jest inne w takim właśnie sensie, tyle że w waszym wypadku decydujący był nie tyle niedoskonały przepis, ile dodatek innego składnika, który doprowadził do rozwinięcia się waszego talentu. Patrzcie więc uważnie i współczujcie. W byciu innym nie ma niczego potwornego, moje dzieci. To dzieło natury.

Charlie patrzył i czuł, jak wzbiera w nim współczucie.

– A to co takiego? – Panna Davenshaw wskazała skurczoną, zasuszoną pół małpę, pół rybę, zmumifikowaną, złowrogą, groźnie szczerzącą zęby. – Niektórzy mówią, że to syrena.

– To oszustwo – powiedziała Komako. – Ktoś przyszył małpie rybi ogon.

– Tego rodzaju hybryda, moje dzieci, byłaby prawdziwą aberracją. Pies ze skrzydłami, wielki kot z głową orła i tym podobne stwory nie istnieją. Panno Onoe, jakie przyczyny powstawania monstrualnych bytów wskazuje alchemik Paré?

Komako oblizwała wargi.

– Pierwszą jest chwała Boga – odparła. – Drugą Jego gniew. Trzecią nadmiar nasienia. Czwartą jego niedostatek. Piątą... – Komako zmarszczyła brwi. Była zła na siebie.

– Panie Czekowisz?

– Piątą jest wyobraźnia – odparł nieśmiało Oskar.

– A dalej?

– Szóstą jest rozmiar łona. Siódmą postura matki w czasie ciąży. Ósmą mogą być obrażenia, kiedy na przykład matka się przewróci albo zostanie uderzona. Dziewiątą jest choroba. Dziesiątą zepsute nasienie. Jedenastą...

– Jedenastej nie ma – wtrąciła pospiesznie Komako – ale Paré podaje jeszcze wpływ niegodziwych żebraków i diabłów.

Panna Davenshaw z surowym wyrazem twarzy skinęła głową.

– Oczywiście Paré opisywał to wszystko w szesnastym wieku – wyjaśniła, zwracając się do Charliego i Marlowe’a, dla których to były nowe informacje. – Nie potrafił wyzbyć się przesądów ani odrzucić wpływu Boga. Zwrócił jednak uwagę na fizyczny rozwój płodu. Ciało jest materialne i z upływem czasu rośnie.

– Nie rozumiem – przyznał Marlowe.

– Należy sobie zadać pytanie, moi drodzy – ciągnęła panna Davenshaw nieco łagodniejszym tonem – o to, jakie jest źródło naszych talentów. Odpowiedź na nie jest następująca: rozwijamy się w łonach naszych matek i wtedy właśnie otrzymujemy wszystko, czym jesteśmy. Cokolwiek różni nas od normy, wydaje się potwornością, ale nią nie jest.

Charlie nie był do końca pewien, jak dużo z tego rozumie ściskający kurczowo jego dłoń Marlowe. Przypuszczał, że raczej niewiele. Nic dziwnego, że miewał koszmary.

– Zechce pan nam streścić, panie Czekowisz, przedstawioną przez pana Darwina nową koncepcję powstawania gatunków.

Oskar zerknął na Charliego i odwrócił wzrok wyraźnie zakłopotany, że został wywołany do odpowiedzi.

– Pan Darwin sugeruje, że ewolucja jest... wynikiem nieustannych zmian, którym przez cały czas podlegają wszystkie zwierzęta.

– Czy zatem pochodzimy od małpy?

– Nie, proszę pani. Niezupełnie.

– Mów dalej.

– Mamy z małpą wspólnego przodka. Nasze gatunki rozdzieliły się bardzo dawno temu i my staliśmy się ludźmi, a małpy... małpami.

– Proszę nam teraz powiedzieć, panno Ribbon, w jaki sposób żywe istoty zmieniają się z biegiem czasu.

Ribs odkaszlnęła, żeby zyskać na czasie.

– Ekhm... Nie lepiej byłoby o to też zapytać Oskara?

– Eleanor!

– Środowisko – podszeptał Oskar.

– Zmieniają się pod wpływem środowiska – powiedziała głośno Ribs.

– Dziękuję, panie Czekowisz. Panna Ribbon będzie panu dozgonnie wdzięczna. Panno Onoe, proszę kontynuować.

– Według pana Darwina drobne mutacje zdarzają się w organizmach żywych przez cały czas, zupełnie bez powodu. Kiedy dzięki mutacji zwierzę uzyskuje przewagę w swoim środowisku, na przykład łatwiej mu się poluje albo znajduje partnera, mutacja zostaje przekazana następnemu pokoleniu. A stare wersje z czasem wymierają.

– Czym wobec tego są potwory?

Przelotna zmarszczka przecięła czoło Komako.

– Mutacjami, które prowadzą w ślepy zaułek. Są zbyt skrajne, żeby zostały powielone.

– Otóż to. – Panna Davenshaw ruszyła wzdłuż regału, delikatnie wodząc palcami po słojach. – Bardzo dobrze. Kim zatem jesteśmy my, talenty? Potworami? Nasze odmienności nie przechodzą z matki na dziecko, są jednak z nami od zarania dziejów oraz powtarzają się w przewidywalny sposób. Talenty zawsze istniały i zawsze będą istnieć.

– Naukowcy nie wiedzą wszystkiego – zauważyła cicho Komako.

Panna Davenshaw zwróciła się w ich stronę, ale zdawało się, że gdyby widziała, patrzyłaby gdzieś dalej, ponad nimi.

– Nikt nie wie wszystkiego.

Charlie się odwrócił. Stojący w drzwiach postawny mężczyzna z siwą brodą – doktor Berghast – przez chwilę przyglądał się im w milczeniu, po czym uklonił się i wycofał w mrok.

Wygnani i martwi

Londyn powitał Margaret Harrogate mgłą gęstą jak grochówka, brunatną i dławiącą. Dorożka, którą jechały z panną Quicke, posuwała się w żółtym tempie i na oślep, bo latarnia rozpraszała tylko niedużą kulę mgły wokół. Margaret otworzyła żelazną furtkę, przemierzyła kryty dziedziniec i przez ozdobne drzwi weszła do domu przy Nickel Street West 23, ponagliwszy swoją towarzyszkę, by podążyła za nią. Jej uwagę od razu zwrócił pewien istotny fakt: ktoś tu niedawno był.

Cicho postawiła walizkę i zaczęła nasłuchiwać. Przeszła przez hol wejściowy do swojego gabinetu: księga instytutowa leżała na swoim miejscu we wnęcie za koszem na węgiel. Papiery na biurku były nietknięte, sfatygowane kuchenne blaty poprzykrywane i puste. Okno w sypialni na drugim piętrze było otwarte, wiatr lekko wydymał firanki. Margaret wyjrzała na zewnątrz we mgłę, lecz niczego nie zobaczyła. Nic się nie poruszało. A upadek z tej wysokości byłby śmiertelny. Stojąca w drzwiach panna Quicke poważnym wzrokiem śledziła jej ruchy.

Włoski na karku stawały jej dęba, gdy zaglądała do pozostałych pokojów. Niczego nie dotykała. W końcu wyjęła swój mały pistolet z szuflady, w której zawsze go trzymała, weszła na strych i zajrzała do gołębnika kościanych ptaków. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak w tamten poranek, gdy spieszyli się na pociąg. Ostatni poranek w życiu Franka Coultona.

A jednak ktoś tu był, i to przed chwilą.

Panna Quicke czym prędzej sięgnęła do głębokiej kieszeni nieprzemakalnego płaszcza – zapewne chciała się upewnić, że jej broń jest gotowa do strzału – po czym wyszła we mgłę. Długo jej nie było.

Wróciła i pokręciła głową.

– Jeżeli ktoś tu był, to zdążył się ulotnić.

– Był – stwierdziła stanowczo Margaret. – Nie czuje pani?

– Nie czuję?

– W swojej... – Wskazała zraniony bok panny Quicke.

– Nie.

Margaret rozejrzała się z niepokojem. Ciemne, nieruchome meble. Widmowe firanki. Na dworze gęstniała mgła.

Nie zostały długo w domu.

Margaret pomyślała o Walterze, przypomniała sobie swój nienazwany lęk i spróbowała zachować się rozważnie. Jacob z pewnością znał ten adres. Panna Quicke czekała przy oknie, a Margaret zabrała najpotrzebniejsze rzeczy i wyszły. Po drugiej stronie skrzyżowania w szacownym pensjonacie dla pań wynajęły pokój z widokiem na Nickel Street West 23. Pewien problem mogła stanowić wczesna pora zamykania pensjonatu – właścicielka zastrzegła, że drzwi są otwarte tylko do dziewiątej wieczorem, ale mansardowe okno ich pokoju wychodziło na wąski gzyms, który dochodził do niskiego murku. Ten widok utwierdził Margaret w przekonaniu, że będą mogły przychodzić i wychodzić o dowolnej porze dnia i nocy.

Od momentu zatrudnienia Alice Quicke upłynęło czternaście miesięcy, a Margaret wciąż nic o niej nie wiedziała, nie widziała jej w akcji, nie miała nawet ku temu okazji. Cała jej skromna wiedza na temat młodej kobiety pochodziła z telegramów, oficjalnych raportów oraz kpiarskich i zazwyczaj sarkastycznych relacji Coultona. Quicke miała szorstkie dłonie, uśmiech, który nie sięgał oczu, muskularne ramiona i przetłuszczzone blond włosy, źle obcięte i zawsze zalatujące poprzednim posiłkiem. Jeśli jednak bolały ją zębra, to zupełnie się na to nie skarżyła. A jeżeli śmierć Coultona wprawiła ją w żalobę, nie płakała. Przez całą długą podróż pociągiem przez Szkocję i dalej, na południe Anglii, mówiła niewiele i nie zadawała żadnych pytań. Bez słowa patrzyła na świat przesuwany się za umazanym sadzą oknem: małomówna, zawzięta osóbka w kapeluszu z szerokim rondem i długim poplamionym płaszczu, który pasował raczej do amerykańskiego Dzikiego Zachodu niż do tętniącej cywilizowaną przemocą Brytanii.

Z czasem Margaret zaczęła rozumieć, dlaczego Coulton był skłonny zaufać panie Quicke, dlaczego tak zaciekle jej bronił i tak bardzo się upierał przy jej zatrudnieniu, mimo że była z zewnątrz, spoza ich świata. Miała w sobie jakąś ogromną, niewzruszoną siłę, niczym słup solidnie wbity w ziemię. Jeżeli powiedziała, że coś zrobi, to robiła. I to się Margaret podobało.

Tego pierwszego dnia w Londynie nie wyszły z domu: odpoczywały, zbierały siły, obserwowały swój dom majaczący we mgle po drugiej stronie ulicy, ale Margaret przyglądała się również pani detektyw: wypatrywała oznak załamania, niepokoiła się jej raną, zastanawiała się, co może znaczyć. Obawiała się, że cokolwiek łączy pannę Quicke z Jacobem, może działać w dwie strony i – podobnie – doprowadzić jego do niej. Tak jak ona wyczuwa jego obecność, tak i on może wyczuć ją i nawet w tej chwili, w ten długi, ponury dzień w Blackfriars, Jacob zatacza coraz ciaśniejsze kręgi wokół nich, bo wie, że są blisko.

Korzystając z chwili wytchnienia, opowiedziała panie Quicke o zaginionych talentach. Zdarzało się czasem, mówiła, że w późnym wieku młodzieńczym, niedługo przed osiągnięciem pełnoletności, niezwykle dar słabł lub nawet wygasał. Nikt do końca nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje, kiedy jednak coś takiego przydarzało się dziecku w Cairndale, odsyłano je z Instytutu, najczęściej do Londynu, a do zadań Margaret należało doglądanie tej nielicznej społeczności. Takie dawne talenty często popadały w apatię i głęboki smutek, jakby utraciły część siebie, i zaczynały szukać pociechy w alkoholu albo maku. Byli również tacy, którzy z własnej woli opuszczali Instytut z takiego czy innego powodu, po czym przepadali bez śladu w bezdennej czeluści londyńskich slumsów. Pośród nich, ciągnęła Margaret, ukrywała się kobieta, która była nianią Marlowe'a przed laty, gdy tropiący go Jacob zjawił się w Cairndale. Nazywała się Susan Crowley, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia sześć lat i była w posiadaniu broni zdolnej zabić Jacoba Marbera.

Niestety, Susan Crowley ukryła się tak dobrze, tak skutecznie, że Margaret nie miała pojęcia, gdzie jej szukać.

Na te słowa panna Quicke uniosła brwi. Zrobiło się późno. Zmęczona detektyw, która przez cały czas nawet nie zdjęła płaszcza, siedziała zgarbiona, z rozrzuconymi nogami, i knykciami przeczesywała włosy.

– Widzi pani, nie chciałam jej zdradzić – tłumaczyła Margaret. – Przed laty to właśnie ja ją odkryłam. Pracownicy kolei znaleźli ją w wagonie, wzięli za zmarłą

i zaciągnęli do pobliskiego zagajnika, żeby tam ktoś inny się na nią napatoczył. Nie chcieli mieć niepotrzebnych problemów. – Z niesmakiem rozděła nozdrza. – Biedna panna Crowley... Całą pierś miała poparzoną, kieszenie opróżnione, straciła nawet płaszcz. Nic dziwnego, że robotnicy uznali ją za nieżywą. Gdyby ją pani zobaczyła... Ale nieważne. Wiedziałam, że doktor Berghast w Cairndale jest na nią wściekły i chce ją za wszelką cenę odszukać ze względu na Marlowe'a. Bałam się jednak o nią, nie wiedziałam, co Berghast byłby zdolny z nią zrobić. Było oczywiste, że chłopiec, Marlowe, przepadł. Dlatego milczałam. Zamiast kogoś poinformować, zawiozłam pannę Crowley na południe, w głąb Londynu, dopilnowałam, by ktoś się nią tam zaopiekował, i próbowałam zapomnieć, że ją w ogóle znalazłam.

– Przynajmniej dopóki nie zaczęła jej pani potrzebować.

– Otóż to.

– No dobrze, to od czego zaczniemy?

– Niech się pani prześpi. – Margaret stanęła przy oknie. – To pani zadanie: musi pani nabrać sił. Ja pójdę do miasta, rozpytam się wśród uciekinierów.

– Sama?

Margaret odpowiedziała oszczędnym uśmiechem.

– Zanim się poznałyśmy, panno Quicke, obchodziłam się bez pani ochrony. Teraz także nie będzie mi potrzebna. Wrócę rano, przyniosę to, czego będziemy potrzebować.

– Broń, która, jak pani utrzymuje, może zabić Marbera.

Margaret skłoniła lekko głowę.

Najpierw jednak musiała tę broń znaleźć. Wiedziała, że Jacob Marber również nie zapomniał o jej istnieniu.

Było bardzo późno, kiedy zostawiła pannę Quicke samą, śpiącą w pensjonacie, i wymknęła się przez okno wprost w zimną mgłę. Ostrożnie zeskoczyła z murku i skierowała się na wschód, do Bluegate Fields. Serce dudniło jej w piersi. O tej porze pogrążone we mgle ulice były bardzo, bardzo ciemne. Margaret nie miała cierpliwości do swoich lęków, ale strach w niej tkwił, był całkowicie rzeczywisty i nie zawsze dawało się nad nim łatwo zapanować.

„Pięknie by to wyszło, gdyby teraz ktoś mnie tu zadźgał dla paru pensów, które mam w portfelu”, pomyślała.

W Wapping szła wzdłuż murów, pod którymi spali pokotem biedacy. Przyświecając sobie lampą, przyglądała się im, aż znalazła tego, kogo szukała: brudnego, wrednie wyglądającego obdartusa. Kuczał boso na ziemi, patrzył szarymi oczami prosto w światło, jakby na nią czekał. Wziął od niej monetę i przeprowadził ją przez labirynt wilgotnych uliczek do hoteliku Ratcliffe'a Fanga.

Nie widziała Fanga od wieków: garb na plecach, podłużna, wąska czaszka okolona resztkami długich, przetłuszczonych włosów, wybałuszone rybie oczy lypiące spod okularów, bawełniane rękawiczki z dwoma obciętymi palcami. Z rękawów obdartego ubrania sterczały długie, kościste nadgarstki, owłosione jak u małpy. Ale Fang wiedział rzeczy, o których inni ludzie nie mieli pojęcia, i bez lęku przemierzał najciemniejsze londyńskie zakamarki przez nikogo nieniepokoiony.

– Margaret Harrogate – stęknął, otworzywszy drzwi wejściowe. – Wejdz, zapraszam. Chociaż radziłbym się nie zasiedzieć. Różni tacy o ciebie pytali.

Wynajmowane przez niego zapuszczone pokoje cuchnęły przelewającymi się przed wejściem strugami nieczystości, skrzypiące podłogi lepiły się od brudu. Cofnął się do kominka i szczelnie otulił kocem.

– Mam posłać po piwo? – zapytał.

Odmówiła. Usiadła, przytrzymując torebkę oburącz, i opowiedziała mu o wydarzeniach w pociągu do Szkocji, o krwawej jatce, jaką urządził im Jacob Marber, i o dziecku, które go powstrzymało.

To wystarczyło, więcej mówić nie musiała.

Fang długo mrugał w blasku ognia.

– Co wie o chłopcu? – zapytał w końcu. – Wie, kim jest?

– Najprawdopodobniej jeszcze nie, ale zdaje sobie sprawę, że jest ważny. Ja zaś boję się zarówno chłopca, jak i o chłopca. Zabiję Jacoba Marbera, panie Fang, ale to chłopiec budzi mój prawdziwy lęk.

– Ach tak. – Ratcliffe Fang złożył dłonie na wysokości twarzy.

Teraz to Margaret słuchała, a on relacjonował jej plotki i pogłoski krążące w przestępczym światku Limehouse.

– Chodzą słuchy o kręcących się po okolicy stworach, które polują na nieostrożnych na przystani, w tunelach, pod arkadami. Podobno znajdowane ciała są zmasakrowane, porozdzierane na strzępy. Słyszy się też inne, jeszcze gorsze

historie, o człowieku z dymu, który pożera ciała i wypija krew. Nie muszę pani mówić, co to oznacza. Źle się dzieje, bardzo źle... Policja na razie się tym nie interesuje, bo nie zniknął nikt ważny, w każdym razie nie dla City, tylko nożownicy, prostytutki itepe. Ale wszystko w swoim czasie... Miejscowi są przerażeni, wszędzie chodzą w grupach. Nawet latarniarze i kieszonkowcy boją się poruszać po zmroku.

„Limehouse. To niedaleko”, pomyślała z zainteresowaniem Margaret.

– A co z Instytutem? Co się o nim mówi?

– Nie słychać żadnych plotek o Cairndale ani Berghaście, w każdym razie nie w półświatku. Może ktoś gdzieś coś słyszał, ale ja nic o tym nie wiem. Mówi się, że to Sprężynowy Jack i jego demony. – Fang przesunął językiem po zbrązowiałych zębach. – Oczywiście zamęt sieją litche, któż by inny.

– Litche? Jest ich więcej niż jeden?

– Podobno cała sfora. Polują nocami jak wilki.

– To niemożliwe. Proszę mi powiedzieć, panie Fang, co pańskim zdaniem planuje Jacob? Dlaczego wrócił właśnie teraz?

– Nie mam pojęcia, ale z pewnością jest w tym jakiś zamysł. Jacob Marber ma bystry umysł, ale nigdy się nim nie kierował. Za to jego serce... Jego serce jest inne. Wszystko, co złe, zrobił za podszeptem serca właśnie. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby przeboleał śmierć brata. A co zamierza? Po tej stronie orsine zapewne nic, ale szare pokoje są przede mną zamknięte, Margaret, dlatego koncentruję się raczej na sprawach tego świata, które i tak są wyjątkowo paskudne. Zresztą sama wiesz. Ale nie uwierzę, że przyszłaś posłuchać, co mam do powiedzenia na temat charakteru Jake’a Marbera.

Margaret zmierzyła go niewzruszonym spojrzeniem.

– Szukam młodej kobiety, którą powierzyłam pańskiej opiece. To było kilka lat temu, po tym zamieszaniu z dzieckiem Berghasta. Na pewno ją pan pamięta: Susan Crowley.

Wyraz twarzy Ratcliffe’a Fanga nie zmienił się ani na jotę, Margaret wyczuła jednak, że pytanie go zaskoczyło.

– Zabroniłaś mi komukolwiek o niej wspominać – przypomniał. – Nawet tobie. Kazałaś mi przysiąc.

Pokiwała głową.

– A teraz muszę pana prosić o złamanie tej przysięgi.

– Ach tak...

– Żyje?

Fang zapatrzył się w ogień.

– Tak, żyje – przyznał z niechęcią. – Pracuje jako szwaczka w Whitechapel. Więcej nie mogę ci powiedzieć.

– Muszę wiedzieć więcej. Takich krawcowych na pewno są setki.

Fang zmrużył oczy.

– To nie w twoim stylu, Margaret, przychodzić z takim żądaniem.

– Sam pan widzi, jakie to ważne. Susan Crowley była w posiadaniu pewnego nadzwyczaj rzadkiego przedmiotu, który jest mi niezbędny do dalszych działań. Narzędzia, które, rzec by można, powierzono jej pieczy. Jestem przekonana, że Jacob Marber również jej szuka.

W wylupiastych oczach Fanga mignęło zrozumienie.

– To dlatego Jake Marber jest w Limehouse... – wyszeptał. – Ona ma coś, co może go zabić, i on o tym wie.

– Otóż to, panie Fang. Dlatego muszę pierwsza zdobyć ten przedmiot.

Dziesięć minut później zadowolona Margaret wyszła z przybytku Ratcliffe'a Fanga. Na wsuniętej do rękawiczki złożonej karteczce miała zapisany adres. Zimna mgła przesączała się przez jej szal, promień światła ze starannie przysłoniętej ślepej latarni padał to tu, to tam i odbijał się od oślizłych murów. Poprawiła woalkę. Zaskoczyło ją, jak bardzo postarzał się pan Fang – ale cóż, ona też już nie była młoda. Zagłębiła się w ciemny zaułek i szła tuż przy ścianie, jedną ręką podtrzymując halki, żeby nie wlokły się w błocie.

Wiedziała, że do Whitechapel jest niedaleko.

Nie uszła jednak dwudziestu kroków, gdy coś zamajaczyło z przodu: we mgle na skrzyżowaniu czaiła się jakaś postać.

Margaret otworzyła zasłonę lampy i podniosła ją wyżej, jednak niewiele to dało, bo dostrzegła głównie snujące się w powietrzu pasma mgły.

– Kim jesteś?! – zawołała. – Zejdź mi z drogi. Drugi raz nie poproszę.

Buty intruza zgrzytnęły na bruku. Zbliżał się. Margaret powoli, ostrożnie sięgnęła do torebki po broń.

Pistoletu nie było.

Zakłęła i mocniej ścisnęła lampę gotowa zamierzyć się nią i walnąć z całej siły w głowę zbliżającego się oprycha. Wilgotny bruk mienił się słabym odbłaskiem światła.

– Tego pani szuka? – zabrzmiał głos.

Margaret wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem.

Z mgły wynurzyła się postać w nieprzemakalnym płaszczu. Nisko obciągnięty kapelusz skrywał oczy zabójczyni, która w dłoni trzymała mały posrebrzany pistolet. To była Alice Quicke.

Margaret ze złością pokręciła głową.

– No co? – zdziwiła się detektyw. – Naprawdę myślała pani, że za panią nie pójde?

– Myślałam – odparła Margaret, biorąc do ręki swoją broń – że ma pani więcej oleju w głowie.

Panna Quicke posłała jej ukradkowy uśmiech spod kapelusza.

– Wcale tak pani nie myślała.

W Whitechapel było ciemniej i tłoczniej. Skrzypiące dorożki przepływały we mgle jak zjawy, pijacy zataczali się i pokrzykiwali gniewnie, gromady bladych, obdartych dzieciaków zbierały się pod słabymi latarniami gazowymi, a ich matki wystawały w drzwiach domów, odsłaniając halki. Margaret ostrożnie posuwała się naprzód pomna wskazówek pana Fanga. Nie wiedziała, czy to przez tę mgłę, czy ze względu na groźny wygląd panny Quicke, ale nikt nie próbował ich zaczepiać ani napastować. Uliczki były jednak wąskie i kręte, błoto rozmiękłe, a kałuże cuchnące. Co rusz musiały też uchylać się przed łachmanami i podartą pościelą rozwieszonymi na sznurkach w poprzek smętnych zaułków i podwórek. Margaret cieszyła się z towarzystwa panny Quicke, ba, była za nie wprost wdzięczna. Gdy tylko zdała sobie z tego sprawę, zaskoczona przestała się skarżyć.

W końcu stanęła przed nieoznakowanymi, zawilgoconymi, oślizłymi od pleśni drzwiami: trzecie wejście w drugim zaułku, licząc od pubu Black Fox.

Zapukała i cofnęła się o krok.

Drzwi się uchyliły, ze środka łypnęła podejrzliwie para oczu.

– Panna Crowley? – zapytała rzeczowym tonem Margaret.

– Czego chcecie?

Margaret odgarnęła woalkę.

– Pani mnie nie pamięta – odparła – ale jestem przyjaciółką pana Fanga. Miałam nadzieję z panią porozmawiać. Mam nowiny o chłopcu.

Kobieta za progiem w lot pojęła, o kim mowa.

– Gdzie jest?

– W Cairndale. Obawiam się wszakże, iż grozi mu niebezpieczeństwo.

Minęła jeszcze chwila i kobieta otworzyła drzwi. Była wysoka i grubokoścista, ale policzki miała zapadnięte jak ktoś, kto poważnie zachorował i już nigdy nie doszedł do siebie. Gęste czarne włosy wystawały jej spod czepka, szerokie dłonie wyglądały na silne, na wysokości obojczyków było widać stare, nierówne blizny, jakby dawno temu uległa poparzeniu. Była młodsza nawet od panny Quicke, ale ciężkie życie brzydko ją postarzyło. Garbiła się przy chodzeniu, podbródek lekko jej drżał.

– To pani – powiedziała, cedząc słowa. – To pani wyratowała mnie wtedy z wagonu. I zabrała do pana Fanga. Po tym, jak dzieciak został napadnięty. Po tym, jak go... straciłam. – Dotknęła poblížnionego obojczyka, jakby wspomnienia odżywały na nowo. Wyjrzała na ulicę ponad ramieniem Margaret. – Lepiej wejdźcie.

Kiedy stłoczyły się we trzy w skromnej pracowni krawieckiej, Margaret opowiedziała o Marlowie, o tym, jak Henry Berghast go szukał i jak panna Quicke przywiozła go do Cairndale. Powiedziała również, że Jacob Marber wrócił.

– W takim razie w Cairndale nie jest już bezpiecznie – orzekła natychmiast Susan Crowley. Słaby blask świecy pląsał po jej twarzy. – Jacob Marber znajdzie sposób, by dostać się do środka. Zawsze to potrafił. Od początku wiedział, że chłopiec jest wyjątkowy, to dlatego zrobił to, co zrobił. I znów po niego przyjdzie.

– Ja również się tego obawiam.

– Co panie do mnie sprowadza? – zapytała z wahaniem Susan Crowley.

– Mam kilka pytań – odparła Margaret. – Poza tym muszę panią o coś prosić. Zamierzam powstrzymać Jacoba Marbera, zanim znów skrzywdzi chłopca.

– Ale poprzednio wcale go nie skrzywdził, pani Harrogate.

– Dzięki pani. Wyłącznie dzięki pani.

– To prawda, mogło tak być... – W zielonych oczach Susan Crowley odmalowała się niepewność. – Co pani wie o przeszłości Jacoba Marbera? Słyszała pani o tym, że podczas rejsu powrotnego z Dalekiego Wschodu zniknął bez śladu?

– Niektórzy powiadali, że utonął – potwierdziła Margaret, starając się ukryć zniecierpliwienie – ale pan Coulton twierdził, że dostał się pod wpływ drughry i został przez niego uprowadzony.

– Do innego świata. Tak właśnie było.

Margaret zamrugnęła z niedowierzaniem.

– Ale to przecież niemożliwe, prawda? Jego talent uległby wypaczeniu, a on by umarł.

– I tak właśnie powinno się stać. Ale on nie umarł.

– Żywa istota w krainie umarłych... – Margaret się zamyśliła. – Coś takiego nigdy się nie zdarzyło. Nie wiem, co by mogło oznaczać.

Wyraźnie podenerwowana panna Crowley skubnęła porzuconą robótkę.

– Nie on pierwszy z talentów znalazł się w krainie umarłych, pani Harrogate. Przed nim byli inni.

– Jacy inni?

– Obiekty eksperymentów doktora Berghasta... – Crowley zawiesiła głos. – Myślałam, że pani wie.

Margaret poczuła, że się rumieni.

– Nie znam szczegółów – podjęła gospodyni, otulając się obszarpanym szalem. – To miało swój początek na długo przed tym, jak znalazłam się w Cairndale. Doktor Berghast przez lata wysyłał talenty przez orsine do tego drugiego świata. Tworzył jego mapę w sobie tylko wiadomym celu. Tak to się właśnie zaczęło: wykorzystywał nieszczęsnego glifina, kazać mu uchylać orsine na tyle, żeby talent mógł się precyzyjnie przeliczyć. Udało mu się zdobyć pewien przedmiot, potężny artefakt, który umożliwiał talentom wędrowkę tam i z powrotem. Aż pewnego dnia jeden z talentów nie wrócił. Zaginął, a wraz z nim przepadł artefakt. W tym drugim świecie coś się przebudziło, dopadło tego człowieka i pożarło, zanim zdążył...

– Drughr – wtrąciła szeptem Margaret.

Oczy młodej niani błysnęły zgrozą w blasku świecy, skinęła głową.

– Ale eksperymenty trwały – mówiła dalej. – Po prostu stały się bardziej niebezpieczne. Doktor Berghast koniecznie chciał odzyskać utracony w orsine artefakt. Gdyby ten wpadł w ręce drughra... – Wzdrygnęła się. – Talenty odbywające podróż bez niego wracały chore, postarzone albo... zdeformowane. A drughr rósł w siłę. W końcu po zniknięciu Jacoba doktor Berghast zaprzestał poszukiwań. Poddał się.

Przed laty Margaret słyszała pogłoski o prowadzonych przez doktora eksperymentach, ale nie dawała im wiary. Nagle poczuła z tego powodu ogromny wstyd.

– Ze względu na Jacoba? – zapytała.

– Ze względu na dziecko. – Susan Crowley zacisnęła usta. – To naprawdę okropna część tej historii. Ostatnimi talentami, które doktor Berghast wysłał na drugą stronę, byli młodzi rodzice chłopca. Kobieta była brzemienna, choć wtedy jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. Urodziła w tamtym świecie.

– Jak to? – przerwała jej ostrym tonem Margaret. – W którym miesiącu ciąży była?

– Zapomina pani, że tam czas biegnie inaczej. Są tam doliny i rzeki, w których zwalnia bieg, podobnie jak wzgórze, na których przyspiesza. – Susan Crowley sposepniała. – Jacob Marber odszukał tę parę niedługo po narodzinach dziecka. Zabił rodziców, zabrał chłopca i sprowadził go przez orsine do naszego świata, do ruin klasztoru w Cairndale. To jedyna droga wyjścia, jedyne przejście pomiędzy światami. Glifin mu je otworzył. Jacob najprawdopodobniej zamierzał wykraść dziecko, ale doktor Berghast mu na to nie pozwolił.

Wstrząśnięta Margaret nie odrywała wzroku od jej twarzy.

– Marlowe urodził się... po drugiej stronie orsine?

– Tak. W krainie umarłych.

Margaret z niedowierzaniem pokręciła głową, ale zdawała sobie sprawę, że niezwykłość opowieści Susan Crowley jest najlepszym świadectwem jej prawdziwości. Crowley nie kłamała. Nic dziwnego, że Berghast zainteresował się chłopcem w takim stopniu; nic dziwnego, że jego zdolności były tak niezwykle, tak bardzo różne od innych; nic dziwnego, że Jacob i drughr na niego polowali.

To dziecko było czymś zupełnie nowym.

– Nie wiem, czy nadal tak jest – przerwała przeciągające się milczenie Crowley – ale w czasie, gdy go znałam, Henry Berghast skrywał w sercu wielką urazę. – Mówiła teraz bardzo cicho. – Kiedy pomyślę o tym, co zrobił, jak okiełznał glifina i zamknął orsine, to powtarzam sobie: jeżeli ktokolwiek umiałby zniszczyć drughra, to właśnie on.

Margaret mocnej ścisnęła torebkę.

– W dalszym ciągu żywi tę urazę – przyznała.

– Czyli się nie zmienił?

– Co najwyżej na gorsze. Wciąż ma obsesję na punkcie drughra, chyba większą niż kiedykolwiek. Obawiam się, że zdradzi Cairndale, siebie i wszystko, co stworzył, aby tylko móc go zniszczyć.

– Henry Berghast, którego znałam, zupełnie by się tym nie przejął.

– Ale to przecież dzieło jego życia!

– Nie, pani Harrogate. Dzieło jego życia czeka na niego w tamtym świecie. Najlepiej dla nas wszystkich byłoby, gdyby glifin został unicestwiony, a orsine na zawsze zamknięte.

– Czy to możliwe?

Oczy Crowley przybrały beznamiętny wyraz.

– Nie, dopóki doktor Berghast żyje. Nigdy by się na to nie zgodził. Chce być dobrym człowiekiem, ba, naprawdę jest dobrym człowiekiem, lepszym od nas wszystkich. Nikt nie potrafiłby tak długo stawiać czoła drughrowi, ale już wtedy, dawno temu, doktor zwyczajnie zapomniał, czym jest dobro. Dla niego zawsze najważniejszy był efekt. Cel uświęcał środki. Pamiętam, jak stał nad kołyską i patrzył na to niemowlę takim wzrokiem, jakby było kawałkiem mięsa, jakby można je było do czegoś wykorzystać. Ale ja... ja przysięgam, że o nie zadbam i... – Zawiesiła głos.

– Właśnie dlatego przyszliśmy do pani – powiedziała pani Harrogate. – Żeby mogła pani dotrzymać tej przysięgi.

– Co mam zrobić?

– Jeden ze starych talentów w Cairndale powierzył pani pewien przedmiot. Kiedy panią znalazłam, wyciągniętą z wagonu i porzuconą w krzakach, nosiła go pani na szyi.

Susan Crowley złapała się ogromnymi dłońmi za łokcie i pochyliła głowę, jakby chciała to wszystko przemyśleć. Po chwili wstała, przeszła do pokoju w głębi i wróciła z rzemieniem oplecionym wokół knykci.

– O tym pani mówi?

Otworzyła dłoń. Leżące na niej dziwozwoje wyglądały jak dwa klucze, stare, ciężkie, poczerniałe jak od sadzy.

Margaret zaczęła drżeć, ogarnięta zimną falą mdłości. Panna Quicke też wzdrygnęła się na ich widok. Zło emanujące z nich jak przykra woń oddziaływało na nią znacznie silniej.

„To dobrze”, pomyślała pani Harrogate.

Za to Susan Crowley trzymała dziwozwoje w ręce jakby nigdy nic, jak parę najzwyklejszych kluczy. Nie wyczuwała w nich żadnej mocy.

Margaret szybko chwyciła rzemień przez chusteczkę, uważając, by nie dotknąć samych dziwozwojów, po czym złożyła ją na czworo i schowała do torebki.

– Pojęcia nie mam, co mogą otwierać – przyznała Crowley. – Wyglądają tak dziwacznie...

– W rzeczy samej – przyznała Margaret, wstając.

Przy drzwiach Susan Crowley wstydliwym gestem naciągnęła szal na poblížnione obojczyki.

– Pani Harrogate, proszę mi opowiedzieć o chłopcu. Ma już osiem lat, prawda?

Pani Harrogate i panna Quicke stały w drzwiach, zwrócone plecami do otulonego mgłą zaułka. Margaret wyraźnie czuła ciężące jej w torebce dziwozwoje.

– Zgadza się. – Skinęła głową. – Mniej więcej osiem lat.

– Nie potrafię go sobie wyobrazić. Jest wysoki? Włosy nadal ma czarne? Tak, na pewno. Proszę mi powiedzieć, grzeczny z niego chłopak?

Margaret zerknęła na pannę Quicke. Z tyłu i w dole nocne mgły snuły się nad Whitechapel, lampy gazowe nosiły żółte aureole, przechodnie wyglądali jak zjawy.

– Najgrzeczniejszy – odparła stanowczym tonem.

Oczy Susan Crowley zabłysły na wspomnienie niemowlęcia i na krótką chwilę jej majaczące w półmroku rysy złagodniały i napełniły się starą, lecz wciąż żywą miłością.

Pająk

Nikt tego nie zauważał, nikt nie rozumiał, ale prawda na temat Oskara Czekowisza była taka, że przeraźliwie bał się samotności. Może z powodu stale towarzyszącego mu Lymeniona nikomu taka myśl nie powstała w głowie, bo przecież Oskar nigdy nie był naprawdę sam, prawda?

Dlatego mimo lęku przed Pajakiem, kiedy nocą wszyscy wykradli się na zimny korytarz z zamiarem udania się na wyspę – świece w kinkietach dawno pogaszono, panna Davenshaw zrobiła ostatni obchód i udała się na spoczynek – Oskar i jego ciałolbrzym również stawili się na miejscu spotkania.

W wieku trzynastu lat był raczej niski jak na swój wiek, miał przygarbione ramiona i pulchne, blade nadgarstki. W ogóle cały zdawał się wyprany z barw. Włosy – proste, cienkie i tak jasne, że praktycznie białe, jak u staruszka – opadały mu na uszy i czoło i wchodziły do oczu, które, choć ogromne i ufne, emanowały lękiem.

Lymenion – jego jedyny towarzysz i prawdziwy przyjaciel – zawsze był przy nim, odkąd Oskar sięgał pamięcią: solidny, cichy, czujny, lojalny. Oskar potrafił go zbudować z dowolnych martwych istot znajdujących w przydrożnych rowach, na gospodarskich podwórkach, nawet w rzeźniach, bo wystarczył mu do tego kawałek mięsa. Mógł go dowolnie tworzyć i odczyniać, zawsze jednak, kiedy lepił go na nowo, mięso i ścięgna przybierały ten sam niezmienny kształt: jego wiernego druha Lymeniona.

Ciałolbrzym również polubił nowe dzieciaki.

Mają za sobą ciężkie przejścia, ostrzegł Oskara. Jego słowa rozbrzmiewały bezpośrednio w umyśle chłopca.

– Oby tylko też nas polubiły – odparł szeptem Oskar.

Owszem, żywił taką nadzieję, ale wiedział również, jak większość ludzi reaguje na Lymeniona, na jego osobliwą potulność, odrażającą woń, powtarzanie gestów Oskara – a przecież jeszcze nie widzieli, co się dzieje, gdy Oskar się zdenerwuje i ciałolbrzym wpadnie w szal.

Przed przybyciem do Cairndale Oskar Czekowisz i Lymenion zawsze byli sami, a nawet nie tyle sami, ile przeraźliwie, okrutnie samotni. Samotni w Gdańsku, gdy na krętych uliczkach grzebali w śmietnikach, a przyczajone psy trzymały się od nich z daleka. Samotni w zdezelowanych boksach stajni na tyłach kamiennego domu starego małżeństwa, gdzieś na wsi na północ od Lęborka. Samotni w ruinach wieży nad smagany wiatrami ciemnym Bałtykiem. Oskar zdawał sobie sprawę, że budzi lęk wśród miejscowych. Wiedział, jakie historie krążą o białowłosym chłopcu i jego potworze, dlatego unikał ludzi.

Aż pewnego wieczoru do wieży przybył krzepki, rumiany mężczyzna z kasztanowymi bokobrodami i niewesołym uśmiechem. Szedł długą gruntową drogą, wsparty na dębowym kosturze, a wiatr tarosił długie poły jego płaszcza. Nosił trzyczęściowy garnitur w jaskrawożółtą kratę, który w tym krajobrazie był jak chłaśnięcie kolorem. Oskar, podówczas dziesięcioletni, mówił tylko po polsku, Coulton zaś – on to bowiem był tym przybyszem – wyłącznie po angielsku. Dlatego Coulton przez trzy dni siedział cierpliwie przy wejściu do wieży i czekał. Kiedy trzeciej nocy Oskar posłał Lymeniona, żeby go nastraszyć, Coulton tylko rozluźnił potężne ramiona, jakby obolałe po zbyt długim znieruchomieniu, przeciągnął się i uśmiechnął.

Teraz Oskar, Lymenion i pozostali szybko i bez słowa przemknęli przez Instytut, na dziedziniec i dalej, obok stróżówki, przez wilgotny trawnik. Na białe nocne koszule z szorstkiej bawełny narzucili jasnoszare instytutowe fartuchy, dostatecznie grube, by chronić przed chłodem. Mgła opadła i kiedy rozproszyli się po trawie, w mroku wyglądali szczególnie upiornie.

Biegli cicho, zostawiwszy za sobą rezydencję, która ginęła we mgle. Kiedy aureole świateł przygasły w oddali, zwolnili dla złapania tchu i dalej szli już w zwykłym tempie.

Oskar ze zdumieniem stwierdził, że obok niego idzie Charlie. Lymenion ledwie za nimi nadązał: jego grube nogi pracowały ciężko, ramiona kołysały się miarowo... Zawsze miał takie problemy. Komako wysforowała się naprzód,

w jasnym fartuchu wyglądała jak duch. Obok niej trzepotały rozwiewane wiatrem koszula i fartuch Ribs. Jeżeli dziewczęta rozmawiały, to tylko między sobą.

– Widziałeś już wcześniej Pajaka, Oskarze? – zagadnął Charlie.

Oskar, nagle onieśmielony, odchrząknął.

– Tak – wymamrotał. – To znaczy... nie. Tak jakby. Znaczy, wszyscy wiemy, czym jest Pajak, byliśmy na wyspie i w ogóle, ale tam nie płynie się po to, żeby go zobaczyć. On przebywa... ekhm... w innej części.

– To po co pływacie na wyspę? – zapytał Marlowe.

Szedł obok Lymeniona, którego obecność zupełnie mu nie przeszkadzała – przeciwnie, przyglądał mu się z zainteresowaniem. Widząc to, Oskar poczuł dziwną ulgę.

– Wy też popłyniecie – powiedział. – Obaj. Panna Davenshaw was zabierze. Chodzi o orsine: będzie chciała wam pokazać, jak wygląda i jak działa.

– A co jest po drugiej stronie? – indagował Marlowe. W ciemnościach jego skóra zdawała się upiornie blada. – Czy to straszne?

Zakłopotany Oskar wzruszył ramionami.

– Tam są duchy – odparł bez przekonania. Prawdę mówiąc, niewiele wiedział na ten temat. – Po drugiej stronie orsine jest świat, do którego umarli trafiają po śmierci. Słyszałem kiedyś, jak pan Nolan o nim opowiadał. To jeden ze starych talentów. Mówił, że... że to tak, jakby ten świat był kartką, którą składasz na pół, potem jeszcze raz na pół i próbujesz narysować linię przez całą tę poskładaną powierzchnię... Człowiek czuje, że coś jest nie w porządku. To miejsce nie jest w porządku.

– To dlatego, że najpierw trzeba umrzeć – zauważył Marlowe.

Oskar poczuł, jak Lymenion zwraca się ku chłopcu.

– Ale skąd pan Nolan miałby to wiedzieć? – zdziwił się Charlie. – Jeżeli nigdy tam nie był, to skąd miałby wiedzieć?

Oskar się zarumienił. Nagle poczuł się głupio.

– Też się nad tym zastanawiałem – przyznał.

Szli w dół po pochyłości, ich stopy szemrały w mokrej trawie. Mgła się rozstąpiła i Oskarowi mignęło jezioro, czarne i płaskie niczym blat stołu. Mgła ponownie zgęstniała.

– Najpierw trzeba umrzeć – powtórzył pod nosem Marlowe.

Charlie słyszał już miękkie uderzenia fal o kamienisty brzeg, ale mgła skrywała jezioro przed jego wzrokiem. Ujrzał je dopiero, kiedy woda dosłownie zachlupotała mu pod stopami.

Oskar złapał go za rękaw i odciągnął.

– Ostrożnie – powiedział, jak to on, półgłosem. – Pomost jest tam.

– Pospieszcie się! – zawołała z przodu Ribs. Jej bezcielesne ubranie przechadzało się w tę i z powrotem we mgle.

Tuż obok Charlie słyszał ciężkie, wysilone sapanie ciałolbrzyna. Cała ta eskapada miała coś ze snu, tak bardzo różniła się od świata, który znał. Od okrutnego Natchez. Co rusz przypominał sobie ojca, niewiele starszego niż on w tej chwili, który stracił swój talent i wyruszył samotnie w świat. Czy mama wiedziała o jego wcześniejszym życiu? O tym, co kiedyś potrafił? Czy ukrywał przed nią swój smutek i poczucie straty? Oczami wyobraźni Charlie zobaczył wilgotny zaułek, a w nim szczupłego młodego mężczyznę w wystrzępionym surducie – i nagle on też posmutniał. Wciąż jeszcze nie poukładał sobie tego wszystkiego w głowie.

Wziął Marlowe'a za rękę.

Pomost musiał mieć dobre pięćdziesiąt lat: sfatygowany, koślawy i poszarzały od deszczów sięgał daleko ponad ciemną wodę. Przy końcu stała zacumowana samotna łódź wiosłowa zdolna pomieścić całą piątkę dzieci i Lymeniona. Z tyczki nad dziobem zwieszała się zgaszona latarnia.

Charlie usłyszał jakiś hałas i na pomoście zaklekotały kroki Komako niosącej wiosła.

Marlowe zapatrzył się na jezioro.

– Jakie duże... Nie wiedziałem, że jest takie ogromne, Charlie.

– Podobno nie ma dna – szepnął Oskar.

– Rrrh – zadudnił olbrzym.

– Na litość boską! – zachnęła się Komako. Przepchnęła się obok nich i zwinnie wskoczyła do łodzi. Długi warkocz zakołysał się za nią. – Oczywiście, że ma dno, jest po prostu bardzo głębokie.

Przytrzymała kołyszącą się na łańcuszku lampę, otworzyła ją i zdjęła rękawiczki. Przysunęła dłonie do tonącego w stężałym wosku ogarka świecy i powoli zacisnęła pięści.

Świeca się zapaliła.

– O raju... – stęknął oszołomiony Charlie.

Komako się zarumieniła.

– To nie magia, Charlie – mruknęła kręcąca się w pobliżu Ribs. – Zwykle tarcie.

I złapała go za rękę. Miała ciepłe palce.

Prawie ściągnęła go z pomostu na rufę łódki, która zakołysała się gwałtownie i obita o pale pomostu, gdy wszyscy zaczęli się do niej ładować. Ribs przytrzymała dłoń Charliego nieco dłużej, niż było to konieczne, zanim ją puściła.

Ciałolbrzym Oskara wziął wiosła. Ich uchwyty od razu zaczęły ociekać śluzem, ale łódź odsunęła się od pomostu, skręciła i zaczęła przyspieszać. Wyłynęli na jezioro.

W miarę oddalania się od lądu mgła rzedła. Panowała głucha cisza. Chłód zalegającego nad wodą powietrza przenikał przez ubranie Charliego. Cichy chłupot wiosel i wrazenie gładkiego pędu, gdy mknęli po powierzchni jeziora, działały usypiająco.

Byli w połowie drogi, gdy Komako sięgnęła na dziób i przysłoniła lampę. Charlie się ocknął.

– Patrzcie – powiedziała.

Ponad wyspą – w powietrzu i w koronie ogromnego wiązu górskiego – Charlie dostrzegł miriady świetlistych punkcików przypominających robaczki świętojańskie. Nie tyle szybowały w powietrzu, ile raczej unosiły się pod czarnym niebem, prawdziwy cyklon migoczących, roziskrzonych ognistych kwiatów. Nigdy nie widział czegoś równie pięknego.

– To orsine – wyjaśniła Komako. – Pająk generuje orsine.

– Co to znaczy? – zaciekał się Marlowe.

– To znaczy, że nie śpi – powiedziała Ribs nieswoim, dziwnie przytłumionym i ostrożnym głosem.

Zacumowali przy wiekowym pomoście jeszcze bardziej przekrzywionym niż ten na ładzie i stromą ścieżką wspięli się na skalne urwisko. Komako zabrała z łodzi

lampę, której słabiutki blask nieco rozświetlał poprzerastaną korzeniami dróżkę.

Na szczycie wznosiły się ruiny. Spomiędzy potrzaskanych kamieni wyrastała ogromna ciemna korona wielkiego wiązu górskiego. Dawniej klasztor składał się z kilkunastu budynków, które z czasem legły w gruzach. Całą wyspę otaczała niesamowita, trochę upiorna aura, jakby coś stale się przyglądało przybyszom. Charlie wszedł w ślad za Komako i Ribs do jedyne go budynku, którego mury ocalały, największego ze wszystkich. Dach dawno spróchniał i runął. W przeszłości mieściła się tu klasztor na kaplica, teraz jednak w posadzce brakowało części płyt, spomiędzy których wyrastały krzewy i korzenie, ziemię zasnuwały zdmuchnięte pod ściany suche liście. W miejscu, w którym powinien znajdować się ołtarz, rósł olbrzymi, mroczny, milczący wiąz. Gigantyczny kłęb korzeni rozchodził się od pnia we wszystkie strony.

Ale Komako nie prowadziła ich aż tak daleko: zatrzymała się przy niedużej wnęcie w południowej ścianie, odstawiła lampę i oczyściła kawałek podłogi z ziemi i piasku, odsłaniając drewnianą klapę. Ciało olbrzym z łatwością przekreślił pierścień blokujący zatrzask i bez wysiłku podniósł klapę, jakby nic nie ważyła. Wionęło wilgocią. Kamienne schody prowadziły w dół i w głąb, w gęstszy mrok.

– Ekhm, chwila... – Charlie obejrzał się na pozostałych. – Naprawdę musimy tam zejść?

– Chyba nie boisz się ciemności, co, Charlie? – zadrwiła Komako. – Co by tam musiało być, żeby zrobić ci krzywdę?

– Charlie niczego się nie boi – zaperzył się Marlowe.

Komako wzięła do ręki lampę, której światło rysowało na jej twarzy koślawe cienie i pogłębiało oczodoły.

– Poważnie, Charlie? – zapytała, znizywszy głos. – Naprawdę niczego się nie boisz?

Charlie z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Jest też inna droga – wtrąciła Ribs gdzieś z mrocznej głębi nawy. – Normalne drzwi, od frontu, nie? Tylko że są zamknięte.

– Doktor Berghast ma klucz – dodał Oskar.

– Rrrh – rozległ się pomruk ciał olbrzym, który niewzruszenie trzymał podniesioną klapę.

– Niech zgadnę... – mruknął Charlie. – To przejście do krypty.

– Przez kryptę – uściśliła Komako.

Ribs szturchnęła go w ramię.

– Wiesz, jaka jest ulubiona rozrywka szkieletów? Gra w kości!

Oskar zachichotał. Nerwowy, piskliwy śmiech poniósł się w głąb podziemi.

– Mój Boże... – mruknęła Komako. – Co za banda dzieciaków. – Spojrzała speszona na Marlowe'a. – Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

Charlie wpatrywał się w ciemność.

– Powiedzcie mi, czyj to był pomysł?

– Ribs – odparła Komako.

– Ko – oznajmiła Ribs.

Marlowe wziął go za rękę.

– Mój – przyznał głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

Zostawili ciałolbrzyna w ruinach, wśród snujących się mgieł. Ribs z typową dla siebie bezpośredniością zwróciła uwagę, że jego zapach może zniechęcić Pająka do rozmowy, a gdy Oskar zaczął protestować, zaproponowała głosowanie. Wszyscy ją poparli.

Zeszli więc w piątkę do katakumb, pięć widmowych sylwetek w szarych instytucyjnych fartuchach mających w świetle samotnej lampy odbitym od kamiennych ścian. Z ciemności dobiegało odległe kapanie. Charlie pilnował Marlowe'a, położył dłoń na jego plecach i delikatnie kierował nim w mroku.

Schody sprowadziły ich do wąskiego tunelu. W wykutych w ścianach małych niszach znajdowały się stopy kości zwieńczone czaszkami: szczątki mnichów sprzed wieków patrzyły na przybyszów ciemnymi, pustymi oczodołami.

Idąc, Charlie rozglądał się dookoła. Wysokie sklepienie niknęło w mroku, po obu stronach co jakiś czas odchodziły boczne korytarze. Na ścianach dostrzegł zmumifikowane ciała mnichów, skurczone do dziecięcych rozmiarów i w jakiś sposób zawieszane na murze. Stopy szurały na suchej posadzce. Było zimno i bardzo, bardzo cicho – takiej ciszy Charlie nigdy przedtem nie doświadczył, aż dzwoniło mu od niej w uszach.

Szli pięć, może dziesięć minut. Tunel się zwęził, sufit obniżył, w końcu Charlie stwierdził, że musi pochylić głowę. Zniknęły też kości i pozostała tylko długa

ciemność. W pewnym momencie gruby korzeń drzewa wychynął ze ściany na wysokości łokcia i zaczął się ciągnąć w głąb tunelu niczym drogowskaz. Po chwili dołączył do niego drugi, potem trzeci, tym razem biegnący po ziemi, aż w końcu całe ściany i podłoga tunelu zostały dosłownie usłane korzeniami, które przebijały się przez kamień, zaprawę i miękkie, zapadnięte trumny dawnych mnichów. Im głębiej schodzili, tym częściej musieli przestępować nad korzeniami albo uchylać przed nimi głowy, jakby zapuszczali się w samo serce monstrualnego drzewa.

Marlowe mocniej ścisnął jego rękę.

– Wszystko w porządku – zapewnił go Charlie.

Nie był pewien, czy mówi do siebie, czy do Marlowe'a. I tak nikogo nie przekonał.

Idąca kilka stóp przed nim Komako przystanąła gwałtownie. Wielki kłęb kamieni oplątanych korzeniami zagradzał im drogę. Korytarz był zablokowany.

Skonsternowana dziewczyna stała nieruchomo, przyświecając lampą. Charlie nie rozumiał jej wahania, usunięcie takiego zawałiska nie było przecież niczym trudnym, w Missisipi zdarzało mu się pracować ciężiej, i to kiedy był jeszcze dwa razy mniejszy.

Minął Komako, chwycił najgrubszy z korzeni i z całej siły szarpnął.

– Charlie, nie! – krzyknęła Ribs.

Prawie udało mu się wyrwać korzeń. Napiął mięśnie i pociągnął drugi raz.

Ściany i sufit się zatrzęsły, kurz osypał mu się na twarz i wcisnął za kołnierz. Basowy, nieludzki jęk poniósł się tunelem, jakby ciemność była żywą istotą.

Charlie zatoczył się w tył.

Komako złapała go za ramię i okręciła w miejscu.

– Nie rób krzywdy korzeniom! – Jej warkocz szamotał się w takt gniewnych ruchów głowy. – Co z tobą? Zawalisz nam tunel na głowy! Stań tam... albo nie, tam! I niczego nie dotykaj. – Z irytacją mruknęła coś pod nosem po japońsku. Nie brzmiało to grzecznie.

Charlie, który niepewnie się wycofał i wrócił do pozostałych, domyślał się sensu jej wypowiedzi. Rozmasował biceps.

– Chyba niezbyt mnie lubi...

– Ja cię lubię – odezwała się Ribs, której ubranie falowało w powietrzu tuż obok niego.

On jednak słuchał jednym uchem, bo w napięciu śledził ruchy Komako. Zawiesiła lampę na jakiejś gałązce, żeby mieć światło, i zaczęła usuwać leżące kamienie, nie czyniąc przy tym krzywdy drzewu. Charlie patrzył na nią przez cały czas, dopóki nie oczyściła przejścia na tyle, że mogli się przecisnąć dalej.

Dotarli do obszernej, mrocznej komory. Kiedy Komako uniosła lampę, Charlie stwierdził, że podłoga, ściany i niski sufit są w całości pokryte korzeniokształtnymi mackami wiązu górskiego. Rzeczywiście można było odnieść wrażenie, że dotarli do jądra drzewa. Lekko piżmowy aromat ziemi i drewna wypełnił mu nozdrza.

Przystanęli tuż za progiem. Marlowe pierwszy ostrożnie ruszył dalej i na skraju plamy światła zaczął się gramolić przez gruzłowate korzenie. W przyćmionym blasku lampy majaczyła podwieszona do sufitu w płątaniu korzeni, grud ziemi i obwisłych mchów jakaś... istota, postać tak prastara, że zdawała się wrośnięta w system korzeniowy.

Komako poświeciła wyżej. W samym środku tej splątanej sękatej masy znajdowała się twarz – wydłużona, dziwaczna, jak wyrzeźbiona w drewnie, z osobliwie rozdziawionymi ustami i otwartymi żółtymi oczami, w których skrzyła się inteligencja.

Charliemu zaparło dech w piersi. Marlowe stanął dokładnie pod tą twarzą. Był na tyle niski, że nie musiał przykucać, by spojrzeć jej prosto w oczy.

To był glifin. Pająk.

– Nie powinniście... tu... przychodzić... – zadudnił jego głos jak przewalający się powoli grzmot, zimny jak najciemniejsze zakamarki ziemskich głębin.

Oskar zaskomlał cicho. W tej samej chwili coś zacisnęło się na kostce Charliego: to jeden z korzeni oplótł mu się wokół buta i przytrzymał go w miejscu. Inni również zostali oplątani – wszyscy poza Marlowe'em. Drugi, potem trzeci korzeń owinał się wokół nóg Charliego, oplótł go w talii, otoczył mu pierś i go unieruchomił. Im bardziej Charlie szarpał się i walczył, tym mocniej zaciskały się korzenie. Były wprost niewiarygodnie silne i wychodziły ze wszystkich ścian i sufitu.

– Ekhm... Ribs? – Komako była wyraźnie zaniepokojona.

Ale to mały Marlowe, stojący naprzeciwko glifina, pierwszy do niego przemówił.

– Nie chcieliśmy przychodzić tu nieproszeni – zaczął – ale potrzebujemy twojej pomocy. Mamy wiele pytań. Proszę.

– Chcą... się dowiedzieć... o zaginionych...

Charlie patrzył, jak Marlowe podchodzi jeszcze bliżej. Jego czarne włosy kontrastowały z bladą twarzą. Nie zapytał jednak o zaginione dzieci, przynajmniej nie od razu.

– Boję się o kogoś. O pewną osobę. Widzisz ją? Możesz mi powiedzieć, czy jest bezpieczna? Nazywa się...

– Alice Quicke... nie jest... talentem...

Marlowe obejrzał się na Charliego. Jego oczy zabłyśły jak dwie małe gwiazdki.

– Nie jest – zgodził się – ale jest naszą przyjaciółką, moją i Charliego. To ona nas tu przywiozła. Ale teraz pojechała z panią Harrogate do Londynu, bo chcą odszukać Jacoba Marbera.

Glifin skupił na chłopcu spojrzenie żółtych oczu. O ile reszta jego twarzy zdawała się rzeźbiona w drewnie, o tyle oczy były połyskliwe, wilgotne, gadzie.

– Znamy... cię. Widzieliśmy. W Śnieniu.

Kilka grubych korzeni zakołysało się w powietrzu wokół Marlowe'a, żaden jednak nie zaatakował.

– Alice Quicke... – mówił dalej glifin, wykręcając szyję – usiłuje znaleźć... Jacoba Marbera.

– Właśnie.

– Jacob Marber... nie da się... znaleźć. On sam... znajduje.

– O czym on mówi? – zapytał szeptem Charlie, zwracając się do Komako.

– Marlowe? – odezwała się przyciszonym, natarczywym głosem, jakiego Charlie nigdy wcześniej u niej nie słyszał. Brzmiał w nim strach. – Marlowe, zapytaj go o znikające dzieci. Jak je znaleźć? Zapytaj o powóz.

Ale Marlowe oddalił się od nich jeszcze bardziej i chyba w ogóle jej nie usłyszał.

– Bo ja... – mówił dalej, teraz już szeptem – ...miewam takie sny i wydaje mi się, że Alice ma kłopoty. I że mnie potrzebuje.

– Sny... o tak, znamy się... na snach. To ty... jesteś tym... którego on szuka.

Stojący za przyjacielem Charlie widział tylko tył jego głowy i ubrudzony fartuch. Marlowe balansował na palcach.

– Blżej, dziecko... bliżej... połóż dłonie... na naszej twarzy... nie bój się...

– Eee... Mar? – zawołał Charlie. – To chyba nie jest dobry pomysł.

– Spokojne, Charlie. On mi nie zrobi krzywdy.

Komako wolną ręką złapała Charliego za przegub dłoni. Dotyk jej palców był chłodny i delikatny.

– On właśnie w ten sposób się porozumiewa – wyjaśniła. – Marlowe’owi nic nie grozi. – Przymknęła oczy, jakby wsłuchana w rozbrzmiewający jej w głowie dźwięk. – Wie, dlaczego tu jesteśmy. Wie, po co przyszliśmy.

Marlowe jeszcze bardziej wspiął się na palce, wyciągnął ręce i delikatnie przytknął dłonie do boków głowy glifina.

Słaba z początku błękitna poświata z każdą chwilą narastała, aż wypełniła całą komorę, osobliwie uwypuklając cienie, jakby znaleźli się pod wodą. Charlie znał ten blask. Widział go w pociągu.

Oczy Komako rozbłysły z zachwyty. Oskar przestał pojękiwać, rozchylił blade wargi i tylko patrzył. Nawet ruchliwe korzenie drzewa straciły rezon.

Wszystko znieruchomiało.

Światło zapłonęło jeszcze jaśniej i wciąż się nasilało, aż bolały od niego oczy i wszyscy odwrócili wzrok – tylko Charlie patrzył uparcie spod przymrużonych powiek...

Nagle zrozumiał. Coś było nie tak. Marlowe zeszywniał, po czym w jednej chwili jego ciało wyprężyło się i wygięło w tył, jakby w ogromnym bólu.

– Marlowe?! – krzyknął oślepiiony Charlie. – Marlowe!

Albo przynajmniej próbował krzyknąć, bo słowa nie chciały płynąć, a właściwie popłynęły, tylko dziwnie ospale, leniwe, pozbawione wszelkiego sensu. Wszystko poruszało się straszliwie wolno. Powoli odwrócił błękitną twarz. Powoli podniósł rękę. Niebieskie korzenie też zacisnęły się powoli.

A potem tak samo nagle i niespodziewanie niebieska poświata rozbłysła po raz ostatni i zgasła. W całkowitej ciemności zostały tylko powidoki płonące pod powiekami. Marlowe, uwolniony z więżącego go zaklęcia, osunął się na ziemię. Charlie próbował się oswobodzić i doskoczyć do niego, ale nie mógł się ruszyć,

miał też kłopot z oddychaniem. Na szczęście jego wzrok znów pomału przyzwyczajał się do ciemności, widział już oplatające glifina korzenie: skręcały się i zaciskały, skręcały i zaciskały. Glifin uniósł głowę i zmierzył intruzów złowieszczym spojrzeniem żółtych oczu.

– To dziecko... może przejść... – zagrzemiał basowo. – Ale wy... wy wszyscy... macie zbyt wiele... pytań...

Korzenie wokół piersi Charliego jeszcze się zacisnęły. Płuca paliły go żywym ogniem.

Nieoczekiwanie coś się poruszyło, coś dużego i silnego przybywało tunelem, którym wcześniej przyszli. Charliemu łzawiły oczy, nie widział zbyt dobrze, korzenie się poruszały, szukały punktu zaczepienia gdzieś za ich plecami, ale tam właśnie coś się ciężko przewalało. Mocarny, oślizły uścisk zaczął odginać miażdżące go korzenie.

Ciałolbrzym Oskara przyszedł im na ratunek.

Wszedł spokojnie pomiędzy nich, wyrwał ich po kolei z uścisku glifina i ochronił w swoich szerokich ramionach. Korzenie nie ustępowały, wiły się, czepiały jego rąk, musiał więc powoli i metodycznie je odrywać, jakby zdejmował uczone ubrania włosy. Było ich za dużo.

Uwolniony Charlie zobaczył, że Marlowe wstaje.

– Proszę, uwolnij moich przyjaciół – wychrypiął drobny chłopiec. – Proszę. Obiecałeś.

Znów zapanował bezruch i przez moment Charlie obawiał się, że glifin zaatakuje także Marlowe'a. Wtedy jednak korzenie wycofały się wśród cichych szurnięć i zniknęły w otworach w ścianach i podłodze. Glifin uniósł się, zapadł głębiej w splątana masę podtrzymujących go korzeni, aż stracili go z oczu.

Charlie, teraz już naprawdę wolny, osunął się na ziemię, łapczywie chwytając powietrze. Będąc na czworakach, podniósł głowę: jego towarzysze chwiejnie cofali się w głąb tunelu, zadyszani gramolili się przez przegradzające go korzenie. Komako trzymała się za gardło. Ribs przestała być niewidzialna. Oddalająca się lampa kreśliła świetlisty okrąg na ścianach. Tylko Marlowe nie ruszył się z miejsca: stał oszołomiony, z opuszczonymi rękami.

Charlie podszedł do niego, potykając się.

– Co się stało, Mar? Co ci obiecał?

Marlowe przeniósł na niego spojrzenie błyszczących oczu.

– Ja... widziałem Alice – wyjąkał. – Pająk mi pokazał...

– Co? Co ci pokazał? Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

– Och, Charlie – wyszeptał Marlowe – nam wszystkim grozi.

Charlie porwał go na ręce i uciekł w głąb tunelu, tą samą drogą, którą przyszli, wąskim przejściem wśród osypanych kamieni i dalej, do krypty, wśród mnisich czaszek, w naturalny mrok prawdziwej nocy.

Henry Berghast zamknął dziennik, w którym pisał, wytarł stalówkę pióra i rozsiadł się wygodnie. Za oknami gabinetu gęstniała noc.

Zatem stało się.

Popłynęli na wyspę.

Przyszło mu do głowy, że to wcale nie jest najgorsza rzecz. Będą mieli pytania, a on będzie mógł udzielić im odpowiedzi. Przetarł oczy, pokiwał głową. Ogień w kominku przygasł, światło gazowych kinkietów kładło się na ścianach osobliwymi plamami. Zamknięty w klatce kościany ptak z klekotem skrzydeł przestąpił z nogi na nogę na swojej żerdce.

Berghast otworzył zamkniętą na klucz szufladę biurka, wyjął z niej zwinięty arkusz papieru i rozprostował go na blacie. Przedstawiał nakładające się okręgi i linie proste, strzałki i adnotacje sporządzone ozdobnym charakterem pisma doktora i był kopia wiszącego na ścianie ogromnego rysunku tuszem. Był też dziełem życia Berghasta, mapą świata po drugiej stronie orsine, której stworzeniu poświęcił trzydzieści lat.

Miał coraz mniej czasu. Kiedy zaprzestał eksperymentów i zaczął się obawiać, że w pościgu za drugim jest skazany na porażkę, glifin nieoczekiwanie namierzył chłopca, który przepadł bez śladu na wiele lat. A doktor przewidział, że ten chłopiec może być użyteczny, nawet więcej niż po prostu użyteczny: dzięki niemu on, godny pożałowania i słaby Henry Berghast, będzie miał szansę dokończyć rozpoczęte dzieło.

Zwinął mapę i schował w zamkniętej szufladzie.

– Bailey! – zawołał ostrym tonem.

Pociągła twarz służącego była absolutnie niewzruszona, szare oczy błyszczały inteligencją.

– Słucham, proszę pana?

– Nasi najnowszy goście, ci nowi chłopcy... Kojarzysz ich z widzenia?

– Tak, proszę pana.

Berghast odwrócił się w fotelu i spojrział na swoje odbicie w szybie. Jego oczy ginęły w ciemności.

– Przyprowadź ich do mnie – powiedziało odbicie.

Nocne stwory i inne smutki

Stwór – bladokóry, bezwłosy, z zębami długimi jak noże – stał w otwartych drzwiach nieruchomo, jak przedmiot ulepiony z gliny. Tylko jego oczy się poruszały, wpatrzone w nocne mgły nad Wapping.

Był bosy, co jednak samo w sobie nie było niczym niezwykłym w dzielnicy, w której na ulicach poniewierały się ciała na różnych etapach roznegliżowania, a żywych łatwo było pomylić z umarłymi. W obszarpanych spodniach z szorstkiej tkaniny i koszuli bez kołnierzyka wyglądał jak przeciętny mieszkaniec tej okolicy, któremu ostatnio zwyczajnie się nie wiedzie. W jego ustach jednak ziała ciemność, absolutna ciemność, a on sam emanował bezgranicznym spokojem, który zupełnie nie pasował do człowieka upadłego czy zwykłego nędzarza. Drzwi za jego plecami, rozszczerzone i połamane, zwisały koślawo na zawiasie. W głębi, ledwie widoczne obok krzesła, można było dostrzec stłuczone okulary w drucianej oprawce, a obok nich wyciągniętą rękę Ratcliffe’a Fanga, którego krew gęstniała na podłodze jak czarny wosk.

Litch właśnie wychodził. Przystanął jeszcze, żeby podnieść sfatygowany melonik, który spadł Fangowi z głowy. Przez chwilę z osobliwą delikatnością obracał go w palcach, jakby zatopiony we wspomnieniach, aż w końcu, jak w półśnie, nałożył go na głowę.

Dopiero wtedy wyszedł, pogrążył się w mrokach nocy i skierował na północ. Mimo gęstej mgły szedł szybkim, zdecydowanym krokiem po błotnistych, zrytych koleinami i spływających nieczystościami uliczkach. Od czasu do czasu zatrzymywał się, przykucał i węszył, po czym płynnym ruchem prostował się

i ruszał dalej. Przez cały czas usiłował sobie coś przypomnieć, coś ważnego... Bez powodzenia.

Jacob, myślał. Jacob, Jacob, Jacob, Jacob...

Powietrze się zmieniło, litcha otoczył zgiełkliwy mrok Whitechapel High Street. Tutaj zapachy się mieszały, smród niemytych ciał, odór gnijącego jedzenia, zwierząt i odchodów łączyły się i musiał przystanąć, zadrzeć lekko głowę i przez chwilę obracać się w miejscu, węsząc, zanim ponownie wychwycił tę woń. Górowała nad innymi jak pojedyncza wysoka nuta ponad dźwiękami orkiestry. Zapach osoby, którą kazano mu znaleźć.

Skręcił na wschód i zaczął przemykać wśród dorożek, koni i przechodniów majaczących jak widma we mgle.

Światła było niewiele, wiszące nad wejściem do pubu wiekowe, brudne latarnie rozjaśniały tylko mgłę. Litch płynął przez półmrok jak dym. Na drugim krańcu Commercial Street skręcił na północ w zabudowaną wysokimi domami uliczkę, lawirując wśród ludzi śpiących we wnękach drzwi, podcieniach i pod oślizłymi ceglanyymi murami.

Potem znowu na wschód i jeszcze raz na północ, przez zaułki i zakamarki, dróżki i podwórka. W końcu przystanął na chwilę nieruchomo wśród snującej się mgły, po czym podszedł do tonących w półmroku drzwi. Śpiący przy nich człowiek obudził się i zirytowany zasłonił rękami, na co litch bez namysłu przykucnął przy nim, ścisnął go jedną ręką za czoło i ostrym paznokciem drugiej dłoni poderżnął mu gardło. Koszula tamtego rozkwitła czerwienią. Wierzgnął, zadygotał, zwiotczał i znieruchomiał.

Naprzeciwno, po drugiej stronie uliczki, ledwie widoczne we mgle otworzyły się drzwi.

Na schodki wyszły dwie kobiety pogrążone w rozmowie z trzecią, która została w środku. Niższa z dwójki nosiła się na czarno i osłaniała twarz woalką. Wyższa, ubrana w nieprzemakalny płaszcz, rozglądała się czujnie. Miała niebezpieczne oczy.

Litch zapadł się głębiej w cień.

Uplłynął kwadrans. Mgła tłumiła dźwięki, ale Alice Quicke w gęstej ciszy wyraźnie słyszała chrobotanie własnych butów na bruku – smutny, posępny

dźwięk, jak zgrzyt kredy na wieku trumny niedawno zmarłego człowieka. Wyteżęła słuch w poszukiwaniu innych odgłosów. Coś ją niepokoiło. Obok niej pani Harrogate szła z pochyloną głową, zatopiona w myślach. W torebce niosła dwa ciężkie klucze, ale to nie one były źródłem niepokoju Alice, która co kilka kroków oglądała się przez ramię. Włoski na karku stały jej dęba.

Coś za nimi podążało.

Była tego pewna, absolutnie pewna. Może jakiś rzezimieszek, może coś gorszego. Przypomniała sobie, co Susan Crowley mówiła o Henrym Berghaście, i płynnym gestem odwiodła kurek trzymanego w kieszeni rewolweru. Z mgły jednak nic się nie wynurzyło, a ona nie podzieliła się swoimi obawami z panią Harrogate.

Szły jeszcze przez jakiś czas, aż pani Harrogate pomachała na dorożkę. Skrzypiący pojazd zatrzymał się w gęstej jak zupa ciemności i obie panie wsiadły. Woźnica strzelił z bata i chuda jak szkielet szkapina poczłapała przed siebie.

Wróciły do pensjonatu. Alice upewniła się, że okno jest solidnie zamknięte, zsunęła z ramion długi płaszcz i rzuciła kapelusz na łóżko. Zmarszczyła brwi.

– Nie byliśmy same – powiedziała. – Po wyjściu od Susan Crowley ktoś nas śledził.

Pani Harrogate, która zdążyła tymczasem odpiąć woalkę i zdjąć szal, znieruchomiała. Spojrzała na Alice takim wzrokiem, jakby taksowała nowy zakup, niepewna jego wartości. Alice nie była tym spojrzeniem zachwycona.

– Poczula pani coś w boku? – zainteresowała się pani Harrogate.

– Nie. – Alice dotknęła żeber. – Nic, odkąd przyjechałyśmy. A jeśli to nie zadziała? Jeśli nie uda mi się znaleźć Jacoba Marbera?

– Pani nie musi go znajdować. Kiras o to zadba.

W żółtym świetle gazowej lampy Alice przysiadła na skraju łóżka i zdjęła ubłocone buty. Nie do końca zrozumiała słowa pani Harrogate, ale postanowiła nie drażnić tematu. Dręczyły ją inne, ważniejsze pytania.

– Dlaczego Marber tak bardzo interesuje się Marlowe'em? Dlaczego zabił jego rodziców?

– Dlatego, że chłopiec ma wielką moc. Poza tym drughr się nim interesuje.

Oczy pani Harrogate, zajętej odkładaniem szala do szafy, skryły się w cieniu. Znieruchomiała. Alice obserwowała jej odbicie w lustrze.

– Proszę mi wybaczyć – podjęła łagodniejszym tonem pani Harrogate. – Opowieść panny Crowley była... zatrważająca. O większości tych rzeczy nie miałam pojęcia, a nie lubię niespodzianek.

– Czyli uwierzyła jej pani, tak?

– A pani nie?

Alice zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Nie powiedziała nam całej prawdy, ale to nie znaczy, że kłamała. Brzmiało to tak, jakby najbardziej przerażał ją Berghast. Nie Marber, nie drughr, tylko Berghast.

– Tak może myśleć tylko ktoś, kto nie zna prawdziwej natury drughra.

Alice zamyśliła się nad jej słowami.

– Proszę nie zapominać – mówiła dalej pani Harrogate – że to nie Henry Berghast poluje na dzieci, uprowadza talenty, zdradza i morduje takich ludzi jak Frank Coulton. Przybyliśmy tu w jednym celu i zrobimy wszystko, żeby go osiągnąć.

– Crowley twierdziła, że prawdziwy obiekt zainteresowania doktora Berghasta znajduje się w tym drugim świecie. Dlaczego?

Pani Harrogate przysiadła skromnie na wyściełanym aksamitem krześle i przyglądała spódnicę. Na jej twarzy malował się niepokój.

– A niech mnie wszyscy diabli... – mruknęła Alice. Wreszcie zaczynała rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. – Pani też mu nie ufa. – Nagle coś jej się przypomniało. Spochmurniała. – Po co Instytut sprowadza te wszystkie dzieci, pani Harrogate? Do czego są potrzebne?

– Proszę się uspokoić, bo jeszcze trochę i nasza poczciwa gospodyni zacznie podsłuchiwać przez dziurkę od klucza.

– Zostawiłam Marlowe'a i Charliego pod opieką Berghasta.

– Za murami Cairndale nic im nie grozi. Henry może się mylić, ale nie jest szalony, czego nie da się powiedzieć o Jacobie Marberze. Jestem przekonana, że nagłe i niespodziewane zetknięcie z Marberem miałyby dla chłopców oplakane skutki.

– Cały czas powtarza pani, że w Cairndale jest bezpiecznie...

– Dlatego, że Jacob nie może tam wejść. Teren jest chroniony.

– Raz już się tam wdarł. Czy nie tak właśnie mówiła Crowley?

– Zabezpieczenia zostały zmienione – odparła gładko pani Harrogate. – Nikt, absolutnie nikt nie chce powtórki tego, co się wydarzyło, kiedy Marlowe był niemowlęciem, ale jedynym sposobem na zapewnienie dzieciom autentycznego bezpieczeństwa będzie zabicie Jacoba Marbera.

To mówiąc, wyjęła z torebki złożoną na czworo chusteczkę. Alice znów zakreśliło się lekko w głowie, ale zmusiła się, żeby patrzeć na odwijaną z chusteczki parę kluczy. Pani Harrogate położyła je na konsoli obok.

– Silnie odczuwa pani ich wpływ – zauważyła.

Alice przełknęła ślinę.

– Są... złe.

– Otóż to. Znakomicie. To dlatego, że jest pani bardzo wrażliwa, panno Quicke. To wpływ rany zadanej przez Marbera. Na to właśnie liczyłam. Nazywamy je dziwozwojami.

Alice, która nieźle znała się na kluczach, obrzuciła dziwozwoje zaciekawionym spojrzeniem.

– Są stare, pierwszy raz takie widzę. Nie otwierają żadnego skarbcza ani skrytki, więc co? Drzwi jakiegoś pokoju? Gdzie ją znajdziemy?

– Gdzie co znajdziemy, panno Quicke?

– Broń, która ma zabić Jacoba Marbera.

– No tak... – Oczy pani Harrogate zabłysły. Uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Pani nie rozumie: to właśnie jest ta broń. – Ostrożnie wzięła do ręki rzemyk z dziwozwojami i przyjrzała się im z bliska. – Kiedyś były trzy, dziś są dwa, pewnego dnia zostanie tylko jeden. A gdy ostatni klucz zostanie utracony, wraz z nim przepadnie wszelka możliwość walki z drughrem.

– Czym one są?

– To złe rzeczy, panno Quicke. Sprzeczne z naturą. To nie klucze, lecz naczynia. Zamknięte w nich jak mucha w bursztynie tkwi coś, co nie należy do naszego świata. Jak pani wiadomo, orsine w Cairndale to drzwi, przejście do innego świata. To, co zamknięte w dziwozwojach, pochodzi właśnie stamtąd. – Pani Harrogate zacisnęła dłoń w pięść wokół kluczy. Skrzywiła się. – One są świadome, panno Quicke – podjęła, znizywszy głos. – Mają swoje pragnienia i lęki, zupełnie jak my. Musi się im pani oprzeć.

W słabo oświetlonym obcym pokoju Alice patrzyła, jak odziana w czerń kobieta wstaje i bezszelestnie niczym duch przemyka do drzwi. Cała ta scena miała w sobie coś tajemniczego, upiornie nierealnego, lecz Alice dawno już przestała upierać się przy tym, co rzeczywiste. Czowała narastającą w niej znajomą grozę.

– Proszę mi pokazać – powiedziała beznamiętnie – Proszę pokazać, co potrafia.

Pani Harrogate wyciągnęła w jej stronę rzemień z dziwozwojami.

– O nie, panno Quicke – odparła półgłosem. – To pani musi pokazać mnie.

A więc to do tego była im potrzebna.

Obracając dziwozwoje w palcach, czuła zimno przeszywające ją jak nóż. Pokój zafalował, a potem nagle zachwiała się i złapała skraju łóżka, ogarnięta czarnym morzem mdłości – raz, drugi. Zadana przez Marbera rana w boku rozkwitła bólem. Zaciśnięte w pięści dziwozwoje aż parzyły zimnem.

– Musi się pani poddać – szeptała gdzieś niedaleko pani Harrogate. – Proszę nie próbować zapanować nad bólem, tylko się z nim pogodzić. Niech ból stanie się panią.

Okropne uczucie bynajmniej nie ustąpiło, ale Alice posłuchała: stopniowo poddała się bólowi, a ten przestał być tak bardzo wszechogarniający.

Roztrzęsiona otworzyła dłoń.

Były różne. Teraz widziała, że jeden z nich jest zrobiony z czarnego żelaza albo czegoś bardzo podobnego; jego powierzchnia była porowata i szorstka w dotyku. Drugi wyrzeźbiono z czarnego drewna, które z wyglądu przypominało metal, było jednak – o dziwo – znacznie twardsze. Oba były ciężkie, a ich trzpienie niemal dorównywały długością jej dłoni. Żelazny dziwozwoj był zwieńczony ozdobną celticką plecionką, pozbawioną spoin i skomplikowaną jak płatek śniegu. Drewniany kończył się poprzeczką, a w miejscu jej przecięcia z trzpieniem osadzony był dysk, który mógł się obracać. Drewno było naoliwione i wypolerowane, słoje aż lśniły. Przy końcu trzpieni obu kluczy znajdowały się misterne podwójne krezy, jakich Alice nigdy przedtem nie widziała, a pióra były lite i nieobrobione, jakby nie zostały ostatecznie oszlifowane do konkretnych zamków. Z bliska dostrzegła misterną srebrną inkrustację, może znaki nieznanego jej alfabetu, inne na każdym kluczu. Krawędzie kluczy – choć obie zaostrzone niczym noże i w podobny sposób inkrustowane srebrem – też się

różniły. Ich kolor zdawał się tym ciemniejszy, im dłużej Alice się im przyglądała, zupełnie jakby wsysały wszystkie zalegające w pokoju cienie. Miała wrażenie, że patrzy przez nie na wskroś wprost w bezkresne mroki nocnego nieba.

– Panno Quicke? – mruknęła pani Harrogate.

Alice otrząsnęła się z transu.

– Tak? Słucham? Co mam robić?

Pani Harrogate wskazała żelazny dziwozwój.

– Ten klucz jest bronią. Można go włożyć do zamka w dowolnych zamkniętych drzwiach, będzie pasował. A kiedy je pani otworzy, wyjdzie zza nich kiras. Łączy go z panią wspólnota celów, ale to nie znaczy, że będzie wykonywał pani polecenia. Przeciwnie, spróbuje narzucić pani swoją wolę. Nie wolno do tego dopuścić.

– Nie rozumiem.

– Zrozumie pani. I jeszcze jedno: dziwozwój nie działa w blasku dnia. Można go użyć tylko nocą. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak jest. Nie wiem. Powtarzam tylko to, co mi powiedziano. Musi pani odesłać kirasa z powrotem za drzwi i zapieczętować je dziwozwojem przed kolejnym wschodem słońca.

– A jeśli nie?

– Dziwozwoje więżą kirasa. Im dłużej kiras pozostaje na wolności, tym słabsza staje się ich władza nad nim. Gdy zanadto osłabnie, kiras będzie mógł działać wedle swojej woli tutaj, w naszym świecie, posłuszny tylko własnym pragnieniom i skłonny zaspokajać wyłącznie własne apetyty. Nie zdoła mu pani wtedy rozkazywać.

– I co zrobi?

– Proponuję tego nie sprawdzać.

– Dlaczego tylko ja mogę to zrobić? Nikt inny się nie nadaje?

W spojrzeniu pani Harrogate złość mieszała się z rozgoryczeniem.

– Bo nosi pani w sobie pył Jacoba Marbera. Oczywiście nie jest pani jedyna.

Alice domyśliła się, że pani Harrogate mówi o Jacobie: również Marber mógł zawładnąć kirasem.

Zadrżała, podeszła do drzwi i zaczęła przymierzać żelazny dziwozwój do zamka. Zawahała się jednak.

– Zaraz, chwileczkę... A do czego służy drugi klucz?

– Dziwozwój, panno Quicke. Tak się nazywa: dziwozwój. Żelazny otwiera drzwi, drewniany je zamyka. Użyj go pani, gdy będzie się rozstawać z kirasem.

– Przed świtem.

– Tak. W przeciwnym razie będzie pani musiała zaczekać na zapadnięcie kolejnej nocy.

Alice pokiwała głową i znów odwróciła się do drzwi. Wsunęła żelazny dziwozwój do zamka i przekręciła.

Nic się nie stało. Zapadła długa cisza.

– Musi pani otworzyć drzwi. – W głosie pani Harrogate zabrzmiała lekka irytacja.

Zdenerwowana Alice przekręciła gałkę. Wąski korytarz był słabo oświetlony samotnym gazowym kinkietem umieszczonym u szczytu schodów. Ostrożnie wyszła z pokoju i rozejrzała się na obie strony. Pusto. Nagle coś otarło się jej o nogę, aż podskoczyła – ale to był tylko kot, czarny kot z białą skarpetką, zapewne należący do gospodyni. Spiorunowała go wzrokiem, gotowa cofnąć się do pokoju. Ogarnęła ją ulga przemieszana z rozczarowaniem.

Pani Harrogate stała na środku pokoju jak wrośnięta w ziemię i patrzyła na kota.

Alice spojrzała w dół i znów podniosła wzrok na panią Harrogate. Nagle doznała olśnienia.

– No nie – powiedziała. – Kot?

Kot bezszelestnie wszedł do pokoju, wskoczył na pościel. Skulił się, owinał ogonem i spokojnie zaczął się lizać po białej łapie. W tej właśnie chwili Alice dostrzegła, że ma dodatkową parę oczu: łącznie czworo ślepi lśniło wśród gładkiej czarnej sierści.

– Co on robi? – spytała szeptem.

Pani Harrogate spokojnym gestem splotła dłonie za plecami. Nie ruszyła się z miejsca.

– On panią rozumie, panno Quicke. Może go pani sama zapytać.

– Ale przyszedł, żeby nam pomóc, tak?

– Musimy mieć taką nadzieję, ale naprawdę uprzejmość wymaga, żeby rozmawiała pani z nim bezpośrednio.

– Cześć... kotku – zagaiła Alice, czując się cokolwiek głupio. Kiras, jeśli to faktycznie był on, nie przerywał toalety. – Nazywam się Alice Quicke. To ja... no... otworzyłam drzwi i... Chodzi o to, że potrzebujemy twojej pomocy. Pewien człowiek... znaczy drughr... zabija naszych przyjaciół. Potrzebujemy twojej pomocy, żeby go powstrzymać. Proszę.

Kiras uniósł wąsy i ziewnął rozdzierająco, odsłaniając długie kły. Przez krótką chwilę Alice miała nadzieję, że raczy ją zauważyć, zareaguje na jej słowa w jakiś osobliwie niekoci sposób, ale on tylko zeskoczył bezgłośnie na podłogę, podszedł do okna, dał susa na parapet... i siedział tak, z podniesioną głową i nastawionymi uszami, zapatrzonego w mrok za szybą.

– To niedorzeczne – mruknęła Alice. Dręczyło ją coraz bardziej przemożne uczucie, że ktoś z niej żartuje.

Ale pani Harrogate wcale nie uważała sytuacji za niedorzeczną. Ostrożnie podeszła do okna i przystanęła tuż za kirasem, próbując się zorientować, co zwróciło jego uwagę.

– O co chodzi? Coś tam jest?

Kiras ani drgnął.

– Z pewnością – odezwała się Alice. – Mysz.

Pani Harrogate się nie uśmiechnęła.

– Nazywam się Margaret Harrogate – powiedziała uprzejmym tonem. – Wezwaliśmy cię, ponieważ chcieliśmy ci się przedstawić. Jutro w nocy poprosimy cię o pomoc. Wyjdziemy wtedy na miasto w poszukiwaniu pewnej osoby. Sługi drughra.

Atramentowoczarny ogon drgnął leciutko, podkulił się, znowu drgnął, ale była to jedyna reakcja kirasa na słowa pani Harrogate.

– Panno Quicke? – mówiła dalej. – Proszę włożyć do zamka drewniany dziwozwój. Wówczas nasz gość będzie mógł nas opuścić.

Alice jej posłuchała, a wtedy kiras, kot czy cokolwiek to było pociągnął nosem i niespiesznie opadł na podłogę, jakby doskonale rozumiał, co się do niego mówi. Następnie, jakby chciał dowieść, że sam wpadł na ten pomysł, przystanął na

dłuższą chwilę w otwartych drzwiach, zanim ostatecznie bez pośpiechu wyszedł na korytarz.

Alice zamknęła za nim drzwi, wyjęła drewniany klucz z zamka i zawiesiła sobie ramię na szyi.

W pokoju zapadła cisza. Pani Harrogate wyjrzała przez okno. Ulicą przelewała się mgła.

– Co tam takiego jest? – mruknęła.

Alice na wszelki wypadek uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę. Korytarz był pusty. Czterooki kot zniknął.

Przez kilka kolejnych nocy nie opuszczały pensjonatu. Pani Harrogate kupowała gazety, przebiegała wzrokiem nagłówki, a potem karmiła papierami kominek. Czekwała na kolejne zabójstwo w Limehouse. W końcu z rzeki wyłowiono poćwiartowane ciało latarniarza i nadeszła właściwa chwila. Po zmroku Alice narzuciła nieprzemakalny płaszcz, związała włosy w kucyk i naciągnęła kapelusz nisko na czoło. Pani Harrogate postawiła na łóżku skrzyneczkę, z której wyjęła lampę z zasłoną i dwa podłużne zawiniątka.

Znajdowały się w nich dwa identyczne noże, diabelnie ostre, z kastetową rękojeścią zaopatrzoną w pierścienie na palce i cienkim, okrągłym szpikulcem u dołu. Broń zabójców.

– Jezu... – mruknęła Alice, biorąc jeden z nich do ręki. – Skąd je pani wzięła?

– Z Krymu – odparła rzeczowo pani Harrogate. – Znalezione je przy rosyjskim zwiadowcy. Mogą się przydać, jeśli spotkamy Waltera.

Wsunęła noże za pas. Pasowały jak ulał. Alice sprawdziła swojego peacemakera i wrzuciła do kieszeni garść dodatkowych nabojów, jakby zgarniała drobniaki. Pani Harrogate wyjęła z torebki mały posrebrzany pistolet, sprawdziła, czy działa, schowała go z powrotem i starannie zapięła torebkę.

– Proszę tylko na nas spojrzeć... – Alice się uśmiechnęła. – Można by pomyśleć, że wybieramy się na wojnę.

– Bo to prawda – odparła pani Harrogate, przypinając woalkę.

W końcu Alice włożyła dziwozwój do zamka i otworzyła drzwi przed mruczącym kirasem, który od razu podszedł do okna, jakby świadomy ich planów, i zaczął niecierpliwie przechadzać się w tę i z powrotem, jak na patrolu.

– A teraz, panno Quicke – powiedziała pani Harrogate, otwierając okno, przez które wpłynęło cuchnące uliczne powietrze – chodźmy do trupiarni, żeby kiras mógł podjąć trop.

Szły powoli przez osnute gęstą mgłą, wilgotne i ciemne ulice Limehouse. Kiras trzymał się blisko nich. Mimo późnej pory wszędzie było pełno ludzi: przekrzykiwali się, przekradali i handlowali. Pijani marynarze spali w wejściach do domów, bezdomne dzieciaki w łachmanach zamiatały ulice. Miasto jak zwykle wprawiało Alice w gniewno-smutny nastrój.

W powietrzu jednak unosił się przede wszystkim strach przed potworem grasującym na przystani i wśród zaułków Limehouse. Było już siedem ofiar, spodziewano się kolejnych, a policja nic nie robiła. Alice czuła się dość dziwnie pod opieką małego czarnego kota, ale fazę wiary i powątpiewania miała dawno za sobą. Zbyt wiele widziała. Niektóre cienie naprawdę były żywe.

Ciało znalazły w czwartej z odwiedzonych kostnic. W bladym świetle w oparach formaldehydu i wyziewów gazowej lampy balsamista wycierał ręce w roboczy fartuch i próbował zrozumieć, o co im chodzi.

– Ten, którego wyłowili z Tamizy? – Zmarszczył brwi.

Pomieszczenie było małe i zabałaganione. Uchylone drzwi prowadziły w głąb budynku, najprawdopodobniej – jak przypuszczała Alice – do sali z ciałami, o które nikt się nie upominał.

– Nie życzymy sobie tu żadnych gapiów ani reporterów. To porządny przybytek.

– Jestem prywatnym detektywem. – Alice pokazała swoje dokumenty. – Mam licencję Scotland Yardu. Kazano mi obejrzeć ciało. Wie pan, jak to bywa: nieoficjalne kanały i tak dalej... To nie potrwa długo.

Balsamista pracował nad mężczyzną z długimi czarnymi wąsami bardzo podobnymi do tych, jakie sam nosił. Do ramion zwłok podłączył elastyczne rurki i kręcił się wśród aparatury, czuwając nad przebiegiem procesu. Na policzku miał jakąś ciemną smugę. Alice wołała się nie zastanawiać, co to może być.

– Ale ostrzegam – powiedział, patrząc na panią Harrogate – to nie jest widok dla wrażliwych kobiecych oczu.

– Proszę się o nią nie martwić – uspokoiła go oschłym tonem Alice. – Nie znam drugiej równie niewrażliwej kobiety.

Pani Harrogate zeszywniała, uniósłszy się słusznym (choć milczącym) gniewem.

W końcu balsamista wzruszył ramionami.

– Niech wam będzie. Ale tylko na chwilę, robota sama się nie zrobi.

Zaprowadził je na dół, do podłużnej piwnicy z rzędem drzwiczek w jednej ścianie. Zapalił lampę i przeszli dalej, do mniejszego pomieszczenia, gdzie na stole ze stalowym blatem stała miednica pełna czegoś gęstego.

Balsamista powiesił lampę na belce pod sufitem.

– Proszę bardzo, możecie panie zerknąć.

Cokolwiek to było, nie dało się tego nazwać ciałem. Śmierdziało amoniakiem i alkoholem, spod których przebijała ohydnie słodkawa, wykręcająca wnętrzości woń jakby gnijących roślin. Poszczególne członki pływały w na wpół zgęstniałej mazi. Alice zdołała rozpoznać łokieć, przedramię i wykrzywioną dłoń, coś, co wyglądało jak stopa ze sterczącym odłamkiem kości, oraz twarz z wylupionymi oczami.

– Na brzegach są ślady zębów – wyjaśnił pracownik kostnicy, wskazując spokojnie palcem. – Tutaj i tutaj. To nie były ludzkie zęby.

Kiras pojawił się nie wiadomo skąd, bezgłośnie wskoczył na stół i oparł przednie łapy o skraj miednicy.

– Matko boska, a ten co tu robi?! Wynocha mi stąd, ale już!

Balsamista chwycił szmatę i machnął nią na kirasa.

Ale kot już zniknął: plama ciemności dała nura przez drzwi, przemierzyła podłużną piwnicę, wbiegła po schodach i przepadła bez śladu.

Alice spojrzała pytająco na panią Harrogate, która skinęła głową.

Sprawa załatwiona.

Na zewnątrz owionęły je odory Limehouse. Kiras zdradzał oznaki zniecierpliwienia. Prowadził szybko i pewnie przez labirynt ciemnych, oślizłych uliczek, przez podwórka i podcienia, aż dotarli do na wpół zatopionego pomostu, na którym siedziało kilka osób. Linki wędek zwisały luźno. Alice poświeciła dookoła, żeby się zorientować, gdzie się znajdują. Kiras dreptał w tę i z powrotem z postawionym do pionu ogonem i czujnie uniesionymi uszami.

– Tutaj wyłowili ciało – mruknęła pani Harrogate. – Stąd podejmie trop.

– A może to tutaj skurczybyk wpadł do wody – odparła Alice.

Ale kiras już oddalał się od rzeki, klucząc w ciemności. Przemykał między nogami tłumu, niezrażony gnojem na bruku, końmi i zgiełkiem głównej ulicy. Alice miała kłopot, żeby za nim nadążyć. Mgła, która zgęstniała, miała gryzący, gorzki posmak, jakby ogromne wapienniki zatruwały powietrze.

Nagle żółty opar rozstąpił się na moment jak zwijana kurtyna i Alice mignęła szybko idąca postać. Minęła właśnie przydrożny słupek i niczym cień opłynęła narożnik budynku, przygarbiona, w długim czarnym płaszczu i meloniku na głowie. Mimo mroku i dzielącej ich znacznej odległości Alice dostrzegła nienaturalną biel skóry na szyi i długie, ostro zakończone palce wystające z mankietów płaszcza. To była istota, której szukały.

Kiras zdążył tymczasem przepłynąć bezgłośnie na drugą stronę ulicy i do wylotu przecznicy. Był to zaułek złodziejasków, nazwany tak ze względu na mnogość ukrytych przejść i niespodziewanych zakrętów, a przy tym wąski i popularny wśród drzemiącej tu bezdomnej biedoty, o której nogi co rusz można się było potknąć. Alice przygasiła lampę i ostrożnie ruszyła dalej. Połowę ubogich stanowiły dzieci. Co drugie nie miało butów. Kiras przepadł we mgle, pojawił się, znów zniknął. Brudne szyby na wyższych piętrach słabo odbijały mgłę. Wszystkie okna były zamknięte na głucho. Alice była całkowicie spokojna.

Uliczka się rozwidliła. Alice poszła za kirasem w lewo. Słyszała, że pani Harrogate idzie za nią. Muliste kałuże pod stopami. Dźwięk kapiącej wody.

Omam nie potknęła się o kirasa. Gdzieś z niedaleka unosił się zapach rzeki. Były w ślepej uliczce. Pani Harrogate z zasłoniętymi woalką oczami przywozowała na myśl ducha.

Przed sobą Alice widziała bladą postać litcha, który wcześniej mignął jej na High Street. Stał z opuszczonymi rękami, z melonikiem w dłoni i głową pochyloną w taki sposób, jakby czegoś nasłuchiwał. W pierwszej chwili przestraszyła się, że pościg zwrócił jego uwagę, ale wtedy postać się odwróciła, rozejrzała, jakby chciała się upewnić, że nikt nie patrzy...

W tym momencie mgła się rozviała i Alice dostrzegła twarz litcha. Zamarła. Zniknęły kasztanowe bokobrody, zniknęły przerzedzone włosy, ale twarz się nie zmieniła.

To był Frank Coulton.

Słyszała, jak pani Harrogate zaparło dech w piersi.

– Mój Boże – wyszeptała.

Stwór, który był kiedyś Frankiem Coultonem, nałożył z powrotem melonik, po czym jak pajak wspiał się po zamykającym uliczkę murze i zeskoczył po jego drugiej stronie. Zniknął.

Alice pobladła z szoku.

– To był on – powiedziała. – Coulton. Myślałam, że nie żyje... – Odwróciła się ze złością do pani Harrogate. – To pani mi powiedziała, że zginął!

Roztrzęsiona pani Harrogate nie potrafiła wykrztusić słowa.

Kiras przepłynął jak dym pomiędzy nogami Alice i z niewiarygodną prędkością wspiał się po murze. Na szczycie przystanął, wyginając grzbiet w łuk i prężąc ogon, po czym zwrócił spojrzenie wszystkich czworga oczu na obie kobiety, jakby chciał się upewnić, że idą za nim.

Alice rozejrzała się w poszukiwaniu dalszej drogi. Nieopodal stała oparta o wóz chybotliwa drabina. Przewróciła ją kopniakiem, przeciągnęła pod mur i postawiła pionowo.

„Litch”, pomyślała.

Drabina nie sięgała szczytu muru.

Coulton stał się litchem.

Splunęła. Wyłamała palce i łypnęła na mur – nie chciała myśleć o Coultonie. A potem w trzepoczącym płaszczu, wśród mgły, która owijała się wokół niej jak żywe stworzenie, złapała uchwyt lampy w zęby i zaczęła się wspinać.

Dom o wielu drzwiach

Kiedy wrócili z wyspy, na pomoście czekała na nich postać w czarnej pelerynie. Odblask stojącej obok niej latarni mienił się jak świetliste monety rzucone na ciemną wodę. Nikt się nie odzywał, ciszę mąciły tylko cichy plusk wiosła i skrzypienie dulek. Oczekującym był służący doktora Berghasta o niewzruszonym, ponurym obliczu. Podniósł lampę i poświecił każdemu z osobna w twarz.

Zatrzymał się przy Charliem. I przy Marlowie.

– Wy dwaj – zadudnił jak basowy bęben. – Pan Berghast chce was widzieć. Natychmiast.

Nie próbował ich rugać za to, że wypuściwszy się na wyspę, w oczywisty sposób naruszyli regulamin Instytutu, a mimo to jego niezadowolenie było ewidentne. Charlie poczuł usta Ribs tuż przy uchu.

– Psiakrew – szepnęła.

Komako sprawiała wrażenie zawstydzonej. Wiedział, że choć wszyscy są współwinni, ją gryzie, że nie zaoponowała i chciała popłynąć z nimi. Przypomniawszy sobie, co mu powiedziała, kiedy znaleźli się sami: „Wiem, jak to wygląda. Ale nigdzie nie jest bezpiecznie, nie tak do końca”. Nagle przyszło mu do głowy, że na jej twarzy maluje się nie wstyd, lecz coś zupełnie innego.

Strach.

Położył rękę na ramieniu Marlowe’a w uspokajającym geście.

– Nie wierz wszystkiemu, co wam powie – szeptała tymczasem Ribs. – Mam na myśli starego Berghasta. Jeśli śliski jak węgorz w oleju.

– Ribs, ja nawet nie rozumiem, co to znaczy – odmruknął półgębkiem.

– Chodźcie – warknął służący.

Chłodny palec musnął nadgarstek Charliego.

– Bądź ostrożny, Charlie.

Wygramolił się z chybotałej łódki i przestąpiwszy nadburcie, wszedł na pomost. Marlowe wziął go za rękę i razem, idąc za służącym, zagłębili się w mrok.

Komako odprowadziła odchodzących wzrokiem, a potem cała czwórka, włącznie ze snującym się z tyłu Lymentionem, powoli ruszyła w drogę powrotną. Nikt nic nie mówił. Komako szła pogrążona w zadumie. Kiedy glifin ich zniewolił, coś zobaczyła... nie: glifin coś jej pokazał. Ale nie potrafiła tej wizji zrozumieć.

W minorowych nastrojach wrócili do mrocznych wnętrza Cairndale i od razu zaszyli się w swojej ulubionej kryjówce przy końcu pustego korytarza, pod wielkim oknem, z którego roztaczał się widok na wschodnie skrzydło gmachu. W gabinecie Berghasta paliło się światło.

– Widziałam coś – wyznała wreszcie Komako. Podniosła wzrok na Oskara, Lymentiona i Ribs, która zmaterializowała się w półmroku. – Na wyspie. Glifin mi coś pokazał. Kiedy próbowałam go pytać o zaginione dzieci i czarny powóz, puścił te pytania mimo uszu. Ale on umiera. Pokazał mi... Nie wiem, co to było, może wspomnienie. Doktor Berghast podawał mu jakieś lekarstwo. I tak myślę, że właśnie to lekarstwo doktor wytwarza w laboratorium. W ten sposób utrzymuje glifina przy życiu. A potem zobaczyłam, jak orsine zapada się w sobie i Cairndale staje w ogniu. – Zmarszczyła brwi, pokręciła głową. – To było okropne. Nie wiem, czy widziałam przyszłość, czy coś, co zdarzyło się dawno temu. A może po prostu glifin podsunął mi wizję, która go przeraża. – Zdezorientowana gładziła palcami warkocz. Dalej mówiła bardzo, bardzo powoli. – Jeżeli glifin umrze, orsine się otworzy. A wtedy wszystko będzie mogło przez nie przejść.

Oskar pokiwał głową z taką miną, jakby doskonale ją rozumiał.

– I przyjdą... przyjdą umarli.

– Ty też to widziałeś?

– Nie – odparł szeptem. – Znaczący, część tak. Widziałem, że umiera... – Oczy zaszyły mu łzami. – Nie... nie wiem, jak to możliwe, po prostu... po prostu to zobaczyłem, rozumiecie? Widziałem też, że się boi. Właściwie to była główna

rzecz, którą odbierałem, Ko: strach Pająka. Ale było tam coś jeszcze. Witryna sklepowa z napisem ŚWIECE U ALBANY'EGO. I ja... ja wiedziałem, gdzie to jest, Ko. Wiedziałem. To na Grassmarket w Edynburgu. Zatrzymaliśmy się tam z panem Coultonem, kiedy przywiózł mnie do Szkocji. Jeszcze przed przyjazdem do Cairndale.

– Świece u Albany'ego... W Edynburgu, mówisz?

Oskar skinął głową.

– Myślisz... myślisz, że tam właśnie są zaginione talenty?

– Być może.

– Po co innego glifin miałby mi to pokazywać, jeśli nie...?

Komako oblizła usta i zaczęła odliczać na palcach:

– Glifin umiera. Doktor Berghast próbuje utrzymać go przy życiu, ale to nie będzie trwało wiecznie. Oprócz tego są czarny powóz i znikające dzieci. Powóz najwyraźniej przyjeżdża od świecarza z Edynburga. Akta zaginionych dzieci znikają z gabinetu Berghasta. Ktoś w Cairndale musi współpracować z ludźmi od powozu.

– Myślisz, że to wszystko się jakoś łączy? – spytała półgłosem Ribs. – Że Berghast wie o znikających dzieciach? Miał ich nazwiska w tym swoim notesie...

– Nie – orzekła stanowczo Komako.

Wilgotne oczy Oskara zabłysły.

– Może to... to... to wcale nie jest takie złowieszcze, jak się wydaje. Może doktor Berghast wie o wszystkim, ale dzieciom nie dzieje się krzywda. Może w ten sposób doktor je... chroni.

– Chroni? – prychnęła Ribs.

– Może grozi im jakieś... jakieś... wyjątkowe niebezpieczeństwo? Ze strony Jacoba.

– Większe niż Marlowe'owi?

Oskar zaczerwienił się i umilkł.

– Rrrh – burknął ciałolbrzym.

Zatroskana Komako skubnęła warkocz.

– Ribs? A tobie Pająk co pokazał?

Ribs zrobiła dziwną minę, ni to zde gustowana, ni to rozzłoszczona.

– Co? – zapytała, zadarłszy piegowaty nos.

– Pytam o twoją wizję. Co widziałaś?

– Masę rzeczy. Całe mnóstwo. Mnóstwo.

– Mianowicie? Raczysz nas oświecić?

Ribs skubnęła strupek na łokciu. Zmarszczyła czoło.

– No wiecie, takie te... Na przykład ten zakład świecarski, o tak, widziałam go. W Edynburgu, zgadza się. I tę scenę, w której Berghast leczy Pająka. To też. W ogóle... no wiecie... dużo tego było.

Nikt nie odpowiedział.

– Nic nie widziałaś, prawda? – spytała w końcu Komako.

Ribs spochmurniała jeszcze bardziej.

– Dlaczego ja nigdy nic nie mogę zobaczyć? – Głos prawie jej się łamał z niedowierzania. – Wybrał ciebie, wybrał... wybrał Oskara, a mnie nic nie pokazał. Nic! Co jest ze mną nie tak?

– Może cię nie widział? – podsunął usłużnie Oskar. – Bo wiesz, byłaś... niewidzialna.

Ribs posłała mu mordercze spojrzenie.

– To było pytanie re-to-rycz-ne.

– Rrrh – burknął Lymention.

Ribs spiorunowała go wzrokiem.

– A ty co? Z tobą też Pająk rozmawiał?

– To bez znaczenia. – Komako uśmiechnęła się wbrew sobie. – Mamy mało czasu. Trzeba się dowiedzieć, co się dzieje u tego świecarza.

– To znaczy?

– Musimy jechać do Edynburga.

– Do Edynburga! – Oskar zamrugnął gwałtownie ze zdenerwowania. – Ale nie... nie... nie możemy wyjść poza barierę. Musimy mieć pozwolenie.

– Właściwie to... – Ribs z wahaniem podrapała się po głowie. – Jakiś czas temu znalazłyśmy z Komako lukę w zabezpieczeniach. Przypuszczam, że nadal tam jest. To taka... dziura w barierze, w sam raz, żebyśmy zdołali się przez nią przecisnąć. Lymention też.

– Nie powiedziałyście mi. – Oskarowi było wyraźnie przykro.

Komako łagodnym gestem położyła mu dłonie na ramionach.

– Musimy znaleźć miejsce, z którego przybywa powóz. Świece u Albany'ego. I musimy to zrobić, zanim ktoś się nami zainteresuje. Widziałeś to miejsce w swojej wizji, możesz nas tam zaprowadzić.

Oskar z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Będziemy mieli kłopoty, jeśli panna Davenshaw się...

– Miałeś tę wizję nie bez powodu. Pająk chce, żebyśmy się tam udali. Chce, żebyśmy coś zobaczyli. Musi istnieć związek pomiędzy tym, co się z nim dzieje, a znikającymi dziećmi.

Oskar zadygotał.

– Dobrze – powiedział, starając się, by zabrzmiało to odważnie.

Ribs nie słuchała. Ze smutną miną drapała paznokciem po parapecie i mamrotała rozeźlona pod nosem:

– Guzik mnie obchodzi ten cały głupi Pająk i jego durne wizje...

Charlie i Marlowe zostali zaprowadzeni do rezydencji, tam przeszli korytarzem do drzwi, po schodach na górę i dalej kolejnym korytarzem, w którym drzwi było więcej, rozmieszczonych co sześć metrów. W końcu dotarli do gabinetu doktora Berghasta.

– Niczego nie dotykajcie – uprzedził ich służący. – Doktor Berghast niedługo do was przyjdzie.

Prawdę mówiąc, Charlie niewiele tu widział rzeczy wartych dotknięcia. Był już wcześniej w tym pokoju, kilka dni temu, dziś jednak pomieszczenie wydało mu się przytulniejsze i mniej przerażające. W kominku płonęła wielka bryła węgla. Pozapalane kinkiety zalewały wnętrze złocistym blaskiem. Skórzane fotele stały w półokręgu przed kominkiem. Powietrze, ciepłe i senne, lekko pachniało dymem z cygar. W jednym kącie stała zamknięta drewniana szafa na akta, w drugim klatka, w której na żerdce siedział bez ruchu ptak. Na ścianie majaczył dziwaczny obraz z mnóstwem przecinających się linii i okręgów. Marlowe ostrożnie przeszedł po perskim dywanie i stanął przed malowidłem. Na środku pokoju znajdowało się biurko doktora: ciemne, gładkie i puste, jeśli nie liczyć tacy, na

której stały karafka z winem oraz na wpół pełny kieliszek. Dziennika nigdzie nie było widać.

Ściśle rzecz biorąc, pokój byłby przytulny, gdyby nie cechująca go osobliwość: liczne drzwi. Było ich w sumie dziewięcioro, zamkniętych, zrobionych z takiego samego dębowego drewna, które wyglądało na bardzo stare, i pokrytych dziwnymi zawijasami, jakby korniki powygryzały w nich wzory. Mnogość drzwi upodabniała gabinet do zapomnianej stacji kolejowej albo poczty po godzinach urzędowania – miejsca, w którym zazwyczaj panują ożywiona krzątanina, ruch i zgiełk. Charlie rozglądał się z niepokojem. Tamtej nocy, kiedy się tu zakradł, nie zauważył, że drzwi jest aż tyle. Teraz jego uwagę zwróciła klatka. Podeszedł do niej. Istoty w niej zamknięte nie były ptakami, lecz ożywionymi tworamami z kości i mosiądzu. Kręciły szkieletowymi łebkami na boki, jakby przyglądały mu się bezokimi otworami. Wzdrygnął się.

Marlowe usiadł tymczasem na ogromnej sofie, machał nogami, nerwowo zacierał dłonie i czekał. Charlie spodziewał się, że chłopiec będzie się denerwował – czekało go przecież spotkanie z przybranym ojcem – i nawet nie próbował sobie wyobrazić, co Marlowe musi czuć. Chciał coś powiedzieć, zapytać, czy wszystko w porządku, pocieszyć go jakoś, ale nagle zrobiło się za późno, bo drzwi, przez które weszli, otworzyły się i do gabinetu wkroczył Henry Berghast.

Charlie zamarł. Marlowe podniósł głowę, jego oczy zabłyśły nadzieją.

Doktor jednak minął ich obu bez słowa, zaszczyciwszy ledwie przelotnym spojrzeniem. Usiadł przy biurku, wyjął dziennik, odkręcił skuwkę wiecznego pióra i przez kilka minut notował coś w milczeniu. Mimo to Charlie wyraźnie czuł, że Berghast jest świadomy ich obecności, obserwuje ich, spokojnie akceptuje ich milczenie i nie jest nimi zachwycony.

W końcu podniósł wzrok. Zmarszczył brwi.

– Taaak... – powiedział.

I tyle.

Charlie widywał go już wcześniej, ma się rozumieć: przyczajonego w ciemnym oknie, gdy szli do zabudowań pomocniczych na zajęcia, przechodzącego szybkim krokiem w głębi któregoś z korytarzy, czasem, w niektóre poranki, pogrążonego w rozmowie ze starszymi talentami na dziedzińcu. Nigdy nie widział go na tyle blisko, by zauważyć bijącą od niego elektryzującą aurę, poczuć w powietrzu jej

basowe wibracje. Doktor był wysoki, wyższy nawet od niego, miał też szerokie ramiona i duże dłonie. Nosił drogi czarny surduty i nieskazitelnie biały kołnierzyk, jakby właśnie wrócił z eleganckiej kolacji. Brodę miał siwą, oczy szare jak zimowa rzeka, włosy gęste i długawe, sięgające kołnierzyka. Miał w sobie coś z arystokraty i wyglądał na człowieka nawykłego do przetwarzania świata na swoje podobieństwo. Charlie zaczął się go bać.

Doktor oparł splecione dłonie na biurku i znieruchomiał jak żmija.

– Późno już, chłopcy – zauważył półgłosem. – Na pewno jesteście głodni.

Charlie i Marlowe zgodnie pokręcili głowami. Kościane ptaki w klatce klekotały i grzechotały.

Natarczywe spojrzenie doktora spoczęło na Charliem.

– Ty jesteś tym nowym zdrowcem. – To nie było pytanie. – Jestem doktor Berghast. Powiedz mi, podoba ci się w Cairndale?

Charlie z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Tak, proszę pana. Podoba mi się.

– Mimo to zdajesz się niezdolny do przestrzegania obowiązujących w Instytucie zasad. Wychodzisz ze swojej sypialni po zgaszeniu świateł i w niekompletnym stroju odwiedzasz moje pokoje. Masz brudną koszulę.

Charlie spojrzał na siebie. Czuł, jak oblewa się rumieńcem, ale doktor miał rację: koszulę miał ubrudzoną błotem i ziemią z wyspy.

– Udaliście się na spotkanie z panem Thorpe'em – ciągnął doktor Berghast. – To zabronione.

– Panem... Thorpe'em? – Charlie zamrugał ze zdumienia.

– Tak się nazywa nasz glifin. Jest... chory. Rozumiem, że wiedzieliście o zakazie i dlatego przekradliście się na wyspę po północy. Czy znaleźliście odpowiedzi na dręczące was pytania?

– Ja... nie wiem, proszę pana – wymamrotał Charlie. – Chcieliśmy...

– To był mój pomysł – wtrącił śmiało Marlowe. – Chciałem się dowiedzieć, czy z Alice wszystko w porządku.

Doktor Berghast przeniósł wzrok na mniejszego z chłopców.

– I co? – zapytał.

Marlowe się zawahał. Nagle cała jego zuchwałość gdzieś się ulotniła. Przygryzł wargę i poczerwieniał.

– Nie wiem – bąknął.

– Nie tylko o to pytaliście, prawda? Nie tylko z tego powodu zakłóciliście spokój umierającemu człowiekowi. Wiesz, kim jestem, drogie dziecko?

Marlowe ze wzrokiem utkwionym w podłogę pokiwał głową.

– Spójrz na mnie. Kim jestem?

– Moim przybranym ojcem – odparł Marlowe szeptem.

– Otóż to. – Berghast przyglądał brodę, taksując obu chłopców badawczym spojrzeniem. – Czym się zajmujecie, kiedy nie myszkujecie nocą po Instytucie? Czy panna Davenshaw uczy was posługiwania się waszymi talentami?

– Tak, proszę pana.

– Wyjaśniła wam, czym zajmuje się glifin?

– Tak.

– Powiedzcie mi, proszę.

Marlowe pośpiesznie podniósł głowę i spojrzał pytająco na doktora.

– Według panny Davenshaw glifin pilnuje, żeby orsine pozostało zamknięte. Ale ona się myli, prawda? Bo glifin czasem je otwiera na pańskie polecenie. Musi to robić bardzo ostrożnie, bo mogą przez nie przejść najróżniejsze istoty.

– Skąd o tym wiesz?

– Od Pająka. Powiedział mi.

– Rozumiem. A jakie to „najróżniejsze istoty” mogłyby przez nie przejść?

Marlowe zmarszczył czoło.

– Jacob Marber? – odpowiedział pytającym tonem.

Doktor Berghast skrzyżował potężne ramiona na piersi i ponownie oparł się o biurko.

– Są na świecie rzeczy gorsze od Jacoba Marbera – zauważył cicho.

Marlowe spojrzał mu wyzywająco w oczy.

– Ale pan i tak ich tam wysyłał, prawda? Przed laty wysyłał pan stare talenty na drugą stronę, mimo że to niebezpieczne.

Ogarnięty złym przeczuciem Charlie zerknął na przyjaciela. Ciekaw był, jak dużo glifin powiedział mu o Instytucie i o tym, co naprawdę się w nim działo.

Berghast najwidoczniej też się nad tym zastanawiał.

– Widzę, że pan Thorpe okazał się nadzwyczaj rozmowny. Mimo swojego stanu.

Charlie nie myślał wcześniej o tym, że można kogoś wysłać z tego świata do tamtego przez orsine. Teraz jednak coś przyszło mu do głowy.

– I po to właśnie jesteśmy panu potrzebni – powiedział. – Żebyśmy też tam poszli.

Błysk w oczach doktora zmroził go do szpiku kości.

– Owszem – przytaknął Berghast.

– Bo to ważne – dodał Marlowe.

– Bo to ważne – powtórzył jak echo doktor.

– Ważne dla kogo? – zapytał gniewnie Charlie.

Jeśli Berghast poczuł się urażony jego tonem, to nie dał tego po sobie poznać. Jego twarz pozostała chłodna, beznamiętna, pozbawiona wyrazu.

– W tym drugim świecie, krainie umarłych... wszystko wygląda inaczej. Materia znaczy tam tyle co proch, a duch jest istotą rzeczy. Tamten świat tak bardzo różni się od naszego jak wnętrze naszego ciała od tego, co znajduje się poza nim. Czyhają w nim liczne, stale zmieniające się niebezpieczeństwa. Łatwo tam zablądzić. Rzeczywiście w pewnym okresie wysyłałem do tamtego świata talenty, stare talenty, jak je nazywacie. – Doktor Berghast poruszył rękami, rozmasowując knykcie, jakby sprawiały mu ból. Podniósł wzrok. – Aż za którymś razem z orsine wyłoniło się coś strasznego, co położyło kres moim staraniom. Istota, która daje Jacobowi Marberowi siłę i wskazuje mu cel. Potwór, którego usiłujemy powstrzymać. Drughr.

Charlie zadrżał.

– Panna Davenshaw z pewnością opowiadała wam o orsine, ale nie o jego prawdziwej naturze. Skąd pochodzimy? Czym naprawdę jesteśmy? Z orsine łączą nas więzy, których charakteru nawet sobie nie wyobrażacie. Zostało stworzone na życzenie człowieka nazwiskiem Alastair Cairndale. Był pierwszym z naszego rodzaju, pierwszym talentem. Jego portret widzieliście w sali głównej. Po tym, jak jego dar się objawił, a wydarzyło się to dawno temu, przed wiekami, zaczęli się do niego zgłaszać inni ludzie obdarzeni talentami. Gdziekolwiek jednak wkracza

porządek, tam napiera i chaos. Zdarzały się nieporozumienia, spory pomiędzy talentami, różnice poglądów na to, jak należy funkcjonować w świecie. Czy powinniśmy wszyscy się ujawnić? A może odgrywać większą rolę w rządach? Z tego chaosu wyłonił się drughr, który usiłował nas zniszczyć.

Charlie patrzył na Marlowe'a, który słuchał w skupieniu.

– Lord Cairndale i jego... wspólnicy zbudowali orsine i wygnali drughra na drugą stronę. Cairndale był naprawdę potężny, o wiele potężniejszy niż ktokolwiek z nas współczesnych. Potrafił nie tylko manipulować jak my, ale także tworzyć. Podczas ostatecznej rozprawy został wciągnięty w głąb orsine wraz z potworem. Nie udało się ustalić, jak dokładnie zginął, w jakich okolicznościach, ale zdołał zabrać ze sobą i zniewolić drughra, który utkwiał po drugiej stronie orsine jak w potrzasku. Teraz zaś wrócił – ciągnął spokojnie Berghast – i tym razem to moim zadaniem jest stawić mu czoło.

Bijący od niego intensywny, niemal uwodzicielski smutek nie przypadł Charliemu do gustu.

– Chciał pan powiedzieć: naszym zadaniem – zauważył z przyganą w głosie.

– Nie jestem Alastairem Cairndale'em – powiedział Berghast takim tonem, jakby Charlie w ogóle się nie odezwał – a jednak muszę się nim stać. Każdy z nas musi dźwigać brzemień tego, kim jest, Charlie, czy nam się to podoba, czy nie.

Charlie zerknął na Marlowe'a, z którego twarzy niczego nie dało się wyczytać.

– Zaczynam mieć dość słuchania tego po raz pięćdziesiąty, za każdym razem ujętego w trochę inne słowa – powiedział. – Zawsze ktoś inny tłumaczy mi, co trzeba dźwigać i w imię czego.

Lekkie rozdęcie nozdrzy zdradziło irytację doktora.

– Pan Thorpe jest umierający – przypomniał. – Glifin Instytutu w Cairndale umiera, panie Ovid, i pański gniew niczego nie zmieni. On umrze, orsine zostanie rozdarte, Cairndale będzie bezbronne, rzesze umarłych przejdą do naszego świata. Nie sposób przewidzieć, co wtedy stanie się z nami.

Zmieszany Charlie tylko przełknął ślinę.

– Kiedy do tego dojdzie, ktoś będzie musiał zamknąć orsine – ciągnął ze złością Berghast. Mówił szeptem, zupełnie jakby był sam. – Zamknąć je na zawsze. A wtedy stracimy jedyny sposób na zabicie drughra. Jeżeli więc mam wejść do

orsine i zmierzyć się z drughrem, muszę to zrobić niedługo. Po drugiej stronie jego moc jest inna. Mogę go tam pokonać.

– Nie rozumiem, panie doktorze – przyznał półgłosem Marlowe.

Berghast uśmiechnął się ozięble w odpowiedzi.

– Przygotowuję się do tego dłużej, niż możesz sobie wyobrazić, drogie dziecko. Nie potrzebuję waszego zrozumienia, tylko zaufania.

– Chciał pan powiedzieć: naszego posłuszeństwa – wytknął mu Charlie.

Z dolnej szuflady biurka Berghast wyjął podłużną metalową skrzynkę. Oparł dłoń na wieku.

– Dawniej wysyłałem talenty do świata po drugiej stronie orsine, żeby sporządziły jego mapę. Chciałem być przygotowany, rozumiecie, na powrót drughra. Znalazłem pewien przedmiot, potężny artefakt. Szukałem go przez lata w oceanach piasku i wśród gór lodowych, zanim ostatecznie natrafiłem nań w społeczności talentów mieszkającej na wschód od Morza Czarnego. – Otworzył skrzynkę i wyjął z niej dziwną rękawicę zrobioną z drewna, metalu i tkaniny. Wyglądała na ciężką. Szczęknęła w jego dłoni. – Kiedyś były trzy takie przedmioty, dziś został jeden. To jego replika.

Podał rękawicę Charliemu, który wziął ją i zaczął obracać w dłoniach. Drewniane i żelazne płytki upodabniały ją do rękawicy pancерnej. Na wysokości nadgarstka od wewnątrz miała naszyty rząd ostrych ćwieków, które wyglądały jak wyszczerzone ząbki.

– Oryginał pozwala talentowi, który go nosi, bezpiecznie przejść przez orsine, przeżyć w świecie po drugiej stronie i wrócić bez szwanku. Działa jednak nie tylko na talenty. Jego moc jest tak wielka, że ochroni absolutnie każdego, kto zapragnie przekroczyć orsine w dowolnym kierunku.

– Czyli... – zająknął się Charlie.

– Tak, drughra również. Z tą rękawicą drughr byłby bezpieczny w naszym świecie.

Chłopak przesunął palcami po drewnianych płytkach. Dostrzegł misterne zdobienia, wryte w ich powierzchni jak korytarze wygrzyzione w korze przez żuki. Każda płytka była inna. Na metalowej okładzinie wnętrza dłoni odbity był ten sam symbol, który Charlie znał z sygnetu matki i widział także nad bramą Cairndale: dwa skrzyżowane młoty na tle wschodzącego słońca. Drewno było miękkie i ciepłe

w dotyku, metal elastyczny. Nawet ta replika wydawała się bardzo stara. Charlie podał ją Marlowe'owi, który z kolei oddał ją doktorowi.

– Piękna rzecz, prawda? – zauważył Berghast z pochmurną miną. – Oryginał zaginął przed laty. Przepadł w orsine.

– I pan chce, żebyśmy go dla pana znaleźli – domyślił się Marlowe.

Berghast ostrożnie pokiwał głową.

– Musimy go znaleźć, zanim glifin umrze. Póki żyje, kontroluje orsine.

Charlie zmarszczył brwi.

– Dlaczego my?

– Dlatego, że obaj jesteście... niezwykli. Ty, Charlesie, jesteś zdrowcem. Twoje ciało samo podtrzymuje swoje istnienie i się odtwarza. Możesz przebywać w tamtym świecie znacznie dłużej niż każdy inny talent. Ty zaś, moje dziecko... – Berghast ponownie utkwiał upiorne spojrzenie w Marlowie. – Ty jesteś czymś zupełnie innym.

Marlowe patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Jesteś absolutnie wyjątkowy. Tkwi w tobie iskra orsine. Jesteś jego częścią. Urodziłeś się w tym drugim świecie, twoja matka tam właśnie cię powiła, zanim Jacob Marber ją zamordował. Możesz tam przebywać, jak długo zechcesz. Orsine nie robi ci krzywdy.

Nagle jakby coś wyssało z pokoju całe powietrze.

Doktor Berghast powiedział to tak swobodnie, od niechcienia, beztrąsko... A to było przecież wstrząsające. Charlie mocno uścisnął ramię Marlowe'a.

Marlowe z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w doktora.

– Moja matka została...?

– Zamordowana, tak. Nie wiedziałeś? – Berghast skrzywił się oziębło, a gdy mówił dalej, w kącikach jego oczu pląsał cień satysfakcji. – Była dobrą kobietą. Niezwykłą. Kochałaby cię nad życie, moje dziecko. Marber ci ją odebrał, odebrał ją nam wszystkim, a potem usiłował zabrać także ciebie. Jeżeli chcesz ją pomścić, jeśli chcesz, by Marber cierpiał... to jest właśnie sposób. Przynieś mi tę rękawicę, a ja zniszczę jego mistrza.

Po wyjściu chłopców Berghast starannie schował rękawicę do skrzynki, otworzył drugą szufladę biurka i wyjął z niej pęk ciężkich żelaznych kluczy. Podeszedł do drzwi w gabinecie, otworzył je, zapalił lampę od najbliższego kinkietu, po czym zagłębił się z nią w ciemność. Jego buty zachrobotwały na kręconych kamiennych schodach, które prowadziły w głąb, do grubych dębowych drzwi.

To była tajna kryjówka, sekretna komnata zbudowana przed wiekami jako schronienie dla prześladowanych przez króla księży katolickich. Berghast już dawno przystosował ją do swoich celów. Tylko on i jego osobisty służący Bailey, wiedzieli o istnieniu tego pomieszczenia, wykutego w litej skale głęboko pod ziemią, wilgotnego i zimnego.

Otworzył drzwi i poświecił w mrok. Dał się słyszeć cichy szcęk łańcuchów, dziwnie suchy, klekoczący, niemal jak dźwięk owadzich skrzydeł. Na ścianie naprzeciw wejścia ktoś wisiał: podwieszony za ramiona, z głową opadniętą na pierś. Cuchnęło tu przeraźliwie.

– Panie Laster – odezwał się Berghast. – Mogę pana znowu nazywać Walterem?

Litch podniósł głowę i zamrugnął wodnistymi oczami. Kryła się w nich czarna inteligencja, żywa, okrutna. Nieludzka.

Obserwował przybysza.

Berghast powiesił lampę na haku pod sufitem, zahaczył kciuki o kieszenie kamizelki i zmierzył litcha badawczym spojrzeniem. Następnie podeszedł do stolika w kącie i wziął do ręki stojący na nim spodek z czarną gumopodobną substancją: opium.

Walter, który nie odrywał od niego wzroku, zaskomlał cicho.

Ale Berghast nie zamierzał sprawiać mu bólu. Każdy jego gest i każde spojrzenie emanowały smutkiem i współczuciem: naprawdę nie chciał, żeby nieszczęsny Walter cierpiał. Przeciwnie, Henry Berghast szczerze pragnął, by Walter sam położył kres swoim mękom. Czy raczej – aby pozwolił Berghastowi to zrobić. Wystarczyłoby, żeby się poddał, odpowiedział na pytania, powiedział doktorowi to, co doktor chciał wiedzieć, a wtedy jego udręka dobiegłaby końca. Przecież to takie proste...

Walter ocenił to wszystko nienawistnym spojrzeniem, błyskiem w oku, który zaraz zniknął jak jaszczurka pod kamieniem.

– Zatem Jacob chciał, żeby pani Harrogate cię przygarnęła – przypomniał doktor Berghast tytułem wprowadzenia do nocnej rozmowy.

– Nie.

– Tak mi powiedziałaś poprzednio. Nie tak było?

Walter oblizwał wargi.

– Jacob wiedział, że ona... – zaczął niepewnie. – Że nas zabierze. Do ciebie.

– Czyli wcale nie chodziło o chłopca? Jacob nie kazał ci go zabić?

Walter wymamrotał pod nosem coś, czego Berghast nie wychwytał.

– Walterze?

– Walter, Walter, mały Walter... – wyszeptał litch.

Berghast nie spuszczał go z oka.

– Nie kazał ci zabić Marlowe'a, Walterze? – powtórzył zniecierpliwiony.

Walter pokręcił bladą, bezwłosą głową. W miejscach, gdzie żelazne okowy wrzynały mu się w nadgarstki, widniały cienkie krwawe pręgi.

– Jacob... wie. Wie, gdzie jesteśmy... Dlatego jesteśmy tutaj, tak. Tego właśnie chce.

– Ach, Walterze, Walterze... – mruknął ze smutkiem Berghast. – Naprawdę myślisz, że tego właśnie chciał dla ciebie? – Powiódł rozczarowanym wzrokiem po ciemnej celi, łańcuchach, spodeczku z opium. – Nie wydaje mi się. Nie, jesteś tutaj, ponieważ Jacob cię porzucił. Nie ma innego powodu. Zostawił cię na zatracenie, bo nie jesteś mu już potrzebny. Za to mnie możesz się jeszcze przydać. To ja kazałem cię uratować i sprowadzić tutaj. Przykro mi to mówić, naturalnie, ale twój Jacob wcale cię nie kocha. Już nie. Zawiodłeś go i za to pogardza tobą.

Walter zakaszłał. Zatrząsał się przy tym cały, w świetle lampy błysnęły jego ostre jak igły zęby.

– Ale przybędzie... przybędzie tutaj...

– Nie może tu przybyć. Wiesz, że to niemożliwe.

– Głosy... – wyszeptał Walter. – Głosy z nami rozmawiają, mówią, że...

Berghast podszedł o krok. Patrzył na szponiaste palce litcha, głębokie cięte rany na jego piersi, ohydnie wilgotne czerwone wargi. I te zęby. Ten stwór rozszarpałby go na strzępy, gdyby tylko dać mu szansę.

– Co ci mówią głosy, Walterze?

– On wie, że idą po niego. Kobiety. Jacob wie.

– O czym ty mówisz?

– Pani Harrogate. I ta druga.

Berghast zmarszczył brwi. Tego się nie spodziewał. Jak zwykle, gdy tylko postanawiał traktować wszystkie słowa padające z ust litcha jako przejaw obłądzenia i urojeń, zaskakiwał go i zdumiewał jakiś niezwykle okrutny okrucieństwo prawdy.

Postanowił zmienić podejście.

– To musi być dla ciebie wyjątkowo przygnębiające – zagaił współczującym tonem. – Jacob nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jesteś mu potrzebny. Ach, gdybyś tak mógł mu coś dać, coś, czego pragnie, pokazać, co potrafisz, wtedy na pewno by po ciebie przyszedł. Nie zostawiłby cię. Co byś mu dał, Walterze, gdybyś mógł? Czego najbardziej pożąda Jacob?

Walter podniósł głowę, światło lampy znów zalśniło w jego spokojnych, inteligentnych oczach.

– Cairndale – wyszeptał. – Dalibyśmy mu Cairndale, o tak. A potem dalibyśmy mu ciebie.

Szli z powrotem przez tonącą w ciemnościach rezydencję. Przez całą drogę Charlie nie odezwał się ani słowem. Za dużo było tego wszystkiego: niezwykła historia orsine, drughr, okrutny los matki Marlowe'a, wyspa i Pająk, i jeszcze ta ciężka, zębata rękawica Berghasta. Na dziedzińcu owionęło ich rześkie powietrze, a potem znów weszli do budynku, schodami na górę pod wielkim witrażowym oknem, obok pokoju pana Smythe'a. Cały czas w milczeniu. Przez ścianę było słyhać, jak pan Smythe chrapie. Charlie od czasu do czasu zerkał z niepokojem na Marlowe'a, ale chłopiec szedł pogrążony w myślach, zatroskany, może smutny, a może zwyczajnie rozczarowany. Charlie wcale mu się nie dziwił. Berghast był rozczarowaniem – jako przybrany ojciec i jako mentor. Przypomniawszy sobie, przed czym ostrzegła go Ribs, kiedy wysiadali z łodzi, ale nie powtórzył jej słów Marlowe'owi. Nie musiał.

W milczeniu rozebrali się do spania, w milczeniu przemyli twarze i szyje, w milczeniu położyli się, identycznym gestem splecli dłonie pod głowę i zapatrzili się w sufit. Firanki się poruszały, jakby coś się w nie zaplątało.

– Mar? – wyszeptał w końcu Charlie. – Wszystko w porządku?

Pytanie było głupie i natychmiast pożałował, że je zadał. Obrócił się w pościeli i spojrzał na sąsiednie łóżko. Cały czas nosił na szyi zawieszony na sznurku sygnet, który matka wcisnęła mu w dłoń na łożu śmierci. Potarł go w zadumie.

– Twój ojciec... – zaczął.

– On nie jest moim ojcem.

W ciemności Charlie pokiwał głową.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – mówił dalej Marlowe. – Ja też mu nie ufam.

– W porządku.

– Ale to nie znaczy, że kłamał.

– Nie, nie znaczy.

– Albo że nie powinniśmy zrobić tego, czego od nas żąda.

– No tak. – Charlie przełknął ślinę. – Ale to jeszcze nie znaczy, że powinniśmy.

Błada twarz Marlowe'a majaczyła w ciemności. Miał otwarte oczy. Charlie nie wyobrażał sobie, co dzieciak czuje. Przez całe osiem lat swojego nieszczęsnego żywota przechodził z rąk do rąk, przekazywany sobie przez dorosłych jak zły dług, a wszystko zapoczątkował ten konkretny człowiek, niezyczliwy, oschły, odległy. Na myśl o tej niesprawiedliwości złość ścisnęła go w gardle.

– Ej, słuchaj – odezwał się znowu Charlie – jeśli chcesz pójść do tego orsine, to pójdę z tobą, Mar. Nie zostawię cię, rozumiesz? Ale nie musimy tego robić. Są inne możliwości.

– Na przykład?

– Nie wiem. Moglibyśmy stąd odejść. Wyjechać. We dwóch, ty i ja.

Marlowe zrobił smętną minę.

– Mnie się wydaje, że pan Thorpe chce, abym tam poszedł – powiedział cicho. – Potrzebuje tego. On umiera, Charlie, doktor Berghast nie kłamał. Ja to widziałem.

Charlie zamrugął.

– A tak w ogóle, to co ci Pająk powiedział?

Marlowe odwrócił się do niego i podparł na łokciu. Wyraźnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– To nie były słowa – mruknął. – Raczej... obrazy. Ruchome obrazy. We mgle. Wydaje mi się, że pokazał mi... przyszłość. Albo przynajmniej możliwą przyszłość, nie wiem.

– I co w niej zobaczyłeś?

– Nic o tym, czego szukamy – szeptał Marlowe. – Znaczy o zaginionych dzieciach. Próbowałem o nie pytać, ale... – Zawiesił głos. – Widziałem Alice, Charlie. Nie żyła. Jacob Marber ją zabił. Widziałem też ciebie, miałeś ten symbol, ten z sygnetu. Świecił ci w ręce, we wnętrzu dłoni. Trochę jak ta rękawica, którą oglądaliśmy, tylko że nie miałaś jej na dłoni. Ten symbol płonął. Widziałem też pana Coultona, ale wyglądał jak ten drugi człowiek w domu pani Harrogate, Walter, ten, który cię zaatakował. Był cały biały, bezwłosy, za to miał bardzo ostre zęby...

Charlie z wysiłkiem przełknął ślinę. Przed oczami stanęły mu zgrzytające szpony i tamten stwór wylaniający się z ciemności. Pokręcił głową.

– Pan Coulton nie żyje, Mar.

Marlowe posłał mu znękaną spojrzenie.

– Nie jestem przekonany, Charlie. W tym rzecz.

Chwilami Charlie zwyczajnie nie wiedział, co myśleć o Marlowie. Nie wiedział i już. Tak jak wtedy na dachu pociągu. Albo w kryjówce glifina. Teraz też to był jeden z takich momentów. Pokiwał głową, jakby rozumiał, ale serce przepęniała mu litość, a myślał głównie o tym, że Marlowe naprawdę wiele przeszedł i zapewne trudno mu teraz oddzielić prawdę od fałszu bez względu na to, co widział.

Oblizwał wargi.

– No to co zamierzasz zrobić? – zapytał. – Czego tak naprawdę chcesz?

Z ciemności dobiegał tylko cichy oddech Marlowe'a.

– Mar?

– Chcę odzyskać Brynt – odparł Marlowe. Dolna warga mu drżała. – I Alice też. Chcę, żeby wszystko było jak dawniej.

Charlie, który za żadne skarby świata nie wróciłby do dawnego życia, nie wiedział, co odpowiedzieć.

Zamknął oczy.

Gdyby zamiast tego wstał i podszedł do okna, zobaczyłby w blasku księżyca trzy sylwetki, które wydałyby mu się znajome. Biegły po trawie w długich płaszczach i niedopasowanych kapeluszach. Czwarta postać, niekształtna i dziwnie ociężała,

próbowała za nimi nadążyć, gdy przez gliniastą łąkę pędziły w stronę muru, bariery i drogi na południe, do Edynburga.

Łowy na Marbera

Alice wylądowała z młaśnięciem w czymś miękkim. Błoto. Zwykle błoto. Ciemny plac magazynowy na brzegu rzeki. Kiras przysiadł na zwoju liny i wsłuchiwał się w noc.

Coulton zniknął.

Ostrożnie podniosła lampę. Wąski snop światła padł na mur, skrzynie, liny, dźwigi we mgle. Dostrzegła odciski stóp Coultona w miękkim gruncie i błotnisty ślad tam, gdzie wszedł na drewniany chodnik i poczłapał do magazynu.

Z oddali dobiegały pokrzykiwania robotników w porcie. Mgła była gęsta i nieruchoma, Alice nie musiała się więc bać, że ktoś ją zobaczy, mimo to podkraśla się do wejścia. Długi płaszcz szurał jej o kolana. W jednej ręce trzymała lampę, w drugiej wiernego peacemakera. Kiras mruczał i ocierał jej się o nogi.

– Szybciej! – syknęła pani Harrogate. – Niech się pani pospieszy, bo go zgubimy!

Alice spiorunowała ją wzrokiem i kopniakiem otworzyła drzwi. Powitały ją ciemność oraz intensywna woń naoliwionego metalu, drewna i mokrych sznurów. Powietrze było zimne, a wewnątrz zdawało się rozległe, jakby miało się ciągnąć kilometrami. Światło lampy sięgało ledwie na dziesięć kroków. Coulton mógł się czaić wszędzie.

– Sama się pospiesz – mruknęła Alice.

Nie mówiła jednak poważnie i gdy kiras płynnie przelał się w nieruchomy mrok, ruszyła za nim, wytężając wszystkie zmysły. W każdej chwili spodziewała się rozmazanej białej plamy, która wyskoczy na nią z ciemności. W przeblyskach przypominało jej się spotkanie z tamtym drugim litchem – nie wiedziała, czy Walter zginął w pociągu, czy teraz czai się gdzieś tutaj razem z Coultonem.

Kiras stąpał cicho wśród ustawionych w rzędach skrzyń i beczek. Podłoga była miejscami śliska od słonej wody, deski skrzypiały pod nogami. Alice bezgłośnie posuwała się naprzód.

Jeżeli Coulton wyczuł ich obecność, to teraz zapewne czaił się w dogodnej kryjówce – ale jeśli nie, istniała realna szansa, że zaprowadzi ich prosto do Jacoba Marbera.

W końcu kiras zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami i wyprężył grzbiet. Na drzwiach białą farbą wymalowano numer 21. Za nimi znajdował się składzik – światło lampy padło na otwarte skrzynie pełne gwoździ, śrub i obejm. Kiras podszedł prosto do kłapy w podłodze w kącie pomieszczenia.

– Ja chromolę... – szepnęła Alice. – Mamy tam zejść?

Kiras tylko machnął ogonem.

Pani Harrogate wyminęła ją, złapała okrągły żelazny uchwyt i podniosła klapę. Powiało cuchnącym powietrzem.

– Nie wie, że go tropimy – przypomniała cicho. – To oni mają się bać, panno Quicke. Poproszę lampę.

W jej głosie brzmiała niezłomna nuta, której wcześniej nie było. Widok Coultona wszystko zmienił. Pani Harrogate wyjęła z pasa oba długie czarne noże i wsunęła palce w pierścienie na kastetowych rękojeściach. Powinna wyglądać niedorzeczne – pani w średnim wieku, odziana w elegancką spódnicę z halką i uzbrojona w morderczy oręż – tymczasem zdaniem Alice wyglądała śmiertelnie niebezpiecznie.

Przysiadła na skraju otworu, zwiesiła nogi i ześliznęła się w ciemność.

– No to pięknie – mruknęła Alice.

Jeszcze raz rozejrzała się po ciemnym składziku i ruszyła za panią Harrogate.

Znalazła się w starym kanale ściekowym, nie głównym, raczej bocznym. Kamienie pod nogami były śliskie. Pani Harrogate uciszyła ją syknięciem i Alice znieruchomiała, przykucnięta. Krew dudniła jej w uszach, gdy próbowała coś usłyszeć. Cokolwiek.

Pani Harrogate uchyliliła zasłonę lampy. Noże trzymała w nisko opuszczonych rękach.

– Jest przed nami – szepnęła. – Coulton, znaczy. Kiras już za nim poszedł. Chodźmy.

Szczęknięta zamykana zasłona lampy, rozległ się szelest spódnic i Alice otoczył mrok.

Czy raczej półmrok, bo jednak stopniowo wzrok oswoił się z ciemnością i była w stanie rozeznaczyć zakrzywienie tunelu i sączącą się po dnie ciemną smugę wodnistej mazi. Na boki odchodziły inne tunele, ciemniejsze. Kiras czekał przy każdym rozwidleniu, po czym znów wysforowywał się naprzód. Przypomniały jej się opowieści o szczurach pożerających ludzi w kanałach. Zadygotała. Powoli, ostrożnie posuwały się do przodu przez cuchnący labirynt. W końcu dostrzegły słabiuteńką poświatę sączącą się zza zakrętu przed nimi.

Znalazły się w prastarej mrocznej komorze, która – sądząc po wyglądzie, filarach i kafelkach – musiała kiedyś stanowić część rzymskich łaźni. Wnętrze emanowało potężną, niepokojącą, złą aurą. Dawniej mogło służyć za schronienie bandzie bezdomnych uliczników – po podłodze walały się kawałki połamanych mebli, jakieś skrzynie, pudła i śmieci pościągane z ciemnych zaułków Limehouse. Za to w kinkietach płonęły nowe, porządne świece, których blask wyławiał z mroku groteskowe malunki byków oraz półnagich chłopców i kobiet w fałdzistych szatach.

Pośrodku komory, w kamiennym zagłębieniu, które dawno temu wypełniała woda, znajdował się mężczyzna. Przykryty kocami leżał na wyblakłej zielonej kozetce obok stolika z kolekcją słoików, flakonów i innych pojemników. Był chory. Powoli, z wysiłkiem, odwrócił głowę na spotkanie przybyszów.

To był Jacob Marber.

Alice przeszył strach, rana w jej boku eksplodowała bólem.

– Margaret Harrogate – powiedział półgłosem.

Jego głos był jak ciemny miód. Kiedy przemówił, z otaczającej ich przepastnej ciemności echo odpowiedziało szeptem. Spojrzał na Alice, odsłaniając mocne zęby. Dziwny to był grymas.

– Ach tak... Czyżby to była Alice? – zapytał, jakby się znali.

Wzdrygnęła się i odruchowo przycisnęła rękę do boku. Nie przywykła do odczuwania strachu, była zła, że się boi. Wiedziona lękiem bacznie obserwowała Jacoba Marbera.

Cień sprzyjał jego oczom, to pierwsze zauważyła. Poza tym Marber był pewny siebie, aż do przesady. Zachwycał się swoją przemyślnością. Ciemny garnitur miał poplamiony, fular wymięty, kołnierzyk poluzowany – jak dżentelmen po nocy spędzonej w slumsach. Przy nim na poduszce leżał jedwabny kapelusz odwrócony dnem do dołu, obok spoczywały złożone rękawiczki i czarny szalik, który zazwyczaj skrywał jego rysy. Jego sylwetkę zapamiętała z nabrzeża portu w Nowym Jorku. Brodę miał czarną, wypielegnowaną i gęstą jak pięściarz, piękne oczy okalały długie rzęsy, za to jego skóra była poszarzała i stara, starsza niżby na to wskazywał jego wiek. Z wychudzoną szyją i zapadniętymi policzkami wyglądał, jakby od dawna nie jadł.

Alice się rozejrzała, powiodła wzrokiem po ginących w cieniu filarach, świecach w naściennych uchwytach, ale nigdzie nie dostrzegła Coultona, Waltera ani nikogo innego. Jeżeli kiras pozostał w pobliżu, to również rozpląnął się w ciemności.

Teatralnym gestem wyjęła z kieszeni rewolwer, napięła kurek i wycelowała w twarz chorego.

– Ach tak... – powtórzył.

I tyle. Jeżeli się wystraszył, to nie dał tego po sobie poznać.

– Widziałyśmy Coultona – powiedziała Alice. – Widziałyśmy, co mu zrobiłeś.

– Niby co? – Oczy Marbera zabłyśły. – Umierał, a ja go ocaliłem.

– Ty go zabiłeś.

– A jednak wciąż chodzi po świecie. Nie nazwałbym tego „zabiciem”, Alice. – Dłonie i nadgarstki Marbera były pokryte tatuażami, które zdawały się poruszać w blasku świecy. – Obawiam się, że wielu spraw nie rozumiecie. Nie jestem waszym wrogiem. Nie chcę, żeby między nami doszło do przemocy.

Pani Harrogate wyciągnęła rękę i delikatnie, lecz stanowczo pchnęła rewolwer Alice w dół. Już wcześniej zatknęła noże za pas.

– My też tego nie chcemy – powiedziała.

– Ja chcę – zaoponowała Alice.

Ale pani Harrogate tylko podkasowała spódnicę i usiadła na jednym z krzeseł, przytrzymując torebkę na kolanach. Upłynęła długa chwila, zanim w końcu nadałana Alice również usiadła. Colta trzymała na udzie. Jego lufę skierowała prosto w serce Jacoba.

Marber zacisnął powieki. Ciemność wyciekała mu z kącików oczu.

– Jesteś zdziwiona, widząc mnie w tak złym stanie, Margaret. Przypuszczasz, że to z powodu dziecka i wydarzeń w pociągu, ale się mylisz.

– Być może – odparła pani Harrogate. – Być może.

– Moje ciało słabnie, ponieważ staję się silniejszy.

Pani Harrogate długo zwlekała z odpowiedzią.

– Twoje ciało jest słabe z winy drughra – odrzekła w końcu. – Twój duch jest słaby również z winy drughra. W końcu drughr ostatecznie cię pochłonie, tak jak pochłania wszystko inne. Ty tego nie widzisz, ale taka właśnie jest jego natura.

Coś przemknęło przez twarz Jacoba, ale natychmiast zniknęło.

– Nie robię tego dla siebie – rzekł.

– Naturalnie. Robisz to dla drughra. Tylko dla niego. Po prostu nie zdajesz sobie z tego sprawy. Jesteś dla niego użyteczny, ale kiedyś ta twoja użyteczność się skończy. Zastanawiam się, co się z tobą stanie, kiedy twój pan dostanie chłopca w swoje ręce?

– Nie jest moim panem.

– Och, Jacobie...

W głosie pani Harrogate brzmiało takie politowanie, że Alice aż się na nią obejrzała.

I wtedy zobaczyła, jak z cienia powoli materializuje się biała, zwiewna jak dym postać Franka Coultona. Stał u wylotu tunelu. Ręce z długimi szponiastymi palcami trzymał swobodnie opuszczone.

– Gdzie są dziwozwoje, Margaret? – zapytał półgłosem Jacob Marber.

Zaskoczona Alice wróciła spojrzeniem do niego.

– Dziwozwoje... – powtórzyła powoli pani Harrogate.

Wyglądała, jakby zastanawiała się nad dalszą odpowiedzią. Alice spodziewała się, że zasłoni się niewiedzą. Stało się jednak inaczej.

– Nawet gdybym je miała – odparła pani Harrogate – a nie mam, i tak do niczego by ci się nie przydały. Chłopiec jest chroniony przez glifina.

– Naturalnie. Tyle że ta ochrona nie będzie trwała wiecznie. – Marber znużonym gestem powiódł dłonią po twarzy. W powietrze uniósł się obłoczek drobnej sadzy.

– Glifin jest słaby. Berghast zbyt długo go wykorzystuje, wyczerpuje jego siły.

Wiecie, o co mu chodzi? Czego pragnie? Po co robi... to wszystko? – Wykonał taki gest ręką, jakby ich obecność w tym miejscu również była dziełem Berghasta. – Nasz poczciwy pan Coulton złożył już wizytę panu Fangowi – ciągnął, zniżywszy głos. – Stąd wiem, że to niania chłopca miała dziwozwoje. Wiem, że przywiozłaś ją do Londynu i ukryłaś przed wszystkimi, nawet przed Berghastem. Wiem o wielu rzeczach, ale nade wszystko znam ciebie, Margaret. Jaki inny przedmiot w twoim posiadaniu pozwoliłby ci myśleć, że możesz mi stawić czoła? – Uśmiechnął się niewesoło. – Mimo to... Dlaczego miałabyś zaryzykować? Tego jednego nie rozumiem.

Pani Harrogate skrzyżowała ręce na piersi. Długie czarne noże lśniące poniżej jej przedramion wyglądały teraz absurdalnie.

– Pochlebiasz sobie – odparła. – Nie przyjechałyśmy do Londynu ze względu na ciebie.

Ale Marber mówił dalej cichym, beznamiętnym głosem. Jego myśli płynęły jak woda.

– Nie rozumiem, dlaczego Berghast pozwolił wam się w to wpakować tak kompletnie bez zastanowienia. Chyba że czas się liczy...

– Szukam zemsty, Jacobie – powiedziała stanowczo pani Harrogate, jakby to rozstrzygało sprawę.

Jej słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

– Nie wydaje mi się. Przypuszczam, że chcecie się jak najszybciej mnie pozbyć. Dlaczego?

Marber utkwiał przenikliwe spojrzenie czarnych oczu w pani Harrogate. Alice czuła emanujące od niego zagrożenie jak wibracje pod skórą. Nagle jego oczy rozbłysły.

– No tak... – mruknął. – Ale nie, to chyba niemożliwe. Chociaż...

– Chociaż co? – nie wytrzymała pani Harrogate.

Marber spojrzał na Alice z góry, jakby uczestniczyli w jakiejś grze, w której właśnie rozwikłał kluczową zagadkę, po czym znów zwrócił się do pani Harrogate:

– Glifin jest umierający. Nareszcie. Mam rację? Wkrótce Cairndale będzie bezbronne. Orsine zostanie rozdarte i już nikt nigdy nie zdoła go zamknąć.

– Jesteś szalony – wyszeptała pani Harrogate.

Marber pochylił się do przodu.

– Całkowicie – odparł również szeptem.

Dopiero teraz Alice wyczytała w twarzy pani Harrogate to samo, co on dostrzegł już wcześniej: nie mylił się. Alice nie rozumiała, co oznacza śmierć glifina, ale waga tego faktu musiała być oczywista. Pani Harrogate także dopiero w tej chwili doznała olśnienia, jakby złożyła w całość wszystkie elementy układanki – włącznie z tymi, które Berghast dotychczas przed nią ukrywał.

Była zdruzgotana.

Alice rozejrzała się po komorze. Prowadziło do niej tylko jedno wejście. Znajdowali się głęboko pod ziemią. Coulton odcinał im drogę ucieczki. Ból w żebrach wzmógł się, jakby w odpowiedzi na jej strach. Nagle wszystko nabrało sensu.

– To pułapka – mruknęła. Wstała, chrobotanie odsuwanego krzesła poniosło się echem w mrok. – Wiedział, że przyjdziemy. Zwabił nas tutaj. Chciał, żebyśmy go znalazły.

– W rzeczy samej – potwierdziła spokojnie pani Harrogate.

Alice uniosła rewolwer.

Zamierzała strzelić Marberowi prosto w oko. Strzelała już do wielu mężczyzn, była szybka, precyzyjna i zabójcza. Kiedy jednak teraz zrobiła krok wstecz, by lepiej złapać równowagę, wyraz twarzy Marbera zmienił się w okamgnieniu – odmalowały się na niej złość, zaskoczenie, w końcu złowieszcze zrozumienie.

A potem wydarzyło się coś niezwykłego. Marber strzepnął dłonią – od niechcienia, jakby oganiał się od osy – i dłoń Alice powtórzyła ten gest. Alice zatoczyła się z zaskoczenia, tak silny był to ruch, tak gwałtowny. Tak bardzo narzucony.

Rewolwer wypadł jej z ręki, szczęknął metalicznie o posadzkę i poszybował w ciemność.

Marber mierzył ją poważnym spojrzeniem, trzymając dłoń przed sobą. Skręcił nadgarstek... i nadgarstek Alice skręcił się w taki sam sposób. Czuła to, zdjęta zgrozą, widziała na własne oczy, ale zarazem miała wrażenie, że ogląda cudzą rękę, jakby aktorki na scenie. Ogarnęło ją przemożne obrzydzenie.

Marber stał i patrzył jak zahipnotyzowany.

– Jak to możliwe? – wyszeptał.

Podniósł się powoli, z wyraźnym wysiłkiem, i wyprostował na całą wysokość. Był blady jak płótno, wyglądał na poważnie chorego.

Coulton w dalszym ciągu stał pomiędzy filarami – białoskóry, bezwłosy, nieruchomy.

– Ależ oczywiście: pociąg. Mój pył.

– Zostaw. Mnie. W spokoju!

Alice z mozołem, zacisnąwszy zęby, zwinęła dłoń w pięść i zmusiła się do jej opuszczenia. Miała wrażenie, że musi pokonać opór potężnej ściany powietrza. Drżała z wysiłku.

Tym razem to dłoń Marbera odtworzyła jej gest, jakby poruszając się wbrew jego woli. Spochmurniał i natychmiast uwolnił Alice z uścisku. Połączenie zostało przerwane.

Alice z zapartym tchem zatoczyła się do tyłu. Zakręciło jej się w głowie.

– Interesujące... – wyszeptał Marber, taksując ją wzrokiem. – Co masz na szyi?

Wystraszona Alice złapała za rzemyk, na którym zawieszane były dziwozwoje. Pani Harrogate zaczęła coś mówić, ale Marber tylko skinął na nią ręką i natychmiast ucichła. Jej opuszczone ręce zeszywniały, wygięła szyję w łuk i zaczęła po kawałku, szarpanym ruchem odwracać głowę, z wyraźnym wysiłkiem przelatykając ślinę. Otoczyła ją wirująca chmura czarnego pyłu.

– Alice... – wymruczał Marber. – Co mi przyniosłaś?

Pani Harrogate walczyła o nabranie tchu. Spleciony z pyłu gruby sznur owinał jej się wokół gardła, unieruchomił ją i niemal postawił na czubkach palców. Bezradnie drapała czarne noże, niezdolna ich w tej chwili użyć.

– Puść ją! – krzyknęła Alice. – Zostaw ją w spokoju!

Ale Marber spokojnie podszedł do niej, długimi, powykrecanymi palcami chwycił rzemyk i zerwał go stanowczym szarpnięciem. Znalazł się bardzo blisko, poczuła woń kurzu na jego ubraniu. Jego oczy stały się całkowicie czarne, przez co wyglądał, jakby patrzył wszędzie naraz i zarazem nigdzie.

Spuścił wzrok na trzymane w dłoni dziwozwoje.

Z gardła pani Harrogate dobyło się zdławione gulgotanie. Jej twarz nabiegła krwią.

– Puść ją, proszę – powtórzyła błagalnie Alice.

Marber posłał jej obojętne spojrzenie i wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Macki pyłu uniosły panią Harrogate w powietrze i cisnęły nią na drugi kraniec komory. Uderzyła o filar i osunęła się bezwładnie. Jej ciało spoczęło wygięte pod nienaturalnym kątem, jeden z noży zaklekotał na kamiennej posadzce. Litch – Coulton – w dalszym ciągu ani drgnął, Alice słyszała tylko szcęk jego kłapiących zębów.

Marber zdjął dziwozwoje z rzemienia.

– To dość niezwykle przedmioty, nie uważasz, Alice? Co o nich wiesz?

Gardło jej się zaciskało, oddech miała płytki, przyspieszony, nie mogła złapać dość powietrza.

Jacob przyglądał się jej cały czas z tą samą okrutną obojętnością, ona zaś chwyciła palcami za gardło, walczyła o każde tchnienie... i wiedziała, że umrze. Chciała krzyczeć, wrzasnąć na niego, zranić go w jakiś sposób, ale tylko ciężko osunęła się na kolana.

„Kiras”, pomyślała. „Gdzie się podziewa kiras?” Spróbowała bezgłośnie go przywołać.

Na nic więcej nie starczyło jej czasu, bo w tej samej chwili leżąca pani Harrogate podniosła głowę, wyjęła z torebki posrebrzany pistolet, wycelowała w serce Jacoba Marbera i pociągnęła za spust.

Wszystko eksplodowało. Ogłuszający huk wystrzału zadudnił wśród antycznych murów. Impet, z jakim kula trafiła w Marbera, odrzucił go w tył i w bok i Jacob upadł w tumanie czarnego pyłu. Dziwozwoje wypadły mu z ręki. Płuca Alice gwałtownie odzyskały zwykłą objętość. Gwiazdy migotały jej przed oczami, kręciła głową i spazmatycznie łapała powietrze.

– Panno Quicke! – zawołała pani Harrogate i pchnęła drugi nóż po podłodze w jej stronę.

Alice odwróciła się w jej kierunku w samą porę, żeby dostrzec wirujący nóż i jednocześnie zauważyć Coultona, który rzucił się naprzód, kłapiąc długimi zębami i drapiąc szponami posadzkę. Zdążyła przykucnąć, podnieść nóż, wyprostować się i stawić czoło litchowi.

„To Coulton, Frank!”, pomyślała. Kręciło jej się w głowie.

Z kłębow dymu wyłonił się tymczasem Jacob Marber. Nie sposób było walczyć z oboma naraz. Zginą tu obie, ona i pani Harrogate.

Nagle jednak pojawił się kiras, wpadł pomiędzy nich jak rozmazana plama. Alice nie miała pojęcia, gdzie się schował. Wybiegł pomiędzy filarów na chyżych kocich łapach (biała skarpetka rzucała się w oczy) i wydawało się, że nagle urósł. To zniknął w cieniu, to się z niego wynurzał, był wielkości psa, po chwili lwa, później jakby przybyło mu nóg... A potem z impetem zderzył się z Coultonem, pchnął go – jakby ten nic nie ważył – na zdobioną freskami ścianę i z rozpędu wskoczył mu na grzbiet. Z warkotem rozwarł pysk, zagłębił imponujące kły w barku litcha, rozdarł ciało, ale wcale przy tym nie zwolnił, ponownie skoczył, tym razem w kierunku Marbera, i cały czas rósł, miał sześć łap, osiem, prawdziwa bestia zrodzona z koszmaru, ciemności i furii.

Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że Alice ledwie zdołała dobrze chwycić rękojeść noża i unieść go przed sobą.

A kiras już rzucił się w sam środek skłębionej chmury pyłu, w której krył się Marber. Alice zdążyła się tylko odwrócić, gdy Coulton – czy raczej coś, co dawniej było Coultonem – wynurzył się z cienia całej we krwi, przysiadł na moment na podkulonych nogach i rzucił się na nią.

Odskoczyła ciężko, z całej siły tnąc nożem. Nie mogła dopuścić litcha do zwarcia. Jego dziwne ślepie w ogóle nie odbijały blasku świec, za to długie żółte zęby połyskiwały drapieźnie. Kiedy syczał i warczał, nie było w nim nic z człowieka, którego znała i nauczyła się podziwiać.

Zrobiła zbyt długi wypad, próbując ciąć go w brzuch. Jego szpony zahaczyły o jej bark i rozorały szyję z boku.

Dopadł jej w okamgnieniu. Jakaś część jej świadomości zarejestrowała, że w głębi pomieszczenia pani Harrogate próbuje wstać, opierając się o filar i znacząc go smugą krwi. Ciemna chmura, w której walczyli kiras z Marberem, zgęstniała, rozdzieliła się i Alice mignął kiras, który właśnie zahaczył pazur o usta przeciwnika, pociągnął i wydarł mu w policzku długą, poszarpaną ranę. Cała twarz Marbera poczerniała od krwi. W ranie Alice zobaczyła odsłonięte zęby, jakby widziała przed sobą nagą czaszkę. Jacob zawył z bólu.

Ale najdziwniejszy i tak był upiornie spowolniony upływ czasu, kiedy patrzyła, jak Coulton pochyła głowę i próbuje ją ugryźć w szyję i twarz, a ona, ślizgając się

we krwi, jedną dłoń zaciska mu na gardle, a trzymanym w drugiej długim nożem zadaje kolejne pchnięcia w bok tułowia, w ramię, pod żebra, w gardło.

Nie była jednak osamotniona w tych wysiłkach. Poczula uderzenie potężnej masy: coś staranowało Coultona i powaliło go na ziemię – ponownie był to kiras, dyszący ciężko, długozęby, wielonogi i gotowy do kolejnego skoku.

Marber leżał na wznak na ziemi. Pani Harrogate czołgała się w jego stronę, podpierając się na łokciach, z nożem w ręce. Powoli przez otepiającą mgłę bólu przedarła się myśl, że jednak mogą jeszcze przeżyć, ba, nie tylko przeżyć, ale może nawet unicestwić Marbera i Coultona. Kiras mógł im przynieść powodzenie.

Wtedy jednak coś się stało, coś... potwornego.

Świece zamigotały jedna po drugiej, jakby jakaś niewidzialna istota sunęła wzdłuż ścian komory, a potem kolejno zgasły.

Nagle skrawek szarego światła rozciął powietrze. Poszerzał się niczym rozwierająca się rana, aż w końcu z poszarpanego otworu coś się wynurzyło, jakiś potwór, bestia utkana z absolutnej, bezdennej ciemności. Jedyńm źródłem światła pozostała porzucona na posadzce lampa, w której blasku Alice patrzyła, jak stwór się prostuje. Miał ponad trzy i pół metra wzrostu, tak że barkami ocierał się o sufit, a zamiast ramion – pływające słupy dymu. Alice nie była nawet pewna, czy ma ich czworo, czy sześcioro.

To był drughr.

Wydał z siebie wrzask, dźwięk śmierci, bólu, bezbrzeżnej zgrozy. Kiras odpowiedział wyzywającym rykiem i rzucił się na przybysza. Alice nic nie widziała, panowała ciemność, z której dobiegały łaskoty, szczęki, wrzaski i zgrzyt metalu o metal. Dwie bestie zwały się w walce.

Nieporadnie sięgnęła po nóż, a potem podczołgała się do lampy, otworzyła zasłonę na całą szerokość i skierowała snop światła w głąb pomieszczenia.

Powietrze zgęstniało od dławiącego czarnego pyłu. Pani Harrogate nie było widać, Alice dostrzegła natomiast Marbera: stał i jedną ręką trzymał się za twarz, spomiędzy palców wypływały mu strugi czarnej krwi. W drugiej dłoni, zaciśniętej w pięść, trzymał coś przy piersi.

Patrzyła, jak przechodzi przez srebrny otwór w powietrzu na drugą stronę. Zakrwawiony Coulton chwiejnie ruszył za nim.

Drughr tymczasem złapał kirasa za gardło i z krzykiem szarpał nim i miotał na wszystkie strony. Alice po omacku próbowała znaleźć w dymie swój rewolwer. Drughr tymczasem wyprostował się na całą przerażającą wysokość i cisnął kirasem o filar, aż ściany zadrżały i kamienny pył osypał się z sufitu. Mrok zgęstniał.

A potem drughr także czmychnął w głąb wyrwanego przez siebie rozdarcia w materii świata. Srebrny otwór zamknął się jak usta.

Wyczerpana Alice osunęła się w długą, głęboką ciszę.

Zapadła ciemność.

Ciemność spotężniała.

Nagle: ruch.

Ból promieniujący z piersi. Zakaszła i sięgnęła po lampę. Zamknięta w niej świeca jakimś cudem nie zgasła i Alice skierowała snop światła w stronę pani Harrogate. Jej czarną sukienkę okrywał biały pył, intensywnie czerwona krew rozlała się po jej włosach, dłoniach, żebrach. Alice podczołgała się do niej, usiadła i położyła sobie jej głowę na kolanach.

Pani Harrogate podniosła na nią wzrok.

– Wygląda... pani... fatalnie.

Alice targnął krwawy szloch.

– Mowa... – wychlipała. Pociągnęła nosem. – Za to panią nic tylko wysłać na scenę w operze.

– Moje nogi... – stęknęła pani Harrogate. Oblizła usta, spróbowała dosięgnąć palcami kolan. – Nie czuję nóg.

Alice spojrzała na jej nogi, nienaturalnie wykrzywione pod warstwą kurzu. Zamrugęła, żeby pozbyć się z oczu zalewającej je krwi.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła, chociaż wiedziała, że nóg nie da się uratować. – Znajdziemy lekarza. Musimy tylko stąd wyjść.

Pani Harrogate pokręciła głową.

– Nie powinno go tu być... nie powinien móc... nie rozumiem...

– To był drughr, prawda? – zapytała Alice.

Odwróciła się na dźwięk cichego miauknięcia: kiras siedział obok niej, już w swojej zwykłej postaci czarnego kota – z czworgiem lśniących ślepi, które zwrócił w jej stronę, przymrużył, a potem znudzony odwrócił wzrok. Po czym w geście wprost ociekającym teatralną przesadą, jakby oczy całego świata były zwrócone na niego, spokojnie uniósł łapę i zaczął ją myć różowym językiem.

Nagle pani Harrogate podniosła głowę.

– Gdzie dziwozwoje? – zapytała z błyskiem w oku. – Są...?

Alice zapatrzyła się w dal, próbując sobie przypomnieć. Z mozołem dźwignęła się na nogi wśród osypującego się z metalicznym dźwiękiem gruzu i poświeciła lampą dookoła. Potykając się, przeszła do miejsca, w którym wcześniej utworzyło się srebrne przejście w powietrzu, i zaczęła przepatrywać kamienne odłamki. Przypomniały jej się długie zęby Coultona usiłujące dosięgnąć jej szyi i zaciśnięta pięść Marbera tuż przed tym, jak uciekł. Straciła dziwozwoje. Przegrała.

Podniosła kolejny kawałek muru. Pod spodem leżał jeden z dziwozwojów, ten żelazny, porzucony w kurzu jak zepsuta suwmiarka. Drewniany zniknął.

– W takim razie przegrałyśmy, panno Quicke. – Pani Harrogate kiwała zakrwawioną głową. – Nie mając drugiego dziwozwoju, nie będzie pani mogła odesłać kirasa i straci nad nim władzę. A nic innego nie powstrzyma Jacoba, który spokojnie zaczeka teraz na śmierć pana Thorpe’a. Będzie tylko obserwował glifina. Musi pani odzyskać drugi dziwozwoj.

Alice splunęła w odpowiedzi.

– Najpierw – odparła – musimy się stąd wydostać. – Nie wiedziała, dokąd udali się Marber z drughr, nie wiedziała, czy wróca, ale wcale by się nie zdziwiła, gdyby tak się stało. – To jest w tej chwili najważniejsze, póki jeszcze mamy światło. Później zastanowimy się, co zrobić z kirasem.

– Nie, panno Quicke – szeptała pani Harrogate, kręcąc głową. – Alice...

Alice, pierwszy raz nazwana przez nią po imieniu, złapała się na tym, że musi mocno mrugać powiekami, żeby ukryć łzy.

– O co chodzi? – burknęła.

– Nie dam rady. Nogi...

Alice musiała się zastanowić. Spojrzała na ciało starszej kobiety pogięte jak wykrzywiony gwóźdź i zaciśnęła zęby. Lampa zamigotała.

Ciemność napłynęła wezbraną falą.

Pojutrze

Z samego rana Charlie z Marlowe'em wrócili do doktora Berghasta.

Było wcześniej, kiedy się ubierali, za oknem blade mgły snuły się nad atramentowoczną taflą jeziora. Wyspy nie dało się dostrzec. Korytarze Cairndale były ciemne, zimne i opustoszałe. Nikogo nie spotkali, pozostałe dzieci jeszcze spały. Charlie ścisnął w ręce sygnet od mamy – na szczęście, dla dodania sobie otuchy, a może z przyzwyczajenia. Dopiero w korytarzu na górze, przed gabinetem doktora, zawiesił go znów na szyi i schował pod koszulą.

Kiedy cicho zapukali do drzwi, doktor otworzył natychmiast, jakby na nich czekał, jakby wiedział, że wrócą o tej właśnie godzinie, z takim a nie innym postanowieniem. Twarz miał wymizerowaną i ściągniętą, oddychał ciężko, ale oczy mu błyszczały.

– Zatem pójdziecie tam – powiedział.

Nie było to pytanie.

Wpuścił ich do środka. Klatka z kościanymi ptakami była przykryta prześcieradłem. Na biurku stała taca z talerzami, na których parowały jeszcze ciepłe kielbaski, bekon, jajka na twardo i ciastka maślane. Chłopcy z apetytem rzucili się na jedzenie.

Doktor Berghast przyglądał się im w milczeniu. Kiedy skończyli, wstał i sięgnął po zapaloną lampę, po czym niezwykłym kluczem otworzył pierwsze drzwi od lewej we wschodniej ścianie.

– Pan Thorpe słabnie – oznajmił z powagą. – Nie ma czasu do stracenia.

Za drzwiami kręcone schody opadały w ciemność. Schodząc po nich, z początku przemierzali nadziemną część rezydencji, by po krótkim czasie płynnie zagłębić

się w podziemia i znaleźć w tunelu. Podłoga była śliska od błota i naciekającej wody, powietrze miało kwaśny zapach i dławiło w płucach. Doktor Berghast uniósł lampę i bez słowa ruszył tunelem, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność albo przynajmniej tak daleko, jak sięgało światło.

– Dokąd idziemy? – zainteresował się Charlie. Jego głos odbił się od sklepienia i zwielnokrotniony poniósł w dal.

– Ten tunel biegnie pod jeziorem, Charlesie. Idziemy na wyspę.

– Ale jezioro jest głębokie – zauważył Marlowe.

– To prawda, moje dziecko. – Berghast nie odwracał się do chłopców. Szedł szybkim krokiem. – Poza miejscem, w którym skalne żebro łączy wyspę z lądem. Znajdujemy się teraz we wnętrzu tego żebra. Nad waszymi głowami jest woda.

Charlie przełknął ślinę. Pomyślał o wielkiej masie wody napierającej na strop tunelu, o pękającej i zapadającej się skale, o ogłuszającym huku...

– Kto wykuł ten tunel? – zapytał Marlowe.

– Jest dziełem umarłych. Podobnie jak wszystko inne, co do nas napływa.

Szli w milczeniu, słyhać było tylko chrobotanie ich butów o kamień, chlapanie wody, ciche skwierczenie świeczki pływającej w kałuży wosku.

W końcu tunel zaczął biec pod górę, delikatnie, ledwo zauważalnie, powietrze zrobiło się słodsze i stanęli u stóp kolejnych schodów. Weszli po nich do starych drzwi, które doktor Berghast otworzył kluczem. Po drugiej stronie ujrzeli ruiny klasztoru. Szare światło dnia boleśnie raziło oczy, gdy wyszli z podziemi. Charlie skrzywił się i przymknął powieki. Stali w małej wnęce, w której zejście na schody zostało przemyślnie ukryte.

– Chodźcie – ponaglił ich doktor Berghast.

Wśród kamiennych złomów i długiej trawy przeszli do przedniej części budowli, dla której czas nie był łaskawy. Tam doktor otworzył kolejne masywne drzwi i poświecił lampą. Zostawili mgłę za plecami i weszli do wnętrza.

Niegdyś mogło to być pomieszczenie mieszkalne mnichów, którzy zbudowali klasztor: podłużna sala bez okien, z obu stron zakończona mniejszymi mrocznymi komnatami. Berghast podszedł do widocznej w głębi dziury w murze, pochylił się i wysliznął na wąską klatkę schodową. Wykute w skale kręcone stopnie wiodły do jaskini.

Rozświetlał ją niebieskawy blask. Charlie od razu wyczuł w powietrzu buczące wibracje, jakby przepływającego słabego prądu elektrycznego. Korzenie porozsadzały kamienną posadzkę i splątane pięły się po ścianach. Sklepienie wspierało się na kamiennych łukach. Środek pieczary zajmował głęboki zbiornik z wodą, również poprzerastany korzeniami. Z boku prowadziły do niego schodki. Powierzchnia cieczy była ciemna i matowa. Charlie po chwili stwierdził, że to nie jest woda, lecz coś w rodzaju zgęstniałej żywicy. Z głębin zbiornika emanowało zdumiewające, widmowe niebieskie światło. Korzenie powrastały w zbiornik jak w sadzawkę. Charlie patrzył z zapartym tchem.

– Orsine – wyjaśnił doktor Berghast, wskazując zbiornik, i podał Charliemu nieduży, staroświecki nóż. – Musicie się przez nie przebić, żeby dostać się do wody pod spodem.

Charlie ostrożnie wziął nóż do ręki.

– Gdzie glifin? – zapytał.

Doktor podniósł rękę.

– Pan Thorpe jest wokół nas. To wszystko jest jego częścią. Ta gęsta substancja to żywica z jego korzeni. Pieczętuje orsine, z którego glifin czerpie pożywienie.

– A my mamy się przez nią przebić?

– Tak.

– Nie zrobimy mu krzywdy?

– Nie przypuszczam.

Marlowe zrobił krok w stronę zbiornika i nagle się zatrzymał. Coś dziwnego zaczęło się dziać z jego rękami. Wyciągnął je przed siebie: jego dłonie pałały tym samym intensywnym błękitem co wody orsine.

Doktor Berghast wyglądał na zadowolonego. Postawił lampę na ziemi i zza pazuchy wyjął zwój pergaminu.

– To kopia mapy – wyjaśnił. Przyklęknął i rozwinął ją na ziemi. – Może wam się wydać znajoma, oryginał wisi u mnie w gabinecie. Podejdz, Charlesie. Na początku trudno będzie wam ją czytać, ale kiedy znajdziecie się po drugiej stronie orsine, wszystko nabierze sensu. To szare komnaty: tutaj zaczniecie. Tu są schody umarłych, a w tym miejscu zaczyna się miasto.

– Miasto...?

– Miasto umarłych, tak. W trzecim kręgu. – Doktor Berghast jednym kolaniem przycisnął narożnik mapy i długim palcem wolnej ręki powiodł w poprzek mapy aż do jej białego skraju. – Tutaj, moim zdaniem, znajduje się Pokój, ten najważniejszy. Inni tam nie dotarli, było dla nich za daleko. Dla was nie będzie.

– No dobrze, a po czym go poznamy?

– Duchy nie zapuszczają się w jego pobliże. Zobaczycie białe drzewo, które krwawi. Musicie wejść do Pokoju i przynieść mi to, co w nim znajdziecie. Rękawicę. I jeszcze jedno. – Doktor wyjął z kieszeni oprawny w skórę notes i ogryzek ołówka. – Zapisujcie tu wszystko, co zobaczycie, dokąd pójdziecie, wszystko. Jest jedna rzecz, o której wam jeszcze nie powiedziałem: talenty po przejściu z powrotem przez orsine... niewiele pamiętały ze swojej wędrówki. Ich wspomnienia były skąpe, mętne, przemieszane. Dlatego zaczęliśmy rozdawać te notatniki, żeby mogli w nich wszystko zapisywać. – Włożył mapę, notes i ołówek do woreczka i dał go Charliemu. – Bądźcie ostrożni – ostrzegł. – Tamten świat będzie próbował płatać wam figle. Może wam się wydać, że widzicie najbliższych, których straciliście. Będziecie chcieli za nimi pójść, ale wiedźcie, że wielu tego próbowało i dało się sprowadzić na manowce. To nie są wasi utraceni bliscy, tylko ledwie ich cienie, wasze wspomnienia o nich. Nie rozpoznają was.

– Jeżeli są tylko naszymi wspomnieniami – zauważył Charlie – to nic nam nie mogą zrobić.

– Duchy są nadzwyczaj niebezpieczne – odparł ostro Berghast. – Kiedy zbierze się ich więcej, przybierają postać mgły. Nie wolno wam dać się w nią złapać. Przyciąga je ruch, ciepło, wszystko, co żywe, wszystko, co choćby przelotnie przypomina im, czym jest życie. To przemożne pragnienie, którego nie mogą zaspokoić. Pochłania je bez reszty. Będą próbowały wyssać z was życie. Nie zbliżajcie się do nich. Zresztą w tamtym świecie napotkacie nie tylko duchy zmarłych, nie zapominajcie, że zarówno w naszym świecie, jak i w tym drugim... – zmierzył orsine dziwnie tęsknym spojrzeniem – ...jest pełno drzwi. Wszyscy jesteśmy tylko przechodniami.

Odwrócił się i zdmuchnął świecę w lampie. Jaskinia utonęła w niebieskim blasku. Cienie napłynęły do oczu doktora.

– Nie wiem, jak długo możecie przebywać w tamtym świecie. Czas płynie tam inaczej. Inni, którzy dysponowali artefaktem, mieli do dyspozycji kilka naszych godzin. Wy? Nie wiem, dzień? Dwa? – Po ciemku Berghast zdawał się rosnać

w oczach. – Pamiętajcie o jednym: obserwujcie swoje dłonie, palce. Jeżeli znajdziecie się pod wpływem mgły, zaczną drżeć i blednąć. Kiedy to zauważycie, natychmiast wracajcie.

– Bo inaczej?

– Przepadniecie na zawsze.

Przywodząca na myśl żywą skórę powierzchnia zbiornika buczała cicho, płonąć błękitnym światłem – takim samym jak dłonie Marlowe’a, który wziął teraz od Charliego nóż i podszedł do szczytu schodów prowadzących do orsine. Przykucnął i długim ostrzem dźgnął miękką żywiczną skorupę. Z rozcięcia wysączyła się ciemna plama. Marlowe wyciął w powierzchni długi krzyż. Teraz świeciło już całe jego ciało, jarzyło się tak silnym blaskiem, że stało się przezroczyście.

– O tak... – mruknął doktor Berghast. – Doskonale.

Chłopiec nie zwracał na niego uwagi. Skończył ciąć, wypuścił nóż z ręki, złapał się korzeni niczym liny ubezpieczającej i zaczął schodzić po stopniach w głąb lśniącego rozcięcia. Najpierw zanurzyły się i pociemniały jego spodnie, potem koszula, wreszcie zagłębił się po barki. Posłał jeszcze ostatnie szybkie spojrzenie Charliemu, a potem zniknął.

– Jezu... – sapnął Charlie, zaskoczony, że Marlowe tak szybko się ulotnił.

Podbiegł do skraju zbiornika, patrzył na ciemną powierzchnię i przenikający ją dziwny blask, ale niczego nie widział. Marlowe przepadł bez śladu.

– Musisz się pospieszyć, Charlesie – ponaglił go z ciemności doktor Berghast. – Inaczej go zgubisz. Pamiętaj o nożu, będzie wam potrzebny do wycięcia drogi powrotnej.

Było w orsine coś takiego, że Charlie wciąż się wahał. Nie chodziło o to, że się boi, nie do końca.

Wszedł do zbiornika... i aż zaparło mu dech w piersi. Woda – o ile to w ogóle była woda – pochwyciła jego kostki w lodowaty uścisk, zupełnie jakby coś się fizycznie na nich zacisnęło. Luźne skórzaste płyty pociętej powierzchni ugięły się pod jego ciężarem. Skrzywił się i wziął głęboki wdech. Bijące z dołu niebieskie światło oślepiało, nie widział już Berghasta.

– Trzymaj się, Mar – mruknął. – Już idę.

Ubranie wzdęło się wokół niego i zaczął się zanurzać w wodzie, która nie była wodą. Po chwili stracił czucie w stopach, nogach, potem także w dłoniach i rękach,

a schody ciągnęły się w dół, aż w końcu przestał odczuwać cokolwiek.

Jeszcze raz odetchnął głęboko. Zanurzył twarz.

Zagłębił się w ciemność.

ZBRODNIE JACOBA MARBERA

1874

Mężczyzna, dziecko, potwór

Ciemniejące niebo o zmierzchu.

Jacob Marber ubrany w koszulę i kamizelkę stał w nurcie wolno płynącej rzeki na obrzeżach Szkocji i patrzył, jak światło gaśnie na srebrzystoczarnej wodzie. Wiedział, że tu, pośród żywych, nie ma już dla niego miejsca. Osobliwy dym ofiarowany mu przez drughra gęstniał mu pod skórą, stawał się częścią jego istoty, chociaż jeszcze nie do końca, niczym oddech umarłych.

Wędrował po świecie umarłych tak długo, tyle miesięcy, że ludzki świat wydawał mu się teraz obcy: mały, zbyt ulotny. Jacob nie był już niewinny, ale nie popełnił jeszcze najgorszych uczynków. Zimna woda opływała jego uda, szokująco zimna po tak długiej nieobecności w tym świecie. Skóra mrowiła go od mroku. Zadrzał.

„Ten ich świat”, pomyślał. I się odwrócił.

Znalazł bowiem brata, znalazł go w tym drugim świecie, zgodnie z daną mu przez drughra obietnicą. I teraz nie dało się tego cofnąć, nie było powrotu, musiał żyć z tym, co zobaczył. A niczego to nie rozwiązało. Niczemu nie zadośćuczyniło. Przyzwany przez jego smutek Bertolt przyszedł do niego na skraj ciemności trzy razy w ciągu trzech nocy – jak zafalowanie w powietrzu, jak zwielokrotniona żałoba. Nadal wyglądał jak chłopiec dokładnie w tym wieku, w jakim zmarł, miękkie policzki miał blade, ciemne włosy straciły kolor. Jacob wybuchnął płaczem na widok twarzy, którą kochał i której nie miał już nadziei ponownie ujrzeć. Błagał, prosił, opowiadał historie o ich dzieciństwie w Wiedniu, zakonnicach w sierocińcu, fabryce, życiu na ulicy. Trzeciej nocy cichym głosem opowiedział Bertoltowi historię jego śmierci i dostrzegł ulotny błysk rozpoznania, który jednak

zniknął, równie szybko jak się pojawił. Wir w powietrzu, którym był Bertolt, tylko zafalował, a jego oczy znów miały pusty wyraz.

Za późno, powiedział mu drughr. Zapomniał cię. Nie da się go już ocalić.

Jacob odetchnął cicho, pogrążony we wspomnieniach. Z miejsca, w którym stał w rzece, widział drogę i tonący wśród zmierzchu most. Wypatrywał sygnałów pościgu, ale niczego ani nikogo nie dostrzegł. Nikt nie znalazł powozu ukrytego w zagajniku, martwych koni ani zabitego woźnicy. Nikt nie nadchodził.

Wyszedł z wody. Zimne, mokre spodnie kleiły mu się do skóry. Jego surdut wisiał na gałęzi krzewu.

Uniósł twarz, słysząc w głowie znajomy głos.

Już prawie czas, Jacobie. Jesteś gotowy?

Na błotnistym brzegu drughr kuczał jak zwierzę, jak dzikie stworzenie, nie miał już kształtu, pod którym Jacob go poznał – bladej, pięknej kobiety, ale był ociążalym, kudłatym cieniem z wielkimi kłami. Zafascynowany wpatrywał się w swoje odbicie.

Za jego plecami wśród niskich paproci siedziała skulona dwójka dzieci, o które prosił. Dwójka dzieci, które Jacob mu przyprowadził.

Marber wyraźnie wyczuwał jego żądzę.

– Nie ma innego sposobu? – zapytał cicho.

Drughr nie odpowiedział.

Dzieci mogły mieć trzynaście, czternaście lat – chłopiec i dziewczynka, może rodzeństwo. Przechwycił je w drodze do Cairndale. Oczywiście były talentami, odnalezionymi i wysłanymi na północ z Londynu przez panią Harrogate, tak jak on kiedyś zwykł to robić – tak jak to zrobił, kiedy znalazł tę małą Japonkę, pyłowladczynię Komako i jej niewidzialną rozbrykaną towarzyszkę. Na to wspomnienie poczuł słabe ukłucie żalu i smutku, które jednak szybko minęło. Celowo nie pytał o imiona tych dzieci, nie interesował się szczegółami. Nie chciał nic wiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że powinno mu być niedobrze na ich widok, bo wiedział, co drughr im robi, ale niczego nie poczuł. Wydawały mu się zadziwiająco niematerialne, jakby widział czas przepływający przez nie niczym światło, w którym w każdej chwili mogły się rozpląnąć. Naprawdę zbyt długo przebywał w drugim świecie.

Teraz był związany z drughrem. Drughr stał się częścią niego, tak jak on stał się częścią drughra. Tak właśnie o tym myślał. Czuł pragnienia drughra i jego lęki prawie jak swoje, jakby były cieniem jego własnych tęsknot. Odczuwał na przykład dojmujący głód drughra, przemożne pragnienie pochłonięcia tych dzieci i mocy ich talentów. W tym świecie drughr nie był silny, przynajmniej na razie. Karmiąc się nimi, wchłonie je, wysysie, a potem zrobi to, co zrobić musi: osłabi postawioną przez glifina barierę wokół Cairndale, żeby Jacob mógł przemycić stamtąd niemowlę.

Jesteś pewien, że zdołasz dostać się do środka?

– Już to załatwiłem – odpowiedział Jacob.

To dziecko jest wszystkim, Jacobie. Musisz mi je przynieść. Nie możesz mnie zawieść.

Jacob spojrzał drughrowi w oczy i skinął głową.

Mówiąc o dziecku, drughr miał na myśli chłopca bez imienia, świecącego chłopca, którego Henry Berghast wykradł i teraz trzymał w Cairndale w zamknięciu, żeby – czego obawiał się Jacob – posłużyć się nim do swoich złowieszczych celów. Jacob nie wiedział, do czego dokładnie chłopiec jest zdolny, wiedział jednak dość, by się obawiać, że czeka go okropne życie. I chociaż zostało w nim niewiele z człowieka i ludzkiej litości, to współczuł dziecku. Gdy trzymał je w ramionach i głaskał jego miękkie policzki, czuł, że łączy ich więź, coś podobnego do miłości.

„Jesteś taki jak ja”, pomyślał wtedy. „Jesteśmy tacy sami”.

Wówczas obiecał chłopcu, że nie będzie musiał znosić takiego dzieciństwa, jakie on sam wycierpiał.

Drughr nie miał o tym wszystkim pojęcia. Dlatego Jacob się bał, bał się, że drughr się dowie, jakie są naprawdę jego intencje, że odkryje jego zdradę. Bał się również, że zawiedzie drughra, i lękał się, co to będzie znaczyło dla dziecka i dla niego. Nie zamierzał bowiem przynosić dziecka drughrowi. Chciał uprowadzić świecącego chłopca i zabrać go daleko stąd, do jakiegoś miejsca, gdzie nikt nie będzie mógł go skrzywdzić, ani Berghast, ani drughr, absolutnie nikt.

Niebo pociemniało. Nadchodził czas. O zmroku drughr zwrócił się do dzieci. Siedziały razem, skulone, wpatrując się w niego z przerażeniem. Już zdarły sobie gardła od krzyku.

Idź już, powiedział drughr do Jacoba. Osłabię barierę na tak długo, jak tylko zdołam.

Poszedł więc.

Dzieci nie krzyczały, nie płakały. Kiedy jednak oddalał się od rzeki w stronę Cairndale i znajdującego się tam chłopca, usłyszał wilgotne szarpanie i pomlaskiwanie: drughr żerował.

We wschodnim skrzydle rezydencji Cairndale, na piętrze, w rozległym, gustownie urządzonej sypialni z widokiem na głębokie jezioro rozległo się pukanie do drzwi. Niania wstała z siedzenia na parapecie przy kołysce, którą bujała. Pod wieloma względami była jeszcze dziewczyną. Zapięła bluzkę. Piersi, ciężkie od mleka, miała obolałe. Zmęczona zawahała się i wsunęła ciemne włosy pod czepek. Do niedawna wzbudzały zazdrość u dziewcząt w wiosce. Wiedziała, że dziecko będzie spało, dopóki ona się nie położy, a wtedy obudzi się z płaczem i uspokoi się dopiero wtedy, gdy ona przejdzie przez cały pokój, by do niego zagruchać. Mimo to było kochanym, słodkim stworzeniem.

Zaciągnęła zasłonki wokół kołyski ze śpiącym niemowlęciem. Nazywała się Susan Crowley i pracowała w kuchni w Cairndale, dopóki rok temu nie zaszła w ciążę – za sprawą mieszkającego w dolinie pomocnika mleczarza, który był żonaty. I chociaż robiła, co w jej mocy, żeby francuską metodą pozbyć się ciąży, nie udało się i donosiła dziecko aż do rozwiązania. A potem urodziła, natychmiast pokochała swoją małą córeczkę... i oczywiście wtedy ją jej odebrano, odebrał ją Pan Bóg, jakby chciał w ten sposób ukarać Susan. Dziewczynka zmarła z powodu gorączki dziewięć miesięcy temu i dziś spała na cmentarzu w Aberdeen. Susan przeplakała wiele nocy, aż ochrypla od szlochu, zresztą nadal jej się to zdarzało, ale na szczęście znowu dostała zajęcie tutaj i od siedmiu miesięcy pracowała jako mamka tego małego podrzutka.

Chłopca, który nie przypominał żadnego innego dziecka.

Oczywiście widziała, jak świecił tym dziwnym, pięknym, niebieskim blaskiem. Nie znała znaczenia tego zjawiska ani jego przyczyny. Nie powodowało żadnej szkody, nie widziała w nim żadnego zagrożenia. Samo piękno. Zauważyła jednak, jak doktor Berghast patrzył na dziecko, dostrzegła strach i fascynację w jego oczach i wiedziała: to dziecko było wyjątkowe.

Ciche pukanie do drzwi się powtórzyło.

Doktor Berghast stał w korytarzu, światło kinkietów pogłębiało cienie na jego pobrużdżonej twarzy. Przez długą chwilę tylko się w nią wpatrywał. Nie lubił go,

nigdy za nim nie przepadała. Nie chodziło tylko o jego szare oczy i płonący w nich ogień, nie przeszkadzał jej też upiorny sposób, w jaki chodził za człowiekiem po pokoju. To było coś więcej, coś nieuchwytnego jak zapach – zapach mrocznego podejrzenia.

Odsunęła się na bok, gdy wszedł, i wzięła kapelusz z jego wyciągniętej ręki.

– Zatem już śpi – powiedział Berghast. Przesunął dłonią po siwej brodzie i przyglądał bokobrody.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała Susan i dygnęła.

Przeszedł obok niej. Henry Berghast był wysoki, barczysty, nienagannie ubrany. Nosił długie bokobrody, włosy opadały mu na kołnierzyk w staroświeckim stylu, który Susan widywała jako dziewczynka u swojego dziadka i jego znajomych. Wiedziała, że jest stary, starszy niż na to wygląda, chociaż nie знаła jego dokładnego wieku. Był naukowcem, to fakt, najprawdziwszym doktorem, ale był też człowiekiem o mrocznych skłonnościach, wyczulonym na to, co niemożliwe, jak wszyscy w Cairndale. Nie dało się mieszkać w Instytucie i nie widzieć tego, co powinno pozostać niewidoczne, nie rozumieć natury dziejących się tu wydarzeń.

Skąd dokładnie pochodził chłopiec, tego jej Berghast nie powiedział. Słyszała jednak plotki, różne skrawki opowieści i wiedziała, że miało to coś wspólnego z pewnym pyłowładcą, o którym nikt nie mówił – nazywał się Marber i przerażał stare talenty. W Cairndale nigdy nie było innych małych dzieci, najmłodszy z talentów miał dziewięć lat i był dziewczynką, która potrafiła już sama pokroić mięso i zmienić sobie pościel.

Berghast powoli odciągnął zasłonkę i stanął nad kołyską. Przyglądał się śpiącemu dziecku. Nadał mu własne imię – Henry – ale nigdy się tak do niego nie zwracał, podobnie jak Susan, choćby dlatego, że jej zdaniem to imię nie pasowało do chłopca: było dobre dla człowieka surowego i przeświadczonego o swojej wielkości, wydawało jej się bardziej stemplem potwierdzającym własność niż prawdziwym imieniem żywej osoby.

– Chciałby pan wziąć go na ręce? – zwróciła się do doktora.

W tym pytaniu kryła się niegodziwość i Susan dobrze o tym wiedziała, bo z góry znała odpowiedź. Berghast ani razu nie wziął chłopca na ręce, nigdy go nie dotykał i teraz na jego twarzy odmalował się przelotny niepokój, gdy dotarły do niego jej słowa.

Odwrócił się.

– Dziecko wygląda na zdrowe, panno Crowley – mruknął. – Dobrze się pani sprawa. Jestem wdzięczny.

– Dziękuję panu.

– Musi być trudno mieszkać tu samotnie.

– Myślę, że on nie ma nic przeciwko temu.

– Miałem na myśli panią, panno Crowley.

Gdyby ktokolwiek powiedział coś takiego, uznałaby to w najlepszym razie za przejaw życzliwości, w najgorszym zaś – bezczelności, ale w przypadku doktora Berghasta wiedziała, że nie jest to ani jedno, ani drugie. On po prostu stwierdził fakt.

– To żadna trudność, proszę pana. Lubię towarzystwo dziecka.

– Hm. – Jeszcze przez chwilę stał i patrzył na niemowlę. Nie widziała jego twarzy. – Mój chłopiec – szepnął.

Cofnął się. Susan poszła za nim.

– Panna Davenshaw mówi mi, że potrzebuje pani więcej węgla oraz świec – powiedział, kiedy zasłonka została ponownie zaciągnięta i odsunęli się od śpiącego dziecka. – Dopilnuję, żeby je pani przysłano. Dziecku musi być ciepło, bez dwóch zdań. Słyszałem też, że niewiele pani je.

Susan się zarumieniła.

– Mam się dobrze, proszę pana, jestem tylko odrobinę zmęczona. To naturalne.

Skrzywił się.

– Muszę coś pani powiedzieć, panno Crowley. Decyzja dopiero co zapadła, ale myślę, że najlepiej będzie, jeśli od razu ją pani pozna.

Szare oczy Berghasta wwiercały się w oczy Susan, aż spuściła wzrok.

– Dziecko nie może pozostać tutaj, w Cairndale. Trzeba je odesłać. Chciałbym, żeby pani z nim pojechała, jeśli tylko się pani zgodzi.

Podniosła wzrok.

– Odsyła go pan? To jeszcze maluszek, doktorze Berghast...

– Nic na to nie poradzę. Już napisałem kilka listów z zapytaniem, czekam tylko na odpowiedzi. Myślę o dwóch możliwych miejscach. Oba znajdują się... dość daleko.

– Ale... dlaczego, proszę pana?

Patrzyła, jak doktor Berghast podchodzi do okna, jedną ręką rozdziela muślinowe firanki i patrzy w gęstniejący mrok. Nie zapaliła żadnej świecy, więc ruszyła, żeby zrobić to teraz.

– Dziecko nie jest tu bezpieczne, panno Crowley – odpowiedział cicho. – Nigdzie nie będzie bezpieczne. Musimy je ukryć, zanim po nie przyjdą.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Kto po nie przyjdzie, proszę pana?

Na to pytanie nie udzielił jej odpowiedzi.

W tym samym czasie w holu wejściowym rezydencji Cairndale Abigail Davenshaw siedziała w fotelu wyprostowana, sztywna i z rękami złożonymi na podolku słuchała bicia zegara stojącego w kącie. Już prawie godzinę czekała na powóz z Edynburga, który wiozł dwoje nowych podopiecznych.

Nazywali się Gully i Radha, byli bliźniętami i pokonali ogromne odległości, żeby dotrzeć do Instytutu. Wiedziała tylko tyle, ile powiedziała jej pani Harrogate po swoim przyjeździe: dzieci pochodziły z Kalkuty, zostały nabyte przez pana Coultona od kupca korzennego i prawie w ogóle nie rozumiały swoich talentów.

Pani Harrogate widziała je w Londynie w dniu ich przybycia. Bagaże dzieci zostały zatrzymane na cle w Gravesend i pan Coulton zgodził się wsadzić je do najbliższego pociągu, gdy tylko zostaną mu wreszcie dostarczone.

Abigail Davenshaw z założenia nie lubiła, kiedy dzieci podróżowały bez opieki – jak mawiał jej dziadek: człowiek nie powinien sam zapraszać kłopotów do domu – ale postępowano w taki sposób, zanim pojawiła się w Cairndale, kimże zaś była, by domagać się obecności opiekunki.

Podniosła głowę. Rozległ się cichy stukot przybliżających się obcasów.

– Pani Harrogate – powiedziała.

– Panno Davenshaw – odpowiedziała tamta. – Szukałam doktora Berghasta. Nie przechodził tędy? – Zawahała się. – Co się stało? Chodzi o te nowe dzieci? Wciąż jeszcze nie przyjechały?

Panna Davenshaw skinęła głową.

– Jak pani widzi.

– Cóż, na pewno powóz niedługo dotrze. To w końcu pan Bogget przywozi naszych nowych wychowanków z Edynburga od czasów... Ha, robił to jeszcze za życia mojego męża. Nigdy nie zawiódł. Może napotkał jakieś kłopoty z drogą albo może z końmi. Przyjedzie. Jestem tego absolutnie pewna.

– Hm – odpowiedziała tylko Abigail Davenshaw, bo dla jej wyczulonego ucha pani Harrogate nie brzmiała jak ktoś absolutnie pewny.

Krępujące milczenie przeciągało się, aż w końcu ciszę zmaćcił stłumiony odgłos dzieci biegających po korytarzu na piętrze. Starsza kobieta pociągnęła nosem, chwilę później Abigail Davenshaw poczuła jej dotyk na rękawie.

– Bardzo się spóźniają?

– Pięćdziesiąt sześć minut.

– Aha. – Pani Harrogate odchrząknęła. – Gdzie jest pan Laster? Nie w stróżówce, bo właśnie stamtąd przyszedłem. Gdyby były jakieś wieści, on pierwszy by je otrzymał.

– Nie było żadnych wieści, proszę pani, powóz zwyczajnie... się spóźnia.

Abigail usłyszała stal w głosie starszej kobiety, kiedy ta odpowiedziała:

– Może pani czekać na wiadomości, panno Davenshaw, ale ja nie zamierzam siedzieć beczynn timer. Poszukam pana Lastera. I dam znać, gdyby były jakieś nowiny.

Panna Davenshaw skinęła głową. Zapadła długa cisza.

– Życzę miłego wieczoru – powiedziała w końcu pani Harrogate.

– Ja pani również.

Abigail odwróciła twarz w ślad za oddalającymi się krokami pani Harrogate, która przeszła przez hol w kierunku wyjścia na dziedziniec i znajdującej się przy nim stróżówki Waltera Lastera. Odetchnęła spokojnie. Dopiero kiedy drzwi frontowe zamknęły się z łoskotem i miała pewność, że została sama, pozwoliła sobie na przelotny grymas niezadowolenia.

Powóz nigdy się nie spóźniał.

Walter Laster niecierpliwie zatrzasnął za sobą drzwi stróżówki i starannie zamknął je na klucz. Pospiesznym krokiem przemierzył dziedziniec i skierował się

do wejścia dla służby, rozglądając się na wszystkie strony. Robiło się coraz ciemniej.

Nikt go nie widział. Szukał tej kobiety z Londynu, Harrogate, która ubierała się na czarno i nosiła woalkę. Miał wrażenie, jakby wiecznie go obserwowała, jakby wiedziała.

Przy wejściu dla służby zatrzymał się i szybko przytknął zmiętą chusteczkę do ust, żeby stłumić kaszel. Jego ciałem wstrząsnęły spazmy bólu. Odjął chusteczkę od warg: nawet w padającym z rezydencji słabym świetle widział na niej kropelki krwi. Na ustach i języku czuł posmak żelaza.

Powóz z Edynburga nie przyjechał. To był znak. Serce waliło mu jak szalone. Potrząsał słabo głową, szukając właściwego klucza w pęku. Jeśli wszystko rozegra się tak, jak mu powiedziano, Jacob pojawi się w ciągu godziny.

W końcu znalazł klucz, wsunął go do zamka i znieruchomiał, nasłuchując. Nikogo nie było w pobliżu. Przemknął korytarzami na tyłach domu, zszedł po schodach do zimnej piwnicy i odszukał starą lampę schowaną za regałem. Zwrócony plecami do piwnicy zapalił ją zapalką.

Jacob, Jacob. Jego jedyny, najdroższy przyjaciel.

Walter był samotnikiem. Drobnej budowy, wiecznie przygarbiony po odniesionym w dzieciństwie urazie cierpiał z powodu swojej samotności. Miał długie, przetłuszczone włosy, które raz w miesiącu sam ścinał nożycami pożyczanymi z szopy ogrodniczej, drobne ręce i dwie dziury po straconych zębach trzonowych. Przyglądał się dzieciom w Cairndale z rezerwą, trzymał się od nich z daleka, bo nie podobał mu się sposób, w jaki śmiały się w jego obecności, a także dlatego, że wiedział, iż potrafią robić różne rzeczy, które były wbrew naturze. Oczywiście większość mieszkańców Cairndale nie zwracała na niego uwagi – był po prostu dziwnym panem Lasterem, który mieszka w stróżówce i pilnuje tego, kto przybywa do Instytutu lub z niego wyjeżdża.

Jacob jednak nie był taki jak inni, o nie. Kiedy jeszcze przebywał w Cairndale, wyraźnie wyczuwał łączącą go z Walterem więź – a może to Walter ją wyczuwał? Trudno to było dokładnie stwierdzić. W każdym razie nie chodziło tylko o to, że obaj się różnili od pozostałych i obaj nie mieli przyjaciół. Nie, nie, to była głębsza więź, nie taka jak między przyjaciółmi, tylko raczej taka jak między braćmi. Tak to przynajmniej zawsze odczuwał Walter.

Kiedy Jacob zniknął i nie wrócił, Walter wiedział, że przytrafiło mu się coś złego. Patrzył, jak ten cały pan Coulton wyjeżdża powozem do Edynburga, i z trudem skrywał niechęć. Może ten człowiek porzucił Jacoba albo nawet go zabił i zostawił jego ciało gdzieś w jakimś zaułku? Z pewnością Coulton był do czegoś takiego zdolny.

Mniej więcej w tym okresie Walter zaczął odczuwać skutki choroby. To były suchoty. Któreś zimy zakaszłał mocno, zasłaniając usta dłonią, i zobaczył na niej krew. Wiedział, co to znaczy. Został mu może rok, może pięć lat – to nie miało znaczenia. Prędzej czy później choroba go zabije.

Wtedy jednak nadeszły sny.

Jacob szeptał do niego. Odwiedzał go. Siadywał z nim, spokojny i łagodny. Jego stary przyjaciel, jego jedyny przyjaciel obiecywał, że może mu pomóc, uleczyć go, sprawić, że odzyska zdrowie i już nigdy nie będzie sam. Mówił, że ponownie zjawi się w Cairndale i kiedy tym razem będzie odchodził, zabierze go ze sobą.

Gdzieś wyżej w spiżarni otworzyły się drzwi. Walter znieruchomiał z uniesioną lampą i nasłuchiwał, zanim podszedł do wykutej w litej skale ściany piwnicy. Ustawiono pod nią regały. Przez chwilę szukał zatrzasku umieszczonego przy trzecim z nich, a kiedy go znalazł i odblokował, regał wysunął się gładko do przodu, jakby na szynach, a potem odchylił się w bok. Z tunelu wionęło stęchlizną.

Walter wpatrywał się w ciemność. Tunel miał idealnie okrągły przekrój, jakby został wywiercony w skale przez gigantyczny świder przemysłowy. Walter obliznął nerwowo usta. Jacob czekał na niego. Liczył na niego.

Podniósł lampę i pośpiesznie zagłębił się w tunel.

Bywały takie noce, kiedy Henry Berghast przechadzał się po nieoświetlonych korytarzach Cairndale, obserwując ciemność, śledząc ruch powietrza na skórze i sposób, w jaki czas opływa go i przepływa przez niego na wskroś niczym piasek przesypany się przez zaciśniętą pięść. Czuł wtedy, jak jego ciało się rozkłada.

Starzał się, ot co. Mimo upływu dziesięcioleci wciąż było to dla niego osobliwe, nieznanne uczucie.

Odziany w kamizelkę i koszulę ze sztywnym kołnierzykiem mijał zamknięte drzwi, gabloty, oprawione akwarele i ryciny na ścianach: wszystko to wyglądało dziwnie w nocnej ciemności. Zatracał się we wspomnieniach: wspominał słońce

zachodzące nad ujściem Nilu w tych dawnych latach, zanim Egipcjanie zapoznali się z brytyjskimi okrętami wojennymi; zapach powietrza w dżunglach Nowej Hiszpanii przesyconego wonią gnijących owoców; licznych zmarłych, których znał w przeszłości, kolegów i przyjaciół, z których część zyskała sławę i zapisała się w annałach nauki. Na przestrzeni wieków przyjaźnie i znajomości stopniowo zanikały. Teraz już od dawna był sam. Widział, jak ci, których kochał, starzeli się i umierali, porzucali go, zostawiali z niczym i nikim. W miejscu, które wcześniej wypełniała jego miłość do nich, pozostał tylko ból. Jego rodzice nie żyli od wieków, brat również. Kiedyś miał nawet żonę i dziecko, małą dziewczynkę... Jak ona miała na imię?... Lubiła białe kwiatki i przynosiła mu radość. Ich twarze dawno przepadły w odmętach przeszłości i dziś pamiętał tych ludzi tak, jakby czytał o nich na kartach książki – książki napisanej przez kogoś innego. Wiele lat temu powiedziano mu, że wszystkie talenty, nawet najpotężniejsi zdrowcy, muszą się zestarzeć i umrzeć. Czekał na to. Ale się nie zestarzał.

Zamiast tego – snuł spokojną, obojętną refleksję – powoli psuł się od środka jak stary owoc, czerniał i umierał od rozprzestrzeniającej się zgnilizny, aż wszelki związek między jego prawdziwą naturą a zewnętrznym pozorem zatarł się całkowicie. Kto żyje dostatecznie długo, przestaje być człowiekiem, przestaje rozumieć wszystko, co wypełnia ludzkie serce – a to dlatego, że serce jest zbudowane z czasu, pożerane przezeń i przez świadomość swojej ostatecznej śmierci, a Berghast nie mógł umrzeć.

Tyle że teraz... już mógł.

„Na tym właśnie polega okrucieństwo tej całej sytuacji”, pomyślał, schodząc po schodach.

Przecież to on był wielkim talentem, jednym z tych, których istnienie powinno trwać. To on, nikt inny, widział i poznał prawdziwą moc. Podobną do swojej potęgę rozpoznał tylko raz: w starożytniej istocie znanej pod nazwą drughra, pięknej, przerażającej, upojnej. Miała w sobie coś absolutnego, bezgranicznego, jakąś głęboką, nieludzką czystość. Berghast zobaczył ją, znienawidził i zarazem jej zapragnął. Wiedział, że drughr tak jak Jacob tropi chłopca. Wiedział też o prorocztwie, jakie dawno temu wygłosił glifin z jaskini w Bułgarii: w drugim świecie, w krainie umarłych, urodzi się dziecko, żywe dziecko, które będzie mogło przeciąć materię światów i odnowić talenty na własny obraz i podobieństwo.

Mroczny talent.

Berghast polował na to dziecko od lat, umniejszając po drodze własny talent. A teraz, dzięki Jacobowi, chłopiec został odnaleziony.

Udało się go odszukać i zadbać o jego bezpieczeństwo, ale Berghast był za słaby, żeby cokolwiek z nim zrobić, posłużyć się nim tak, jak tego potrzebował i pragnął. Gorzka to była świadomość. Stopniowo utracił własny talent, już się nie uzdrawiał i teraz pozostał mu tylko długi, powolny ból umierania.

Na tę myśl odczuwał gniew przekraczający wszelkie wyobrażenie.

Tunel

Jacob Marber znalazł wejście do jaskini na niskim skalnym wzniesieniu z widokiem na dolinę, na wpół ukryte w sękatych, wilgotnych zaroślach. Otwór był wąski, a skała śliska i zimna, w środku jednak ściany rozstępowały się, sklepienie wznosiło i otwierał się tunel.

Wcześniej zostawił przy wejściu świecę na spodeczku. Teraz zdjął rękawiczki, złożył je dwa razy i wsunął do kieszeni surduta. Potem roztarł pył pomiędzy palcami, niebieskim płomykiem zapalił świecę i ruszył w dół, w głąb jaskini, szurając stopami i ślizgając się na kamieniach. Zbliżał się do ściany naprzeciw wejścia, gdzie w ziemi otwierała się ciemniejsza rozpadlina.

Przypomniawszy sobie dwójkę dzieci nad rzeką i odgłosy wydawane przez żerującego drughra. Zadygotał.

„Nic nie mogłeś zrobić”, upomniał się w duchu.

I przyspieszył kroku.

Pod całym Cairndale i okolicą ciągnęły się podziemne korytarze. Mało kto o nich wiedział. Nikt nie opracował ich mapy. Pradawne tunele uformowane przez wodę z roztopionego śniegu z ostatnich lodowców, z czasów, gdy ogromne ciśnienie lodu wyręło szkockie jeziora i nadało tutejszej ziemi jej obecny kształt.

Szedł w milczeniu, ślizgając się na mokrej skale. Kamienie lśniły w chybottliwym świetle. Powietrze było zimne, kwaśne, nieprzyjemne. Patrzył uważnie, dokąd idzie. Miał pewne pojęcie, którędy się kierować – tu w lewo, kawałek dalej w prawo – ale nie był pewien drogi i bał się, że zabłądzi.

Ciemność wąskich tuneli miała coś takiego, że po raz pierwszy od lat pomyślał o szczęśliwych pierwszych latach w Wiedniu, kiedy z Bertoltem pracowali jako

kominiarczyki. Czuli się wolni. Skończyli z sierocińcem. Grupa uliczników, do której się przyłączyli, działała szybko, skutecznie i dobrze jadła.

Była wtedy jesień, jeszcze nie nastąpiły przenikliwe chłody. Zmęczeni sypiali wszyscy razem w nieużywanej piwnicy wśród starych beczek. Nie potrzebowali koca ani ognia. Dzieci, do których dołączyli, co noc układały się do snu wokół nich, a każdego ranka szef spotykał się z nimi w zaułku, rozdawał szczotki, szufle i adresy domów, w których mieli tego dnia pracować.

Mieli po dziewięć lat. Wtedy po raz pierwszy Jacob zauważył, jak piękne jest miasto, tramwaje, wystrojone damy, zapachy z wózków z przysmakami w parkach. Bertolt pokazywał mu to wszystko, jakby jakimś cudem znał Wiedeń, jakby znał cały świat w sposób niedostępny Jacobowi. Rzecz jasna, to Bertolt był tym śmiałym, tym sprytnym, tym, który popychał sprawy naprzód.

– Jesteś wyjątkowy, Jake – mawiał – dlatego potrzebujesz kogoś, kto będzie nad tobą czuwał. Właśnie tak. Ja nie potrafię tego co ty. Nie jestem wyjątkowy.

Wciąż to powtarzał, szeptał to nocą z twarzą przyłożoną do poduszki w sierocińcu, kiedy zakonnice patrolowały korytarze w ponurej ciemności. Dzięki niemu Jacob czuł, że warto żyć i nie wolno się poddawać, bez względu na to, jak jest ciężko. Wiedział też, że jego brat nie ma racji: to on, Bertolt, był wyjątkowy, miał w sobie dobroć i spryt, jakich nie posiadał nikt inny, a już na pewno nie Jacob. Od najwcześniejszych lat Jacob podziwiał go, chciał się do niego upodobnić i kochał go bardziej niż samo życie.

Za nim w tunelu rozległ się jakiś dźwięk. Przystanął i nadstawił ucha. Woda kapnęła na kamień. Nie był jedyną istotą, która w ciemności zdążyła do celu.

Dźwięk się nie powtórzył. Ciemność gęstniała wprost niewiarygodnie już w odległości kilkudziesięciu centymetrów. Stał w brudnej aureoli blasku świecy, patrząc to przed siebie, to wstecz. Czuł się mały i samotny.

Może Henry Berghast się go spodziewał?

Czym prędzej odepchnął od siebie tę nagłą myśl. To niemożliwe. Zresztą teraz już nie było odwrotu.

Ruszył dalej. Krew dudniła mu w uszach. Ciemność rozstępowała się, żeby go przepuścić, a kiedy przechodził, ta sama ciemność zamykała się za nim. Ciemność absolutna.

Po wyjściu doktora Berghasta Susan Crowley wstała, narzuciła szal, zapaliła świecę i podeszła do drzwi. Nasłuchiwała przez chwilę. Odszedł.

A więc chciał odesłać dziecko.

Niewłaściwość tej decyzji zdumiała ją i rozgniewała. Nie przywykła do odczuwania gniewu, takie emocje nie przychodziły jej łatwo. Przez całe życie mówiono jej, co ma robić, dokąd ma pójść i jak ma się tam dostać. Niewiele wiedziała o prawie do bycia rozgniewaną, ale pomysł doktora nappełnił ją gwałtownym, zaskakującym żarem. Co ten cały Berghast wiedział o dzieciach, ich potrzebach i bezpieczeństwie? Nawet nie chciał wziąć chłopca na rękę.

Zamrugła gwałtownie, próbując zebrać myśli.

Owszem, zdarzało jej się wyobrazić sobie, jak nocą wymyka się z dzieckiem z Cairndale i ucieka od doktora Berghasta. Myślała wówczas, że chłopiec będzie starszy, mniej delikatny, odporniejszy. Poza tym wiedziała, że to tylko fantazje.

Szybkim krokiem podeszła do kołyski i sprawdziła, czy maluch śpi bezpiecznie, a potem wyszła na korytarz. Szukała panny Davenshaw. Nie bardzo wiedziała, co jej wyzna, ale była pewna, że niewidoma kobieta będzie miała coś mądrego do powiedzenia. Susan pojmowała, że żywi ona obawy odnośnie do doktora Berghasta i sposobu, w jaki kieruje Instytutem – oczywiście niczego takiego nie powiedziała na głos, była na to zdecydowanie zbyt dyskretna, ale uwidaczniało się to w jej milczeniu i pełnych dezaprobaty grymasach.

Nie zastała jednak panny Davenshaw w jej pokojach. Minęła dwie dziewczynki – talenty, których nie znała z imienia – idące pośpiesznie korytarzem. Były ubrane w koszule nocne, a sądząc po ich minach, musiały właśnie coś przeskrobać. Uśmiechnęła się do nich słabo. Zarumieniły się i przyspieszyły kroku.

Znała to uczucie, ten lęk, że zostanie przyłapana – na czymkolwiek. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że jest zaledwie kilka lat starsza od nich.

Na podeście schodów dostrzegła damę w czerni z twarzą zasłoniętą woalką. To była ta ponura kobieta z Londynu. Susan skinęła jej uprzejmie głową i pośpiesznie przeszła obok. Ta kobieta ją przerażała. Była powiernicą doktora Berghasta, wykonywała jego rozkazy w stolicy i nie należało jej ufać.

Znalazła pannę Davenshaw w holu: siedziała na długiej sofie przed ogniem, z rękami złożonymi na kolanach. Można by uznać, że czeka na Susan, tak spokojna i cierpliwa się zdawała.

– Co się stało, panno Crowley? – zapytała, zanim Susan zdążyła się odezwać choć słowem.

Susan odchrząknęła. Nie wiedziała, od czego zacząć.

– Przekonałam się – powiedziała starsza kobieta – że najłatwiejszy sposób, żeby zacząć zdanie, to otworzyć usta i mówić.

– Tak, panno Davenshaw. Przepraszam. Po prostu... Przed chwilą złożył mi wizytę doktor Berghast. Powiedział, że zamierza odesłać małego.

Niewidoma odwróciła się w jej stronę.

– Odesłać?

– Tak. Nie powiedział dokąd.

– Chce, żebyś towarzyszyła dziecku?

– Tak.

– Tyle dobrego. Kiedy macie wyjechać?

Susan pokręciła głową. Nie to chciała powiedzieć, wyszło to nie tak jak zamierzała.

– Ja wcale nie chcę wyjeżdżać, panno Davenshaw. W tym rzecz. I nie uważam, żeby należało chłopca dokądkolwiek odsyłać. Jest na to za mały.

Panna Davenshaw opuściła podbródek.

– Mimo to dzieci podróżują, panno Crowley. – Wygładziła sukienkę. – Wyjaśnił to pani, podał jakieś powody? Nie?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, panna Davenshaw zniżyła głos tak, że Susan musiała się pochylić, by ją usłyszeć.

– Osobiście uważam, panno Crowley – powiedziała ponuro – że dziecku wszędzie będzie lepiej niż w Cairndale. Mam nadzieję, że rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć.

Powietrze pod ziemią zgęstniało. Jacob dostrzegł blask lampy, rozbłysk światła na ścianach tunelu i suficie o wiele wcześniej niż człowieka. Zgasił świeczkę.

– Witaj, Walterze – powiedział cicho.

Tamten zatrzymał się gwałtownie i rozejrzał przerażony. Był niski, drobnej budowy, o chorobliwie bladych policzkach, jakby coś już wysączało z nich życie. Jacob wiedział, że Walter umiera na suchoty. Włosy przerzedziły mu się na czubku

głowy, chociaż nie miał jeszcze trzydziestu lat. Wokół łysiny nosił je długie, chcąc być może skompensować ten ubytek, chociaż najpewniej nie przejmował się swoim wyglądem. Wielkie nerwowe oczy. Drżąca grdyka. Wierzył, że Jacob jest jego przyjacielem i Jacob o tym wiedział. To było żałosne.

– Jacob? – szepnął. – To ty?

Jacob wyszedł z cienia i rozproszył pył, by Walter zobaczył go wyraźnie. Walter spoglądał na niego z podziwem i strachem jednocześnie.

– Przyszedłem, jak kazałeś – powiedział. – Naprawdę. Sam nie wiem, jak długo tu jestem. Ale przyniosłem lampę, jak poleciłeś. Zabierzesz mnie tym razem ze sobą? Obiecałeś...

– Nie mamy wiele czasu – uciał Jacob.

Walter energicznie skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca.

– Tak, tak, oczywiście, masz rację – wymamrotał. – Musimy się śpieszyć. Tak. – Zaraz jednak rzucił Jacobowi chytre, niespokojne spojrzenie z ukosa. – Ale zrobisz to, prawda? Zabierzesz mnie? Po prostu...

– Tak, Walterze.

Walter przełknął ślinę.

– Dziś? Zabierzesz mnie dziś wieczorem? Mam wziąć jakieś rzeczy, może spakować torbę...

Jacob obrzucił spojrzeniem Waltera, który drżał z zimna, ze strachu, a może z innego powodu. Nic nie powiedział. Czuł, jak narasta w nim irytacja.

– Po prostu moje płuca są w nie najlepszym stanie – tłumaczył Walter. – A powiedziałaś... znaczy nie wiem, czy pamiętasz to dobrze... ale powiedziałaś, że... że mi pomożesz? Że jest sposób...

Zirytowany Jacob zerknął znacząco za jego plecy, w głąb tunelu.

– Po prostu jesteś... no wiesz... moim przyjacielem... nie... znaczy... powiedziałaś, że...

– Walterze – rzucił chłodno Jacob – jestem twoim przyjacielem. Jedynym prawdziwym przyjacielem. Przyszedłem także po ciebie. A teraz musisz ruszyć przodem i upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu. Nie mogą mnie zobaczyć. Zrobisz to dla mnie? Kiedy będę miał to, po co przyszedłem, odejdziemy razem.

Drobny człowieczek kiwał głową i kiwał.

– Racja, tak, niemowlę. Prawda?

– Tak.

Walter przelknął ślinę.

– Tak, tak, masz rację. Przepraszam. Tak. Pójdę przodem.

I niczym szczur czmychnął w głąb tunelu, z lampą kołyszącą się niebezpiecznie w wyciągniętej ręce. Jacob ruszył za nim.

Chłopiec był w pobliżu. Jacob to czuł.

Ciemność w tunelu poszarzała. Przed nimi znajdowało się wyjście. Wreszcie Jacob wysliznął się bezszelestnie przez dziurę w ścianie i znalazł w piwnicy Cairndale. Znajomy zapach. Stare skrzypienie podłóg.

Waltera nie było widać. Jacob zmiotł z twarzy pajęczynę i poddał się zalewającej go fali wspomnień. Stojąc w progu, przelknął ślinę i zamknął oczy.

Dom. Wrócił do domu.

Abigail Davenshaw wstała z sofy w holu, gdzie czekała już dobrze ponad godzinę, i z ponurą miną ruszyła do jadalni. „Dość zamartwiania się”, powiedziała sobie. „Dzieci przyjadą. Zawsze przyjeżdżały. Jeśli nie dziś w nocy, to rano”.

W dawno sprzątniętej jadalni panowały cisza i ciemność. Panna Davenshaw nie miała apetytu, ale może imbryczek herbaty ukoji jej nerwy i pozwoli zasnąć. Wcześniej poprosiła, żeby odłożono coś dla dzieci, kiedy przyjadą, teraz jednak nikt nie odpowiedział na jej zawołanie. Przeszła do kuchni w głębi domu. Była pusta.

Kiedy odwracała się, żeby wyjść, wyczuła słaby chłodny powiew z piwnicy. W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś zostawił otwarte drzwi albo wybił szybę w oknie, ale ten zapach był dziwny, wilgotny i kwaśny jak z opróżnionego grobu.

Zeszła do piwnicy. Nie знаła zbyt dobrze tej spiżarni, szła więc ostrożnie, macając po drodze regały i kierując się podmuchem. Doszła do miejsca, w którym jeden z regałów ewidentnie został odsunięty, wyczuła dłonią chłodną krawędź wlotu tunelu i zrozumiała.

Przebywała w Cairndale dostatecznie długo, żeby słyszeć historie o tunelach biegnących pod rezydencją. Wiedziała o podziemnym przejściu z gabinetu doktora Berghasta na wyspę, do orsine. Nie słyszała jednak o żadnym tunelu w tym miejscu.

Wycofała się powoli i po krótkim namyśle wróciła do kuchni. Służąca Mary aż krzyknęła z zaskoczenia, kiedy Abigail wynurzyła się z piwnicy, ale nauczycielka nie miała cierpliwości do takich hysterii.

– Poślij po pana Smythe’a – rzuciła ostro. – I panią Harrogate, jeśli zdołasz ją znaleźć. Każ im wziąć lampy. W piwnicy jest coś, czym trzeba się zająć. Pośpiesz się.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała dziewczyna. Ton głosu panny Davenshaw nie znosił sprzeciwu.

Abigail słuchała, jak kroki dziewczyny się oddalają. Podejrzewała, że jedno z dzieci, jakiś młody talent, musiało zejść do podziemi dla hecy. Wiedziała jednak, że to może być niebezpieczne, a gdyby dzieciak się zgubił...

Nie przyszło jej do głowy – przynajmniej jeszcze nie wtedy – że tunel został otwarty z zupełnie przeciwnego powodu: by umożliwić komuś wejście do Cairndale.

Teraz szybko.

Jacob pośpieszył schodami na górę, przeszedł przez kuchnię, tylnymi korytarzami przedostał się na schody dla służby i wspiął się dwie kolejne kondygnacje w górę, na ostatnie piętro wschodniego skrzydła gmachu. To było dziwne uczucie – wrócić tutaj. Znał te korytarze, te pokoje, znał wnętrze rezydencji, jakby zawsze tu mieszkał i nigdzie nie wyjeżdżał, nawet teraz, mimo tylu różnic: nieznany regał, nowa tapeta, oprawiona akwarela nad sekretarą, której kiedyś tam nie było.

Zdziwił się, jak bardzo go to rozgniewało. Zaskoczyła go także tęsknota, jaką odczuł w tych mrocznych korytarzach. Nikogo nie widział, tylko przez ściany wyczuwał śpiące talenty: młode, śniące o nieprzeżytych życiu, i stare, już prawie martwe, wysuszone i kruche jak papier. Nic dla niego nie znaczyły. Ci ludzie nic nie zrobili, żeby mu pomóc, sprowadzić go z powrotem z tamtego świata, zaoferować azyl, kiedy spostrzegł prawdziwą naturę drughry i zadrżał ze strachu. Gdzieś przed sobą słyszał Waltera, który poruszał się zdumiewająco dyskretnie, zasłoniwszy lampę. Od czasu do czasu tłumiał atak kaszlu. Może nie był aż tak bezużyteczny, jak się wydawało. Jacob natomiast szedł spokojnie, stawiał długie, powolne kroki, jakby cała rezydencja należała do niego.

W rzeczywistości daleko mu było do spokoju. Cały czas wyęztał słuch w oczekiwaniu konkretnych kroków, wiedział bowiem, że gdzieś tutaj krąży Henry Berghast: niespokojny, zawzięty, podejrzliwy.

Znał ludzi takich jak on, znał ich od dawna, już jako chłopiec na ulicach Wiednia. Ludzi, którzy w realizacji swoich zachcianek nie pozwoliliby, żeby cokolwiek stanęło im na drodze – ani litość, ani pogarda, ani ludzka słabość. Jego brat, Bertolt, padł ofiarą takiego człowieka. *Herr Gould*, szef ich ekipy kominiarskiej, miał wielki, okrągły jak bęben brzuch, czerwoną twarz i dłonie jak szufle. Kiedy usłyszał, że Bertolt ugrzęzł w kominie na drugim końcu miasta, przyszedł, obwiązał chłopaka sznurem i po prostu go wyciągnął, nie zważając na jego okrzyki bólu. Jacob starał się go powstrzymać, ale nie był w stanie tego zrobić, był za mały, a w tłumie zebrali się mężczyźni, którzy go przytrzymali, w dodatku padało tego dnia i jego talent nie był dość silny, żeby cokolwiek zmienić. Bertolta wyciągnięto martwego, miał skręcony kark. *Herr Gould* wywiózł go na wózku i wyrzucił w zaułku pośród śmieci, kiedy nikt nie patrzył – to znaczy nikt ważny, bo Jacob i pozostałe kominiarczyki były tam i widziały. Jacob przesiedział całe godziny w brudach i śmieciach przy zwłokach brata, aż zapadła noc, a kiedy wreszcie wstał, nie był już tym samym chłopcem co wcześniej.

Tak o tym teraz myślał, tak to zapamiętał. Nie potrafił powiedzieć, czy to była prawda, czy nie, ale uważał, że to śmierć brata go zmieniła i – z czasem – otworzyła na wpływ drughry.

Położył Bertolta na plecach, skrzyżował jego drobne dłonie na piersi, otarł mu sadzę i brud z twarzy i szyi, a potem wstał i poszedł poszukać *Herr Goulda*. Miał dziesięć lat. Furia go zaślepiła. Odsyłano go z kwitkiem z barów i burdeli, aż wreszcie znalazł *Herr Goulda* w jaskini hazardu przy uliczce odchodzącej od Unterstrass. Wykidajło wziął go za posłańca i wpuścił do środka. Jacob stał w ciemnościach z zaciśniętymi pięściami i – głuchy na otaczający go zgiełk – patrzył, jak *Herr Gould* śmieje się i pije przy grze w karty. Cokolwiek w nim siedziało, jakiegokolwiek zło czy gniew, zagotowało się wtedy, buchnęło z wielką mocą i jego władza nad kurzem po prostu eksplodowała. Poczul, jak pył napływa do niego i wiruje wokół jego pięści. Od bólu i zimna przeszywających dłonie zakręciło mu się w głowie. Podniósł ręce. Policzki miał mokre.

Pył wystrzelił z jego rozczapierzonych palców i uplecionym z ciemności sznurem okręcił się wokół postawnego mężczyzny, wokół jego piersi i gardła.

I zaczął się zaciskać.

Lampy zamigotały. Klienci potykali się o własne nogi, przewracali stoły, próbowali uciekać, zejść mu z drogi. prostytutki krzyczały ze strachu. Twarz *Herr Goulda* poczerwieniała, potem posiniała, oczy prawie wyszły mu z orbit, a moc pyłu uniosła go nad podłogę i jego wielkie, sękaty dłonie drapały w przerażeniu powietrze.

Puszczony w końcu przez *Jacoba*, zwałił się bezwładnie na ziemię. *Jacob* odwrócił się i wyszedł w miasto, naprawdę sam, pusty jak nigdy przedtem.

Jakimś sposobem *Berghast* o tym usłyszał i przybył do Wiednia, żeby go znaleźć. Początkowo *Jacob* myślał, że zjawił się, by go uratować, ale teraz rozumiał, że to była nieprawda. *Berghast* chciał go wykorzystać, tak jak wykorzystywał innych. Mały *Jacob Marber*, pyłowladca i zabójca, miał zostać jego bronią.

Walter czekał na niego w ciemnej niszy pod kinkietem. Obliznął się i wskazał drzwi do pokoju niańki.

– To coś jest tam, *Jacobie* – szepnął. – Ale jest z nim opiekunka. Zawsze przy nim jest. Nigdy nie zostawia go samego.

– To jest niemowlę, *Walterze* – odpowiedział z naciskiem. – Chłopiec. Nie żadne „coś”. A dlaczego opiekunka miałaby zostawiać go samego?

Walter skinął głową w służalczym geście.

– Tak, tak, oczywiście, dlaczego miałaby go zostawiać, hm?

Mimo to *Jacob* był podenerwowany. *Berghast* umieścił dziecko w jego dawnym pokoju. Półgłosem wydał *Walterowi* polecenia, wyjaśnił, jak ma odwrócić uwagę opiekunki, a potem patrzył, jak *Walter* puka cicho do drzwi, chowa ręce do kieszeni, zaraz znów je wyjmując i przygląda przetłuszczonym włosom.

Bezszelestnie przesunął się naprzód.

Niania, która otworzyła drzwi, okazała się młodą dziewczyną, grubokościstą i czarnowłosą. Patrzyła na *Waltera* z uprzejmą nieufnością, gdy dopytywał się o jej samopoczucie, wskazywał na coś w głębi pokoju, coś, co wymagało naprawy, aż w końcu – mimo jej protestów – bez ceregieli wszedł do środka.

Odwróciła się poirytowana.

– Za przeproszeniem, panie *Laster*, ale co pan sobie wyobraża, nie proszę tu pana, a dziecko śpi...

Jacob owinał się chmurą drobnego pyłu niczym woalem ciemności i cichaczem wśliznął się za próg, a potem przemknął w mroku zalegającym pod ścianami swojego dawnego pokoju. Opiekunka zapaliła tylko dwie świece, więc z łatwością mógł pozostać w cieniu.

Walter rzucił nerwowo jakiś żart na temat zegara na kominku i zaśmiał się dziwnie.

Jacob wsunął się za zasłonę, poruszając ją przy tym leciutko. Skradał się do kołyski jak senny koszmar. Wstrzymał oddech. Zobaczył plątaninę kocyków.

A pośród nich bezbronne dziecko.

Początek

Ogień trzaskał w kominku. Henry Berghast odchylił się od biurka niespokojny, niezadowolony, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek pracy. Zakręcił kałamarz, zabębnił palcami po zamkniętym dzienniku, a potem nałożył kapelusz, wziął lampę i zszedł do podziemnego przejścia prowadzącego do orsine. Jeśli drughr miał przybyć, to właśnie tamtędy.

Szedł szybko. Nie poinformował Bailey'a, że wychodzi. Nieważne.

Prawdę mówiąc, to nie drughr najbardziej go niepokoił. Wcale nie. Nie widział żadnego powodu, by uwierzyć, że drughr zdoła sięgnąć za ustawioną przez glifina barierę. Martwiła go ta niania, Crowley. Nie spodobała mu się jej reakcja, kiedy powiedział, że dziecko trzeba odesłać z Instytutu, bo tak będzie dla niego lepiej. Czy okaże się przeszkodą? Nie miał pewności.

Był za to pewny zagrożenia, bo tylko kwestią czasu było, kiedy Jacob Marber przyjdzie po chłopca, kiedy drughr też się zjawi. O tak, to Berghast wiedział z całą pewnością, glifin dał mu to jasno do zrozumienia kilka dni temu. Nie chodziło oczywiście o dobro chłopca, ale o wszystko, co reprezentował – potencjalną moc, ewentualność odkupienia: właśnie to przyciągało zarówno drughra, jak i Henry'ego Berghasta niczym szczupaka, którego wabi zapach krwi w wodzie. To była stara, niekończąca się gra strategiczna, w której mierzył się z drughrem. Chłopiec mógł się okazać kluczowy dla jej wyniku.

Niósł lampę w uniesionej ręce. Wszedł po schodach na końcu tunelu, pokonując po dwa stopnie naraz. Zatrzymał się, gdy owionęło go nocne powietrze. Wokół niego w ciemności wznosiły się zszarzałe kamienie i potrzaskane mury starego

klasztoru. Spojrzał ponad jeziorem na Cairndale, rozświetlone na tle nieba jak stojący na kotwicy statek.

Coś tu było nie tak.

Zmarszczył brwi i odsunął od siebie zbędną troskę. Można się przygotować, można czekać na to, co nieuchronne, ale samo martwienie się niczemu nie służy.

Pochylił głowę i przyświecając sobie lampą, ruszył przez ruiny klasztoru do podziemnego zbiornika. Zanim jeszcze zszedł do końca krętymi kamiennymi schodami, wiedział, że coś jest nie w porządku. Komora, zwykle rozświetlona słabym błękitem – odbiciem poświaty orsine – była wściekle jasna. Orsine świeciło pełnym blaskiem.

Osłonił oczy dłonią, przymrużył powieki. Nie wiedział, co o tym myśleć. Nigdy wcześniej nie było tu tak jasno.

Przez jedną niewiarygodnie długą chwilę stał nieruchomo i tylko myślał. Jeśli orsine płonęło, to znaczyło, że się otworzyło. A skoro tak, to znaczyło, że moc glifina...

Nagle ogarnęła go zgroza. Zrozumiał. Odwrócił się na pięcie i puścił biegiem. Wskoczył do tunelu, pokonał schody, sadząc susy po trzy stopnie naraz, długim krokiem przemierzył tunel pod jeziorem, nie bacząc na niebezpieczne kołysanie trzymanej w ręce lampy. Kiedy znalazł się w powrotem w gabinecie, nie zatrzymując się, wypadł do poczekalni, gdzie minął oszołomionego pana Baileya. Tam również nie zwolnił, chociaż kapelusz spadł mu z głowy, a kilkoro starszych talentów i młodszych dzieci przystanęło na korytarzu, żeby odprowadzić go zaniepokojonym wzrokiem. Nie zatrzymał się, nawet nie zwolnił, dopóki nie dopadł pokojów panny Crowley i sypialni chłopca.

We wschodnim skrzydle panowały spokój i cisza. Berghast spróbował wyrównać oddech, poprawił kamizelkę i przeczesał włosy palcami, a potem zapukał zdecydowanie.

Usłyszał poirytowany głos panny Crowley, zanim otworzyła drzwi:

– Panie Laster, naprawdę musi pan... – Umilkła w pół zdania, wpatrując się ze zdumieniem w Berghasta. – Och, proszę o wybaczenie, myślałam, że to pan...

– Laster. Rozumiem.

Przepchnął się obok niej i wszedł do środka. Jakaś część jego umysłu zaiskrzyła na te słowa: dlaczego stróż miałby zawracać głowę opiekunce? Ale nagła

refleksja szybko zgasła.

– Gdzie dziecko, panno Crowley? – zapytał półgłosem. – Nie było żadnego... zamieszania?

– Zamieszania, proszę pana?

– Przebywała tu pani przez cały czas?

– Tak, proszę pana.

Rozejrzał się. W pokoju było cicho, ciepło, tak samo jak wtedy, gdy niedawno stąd wychodził. Zwrócił się powoli w stronę zasłony, za którą powinna stać kołyska. Próbował zmusić serce, by się uspokoiło. Czyżby się pomylił?

– Maluszek śpi, proszę pana. Nawet nie pisnął. – Panna Crowley położyła rękę na gardle i zmarszczyła nos. – Ale co się właściwie stało, panie doktorze? Co pana sprowadza?

Nie odpowiedział. Zdjęty narastającą zgrozą podszedł do zasłony, powoli odciągnął ją na bok i zajrzał do kołyski.

Była pusta.

Biegący korytarzami Jacob przyciskał zawiniątko do piersi. Ciepły ciężar. Drobniutki. Trochę się bał, że udusi dziecko, co rusz zwalniał i palcem unosił wychylającą się ze zwojów kocyka buzię niemowlęcia, a potem podnosił wzrok, rozglądał się i biegł dalej.

Zostawił Waltera. Po prostu porwał dziecko na rękę, odwrócił się i wymknął z pokoju niani pod osłoną pyłu. Ledwie ważył się spojrzeć na dziecko. Zdumiewał się jego słodyczą i tym, że znowu trzyma je na rękach, ale kiedy już znalazł się na korytarzu, porzucił osłonę i popędził ile sił w nogach.

Było późno. Musiał wracać do piwnicy, do tunelu. Oczywiście bał się, że ktoś go zobaczy, ale jeszcze bardziej lękał się, że moc drughry zawiedzie, bariera glifina odzyska zwykłą moc, a on zostanie uwięziony w murach Cairndale.

Zwolnił w korytarzu dla służby. Przed nim z kuchni dobiegały jakieś głosy. Zatrzymał się przy drzwiach, przyczał w cieniu i nadstawił ucha. Spodziewał się, że rozmawiają kucharki albo służący, ale się mylił: dwóch mężczyzn rozmawiało o zaginionym dziecku i tunelu w piwnicy. Usłyszał także trzeci głos, który zawołał gdzieś z dołu i zaraz się oddalił. Znaleźli tunel.

Zaniepokojony wtopił się w mrok.

Długi korytarz wyłożony kamiennymi płytami. Stara szara farba obłaząca ze ścian. Puste kinkiety. Kilkoro drzwi, wszystkie pozamykane. Schody w głębi.

Jacob próbował wymyślić, jak się wydostać. Narzucił płaszcz na dziecko, żeby stłumić ewentualny płacz, i obrócił się, słysząc jakiś dźwięk. Kroki. Ktoś nadchodził.

Przełknął ślinę i uwolnił ręce gotowy użyć pyłu. Na pewno zdołałby udusić intruza, chyba że ten okazałby się silnym talentem.

Wtedy usłyszał szept:

– Jacobie, tędy! Szybko!

Walter zerkał przez uchylone drzwi jednego z pomieszczeń. Jacob nie wahał się ani chwili: w okamgnieniu przebył dzielącą ich odległość i drzwi już się za nim zamykały. Znaleźli się w ciasnym schowku na szczytce, do którego jedyne światło wpadało przez szparę w drzwiach. Wyraźnie czuł kwaśny odór choroby buchający z ubrań Waltera.

Mężczyzna spojrzał na niego i przytknął palec do ust.

Ktokolwiek przechodził korytarzem, nawet nie zwolnił.

Jacob poczuł delikatne szarpnięcie za rękaw: to Walter ciągnął go w głąb schowka. Przy ścianie nacisnął ukrytą płytkę. Otworzyły się drzwi.

Jacob poszedł za nim, zachwycony i niepomierne zdumiony. Omamił Waltera, bo ten był słaby, bezbronny – łatwy cel. Nie wyobrażał sobie, że okaże się tak genialnie zaradny.

Ukryte przejście prowadziło do saloniku z meblami w białych pokrowcach. Jacob dostrzegł całą ich trójkę – siebie, Waltera i dziecko – w wysokim zmętniałym lustrze stojącym koło okna. Wyglądali jak zjawy.

Wymknęli się bezgłośnie do głównego holu wejściowego rezydencji.

Było w nim ciemno i pusto. Po ogniu płonącym w wielkim kominku zostały ledwie żarzące się węgielki. Jacob szybkim krokiem ruszył do drzwi wejściowych, ale nie pokonał nawet połowy drogi, kiedy idący obok niego Walter przystanął zaniepokojony.

Przed drzwiami ktoś stał: kobieta, chuda, surowa, z opaską na oczach. Jacob zdał sobie sprawę, że jest niewidoma.

– A dokąd to? – spytała.

Walter patrzył na Jacoba, na jego twarzy malowały się strach i konsternacja. Machał dyskretnie rękami, jakby próbował coś powiedzieć Jacobowi, ale tego ogarnęło nagle zniecierpliwienie.

– Z kimś nas pani pomyliła – odparł oschłym tonem.

I wtedy dziecko zaczęło płakać.

Jacob widział, jak w półmroku twarz kobiety zwraca się ku niemu. Wyglądała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z sensu jego słów.

– W rzeczy samej – odpowiedziała, cedząc słowa. – Na to wygląda.

Nic więcej nie powiedziała, ale i tak zabrzmiało to jak: „Wiem, po co tu przyszedłeś, Jacobie Marber. Wiem, czym jesteś”. Jacob nie umiałby tego wyjaśnić – może sprawił to wyraz jej twarzy, a może cisza, jaka zapadła, mącona tylko płaczącym zawodzeniem niemowlęcia – ale miał głębokie przeczucie, że kobieta doskonale wie, co się dzieje. Niewidoma czy nie, wiedziała.

Nagle coś się zmieniło w otaczającej ich ciemności. Zaskoczony spojrzął w dół i stwierdził, że niemowlę w jego ramionach jarzy się słabą błękitną poświatą.

– Panno Davenshaw, proszę pani... – zaczął Walter.

– Pan Laster? – zdziwiła się. – To pan?

Jacob zareagował błyskawicznie. Zaczepnął pyłu i dymu z głębi swojego ciała, ścisnął je mocno w pięści i wystrzelił długim, powolnym łukiem w niewidomą kobietę, jakby strzelał z bicia. Brutalny cios trafił ją w potylicę, przewrócił i pchnął po podłodze. Uderzyła o pierwszy stopień schodów, jej ciało prześliznęło się jeszcze kawałek w bok, w stronę Jacoba i Waltera, po czym znieruchomiało.

Jacob Marber, pochmurny i opływający dymem, przestąpił nad poturbowanym ciałem, kopniakiem otworzył drzwi i wyszedł wraz dzieckiem, które w jego rękach świeciło coraz jaśniej.

Henry Berghast wściekły patrzył w głąb pustej kołyski.

– Doktorze Berghast! – Ostry głos wdarł się w jego myśli. – Szukałam pana!

Odwrócił się. Pani Harrogate stała w otwartych drzwiach i zaglądała do środka z dziwną miną. Spojrzała na pannę Crowley, na niego, znów na opiekunkę.

– Znaleźliśmy coś w piwnicy – poinformowała rzeczowym tonem. – Tunel. Panna Davenshaw obawia się, że jakieś dzieci mogły się tamtędy wymknąć. – Głos

jej się załamał. – Ale co... co tu się stało?

Henry poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Musiał się oprzeć o ścianę, żeby się nie przewrócić. Głupia panna Crowley wyłamywała palce.

– Nikt tamtędy nie wyszedł, pani Harrogate – wyszeptał. – Przeciwnie, ktoś wszedł.

– Słucham?

Podszedł szybkim krokiem do okna, odciągnął zasłony i otworzył okno na oścież. Noc była zimna, rozległa, głęboka.

– To Jacob. A pan Laster mu pomaga. Zabrali dziecko, pani Harrogate. Wykradli chłopca.

Panna Crowley jęknęła słabo i opadła na sofę.

– Mój Boże... – powiedziała pani Harrogate. Sprawiała wrażenie rozgniewanej.

Henry jednak już się zastanawiał.

– On nadal tu jest. Zdążymy. Odkryliście jego drogę ucieczki, więc będzie musiał znaleźć inną. Może przez pola? Nie. Nie, pójdzie nad jezioro i wykorzysta urwisko jako osłonę. Nie wiem jak, ale bariera glifina została osłabiona.

Mówiąc to, odsunął się pośpiesznie od okna i wyszedł z pokoju. Biegąc korytarzem, przystawał przy każdym oknie i wyglądał przez nie na zewnątrz. Wreszcie zobaczył to, czego szukał.

Tak jak się spodziewał, wśród łąk, na niskim zboczu schodzącym nad jezioro dostrzegł migoczącą w ciemności bladą niebieską poświatę. Dziecko. Świecący chłopiec.

– Mam cię – szepnął.

Jacob wiedział, że już go zobaczyli, wiedział, że nie ma czasu. Nie zastanawiał się nad niewidomą kobietą, którą zaatakował w Instytucie, nic dla niego nie znaczyła. Biegł. Poły surduta łopotały za nim na wietrze, zimne powietrze chłostało go po twarzy, buty ślizgały się niemiłosiernie na porośniętym trawą terenie. Gdzieś przed nim znajdowało się ciemne jezioro, a dalej urwisko. Gdyby tylko dotarł do nich, mógłby się wymknąć za okalający Cairndale kamienny mur i znaleźć poza zasięgiem glifina.

Dziecko płakało i nie chciało przestać. Walter rzeźił, zostawał w tyle, słabym głosem nawoływał Jacoba, żeby ten zwolnił. On jednak nie przyhamował, nie mógł. Ręce skwierczały mu od roztaczanego przez niemowlę niebieskiego blasku. Maluch był zawinięty w koc i schowany pod płaszczem, ale światło i tak się spod nich wylewało. Nie dało się go ukryć.

Zarzykował i spojrzął za siebie. W oknach Cairndale paliły się światła.

Nagle coś się stało. Jacob nie od razu to zrozumiał: poczuł coś jakby ciarki, ból skóry, twarzy, czaszki... Aż się potknął. Dziecko było gorące w dotyku, niewiarygodnie rozpalone. Wyjął je spod płaszcza, podniósł i spojrzął w świecąca twarz.

Blask przybrał na sile.

Jacob nie myślał dłużej, działał instynktownie – gdyby się chwilę zastanowił, może postąpiłby inaczej. Uklęknął jednak na błotnistym stoku pod czarnym nocnym niebem i spróbował przywołać pył. Chciał zamknąć chłopczyka w kuli ciemności, myślał, że może w ten sposób zasłoni światło, zdoła je utrzymać wewnątrz kuli.

Ból się wzmógł. Wkrótce skóra zaczęła go piec, wzrok mu się zamglił, potworne cierpienie targnęło całym jego ciałem. Widziane przez obłok pyłu niebieskie światło było coraz jaśniejsze.

Poniewczasie zrozumiał, że tego blasku nie da się stłumić.

Ujrzał oślepiający rozbłysk, wiatr zagrzmiał mu w uszach i Jacob został wyrzucony w powietrze. Koziolkował, wirował jak szmaciana lalka, a potem ziemia wybiegła mu na spotkanie.

Przypalona ziemia wciąż się tliła.

Tylko tyle Margaret Harrogate widziała w upiornej poświacie lampy. Spalona i wzruszona ziemia, przeorana w jakiejś walce. Ona również dostrzegła niebieski rozbłysk z okien Instytutu, dlatego przybiegła w to miejsce.

– Mój Boże, co tu się... – mruknęła. W zimnym powietrzu oddech buchał jej parą z ust.

Doktor Berghast obrócił się w miejscu, przepatrując ciemności.

– Dziecko – szepnął. – To dzieło dziecka. Gdzie ono jest? Gdzie Jacob?

– Niemowlę to zrobiło? – Margaret mocno w to powątpiewała. Kimże jednak była, żeby sprzeciwić się doktorowi? Pokręciła głową. – Pański Jacob wymknął się nam, doktorze Berghast. Dziecko...

– Nie są już razem.

Podniosła lampę, żeby lepiej widzieć. Od strony rezydencji zbliżały się prawie dwa tuziny ludzi, lampy i pochodnie płonęły w ciemności. Patrzyła, jak się rozpraszają i zaczynają poszukiwania.

– Tutaj – powiedział Berghast, szturchając butem błoto. – Widać, gdzie Jacob upadł. I jak uciekał, o, tędy. Jest ranny. Proszę spojrzeć, jak nierówne są odciski butów. Ale tu... – Przeszedł kilka kroków do fragmentu spalonej ziemi. – Tu widać inne ślady. Drobniejsze. KobiECE. Albo dziewczęcE. Jakaś dziewczyna znalazła dziecko i pobiegła z nim w tym kierunku.

Margaret słuchała go z niedowierzaniem.

– Dziewczyna? – mruknęła. – Nie wyobraża pan sobie chyba, że któraś z naszych uczennic zabrała dziecko? Albo że ktoś z uczniów spiskował z Jacobem Marberem? Nie wierzę w to.

Doktor Berghast się skrzywił.

– Oczywiście, że nie, pani Harrogate. Chociaż Jacob miał pośród nas współnika.

– Pan Laster tego pożałuje.

– Pan Laster już nie żyje – warknął Berghast – tylko jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Jego choroba...

– Jest bardzo zaawansowana. Owszem.

Margaret chodziła między dwoma tropami, przyświecając lampą to na jeden, to na drugi.

– Nie zmierzają w tym samym kierunku. Mam na myśli ślady Marbera i te drugie.

– Bo nie są razem. Spodziewam się, że jakaś młoda kobieta wykradła naszego podopiecznego i uciekła z nim. Z pewnością uda się do Edynburga, a stamtąd na południe, w głąb Anglii. Jacob zaś będzie... rozczarowany.

Margaret wyczuła, że kryje się w tych słowach coś więcej, coś, czego nie rozumiała.

Tłum ludzi przeszukiwał tereny Instytutu i przeczesywał zarośla.

– Kto to był? – zapytała. – Kto zabrał dziecko?

Berghast nie odpowiedział. Patrzył na płomienie lamp ożywiające ciemność i ich odbicia w ciemnej tafli jeziora. Na jego twarzy z wolna odmalowała się satysfakcja.

– Kimkolwiek jest, daleko nie ucieknie – powiedział cicho.

Ponad trzy kilometry dalej Susan Crowley potykała się w ciemności, przewracała i wstawiała, tuląc dziecko pod płaszczem, żeby nie zmarzło. Słysząc było tylko jej stęknienia i przestraszone pojękiwanie, gdy biegła.

Cairndale zostało daleko za nią. Gdzieś tam zostali też ten mężczyzna, ten potwór, Jacob Marber, który porwał dziecko, a także zachłanny doktor Berghast o złowieszczych, nieruchomych oczach. Biedny maluszek... Berghast chciał go odesłać, ukryć przed światem. A ona wiedziała, że chłopiec będzie bezpieczny tylko wtedy, kiedy to ona go zabierze i wprowadzi do świata z dala od tej wstrętnej rezydencji, jej talentów i nikczemnych zamiarów. Nieszczęsne stworzenie powinno móc sobie wydeptać własną drogę w życiu, samo zdecydować, kim chce być. A w Cairndale nie było miejsca na takie decyzje.

Zatrzymała się i nasłuchiwała. Serce waliło jej młotem. Nie słyszała żadnych odgłosów pościgu, ale wiedziała, że będą ją ścigać. Wybiegła w panice, ledwie zdążyła narzucić płaszcz na znoszone ubranie. Nie była ubrana stosownie do pogody i nie zabrała żadnego jedzenia. Cóż, trudno, zносиła w życiu rzeczy gorsze niż głód, prawda? Niech i tak będzie. Nie było księżyca, ale może to dobrze, nawet jeśli z tego powodu musiała trzymać się środka rozmięklej drogi, a spódnicę miała brudną i ciężką od błota. Za bardzo martwiła się, że zabłądzi, by się tym przejmować. W mroku zewsząd napierała na nią dzika czerń szkockiego krajobrazu.

Nad ranem jakiś farmer podwiózł ją z dzieckiem na targ w Edynburgu, gdzie dotarła skulona wśród worków z warzywami. Jeśli nie pochwałał tego, że podróżuje sama, to nie skomentował tego ani słowem. Była dostatecznie przewidująca, aby zabrać odrobinę pieniędzy, które trzymała schowane za toaletką. Na dworcu Princes Street kupiła za nie bilet trzeciej klasy na południe, do Anglii. Usiadła z chłopcem na rękach z tyłu wagonu, starając się nie patrzeć

ludziom w oczy. Otaczająca ich bańka smutku sprawiała, że nikt się do nich nie zbliżał.

Długie szare dni, oczy zaczerwienione z braku snu, niemowlę głodne i zmęczone. Susan karmiła maluszka, myła i przewijała najlepiej, jak umiała. Czasem głaskała chłopca po policzku, a on patrzył jej w oczy albo wyciągał rączkę, żeby złapać ją za nos lub szturchnąć w podbródek. Uśmiechała się wtedy smutno. Straciła już jedno dziecko, drugiego nie straci. Były w tym chłopcu niewinność i ciekawość świata.

Nie wiedziała, co robić ani dokąd się udać. Mgliście zdawała sobie sprawę, że doktor Berghast będzie jej szukał w pociągach, pośle za nią ludzi, dlatego w Leicester przesiadła się do pociągu pasażerskiego jadącego do Norwich, z Norwich pojechała na południe do Cambridge, a nieco później, kiedy pieniądze prawie jej się skończyły, zakradła się do pociągu towarowego, który znowu jechał na zachód.

To właśnie w wagonie towarowym, późno w nocy, kiedy z zewnątrz zaczynał deszcz, chłopczyk zaczął świecić silnym, nadzwyczajnym, niebieskim światłem, takim samym, które na jej oczach pochłonęło Jacoba Marbera. Nie wiedziała, co robić, nie potrafiła tego powstrzymać. Martwiła się, że traci mleko, i ten stan utrzymywał się już od kilku dni. Była piekielnie zmęczona. Rozpięła bluzkę, aby nakarmić chłopca, i poczuła, że zaczął ssać. Spróbowała przymknąć oślepienie blaskiem oczy.

Wtedy jednak jej pierś eksplodowała potwornym bólem i skóra zaczęła jej wrzeć. Krzyknęła z bólu, spróbowała odsunąć dziecko, ale było już za późno – upadła do tyłu, na wznak, w słomę. Ból zalewał ją falami, wszystko czerniało.

Jadący pociąg stukotał miarowo.

Świecące na słomie dziecko zaczęło płakać.

Wtedy po drugiej stronie pola, wzdłuż którego jechali, spomiędzy drzew wybiegła dziewczyna o brązowych włosach. Wspięła się na nasyp kolejowy i zdyszana rzuciła się do drzwi wagonu towarowego. Daleko za nią psy wynurzyły się spomiędzy drzew.

Jadący konno mężczyzna w cylindrze wstrzymał konia, stanął w strzemionach, podniósł sztucer do ramienia i wycelował.

W DYM

1882

Człowiek na schodach umarłych

Charlie Ovid szedł po schodach z nożem w dłoni.

Woda, która nie była wodą, otaczała go zewsząd, jego koszula unosiła się w niej, a on wstrzymywał oddech, aż płuca omal mu nie eksplodowały i nie mógł już dłużej wytrzymać. Wtedy gwałtownie nabrał powietrza i... Jakimś cudem oddychał. Widmowa niebieska poświata pełgała po jego skórze, po ścianach. Widział schody, rzeźbioną drewnianą poręcz, drukowaną tapetę. Schody zakręcały, a on schodził coraz niżej.

Marlowe'a nigdzie nie było widać.

Wszędzie jednak rozlegał się dźwięk podobny do grania wody w rurach. Kiedy Charlie miał trzynaście lat i mieszkał nad Sutchee River w Missisipi, w sobotnie wieczory – po tygodniu spędzonym na prażonych słońcem polach – przychodził nad rzekę, by poleżeć na wodzie. Głowa opadała mu wtedy tak nisko, że uszy zanurzały się pod powierzchnię. Przejście przez orsine było właśnie takie, dokładnie takie samo, jakby nagle uszy wypełniło mu ciśnienie rozsadzające czaszkę, a on słyszał w nim dudnienie własnej krwi, przerażająco głośnie, ale zarazem w jakiś dziwny sposób stłumione. Tyle że teraz dźwięk był nie tylko w jego uszach, ale wszędzie wokół niego i w całym jego ciele.

Cisza w nim wibrowała. Cisza tak straszliwa, że wybrzmiewała wysokim, przenikliwym dzwonieniem w uszach.

Woda otaczała go, a potem nagle zniknęła, jakby zamieniła się w powietrze, w cień. Schody prowadziły do ogromnego, słabo oświetlonego holu. Drzwi, obok nich pionowy pas okien, a wszystko to w oprawie z wypolerowanego drewna. Olejowana ławka, konsola, na niej wazon z więdącym ciętym kwiatem. Ściany

pokrywał dziwny zielony śluz, może jakiegoś rodzaju pleśń. Z dywanu pod stopami przy każdym kroku sączyła się woda. Światło było dziwne, poszatkowane, ziarniste, szare. Charlie podniósł głowę – powoli, bardzo powoli, jakby był pod wodą – i zobaczył, że Marlowe obserwuje go z progu. Coś mówił, ale jego słowa były stłumione, zniekształcone i Charlie nie potrafił go zrozumieć.

– Mar-lowe – próbował powiedzieć, ale imię zabrzmiało, jakby dobiegało z oddali.

Hol, w którym się znajdowali, miał w sobie coś znajomego. Marlowe odwrócił się powoli, jak we śnie, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Przeszedł przez powozownię i przemknął przez rdzewiejącą żelazną furtkę zwieszającą się pod dziwnym kątem na jednym zawiasie. Wyszedł na ulicę. Bruk był poprzerastany gęstymi zielonymi chwastami. W koleinach zebrały się ciemne kałuże, woda ściekała z okapów.

Charlie również wyszedł i zdumiony obrócił się w miejscu.

Miasto sprawiało wrażenie opuszczonego, jakby oddano je we władanie naturze. Krzewy i drzewa wyrastały z podmokłej ulicy. Budynki tonęły w snującej się gęstej mgłę. Stare dorożki stały nieużywane w błocie, niektóre porosły mchem. W kałuży obok swojej stopy Charlie zobaczył rozsypane monety i gnijący skórzany but.

– Charlie – powiedział cicho Marlowe.

Charlie odwrócił się zaskoczony. Marlowe dyszał ciężko, jak po biegu. Jego głos brzmiał normalnie, był tylko odrobinę stłumiony. Charlie, dziwnie poruszony, położył mu rękę na ramieniu. Miał wrażenie, że upłynęło całe życie, odkąd słyszał czyjkolwiek głos.

– Co to za miejsce? – mruknął.

Zanim jednak Marlowe się odezwał, Charlie spojrzął na mroczną fasadę budynku, z którego wyszedł, i wstrząśnięty, zdjęty lodowatą zgrozą, zrozumiał: to była Nickel Street West w Londynie. Stali przed domem pani Harrogate, z którego uciekł tamtej nocy, gdy napadł go litch.

– To Londyn – szepnął Marlowe. – Jesteśmy w Londynie.

Rzeczywiście. A jednak zarazem wcale nie był to Londyn, Charlie wiedział to bez cienia wątpliwości. Otaczały ich wysokie, zielone chwasty, kapiąca woda, czarne trujące kałuże, w których woda sięgała mu do kostek. Wszystko spowijał wał gęstej

białej mgły. Przypomniawszy sobie, co Berghast mówił o mgle i o duchach zmarłych, i wciągnął Marlowe'a z powrotem za furtkę. Absolutna cisza, brak ludzi, koni i szcurków nadawały miastu upiorny, nienaturalny charakter. Charlie przełknął ślinę. Spojrzał na kruszące się brązowe cegły, aksamitną zieleń ramy okna na piętrze, żółć i gładką czerń gnijących belek. Miasto nie miało zapachu – to było w nim najdziwniejsze. W powietrzu unosiła się tylko słaba, gryząca woń sadzy, która odkładała się w nozdrzach warstwą brudu.

Mgła się rozwinęła. Charlie wyjął z torby mapę i obrócił ją w poszukiwaniu jakiegoś punktu orientacyjnego.

– Myślę... Wydaje mi się, że musimy iść tędy, Mar – powiedział.

Kiedy podniósł wzrok, uświadomił sobie, że we mgle poruszają się kształty: wąskie, migoczące kolumny powietrza. Nie, nie poruszały się we mgle. One były mgłą.

Marlowe wyszedł cicho za furtkę. Oczy miał szeroko otwarte. On też widział te sylwetki.

– To duchy, Charlie – szepnął. – Spójrz. Są takie ładne.

I były – jak wirujące wstęgi pary z oddechu, ale mające konkretny kształt, cały czas się poruszały, ich zamazane twarze zmieniały się i drżały: twarz dziewczynki w jednej chwili przybrała oblicze starej kobiety, po czym znów stała się buzią dziecka. I Charlie w pewnym sensie to rozumiał. Duchy, jak mówił doktor Berghast, łączyły zapamiętane z zapomnianym. Były twarzami przeżytego życia, urzeczywistnionymi wspomnieniami, zarazem nigdy nie zastygały, nie nieruchomiały, pozbawione teraźniejszości, której mogłyby się chwycić. Były ich setki, może tysiące, wszystkie unosiły się nad ulicą nieruchomo. Miasto umarłych, tak nazwał to miejsce Berghast.

Umarli stali przed budynkiem mieszczącym wejście do orsine – ogromny tłum umarłych. Jakby wyczuwali świat żywych po drugiej stronie. Jakby ich przyciągał.

Charlie zadrżał.

– Widzą nas? – zapytał Marlowe. – Jak myślisz, wiedzą, że tu jesteśmy?

– Nie wiem. Musimy być ostrożni.

– Jest ich okropnie dużo, Charlie.

– Fakt. – Smutek całej sceny był tak obezwładniający, że Charlie musiał odwrócić wzrok. – Jak się czujesz, Mar?

Chłopiec zmarszczył czoło.

– Czuję się... jakbym już tu kiedyś był. Jakbym znał to miejsce.

– Ręce ci się nie trzęsą?

– Nic mi nie jest, Charlie.

– Tak czy inaczej, musimy działać szybko.

Charlie spojrział w głąb ulicy na przepływające w powietrzu wirujące widma. Były przepiękne, ale zarazem budziły jego niepokój. Nie podobało mu się to, jak łatwo byłoby się wśród nich zagubić.

– Chodź – powiedział i ruszył w przeciwnym kierunku, próbując obejść zmarłych ostrożnym łukiem.

Jednakże duchy były dosłownie wszędzie, ściana utkanej z nich mgły wznosiła się jak drżące powietrze nad nagrzanym brukiem i obejście jej nie było łatwe.

Kiedy doszli do końca zarośniętej ulicy, Charlie obejrzał się. Mgła umarłych gęsto otulała orsine. Jakby czekali.

Chłopcy przyspieszyli kroku. Lawirowali między czarnymi kałużami. W płytkiej wodzie leżały jakieś dziwne przedmioty niczym wspomnienia – stary wypłowiec, ferrotyp, dziecięcy but. Charlie bał się, że zabłądzą, ale nie wiedział, co innego mieliby zrobić. Miasto przypominało znajomy im Londyn, ale nie do końca – przecinały go zaułki i dziedzińce, co do których był pewien, że nie istniały w okolicy prawdziwej Nickel Street. Budynki mieniły się i migotały, czasem wyglądały jak nowe, czasem jak ruiny, kiedy indziej zaś znikwały, a na ich miejscu pojawiały się pradawne budowle z drewna. Jakby miasto też było snem z całej swojej przeszłości.

Charlie poprowadził Marlowe'a nad rzekę. Drugi brzeg ginął we mgle. Tam, gdzie powinien wznosić się most Blackfriars, ciągnęło się tylko nabrzeże i śliskie, krzywe drewniane schody prowadzące w dół na moło. Woda wyglądała dziwnie, była czarna i gęsta jak atrament. Zdezorientowany Charlie obracał się w miejscu i patrzył to w dół, to w górę rzeki. Nie było widać żadnego mostu.

Po rzece pływały natomiast małe łódki: sunęły powoli, poruszane przez samotne postaci w pelerynach stojące z żerdziami na rufie. Jeśli na łodziach znajdowali się jacyś pasażerowie, to musieli być duchami, niewidocznymi z takiej odległości. Przewoźnicy w czarnych kapturach zaś sprawiali wrażenie całkowicie materialnych. Wydawali się przy tym zimni i okrutni. Charlie chwycił Marlowe'a

za ramię i pospiesznie odciągnął go od brzegu. Przypomniawszy sobie ostrzeżenie Berghasta: „Są na świecie rzeczy gorsze od Jacoba Marbera”.

Spojrzał na mapę, by zorientować się w swoim położeniu, spojrzał w dal obok katedry z ciemną, omszałą kopułą i z wahaniem poprowadził Marlowe'a na wschód. Ulica była gęsto porośnięta rukwią wodną. Ich stopy pluskały cicho w wodzie. Latarnie gazowe na skrzyżowaniach jarzyły się aureolami słabego blasku. Charliego znów ogarnęło dziwne wrażenie, jakby znalazł się w znajomym miejscu.

Skręcili w zadaszony pasaż. Otarli się o zwisające rośliny, przebrnęli przez zalany dziedziniec, na którym zimna woda sięgała im powyżej kolan, i wyszli na brukowaną ulicę, która wychynęła spod powierzchni. Zatrzymali się, wyżełi ubrania i spróbowali się nieco wysuszyć.

Przez cały czas u wylotu zaułka przepływała mgła umarłych.

– Jak długo szliśmy? – zapytał szeptem Marlowe.

Charlie nie umiał odpowiedzieć. Światło się nie zmieniało, w tym świecie najwyraźniej nie było dnia ani nocy. Otarł butem mech porastający schody przed domem, usiadł i przetaił twarz dłonią. Był zmęczony. W zaułku, gdzie się zatrzymali, stało oparte o ścianę koło z zardzewiałą żelazną obręczą, a obok niego stłuczone okno, w którym kawałki szyby sterczały jak zęby. To był warsztat bednarza: nad drzwiami wisiał szylt, częściowo zatarty przez porosty i brud.

Charlie usiadł, wyjął sygnet od matki, położył na dłoni i zapatrzył się w niego.

I wtedy naszło go złe przeczucie.

Nie rozumiał tego. Poczłł strach. Panikę. Serce biło mu jak szalone. Zacisnął dłoń na pierścieniu, zerknął na Marlowe'a i na jego twarzy zobaczył to samo przerażenie. Spojrzał we mgłę i nasłuchiwał. Obaj wstali i Charlie cicho sprawdził drzwi do warsztatu bednarza. Otworzyły się z łatwością, w ciemnym wnętrzu niczego nie było widać. Weszli z Marlowe'em do środka, woda cicho chlupotała im pod nogami. Zamknęli za sobą drzwi i wstrzymali oddech.

Co to było? Krew huczała Charliemu pod czaszką. Zaciskał rękę na klamce, żeby drzwi się nie otworzyły, i patrzył przez stłuczone okno po prawej stronie. Marlowe stał w płytkiej kałuży, obejmował się za łokcie i cały drżał.

Nagle usłyszeli w zaułku zgrzyt, jak ciągnięty po bruku żelazny łom. Dźwięk się zbliżał. Coś wielkiego i ciemnego przeszło za oknem. Rozległo się ciche

prychnięcie, jakby jakieś zwierzę ryło tuż za drzwiami w miejscu, gdzie przed chwilą siedzieli. Metaliczny szczęk. Plusk. Zgrzyt powoli się oddalił i ucichł, aż została tylko cisza macona powolnym kapaniem wody gdzieś w ciemności.

Marlowe odetchnął głęboko – raz, drugi. Stali bez ruchu i czekali, na wypadek gdyby miało się pojawić coś jeszcze. Nikt nie przyszedł.

W końcu wyszli z warsztatu.

– Co to było, Charlie? – zapytał szeptem Marlowe.

– Nie wiem.

– Powinieneś takie rzeczy zapisywać w notesie, jak polecił doktor Berghast. Myślisz, że to coś nas słyszało?

„Pewnie tak”, pomyślał Charlie, ale spojrzał na Marlowe’a i odparł tylko:

– Nie, nie słyszało nas.

– Nie chcę tu być, kiedy wróci.

Charlie pokiwał głową.

– Pokaż ręce.

Marlowe podciągnął rękawy i obrócił dłonie. Charlie patrzył uważnie. Nie dostrzegł na razie drżenia ani przebarwień. Doktor Berghast mówił wprawdzie, że Marlowe’owi nic nie grozi, ale Charlie nie zamierzał powierzyć dobra chłopca temu samemu człowiekowi, który ich tu posłał. Skrzywił się, wyjął mapę, zerknął na nią i się rozejrzał. Mgła się przybliżyła, dziwne postaci zwijające się w niej jak wstęgi sprawiały wrażenie, jakby ich szukały. Czas ruszać.

U wylotu zaułka tkwiła przybita do ściany tabliczka z napisem FANNIN STREET. Jeszcze raz sięgnął do torby po mapę. Nie widział na niej Fannin Street.

– Chyba tędy – powiedział, chowając mapę z powrotem. – Tak, na pewno. Chodź.

Wokół piętrzyły się ciemne budynki miasta. Nigdzie nie widzieli śladów istoty z zaułka, otaczali ich tylko pozbawieni twarzy zmarli, woda i ziab.

Światło w ogóle się nie zmieniało. Kiedy się zmęczyli, poszli odpocząć i przespać się w mieszkaniu na piętrze kamienicy gdzieś na północ od rzeki. Byli przemarznięci. Zdjęli przemoczone buty i osuszyli ich delikatną skórę najlepiej, jak się dało. Wprawdzie znaleziona w pokoju stara rama łóżka była pozbawiona materaca, ale na ścianach prawie nie było grzyba, a szyba w oknie zachowała się

w całości. Nie mogli rozpalić ognia w kominku, nie mieli nic do jedzenia, leżeli więc tylko i trzęśli się w ciemności. Czas mijał.

– Lepiej go odłóż, Charlie – poradził sennym głosem Marlowe. – Bo go zgubisz.

Charlie otworzył oczy. Znowu obracał w palcach sygnet od matki, przesuwając opuszkami palców po zdobiących go młotach. Zdziwił się. Nie zdawał sobie sprawy, co robi.

Zerknął w bok i stwierdził, że Marlowe mu się przygląda.

– Nie powiedziałem ci o tym... – zaczął z wahaniem. Odwrócił głowę. Wolałby nic więcej nie mówić, ale w końcu zaczął opowiadać, jakby nie potrafił się powstrzymać. – Znalazłem go, Mar. Mojego ojca. W gabinecie Berghasta była jego teczka. Miał na imię Hywel. W młodości mieszkał w Cairndale, tak jak my. I był silny jak pan Coulton. Ribs powiedziała, że w Londynie żyje grupa takich ludzi, wygnańców. Talentów, które straciły moc. Mówiła, że to smutny widok. To właśnie przytrafiło się mojemu ojcu. On też trafił do nich.

– Nie był całkiem sam – powiedział Marlowe spokojnie, przekonująco.

Charlie obrócił się do niego. Drżał cały.

– Pewnie, że był, ale to nie szkodzi. To było dawno temu.

– Nie był sam, Charlie. Miał ciebie.

Nieszczęśliwy Charlie przełknął kulę w gardle. Był potwornie zmęczony.

– Nie wiem, skąd wytrzasnął ten głupi pierścień – dodał. – Dał go mojej mamie, kiedy się pobrali. Był dla niej cenny. Ewidentnie pochodzi z Cairndale. Nie wiem, może dają ci taki, gdy stracisz talent.

– Wątpię, żeby robili cokolwiek miłego dla tych, którzy tracą talent – odparł półgłosem Marlowe.

– Może wygrał go w karty. Albo ukradł.

Marlowe skinął głową. Powieki miał ciężkie.

– Nigdy się nie dowiem, prawda? Nigdy nie będę miał pewności.

Zimny sygnet ciążył Charliemu w dłoni. Chłopak zrobił nagle coś dziwnego: zdjął pierścień z rzemyka i wsunął na palec. Metal zaśnił srebrzyście w ciemności. Charlie nie przypominał sobie, żeby sygnet kiedykolwiek tak dobrze leżał mu na palcu.

– Problem polega na tym – mruknął – że tracimy masę czasu na rozmyślanie o miejscu, z którego pochodzimy, bo wiemy, że każdy skądś pochodzi. Wmawiamy sobie, że gdybyśmy znali tajemnicę swojego pochodzenia, to może rozumielibyśmy powód, dla którego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Wiedzielibyśmy, dlaczego nasze życie układa się tak a nie inaczej. Tylko że w rzeczywistości żaden taki powód nie istnieje. – Obracał pierścionek wokół knykcia. Metal wrzynał mu się w ciało. – Mój ojciec zmarł dawno temu – podjął bez cienia żalu w głosie. – Nie znałem go, nie wiem nawet, jak wyglądał. Umarł, a potem umarła moja mama i zostałem sam. A byłem jeszcze dzieciakiem. Tak już jest. Nic tego nie zmieni i nie ma to żadnego znaczenia.

– Ale masz mnie – odparł sennym głosem Marlowe.

Może to zimno go obudziło.

Nadal miał sygnet na palcu. Usiadł. Marlowe stał pół metra od niego i wpatrywał się w ścianę naprzeciwko. Mgła przeląła się do pokoju i zgęstniała.

Charlie zerwał się z posłania.

– Mar! – szepnął nagłoco.

Wszystkie zmysły miał skrajnie wyczulone. Cofnął się i wpadł na wilgotną ścianę. Rozejrzał się na boki.

Marlowe nawet nie drgnął.

– Też ją widzisz, Charlie? – spytał szeptem.

Charlie nie był pewien, co widzi. Przemarznięty starał się rozeznaczyć jakieś kształty w półmroku, wytrzeszczał oczy, otulony strachem jak kocem.

Marlowe najwyraźniej w ogóle się nie bał. Przepelniał go smutek.

– To Brynt, Charlie – dodał półgłosem. W jego głosie pobrzmiwało niedowierzenie. – Spójrz. To ona.

Charlie przypomniał sobie widzianą w pociągu olbrzymkę o wytatuowanych rękach i szyi, srebrnych włosach zaplecionych w warkocz jak u berserka z dawnych legend, która powaliła litcha, chwyciła go mocno i razem z nim rzuciła się z dachu pędzącego pociągu, żeby ich wszystkich uratować. Przypomniał sobie słowa Marlowe’a z tamtej pierwszej nocy w mieszkaniu pani Harrogate w Londynie: „Brynt jest moją rodziną”.

Spojrzał na chłopca. Zrobiło mu się go żal.

– Powiedziała coś? – zapytał szeptem. – Powiedziała, czego chce?

Pamiętał o przestroгах doktora Berghasta, że umarli nie są tacy jak za życia. Doktor mówił tak, jakby wiedział, na co tu natrafia.

Marlowe sprawiał wrażenie, jakby bał się odetchnąć.

– Myślę... Myślę, że tylko chce mnie zobaczyć.

Teraz Charlie też ją ujrzał: pasmo ciemnej mgły nieustannie się poruszało, wiło i skręcało w ogromną postać z wytatuowanymi na rękach tajemniczymi symbolami i smutną twarzą o oczach jak dwie jasno płonące gwiazdy. Z pewnością nie była już człowiekiem. Jej rysy cały czas się zmieniały, jakby opływała je woda. Patrzenie na nią zaczęło przyprawiać Charliego o zawrót głowy. Ze skupieniem wpatrywała się w Marlowe'a. Nie było w jej spojrzeniu miłości ani czułości. W gardle Charliego narastał ból: czymkolwiek stała się Brynt, nie była tą samą kobietą, którą Marlowe kochał.

Nagle zrobiło mu się zimno, znacznie zimniej niż przed chwilą. Oddech buchał mu z ust chmurą pary w zniszczonym pokoju. Próbował wyciągnąć rękę do Marlowe'a, ale okazało się to dziwnie trudne. Rozejrzał się. Mgła rozsnuła się wokół nich cienkimi smugami i zaczynała gęstnieć. Charlie rozeznawał w niej migoczące twarze, pozbawione światła oczy, usta otwarte jakby w bezgłośnym krzyku. Słyszał cichy syk, niby szept setek głosów, niezrozumiały, ale przepełniony pragnieniem. Chciał krzyknąć, ale nie mógł. W pokoju ciemniało, a jemu było zimno, coraz zimniej...

– Charlie! – wołał Marlowe jakby z ogromnej odległości. – Charlie! Charlie!

I wtedy we mgle zapłonęło niebieskie światło, zaczęło ją wypalać, jej pasma rozplływały się, rozwiewały, ustępowały przed blaskiem. Charlie zobaczył Marlowe'a, który wyciągnął przed siebie ręce i pomagał mu wstać.

Chwiejnie ruszyli do drzwi, zeszli po schodach i wyszli na ulicę, byle dalej od tego miejsca.

Charlie nie pamiętał dobrze, co wydarzyło się później, zostały mu tylko przeblyski: dziedziniec wśród ruin, pasaż pod ceglanyimi łukami, na wpół zalana ulica. Cały czas widział twarze umarłych i ich tęskne oczy.

W końcu na schodach jakiejś kamienicy przy krętej uliczce wrócił do siebie. Słyszał, jak Marlowe krząta się po wilgotnym pomieszczeniu za jego plecami.

Wydawało się, że czegoś szuka. Osobliwe światło, w którym płał się ten drugi świat, w dalszym ciągu się nie zmieniło.

Usiadł, dręczony czystym, zimnym głodem. Bolała go głowa. Patrzył na płynącą ulicą mgłę umarłych i zastanawiał się, co by się stało, gdyby w nią wszedł i się w niej zagubił. Czy jego ciało pozostałoby w tym świecie niezmienione? Czy wynurzyłby się z mgły jako przezroczysta postać, blednące wspomnienie? Zastanawiał się, czy istnienie tego świata oznacza, że Bóg i wszystko, co mówiono mu o niebie i prawdziwym porządku, było nieprawdą, czy tylko skrywało się za jakąś inną, grubszą zasłoną?

Wydał policzki i wytarł ręce o spodnie, jakby chciał sam siebie zapewnić, że wciąż żyje. I wtedy spojrzął na swoją prawą dłoń.

Drżała. Pomny ostrzeżenia Berghasta wcisnął ją pod pachę i z troską zmarszczył czoło. Wiedział, co to oznacza: Marlowe będzie musiał iść dalej sam.

Po pewnym czasie znów usłyszał go za plecami. Na jego policzkach zostały ślady wyschniętych łez, ciemnoniebieskie oczy miał wyraźnie zaczerwienione.

– Charlie, nic ci nie jest?!

– Nie, nic. A tobie?

Marlowe zmarszczył brwi i zrobił dzielną minę.

– Brynt zniknęła.

– Aha.

– Ale mnie rozpoznała. Wiedziała, kim jestem. Widziałem to po niej.

Patrząc na niego, Charlie poruszył się niespokojnie. Nie spodobała mu się nadzieja malująca się na twarzy Marlowe'a.

Włożył drżącą dłoń do kieszeni i wstał.

– Jasne – powiedział. – No dobra, musimy, zdaje się, znaleźć jakiś pokój. – I zaczął iść, nie zważając na zmęczenie i obolałe nogi.

Marlowe nie ruszył za nim. Przygryzł wargę i zrobił udęconą minę. Wyglądał jakoś inaczej. Coś się w nim zmieniło.

Charlie jeszcze raz spojrzął w kierunku, w którym szedł, po czym przystanął i powlókł się z powrotem.

– Mar?

Marlowe niepewnie obejrzał się przez ramię.

– To w tę stronę, Charlie. Musimy iść tam. Ja... to czuję.

Charlie spojrział we wskazanym kierunku i przez chwilę wydawało mu się, że widzi we mgle wielkiego, przezroczystego ducha Brynt z błyszczącymi oczami. Zjawa – czymkolwiek była – jednak zniknęła, pozostawiając dziwną, ruchomą zasłonę mgły.

– Jesteś pewien?

Marlowe pokręcił głową.

– Nie.

Mimo to Charlie poszedł za nim krętą ulicą i zaułkiem, w którym woda kapiała im na głowy. Starali się trzymać najpłytszych kałuż, przemykali pod ociekającymi wilgocią chwastami i mchami zwieszającymi się z nadproży i łuków. Charlie nie wiedział, gdzie się znajdują.

To było martwe miasto, Londyn znieruchomiały i żałobny, którego ulice tworzyły labirynt pełen pozostałości dawno minionych żywotów.

Marlowe zszedł po krzywych schodkach, śliskich od mchu tak czarnego, że w tutejszym dziwnym świetle zdawał się niemal granatowy, i zatrzymał się pod czymś w rodzaju akweduktu. Wskazał coś wyciągniętą ręką.

Z błota pośrodku fontanny wyrastało białe bezlistne drzewo. W miejscach, gdzie kora schodziła cieniutkimi jak papier pasami, pojawiała się nowa, czerwona jak krew. W cieniu drzewa kryła się staroświecka, drewniana pompa ręczna. Na drugim końcu placu stał złowieszczy dom – wysoki, wąski, zwieńczony krzywymi balkonami zawieszonymi nad pustką. Nie miał drzwi, w jednej jego ścianie ziała wyrwa.

– Oczywiście – mruknął Charlie i zde gustowany przeczesał włosy ręką. – Mamy tam wejść, tak? Jakżeby inaczej.

Marlowe popatrzył na niego dziwnie.

– Twoja ręka – powiedział. – Widzisz to? Drży.

Ale Charlie tylko schował dłoń do kieszeni.

– Nie przejmuj się tym, nic mi nie jest.

– To boli?

Charlie nie odpowiedział. Duchy gromadziły się po lewej stronie placu, ich tłum wyraźnie gęstniał. Charlie spojrział przed siebie, sprawdzając, czy droga na pewno

jest wolna, po czym szybkim krokiem przemierzył plac. Marlowe prawie biegł, żeby dotrzymać mu kroku, aż wreszcie na schodach domu złapał go za rękaw i pociągnął.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – odezwał się do niego Charlie – i się nie mylisz, ale przyszliśmy tu tylko po to, żeby zdobyć tę rękawicę dla Berghasta. Niewiele nam brakuje. Chcesz tu wrócić i przechodzić przez to wszystko jeszcze raz?

Marlowe długo zastanawiał się nad jego słowami, po czym spojrział na niego z wyrzutem. Weszli do środka, starając się nie dotykać oślizłego kamiennego nadproża.

W domu panowałby mrok, gdyby nie wpadające przez powybijane okna upiorne szare światło. Przystanęli na chwilę, by oswoić wzrok z ciemnością, i nagle Charlie stwierdził, że nie są sami. U podnóża schodów gęstniał mglisty słup powietrza. Duch. Charlie położył rękę na ramieniu Marlowe'a w ostrzegawczym geście.

Widmo zamigotało, nabrało kształtu przezroczystej kobiecej postaci, a potem znowu skreśliło się, zwinęło w powietrzu... i ponownie stało się kobietą odzianą w suknię z tiurniurą i zwróconą do nich plecami. Nie wydała żadnego dźwięku, ale jej wzburzenie było wyraźne. Powoli płynęła przez pokój, jakby znajdowała się pod wodą. Charlie miał wrażenie, że wszystko znieruchomiło, a on stoi na zimnej ulicy i zagląda do środka przez okno.

A potem duch się odwrócił i Charlie zobaczył go dokładnie.

To była jego matka.

Ściśle rzecz biorąc – jego matka taka, jaką mogła kiedyś być, musiała kiedyś być, na długo przed tym, jak żaloba i trudy życia dały jej się we znaki. Jej twarz migotała i zmieniała się z upływem lat. Charlie po omacku oparł się o ścianę i poczuł pod dłonią zimną wilgoć namięklej tapety. Zadrżał. Znał każdą zmarszczkę na tej twarzy i każdy jej grymas. Skórę ciemną jak oberżyna i włosy ciasno związane w kok. Wydatne kości policzkowe. Smutne brązowe oczy.

Wydawało się, że matka rozmawia z kimś na schodach, chociaż nie było niczego widać ani słyhać, w końcu jednak drugi słup powietrza zaczął się wić, skręcać, gęstnieć i na schodach pojawił się mężczyzna – jasnoskóry, czarnowłosy, smukły jak cień, w staroświeckim surducie. Zszedł po schodach, wziął matkę Charliego za rękę i tłumaczył jej coś z przejęciem, także bezgłośnie.

Nagle Charlie uświadomił sobie, że to jego ojciec. Kiedy mówił, jego twarz nieustannie drżała, mieniała się, na przemian to rozwiewała się, to znów materializowała. Charlie wpatrywał się w wąskie usta, drobne zęby, zmarszczki od uśmiechu w kącikach oczu. Mężczyzna miał miękkie, obwisłe policzki, dziwne u kogoś tak szczupłego. Wydawało się, że powinien być mocniej zbudowany. Miał długie włosy i duże, odstające, zaróżowione uszy.

Charlie nie mógł zebrać myśli ani nabrać tchu. Patrzył, jak tych dwoje drży i unosi się w powietrzu. Przepłynęli w głąb domu, a on poszedł za nimi. Dom był zniszczony, woda ciurkała po ścianach, deski podłogowe uginały się miękko pod ciężarem Charliego. W pokoju na tyłach stało łóżeczko, a w nim leżało dziecko w powijakach. Nie rozumiał. Wiedział, że widzi siebie, ale przecież to nie mógł być jego duch, skoro żył i był tu obecny ciałem, prawda? Skoro to wszystko obserwował?

Jego ojciec powoli zdjął pierścień z palca wyciągniętej dłoni matki – był to ten sam sygnet, który teraz nosił Charlie – po czym schylił się nad łóżeczkiem i wsunął go w zaciśniętą piąstkę dziecka. Obraz zamglił się Charliemu przed oczami.

Ojciec podniósł wzrok i popatrzył na Charliego, spojrział mu prosto w oczy, pochmurny i zdezorientowany. Matka odwróciła się, spojrzała na chłopca i na jej twarzy odmalował się wstrząs.

W tej samej chwili Charlie poczuł dotknięcie ręki Marlowe'a. Oba duchy zadrżały, stały się przezroczyste, rozwiały się jak wiatr i nie było już nikogo ani niczego, zjawy zniknęły, jakby nigdy nie istniały.

Serce waliło Charliemu w piersi, policzki miał wilgotne od łez.

I właśnie wtedy zauważył, że w ścianie za miejscem, gdzie stało widmowe łóżeczko, znajdują się drzwi.

– To tutaj, Charlie – szepnął Marlowe. – Tędy.

Stał w otwartych drzwiach na wpół odwrócony do niego i patrzył wielkimi, poważnymi oczami. Za drzwiami były schody. Charlie obracał się w miejscu, rozglądał po rozpadającym się domu. Czegoś mu w nim brakowało. Miał kłopot z formułowaniem myśli.

– Charlie, chodźże.

To była wąska klatka schodowa dla służby, z tyłu domu. Weszli na piętro, ostrożnie okrążyli ziejącą w podłodze dziurę, przeszli dalej korytarzem i trafili na kolejne schody. Weszli na nie i trzymając się ściany, minęli drugie piętro, aż dotarli na górę, gdzie znaleźli drzwi na strych. Charliego ogarnęło silne wrażenie bliskości zła. Znaleźli Pokój.

Marlowe też lekko zadrżał, ale bez zastanowienia ruszył dalej. Wszedł na strych jak ktoś, kto nabiera powietrza w płuca i skacze do lodowatej wody.

Strych wyglądał niepozornie, ot, wąski pokój pod spadzistym dachem. Belki stropowe zawały się w kącie, gdy odpadł kawałek zewnętrznej ściany, więc przez otwór było widać szarą mgłę i zarysy innych dachów. Kroki Charliego dźwięczały metalicznie. Szedł powoli, z pochyloną głową. Drzwi balkonowe zwisały krzywo na zawiasie. Wszędzie wały się gruz, odłamki tynku i potrzaskane kawałki drewna z dawno rozbitych sprzętów.

Nagle Charlie zamarł. Pod ścianą, oparte o nią, dostrzegł bezwładne ciało mężczyzny.

Musiało tam leżeć od dawna. Zmarły był ubrany zgodnie z modą sprzed wielu dziesięcioleci, jak ludzie przedstawieni na portretach wiszących na wyższych piętrach rezydencji w Cairndale. Skóra nieboszczyka stała się sucha jak papier, oczy pod powiekami zapadły się w głąb czaszki, zmumifikowana szyja była żylasta i chuda. Na jednej jego ręce tkwiła rękawica z drewna i metalu, po którą wysłał ich Berghast. Połyskiwała mroczną poświatą, jakby pochłaniała całe dostępne światło.

Charlie podszedł do zwłok i ściągnął rękawicę. Umieszczone wewnątrz niej drobne ząbki pozostały zaciśnięte na nadgarstku i kiedy potrząsnął rękawicą, ze środka wysypały się kości dłoni wraz z obłokiem drobnego pyłu. Zafascynowany obejrzał rękawicę. Wszyte w nią kawałki drewna lśniły jak czarne szkło. Była ciężka, piękna, o wiele piękniejsza od repliki, którą pokazał im Berghast.

Zauważył, że ręka przestała mu się trząść.

– Jak myślisz, długo tu był? – zapytał Marlowe. – Co mu się stało?

Charlie zmarszczył brwi.

– Nie wiem. I chyba nie chcę wiedzieć.

– Mogę ją zobaczyć, Charlie?

Ale Charlie nadal trzymał rękawicę, wpatrzony w głęboką matową czerń drewna i żelaza. Ledwie zdołał oderwać od niej oczy.

– Tak, oczywiście – odparł, siląc się na nonszalancję. – Proszę. – Wzruszył ramionami, oddał rękawicę chłopcu i się odwrócił.

W głębi serca czuł jednak, że nie powinien był wypuszczać jej z rąk, powinien ją zatrzymać, założyć i nosić przez cały czas, bo tylko on rozumiał, jaka jest cenna, i tylko on mógł zapewnić jej bezpieczeństwo.

Uczucia te szybko się jednak rozwiały i już po chwili miał wrażenie, jakby nigdy ich nie doświadczył. Podeszedł do wyłamanych drzwi i wyjrzał na balkon. Powietrze było zimne.

Teraz już trzęsły mu się obie dłonie. Na placu w dole tłum duchów gęstniał, woal mgły na przemian rozdzielał się i łączył. Ciemne od wilgoci dachy miasta ciągnęły się bez końca. Zastanawiał się, czy istnieją jeszcze inne światy oprócz tych dwóch, które poznał, czy są światy poza światami. Wszystko wydawało się możliwe.

Musieli wracać. Odwrócił się, żeby wejść z powrotem do domu, kiedy coś go powstrzymało. Dziwne przeczucie.

Zerknął w dół i zauważył na placu ruch. Pod dziwnym białym drzewem w fontannie czaiła się blada bezwłosa postać.

Usłyszał szuranie butów na drewnie gdzieś wewnątrz domu: ktoś wchodził po schodach. Marlowe zamarł. Charlie już miał do niego podejść, gdy również znieruchomiał i skulił się pod ścianą. Serce głośno tłukło mu się w piersi.

Wejście na strych wypełnił cień.

Potęźnie zbudowany mężczyzna, ubrany cały na czarno, wydał mu się dziwnie znajomy. Zdjął kapelusz i zaczął obracać go w dłoniach odzianych w rękawiczki. Było wyraźnie widać, że pod czarną brodą ma rozcięte usta i policzek. Krew barwiła mu również ubranie.

Charlie rozpoznał go, cofnął się i skulił jeszcze bardziej.

– Witaj, Marlowe – powiedział Jacob Marber głosem miękkim jak aksamit.

Grassmarket

Wnocy zaczął padać ciemny deszcz. Wozem, który złapali pośród wzgórz, powoził stary kopacz torfu. Siedział na koźle z fajką w zaciśniętych zębach, nieruchomy jak granitowy posąg. Deszczówka spływała potokami z jego kapelusza, brody i nieprzemakalnego płaszcza. Burknął, żeby wskakiwali, na co cała trójka – Komako, Ribs i Oskar – strząsnęła deszcz z peleryn i wgramoliła się na wóz. Lymention – cuchnący i miękki jak rozmoczony wosk – został w krzakach, tkwił po kostki w wodzie i patrzył, jak odjeżdżają. Jego zniekształcona twarz była nieruchoma. Komako spojrzała na Oskara. Nie patrzył w tamtą stronę.

Kopacz torfu nie odezwał się słowem podczas powolnej jazdy na południe do Edynburga, a oni byli zanadto zmęczeni, żeby rozmawiać. Prawie dniało, kiedy wóz zaklekotał i zatrzymał się na Princes Street, naprzeciwko pomnika Waltera Scotta. Dzieci zsiadły z wozu. Zamek majaczył nad nimi w ulewie jak widmowe miasto w chmurach.

– Miłego dnia, podróżni! – zawołał kopacz torfu z mocnym szkockim akcentem.

Komako – z twarzą przesłoniętą kapturem – podniosła rękę w podziękowaniu. Mężczyzna strzelił lejcami i wóz odjechał w półmrok przedświt.

Wozy z węglem zaczęły już kursować, było też widać biedaków, którzy drżeli z zimna pod łukami i w niszach drzwi, ale poza tym miasto wciąż jeszcze tonęło w szarości, samotności i ciszy. Komako rozejrzała się po budynkach, szukając pubu, który byłby otwarty o tej porze. Im szybciej ktoś ich skieruje we właściwe miejsce, tym lepiej. Znali nazwę: Świece u Albany'ego, a Oskar był przekonany, że sklepik mieści się w Grassmarket – gdziekolwiek to było.

Oczywiście o tak wczesnej godzinie warsztat świeceński raczej będzie zamknięty, mogli jednak go znaleźć i poczekać, prawda?

Oskar kuśtykał, kiedy ruszyli ulicą. Komako przystanęła i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Lymentonowi nic nie będzie, przecież wiesz.

Oskar wysunął dolną wargę. Mrugał intensywnie, bo deszcz ściekał mu do oczu.

– To ten but, Ko. Stopa mnie boli.

Na środku ulicy Ribs uklękła, podniosła nogę Oskara i obejrzała but.

– Wbił ci się gwóźdź. Chodź tutaj.

Przeszli do parkowej ławki pod ociekającym wodą wiązem. Ribs wzięła but Oskara, wsunęła palce do środka i obmacała wewnątrz. Następnie wstała i zaczęła roztrącać stopą okoliczne gałęzie i paprocie, aż natrafiła na spory kamień. Wróciła z nim w jednej ręce i z butem w drugiej, po czym zaczęła walić kamieniem w gwóźdź.

Komako przez chwilę jej się przyglądała, zanim wstała i rozejrzała się po ulicy.

– Jak myślisz, co powiedzieli Berghastowi? – zapytała cicho.

Ribs się skrzywiła. Rude włosy kleiły jej się do policzków.

– Charlie i Marlowe? Nic. Nie są kapusiami.

Ale Komako miała wątpliwości.

– Berghast ma swoje sposoby dowiadywania się tego, czego chce – zauważyła. – Pamiętasz, jak to było z czekoladą, kiedy się zakradłyśmy do spiżarni?

Ribs przestała tłuc kamieniem, otarła wodę z oczu. Było widać, że wspomina to zdarzenie.

– Pewnie. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Ale było warto.

– Jaka czekolada? – zainteresował się Oskar. – Ja nie dostałem żadnej czekolady.

Czubki palców Komako poczerwieniały z zimna. Wcisnęła dłonie pod pachy.

– Ostatnio wydaje się bardzo zmęczony. Jakby coś go przytłaczało. Nie chcę utrudniać mu życia. Nie chcę, żeby się martwił.

Ribs się skrzywiła.

– Po mojemu staruszek Berghast sam umie o sobie zadbać. Nie jesteś jego matką, Ko.

– Wiem – przyznała półgłosem Komako.

– Można powiedzieć, że mu nie ufam, nie tak jak ty, ale przecież nie skrzywdziłby Charliego i Marlowe’a. Chce tego samego co my. Nie postępujemy wbrew niemu, prawda?

Komako zagryzła usta w zadumie.

– Ja w każdym razie myślę – podjęła Ribs; odwróciła się na bok, żeby splunąć na bruk – że on już wie, że byliśmy w jego gabinecie i grzebaliśmy w jego rzeczach. Wie, że odwiedziliśmy Pajaka. Daj mu pięć minut, a poskłada to wszystko do kupy i powie nam, co kombinujemy, co sobie pomyśleliśmy i co jedliśmy na lunch, a nawet czy nam smakowało i czy zjedlibyśmy to po raz drugi.

Na chwilę zapadła cisza, gdy uśmiechali się do siebie w deszczu.

– Nie mógłby zgadnąć, co zjedliśmy na lunch – orzekł Oskar.

Włożył but, stanął w nim ostrożnie i z ulgą spojrzął na Ribs. Przeszli na drugą stronę bardziej już ruchliwej ulicy, przemykając wśród skrzypiących kół i rozchlapujących wodę kopyt, i rozpoczęli poszukiwania kogoś, kto pokierowałby ich do Grassmarket. Widzieli młodych urzędników pod parasolami i starych sklepikarzy w płaszczach i kapeluszach błyszczących deszczem, ale o tej porze na ulicach nie było kobiet. Szli powoli – trzy drobne postaci w identycznych pelerynach. Uzgodnili, że ze względu na wiek i polski akcent Oskara oraz rysy twarzy Komako, to Ribs będzie rozmawiać. Wyglądała na zadowoloną z tego faktu. Pomajstrowała przy niesfornych włosach i poślinionym palcem przygładziła brwi, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Zaczęła też mówić z dystyngowanym akcentem albo przynajmniej z akcentem, który w jej mniemaniu brzmiał dystyngowanie.

– Proszę o wybaczenie, ale czy byłby pan łaskaw udzielić mi informacji co do umiejscowienia lokalu wyśmienitego świecarza w Grassmarket? – zapytała na próbę, oczekując pochwały Komako.

– To brzmi potwornie – oznajmiła Komako.

– Prawda – potwierdził Oskar.

Ale Ribs tylko się uśmiechnęła i mrugnęła porozumiewawczo.

– Nie uchodzi, żebyście zwracali się do mnie bez należytego szacunku, złociutcy.

– Nikt nie mówi „złociutcy”. Nie ma czegoś takiego.

– Nikt – zgodził się Oskar.

Stali pod okapem pubu przy ruchliwym skrzyżowaniu. Ribs nie dała się łatwo zniechęcić.

– Nie rozpoznalibyście dobrych manier, nawet gdyby was ugryzły w zasmarkany nos. – Uśmiechnęła się szeroko. – Nawijam, kurna, jak sama królowa.

A potem wcisnęła się do zadymionego pubu. Drzwi się zamknęły, Ribs zniknęła.

Komako roztarła zmarznięte ręce. Ponad głową Oskara zobaczyła idącego powoli policjanta w błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym. Posterunkowy łypnął na nią spod krzaczastych brwi, zawahał się, ale ostatecznie poszedł dalej. Komako zdziwiła się, jak szybko zaczęło jej bić serce.

Oskar miał inne zmartwienia.

– Nie powinniśmy byli zostawić pannie Davenshaw... liściku czy czegoś takiego? Nie chciałbym, żeby się martwiła.

Komako też tego nie chciała. Panna Davenshaw była surowa, ale sprawiedliwa, a w głębi serca także dobra.

Położyła rękę na ramieniu chłopca.

– Charlie i Marlowe coś wymyślą – zapewniła go. – Powiedzą jej, że dokądś się wybraliśmy. Poza tym zostawiliśmy wszystkie swoje rzeczy, będzie widać, że zamierzamy wrócić.

– A jeśli Charlie i Marlowe też nie przyjdą do niej na lekcje?

– A gdzie mieliby się podziać?

Oskar wzruszył smutno ramionami w deszczu.

Komako usłyszała prychnięcie za plecami.

– Oskarowi się wydaje, że oni nadal są ze starym Berghastem. Że właśnie jedzą z nim śniadanko.

Komako się odwróciła. Ribs wyszła z pubu i właśnie zarzucała na głowę kaptur, żeby zasłonić rude włosy.

– Wcale tak nie myślę – powiedział Oscar.

Komako wskazała drzwi pubu.

– No i? Co powiedzieli?

– Po pierwsze – zaczęła wylewnie Ribs – ucieszycie się na wieść, że byli pod wrażeniem mojego akcentu. Och! Oczarowałam ich! „Ależ witamy młodą damę”,

powiedzieli. „Co panienka robi sama w taki dzień?” A ja im na to: „Och, moja guwernantka czeka na zewnątrz, chciała odetchnąć świeżym powietrzem”, a oni na to...

– Ribs – weszła jej w słowo Komako. – Co powiedzieli o świecarzu?

Ribs wzruszyła ramionami.

– Nigdy o nim nie słyszeli.

– A Grassmarket? Na pewno wiedzą, jak tam trafić...

– No więc... – zaczęła Ribs – właściwie... to nie miałam okazji...

Komako zauważyła, że policjant zawrócił i właśnie się do nich zbliżał: zwalista postać w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym z gęstymi płowymi bokobrodami, które upodabniały mężczyznę do dzikiego kocura.

– Zbierajmy się stąd – syknęła.

Przepchnęli się przez gęstniejący tłum urzędników i zeszli na jezdnię, w sięgającą do kostek wodę, próbując obejść ścisk. Włóczegostwo było dobrym pretekstem dla policjanta, żeby zrobić z człowiekiem, co zechce, a w tej chwili naprawdę nie potrzebowali kłopotów z prawem. Nie puścili się biegiem, chociaż niewiele brakowało – szli tak szybko, że przechodnie rzucali im spojrzenia pełne dezaprobaty.

– Ej, wy troje! Stać! – zawołał posterunkowy.

Dopadł ich najdalej dziesięć kroków od rogu Hanover Street. Komako, Ribs i Oskar – cały czas po kostki w wodzie – skulili się przy żelaznej balustradzie. Trudno było cokolwiek wyczytać z oczu policjanta, który stał nad nimi z twarzą wykrzywioną gniewem. Nagle Komako zaczęła się bać. W tym miejscu było mniej przechodniów, ale było też za mokro, żeby mogła posłużyć się pyłem. Ribs była ubrana, więc nie mogła stać się niewidzialna, a Lymenion, ciałolbrzym Oskara, został daleko stąd. Byli bezsilni jak trójka zwyczajnych dzieciaków.

„Co za głupota!”, pomyślała.

Policjant uderzył pałką w dłoń: raz, drugi. Przejechała dorożka. Posterunkowy zerknął na ulicę i wrócił spojrzeniem do ich trójki.

– Nie robiliśmy nic złego – odezwała się Ribs. – Mamy prawo moknąć na deszczu.

– To prawda – przyznał posterunkowy.

– Więc może... pójdziemy sobie? – zaproponowała Komako.

On jednak blokował im przejście całym ciałem. Komako zauważyła gwizdek na jego szyi i wiedziała, że nigdzie się nie ruszą bez jego pozwolenia. Długie bokobrody miał mokre jak sierść u psa na deszczu; kiedy się krzywił, ciurkała z nich woda.

– Ja was znam – powiedział półgłosem. – Jesteście z tego domu w Cairndale, na północy, hm?

Komako zamarła. Spojrzała na Ribs, potem znów na policjanta.

– Nie – odpowiedziała Ribs.

Posterunkowy udał, że jej nie słyszał.

– Moja szwagierka wozila świeżyznę do tej rezydencji, stąd wiem. Opowiadała o tamtejszych dzieciach. Mówiła, że samotne dorastanie nad brzegiem tamtego jeziora musi być okropne. I że jest was tylko garstka. – Pałką odchylił sobie czapkę. Woda spłynęła z niej na bok. – Panienska nie robi takiej zdziwionej miny, wszyscy macie na sobie peleryny z Cairndale. – Skinieniem głowy wskazał insygnia na ich piersiach. – Ludzie z miasta to może nie, ale ci, co pochodzą z północy, dobrze znają herb rezydencji.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała uprzejmie Komako. Była zbyt zaskoczona i skonsternowana, żeby powiedzieć coś jeszcze.

Co innego Ribs. Zrobiła krok naprzód, jakby chciała zmierzyć mężczyznę wzrokiem od stóp do głów, i oznajmiła śmiało:

– Szukaliśmy pewnego sklepu, proszę pana, w którym pan Albany sprzedaje świece. To w Grassmarket. Chcieliśmy kupić prezent dla naszej guwernantki.

– U świecarza? – zdziwił się posterunkowy. – Jeśli mogę coś zasugerować, to bela dobrego materiału będzie lepszym prezentem. Albo może coś z herbaciarni za rogiem?

– Pan Albany to jej bliski przyjaciel – wyjaśniła pospiesznie Komako. – Taki sentymentalny prezent na pewno bardziej doceni.

– Aha. No dobrze, wobec tego... – Policjant się skrzywił, obrócił i rozejrzał po ponurej ulicy. – Niech no pomyślę... Nie znam pana Albany'ego, ale jeśli szukacie Grassmarket, to jest tam, w bok od zamku. Musicie przejść przez ogrody do Starego Miasta, skręcić w prawo w Victoria Street i iść w kierunku West Port. Zapamiętajcie to. Tam jest większość typowych sklepików i warsztatów, smolarze,

sprzedawcy pakuła, farbiarze i tak dalej. Nawet jeśli waszego człowieka tam nie ma, to znajdzie się ktoś, kto was do niego skieruje.

Komako zapamiętywała nazwy: Victoria Street, West Port.

– Rozumiem, że macie pieniądze, tak? Jedliście coś?

Oczy Ribs zabłyśły.

– Nie... – zaczęła mówić, ale Komako nie dała jej dojść do słowa:

– Niczego nam nie brak, proszę pana, dziękujemy. Jedliśmy rano, przed wyjazdem. Mamy ze sobą wszystko, czego potrzebujemy.

– Dobrze – odpowiedział.

Uchylił czapki, odszedł, wesoło wymachując pałką, i przepadł w deszczu.

Prawdę mówiąc, zdążyli już solidnie zgłodnieć. Z wózka ustawionego przy skwerze kupili gazetowy rożek pełen ciasteczek za pensa, a potem przeszli w deszczu na drugą stronę ulicy. Nie rozmawiali. Ciemne, nieruchome drzewa wznosiły się nad lśniącymi żwirowymi ścieżkami. Nad miastem górowały średniowieczne mury zamkowe, we mgle majaczyły działa na blankach. Stare Miasto okazało się brudniejsze, ulice węższe i gdy wreszcie wyszli na otwarty teren Grassmarket, byli zmęczeni i pełni wątpliwości. Wrony wielkie jak kruki przysiadły na ogrodzeniach starych zagród dla bydła i gapiły się na nich. Komako przy każdym kroku czuła przelewającą się w butach wodę.

– Panna Davenshaw będzie zła, kiedy wrócimy – zauważył Oskar.

Komako położyła mu uspokajająco dłoń na ramieniu. Zatrzymali się w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się szubienica. Rozejrzała się. Wąski zaułek, krzywe fronty warsztatów i sklepików, kary koń ciągnący wóz w deszczowym półmroku. Wreszcie zobaczyła napis wymalowany odręcznie, wielkimi literami, na szybie budynku na rogu:

Świece u Albany'ego

Dostawca doskonałych świec, knotów, latarni,
tłuszczów oraz wszelkiego rodzaju olejów.

Właściciel: Edward Albany. Rok założenia: 1838

Wyblakła, dziurawa czerwona markiza nad wejściem ociekała deszczem. W otwartej beczce zebrał się Bóg jeden wie jaki ściek. Dokładnie pośrodku schodów leżał martwy szczur, którego zostawił tam jakiś rzutki kot – chociaż może nie była to robota kocura, może został otruty. Ciemny (i na oko pusty) sklep wyglądał odstręczająco, kiedy jednak mu się przyglądali, ktoś w środku odwrócił tabliczkę w oknie z ZAMKNIĘTE na OTWARTE. Błada twarz zmaterializowała się za szybą, wyjrzała na ulicę i zniknęła.

Ribs uśmiechnęła się szeroko. Naciągnęła kaptur na głowę i odezwała się ze swoim arystokratycznym akcentem:

– No cóż, złociutcy, czas złożyć wizytę panu Edwardowi, nieprawdaż?

Oskar się skrzywił.

– Chyba nie będzie tego znowu robić, co? – szepnął.

– Ribs... – odezwała się Komako. – Po prostu... uważaj. Nie wiesz, co kryje się w środku.

– Ja zawsze uważam. – Ribs wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Jeśli zobaczysz jakiś ślad Brendana albo innych zagubionych dzieci, to natychmiast wracaj. Dobrze?

Ribs mrugnęła porozumiewawczo. A potem obróciła się teatralnie, aż ciemna peleryna wydeła się wokół niej, i ruszyła w stronę sklepiku.

Tego samego ranka, dokładnie pięć minut po godzinie dziewiątej, Abigail Davenshaw wstała płynnie zza biurka, przyglądziła spódnice i wyszła z cichej sali lekcyjnej na korytarz. W rezydencji panował chłód przesycony wonią mokrej trawy wpadającą przez otwarte okna. W kominku za jej plecami płonęły węgle.

Od rana nie widziała śladu swoich młodych talentów: ani Komako, ani Charliego Ovida – nikogo, ani przy śniadaniu, ani na korytarzach, ani na dziedzińcu – nigdzie. „Nie widziała” to może dziwnie dobrane słowa, Abigail Davenshaw bowiem była, rzecz jasna, niewidoma, i to od urodzenia. Ponieważ nigdy nie posiadała zmysłu wzroku, nie odczuwała jego braku i nauczyła się poruszać w ciemności swojego świata ze zręcznością i szybkością niemal równą ludziom widzącym. Była wyczulona na punkcie swojego wyglądu i starannie upinała włosy, by ani jedno pasmo nie opadało jej na szyję. Wcześniej nauczyła się, jakie to ważne. Była nieślubnym dzieckiem ochmistrzyni z posiadłości

w środkowej Anglii należącej do pewnego lorda samotnika, który zaszył się w niej i wziął na siebie obowiązek ukształtowania intelektu Abigail. Nie miała pojęcia, co nim kierowało: dobroć serca, litość, chęć eksperymentowania czy zupełnie inne motywy. Kiedy była mała, czytywał jej klasyków: Szekspira, Dantego i Homera, następnie pisma współczesnych naukowców, a jeszcze później filozofów i współczesnych poetów. Poznawała teorie dotyczące światła i materii, a także nowe prawa termodynamiki. Uczyła się języków, muzyki i tańca, a nawet – co dziwne – sztuki fechtunku i boksu.

– Nie chodzi o to, żeby patrzeć oczami, dziecko – mawiał lord – ale żeby słuchać uszami i skórą, posługiwać się wszystkim, w co dobry Bóg zechciał cię wyposażyć.

Miała nadzwyczajną pamięć, potrafiła powtórzyć długie fragmenty słowo w słowo i to także zachęcało go do kształcenia jej. W ten sposób wyrosła na imponującą młodą kobietę. Nie miała pojęcia, w jaki sposób doktor Berghast ją znalazł. Napisał do niej, chociaż się nie znali, sześć tygodni po śmierci jej dobroczyńcy. Matka, zupełnie zaskoczona i bardzo już wiekowa, z wahaniem odczytała jej list. Najwyraźniej do Cairndale doszły słuchy o jej nadzwyczajnym wykształceniu i Instytut chciał ją zatrudnić, by ona z kolei kształciła i wychowywała przebywające w nim niezwykle dzieci.

Teraz szła szybko korytarzem, delikatnie przesuając palcami po ścianie. Znajome wybrzuszenia i rysy podpowiadały jej, w którym miejscu skręcić. Zmiany ciśnienia i temperatury ostrzegały ją przed otwartymi drzwiami i zbliżaniem się innych osób. W swoim pokoju trzymała długą brzożową laskę, cienką i gładką – wielu ludzi upośledzonych w podobny sposób posługiwało się takim narzędziem, żeby zorientować się, czy na drodze nie ma przeszkód. Abigail sięgała po laskę bardzo rzadko, tylko wtedy, gdy wybierała się w nieznane jej miejsca.

Teraz jednak po nią poszła.

Na początek udała się do sypialni dziewcząt. Stała w progu, podniosła lekko głowę i nasłuchiwała. Sypialnia była pusta, panna Davenshaw rozpoznała specyficzny rodzaj ciszy, a także charakterystyczny ruch powietrza wokół niej. Przesuwając laską w tę i z powrotem i postukując nią przed sobą, sprawdziła okolice łóżka Komako Onoe, a potem także pobliznie niechlujnie posłanego łóżka Eleanor Ribbon. Mogłaby przysiąc, że żadna z nich nie spała tej nocy u siebie. Przysiadła lekko na brzegu łóżka Komako i sprawdziła pod poduszką. Nic.

Więc to tak. Dziewczęta zniknęły późnym wieczorem poprzedniego dnia.

Była gotowa się założyć, że Oskar, Charlie i Marlowe są z nimi. Dwaj ostatni chłopcy nieco ją zaskoczyli; nie spodziewała się, że Komako będzie gotowa im zaufać. Oczywiście nie uszło jej uwagi, jak Ribs przymila się do Charliego Ovida, wiedziała również, że Oskar o niczym tak nie marzy, jak o tym, by mieć przyjaciela, ale Komako była uparta, niezależna i ostrożna. Panna Davenshaw nie martwiła się o ich bezpieczeństwo. Jakiegokolwiek szelmstwo wymyślili, na pewno sobie poradzą.

No cóż.

Wstała i w zadumie potarła lewy nadgarstek. Istniała też inna możliwość: doktor Berghast. Nie rozmawiał jeszcze z chłopcami i było możliwe, że zaprosił całą gromadkę do gabinetu na jedną ze swoich pogawędek.

Szybko pokonała schody i wyszła na dziedziniec, badając drogę w deszczu laską. Nikogo nie minęła. Znała trasę, chociaż rzadko bywała w skrzydle gmachu mieszczącym pokoje Berghasta i sypialnie większości starszych talentów. Korytarz na piętrze prowadzący do gabinetu doktora był przedzielony łącznie pięciorgiem ognioodpornych drzwi, rozmieszczonych mniej więcej co cztery i pół metra. Wszystkie były zamknięte, musiała więc iść powoli, znajdować po kolei każdą klamkę, naciskać ją i otwierać drzwi.

Zapukała do gabinetu doktora. Nikt jej nie odpowiedział.

Nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Ze środka buchnęła woń dymu z fajki, zapach węgla i korzenny zaduch brandy. Głębiej pod nimi krył się aromat spękanej wyprawionej skóry, atramentu, błota i kamienia. Ten pokój przyprawiał ją o ciarki.

– Dzień dobry! – zawołała śmiało. – Jest pan tu, doktorze Berghast?

Odpowiedział jej jednak tylko własny głos i gorąca, nieruchoma ciemność. Zrobiła krok naprzód, nerwowo przelykając ślinę. Czuła coś jeszcze, była tego pewna, wyczuwała obecność Marlowe'a i Charliego. Ich osobiste zapachy. Byli tu wcześniej.

– Chłopcy? – krzyknęła, a potem dla pewności dodała: – Doktorze Berghast? To ja, panna Davenshaw.

Gabinet był pusty. Weszła i stanęła na dywanie. Ciepłe powietrze owionęło jej twarz i szyję, przez ściany i podłogę dobiegały dźwięki odległych poruszeń mieszkańców Instytutu i inne odgłosy rezydencji. Nagle coś zimnego przemknęło

obok niej, poczuła wyraźny podmuch powietrza. Obróciła się zaciekawiona i ruszyła w kierunku, z którego pochodził. Stała przy drzwiach, które były odrobinę uchylone. Otworzyła je szeroko i zawołała. Odpowiedziało jej zniekształcone echo, po którym zorientowała się, że stoi u szczytu kręconych schodów biegnących daleko w dół. Zmarszczyła brwi. Rozsądek nakazywał odwrócić się i wyjść, tego właśnie oczekiwała po swoich wychowankach, ona jednak, niczym niemądra uczennica, zaczęła schodzić po schodach.

Poruszała się cicho, przez cały czas nasłuchując. Dotarłszy na sam dół, znalazła się w małym przedpokoju przed zamkniętymi na klucz żelaznymi drzwiami. Zapukała w nie lekko, z narastającym niepokojem. Nigdy nie słyszała o tym miejscu. Cairndale było stare i pełne tajemnic.

„Podobnie jak Henry Berghast”, pomyślała.

– Charlesie? – Podniosła głos. – Marlowe? Jesteście tu, chłopcy?

Usłyszała przyspieszony, ciężki oddech kogoś, kto znajdował się za drzwiami, szcęk wleczonych ciężkich łańcuchów, znowu dyszenie.

– Kto tam? – zawołała nagle przestraszona. – Odpowiedz mi! Potrzebujesz pomocy?

Cokolwiek to było, znieruchomiało i ucichło. Przyszło jej do głowy, że ten oddech nie brzmiał do końca normalnie, nie brzmiał jak... ludzki.

Powoli, w ciemności, która stanowiła jej świat, panna Davenshaw pochyliła się i przycisnęła ucho do metalowych drzwi. Wyteżyła słuch.

Świat jeszcze bardziej pełen płaczu

W mieście umarłych panowała cisza. Gęsta, ciężka, skłębiona mgła otulała dachy domów.

Charlie przykucnął na balkonie i słuchał, jak poruszający się z kocią gracją Jacob Marber powoli obchodzi Pokój, zataczając krąg wokół Marlowe'a. Chciał skoczyć, rzucić się na potwora, miał przecież nóż, który doktor Berghast mu dał, aby wyciął sobie drogę przez orsine. W dodatku był zdrowcem, niełatwo było go zranić i chociaż nie znał pełni mocy Jacoba Marbera, to zdawał sobie sprawę z tego, że jego ciało zawsze wraca do zdrowia, cokolwiek by się wydarzyło.

Nie poruszył się jednak, nie nabrał powietrza w płuca, stał tylko i słuchał ciężkich, powolnych kroków na deskach. Nie wiedział, czy powstrzymuje go strach, czy coś innego.

„Poczekaj. Poczekaj”, powtarzał sobie w duchu.

Widział Marlowe'a, który mierzył potwora wzrokiem, trzymając przed sobą rękawicę. Wyprostował drobne ramiona gotowy do walki, ale i tak, wbrew wszystkiemu, co Charlie wiedział o jego mocach, robił wrażenie bezbronnego wobec Marbera.

– Kto by pomyślał, że znajdę cię akurat tutaj – wymruczał mężczyzna. – Nie gdzie indziej, a właśnie tutaj... Wybacz, nie zostaliśmy sobie należycie przedstawieni: Jacob Marber, do usług.

Z miejsca, w którym stał, Charlie nie widział jego twarzy, tylko ciemne włosy z tyłu głowy i gęstwinę brody. Marber cały czas trzymał dłoń przy twarzy, jakby zamykał ranę na policzku. Coś złego działo się z jego skórą, cienie kładące się na jego knykciach nieustannie się poruszały.

– I nie znalazłbym cię, gdybyś wczoraj w nocy nie posłużył się swoim... darem. Zostawia trop w tym świecie. Jak krew w wodzie. Czy to duchy cię zaatakowały?

Chłopiec nie odrywał od niego spojrzenia przestraszonych oczu. Charliemu ręce trzęsły się tak bardzo, że ledwie mógł je zacisnąć w pięści. Jeśli nie odejdzie niebawem, jeśli wkrótce nie przejdzie z powrotem przez orsine, stanie mu się coś złego.

– Dziwne miejsce ten Pokój. Czujesz to? – mówił dalej Jacob Marber. – Jest... chroniony. Ukryty. Ty i ja możemy go znaleźć i do niego wejść, ale drughr? Drughr nie. Duchy też nie. Podobnie jak wasz poczciwy doktor Berghast, rzecz jasna. – Zawiesił głos, nałożył kapelusz. Stał nad z mumifikowanym ciałem. Z piersi wyrwał mu się słaby okrzyk, jakby rana sprawiała mu ból. – Ten nieszczęśnik musiał się tu przyczoić w poszukiwaniu schronienia – mruknął. – Ciekawe, co się stało z jego ręką?

Marlowe schował rękawicę za plecy, ale było już za późno. Jacob Marber wyciągnął dłoń: delikatne czarne macki pyłu owinęły się wokół rąk chłopca i wyrwały mu rękawicę. Marber wziął ją, przyjrzał się jej i – ku wielkiemu zaskoczeniu Charliego – oddał ją Marlowe'owi.

– Domyślam się, że doktor Berghast cię po nią przysłał?

Kiedy Marlowe nie odpowiedział, potwór zaczął znowu krążyć po pomieszczeniu. Teraz Charlie widział, że czoło ma podrapane, surdut rozdarty na ramieniu, spodnie ubłocone.

– Wiesz, co to jest? – zapytał ostrym tonem Marber. – Co Berghast z tym zrobi? Nie, oczywiście, że nie wiesz. Gdybyś wiedział, nie zabrałbyś stąd rękawicy. Nie tylko Berghast jej pragnie. Drughr również chce, bym mu ją przyniósł.

Podłoga zaskrzypiała cicho pod jego ciężarem. Charlie rozpaczliwie próbował wymyślić, co zrobić. Miał szansę zaskoczyć Jacoba Marbera, mógłby na niego się rzucić i wypchnąć go przez wyrwę w ścianie. Być może. Tylko czy taki upadek wyeliminowałby potwora?

Tymczasem Marber kontynuował:

– Jesteś na mnie zły. Śmiem twierdzić, że może nawet mnie nienawidzisz. Życzysz mi śmierci?

Charlie wiedział, że mężczyzna okrążył strych i teraz stoi zwrócony przodem w jego stronę, nie ważył się więc wyrzeć, aby go nie zauważył.

– Myślisz, że wiesz, o co walczysz, za czym się opowiadasz. Wydaje ci się, że znasz swoją rolę w tym wszystkim. A jednak mylisz się, moje dziecko. Doktor Berghast nie jest twoim ojcem. Nie tym prawdziwym.

– Wiem – szepnął Marlowe. – Powiedział mi.

– Ach tak...

Marber sprawiał wrażenie, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale zmienił zdanie i tylko westchnął. Jego buty zazgrzytały wśród kamiennych odłamków. Kiedy znów się odezwał, jego głos się zmienił, złagodniał.

– Znałem cię kiedyś. Dawno temu. Zanim nazwano cię Marlowe'em. Mówił ci o tym?

Charlie zaryzykował zerknięcie do środka. Marlowe gniewnie pokiwał głową.

– Co jeszcze ci powiedział? Że zabiłem twoją matkę i że chciałem zabić ciebie?

– Tak.

– Wierzysz mu?

– Zabiłeś pana Coultona. Zabijasz mnóstwo ludzi.

– No tak. Czasem to konieczne, jeśli chcesz ocalić wiele istnień.

Marber popadł w posępne milczenie. Wyjął coś z kieszeni, obrócił w palcach: klucz wyrzeźbiony z tego samego czarnego drewna, którego użyto do wyłożenia rękawicy.

– Nie zabiłem twojej matki – podjął. – I nie próbowałem zabić ciebie. Henry Berghast zrobił ze mnie potwora i próbował mnie zniszczyć. Nie jestem jednak taki, jakim mnie przedstawia.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – odpowiedział chłopiec.

Jacob Marber się skrzywił.

– To bez znaczenia. Prawda jest prawdą bez względu na to, czy ją poznamy, czy nie.

Marlowe uniósł podbródek.

– Zabijesz mnie?

– Czy cię zabiję? A cóż to za bzdura?

Marlowe spiorunował go wzrokiem.

– Zawsze chciałem tylko zapewnić ci bezpieczeństwo. – Jacob Marber z żalem uniósł brew. – Ach, moje dziecko, co oni ci naopowiadali? Co ty musisz o mnie myśleć?

– A co to było w Nowym Jorku? Kiedy zaatakowałeś mnie i Alice?

– Alice... – Przez chwilę Jacob milczał zamyślony. Kiedy ponownie się odezwał, mówił ciszej: – Wiedziałem, że Henry cię znalazł, domyśliłem się, że posłużył się swoim glifinem. Wiedziałem, że wiozą cię do niego. Nie chciałem skrzywdzić Alice Quicke, ale nie mogłem dopuścić, żeby cię zabrała.

W tej chwili sprawiał wrażenie niemal łagodnego. Niemal.

Charlie zrozumiał, co musi zrobić. Widział, z jaką ostrożnością Marber chowa osobliwy klucz do kieszeni surduta. Gdyby zdołał wykorzystać ciągliwość, której próbowała nauczyć go panna Davenshaw, może udałoby mu się sięgnąć ręką dostatecznie daleko, by dobrać się do kieszeni tego łajdaka.

Zamknął oczy, uspokoił oddech, tak jak go instruowano. Niestety gwałtowne emocje nie dawały mu spokoju, strach i samotność rozpraszały go. Kiedy otworzył oczy, nic się nie zmieniło.

Nie był w stanie tego zrobić.

Niedaleko od niego Jacob Marber przeczesał palcami brodę i przyglądził ją, uważając na długie rozcięcie na policzku. Potem złożył ręce za plecami, odwrócił się i wyjrzał przez wyrwę w ścianie na otulone szarą mgłą miasto.

Charlie się skulił. Serce waliło mu jak młotem.

– Wiele lat tkwiłem uwięziony w tym świecie – powiedział cicho Jacob Marber. – Nauczyłem się tu żyć. Znam to miejsce lepiej niż jakakolwiek inna żywa istota, a jednocześnie prawie w ogóle go nie znam. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak to było mieszkać tutaj. Wiedziałem, że istnieje wejście, orsine, ale nie mogłem z niego skorzystać. Henry Berghast trzymał je zamknięte właśnie ze względu na mnie.

– Sam do tego doprowadziłeś. Zdradziłeś go.

– Hm... – Buty Marbera szurnęły na gruzie. – Byłem nadal młody, kiedy drughr pierwszy raz do mnie przyszedł. zaproponował, że przeprowadzi mnie do tego świata, żebym mógł... kogoś znaleźć. Znaleźć i mu pomóc. Widzisz, drughr też potrzebował mojej pomocy.

I wtedy Charlie zauważył przy krawędzi balkonu żelazny pręt. Powoli, bezszelestnie pochylił się i wziął go do ręki. Pręt był długi i cienki, zaostrowany na końcu. Charlie złapał go mocno w garść. W drugiej dłoni ścisnął nóż.

– Mój brat bliźniak zmarł, gdy byliśmy dziećmi. Drughr powiedział mi, że będę mógł znowu go zobaczyć i pomóc mu, tutaj, w tym świecie, a jeśli moja moc dostatecznie wzrośnie, może nawet zdołam go sprowadzić z powrotem. Zostałem jednak oszukany. Latami wędrowałem po tym mieście w poszukiwaniu brata, próbując znaleźć jego ślad pośród widm. Co tu widzisz, Londyn? Dla mnie to jest Wiedeń. – Marber zmarszczył brwi. – Czułem się samotny, zmieniałem się, dziwaczałem, nie miałem tu ani jednej żywej duszy, z którą mógłbym zamienić choć słowo. Był tylko drughr, który często mi towarzyszył i z którym się... zżyłem. Przychodził, żeby mi się zwierzać. Wtedy się dowiedziałem, jak bardzo nienawidzi świata żywych, jaki jest głodny i jak bardzo pragnie pożerać talenty. To pragnienie go spalało.

– Znalazłeś go? Znalazłeś swojego brata?

– Tak, ale to nie był Bertolt. Już nie.

Marlowe milczał.

Jacob opowiadał dalej:

– Brat przyszedł do mnie trzy razy w tym świecie. Siedziałem na krawędzi orsine, modląc się, żeby zostało otwarte. Wystarczyło, aby Berghast nas przepuścił. To by wszystko zmieniło. Ale on tego nie zrobił i wspomnienia mojego brata na mój temat wyblakły. A potem było już za późno.

– To dlatego go nienawidzisz?

– W tym świecie człowiek staje się dziwakiem – odparł Marber. – Nie tyle chodzi o samotność, ile raczej o... wyobcowanie. Pewnego dnia drughr też odszedł i wtedy zostałem naprawdę sam. Załamany. Przerażony. Zacząłem go szukać, nie miałem nikogo innego, rozumiesz. I po długim czasie znalazłem go, ukrytego w tunelu nad brzegiem rzeki. Był kobietą i miał przy sobie niemowlę, na pozór zwyczajne ludzkie dziecko. Tyle że ono wcale nie było człowiekiem. Było jej dzieckiem. Dzieckiem drughra, a drughr wyglądał wspaniale. Wyczuwałem jego moc i wściekłość. Jakimś sposobem dziecko dawało mu siłę, dzięki niemu stawał się jeszcze potężniejszy. W okamgnieniu zrozumiałem, do jakich potworności będzie zdolny, i doszedłem do wniosku, że nie można pozwolić temu dziecku przeżyć. –

Oddychał ciężko. Charlie widział, jak przyciska rękę do boku. – Nie można było pozwolić...

Krew uderzyła Charliemu do głowy. Wiedział, zanim te słowa padły, co Marber za chwilę powie.

– Porwałem niemowlę, dziecko drughra. Chciałem je zabić, ale nie potrafiłem tego zrobić. Wiedziałem, jak straszne życie je czeka, jak przerażający los, i tego też nie mogłem znieść. Dlatego uciekłem z nim do jedyne miejsce, do którego drughr nie mógł za mną pójść: do orsine, które Berghast przede mną zamknął. Błagałem glifina, żeby nas przepuścił. To ty byłeś tym niemowlęciem, Marlowe. Ty byłeś tym dzieckiem.

– Nie – szepnął chłopiec.

– To dlatego jesteś inny. I dlatego drughr na ciebie poluje. Jest twoją matką.

– Kłamiesz! – krzyknął chłopiec. – To kłamstwo!

Jacob Marber mówił dalej ściszym, zbolonym głosem:

– Ale to nie znaczy, że musisz być taki jak on. Możesz wybrać, czym jesteś. Czym będziesz.

Charlie zaryzykował i trwożnie zajrzał do Pokoju. Marlowe cały się trząsał, było widać, że rozpaczliwie pragnie uciec, ale nie robi tego. I nagle Charlie zrozumiał: Marlowe też nie zostawiłby go tu samego.

– Kiedy Berghast mi cię odebrał – ciągnął Jacob – byłem za słaby po spędzonych tu latach, żeby go powstrzymać. Wróciłem po ciebie, zanim stałem się dostatecznie silny. Chciałem cię zabrać daleko stąd, ukryć gdzieś, gdzie ani Berghast, ani drughr nigdy cię nie znajdą, w miejscu, w którym byłbyś szczęśliwy i wiódłbyś dobre życie. Wtedy cię zawiodłem. Ale teraz nie zawiodę.

W jego głosie brzmiał szczery żal, jakby wolał, żeby nie doszło do tego, do czego zaraz dojdzie. Nagle jego oczy stały się czarne, jakby atrament rozlał się chmurą po tęczęwkach i białkach i wypełnił je najczystsza czernią, która następnie wysączyła się na powieki. Powoli podwinął rękawy. Ciemność wiała się i skręcała na jego skórze.

– Tutaj jesteśmy jak bogowie, Marlowe – powiedział. W zakrwawionej dziurze w policzku było mu widać zęby. – Tutaj nasze talenty są o wiele potężniejsze. Czujesz to? Temu światu to się nie podoba, wyczuwa, że to nie jest miejsce dla nas. Dlatego nie możemy przebywać tu wystarczająco długo, żeby nauczyć się, jak

zapanować nad tym, czym jesteśmy i co potrafimy. Ale ty, moje dziecko, możesz tu zostać. Dlatego, że jesteś tym, kim jesteś.

– Nie jestem, wcale nie jestem...

Jacob Marber nie zamierzał tracić czasu na jałowe spory. Zamilkł, podniósł głowę, jakby nasłuchiwał, i powiedział:

– Jest blisko. Muszę iść.

– Kto jest blisko?! – krzyknął Marlowe.

Ale Marber już rozkładał palce w niemal delikatnym geście i poruszał nimi w tajemniczy sposób. Długa, wąska lina, macka z pyłu, rozciągliwa, namacalna i poskręcana pokonała niczym serpentyna przestrzeń między nimi, owinęła się wokół Marlowe'a i zacisnęła mocno.

Charlie ścisnął nóż i żelazny pręt w trzęsących się dłoniach. W głowie mu się kręciło, czuł się słaby, nie mógł złapać tchu. Ale musiał czekać, aż Jacob Marber podejdzie jeszcze kilka kroków.

Nagle jednak zamarł, bo potwór znów przemówił:

– Tu będziesz bezpieczny. Tu cię nie znajdzie.

– Czekaj! Co robisz? Przestań! – Marlowe siłował się, napinał mięśnie w uścisku sznurów uplecionych z pyłu. – Dokąd idziesz?

– Odciągnę go od ciebie. A potem znajdę Henry'ego Berghasta.

– Po co? Żeby go zabić?

Jacob Marber skinął głową.

– Powinieneś zabić drughra! – krzyknął gniewnie Marlowe. – Jeśli naprawdę nie jesteś taki zły, jak mówią, właśnie to powinieneś zrobić!

Marber się zatrzymał. Oczy mu błyszczały. Sprawiał wrażenie owładniętego żalem.

– Drughr i ja... jesteśmy ze sobą związani. On podtrzymuje mnie, ja jego. Zabicie go nie byłoby dla mnie... łatwe. – Zniżył głos. – Ale musisz uważać, dziecko. Nie jesteś tu sam. To jest świat, w którym przepadł Pierwszy Talent. Jego moc wciąż tu jest. Wyczuwam ją. Henry Berghast również ją wyczuwa.

Marlowe przestał walczyć i spojrzał na niego pytająco.

– No i?

– Jak myślisz, po co Berghastowi ta rękawica?

– Żeby powstrzymać drughra.

Marber pochylił głowę. Odetchnął głęboko. Podniósł wzrok.

– Uważaj na siebie, mały. Wróć po ciebie.

Do uszu Charliego doszły dźwięki kroków oddalających się po schodach. Chwilę później ciemna sylwetka Jacoba zamajaczyła we mgle na dole. Szedł przez plac. Od dziwnego białego drzewa oderwała się druga postać i pobiegła za nim jak pies. Charlie rozpoznał tego stwora i jego charakterystyczne ruchy. Zadygotał.

Marlowe – z unieruchomionymi rękami i związanymi nogami – stał oparty o ścianę naprzeciwko zmumifikowanego talentu. Nadgarstki już miał czerwone w miejscu, gdzie sznur się napręzał.

Charlie przyklęknął obok niego i zaczął luzować więzy.

Marlowe nie podniósł wzroku.

– Charlie, słyszałeś, co on powiedział?

– Później będziemy się tym martwić, Mar. Na razie wypłaczmy cię z tego.

– On zabije doktora Berghasta.

– Będzie próbował. Nie ruszaj się.

Ręce tak bardzo mu się trzęsły, że ledwie był w stanie wsunąć palce pod więzy, by je poluzować. Uplecione z pyłu sznury zdawały się miękkie, niemal śliskie, ale zarazem elastyczne i mocne. Napinały się na ramionach, nadgarstkach i nogach Marlowe’a jak żywe macki.

Na zewnątrz przepływała mgła przetykana wstęgami umarłych.

Kiedy Marlowe się odezwał, mówił wyjątkowo cicho, niemal szeptem. Charlie spojrzał na niego z uwagą.

– Nie jestem potworem, Charlie.

A potem się rozplakał.

Charlie otarł mu oczy rękawem.

– Nie słuchaj go. Nie wpuszczaj go do swoich myśli.

– Nie chcę być... tym, czym powiedział, że jestem.

– Nie jesteś.

Marlowe znowu się rozplakał.

– Hej – powiedział Charlie. – Ej, spójrz na mnie. A co z Brynt?

Marlowe podniósł wzrok.

– Z Brynt?

– Powiedziała ci kiedyś, że możesz wybrać, kto jest twoją rodziną. Więc zrób to. Wybierz.

Marlowe zwiesił żałośnie głowę.

– Brynt się myliła.

– Wiesz, że to nieprawda – odparł z przekonaniem Charlie. – Wcale się nie myliła. A teraz pozwól mi zdjąć z ciebie to cholerstwo. Nie rozumiem, dlaczego wciąż trzymają, nie powinny po prostu... zniknąć? Gdybym tylko... mógł je... dobrze chwycić...

Stękał i pocił się z wysiłku, ale więzów nie dało się zerwać ani poluzować. To nie były zwykłe sznury, nie mógł rozplątać czegoś, co nie miało początku, końca ani żadnego węzła. Spojrzał na Marlowe'a i zorientował się, że on też zdaje sobie z tego sprawę. Na jego twarzy odmalowało się przelotnie zwątpienie.

Charlie wzdrygnął się i natychmiast odwrócił wzrok. Marlowe miał rację, że się bał.

– To na nic, Charlie – szepnął chłopiec. – Spójrz na swoje ręce.

Dłonie Charliego okropnie się trzęsły. Podniósł je do upiornego światła. Jego skóra odbarwiała się plamiście, traciła pigment.

– Idź już, nie możesz tu dłużej zostać. Musisz uciekać!

– A jeśli on wróci? A ty będziesz siedział tu całkiem sam, związany w taki sposób?

Marlowe posłał Charliemu trzeźwe spojrzenie i skinął ciemnowłosą głową na swój smutny sposób, zupełnie niepasujący do dziecka. Charlie wiedział, że Marlowe ma rację: musiał pilnie wracać do orsine. Do niczego nie przyda się Marlowe'owi, jeśli jeszcze bardziej się tu rozchoruje. Dzieciakowi nie stała się żadna krzywda, nie mogła mu się stać krzywda – nie tutaj, nie w taki sposób.

Charlie zwiesił głowę.

– Niedługo wrócę – szepnął.

Podniósł z miękkiej podłogi dziwaczną rękawicę. Miał wrażenie, jakby wydała przy tym dźwięk, ledwie uchwytną muzykę, której nie był w stanie tak naprawdę dobrze usłyszeć. Palec, na którym nosił sygnet od matki, zaczął go boleć.

Schowwał rękawicę do torby.

– Pamiętasz drogę powrotną? – zapytał Marlowe.

Pamiętał. Nie potrzebował nawet mapy. Znajdzie rzekę, potem kopułę, budynek przy Nickel Street i schody umarłych prowadzące do orsine. Będzie szedł szybko, nie zatrzyma się i wróci do Marlowe'a, zanim stanie się cokolwiek złego. Tak właśnie zrobi.

Chwiejnie podszedł do drzwi. Obejrzał się na chłopca w ciemnych więzach, przesunął ręką po powiekach, pędem dotarł na parter, sadząc po dwa stopnie naraz, a potem puścił się biegiem. Torba objęła mu się o biodro.

Para i żelazo

Zakrwawiona, wyczerpana Alice zdołała w jakiś sposób wciągnąć panią Harrogate na górę.

Drughr dawno zniknął, Jacob Marber i Coulton również. Świetliste rozdarcie w powietrzu się zasklepiło.

Alice złapała panią Harrogate pod ramiona w blasku dogorywającej lampy, która wykrzywiała ich cienie w kłębach dymu. Unoszący się wszędzie czarny pył dławił w gardle. Za stopami pani Harrogate ciągnęły się ciemne smugi jak ślad żłobiony w ziemi. Alice cofnęła się po lampę, przeszła kawałek przed siebie, ostrożnie postawiła lampę na ziemi, po czym wróciła i znów pociągnęła panią Harrogate. W ten sposób, powoli, kawałek po kawałku, wracała wilgotnym, błotnistym tunelem w stronę klapy w jego suficie, magazynu i świata żywych.

Ponad sześć metrów dzieliło je od lampy, gdy ta zgasła na dobre. Spocona, zadyszana Alice, krwawiąca z nieopatrzonych ran, po prostu zostawiła ją tam, gdzie stała, i po ciemku wlokła panią Harrogate. Kiras biegł obok nich w ciemności, jego biała łapa zdawała się jarzyć własnym światłem. Przez szparę klapy przesączała się blada smuga dziennego światła. Alice położyła na ziemi pojękującą cicho panią Harrogate, po czym – sufit nie był w tym miejscu zbyt wysoko – wspięła się na palce i pchnęła. Na szczęście klapa otworzyła się bez oporu, nikt jej nie zablokował. Alice stęknęła i z mozołem wspięła się na górę, do składziku.

Zza drzwi dobiegały odgłosy kręcących się po magazynie pracowników. Rozejrzała się za czymś, co pomogłoby jej wciągnąć panią Harrogate na górę. Szukała jakiegoś sznura, gdy wtem wypatrzyła coś lepszego: drabinę.

Kiedy krzywiąc się z wysiłku, wyciągała starszą kobietę z tunelu z powrotem do świata żywych, myślała tylko o tym, w jak bardzo beznadziejnym położeniu się znalazły. Jacob Marber uciekł z pomocą drughra. Już Marber był prawdziwym potworem, dysponował straszliwą siłą, ale drughr był od niego stokroć gorszy. Alice nie wiedziała, co to strach, ale kiedy drughr wrzasnął, nauczyła się bać. Coulton, nieszczęsny Frank Coulton został zamieniony w litcha. Sprawiał wrażenie, jakby nie pamiętał Alice, jakby nie pamiętał nawet samego siebie. Co gorsza, Marber się ulotnił, uciekł przez jakieś przejście między światami, a skoro mógł się przemieszczać w taki sposób, to jak miała go kiedykolwiek znaleźć, zapędzić w kozi róg, zniszczyć? Jedyłą bronią, jaką dysponowała, był kiras, tymczasem Marber zabrał jeden z dziwozwojów. Wkrótce kiras przestanie słuchać rozkazów, a wtedy zwróci się przeciwko nim albo odejdzie. Albo najpierw zrobi jedno, a potem drugie. Pani Harrogate tego się właśnie obawiała, a jeśli Alice czegokolwiek się nauczyła, to z pewnością tego, że warto podzielać obawy Margaret Harrogate. Pomyślała o potworach czyhających na Marlowe'a i Charliego, ale musiała stłumić bezsilny gniew. Nic nie mogła zrobić.

Przez długi czas siedziała w składziku i po prostu oddychała głęboko. W pewnym momencie pani Harrogate straciła przytomność; Alice doszła do wniosku, że tak chyba nawet lepiej. W końcu wstała, z trudem przerzuciła sobie starszą kobietę przez ramię i wyszła ze składziku: obszarpana, zakrwawiona postać z ubłoconą twarzą, niosąca ciało. W uszy uderzył ją zgiełk magazynowej krzątanimy. Kiras plątał jej się wokół nóg.

Wielokrążki przestały się obracać, zawieszony w powietrzu beczki znieruchomiały i wszyscy spojrzeli w ich stronę. Do diabła z nimi. Alice zacisnęła zęby i minęła ich chwiejnym krokiem. Wyszła w stronę portu i utonęła w szarej porannej mgle i mrowiu wozów.

Pierwszy dorożkarz nie zgodził się ich zabrać, bo nie spodobał mu się ich wygląd. Drugi nie chciał wziąć kota. Trzecia dorożka była sfatygowana i poplamiona, za to jej właściciel wziął podwójną stawkę i zawiózł je prosto pod numer 23 przy Nickel Street West. Alice wysiadła, obojętna na pełne przygany spojrzenie dorożkarza i sposób, w jaki odchylił kapelusz i z dezaprobatą pociągnął nosem, tak jakby były z panią Harrogate pijane albo jeszcze gorzej. Nie zaproponował im pomocy. Wciągnęła panią Harrogate przez żelazną furtkę i dalej, do wnętrza domu.

Panowały tam półmrok i bezruch. Kiras obwąchał nogę stołu i zniknął w plamie cienia rozlewającej się z korytarza. Jakieś drzwi były otwarte. Wypchany łeb dzika wisiał spokojnie na ścianie nad zasłoną. Alice przez chwilę stała i nasłuchiwała, po czym wniosła panią Harrogate na górę i ułożyła na łóżku. Obmyła twarz i opłukała przetłuszczone włosy w miednicy, wróciła na parter i wyszła na ulicę. Przy moście Blackfriars znalazła zamiatacza ulic, dała dygoczącemu chłopakowi dwa szylingi i kazała mu pilnie sprowadzić doktora. Trzymając w ręce trzeciego szylinga, zapowiedziała, że dostanie go po przybyciu medyka.

Następnie wróciła do ich wynajętego pokoju, zebrała swoje rzeczy, rozliczyła się z gospodynią i byle jak przetaszczyła wszystko na drugą stronę skrzyżowania pod numer 23.

Głowa jej pękała, kostki rąk miała obite, ból w żebrach się wzmógł. Usiadła na dole i czekała na lekarza. Okazał się starszawym Irlandczykiem, który zadyszał się, zanim jeszcze wszedł po schodach. Usiadł przy pani Harrogate, wyjął zegarek kieszonkowy, zmierzył jej puls, uniósł powieki i zmarszczył brwi. Obmacał jej kolana, ostrożnie poruszył nogami w biodrach. Zamiatacz kręcił się w drzwiach: wielkie oczy i umorusana twarz. Ścisnął w garści trzeciego szylinga.

– Spadła z konia – wyjaśniła stojąca nad łóżkiem Alice. – Nie czuje nóg.

– Niezły upadek – burknął lekarz. Przyglądził bokobrody. – A te zadrapania?

– Gałęzie. Jechała przez park.

Zdjął coś z języka. Płatek tytoniu. Znużonym gestem zdjął okulary.

– Nie będzie w stanie chodzić – oznajmił bez ogródek. – Przykro mi. – Wyjął z torby małą fiolkę lekarstwa. – To na ból.

Alice nie potrafiła nawet zapłakać. Czuła tylko zmęczenie. Nie wiedziała, co robić. Bezradność była dla niej uczuciem nowym i niemiłym.

Kiedy pani Harrogate ocknęła się i jęknęła, Alice podała jej lek i starsza kobieta znowu zasnęła. Alice zmyła jej krew i ziemię z twarzy i szyi i zostawiła ją samą. Kiedy poprzednio nocowała w tym domu, Frank Coulton jeszcze żył, a ona przesiedziała całą noc w małym pokoju w głębi korytarza, wpatrzona w twarze śpiących Marlowe'a i Charliego. To wspomnienie też w niej tkwiło – i też nie wiedziała, co z nim zrobić.

Kiras przychodził do niej przez cały dzień: ocierał jej się o kostki, wskakiwał na kolana, mruczał. Głaskała go, drapała za uszami, patrzyła na niego – na smukłe,

gibkie stworzenie z czworgiem złotych zmrużonych ślepi – i tłumiąc dreszcze, wspominała sceny z podziemnej komory: rozmiar kirasa, liczbę jego odnóży, bojowy szal.

– Coś ty za jeden? – mruzczała, głaszcząc go. – Wiesz, że Margaret się ciebie boi? Tak, boi się. Może ja też powinnam? Co teraz zrobimy, malutki? Jak powstrzymamy Marbera? Nawet już nie mam obu twoich dziwozwojów. – Wyrzała przez okno na trującą żółtą mgłę. – Margaret uprzedzała, że zrobisz się dziwny, jeśli nie zamkniemy cię z powrotem.

Mówiła do siebie, pomrukiwała, gdy wtem coś poczuła, usłyszała, niemal jak dźwięk, tyle że w głowie. Eksplozja bólu, obraz w czerwieni, nagły przebłysk zrozumienia. *Jestem, jestem, jestem*. Głos w głowie – cichy, pozbawiony akcentu, natarczywy. Kiedy po chwili ucichł, pojawiło się coś innego, osobliwa świadomość, wiedza: w jakiś sposób Alice zrozumiała nie tylko to, że kiras jest spętany poprzez dziwozwoje, zamknięty – jak to ujęła Margaret – niczym ryba w akwarium, lecz także fakt, że jego uwięzienie jest złem, okrutnym złem i nieszczęsne stworzenie nigdy nie powinno zostać zniewolone. Powinno żyć wolno.

Jej ręka znieruchomiała. Wstrząśnięta Alice spojrzała na kirasa.

– Co... czy to... to ty? – szepnęła. – Mówisz do mnie?

Kiras strzepnął uchem i zamruczał.

Zerwała się na równe nogi. Kiras zeskoczył jej z kolan, przedreptał w kąt sofy i się zatrzymał. Wyprężył ogon.

„To niemożliwe”, pomyślała Alice, obserwując go z lękiem. „To na pewno nie jest możliwe”.

Następnego dnia zostawiła go zamkniętego na klucz w salonie od frontu i wyszła w zamglone miasto. Mimo wczesnej pory mgła snuła się gęsto i w półmroku ledwie było widać aureole światła wokół ulicznych lamp i rozmazane sylwetki przemykających pospiesznie przechodniów. Wróciła z dwoma kólkami do taczek (były małe, żelazne i miały solidne dębowe szprychy) i czarną skrzyneczką zawierającą narzędzia do pracy w drewnie. Obróciła do góry nogami jeden z foteli z sypialni na tyłach domu i wzięła się do piłowania, mierzenia i stukania młotkiem: czyste, przyjemne, konkretne zajęcie. Mocne nadgarstki miała obolałe i pokryte strupami po ataku Coultona, ale ból jej nie przeszkadzał. Przypomniała jej się scena z dzieciństwa w Bent Knee Hollow. Była tam kobieta, bardzo stara,

która nie mogła już chodzić: sadzano ją na starej drewnianej taczce wśród poduszek i koców i co niedzielę wożono na ognisko, żeby mogła spędzić czas z innymi. Alice przypomniała to sobie i pomyślała o biednej pani Harrogate, która stała się kaleką.

Tym chętniej zajęła się prostą pracą, która miała konkretny cel.

Zmontowała oś, wzmocniła siedzenie od spodu i przytwierdziła kółka na właściwej wysokości, po czym postawiła trzcinowy mebel na nogi i zainstalowała przedłużony uchwyt umożliwiający popychanie fotela. Na koniec wymościła siedzenie i oparcie poduszkami, odsunęła się o krok i zmierzyła swoje dzieło krytycznym spojrzeniem.

Fotel na kółkach.

Pani Harrogate nie chciała litości. Obudziła się wściekła w zapaskudzonej pościeli i Alice musiała ją przebrać i umyć, podczas gdy starsza kobieta piorunowała ją wzrokiem i starała się nie okazać zniesmaczenia. Chciała wiedzieć, co się stało z kirasem (nic), co z Jacobem i drughrem (nic) i czy Alice podjęła jakieś kroki, żeby powiadomić Cairndale, przez co przeszły (nie). Nie była zainteresowana diagnozą postawioną przez irlandzkiego doktora. Wiedziała swoje.

– Musimy natychmiast wziąć się do pracy, zanim Jacob i ten potwór zdążą zadziałać – powiedziała, kiedy Alice wiozła ją do świeżo poślanego łóżka. – Coś sobie przypomniałam w swoich snach. Glifin. Obawiam się, że domysły Jacoba są słuszne. Jeżeli glifin rzeczywiście umiera, to orsine rozpadnie się na kawałki i stanie otworem. I wyjdzie przez nie drughr.

Alice zadygotała.

– Niech pani tak nie stoi i się nie gapi. Będą mi potrzebne pióro i papier – rzuciła oschle pani Harrogate. Złapała się kolumnienki łóżka i zdołała usiąść. – Napiszę wiadomość, a pani zabierze ją na strych. Jest tam grzęda z moimi... posłańcami. To kościane ptaki, panno Quicke, takie jak ten, którego widziała pani w Cairndale. Jeden z nich zanieś moje ostrzeżenie do doktora Berghasta.

Kiedy Alice ani drgnęła, starsza kobieta spojrzała na nią, naprawdę na nią spojrzała i dotknęła znamienia na twarzy.

– Hm... – mruknęła. – Co się stało? Straciła pani nadzieję?

Zawstydzona Alice nie odpowiedziała. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała tego stwora, drughra, ogromnego, ciemnego, wrzeszczącego.

– Panno Quicke – podjęła pani Harrogate – powiedzmy coś sobie jasno. Nic, co warto zrobienia, nie jest łatwe. Zwycięzimy, ale nie możemy się teraz poddać. Nie zamierza się pani poddać, prawda?

– A jeśli zamierzam? – odparowała z goryczą Alice. Wcale tak nie myślała, ale gniew, rozczarowanie i wyrzuty sumienia po porażce wzięły w niej górę i zaskoczyły nawet ją swoim jadem. – Proszę na nas spojrzeć. Czy możemy teraz powstrzymać Marbera? Już prawie jest w Cairndale. A glifin, jak sama pani powiedziała, jest umierający. To znaczy, że drughr... – Głos jej się załamał. Zadrżała. – Tymczasem pani nie jest nawet w stanie skorzystać z basenu, do diabła!

Oczy pani Harrogate zabłyśły.

– Czy Cairndale już padło?

– To możliwe. Marber mógł przepelznąć przez tę cholerną dziurę w powietrzu prosto do kibla Berghasta.

– Nie zrobił tego.

– To pani tak twierdzi.

– Był ranny, panno Quicke. Będzie potrzebował czasu, żeby dojść do siebie, zebrać siły. Tak samo drughr. Otwarcie przejścia sporo go kosztowało.

– Mówi pani, jakby cokolwiek o tym wiedziała. A tak nie jest.

– No dobrze – stwierdziła pani Harrogate. – Posłuchajmy więc.

I rzeczywiście, teraz Alice nie potrafiła się już powstrzymać.

– Nie ma pani zielonego pojęcia, czym ten stwór w ogóle jest! – wykrzyknęła. – Nie mówiąc już o tym, co może zrobić, a czego nie!

Pani Harrogate długo jej się przyglądała.

– Myślałam, że jest pani ulepiona z twardszej gliny – zauważyła spokojnie. – Pan Coulton z pewnością tak uważał.

Alice się zarumieniła. Gniew uchodził z niej i nagle poczuła się zażenowana, rozdrażniona i zmęczona.

– I co? Sama pani widzi, dokąd go to doprowadziło.

– Usiądź – poleciła pani Harrogate.

Alice niechętnie usiadła.

– To jeszcze nie koniec, panno Quicke. Wbrew temu, co twierdzi Jacob, pan Thorpe jeszcze nie umarł. Ma w sobie więcej siły niż większość z nas. Wygląda na to, że doktor Berghast zdawał sobie sprawę z jego stanu. Spodziewam się, że ma już przygotowany jakiś plan, gdyby miało dojść do najgorszego. – Pani Harrogate utkwiała w Alice niezłomne spojrzenie. – Marlowe’a nadal można uratować, tak samo jak młodego Charlesa Ovida. Chyba że w tej chwili postanowimy zaprzestać wszelkich działań. Wtedy rzeczywiście to będzie koniec. Wtedy naprawdę zawiedziemy.

– Ale oni są zbyt silni. Co my możemy?

– Coś wymyślimy – odpowiedziała. – Otóż to, coś wymyślimy. – Spojrzała na zbudowany przez Alice trzcinowy fotel na kółkach. Stał w kącie pod oknem. – Zaczniemy od umieszczenia mnie w tym... czymś. Spakuje pani walizkę dla nas obu. Pojedziemy razem na północ ekspresem.

Alice przeniosła wzrok na cienie kładące się na tapecie, po czym znów spojrzała na panią Harrogate. Wszystko straciło sens. Nawet gdyby dotarły na czas...

Nagle kiras wśliznął się przez otwarte drzwi i podbiegł miękko do łóżka. Wskoczył na nie zwinnie, usiadł w pościeli, zwinął się i zaczął się myć.

– Zabierzemy ze sobą to stworzenie – orzekła pani Harrogate.

Alice się skrzywiła.

– On... przemówił do mnie. Wczoraj wieczorem. Pokazał mi, że te klucze go więżą. Krzywdzą. Zasluguje na uwolnienie. Cierpi.

– Przemówił do pani? – Pani Harrogate ściągnęła usta. – Tylko dziwozwoje trzymają go w ryzach, panno Quicke. Tylko dzięki nim jesteśmy bezpieczne. Owszem, można je nazwać prętami klatki, ale czy wypuściłaby pani dzikie zwierzę na wolność? Im dłużej pozostaje na swobodzie wśród nas, tym słabsza jest nasza władza nad nim.

Kiras podniósł mordkę, strzepnął uchem. Ziewnął.

– Oczywiście słucha nas w tej chwili. Prawda, że słuchasz? – zwróciła się pani Harrogate do kota, a potem spojrzała Alice w oczy. Miała chmurną, zatroskaną minę. – Widziała pani, do czego jest zdolny. Musimy odzyskać drugi klucz.

– A jeśli nie?

Pytanie Alice pozostało bez odpowiedzi. Pani Harrogate nie musiała nic mówić, bo i bez tego Alice aż nazbyt dobrze wiedziała, co ma na myśli. „Jeśli nie, to trzeba będzie go zniszczyć”. Alice czuła jednak, że to by było niewłaściwe. Patrzyła na kirasa i nie widziała w nim dzikości, tylko godność. Czy nie zasługiwał na życie w zgodzie ze swoją naturą? Na powrót do należnego mu miejsca?

Ale pani Harrogate jeszcze nie skończyła.

– Mamy inny problem. Jeśli Jacob ma drugi dziwozwój, to kiras nie będzie mógł go zaatakować. Jest bezpieczny.

Alice zamyśliła się nad jej słowami. Miała wrażenie, że gorzej już być nie może.

Na dokładkę pani Harrogate dodała półgłosem:

– Jacob nie będzie czekał, aż pan Thorpe umrze. Zamierza przyspieszyć jego śmierć, panno Quicke. Chce zabić glifina.

– Ale nie może dostać się do Cairndale, dopóki glifin jest...

– Posłuży się Walterem.

– Litchem? – zdziwiła się Alice. – W jaki sposób?

– On już tam jest. W Cairndale.

Alice przetarła twarz dłonią, usiłując to wszystko ogarnąć.

– Walter nie żyje, zginął w pociągu...

– Niestety nie zginął. Doktor Berghast trzyma go w Cairndale. Po walce w pociągu osobisty służący doktora znalazł go nieprzytomnego koło torów i zabrał na północ, do rezydencji. Tam Walter miał zostać... przesłuchany. – Oczy pani Harrogate aż poczerniały z odrazy. – Myśleliśmy, że jesteśmy sprytni, ale się myliliśmy. Walter nieprzypadkowo trafił do Instytutu. To część planu Jacoba. Jeśli Walter się uwolni i zabije glifina...

Alice oblizwała nerwowo wargi.

– ...to potwór będzie mógł wejść do naszego świata.

Margaret Harrogate pokiwała głową.

– Wszystko będzie mogło tu wejść.

Kiras zamruczał i zmierzył je spojrzeniem czworga złotych oczu.

Dokładnie w tej samej chwili głęboko w podziemiach Cairndale Walter Laster cofał się po omacku w wilgotnej ciemności, pobrzękując łańcuchami, aż plecami

oparł się o kamienną ścianę. Było mu zimno, przeraźliwie zimno. Gdzieś na drugim końcu celi stał stolik, a na nim błękitny spodeczek z opium. Walter zawsze dobrze służył Jacobowi, prawda? Kochał go, czyż nie?

Jacob by go nie porzucił, nie zostawiłby swojego przyjaciela...

Czas rozciągał się w absolut. Pozbawione światła godziny, pozbawione światła dni. Czasem drzwi szczękały, zasuwę odsuwały się ze zgrzytem, szpara światła poszerzała się z jękiem i do celi wchodził wysoki milczący mężczyzna, ten służący, jak mu tam... Bailey. Spoglądał na Waltera, a wzrok miał przerażający. Walter skamlał, och tak, Walter błagał, proszę, proszę, nie bij mnie znowu. Potem wracała ciemność i znowu drzwi, szcęk, zgrzyt zasuw, ta sama szczelina światła z lampy znów się rozszerzała i Bailey wracał. Przynosił wodę, czasem mięso.

Ale ten drugi, doktor, ten z siwą brodą i strasznymi oczami, który udawał życzliwego, Henry Berghast, tak... On nie przychodził. Walter czekał. Powietrze wokół niego aż wibrowało przemocą, kamienie drżały delikatnie. Wyczuwał bliskość orsine, było jak żywa istota, niecierpliwa, podekscytowana.

Walterze, Walterze...

– Jesteśmy Walterem – szeptał ze smutkiem w sercu. Przesuwał językiem po ostrych jak igły zębach.

Jacob nadchodzi, Walterze. Już prawie czas...

A on skomlał pod nosem i podzwaniał łańcuchami na nadgarstkach, jakby głosy mogły go zobaczyć i usłyszeć, i sfrustrowany kręcił głową.

– Nie możemy tego zrobić, jak mamy to zrobić, spójrz, spójrz na nas...

Wibracje nie ustawały. Głosy nie cichły.

Walterze, Walterze, mały Walterze, szeptały. Jacob się zbliża. Znajdź glifina. Znajdź glifina, znajdź glifina, znajdź...

Prawda alchemiczki

Odziana w grubą pelerynę Ribs prześliznęła się między pachółkami odgradzającymi chodnik po drugiej stronie ulicy i weszła do zakładu świecarskiego. Drzwi zamknęły się za nią. W sklepie było ciemno, w oknach odbijał się zniekształcony obraz mokrej ulicy. Stojący obok Komako Oskar pociągał nosem i z niepokojem marszczył brwi.

Minęło pięć minut.

Dziesięć.

– Wystarczy – powiedziała Komako. – Chodźmy po nią.

– Nie powinniśmy poczekać, aż wyjdzie? – zapytał Oskar. – Nie tak powiedziałaś?

Komako otarła krople deszczu z twarzy.

– A czyj to plan?

– Twój?

– Mój. Jeśli chcesz tu czekać sam...

– Nie chcę – odparł szybko Oskar.

Wewnątrz zalegały cisza i ciemność. Okna były od środka tłuste od sadzy, światło deszczowego dnia z trudem się przez nie przedzierało. Drzwi zamknęły się za Komako z brzękiem dzwonka. Długą chwilę stała nieruchomo i czekała, aż oczy przyzwyczają się do półmroku.

Powietrze było duszne, niezdrowe. Smród łoju, olejów i czegoś paskudnie gryzącego jak ług palił w nozdrza. Przy drzwiach piętrzyły się stosy

zapięczętowanych i ostemplowanych skrzynek wypełnionych przemysłowymi świecami. Komako zrobiła ostrożnie krok do przodu, zdejmując przy tym rękawiczki.

Mieszczący się przy skrzyżowaniu sklepik był wąski, dlatego kontuar sprzedawcy ulokowano w głębi pomieszczenia. Komako przyjrzała się niskiemu sufitowi i starym, wieloletnim brązowym zaciekom. Kinkiety rzucały słabe światło. Kiedy odzyskała ostrość widzenia, ruszyła pomiędzy długimi regałami. Ich półki były zastawione puszkami, słoikami i zwojami sznurka różnej grubości. Mokra buty Oskara poskrzypywały cicho za jej plecami. W głębi sklepu toczyła się kłótnia. Dwa głosy. Żaden z nich nie należał do Ribs. Sprzeczali się mężczyzna i kobieta, niemłodzi, być może małżeństwo. Kobieta była z jakiegoś powodu niezadowolona i urażona. Komako pochyliła się lekko i podeszła bliżej. Nagle dostrzegła coś pod regałem i zamarła. Leżały tam schludnie złożona mokra peleryna, prosta szara sukienka, halka i para bardzo mokrych butów.

Oskar przykucnął obok niej, kręcąc głową.

– Rozebrała się, Ko – szepnął. – Zrobiła się niewidzialna.

– Jesteś geniuszem.

Zirytowana Ko pomyślała, że prawdziwy talent Oskara mógłby polegać na stwierdzaniu oczywistości.

Jeśli Ribs się rozebrała, to teraz mogła być dosłownie wszędzie. Znaczyło to również, że zobaczyła albo usłyszała coś, co kazało jej zachować najwyższą ostrożność. Oni też powinni uważać.

– Ej! Wy tam!

Podniosła wzrok. Kobieta w podeszłym wieku, ubrana w skórzany fartuch, z włosami przewiązanymi chustką, piorunowała ją wzrokiem. Mówiła jak Angielka, nie Szkotka. W pomarszczonej dłoni ścisnęła drewnianą łyżkę. Drugiej ręki nie miała.

– Czego tu myszkujecie, hę?

– Wcale nie myszkujemy – odparła spokojnie Komako, starannie artykułując każde słowo.

Odrzuciła kaptur z twarzy. Oskar zrobił to samo.

– Spójrz, Edwardzie, mała Azjatka! – zawołała kobieta.

Patrzyła przy tym ponad ich głowami. Komako się odwróciła. Przy końcu regału stał starszy, przysadzisty mężczyzna w samej koszuli. Odciał im drogę wyjścia. Miał zaniedbaną brodę i plamy od tytoniu wokół ust. Na owłosionych nadgarstkach rysowały się czarne kręgi brudu.

– A gada toto jak królowa! – dodała kobieta.

– Ha! – burknął mężczyzna.

Komako podniosła podbródek, usłyszawszy imię mężczyzny. Słowa kobiety puściła mimo uszu.

– Pan Edward Albany? – zapytała. – To pan?

– Ha! – burknął ponownie i ściągnął brwi w podejrzliwym grymasie.

– Szukaliśmy pana. Przyjechaliśmy z Instytutu Cairndale. Zna pan to miejsce?

Komako obserwowała jego reakcję, ale nie dostrzegła niczego, nawet najmniejszej oznaki skojarzenia tej nazwy. Odwróciła się do kobiety, ale ta najwyraźniej czekała, co jeszcze usłyszy.

– Mów dalej – poleciła. – O co chodzi?

– Nie dostarczacie swoich towarów do Instytutu? – spytała Komako, którą ogarnęły wątpliwości.

Edward Albany zmarszczył czoło i zerknął bezradnie na kobietę. Nagle Komako w tym dojrzałym mężczyźnie dostrzegła coś z dziecka. W jednej ręce trzymał kilka zwojów drutu, które teraz odwiesił na hak przy regale, a potem wzruszył ramionami i powłócząc nogami, przeszedł do innej części sklepu. Mimo że zniknął im z oczu, nadal było słychać jego ciężki oddech.

Oskar zerkał na nią pytająco. Nigdzie nie widzieli Ribs.

– Czego ci trzeba, dziewczyno? – wtrąciła się kobieta. – Dostawy, powiadasz? Owszem, sprzedajemy towar z dostawą, ale wyłącznie w obrębie miasta. Jak sama widzisz, jest nas tylko dwoje, w dodatku zdrowie już nie to co dawniej... Mówiłaś, że skąd jesteście?

Podeszła bliżej, a Komako poczuła bijący od niej zapach ługu i tłuszczu. Jedyłą rękę miała poparzoną i odbarwioną do wysokości nadgarstka, a kikut drugiej wyglądał jak kawał surowego mięsa. Jej oczy pożółkły ze starości, niedożywienia albo jakiejś ponurej choroby i łzawiły lekko przy kącikach. Komako natychmiast zrozumiała, że się pomyliła, i szorstkość w obejściu nie oznacza bynajmniej niezyczliwości. Ta biedna kobieta wiodła ciężkie życie.

– Przemokliście do suchej nitki – mruknęła. – Kapiecie mi na podłogę.

Komako skinęła głową.

– Tak, proszę pani.

– No już dobrze, dobrze. Jestem pani Ficke. Musimy was ogrzać. Na tyłach jest mały piecyk, grzeje jak zgoniony koń. Jak się nazywasz, chłopcze?

– Oskar, proszę pani.

Komako zaczęła się odprężyć.

– Pani Ficke – zagadnęła – czy nazwisko Henry Berghast coś pani mówi? Jesteśmy tu w jego imieniu.

Kobieta w zadumie postukała się łyżką po brodzie.

– Berghast, Berghast... – mruknęła. Oczy jej zabłyśły. – Brzmi znajomo.

Komako wycierała ręce o swój fartuch.

– Czyli zna go pani?

Coś się zmieniło w twarzy pani Ficke, jakby tuż pod skórą przemknął przez nią cień.

– Siwa broda? Diabelnie przystojny? – Pokiwała głową. – Z gruntu porządny człowiek. Owszem, znam go.

Komako nie przemyślała wcześniej, co powie, gdyby spotkali kogoś w sklepie. Sądziła, że zakradną się i może coś usłyszą, a nie że spotkają właścicielkę, kierowniczkę czy kim ta kobieta była, która na dodatek okaże się taka... życzliwa.

– Pani Ficke, interesują nas dostawy, które przychodzą do Cairndale co dwa tygodnie. A także... ekhm... pasażerowie, których zabiera powóz. Skierowano nas tutaj. Mamy kilka pytań...

– Skierowano was tutaj? Do mojego sklepu? Kto was tu skierował, kochaniutka?

– To skomplikowane.

– Nie wątpię. Większość spraw jest skomplikowana. – Kobieta zmierzyła Komako przenikliwym spojrzeniem. – Powiedz mi jednak prawdę. Czy Henry wie, że jego podopieczni uciekli i wtykają nos w jego sprawy?

Zerknęła w bok... i chociaż zrobiła to przelotnie, dyskretnie, wystarczyło to za ostrzeżenie. Komako błyskawicznie obróciła się na pięcie, wciągając kurz w opuszki palców.

Edward Albany stał przy regale z ciężką pałką w garści. Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Albany zamachnął się i uderzył z góry, strącając jednocześnie słoje z półek. Komako i Oskar krzyknęli jednym głosem. Komako próbowała przywołać pył, ale nie zdążyła. Pałka w dłoni Albany'ego spadła ponownie, a wtedy palący ból wypełnił jej głowę, oczy uciekły w głąb czaszki i nagle wszystko stało się cudownie, bezboleśnie i bezgłośnie czarne.

Niewidzialna Ribs stała za ladą i w milczeniu patrzyła, jak jej przyjaciele zostają pozbawieni przytomności. Nie ruszyła im na pomoc, nie drgnęła, kiedy stary świeczarz zamknął drzwi wejściowe i odwrócił tabliczkę napisem ZAMKNIĘTE na zewnątrz, nie próbowała się zbliżyć. Manipulowanie talentem po długiej nocy bez snu przyprawiało ją o dreszcze. Miała wrażenie, że skóra płonie jej żywym ogniem. Skrzywiła się, ale zapanowała nad bólem. W tej chwili musiała przede wszystkim się nie poruszyć.

Prawda była taka, że kipiała ze złości. Zirykowała ją niecierpliwość Komako i podstępne pytania staruchy. Zgoda, już sam pomysł, żeby potajemnie udać się do Edynburga i odkryć, co knuje Berghast, był głupi i Ribs mogła to powiedzieć Ko już dawno. Ale czy kiedykolwiek ktoś jej posłuchał?

A teraz mogli przez to zginąć!

Wcześniej bezszelestnie zakradła się do sklepu. Złapała w rękę dzwonek przy wejściu, by stłumić jego dźwięk, gdy drzwi zamykały się za nią, a potem weszła między regały. Wtedy też usłyszała rozmowę dwojga starych ludzi, natychmiast więc przykucnęła i zaczęła słuchać. Niemal od razu wychwyciła słowo „Cairndale”.

Rozebrała się cicho, wytarła włosy koszulą i schowała ubranie pod regał. Oczekała, aż mrowienie ogarnie całą jej skórę. Wkrótce w miejscu, gdzie powinno być jej ciało, zostały tylko światło i kurz. Ten moment wciąż przyprawiał ją o zawrót głowy, gdy patrzyła na swoje ręce i nogi i niczego nie widziała. Zawsze następowała chwila, gdy miała wrażenie, że się przewraca; na szczęście mijała i Ribs odzyskiwała klarowność myśli.

Podkradła się bliżej, żeby lepiej słyszeć.

Kobieta bez ręki mówiła o jakichś dostawach. Wyglądało na to, że planowali wysyłkę już wieczorem, instruowała więc swiego mężczyznę, żeby szczególnie uważnie pilnował skrzynek. Cokolwiek się w nich znajdowało, najwyraźniej było

kruche albo cenniejsze niż zwykle. Mężczyzna kiwał głową w rytm jej pouczeń, niemy i ponury.

– Już niedługo – mruknęła w pewnym momencie kobieta. – Biednemu glifinowi zostało niewiele życia, nie ma na to rady. Nie da się zatkać woskiem dziury w łodzi, jak mawiał mój świętej pamięci mężulek. A ci na piętrze są gorsi nawet od wosku. Nie, Henry nie będzie już długo zwlekał. – Zawiesiła głos i podniosła wzrok.

Ribs wstrzymała oddech. Kobieta patrzyła gniewnie w jej kierunku, prawie jakby ją widziała.

Wtedy jednak rozległ się dźwięk dzwonka przy wejściu. Ribs spojrzała w tamtą stronę: Komako i Oskar weszli do sklepu, ociekając wodą.

A teraz oberwali po łbie, durnie. Zazgrzytała zębami. Kiedy jednak patrzyła, jak ostrożnie pani Ficke i jej towarzysz zajmują się nieprzytomnymi dziećmi, jak bardzo uważają, żeby któreś z nich nie uderzyło głową o regał, gdy nieśli je ku schodom do piwnicy, zaczęła się zastanawiać. Nie wyglądało na to, żeby chcieli im zrobić krzywdę.

Przynajmniej na razie.

Stare rozchwierutane schody prowadziły z zaplecza na piętro. Ribs pośpieszyła w ich kierunku. „Ci na piętrze”, powiedziała kobieta. Ko i Oskara trzeba było ratować, to jasne, ale kiedy się tym zajmie, nie będzie już miała okazji się rozejrzeć. Powinna najpierw zbadać teren.

Po cichu, trzymając się zewnętrznej krawędzi schodów, żeby nie skrzypiały, weszła na piętro.

Komako otworzyła oczy. Było ciemno. Głowa pulsowała jej bólem. Poruszyła się i stwierdziła, że zaczerwienione dłonie ma związane z przodu, a kieszenie wywrócone na lewą stronę. Obok niej, na podłodze słabo oświetlonej piwnicy, leżał podobnie skrepowany Oskar. Klepisko było zimne i wilgotne.

– No, budzi się. Doskonale.

Kobieta poruszała się w ciemności, przestawiała jakieś rzeczy, kopniakami roztrącała śmieci. Jej głos wydał się Komako stłumiony i zgrzytliwy.

Jęknęła wbrew sobie, potrzasnęła głową, żeby jej się przejaśniło.

– Wszystko przez Edwarda – powiedziała kobieta. – Przykro mi z powodu twojej głowy, on nie zdaje sobie sprawy z własnej siły. Ale wiesz, ostrożności nigdy za wiele. Daj mi jeszcze chwilkę, niech tu skończę...

Musiała znaleźć to, czego szukała, bo zamilkła, a minutę później w piwnicy zrobiło się jasno. Komako mogła się teraz rozejrzeć.

Znajdowali się w laboratorium. Wysoko po ścianach biegły szklane rury, w których powoli przelewały się jakieś płyny. W dwóch kątach stały piecyki, na których coś bulgotało. Regał ugiął się pod ciężarem grubaśnych ksiąg. Niedaleko Komako w długim drewnianym korycie łaziły setki białych żuków. W półmroku majaczyły zakurzone skrzynki i beczki, pod ścianą naprzeciwko stały słoje z preparatami. Pani Ficke pracowała przy długim stole na środku piwnicy: odsunęła na bok słoje i książki i była zajęta mieszaniem jakiejś mikstury. Do kikutu ręki miała przytwierdzone dziwne urządzenie, coś w rodzaju zwielokrotnionego żelaznego haka z ruchomymi szponami, poruszanych za pośrednictwem dźwigierek i zębatek. Urządzenie było przytrzymywane skórzanymi paskami oraz sprzączkami, które krzyżowały się na jej piersi i biegły na plecy. Szponiasta łapa zręcznie przesuwiała słoiki, podnosiła pudełka, odpinała druciane mocowania pokrywek na słojach. Komako nie mogła oderwać od niej wzroku.

Oskar zaczął się wiercić, podniósł pyzată twarz i zrobił wystraszoną minę, kiedy uświadomił sobie ich położenie.

– Ko?

– Wszystko w porządku – szepnęła. – Będzie dobrze.

– Witaj, Oskarze – powiedziała łagodnym tonem pani Ficke. – Przepraszam za sznury.

– Co pani z nami zrobi? – zapytała Komako.

– Zrobi?

– Skrzywdzi nas pani?

Kobieta się skrzywiła.

– Ależ drogie dziecko, oczywiście, że nie.

– Nie wierzę.

– Jak chcesz. – Pani Ficke przesypywała właśnie drobny proszek na szalkę wagi, by dokładnie odmierzyć jego ilość.

– Niech pani to udowodni – zażądała Komako. – Proszę nas rozwiązać.

Pani Ficke przerwała pracę tylko po to, by posłać jej protekcyjny uśmiech, ale nie zdradzała najmniejszego zamiaru uwolnienia ich. Nad ich głowami zaskrzypiały deski tworzące podłogę sklepu: ktoś – może Edward Albany – przeszedł po nich ciężkim krokiem. Kurz osypał się z góry, wyraźnie widoczny w świetle latarni.

– Ty musisz być Komako – powiedziała pani Ficke. – Pyłowladczyni. Zgadza się?

– To pani nas... zna? – zdziwiła się Komako.

– Wiem więcej, niż sobie wyobrażasz. A ty, Oskarze... Gdzie jest twój towarzysz, twój... ciałołbrzym? Tak go nazywasz?

Oskar spiorunował ją wzrokiem.

– Idzie już po mnie. I radziłbym pani stąd zniknąć, zanim przybędzie.

– Na pewno masz rację, to imponujące stworzenie. Spodziewałam się, że będzie z wami Eleanor.

– Poszła po pomoc.

– Nie sądzę. – Pani Ficke rozejrzała się w ciemności. – Myślę raczej, że jest tu teraz z nami. Prawda, Eleanor? Mam nadzieję, że nie planujesz żadnych głupstw.

Z ciemności nie padła żadna odpowiedź, nie rozległ się żaden dźwięk. Komako nie czuła, żeby Ribs była w pobliżu, ale z nią czasem trudno było mieć pewność. Bała się o przyjaciółkę. Gdziekolwiek jednak Ribs w tej chwili przebywała, było to zapewne lepsze miejsce niż piwnica.

– Nieważne – powiedziała pani Ficke. – Szukacie odpowiedzi? Henry nigdy za mną szczególnie nie przepadał, ale wątpię, żeby przysłał tu swoich podopiecznych, by mnie... ostrzegli. Dlatego domyślałam się, że przybyliście tu z własnej woli. Co zrobiliście? Uciekliście z Instytutu? Czy przyszliście w poszukiwaniu czegoś bardziej konkretnego?

Komako oblizwała usta. Poczwała w nadgarstkach zimno i lodowaty ból. Gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca, kiedy pył zaczął wirować wokół jej palców. Jeśli ta kobieta naprawdę wiedziała tak dużo, to powinna też wiedzieć, że sznury na niewiele się zdadzą przeciwko jej talentowi.

Ale pani Ficke tylko zacmokała cicho z dezaprobatą.

– To nie jest ani konieczne, ani sensowne, Komako. Nie, jeśli szukacie odpowiedzi.

Wzięła jeden z alembików w zdrową rękę, obeszła stół i wysypanym z naczynia ciemnym pyłem wyrysowała krąg wokół związanych Komako i Oskara. Ból dłoni natychmiast ustąpił, pył opadł, talent Komako zgasł.

– Co...?

– To wygaszacz, drogie dziecko. Proszek tłumiący talenty. Na pomysł jego receptury wpadłam dawno temu, badając pewną kościaną wiedźmę. Nie działa zbyt długo, ale przynajmniej pozwoli nam porozmawiać jak cywilizowanym ludziom.

Pani Ficke ciężkim krokiem obeszła długi stół, przesunęła parę butelek i słoików, szturchnęła parujący płyn. Lampa przyświecała jej ze stosu starych ksiąg za plecami.

– Boisz się, że zamierzam was skrzywdzić, tymczasem wcale nie jesteście wrogami. To by było nie w porządku, tacy jak my powinni trzymać się razem. Poza tym Henry sam wymyślił dla was karę, kiedy wrócicie do Cairndale.

– Tacy jak my?

– Jestem jedną z was. W każdym razie kiedyś byłam. Zaskoczona?

Jeśli jej twarz zdradzała niedowierzanie, Komako nic nie mogła na to poradzić. Spuściła podbródek, żeby włosy opadły jej na twarz.

– Jestem jednym z wygnańców. Słyszałaś o nas? Pewnie nie za dużo. Już za moich czasów rzadko się o nich mówiło. – Ściągnęła brwi. – Niektórzy z wiekiem tracą talent, nikt nie umie powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Po prostu... pewnego dnia gasną. Jeśli taki dzień nadejdzie, to zgodnie z tradycją Cairndale, wprowadzoną przez Henry'ego, prosi się ich uprzejmiem, by odeszli.

– Została pani odesłana z Instytutu – zrozumiał w końcu Oskar.

– Doktor Berghast nigdy by tego nie zrobił – odpowiedziała Komako szybko i z pełnym przekonaniem.

Pani Ficke podniosła głowę, blask lampy padł na jej twarz.

– Aż tak dobrze znasz Henry'ego? – spytała cicho.

– Od tamtej pory jest całkiem sama – szepnął Oskar do Komako. – Wyobraź sobie...

– Żadnych takich, chłopcze – przerwała mu pani Ficke, piorunując go wzrokiem.
– Nie życzę sobie litości. Miałam ciekawsze życie niż większość ludzi. Jest wiele eksperymentów do przeprowadzenia, wiedzy do zdobycia... – Wskazała otaczającą ich piwnicę. – Nie wygląda to może imponująco, nie jest to elegancki uniwersytet, ale należy do mnie. W Akademii Królewskiej nigdy nie było zbyt wiele miejsca dla kobiet, a w dodatku nie spodobałyby im się moje zainteresowania. Krzywo tam się patrzy na niezależne myślenie. Ja zaś przez całe życie badałam drugą stronę medalu, studiowałam to, co nie powinno istnieć.

Komako łypnęła na nią spod oka.

– No tak. Świece.

– Alchemię, moja droga, gałąź wiedzy starszą i mądrzejszą niż dzisiejsze nauki ścisłe. Naukowcy boją się tego, co my, alchemicy, kiedyś wiedzieliśmy. Kiedy Henry odesłał mnie z Instytutu, miałam dziewiętnaście lat. Nie potrzebował mnie już.

– Myśli pani, że teraz potrzebuje?

Oczy kobiety zabłyśły.

– Zadbałam o to, żeby stać się dla niego użyteczną.

– Z powodu glifina.

– Owszem, chodzi o moje tynktury – przytaknęła pani Ficke półgłosem. – Od dawna utrzymuję go przy życiu. Bystre z ciebie stworzenie... Ale ja zrobiłam coś więcej, ptaszyno.

Węzły na nadgarstkach wgrzyzały się w ciało Komako. Zerknęła na Oskara: szeroko otwartymi oczami patrzył na panią Ficke. Był przerażony.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – spytała szeptem, cedząc słowa. Bała się odpowiedzi. – Co takiego pani zrobiła?

Ribs zatrzymała się u szczytu schodów. W sklepie panowała cisza. Z oddali dobiegało stłumione bębnienie deszczu o dach.

Ostrożnie zrobiła krok do przodu.

Na piętrze ŚWIEC U ALBANYEGO było ciemno. Znalazła się w długim korytarzu biegnącym przez całą długość budynku, aż do okna wychodzącego na ulicę, które jakiś czas temu zostało zamurowane. Było jeszcze kilka małych okienek umieszczonych wysoko w ścianie po prawej stronie, przez które wpadała odrobina

światła. Po lewej znajdował się ciąg drzwi niczym w pensjonacie. Wszystkie były zamknięte.

Nagle usłyszała jakieś kwilenie dochodzące z za najbliższych drzwi. Mógł to być pomiaukujący kotek. Pociągnęła za klamkę, ale drzwi się nie otworzyły, przycisnęła więc do nich ucho. Miauczenie na chwilę ucichło, by zaraz się powtórzyć.

Drzwi – zamkniętych na klucz – było łącznie siedmioro. Za większością panowała cisza, tylko z za przedostatnich było słycać skrobanie, jakby kopało tam małe zwierzątko.

Odwróciła się niepewnie, słysząc zbliżające się ciężkie kroki na schodach. To był ten wysoki mężczyzna, Edward Albany. W poparzonych ługiem dłoniach niósł drewnianą skrzynkę, w której coś pobrzękiwało. Ribs patrzyła, jak przyklęka, delikatnie stawia skrzynkę na podłodze i wyjmuje z niej miskę pełną jakichś pomyj oraz brudny, zatłuszczony kubek. Otworzył pierwsze drzwi i wszedł do środka.

Serce podchodziło jej do gardła, gdy w półmroku podbiegła do otwartych drzwi. Poczowała mocny smród niemytego ciała. Zatrzymała się w progu, próbując pojąć, co właściwie widzi.

Mały pokój. Wnętrze było ciemne, okno zabite deskami. Dzielne światło wpadało przez szpary i kładło się pasami na podłodze. Małe łóżko. Skrzynia na ubrania. I obdarta postać w kącie, zgarbiona, odwrócona plecami, wstrząsana cichym płaczem. Edward Albany postawił miskę i kubek tuż za progiem, po czym wszedł głębiej i stanął nad dzieckiem.

Tyle że to nie było dziecko, teraz Ribs widziała wyraźnie. Coś miękkiego i zdeformowanego podniosło wykrzywioną rękę, kiedy Edward Albany uklęknął obok. Z pleców tej istoty wyrastało coś, co wyglądało jak korzenie albo gałęzie – z tego powodu musiała mieć rozciętą koszulę. Albany wziął stworzenie w ramiona, objął i zaczął kołysać i gruchać do niego, aż powoli, stopniowo stwór przestał płakać. Dziwne, podobne do korzeni wyrostki splatały się z nadgarstkami i ramionami Edwarda Albany'ego, ale robiły to bardzo delikatnie. Wyglądało na to, że stworzenie nie jest w stanie samo chodzić, mogło tylko czołgać się po podłodze. Po pewnym czasie Albany bez wielkiego wysiłku wziął je na ręce, zaniósł do łóżeczka i tam położył. Ribs dostrzegła regał z książkami. Albany wziął jedną z nich, otworzył i zaczął czytać. Stworzenie w łóżku podniosło głowę i poruszyło językiem, jakby próbowało się odezwać. A wtedy zdjęta zgrozą Ribs je rozpoznała.

Jego rysy przemieściły się, niemal roztopiły. Nos miał wykrzywiony, oczy dziwnie zapadnięte, ale tak, to był on. Znała tę twarz, widywała ją przez ostatnie sześć lat na korytarzach Instytutu, w jadalni, na ławkach.

To był zaginiony Brendan, ten sam, który budował model Cairndale z zapalek.

Edward Albany czytał łagodnym głosem, dużą, poblížnioną dłonią mierzwiąc chłopcu włosy, które były całkiem białe i rosły dziwnie z boku czaszki. Ribs zerknęła na skrzynkę i zobaczyła w niej sześć kolejnych misek i sześć kubków. Spojrzała w głąb korytarza na sześcioro drzwi i zrozumiała.

W piwnicy Komako masowała nadgarstki, przysuwając się do Oskara i obserwując panią Ficke przy pracy. Kobieta stała się nagle nieufna, chytra, miało się wrażenie, że chce powiedzieć coś więcej, ale gryzie się w język.

Powietrze niesło dziwny zapach spalenizny.

– Niech pani powie – naciskała sfrustrowana Komako – po co pomagać Cairndale, skoro się pani pozbyli? Po co pracować dla doktora Berghasta, jeśli go pani nie lubi?

– Nie lubię go? – Przez twarz pani Ficke przemknął uśmiech. – Co ma do tego lubienie albo nie lubienie?

– Powinna pani po prostu odejść, wyjechać do Londynu, do Ameryki, gdziekolwiek. Nie musi pani tu tkwić i warzyć... tynktur.

Kobieta pociągnęła nosem.

– W waszym wieku wszystko wydaje się takie proste. Pamiętam to. W rzeczywistości nic nie jest proste, zwłaszcza kiedy wziąć pod uwagę czas, zdradę i przebaczenie. Prawda jest taka, że mam... dług u Henry'ego. Dług, którego nigdy nie spłacę do końca, choćbym nie wiem jak się starała. – Spuściła głowę, po chwili znów podniosła wzrok. Zaterkotały zębatki jej żelaznego haka. – Edward... Henry okazał mojemu bratu życzliwość, która uratowała mu życie. A długi należy spłacać, choćby krwią.

– K-k-krwią? – wydukał Oskar.

Rumieniec wystąpił na policzki Komako.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Co się stało?

Pani Ficke wzruszyła ramionami.

– Masz rację, że jesteś podejrzliwa, ptaszyno. – Wysunęła blady język spomiędzy warg, jakby smakowała powietrze. – Kiedyś zachowałabym się tak samo. A teraz bądźmy ze sobą szczerzy. Jesteście tu z powodu zaginionych dzieci. Nie okłamujcie mnie.

Oskar otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale je zamknął.

Komako odgarnęła opadający na twarz warkocz.

– Gdzie one są?

– Dzieje się tu więcej, niż przypuszczacie – mruknęła pani Ficke. – Wydaje się wam, że polujecie na lwa, ale to dżungla poluje na was oboje.

Spojrzała w głąb mrocznej piwnicy, jakby podejmowała jakąś decyzję. Potem podeszła i rozwiązała małych więźniów. Oskar usiadł prosto, rozcierając nadgarstki. Nadgarstki Komako natomiast płonęły. Rozruszała je i ostrożnie rozmasowała otartą skórę.

– Eleanor! – zawołała stara kobieta. – Wyjdź. Przekonasz się, że przyniosłam twoje ubrania tu na dół i zostawiłam je za beczką w kącie. Gdybyś zechciała się ubrać i dołączyć do nas...

Komako uśmiechnęła się chytrze pod nosem. Miała nadzieję, że Ribs jest daleko stąd, może szuka sposobu, żeby im pomóc, ale po chwili ku własnemu zaskoczeniu usłyszała jej gniewny szept:

– Widziałam je!

– Widziałas co?

Zza jednej ze skrzyń wynurzyła się Ribs z umorusaną twarzą i opadającymi na ramiona potarganymi strąkami włosów. Już była ubrana. Podeszła powoli i stanęła obok przyjaciół z twarzą wykrzywioną w nienawistnym grymasie. Ledwie spojrzała na Komako; cały jej gniew był skierowany na panią Ficke.

– Widziałam Brendana. I pozostałych.

Pani Ficke zamarła. Jej szponiasty hak znieruchomiał nad ogniem. Cofnęła go, zamrugła zaskoczona i zmarszczyła czoło.

– Nie powinnaś była iść na górę.

– Co mu zrobiłaś?! – dopytywała się Ribs podniesionym głosem. – Co zrobiliście im wszystkim? Kiedy doktor Berghast się dowie...

– Kiedy doktor się dowie, tak?

– Kiedy powiem mu, co zrobiłaś...

– Ty mu powiesz, mhm...

– To cholernie wtedy pożałujesz. – Ribs zacisnęła pięści i z groźną miną zrobiła krok w stronę pani Ficke.

Ta nawet nie drgnęła.

– Ech, ptaszyno, ty naprawdę nic nie rozumiesz – powiedziała z żalem. – Ci na górze to robota Henry’ego. Nie moja.

– Diabła tam, nie twoja!

Komako odciągnęła przyjaciółkę.

– Co się dzieje? Ribs?

Ribs obróciła się do niej gwałtownie. Toczyła wokół obłąkanym wzrokiem.

– To potwory, Ko – tłumaczyła pośpiesznie. – Siedzą pozamykani w małych pokoikach, zamienieni w... – Zadygotała.

Oskar rozdziawił usta.

– Kto taki? Zaginione dzieci?

Komako pośpiesznie wyszła z kręgu wygaszacza i wciągnęła pełną pięść pyłu. Gniew tętnił w niej jak żywy. Poczowała szarpnięcie, gwałtowny ból wspiął się po jej nadgarstkach i przedramionach. Pył przejął nad nią władzę. Zerknęła na schody, ale Edwarda Albany’ego nigdzie nie było widać.

– Śmiało, zrób to – powiedziała pani Ficke. Popis Komako chyba niezbyt jej zaimponował. – Ale wtedy nie będzie już nikogo, kto by je karmił, mył czy przebierał. Myślisz, że Henry’emu zależy na utrzymaniu ich przy życiu? Nikt się nimi nie interesuje, tylko ja i Edward się nimi zajmujemy.

Gęsty czarny pył wirował wokół nadgarstków Komako.

– Pokaż mi – zażądała. – Pokaż, co zrobiłaś.

Komako jeszcze nigdy nie czuła takiego gniewu, takiej mocy – i była przerażona. Spotkali Edwarda Albany’ego na górze. Mimo jego potężnej sylwetki czuła, że uplecionym z pyłu sznurem z łatwością mogłaby mu skrócić kark. Trzymał opartą na brzuchu skrzynkę z brudnymi miskami i kubkami i zdziwiony wpatrywał się w ciemność wirującą wokół jej pięści, dopóki siostra nie odpędziła go niecierpliwie na bok, żeby mogli przejść.

Pani Ficke zatrzymała się przy czwartych drzwiach.

– Tu mieszka Deirdre – powiedziała, wyjmując klucz. – Przybyła do nas... będzie już ze dwa lata. Sama nie wie, kim jest, więc trzymajcie się z tyłu. I tak jest przerażona, biedactwo. Nie ma sensu bardziej jej straszyć.

Pięści Komako dymiły pyłem, promieniujący przez kości zimny ból sięgał już teraz do ramion. Wiedziała, że powinna uwolnić pył, wyzbyć się rozsadzającej ją energii, ale w tym bólu kryło się coś nowego – i to coś jej się podobało.

– Ko – mruknęła Ribs. – Twoje oczy.

– Zrobiły się całe czarne – wyjaśnił szeptem zatroskany Oskar.

Zupełnie się tym nie przejęła, to było całkiem miłe uczucie. Kiedy jednak zobaczyła skuloną dziewczynę, kiedy patrzyła, jak pani Ficke klęka obok niej i głaszcze ją po plecach, cały gniew z niej uszedł. Wypuściła pył, po prostu go wypuściła, a on natychmiast opadł, osiadł na jej ubraniu i butach, osypał się na podłogę niczym popiół.

W pani Ficke ujawniły się bezgraniczne pokłady czułości.

Deirdre stała na środku pokoju. Zamalowane wapnem okno było matowe, ale dzięki niemu małe pomieszczenie wypełniało łagodne światło. Długie, zbielejące włosy opadały dziewczynie na twarz, jakby była nieśmiała albo zawstydzona. Ciało miała drobne, dziecięce, w dodatku coś dziwnego stało się z jego dolną połową. Jej kostki, kolana i uda stwardniały i splotły się w sękaty pień, a stopy upodobniły do korzeni. Długie palce rąk miała pokryte suchą łuską, z której wyrastały małe zielone listki. Wbrew sobie Komako poczuła, że narasta w niej odraza. Oskarowi wyrwał się zduszony krzyk z piersi. Ribs miała łzy w oczach.

– Czym... ona jest? – szepnęła Komako.

– Jest glifodmieńcem – wyjaśniła pani Ficke. – Potworne, prawda? – Wzięła do ręki leżącą w kącie szmacianą lalkę i wsunęła ją w nieruchome zgięcie łokcia Deirdre. – Biedactwo, tylko tyle z niej zostało. Wydało mi się niewłaściwe pozwolić Henry'emu zwyczajnie się jej pozbyć, jej albo któregokolwiek z nich. Robimy więc co w naszej mocy, przywozimy ich tutaj, żeby się nimi opiekować. Są przeważnie smutni i zagubieni. Nie wiem, co ocalało z ich dusz, ale są zupełnie nieszkodliwi.

– Pani się nimi... opiekuje? – zapytała urywanym głosem Ribs.

Pani Ficke delikatnie odgarnęła włosy Deirdre za ucho, odsłaniając bladą sercowatą twarz i zamknięte oczy.

– Nikt inny tego nie zrobi.

– Kim są glifodmieńcy? – zapytała Komako.

Twarz kobiety stężała.

– To wygnańcy, tacy jak ja. Tyle że kiedy stracili talent, Henry dał im wybór. Powiedział im o panu Thorpie, o jego chorobie i o tym, co może się stać z Instytutem, gdy glifin umrze i orsine się otworzy, a następnie zasugerował, że mogliby temu zaradzić. Uchronić przyjaciół przed niebezpieczeństwem, a w zamian odzyskać swoje talenty. Tutaj widzicie tych, którzy zgodzili się spróbować.

– Spróbować czego...? – szepnęła Komako, chociaż już знаła odpowiedź.

– Zostać nowym glifinem, nowym panem Thorpe'em, jeśli można tak powiedzieć. Zająć jego miejsce, kiedy umrze, pilnować orsine, wzmacniać barierę i tak dalej. Oczywiście nic nigdy z tego nie wyszło, w taki sposób nie da się stworzyć glifina. Henry jednak był przekonany, że to my, wygnańcy, jesteśmy kluczem do całej sprawy. Tyle że... – pani Ficke z czułością przesunęła dłonią po policzku dziewczyny, jej głos wyrażał zmęczenie – ...kończy mu się czas.

– Co ma pani na myśli? – zapytał Oskar.

– Glifin umiera, moje dziecko. Drughr nadchodzi. A potem przybędą umarli. Orsine trzeba zamknąć na dobre, trzeba je zapieczętować. Jest na to tylko jeden sposób.

– Jaki?

– Należy wyciąć glifinowi serce i zatopić je w orsine.

– Nie – odpowiedziała szybko Ribs. – Na mnie nie liczcie.

Komako spochmurniała.

– To obrzydliwe.

Pani Ficke uśmiechnęła się ponuro.

– Świat to paskudne miejsce, moi mili. Niestety nikt tego ze mną nie konsultował, gdy go tworzone. Prawda jednak jest taka, że Henry Berghast nie może dopuścić do tego, by orsine zostało zamknięte. Jak inaczej miałby ściągnąć do siebie drughra, jeśli nie poprzez orsine?

– Poprzez orsine? – powtórzyła szeptem Ribs. – Czy to właśnie pani powiedziała? Poprzez orsine?

Komako też nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Doktor chce ściągnąć drughra do Cairndale? Ale po co?

– Drughr to różnica między zgrozą a zwykłym strachem, ptaszyno – odparła pani Ficke półgłosem. – To ten rodzaj lęku, który napelnia cię odrazą i sprawia, że wolisz... unicestwienie. – Mówiąc, gładziła Deirdre po włosach. – To lepsze od ukąszenia drughra. A mimo to Henry'ego Berghasta powinniście bać się bardziej.

Ribs tylko się skrzywiła.

– Może zwabienie drughra do Cairndale to najlepszy sposób, by go zniszczyć.

– Nie słuchałaś. – Pani Ficke pokręciła głową. – Henry Berghast tropi drughra od czasów poprzedzających wasze urodzenie. Moc drughra jest niezmierna. Gdyby Henry zdołał nad nią zapanować, gdyby mógł ją wchłonąć...

– Wchłonąć? – Wstrząśnięta Komako podniosła głowę.

Pani Ficke skinęła swoim hakowatym szponem. Światło dnia wypełniło jej smutne, błyszczące oczy.

– To właśnie próbuję wam powiedzieć. Henry nie zamierza zniszczyć drughra, ptaszyno. On chce się nim stać.

Przedziwna maszyneria losu

Coś nadciągało. Coś potwornego.

Alice Quicke znajdowała się gdzieś na północ od Doncaster. Siedziała w wagonie drugiej klasy, patrzyła przez okno i w świetle wczesnego poranka snuła ponure rozmyślania. Wyczuwała, że coś nadciąga, jakaś potworność pędzi jej na spotkanie po kręgosłupie świata. Kiras leżał w koszyku u jej stóp i mruczał. W kieszeni płaszcza schowała naładowany stary rewolwer. Ścisnęła go w dłoni. Pociąg miał dotrzeć na dworzec Princes Street w Edynburgu dopiero wieczorem.

Margaret Harrogate siedziała naprzeciwko niej i nie pozwalała sobie na ponure myśli: nie dumiała ani o swoim zmiażdżonym kręgosłupie, ani o tym, że nigdy więcej nie będzie chodzić, ani o dręczącym ją złym przeczuciu. Zbudowany przez pannę Quicke fotel na kółkach stał zaklinowany w kącie i lekko postukiwał o wyłożone boazerią drzwi. Białe świetliste niebo nad polami znowu pociemniało.

Daleko na północy, w Cairndale, Henry Berghast też to wyczuwał. Stał z zapaloną lampą w wilgotnej celi, w której siedział zakuty w łańcuchy Walter. Od dwóch dni litch nie jadł i nie pił, wzgardził nawet opium na spodeczku, a teraz leżał na boku zwinięty w pozycji płodowej, nieruchomy i słaby. Był chory? Umierał? Tego Berghast nie wiedział. Pomyślał o dwóch chłopcach, którzy przeszli przez orsine i nie wrócili. Szturchnął butem litcha, który leżał nieruchomo jak martwy. Nagle odniósł wrażenie – obce i nieprzyjemne – że wydarzenia wymykają mu się spod kontroli.

Kiedy w końcu drzwi celi się zatrzasnęły i w ciemności klucz obrócił się w zamku dwa razy, Walter Laster podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Był bardzo słaby, lecz Jacob znajdował się już blisko, bardzo blisko. Okowy obróciły się luźno

na kościstych nadgarstkach litcha, który jednak mimo starań nie był w stanie wysunąć przez nie dłoni. W ciemności włożył kciuk w zęby i przez chwilę ssał go jak dziecko, a potem, nie zważając na ból, zagryzł mocno, szarpnął i obrócił.

W kryjówce glifina nie było nikogo, kto widziałby, jak dygocze i miota się we śnie. W końcu się przebudził. Wyczuwał bliskość białego stwora nienależącego do żadnego ze światów, który sam siebie pożerał. Wcześniej była jednak także inna obecność – żywe dziecko, cierpiące samotnie w drugim świecie. Kim było? Próbował sięgnąć w dal myślami, ale jego umysł wypełniała tylko jedna istota, zła do szpiku kości, głodna i zachłanna jak rozwarta paszcza. A on nie był dostatecznie silny.

Przed drzwiami Pokoju zbierały się duchy. Marlowe leżał na podłodze, zmarznięty, głodny, skrępowany sznurem uplecionym z pyłu przez Jacoba. Widział skłębionych we mgłę milczących zmarłych. Unosili się u szczytu schodów. Czekali. Patrzyli. Była z nimi Brynt, jego Brynt. Ani na chwilę nie oderwała od niego oczu, chociaż jej twarz zmieniała się jak światło, a sylwetka była zaledwie słupem powietrza. Spojrzenie miała czarne, martwe, niezmiennie. Odwrócił wzrok.

Coś nadciągało. Abigail Davenshaw siedziała przy toaletce, szczotkowała długie proste włosy i próbowała przeniknąć tę zagadkę. Minęło południe. Dzieci wciąż się nie znalazły, doktora Berghasta też nigdzie nie było. A pod jego gabinetem znajdował się zamknięty ukryty pokój. Kiedy stała tam i nasłuchiwała oddechu leżącej w nim istoty, owładnął ją lodowaty strach. Opuściła szczotkę. W zadumie odkręciła słoiczek z kremem.

Komako wyjeżdżała z Edynburga pod olśniewającym białym niebem. Jechali wozem Edwarda Albany'ego wraz z Ribs i Oskarem, który spał obok niej na trzęsącej się ławce. Był późny ranek, na drogach panował spory ruch. Była kiepskim woźnicą, ale klacz najwyraźniej знаła drogę, a błoto nie było głębokie. Czowała w sercu strach, zgrozę i coś jeszcze. Wściekłość. Obok niej Oskar zaczął chrapać.

Tymczasem wiele kilometrów stamtąd, wśród surowych szkockich wzgórz stwór z mięsa i ścięgien, okryty mokro połyskującą skórą, chwiejnie brnął przed siebie. Lymenion był dostatecznie silny, żeby gołymi rękami wyrwać drzewo z korzeniami, ale jego myśli wypełniał niepokój.

„Oskar”, myślał. „Oskar, Oskar, Oskar...”

Białe chmury gęstniały w płaskim świetle dnia. Cienie skurczyły się i znów wydłużyły.

Tik-tak, tik-tak... niosło się ze wszystkich mechanizmów wszystkich zegarów na całym świecie.

Ostatkiem sił Charlie Ovid naparł ramieniem na kleistą skórę orsine, czując, jak ta napina się i odkształca wokół niego. Ściskanym w obu drżących rękach nożem dźgał rozpaczliwie raz za razem, wyrzynając w powłoce nierówny otwór, aż w końcu wypadł przezeń, przemoczony i drżący, w słabym świetle własnego świata. Łapczywie nabrał powietrza w płuca.

Przeszedł. Udało się mu.

To właśnie uczucie przepeliło go bez reszty: ulga. Cudowna świadomość. Jego myśli, choć niewiele ich w tej chwili było, płynęły niemrawo, jakby długo spał.

Jak długo go nie było? Zapalona wcześniej lampa wciąż płonęła na ścianie, ale pomieszczenie było puste. Spróbował wstać, nie dał rady. Zwinął się roztrzęsiony na podłodze pośród korzeni. Zimno buchało z niego jak kłęby pary. Ręce zastygły mu wykrzywione jak szpony, skóra na knykciach przybrała makabrycznie ciemny odcień, a pierścień, sygnet od matki, parzył go w palec.

Wydarzenia z tamtego świata były jak wielka rozmazana plama. Marlowe – był tam z nim i został. Potem pojawił się jeszcze jakiś człowiek, mężczyzna z czarną brodą, w ciemnych rękawiczkach. Zaparło mu dech w piersi, gdy nagle coś sobie przypomniał. Wyczerpany podniósł głowę.

Rękawica.

Pogrzebał w torbie. Rękawica spoczywała w niej bezpieczna i nieuszkodzona, z zakrzywionymi do wewnątrz pustymi palcami: osobliwy artefakt z lśniącego żelaza i równie lśniącego drewna. Tajemniczy błękit jarzącego się orsine otaczał Charliego i zalewał wszystko dookoła upiornym światłem.

Wstał chwiejnie.

Potykając się, podszedł do schodów, zagłębił się w tunel i długo, mozolnie włókł się przez wilgotną ciemność. Echo niosło odgłos jego kroków, torba kołysała mu się ciężko na ramieniu. Wreszcie po kamiennych kręconych schodach wyszedł z podziemi i otworzył drzwi do gabinetu doktora Berghasta.

Na kominku płonął ogień. Doktor – w samej koszuli – siedział przy biurku i pisał w dzienniku. Podniósł wzrok i jednocześnie zdjął okulary.

– Pan Ovid – powiedział cicho. – Pan żyje.

Charlie zachwiał się w drzwiach.

Spojrzenie Berghasta spoczęło na ciężkiej torbie.

– A więc znalazł ją pan. Nadzwyczajnie. – Wstał płynnym ruchem i obszedł biurko, przyglądając się Charliemu nieufnie. – Minęły dwa dni, a jednak stoi pan przede mną cały i zdrowy. Jakim cudem zdołał pan przeżyć? – Zmierzył chłopca podejrzliwym spojrzeniem. – Posłużył się pan rękawicą?

– Rę-rękawicą? – wyjąkał Charlie. – Nie, nie... nie wydaje mi się...

Doktor wziął od niego torbę, wyjął z niej rękawicę i podniósł ją do światła. Oczy mu błyszczały.

– Hm... Gdzie notes?

– Nie... nie ma go w...

Berghast odwrócił się i wysypał zawartość torby na biurko. Notes, nóż, ołówek. Pergamin. Marszcząc brwi, przejrzał notatnik i odłożył go na bok.

– Co to ma być? Nic pan nie zapisał? Interesują mnie wskazówki, odległości, wszelkie szczegóły dotyczące Pokoju, jego stanu... – Musiał wtedy coś spostrzec w twarzy Charliego, bo zawiesił głos. – Jest pan sam – zauważył.

Charlie zadrżał.

– Czy to znaczy, że on zginął?

Chłopak pokręcił głową, próbując sobie przypomnieć.

– Nie... raczej nie. Jest w Pokoju. Ja... musiałem odejść. Nie chciałem go zostawiać, ale on nie mógł stamtąd wyjść...

Zimne szare oczy Berghasta wwiercały się w niego z fascynacją i furją zarazem. Jego palce przesuwają się po rękawicy jak odnóża pająka.

– Pamięta to pan? – zapytał szeptem.

Charliemu zrobiło się niedobrze, ogarnął go wstyd. Zostawił Marlowe'a, zostawił swojego przyjaciela i nawet nie pamiętał, dlaczego to zrobił. Spróbował się skupić: cienie na chwilę materializowały się we mgle i zaraz mu się wymykały.

Berghast wpatrywał się w niego niewzruszony.

– Nie powinien pan niczego pamiętać, panie Ovid – zauważył półgłosem. – Jak to możliwe? Proszę mi powiedzieć, co jeszcze pan... pamięta?

Ostatnie słowo wypowiedział z dziwnym naciskiem.

Nagle Charlie poczuł, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Zaczął mówić, ale z ust popłynął mu bezsensowny bełkot.

Berghast uciszył go gestem podniesionej ręki, posadził przed kominkiem i zadzwonił na służbę. Po kilku minutach Bailey – wysoki, złowrogi i ponury jak zwykle – przyniósł tacę z gorącą herbatą i herbatnikami na podwieczorek.

– Najpierw musi się pan napić. Zjeść coś. To pomoże.

Nie był to z jego strony wyraz życzliwości, a jedynie rzeczowości. Kiedy Charlie zjadł, Berghast odezwał się ponownie:

– Proszę mi wszystko opowiedzieć.

I Charlie opowiedział, opowiedział wszystko, co pamiętał. Na początku mówił niepewnie, skonsternowany, ale z czasem rozkręcał się i przypominał sobie coraz to nowe rzeczy. Jego wspomnienia sprzed zejścia do orsine były wyraziste i klarowne, teraz jednak przypominał sobie również zdarzenia z wędrówki do Pokoju. Opisał miasto umarłych i stwora w zaułku, a także scenę, w której Marlowe odpędził duchy. Przypominał sobie krwawiące białe drzewo, wejście do krzywego domu, za to dalej... Mimo jego najusilniejszych starań wszystko się rozplywało. Mężczyzna w czerni, owszem. Ból. A może strach? Wrażenie wody na twarzy. Bieg. Wyrzynanie sobie drogi powrotnej przez orsine.

Sączył ciepłą herbatę i czuł, że drżenie zaczyna ustępować. Nadal jednak kręciło mu się w głowie. Złapał się za skronie.

– Dziw, że pan żyje – mruknął Berghast. – Nawet zdrowiec nie powinien przetrwać tak długo, nie bez pomocy. – Przyjrzał się Charliemu, który siedział z głową opartą na rękach. – Co pan ma na palcu?

Charlie obrócił nadgarstek. Zobaczył sygnety od matki.

– Skąd pan to ma? – dopytywał się Berghast.

Mocno złapał Charliego za przegub dłoni i obrócił mu rękę w stronę ognia. Sprawiał przy tym wrażenie, jakby bał się dotknąć pierścienia. Wziął z biurka nóż do otwierania listów i przez jedną przerażającą chwilę Charlie myślał, że zamierza odciąć mu palec razem z sygnetem, ale Berghast tylko zadrapał srebro. Odpadł

mały jego płatek, odsłaniając naprzemienne pasy czarnego żelaza i metalicznego czarnego drewna.

Takie same jak na rękawicy.

– Na Boga... – wykrztusił Berghast. – To dzięki niemu nie zginął pan w orsine.

– Proszę mnie puścić! – protestował Charlie, nie mogąc się wyrwać. – To mój pierścień!

– Bynajmniej. On nie należy do nikogo. Został przekuty, ale wszędzie bym go poznał. To, panie Ovid, jest jeden z zaginionych artefaktów, niesłychanie potężny i starszy nawet od samego Cairndale. – Berghast jeszcze mocniej ścisnął rękę Charliego. – Proszę nie kłamać, w jaki sposób wszedł pan w jego posiadanie?

– Należał do mojej... matki – odpowiedział niechętnie Charlie. – Dał go jej mój ojciec.

Berghast go puścił.

– Pański ojciec.

Charlie szybko cofnął dłoń, jakby się sparzył, i wsunął ją pod pachę.

– Był... talentem. Mieszkał tutaj. Potem jednak stracił dar i został odesłany.

– To niemożliwe. Talentów się nie dziedziczy.

Charlie patrzył wyzywająco na doktora i nie zamierzał spuszczać wzroku. Wiedział, skąd pochodzi – i to nie tylko dzięki lekturze akt ojca. Jakimś sposobem wiedział to z nową, bezgraniczną pewnością i wyrazistością. Ani Berghast, ani nikt inny nie zdołałby go przekonać, że jest inaczej.

Ale doktor pozostał niewzruszony. Wstał z rękawicą w dłoniach, podszedł do drzwi i oparł rękę na klamce.

– Muszę to przemyśleć – oznajmił. – To było nadzwyczaj pouczające spotkanie, panie Ovid. Może pan na razie zatrzymać pierścień. Proszę iść, odpocząć.

Charlie wstał odrętwiały. Nic z tego nie rozumiał.

– To nie wracamy tam? Po Marlowe'a. On tam został sam.

Berghast zmarszczył brwi.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Mamy rękawicę, teraz jeszcze ten pierścień, myślałem, że...

– Właśnie, że nie myślał pan – warknął Berghast. – Nic nie da się zrobić. Chłopiec jest pańskim przyjacielem, a mimo to zostawił go pan tam. Porzucił.

Teraz jest już za późno. Marlowe może przetrwać w orsine, ale przez ten czas duchy już na pewno po niego przyszły.

– Duchy? – Charlie drżał.

Przecież nie miał wyboru. Doktor Berghast na pewno to zrozumie.

– Proszę mnie teraz zostawić, panie Ovid – zakończył tę kwestię doktor Berghast. – W tym właśnie jest pan najlepszy, czyż nie?

W jego głosie zabrzmiała bezwzględna, miazdząca odraza. Stał na tle kominka, obrysowany przez światło ognia, i trzymał wiekową rękawicę jak przedmiot z czasów, do których nie sięga ludzka pamięć, przedmiot, dzięki któremu raz już ujrział swoją prawdziwą naturę i może zdoła to zrobić ponownie.

Zdruzgotany Charlie wyszedł.

Spędzili w drodze długi, zimny dzień, jadąc wozem Albany'ego po krętych zielonych drogach do bramy w murze wokół Cairndale i dalej, w głąb posiadłości.

Było już późno, słońce wisiało nisko na zachodzie. Bez przeszkód pokonali barierę i zwirowym podjazdem udali się do rezydencji. Lymenion czekał na nich na zimnie, jego szerokie ramiona połyskiwały wilgocią w świetle księżyca. Oskar stanął przed nim z wyrazem ogromnej ulgi na twarzy, a potem wszyscy weszli do środka.

Byli zmęczeni, ale zamiast przemknąć na górę do swoich pokojów, poszli do sali lekcyjnej, gdzie ostrożnie zamknęli za sobą drzwi i zaciągnęli zasłony, żeby nikt ich nie widział. Niedługo dzwon miał obwieścić porę kolacji, poza tym byli zbyt poruszeni tym, co odkryli w Edynburgu i co powiedziała im pani Ficke. Teraz nie mogli odpoczywać. Komako stuliła dłonie wokół knota i świeca rozkwitła ogniem. Usiedli na podłodze za biurkiem panny Davenshaw.

Sytuacja była beznadziejna.

Tak właśnie to odbierali. Komako, kiedy tylko pozwalała sobie o tym pomyśleć, czuła, jak narasta w niej gniew. Mimo to podjęła decyzję.

– Musimy zapieczętować orsine – stwierdziła stanowczo. – Pani Ficke też tak uważała, dlatego powiedziała nam, jak to zrobić. Pająk obawia się, że ta sprawa nie zostanie doprowadzona do końca, to właśnie próbował nam pokazać. Strzeże orsine od stuleci, ale to nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli teraz zostanie ono rozdarte.

Ribs się skrzywiła.

– Moglibyśmy ewentualnie... zabrać wszystkich, którzy nas posłuchają, i odejść.

– Dokąd? – zapytał Oskar, trąc zaczerwieniony nos. – Ucieczka na nic się nie zda. Jeśli umarli się uwolnią, gdzie będziemy bezpieczni?

– Rrh rruh – przytaknął mu Lymenion.

Ribs wyłamała po kolei kostki rąk, wpatrzona ponurym wzrokiem w płomień świecy.

– Dobrze sobie radzisz z nożem, Ko? Bo ja nie wykroję mu serca. Nie ma mowy.

Komako zmarszczyła czoło.

– Będziemy ciągnąć zapalki. To jedyny sprawiedliwy sposób.

– To wymyśl inny plan, bo ja tego nie zrobię.

– J-j-ja to zrobię – odezwał się cicho Oskar.

Dziewczyny zamilkły i spojrzały na niego. Ribs otworzyła usta i natychmiast je zamknęła.

Chłopiec zaczerwienił się pod ich wzrokiem.

– Ciała mnie nie przerażają – powiedział. – To moja specjalność, tak zrobiłem Lymeniona. Tylko... może mi się przydać pomoc.

W ciemności rozległ się dźwięk: odwrócili się jak na komendę, kiedy klamka szcęknęła i drzwi otworzyły się cicho. W progu stał Charlie – był brudny, zmęczony i wyglądał, jakby od wielu godzin błąkał się po Cairndale i płakał. Ubranie miał złachmanione, ręce trzymał przed sobą, palce miał zakrzywione jak szpony. Było widać, że cierpi.

Na widok przyjaciół zamarł.

– Jezu, to Charlie – szepnęła Ribs. – Co się...?

Komako podeszła do niego. Poczwała, jak coś w niej wzbiera – nie ulga, nie troska, ale coś innego, coś na kształt gniewnego rozradowania. Skonsternowana dotknęła brudnego rękawa Charliego.

– Gdzie byłeś? – zapytała. – Charlie, co się stało?

– Zostawiłem go – odparł szeptem. – Zostawiłem Marlowe'a. Naprawdę, Ko. Zostawiłem go.

Ujęła jego twarz w dłonie i skierowała ją tak, żeby spojrzał jej w oczy.

– Hej – mruknęła. – Nic się nie stało. Gdzie on jest? Gdzie jest Marlowe, Charlie?

– Nie... nie pamiętam – powiedział, przyciskając pięści do czoła. – Przeszliśmy z Marlowe'em przez orsine, Ko. Weszliśmy do środka.

A potem przy blasku świecy opowiedział im wszystko, co pamiętał, nawet jeśli były to tylko urywki. Powiedział o tym, jak doktor Berghast skłonił ich, żeby zgłosili się na ochotnika, o zamordowaniu matki Marlowe'a, zimnym ogniu orsine, mieście umarłych i rękawicy, a także o tym, co powiedział mu Berghast na temat rodzinnego sygnetu. Słuchali w milczeniu. Kiedy mówił o Marlowie, miał tak znękany wyraz twarzy, że Komako serce się krajało. Nie mógł sobie przypomnieć, jak doszło do tego, że go porzucił, i to chyba było w tym wszystkim najgorsze. Z tego fragmentu ich wyprawy nie pamiętał dosłownie nic, wiedział tylko, że jego jedyny przyjaciel został po drugiej stronie – mały, samotny, przestraszony.

Kiedy skończył, Ribs opowiedziała mu o Edynburgu. Niczego nie pominęła: mówiła o pani Ficke, o jej słowach na temat doktora, o glifodmieńcach i o dziewczynie imieniem Deirdre.

– To wszystko sprawka doktora Berghasta – podsumowała. – Strasznie to było smutne, Charlie.

Na koniec zostawiła zapowiedź zniszczenia orsine oraz prawdę o makabrycznej metodzie zamknięcia go na zawsze. Bez względu na to, jak mieliby wyrznąć serce glifina spod grubego pancerza kory, trzeba to było zrobić. Oskar, dodając, mierzając chłopca wzrokiem, już zgłosił się na ochotnika do tego zadania.

Charlie odchrząknął.

– A co z Marlowe'em? – zapytał półgłosem i powiódł wzrokiem po ich twarzach. – Jeśli zapieczętujecie orsine, on nie będzie mógł tutaj wrócić.

– Wszyscy chcemy powrotu Marlowe'a – odparła z powagą Ribs – ale do czego miałby wracać, jeśli orsine zostanie rozdarte? Nie będzie żadnego „tutaj”.

– Nie mogę uwierzyć, że to mówię – wtrąciła Komako – ale Ribs ma rację.

– Nie zostawię go tam.

– Charlie? – odezwał się nerwowo Oskar. – Marlowe może przetrwać w orsine, prawda? W takim razie mamy czas, żeby coś wymyślić. – Spojrzał na ciałolbrzyna, jakby ten coś do niego powiedział. – Lymention mówi, że moglibyśmy zapytać

kogoś ze starych talentów. Może będą mieli jakiś pomysł. Twierdzi, że istnieje sposób na to, by wydostać Marlowe'a i jednocześnie zamknąć orsine.

Charlie podniósł głowę. Jego spojrzenie było pełne udręki.

– To nie koniec złych wieści – powiedział cicho. – Obawiam się, że... zmierza tutaj Jacob Marber.

Komako gwałtownie podniosła wzrok.

– Jacob...? Tutaj?!

– To tylko... przeczucie. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Niech to wszyscy diabli! – rozeźliła się Ribs. – Powinniśmy po prostu pójść na wyspę i natychmiast zamknąć orsine. Póki jeszcze możemy. Wtedy nie przejdzie tamtędy żaden drughr ani umarli.

– Ale kiedy glifin umrze, bariera przestanie istnieć – przypomniała Komako. – A wtedy Jacob Marber wejdzie tu bez przeszkód. Nie ma dobrego rozwiązania. Albo zamkniemy orsine, ryzykując, że uwięzimy tam Marlowe'a, a Jacob będzie mógł wejść do Cairndale, kiedy zechce...

– Albo tego nie zrobimy – podjęła zde gustowana Ribs – i przyjdą tutaj umarli, a razem z nimi drughr. A wtedy cały świat szlag trafi.

Oskar wziął głęboki, niespieszny oddech.

– Doktorowi zależy tylko na pochwyceniu drughra – wyszeptał. – Nie pomoże nam.

Komako wstała i przeczesła rękami splątane włosy. Była wyczerpana. Od czasu wizyty u Pająka chodziła niewyspana, nieumyta i wiecznie głodna. Podrapała się po szyi. Przyjaciele patrzyli na nią wyczekująco, jakby miała mieć dla nich jakąś odpowiedź – tylko Charlie odwrócił wzrok. Wydawał się odmieniony, jakby starszy. Bardziej zdeterminowany.

Mrok w sali gęstniał.

– Słusznie – przyznała znużona. – Trzeba znaleźć sposób, żeby uratować Marlowe'a. To oczywiste. Ale bez względu na to, co się wydarzy, orsine musi zostać zamknięte.

Podczas gdy pozostali poszli na górę umyć się i przebrać, może też chwilę odpocząć, Charlie siedział na parapecie i patrzył na ciemniejący w zmierzchu

trawnik i przepływającą nad nim mgłą.

„Jest jak duchy umarłych, chociaż tak naprawdę w niczym nie przypomina duchów umarłych”, pomyślał niejasno.

Świeca się dopaliła. Jego serce było puste. Siedział i wpatrywał się w swoje ręce i niczego nie czuł.

Dwadzieścia minut później Komako zastała go w takim właśnie stanie. Nie powiedziała, dlaczego wróciła. Siedział sam, a potem nagle już nie był sam. Podniósł głowę i ją zobaczył.

– Nie wiem, co robić – wyszeptał, jakby przez cały czas była przy nim. – Nie wiem, jak to naprawić. To moja wina, Ko. To moja wina, że Mar tam został.

Komako, delikatna i milcząca, dotknęła jego dłoni, a gdy nie powiedział nic więcej, pochyliła się i pocałowała go w policzek. Jej usta były miękkie jak kwiaty.

Spojrzał na nią zaskoczony.

Oczy miała śmiertelnie poważne.

– Coś wymyślimy, Charlie – powiedziała. – Coś wymyślimy.

Z wysiłkiem przełknął ślinę. Oblał się rumieńcem i zbity z pantałyku przełknął ponownie.

– Jasne.

– Tylko nie trać nadziei.

Nie zamierzał tracić nadziei. Nie mógł sobie na to pozwolić.

– Marlowe żyje, Ko – powiedział z zapalem. – Ja to czuję, on... on próbuje... – Zawiesił głos i zagapił się w mgłą.

– Co próbuje? – spytała szeptem Komako.

– Próbuje wrócić.

Kraina umarłych jest wszędzie dookoła

Myśl rozwinęła się w umyśle glifina niczym kwiat.

Nadchodzi Jacob Marber.

Czas był mgłą opływającą go ze wszystkich stron, przyszłość i przeszłość nie istniały, a on śnił, tak jak to zawsze robił, o początku i końcu rzeczy. Umierał. Wiedział to bez cienia wątpliwości, tak jak znał miękką sprężystość ziemi pod palcami i ciepło słońca na wyprazonych kamieniach klasztoru na górze. Żył dłużej, niż istniały państwa, i z dystansem śledził poczynania żywych. Widział, jak pokolenia obracają się w proch, i żył dalej. Największą udręką tak długiego istnienia była pamięć.

Poruszył się i poczuł, jak powolne macki korzeni poruszają się razem z nim i drżą w tunelu oraz między kamieniami i sięgają w górę, do orsine.

Wkrótce Jacob Marber się tu zjawi.

Był tam wiekowy zdrowiec Berghast, który stracił talent i bał się śmierci glifina, sprowadzał więc specjalne eliksiry, żeby podtrzymywać go przy życiu, sam trawiony straszliwym głodem, który był jak nigdy niegasnący ogień. Byli także inni – talenty zamieszkałe w wielkim domu po drugiej stronie jeziora, które przychodziły czasem do niego i prosiły, by pozwolił im wejść do orsine. Były też mroczne istoty z tego drugiego świata, pozostające w ruchu, wiecznie w ruchu jak woda w rzece, lecz niemające dokąd pójść. I było zło – czyhające po drugiej stronie, zdesperowane, wściekłe, całkowicie nieludzkie, niepoznawalne i czarne. Przybrało postać kobiety i to przed nią strzegł orsine, to z jej powodu musiało być zamknięte. Tylko ona jedna wzbudzała w nim strach. Za nią zaś, daleko za nią stała mroczna moc, wygnana tak dawno temu, że wydawało się, jakby nigdy nie istniała.

Glifin powoli poruszył korzeniami, czując przesypywanie się chłodnej ziemi. O, a tam – ukryty i milczący – czał się mężczyzna o ciele z dymu. Marber. Na łąkach poza barierą pojawiło się rozdarcie w materii świata i w tej chwili Marber próbował przez nie przejść. Bariera nie wytrzyma. Glifin w okamgnieniu spostrzegł wszystko, co straci, i wszystko, co zyska, gdyż to, co miało nadejść, i to, co już się stało, stanowiło jedność.

Czuł paznokcie drapiące skórę orsine, macające na oślep, szukające miękkich blizn, gdzie rozciął je nóż tamtego. Nie potrafiłby powiedzieć, czy to sen, czy rzeczywistość, ale trawiący go ból był gęsty, prawdziwy, rozlewał się po jego członkach jak gorączka i glifin zaczął drzeć, a drząc, rozsyłał sny niczym pyłki rozsiewane przez wiatr, rozsyłał je, by znalazły swoich śniących.

Już wkrótce.

– Ach... – szepnął w ciemności pod ziemią.

Niech wiedzą, niech zobaczą, niech przyjdą, zanim będzie za późno.

Henry Berghast obudził się ze snu pełnego nieznanymi lęków, rozejrzał się skonsternowany i powoli się otrząsnął.

Sen. To był sen.

Znajdował się w gabinecie, miał poluzowany kołnierzyk i podwinięte rękawy koszuli. Pora była późna, sądząc po ciemniejącym błękitnie za firankami, dochodził wieczór. Ogień na kominku wygasł. Kościane ptaki klekotały i grzechotały w klatce. Doktor przetarł twarz i wstał sztywno. Zadzwoił po Bailey'a.

Czekał, odkąd młody Ovid wrócił z krainy umarłych i przyniósł rękawicę. Brakowało mu tylko przynęty, żeby przywabić drugiego.

Ale przynęta też się pojawi. Śnił o niej.

Przeszedł do wąskiej łazienki, nalał zimnej wody do miski, opryskał twarz, wytarł ją połą koszuli i zapatrzył się w tremo. Oczy miał podpuchnięte i stare, powieki ciężkie. Podniósł ręce na wysokość siwej brody i patrzył na swoje odbicie jak na obcego człowieka. Odgarnął włosy z twarzy, przyglądał się dłońmi do czaszki, przez chwilę przytrzymał, a potem z małej szafki wyjął nożyczki i brzytwę. Zgolił brodę – robił to powoli, często przerywając, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu. Nie znał tej twarzy. Zagłębił się w rozważania o prawdziwej istocie rzeczy, o tym, co skryte pod powierzchnią, o pozorach i złudzeniach, które on sam

i wszyscy inni brali czasem za wiedzę, a jego palce same pracowały nad usuwaniem brody. Potem zaczął ścinać i golić włosy opadające na oczy i czoło, w końcu przeciągnął długimi ruchami brzytwy po czaszce, od czasu do czasu oplukując ostrze w zimnej wodzie, i wreszcie stał przed lustrem z nagą, kościstą czaszką poznaczoną drobnymi zacięciami. Wyglądała dziwnie.

Rozległo się pukanie. Bailey nie zdradził najmniejszego zaniepokojenia zmianą wyglądu swojego pana. Wysoki, kościsty, ponury służący skinął tylko Berghastowi głową i podał mu ręcznik, jakby został wezwany właśnie w tym celu.

Doktor przyjął go od niego i się odwrócił.

„Ogarnia mnie szaleństwo”, pomyślał i uśmiechnął się do lustra.

Jego odbicie – bezwłose, upstrzone kropelkami krwi tam, gdzie brzytwa cięła za głęboko – odpowiedziało uśmiechem.

Zauważył w lustrze, że Bailey mu się przygląda.

– Musimy być jak woda, Bailey – mruknął. – Musimy być czyści i puści.

Wrócił do gabinetu. Służący cały czas milczał.

Dopiero w tym momencie Berghast zobaczył, że drzwi prowadzące do tunelu są otwarte i kryje się w nich drobna postać – obszarpana, z zakrwawionymi paznokciami i potarganymi czarnymi włosami, o skórze pałającej niebieskim blaskiem. Mogła tam stać od dawna, a mogła zaledwie chwilę. Rozegrało się to dokładnie tak, jak we śnie Henry’ego Berghasta.

Świecący chłopiec.

Marlowe.

Marlowe wrócił.

Abigail Davenshaw przebudziła się nagle. Była w swojej sypialni. Serce podchodziło jej do gardła, gdy szła do otwartego okna. Wieczorne światło padło jej na twarz.

Chłopiec wrócił. Marlowe.

Wrócił.

Wiedziała, że to prawda. Drżała. Na terenie posiadłości panowała cisza, powietrze pachniało odległym dymem jakby palonych liści. Czowała woń rozciągającego się w dole jeziora. Nie było słycać żadnych głosów, nawoływań

uczniów, nie wychwyciła w ogóle oznak życia. Mały Marlowe śnił jej się bardzo wyraźnie, a ona skądś wiedziała, że to nie był sen, nie tak naprawdę. Śniła także o innych rzeczach. Rzadko śniła obrazami, ale tego dnia było inaczej. Nie miała pojęcia, czy tak właśnie wygląda prawdziwe widzenie, ale przyśnił jej się mężczyzna idący przez łąki w kapeluszu i pelerynie, a ona z taką samą pewnością wiedziała, że to Jacob Marber. Śniły jej się także płomienie, słyszała płacz. Własny płacz.

Wiedziała, że powinna pójść do doktora Berghasta i opowiedzieć mu o swoich snach. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to zrobi. Wydawało jej się to niedojrzałe. „Proszę mi wybaczyć, panie doktorze, ale miałam zły sen...” Zarazem jednak przepełniało ją żarliwe przeświadczenie, że tak właśnie należy zrobić. Musiała do niego pójść.

Narzuciła szal, uważnie przesunęła rękami po sukni i włosach, wygładzając zabłąkane pasma, a potem zawiązała przepaskę na oczach, wzięła brzożową laskę, żeby iść szybciej, i otworzyła drzwi.

Wyczuła w korytarzu obecność innych ludzi. Szli szybko. Natychmiast zorientowała się – po odgłosach kroków, zapachu jakby wysuszonej bawełny i kwaśnym odorze moczu – że to starsi mieszkańcy, o których przywykła myśleć jak o duchach.

– Panno Davenshaw – rozległ się drżący głos. To był pan Bloomington, stareńki talent, który mieszkał w głębi tego samego korytarza. – Byłoby lepiej, moja droga, gdyby została pani u siebie. To nie jest dobry czas na kręcenie się po rezydencji. To samo powiedzieliśmy panu Smythe’owi.

Stłumiła dumę i zwróciła twarz w jego kierunku.

– A czemuż to? Mam wrażenie, że przydałaby się panu pomoc.

Słyszała jego ciężkie dyszenie. Wyczuwała, że to objaw strachu.

– On wrócił, panno Davenshaw. Wrócił. Przedarł się przez barierę na wschodzie, Bóg jeden raczy wiedzieć, jak tego dokonał, i teraz idzie tutaj. Dzieci... Trzeba zadbać o bezpieczeństwo dzieci. Wyjdziemy mu na spotkanie. Wszyscy.

Przez chwilę pomyślała skonsternowana, że pan Bloomington mówi o Marlowie, ale musiał dostrzec coś na jej twarzy, bo dodał łamiącym się głosem:

– To młody Jacob, panno Davenshaw. Idzie tu Jacob Marber.

To nią wstrząsnęło.

– Co zrobicie? – zapytała szeptem.

– To, co powinniśmy byli zrobić dawno temu. Będziemy walczyć.

Wschodząca ciemność

Spokój panujący na długiej, krętej drodze do Cairndale napawał Margaret Harrogate lękiem.

Ta cisza...

Droga wiała się wśród zagajników i wstęg zaoranych pól, a jednak w słabnym świetle dnia pani Harrogate nie widziała wron, zwierząt, niczego. Nawet krzewy i powykręcane dęby zdawały się odsuwać od traktu, wybiegać naprzeciw zbliżającej się ciemności.

Wynajęty powóz turkotał w najlepsze. Panna Quicke miała zamknięte oczy. Trzymała mruczącego kirasa na kolanach i głaskała go z roztargnieniem, jak zwykłego domowego zwierzaka. Margaret widywała koty, które z zadowolenia mrużyły ślepia, i na pierwszy rzut oka można by wziąć kirasa za takiego właśnie kociaka. A przecież był monstrum z innego świata z czworgiem oczu w miejscu dwóch. Był bronią. Narzędziem do zabijania.

Widząc, z jaką delikatnością głaszcząc go panna Quicke, skrzywiła się i spojrzała przez zakurzone okno. Musiała ścisnąć rękami kolana, by trzymać nogi wyprostowane. Z trudem znosiła wszechogarniające uczucie bezradności, ale powtarzała sobie, że to nie ma znaczenia.

„To pycha”, upomniała się w duchu. „Taka właśnie jesteś: pyszna. Co by powiedział pan Harrogate, gdyby cię teraz zobaczył?”

W panie Quicke zaszła jakaś zmiana, i nie chodziło tylko o nową więź, która połączyła ją z Margaret. Miało to związek z kirasem, ze sposobem, w jaki wyciągała po niego ręce i głaskała go, gdy mrucząc, ocierał jej się o nogi, z przeciągłymi spojrzeniami, jakimi się obdarzali. A Margaret doskonale pamiętała, jak wyglądał

pod ziemią w Wapping: wielki i szybki jak lew, ośmionogi, z sierścią falującą jak ciemna woda. Nagle przed oczami znów stanął jej drughr, górujący nad nimi wszystkimi, ryczący wściekle, namacalny i materialny. Ucieleśniony.

Przetarła powieki nasadami dłoni.

Jak przeciwstawić się takiej potworności? Po tym, jak Jacob Marber skradł im jeden z dziwozwojów, kiras zacznie stopniowo dziczeć, zatracać swój łagodny charakter, aż w końcu całkowicie przestaną nad nim panować.

Powóz podskoczył nagle i przechylił się na lewo. Szybko odzyskał równowagę, ale Margaret zdążyła odruchowo podeprzeć się ręką. Panna Quicke otworzyła oczy i spojrzała na nią. Margaret milczała. Pomyślała o biednym Franku Coultonie, o tym, jaki byłby przerażony, gdyby dowiedział się, że skończy jako litch, niewolnik swojego dawnego partnera Jacoba Marbera. Myślała też o Jacobie, który okazał się znacznie spokojniejszy i zarazem smutniejszy, niż się spodziewała. Przesunęła dłonią po powiekach. Jej myśli zbłądziły ku doktorowi Berghastowi. Nie wiedziała, czy jej kościany ptak do niego dotarł, czy dostarczył ostrzeżenie dotyczące litcha i pana Thorpe'a. Rewelacje niani na temat prowadzonych przez doktora eksperymentów brzmiały niepokojąco, ale Margaret powtarzała sobie, że Berghast nie przestał przecież być tym samym człowiekiem, który przez lata dążył do zniszczenia drughra. I wciąż był ich największą nadzieją.

Dlatego trzeba było go ostrzec.

– Musimy wywieźć dzieci – powiedziała cicho panna Quicke. Znowu miała otwarte oczy. – Nie mogą zostać w Cairndale.

Margaret zmierzyła ją spokojnym spojrzeniem.

– Zgadzam się – odparła. – Dopilnuje pani tego. Ja znajdę glifina i będę go chronić przed Walterem.

– A co z Berghastem? – zapytała panna Quicke, jakby czytała jej w myślach.

– Jestem zła na niego z powodu tego, co zrobił – przyznała Margaret – ale to może poczekać. Na pewno powie nam, że słuszny wyrok to rozgrzeszenie nieuczciwego procesu. Zresztą czy my na jego miejscu zachowałybyśmy się inaczej? Lepiej od nas zna naturę drughra, wie, co ten stwór zrobi nam wszystkim.

– Można by odnieść wrażenie, że go pani usprawiedliwia.

– Nigdy – odparła ostrym tonem Margaret. – Najpierw jednak musimy się upewnić, że glifin jest bezpieczny, a orsine niezagrożone. W przeciwnym razie

będziemy musiały stawić czoło gorszym rzeczom niż Henry Berghast.

– Czy zatem drughr przybędzie do Cairndale? – zapytała panna Quicke.

– Przybędzie Jacob Marber, a on robi tylko to, co każe mu drughr.

– Będzie z nim Coulton.

Margaret ogarnęły wyrzuty sumienia.

– To prawda – przyznała.

– Drugi raz go nie zawiodę. Zabiję go. Skrócę męki Franka.

Margaret spojrzała na pannę Quicke i ujrzała beznamiętne, martwe oczy zabójczyni. Nie pierwszy raz wyczuła, jak niebezpieczną osobą potrafi być jej współpasażerka.

Zbliżały się już do rozsypującego się kamiennego muru otaczającego posiadłość. Otworzyła okno, wyciągnęła rękę i zapukała w dach, żeby woźnica się zatrzymał.

– Jeszcze jedno – powiedziała. – Bariera na murach wokół rezydencji nie przepuści pani gościa. Chyba że... została przełamana. – Spojrzała nieufnie na kirasa. – Wybacz, ale musimy zostawić cię tutaj do czasu, aż będziemy mogły wezwać cię na pomoc albo wrócić.

Kiras powoli obnażył pazurki, wygiął grzbiet w łuk i ziewnął. Zmrużył czworo oczu w szparki.

– Co by się stało, gdybyśmy mimo wszystko spróbowały go wwieźć?

Margaret wydeła policzki.

– Nikt nigdy tego nie próbował. Chce się pani przekonać?

Zamiast odpowiedzieć, panna Quicke otworzyła drzwi i wysiadła. Kiras śmignął za nią i przepadł w zmięczeniu. Woźnica coś do niej powiedział, panna Quicke odpowiedziała i wsiadła z powrotem. Powóz zakołysał się pod jej ciężarem. Tuż przed tym, jak zamknęła drzwi, Margaret wydało się, że daleko przy wijącym się murze dostrzega wysoką postać w kapeluszu, oddalającą się zwawym krokiem.

Ruszyły przez starą bramę na długi zwirowy podjazd. Minęły stróżówkę i w końcu znalazły się na dziedzińcu Cairndale. Rezydencja zdawała się odmieniona: wyziębiona, bardziej pusta niż zwykle, porzucona. Nikt nie wyszedł im na spotkanie. Nie było uczniów bawiących się na dziedzińcu. Powóz się zatrzymał. Margaret podniosła wzrok.

W gabinecie doktora Berghasta paliło się światło.

Henry Berghast przesunął dłonią po gładkiej czaszce i karku. Skóra go mrowiła.

– Marlowe – powiedział cicho. – Wróciłeś.

Chłopiec stał w progu, blady jak ściana, chwiejąc się lekko. Berghast dostrzegł otarcia na jego nadgarstkach. Marlowe wodził dookoła pustym wzrokiem, jakby nie poznawał tego miejsca. Jakby próbował sobie coś przypomnieć.

– Spokojnie, moje dziecko – mruknął Berghast, podchodząc do niego z wyciągniętymi rękami, jak do płochliwego konia. – Chodź, usiądź. Na pewno jesteś zmęczony.

Chłopiec posłusznie podszedł i usiadł w wielkim fotelu przy ogniu. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał wątko i chrypliwie, jakby Marlowe od bardzo dawna go nie używał.

– Chcę... zobaczyć Charliego. Czy Charlie jest... tutaj?

Berghast już wychodził zza biurka. Znalazł rękawicę, dołożył dREW do ognia płonącego w kominku. Bailey, jego osobisty służący i sekretarz, wtopił się w cień pod ścianą naprzeciwko i czuwał w milczeniu.

– Charlie jest bezpieczny – odparł Berghast. – Ucieszy się na twój widok.

Chłopiec skinął głową.

Przez jeden ulotny moment Berghast poczuł ostre ukłucie wyrzutów sumienia, widząc, jak mały jest Marlowe i jak bardzo wyczerpany. Bał się wcześniej, że chłopiec nie zdąży wrócić na czas, ale obawy te nie były podyktowane troską o dobro dziecka, tylko perspektywą utraty czegoś, co użyteczne. I w tej właśnie chwili Berghast zdał sobie sprawę, że coś w nim umarło, przepadło na dobre. Żył jednak zbyt długo, widział zbyt wiele upływających dekad i marniejących żywotów, żeby teraz nad tym rozmyślać. Śmierć stanowiła część życia i było jej wszystko jedno, czy przychodzi po bardzo młodych, czy po bardzo starych. Jego śmierć także nadejdzie we właściwym czasie. Nie będzie płakał.

Zauważył, że chłopiec patrzy na rękawicę w jego rękach.

– Pan Ovid mi ją przyniósł – wyjaśnił gładko. – Mieliśmy nadzieję, że może dzięki niej uda nam się po ciebie wrócić, uwolnić cię. Właśnie się do tego przygotowywaliśmy.

– To był Jacob Marber – wyszeptał chłopiec. – Znalazł nas.

Berghast spojrział w oczy stojącego po drugiej stronie gabinetu Bailey'a. Porozumieli się bez słów.

– Widziałeś Jacoba? Jesteś pewien?

Chłopiec skinął głową, mierząc doktora czujnym spojrzeniem.

– Co jeszcze pamiętasz?

– Wszystko.

Berghast poczuł wzbierające w nim powolne, głębokie zadowolenie.

– Naturalnie. Jesteś przecież częścią orsine. Chcę wszystko usłyszeć, moje dziecko. Domyślałam się, że Jacob próbował ukraść artefakt?

Chłopiec znowu skinął głową.

– Ale od razu go oddał.

Na te słowa Berghast zmarszczył brwi. Znał naturę drughry, wiedział, jak bardzo potwór pragnął zdobyć rękawicę, nie rozumiał więc, dlaczego Jacob Marber miałby ją oddać.

– A teraz zmierza tutaj – dodał Marlowe półgłosem. – Przychodzi pana zabić.

Berghast podszedł do płótna na ścianie, stanął przed nim i splótł dłonie za plecami. W słabym świetle linie wydawały się unosić, poruszać, przemieszczać.

– A zatem zawiodły mnie – powiedział. – Twoja panna Quicke i pani Harrogate mnie zawiodły.

– Alice nic się nie stało? – spytał Marlowe łamiącym się głosem.

– Cóż, to... zaradna osóbką.

Chłopiec przetarł twarz nasadami dłoni. Było widać, że jest wykończony.

– Ta mapa – powiedział Berghast, wskazując płótno – jest dość niezwykła. Jeśli przyjrzesz się jej uważnie, zobaczysz, że w ogóle nie została nakreślona atramentem. To pył, Marlowe. To mapa rysowana pyłem, płótno zaś to ludzka skóra. Czyżbyś był wstrząśnięty? Niepotrzebnie. To rozciągnięta skóra pyłowładcy, jednego z najstarszych i najpotężniejszych, jacy żyli. Sam sobie zażyczył, żeby została wykorzystana w taki sposób. Spójrz, jak pył się porusza, nawet teraz. Porusza się, ponieważ świat, z którego właśnie przybyłeś, także się porusza, podlega nieustannym zmianom. – Pochylił się, przez chwilę przepełniony głębokim, niedookreślonym żalem. Westchnął cicho. – To dar od osoby, której nie widziałem od wielu lat. Wszyscy tracimy tych, których kochamy, tak już jest na

tym świecie. Na ścianie jej pokoju wisiała taka sama mapa i tak samo się zmieniała. Były ze sobą połączone, rozumiesz?

Przez długą chwilę żaden z nich się nie odezwał. Kościane ptaki klekotały w swojej klatce.

– Jacob nie zabił mojej matki, prawda? – zapytał Marlowe.

Powiedział to tak cicho, że Berghast ledwie go usłyszał, a gdy w końcu pytanie do niego dotarło, zaskoczony podniósł wzrok... i wiedział, że jego twarz zdradziła prawdę.

– Nie – przyznał niechętnie. – Nie zabił jej. Powiedział ci to? Czy powiedział ci także, kim jest twoja matka?

Marlowe wbił wzrok we własne kolana. Pokiwał głową.

– Rozumiesz więc, dlaczego cię okłamałem – ciągnął Berghast. – Jacob Marber jest duszą zepsutą i pełną sprzeczności, ale twoja matka jest czymś o wiele gorszym. Ty jednak nie musisz być taki jak ona. Nie chciałem, żeby... prawda namąciła ci w głowie.

– Charlie też tak powiedział. Powiedział, że nie muszę być taki jak ona, że mogę wybrać.

– Zatem jest mądrym człowiekiem.

Berghast powiedział to z powagą głosem, który był i zarazem nie był jego własnym. Wrócił do kominka i usiadł blisko Marlowe'a. Obrócił w rękach dziwną rękawicę, zapatrzył się na jej ciemne drewniane płaszczyzny. Każda cząstka jego osoby była jak naelektryzowana ostrożnością. Był blisko, bardzo blisko ukończenia dzieła, nad którym mozolił się od dawna. Teraz nie mógł pozwolić sobie na żaden fałszywy krok.

– Chcesz wiedzieć, co to jest? – zapytał półgłosem. – Rękawica, owszem, ale nie tylko. To skarbnica wiedzy, można by rzec... książka napisana, zanim ludzie nauczyli się władać językiem. Potrafisz czytać, prawda? Rozumiesz więc, co to znaczy uzyskać wgląd w umysł drugiego człowieka. Zadawałem pytanie przez wiele lat i nikt nie potrafił mi na nie odpowiedzieć. Ale ten przedmiot... – Mówiąc, czule tulił rękawicę w dłoniach. Jej gładka powierzchnia nie odbijała światła, była czarna, ciemna, nieruchoma. – Ten przedmiot powie mi to, czego pragnę się dowiedzieć.

– Jak? – zapytał z powątpiewaniem Marlowe.

Berghast się uśmiechnął.

– Pokażę ci.

Delikatnie położył rękawicę na sofie i zaczął dokładać do ognia, aż ten rozgorzał wściekle. Wtedy doktor wrzucił rękawicę w płomień. Oczywiście nie spaliła się, ale rozgrzała i jej pancerna powierzchnia stała się przezroczysta jak szkło, w którym kłębił się szary dym. Berghast szczypcami wyjął ją z ognia i podszedł z nią do Marlowe'a.

– Musisz ją założyć – powiedział. – Nie bój się, jest zupełnie chłodna.

Marlowe – choć pełen obaw – posłuchał, a gdy rękawica wsunęła mu się na dłoń, zaskoczony podniósł wzrok. Rękawica nie parzyła. Zdawała się ogromna na jego drobnej ręce, a ponieważ nadal była przezroczysta, jego dłoń wyglądała jak kamień zatopiony w rzece. Berghast przyklęknął przed nim, obrócił jego rękę nadgarstkiem do góry i zapatrzył się na szkliste wnętrze jego dłoni.

– Jeśli chcesz, żeby drughr został unicestwiony, a twoi przyjaciele byli bezpieczni, nie ruszaj teraz ręką.

– Jak to działa? – zapytał Marlowe takim tonem, jakby z góry znał odpowiedź, jakby ją znał i się jej lękał.

– Nie stworzono jej w naszym świecie – odparł doktor, nie odrywając wzroku od ręki chłopca. – Potrzebuje iskry z orsine, żeby działać. Bo widzisz, nie została zrobiona przez nas, abyśmy mogli podróżować na drugą stronę, lecz przez nich, żeby mogli przychodzić tutaj.

– Jacy oni? – dociekał chłopiec.

Berghast nie odpowiedział. Oglądał swoje odbicie, mętne, zniekształcone oblicze, dziwacznie wykrzywione we wnętrzu szklistej dłoni. Pod nim, w głębi, rozwijały się piękne wzory z dymu.

– Pokaż mi – szepnął do rękawicy. – Pokaż mi to, czego szukam.

Wydawało się, że ściany gabinetu wokół niego powoli się rozplývają, aż został tylko on, z nabożnym skupieniem wpatrzony w rękawicę. Nagle zobaczył wszystko: jak doprowadzić drughra do orsine, jak go tam spętać, jak przejąć jego moc i przelać ją w swoje ciało. Zobaczył kolory, których nie potrafił opisać, olśniewające blaski światła kładły mu się na twarzy, a on nie czuł własnego ciała, mięśni, niczego. Zamiast nich była tylko potężna wola emanująca z jego umysłu, niemal jak dźwięk, jak nuta melodii. Nie pojmował wszystkiego, co widzi, trochę

jakby pokazywano mu coś w języku, który nie do końca rozumie – o ile obrazy mogły być językiem.

A potem nagle rękawica pociemniała i Berghast odchylił się w tył, mrużąc oczy. Wrażenie odczuwania własnej skóry wróciło, czuł ją wyraźnie jak przytkniętą do ust dłoń.

I teraz już wiedział. Wiedział, co musi zrobić.

Aby zniszczyć drughra, należało go zarazić – o tym Berghast wiedział od dawna, ale wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że potrzebuje do tego krwi wygnańca, człowieka, który stracił talent. Drughr karmił się talentami, wygnańcy zaś byli dla niego trucizną.

Roztrzęsiony wstał. Żołądek podchodził mu do gardła. Zabrał Marlowe'owi rękawicę, patrząc na niego z niesmakiem. Artefakt wydobyl z chłopca coś, co wcześniej pozostawało ukryte.

– Ja też byłem kiedyś talentem – powiedział półgłosem. – Wiedziałaś o tym? Zdrowcem, tak jak twój przyjaciel, pan Ovid. Myślałem, że przestałem być użyteczny, kiedy straciłem swoją moc. Teraz jednak widzę, że to był dopiero początek. Moja ścieżka nieustannie podlegała zmianom, wszystko stanowiło część jednej drogi.

Ręka chłopca była zaczerwieniona, wyglądała jak odarta ze skóry w miejscu, gdzie wcześniej dotykała jej rękawica.

– Wchłonę moc drughra, Marlowe, wchłonę ją dzięki wypełniającej mnie pustce. W zamian część mnie przeleje się w niego i go zniszczy, ponieważ drughr nie może przetrwać w naszym świecie. – Powiódł ręką po ogolonej czaszce. Jego wodniste odbicie w szybie powtórzyło ten gest. – Ci z nas, którzy stracili swoje talenty, są jak puste naczynia. Zachowali kształt, którego nic już nie wypełnia. Wracają do pierwotnego, potencjalnego stanu. A ja się odrodzę, gdy wypełni mnie moc drughra.

Chłopiec patrzył na niego z wyraźnym lękiem.

– Ale pan Thorpe słabnie z każdą godziną. Jeśli umrze, orsine zostanie rozdarte, a wtedy nic już nie powstrzyma drughra. Masz pojęcie, ilu moich przyjaciół pożarł? To przez niego mój talent zgasł. Nie zawiodę. A ty... – Berghast wyprostował się na całą wysokość – ...ty będziesz przynęta, Marlowe, musisz go do mnie przyciągnąć. Przyjdzie, jeśli go wezwiesz.

– Skąd będę wiedział, co mam robić?

Berghast zacisnął pięść.

– To będzie łatwe jak zamknięcie dłoni i leży w twojej naturze. Podejdź i zobacz.

– Wziął świecznik z biurka i poprowadził Marlowe'a do lustra nad konsolą przy drzwiach. – Co widzisz?

Słaby, wystraszony chłopiec spojrzał na swoje odbicie. Z lustra patrzył na niego drughr. Na oczach Marlowe'a rogi i gruba czaszka stwora powoli kurczyły się i przekształcały, aż w końcu drughr przybrał jego postać.

– Będziesz wiedział, co robić – powiedział niemal z czułością Berghast, kładąc mu dłoń na ramieniu – ponieważ wynaturzenie tkwi w tobie. Jest częścią ciebie. Nie możesz się go pozbyć.

Przybył. Jacob tu był.

Walter kucnął w swojej celi. Krew wzbierała w jego dłoniach w miejscach, gdzie do niedawna miał kciuki. Jego twarz i podbródek smakowały jak kwaśne żelazo, wilgoć i ból były wszechobecne, cierpienie zalewało go falami.

Ale Jacob był już blisko, tuż-tuż, przybył... Nic innego się nie liczyło.

Tyle że Walter nie spełnił prośby Jacoba. Nie wytropił glifina, nie rozerwał mu jeszcze gardła, nie zrobił tego dla ukochanego Jacoba. Z bólem wstał. Kolana mu zatrzeszczały, gdy zaczął ostrożnie krążyć po ciemnym wnętrzu. Po tym, jak odgryzł sobie kciuki, zsunął luźne okowy z zakrwawionych dłoni i teraz już nic go nie mogło powstrzymać.

Zaszczekał ostrymi jak igły zębami. Zamknął oczy.

I ujrzał Jacoba, jego ukochanego, pięknego przyjaciela. Zmierzchało, a on szedł powoli wzdłuż kruszącego się muru otaczającego rezydencję, wodząc dłonią po jego kamieniach. Sadza i pył kłębiły się wokół niego jak żywy dym. Bariery były osłabione, mimo że glifin wciąż jeszcze żył. Oczami wyobraźni Walter patrzył, jak Jacob wyciąga ręce i napiera na niewidzialną zaporę, która ugina się miękko jak spróchniałe drewno i dygocze pod jego naciskiem. To nie był sen. Jacob zebrał siły i znowu pchnął, a wtedy przed nim w powietrzu pojawiła się wąska szczelina, która szybko rozszerzyła się i pękła, rozległ się potężny ryk, kamienny mur runął do środka. Jacob Marber – piękny, świetlisty, potężny i ponury – przekroczył granicę Cairndale.

Ale, ale... Ktoś mu towarzyszył, ktoś jeszcze przemknął przez powstałą wyrwę bokiem niczym krab. Kto to taki? Walter poczuł ukłucie zazdrości i uznał, że owszem, pomoże kochanemu Jacobowi, ale ten drugi litch na pewno nie jest dość dobry dla Jacoba, nie, nie, nie. Trzeba go usunąć. Wyeliminować. Wypatroszyć. Tak. Dla dobra Jacoba, wyłącznie dla jego dobra. Żeby mu pomóc. Tak.

Ale po kolei, najpierw glifin. Walter musi zrobić, co mu kazano. Czuł, co się zbliża, wiedział, że pojawią się ogień, krew i zgroza, i na tę myśl poczuł mrowienie w ustach. Przytknął ucho do zimnych drzwi i zaczął nasłuchiwać. W rozległych, głębokich lochach Cairndale panowała cisza. Już prawie czas.

Krew w Walterze śpiewała.

Niedługo ktoś zejdzie po schodach, o tak.

A wtedy Walter będzie wolny.

Głęboko w ziemi, w cieplej płataninie korzeni glifin czuł, jak jego życie rozsnuwa się, rozluźnia po trochu jak otwierające się palce dłoni. Zorientował się, że bariera została przełamana, czaszkę przeszył mu przenikliwy, niszczycielski ból i od razu poznał, że Jacob Marber wrócił. Przewidział to, śnił o tym, a teraz Jacob tu był. On zaś, glifin, stał się zwyczajnie za słaby, zbyt delikatny, żeby jednocześnie utrzymać zamknięte orsine i dopilnować bariery przy murze. A Jacob Marber o tym wiedział.

Otaczała go ciepła ciemność. Teraz oglądał własną śmierć. W odległej przeszłości był taki czas, kiedy wyobrażał sobie, że bliskość śmierci go zasmuci, potem myślał, że przyjmie ją z ulgą, a teraz nie czuł żadnej z tych rzeczy. Zmiana płynęła w nim jak krew. Trwał na tej ziemi tak długo, że żywoty mężczyzn i kobiet były dla niego jak dni, a on patrzył na nich jak dzieci patrzą na owady. Wspominał świt ponad wspaniałymi okrętami hiszpańskiej Niezwycięzonej Armady, las masztów gęstniejący po drugiej stronie kanału, promienie słońca przypominające okrętowy takielunek i tęskne fanfary w Valladolid. Płonące klasztory w Essen podpalone przez najeźdźców, których długie łodzie posuwały się w górę rzek: tarcze lśniły na burtach, smocze łby na dziobach cięły powietrze, budząc przerażenie w wioskach. Wieczne tańce w zamkowych edynburskich ogrodach za czasów króla Jakuba, pierwszy balon na gorące powietrze żeglujący ponad Glasgow i Clyde oraz ostatni majowy jarmark na wioskowym błoni w czasach, kiedy wciąż chadzał po ziemi. Światło skrzące się w soplach na szubienicach

w Greenmarket, obłoki pary unoszące się z ust skazańców ścinanych u zarania XVIII wieku, rumieniec na policzkach noworodka, którego kiedyś na Sycylii trzymał w ramionach, podczas gdy wyczerpana matka spała na słomie za jego plecami; nie mógł się nadziwić, że buzia dziecka jest różana jak zerwana pod koniec lata brzoskwinia. Inne dziecko, patrzące na niego w porcie w Aleksandrii, kiedy zszedł po trapie na ląd i zanurzył się w parnej mgle. W momencie jego śmierci zniknie ze świata to wszystko, a nawet więcej, rozwieje się całe niezacieralne piękno, które żyło teraz tylko w nim, przepadną te wszystkie chwile ulotne jak rozbłyśki światła na wodzie. Ta świadomość bardziej niż cokolwiek innego sprawiała, że czuł się samotny, smutny i kruchy. Ponieważ we wszystkich tych uczuciach, jak myślał w powolny, podobny drzewom sposób, kryły się ostatnie pozostałości tego, co niegdyś czyniło go człowiekiem i dzięki czemu nadal nim był.

Coś zadrżało w głębi ziemi. Poczul to w tunelu: ocierało się o ściany i sękatę korzenie. Zbliżało się.

Nadciągała śmierć.

Wszystko i nic

Kieliszki na biurku zatańczyły i zadźwięczały. Berghast odwrócił się od lustra nad konsolą, żeby na nie zerknąć, a potem spojrział Baileyowi w oczy. Za firankami rozbłysło światło. Marlowe wyrwał się z uścisku doktora, podbiegł do okna i wyrzwał na zewnątrz. Coś rozświetlało mrok. Coś się paliło.

– To on – szepnął chłopiec. – To Jacob.

Berghast podszedł do niego i otworzył okno. Na dziedzińcu stał dziwny powóz, który przed chwilą przyjechał. Ta kobieta detektyw, panna Quicke, stała w jego otwartych drzwiach i patrzyła na łunę pożaru.

„Co ona tu robi?“, zdumiał się Berghast.

Niedługo się jednak nad tym zastanawiał, bo w tej samej chwili gdzieś z daleka dobiegły pokrzykiwania i dał się słyszeć basowy, przytłumiony łoskot eksplozji. Ogień trawił zabudowania gospodarskie, głosy zaś musiały należeć – tak, z pewnością – do starych talentów gromadzących się przy pożarze. Gdyby to naprawdę był Jacob Marber, gdyby bariera została przełamana, ich siły byłyby niewystarczające.

Spojrzął na Bailey'a, który stał w półmroku groźny i milczący.

– Sprawdź, co z panem Lasterem – polecił. – Potem pozbądź się papierów z gabinetu. Ja zabiorę chłopca. – Do Marlowe'a natomiast rzekł: – Chodź, musimy się spieszyć.

Ale chłopak ani drgnął, zmierzył go upartym spojrzeniem spode łba.

– No chodź! – warknął Berghast.

– Nigdzie nie pójdę – zaparł się Marlowe. – Najpierw chcę zobaczyć Charliego. Powiedział pan, że będę go mógł zobaczyć.

– Są na świecie rzeczy ważniejsze od tego, czego chcemy, mój chłopcze – odparł doktor, siląc się na spokój. – Jeżeli teraz będziemy się ociągać, w ogóle nie będzie mowy o spotkaniu z twoim przyjacielem. Jacob Marber z drugim już o to zadbają.

Widział, że Marlowe mu nie wierzy, ale nie miał czasu się z nim spierać, nie w tej chwili. Odwrócił się i wymierzył mu potężny cios otwartą dłonią. Nogi ugięły się pod chłopcem i nieprzytomny osunął się na podłogę.

Henry pozwolił sobie na gniew. Spodziewał się, że będzie miał więcej czasu, że bariera glifina wytrzyma dłużej. Może Jacob był jeszcze silniejszy, niż się tego obawiał. Kiedyś udało mu się go pokonać, wiele lat temu, zanim jeszcze utracił talent. Dziś jednak byłoby to niemożliwe.

„Przynajmniej na razie”, pomyślał z zadowoleniem.

Z dolnej szuflady biurka wyjął prastary nóż do orsine, ten sam, który dał wcześniej Ovidowi. Schował go do kieszeni kamizelki. Następnie włożył żelazno-drewnianą rękawicę, jej drobne ząbki wbiły mu się w nadgarstek. W ostatniej chwili przypomniał sobie o dzienniku, swojej księdze tajemnic. Na wszelki wypadek wyjął go z zamykanej na klucz szuflady w biurku i wrzucił do ognia płonącego w kominku.

A potem przerzucił sobie nieprzytomnego chłopca przez ramię, zdjął lampę z haczyka przy drzwiach i pospieszył schodami w dół, w ciemność.

Spóźniły się.

Marber wraz ze swoim litchem Coultonem wdarli się już na teren posiadłości. Alice prawie biegła, pchany przez nią fotel na kółkach skrzypiał i podskakiwał na kamiennych płytach, ale pani Harrogate się nie skarżyła. Na przykrytych kocem kolanach trzymała parę swoich zabójczych noży. Na tyłach rezydencji szalał pożar. Objechały gmach dookoła i zatrzymały się na skraju łąki.

Przez chwilę zdezorientowana Alice nie wiedziała, co właściwie widzi.

Na tle pożogi majaczył szereg postaci w koszulach nocnych i szlafrokach. Stały zwrócone plecami do ognia i patrzyły w mrok. Naliczyła ich osiem – ośmioro

starych talentów, które mieszkały w Cairndale od dziesięcioleci, wiekowych, trzęsących się, kruchych.

– Co oni robią? – wyszeptała. – Margaret? Dlaczego są...

– Robią to, co zawsze – odparła pani Harrogate. – Sposobią się do walki.

– Proszę na nich spojrzeć, jak oni mają walczyć?! – zachnęła się Alice. – Nie są nawet w stanie sami przeżuć jedzenia!

Ze złością sięgnęła do rzemyka na szyi w poszukiwaniu zawieszzonego na nim dziwozwoju. Kirasa nigdzie nie było widać, ale skoro bariera runęła, to on również powinien móc przez nią przejść, prawda? Coraz bardziej koci, coraz mniej posłuszny – tego się właśnie spodziewała. Gromadka dzieci stała z boku i obserwowała rozwój sytuacji. Za ich plecami w oknach zauważyła twarze przyciśnięte do szyb.

– Proszę nie zapominać, po co przybyliśmy – upomniała Alice jej towarzyszka. – Musimy ostrzec doktora Berghasta. Trzeba ochronić glifina.

Alice wyjęła pistolet z kieszeni.

– Jeśli ten łajdak już tu jest, to chyba się spóźniłyśmy – burknęła.

– Alice? – usłyszała znajomy, nagły głos. – Alice!

Charlie.

Odwróciła się. Charlie – kłęb po dziecinnemu niezgrabnych długich rąk i nóg – wyskoczył na zewnętrzne kuchenne schody. Byli z nim inni, jego przyjaciele: Japonka o nadąsanej twarzy, mały, pulchny blondas, który prawie się nie odzywał, i... A cóż to za dziwo? Niezwykła bryła mięsa i ścięgien wytoczyła się ciężko z budynku. Alice odruchowo cofnęła się o krok, zasłaniając usta rękawem. Co za smród! Na końcu szła niewidoma guwernantka, kręcąc głową na boki w świetle ognia płonącego po drugiej stronie łąki, jakby wszystko doskonale widziała.

Marlowe'a z nimi nie było.

Ale Charlie już rzucił jej się na szyję i Alice z ulgi aż zamrugwała powiekami. Sprawiał wrażenie skrajnie wyczerpanego. Pozostali stłoczyli się wokół pani Harrogate, z troską wypytywali o jej zdrowie i o pożar. Zbiegli na dół dokładnie w tym samym czasie, gdy Alice i Margaret zajechały przed Instytut.

Panna Davenshaw przemówiła pierwsza:

– Stare talenty nie zdołają powstrzymać Jacoba Marbera, zanadto urósł w siłę. Nawet doktor Berghast zamierza uciec.

Pani Harrogate zwróciła się gwałtownie w jej stronę.

– O czym pani mówi?

– Nie ma go – odparła bez ogródek panna Davenshaw. – Przez cały dzień nie mogłam go nigdzie znaleźć.

Alice rozpięła płaszcz, poprawiła kapelusz. Na łące coś się działo, stare talenty zamaryły w bezruchu.

– Musimy się stąd wydostać – orzekła, cedząc słowa. – Wszyscy. I to już.

Charlie spojrział jednak nad jej głową w dal, w stronę pożogi i stojących w trawie starych talentów.

– Nie możemy, Alice – odparł. – Musimy najpierw coś zrobić – dodał półgłosem. – Zanim Jacob Marber nas dopadnie.

Pani Harrogate zatoczyła fotelem łuk i zderzyła się z Alice.

– Nie ma na to czasu, musimy natychmiast odszukać Henry’ego.

– Wydawało mi się, że chce pani ochronić glifina – przypomniała jej Alice.

– To niemożliwe – wtrąciła Japonka, zdejmując rękawiczki. – Cokolwiek zrobicie, jego los jest przypieczętowany. Nadal można jednak zamknąć orsine.

Pani Harrogate spojrzała na nią z błyskiem w oku.

– Jacob przysłał litcha, żeby je otworzył.

– Litcha?! – Charlie zatoczył się do tyłu. Grymas przerażenia wykrzywił mu twarz. – Znaczy... takie coś, co napadło mnie w Londynie?

– Dokładnie takie coś.

– Charlie? – Alice czuła narastającą panikę. – Gdzie jest Marlowe?

Charlie posłał Japonce bezradne spojrzenie.

– Przykro mi – odparł – naprawdę strasznie mi przykro, ale... Marlowe jest w środku, Alice. We wnętrzu orsine. Weszliśmy tam razem, ale on nie wrócił. Chciałem po niego pójść, naprawdę chciałem, ale doktor Berghast mnie nie puścił.

– Gestem wskazał pożar trawiący zabudowania pomocnicze. – A jeśli Marber rzeczywiście jest tutaj, to znaczy, że już się zaczęło.

– Co się zaczęło?

– Chodzi o glifina. On umiera.

– Kto wie, może po drugiej stronie Marlowe będzie bezpieczniejszy? – zasugerowała pani Harrogate, z uwagą śledząca wydarzenia na łące. – Przynajmniej przez jakiś czas. No dobrze, dziewczyno, mów, jak można zamknąć orsine?

Japonka przygładziła długi warkocz.

– Musimy udać się na wyspę. Będziemy potrzebowali ciała glifina.

– Na wyspie spotkamy Henry’ego. I drughra.

– O Boże... – Alice pokręciła głową. – To zbyt niebezpieczne. Widziałyśmy drughra, wiemy, czym jest. Z nim się nie da walczyć. – Złapała Charliego za ramiona i odwróciła do siebie. – Posłuchaj mnie, jeżeli orsine zostanie rozdarte, Marlowe będzie mógł wrócić, tak?

– No tak, ale...

– To już coś.

– ...ale do czego on tu wróci?! – wykrzyknął Charlie. – Z tamtego świata runie do nas fala umarłych. Ja ich widziałem, Alice, wiem, co robią z żywymi. Są naprawdę straszni. Marlowe by tego nie chciał.

– Panno Quicke? – odezwała się pani Harrogate. – Ściągniemy go z powrotem, obiecuję. Jeśli będzie trzeba, przejdziemy po trupie drughra. W Londynie drughr przybył przez rozdarcie w materii świata, prawda? Rozdarcie, które wcześniej sam stworzył. My też się dowiemy, jak to zrobić. Przede wszystkim jednak musimy zabezpieczyć orsine.

– Alice... – W oczach Charliego wezbrały łzy. – Musimy spróbować. Proszę cię.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Charlie oczywiście miał rację, wszyscy tu mieli rację...

W tym momencie nad łąką poniósł się przeraźliwy wrzask. Alice okręciła się na pięcie w samą porę, żeby zobaczyć sylwetkę Jacoba Marbera. Nie pomyliłaby go z nikim innym: w rozwianym płaszczu i jedwabnym kapeluszu na głowie szedł niespiesznie przed siebie. Zaczęła przesuwać się w bok, w poprzek kamiennej ścieżki, żeby lepiej go widzieć, gdy rozłożył ręce. Z jego wzniesionych dłoni sączyła się ciemność.

Coś dziwnego działo się również ze starymi pensjonariuszami Instytutu: manifestowali swoje talenty. Troje z nich biegło Marberowi na spotkanie

z niewiarygodną prędkością dla ludzi w ich wieku. Zafascynowana Alice patrzyła, jak sylwetki dwóch pierwszych potężnieją w biegu, z pochylonymi głowami upodobnili się do żywych taranów. Trzeci z nich, starszy mężczyzna w nocnej koszuli, rósł w oczach, jego ręce i nogi stawały się coraz dłuższe, aż w końcu z łatwością prześcignął poprzedzającą go dwójkę i wyciągnął olbrzymią dłoń, jakby zamierzał rozplaszczyc Marbera na ziemi. Trzymająca się z tyłu staruszka zaczęła lewitować: zawisała w powietrzu otoczona nimbem osobliwego białego światła. Pozostali też się zmieniali, choć z tej odległości Alice nie widziała dokładnie w jaki sposób.

Dostrzegła natomiast, że Jacob Marber ma kłopoty. Otoczył go wielki obłok mroku i cyklon pyłu buchnął z jego zaciśniętych pięści. Uderzył w pędzącego na przedzie olbrzyma i dwa deptające mu po piętach talenty, po czym został zassany z powrotem i znów utworzył ciemną chmurę wokół Marbera, który wyraźnie miał z nim problem. Olbrzym napał na obłok pyłu i obiema dłońmi usiłował go stłamsić; musiał być bardzo silny, bo z wolna uzyskiwał przewagę. Alice ośmieliła się mieć nadzieję, że może pani Harrogate nie miała racji, może wszyscy się mylili i stare talenty okażą się silniejsze, niż przypuszczali.

Wtedy jednak jej uwagę zwróciły dwie rzeczy – jeden z talentów, słabszy od pozostałych, z pochyloną głową, wsparty na lasce i trzymający się nieco na uboczu, oraz szybko czołgający się stwór, jasnoskóry i ledwie widzialny w upiornej ognistej poświacie. Rozpoznała Coultona. Płynnym, instynktownym ruchem podniosła rewolwer i wycelowała. Litch jakby wyczuł jej zainteresowanie, energię jej koncentracji, bo przesunął się w bok, a talent odgrodził go od Alice.

Chwilę później skoczył z wyciągniętymi pazurami i rozwartą paszczą i z impetem powalił kruchą, wiekową postać na ziemię.

Alice i tak strzeliła, spokojnie nacisnęła spust. Nie trafiła. Miała nadzieję spłoszyć litcha, zmusić go do porzucenia ofiary, ale na próżno. Kiedy po chwili Coulton podniósł głowę, zobaczyła spływający mu na brodę i potarganą koszulę ciemnoczerwony potok krwi.

Cokolwiek sędziwy talent zdołał wcześniej osiągnąć, teraz jego dar przestał działać. Jacob Marber w gwałtownym przypiływie mocy odrzucił olbrzyma w tył i tuman jego pyłu okrył pozostałych starców. Alice straciła ich z oczu.

Najbardziej zdumiewająca w tym wszystkim była szybkość, z jaką zdarzenia następowały po sobie. Alice miała wrażenie, że od pojawienia się Marbera upłynęła

zaledwie chwila. Zerknęła na dzieci i stwierdziła, że one również nie zdążyły nic zrobić, nawet się poruszyć. Ze zgrozą patrzyła, jak czarna burza pochłania wszystko na swojej drodze.

– Co się dzieje?! – krzyknęła panna Davenshaw.

– Gdzie oni są?! – zawołała Japonka. – Widzi ich pani?!

Nikt ich nie widział. Nad łąką przetaczał się wielki, ryczący huragan pyłu.

Przez moment nie działo się nic więcej, aż w końcu z centrum czarnego kłębowiska wynurzył się Jacob Marber. Szedł w ich stronę, utkwivszy w nich wzrok. Litch nie odstępował go na krok, niczym wierny pies gończy. Stare talenty zginęły.

– Zbieramy się – rzuciła ostrym tonem Alice.

Obróciła się na pięcie... i dopiero teraz zorientowała się, że pani Harrogate zniknęła.

Charlie patrzył, jak pani Harrogate cichutko cofa się na fotelu i odjeżdża w ciemność, w stronę jeziora; długie noże na jej podołku lśniły jak dwa półksiężycy. Kiedy zaskoczona Alice obejrzała się do tyłu, nie zareagował, nie powiedział, co widział, nie poinformował jej, dokąd udała się pani Harrogate. Nie musiał. Wszyscy wiedzieli.

Nie mógł się opędzić od myśli o umarłych w tamtym świecie, apatycznych świetlistych duchach łączących się tłumnie w gęstą mgłę po drugiej stronie orsine. Czekali, jakby przyciągani ciepłem żywych ciał. Niezbyt dobrze pamiętał te sceny, ale dręczyło go wrażenie natłoku duchów, ich mrowia, a także przeraźliwego zimna sączącego się w głąb piersi i świadomość wielkiego, niezaspokojonego głodu. Nie miał pojęcia, jak zmieni się ten świat, jeśli umarli do niego przejdą.

Nie były to jednak szczególnie klarowne myśli i szybko się ulotniły, kiedy Alice zaczęła popychać jego i pozostałych z powrotem w stronę gmachu Instytutu.

– Biegiem! – wołała, machając też na innych uczniów. – Biegnijcie! Szybko!

I nagle wszyscy znaleźli się w kuchni wśród wielkich miedzianych kotłów z gulaszem i zupą, które zdążyły już wystygnać. Około piętnaściorga dzieciaków wpadło do jadalni, potracając po drodze i tłukąc elementy zastawy. Wybiegli do holu i popędzili schodami na górę. Charliemu mignęli pan Smythe i jego

podopieczni biegnący w przeciwnym kierunku, byli jednak za daleko, żeby ich nawoływać. Zresztą i tak nie mieli czasu.

Na piętrze panowały cisza i spokój. Ostrożnie posuwali się naprzód. Wpadająca przez okna ognista poświata plamiła na pomarańczowo twarze, dłonie i ściany. Gdzieś z tyłu dobiegł trzask tłuczonej szyby i krzyki, które zaraz ucichły.

– Zbliża się – syknęła Alice.

Inne dzieci, których Charlie nie znał, rozpraszały się po pokojach, zamykały za sobą drzwi, próbowały się chować, on jednak odwrócił się, ujrzał pędzący po ścianach cień i już wiedział, że przed tym wrogiem nie da się ukryć. Litch przerażał go jak nic innego na świecie. Znajdowali się w długim prostym korytarzu i stwór szybko się zbliżał. Charlie zaczął się trząść.

– Musimy stawić im czoło – wyszeptała ze złością Komako. – Nie możemy się chować!

– Gdzie panna Davenshaw? – zapytał Oskar.

Charlie się rozejrzał. Rzeczywiście, ją również gdzieś zgubili.

– Szlag by to trafił! – warknęła Alice.

Nic nie szło po ich myśli. Chciała zawrócić, ale w tej samej chwili cały gmach się zatrząsnął, jakby coś usiłowało go zawalić im na głowy. Charlie zauważył, że zawahała się przez moment, po czym wyjęła z kieszeni długi klucz i z desperackim wyrazem twarzy zaczęła obracać go w rękach. Przeszło mu przez myśl, że Alice postradała zmysły, gdy wtem na parapecie otwartego okna pojawił się kot – zupełnie jakby go przywołała.

Zmierzyła zwierzę niechętnym spojrzeniem.

– Nie spieszyło ci się – powiedziała.

Powiedziała to do kota.

Charlie wybałuszył oczy z niedowierzaniem, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo rozległy się ogłuszający szum i ryk. Wyjrzał przez okno – całe wschodnie skrzydło budynku mieszczące gabinet doktora Berghasta stało w ogniu, nad nim zaś słup kłębiącej się ciemności przesłonił niebo. Zdał sobie sprawę, że widzi pył, pył Jacoba Marbera, który otaczał ich ze wszystkich stron i gęstniał. Musieli dostać się do gabinetu doktora i dalej, do tunelu, zanim ogień odetnie im drogę.

Nagle poczuł, jak Ribs łapie go za rękaw. Potknął się, zatrzymał i odwrócił. Litch skradał się ku nim korytarzem, strącając kolejne świece z kinkietów. W drugiej łapie trzymał lampę, którą teraz zamachnął się i roztrzaskał o drzwi. Płomień rozlał się po drewnie.

Sploną tu żywcem.

– Pospieszcie się! – zawołała Alice.

Pobiegli na złamanie karku, kierując się do skrzyżowania korytarzy. Alice ze złością oglądała się przez ramię.

– Dlaczego jeszcze nas nie zaatakował? – Nie mogła się nadziwić. – Jest od nas szybszy, powinien już nas dopaść, a on się zachowuje, jakby... jakby... – Przerażona urwała w pół zdania, bo właśnie wybiegli z za rogu.

– Jakby chciał nas dokądś zapędzić – dokończyła Komako.

Charlie spojrział tam gdzie ona: stojący przed nimi Jacob Marber odcinał im drogę ucieczki. Sznury czarnego pyłu wiły się i skręcały wokół jego zaciśniętych pięści. Jego oczy ginęły w mroku, głowę miał opuszczoną, broda rozlewała mu się na pierś niczym fartuch utkany z ciemności. Płat skóry z rozdartego policzka zwisał luźno i krwawił. Powoli, bez pośpiechu ruszył im naprzeciw.

– Charlie – usłyszał nagłący szept Komako. Złapała go za przegub dłoni i pociągnęła, a kiedy się do niej odwrócił, wyjaśniła spokojnym, rzeczowym tonem: – Musisz przedostać się do glifina i zapieczętować orsine. My sobie tu poradzimy. Idź.

W panice przeniósł wzrok na Marbera, po czym znów spojrział na Komako.

– Ale ja... ja nie dam rady... – wykrztusił.

Z tyłu dobiegł zgrzyt pazurów litcha na ścianie.

– Twoje ciało się uzdrawia, prawda? – wtrąciła Alice, posłyszawszy wcześniejsze słowa Charliego. – Tak czy nie?

Zdezorientowany skinął głową.

– No tak...

Alice nie czekała na ciąg dalszy. Złapała go za kołnierz, szarpnięciem zwróciła w stronę okna i mocno popchnęła. Charlie spadł na płonący dziedziniec w deszczu potłuczonego szkła i drewnianych odłamków futryny.

Henry Berghast upuścił Marlowe'a na podłogę.

Upomniał się w duchu, że nie należy zanadto się spieszyć. Odwiesił lampę na hak przy drzwiach, ale nie miało to wielkiego znaczenia, bo całą komorę rozświetlała błękitna poświata orsine. Wiedział jednak, że musi zachować najwyższą ostrożność. Drugiej szansy nie dostanie.

I właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że nie są z chłopcem sami.

W półmroku majaczyły niewyraźne sylwetki zwrócone twarzami do orsine, przygarbione, apatyczne, szare jak kurz. Było ich sześć. Nie zwróciły uwagi na przybycie Berghasta i Marlowe'a.

Duchy umarłych.

Berghast przykucnął, mierząc je posepnym spojrzeniem, gdy nagle siódma postać sennym krokiem wynurzyła się z orsine. Zostawiała wilgotne ślady na kamiennej posadzce. Potykając się, przeszła jeszcze kawałek, a potem odwróciła się i znieruchomiła, wpatrzona w błękitną powierzchnię zbiornika.

Po cichu, z bijącym sercem Berghast rozpoczął przygotowania. Odtworzył z pamięci słowa inkantacji, które widział na rękawicy, i zaczął ją mamrotać pod nosem. Z natury nie wierzył w nadprzyrodzony wymiar świata i zdawał sobie sprawę, że większość dawnych wierzeń to bzdury i przesady, ale tym razem zamierzał posłuchać rękawicy. Ostrożność nie zawadzi.

Chłopiec się poruszył.

– Uderzył mnie pan – jęknął.

Berghast pozwolił sobie na przelotne zmarszczenie brwi.

– Nie pozostawiłeś mi wyboru – odparł półgłosem. – Nie chciałem tego. Nie każ mi znów cię krzywdzić. I bądź cicho, nie jesteśmy sami.

Marlowe też musiał dostrzec zmarłych, bo umilkł.

Berghast wrócił do przerwane go zajęcia. Ostrożnie zbliżył się do orsine. Duchy nie zwracały na niego uwagi. Lewą dłoń obleczoną w rękawicę przycisnął do powierzchni zbiornika. Powłoka była cieńsza niż dawniej, w niektórych miejscach popękała, zaczynała się rozpadać.

W zadumie powiódł drugą ręką po bezwłosej czaszce, a potem zaczął powoli okręzać zbiornik i wiekowym nożem po kolei odcinać zanurzające się w orsine korzenie glifina. Ostrze cięło gładko, łatwo. Korzenie prawie nie krwawiły.

Umarli cały czas tkwili nieruchomo.

Sprowadził chłopca na krawędź zbiornika, zdjął mu buty i podkasał spodnie. Marlowe ze spokojem przyglądał się otaczającym ich szarym postaciom. Berghast kazał mu zanurzyć drobne blade stopy w lodowatym orsine. W niebieskim świetle wyglądały jak odlane z wosku.

– A teraz czekamy – mruknął.

– Wydaje się panu, że musi pan robić różne rzeczy. – Chłopiec spojrzał na niego z lękiem. – Ja to wiem. Ale to nieprawda, pan nie jest złym człowiekiem. Ma pan wybór.

– Ha! Ja już dokonałem wyboru – odparł zniżonym głosem Berghast. – Oto on.

Przekonania i myśli chłopca nie miały żadnego znaczenia. Jacob Marber wdarł się do Cairndale i właśnie mordował stare talenty.

„Przyjdź”, pomyślał Berghast z ponurym uśmiechem na ustach. „Zobacz, co cię czeka”.

Czuł narastający ból dłoni, którą wsunął w rękawicę. Miał wrażenie, że jej drobne ząbki usiłują mu odgryźć rękę w nadgarstku. Zaczął półgłosem powtarzać inkantację, słowa pradawnego języka dudniły mu jak bębny w głębi krtani.

Przyjdź, przyjdź, przyjdź, przyjdź.

Jak długo tak czekali? Świat wokół nich zdawał się oddalać, zatapiać w ciszy i bezruchu, nie było już Cairndale, nie było Marbera, duchów, pożaru ani ruin – byli tylko mężczyzna i dziecko na brzegu zbiornika, wpatrzeni w swoje rozwodnione odbicia.

Nagle w mętnej błękitnej głębi pojawił się cień. Coś tam było, jakaś sylwetka wynurzała się z otchłani i rosła w oczach do niewiarygodnych rozmiarów.

– Nareszcie... – Berghast, wyraźnie zadowolony, zacisnął dłoń w rękawicy. – Twoja matka przybywa, chłopcze. Wyczuła twoją obecność i się zjawiała. Teraz możemy zacząć.

Zdumiony chłopiec zapatrzył się w toń, a wtedy Berghast złapał go za rękę i nożem rozciął mu nadgarstek od wewnątrz. Marlowe wrzasnął. Drughr, piękny drughr, płynął mu na spotkanie.

W tej samej chwili zgromadzone w komorze duchy jak na komendę otworzyły usta i zaczęły krzyczeć.

Komako ze zgrozą obserwowała, jak wypchnięty przez okno Charlie spada w deszczu odłamków na spotkanie twardych granitowych płyt dziedzińca. Dość napatrzyła się na działanie jego talentu, by wiedzieć, że nic mu się nie stanie, ale nie potrafiła opanować przyprawiającego o mdłości strachu.

Odwróciła się ku Marberowi.

– Zajmijcie się tym drugim – powiedziała do Alice. – Jacob jest mój.

Miękkie zazwyczaj rysy Oskara stężały. Górujący nad nim posepnie Lymenion podszedł bliżej. Ale Alice nie słuchała Komako: przyklęknęła obok dziwnego czarnego kota i szeptała do niego, jakby o coś się spierali.

W końcu podniosła wzrok i spojrzała Komako w oczy.

– Mówi, że nie może nam pomóc – powiedziała – dopóki Marber ma dziwozwój.

Komako nie pojmowała.

– To klucz – wyjaśniła pospiesznie Alice. – Musimy mu go zabrać. Inaczej kiras nie będzie mógł nam pomóc. – Mina Komako musiała w dalszym ciągu wyrażać niezrozumienie, bo poirytowana Alice zmarszczyła brwi i wyciągnęła zawieszony na rzemieniu na szyi długi skomplikowany klucz. – Wygląda podobnie do tego, w tej chwili nie będę ci wszystkiego tłumaczyć. Szukaj klucza. Spróbuj mu go zabrać.

– Dobrze. Klucz...

Alice już trzymała w dłoni rewolwer, już kciukiem odciągała kurek i się odwracała, aż furkotały poły jej płaszczka.

– Pospiesz się – dodała. – Ribs i ja zajmiemy się litchem.

I z żądzą mordu w oczach ruszyła tam, skąd przyszli.

Komako patrzyła, jak Jacob niespiesznie podąża długim korytarzem. Twarz miał dziką, broda przesiąkła jego krwią, nie przypominał młodego mężczyzny, który przed laty w Tokio ocalił ją i Teshi przed gniewem wzburzonej tłuszczy, a potem pocieszał ją po śmierci siostry. Przypomniła sobie, jak opowiadał o swoim bracie, o rozpaczliwych poszukiwaniach Bertolta i o zapowiedzi, że jeśli znajdzie sposób, by sprowadzić go z powrotem, zrobi to, zrobi wszystko, co będzie trzeba, nie oglądając się na wyrządzone zło. Tym sposobem okazał się drughr. Kiedy jej pomagał i przytulał ją w trudnych chwilach... Może już wtedy drughr próbował go uwieść. A ją, Komako, przez lata dręczyły z tego powodu wyrzuty sumienia:

przecież go zawiodła, powinna była wyczuć zachłanność jego żaloby i pomóc mu się z niej otrząsnąć, tyle że sama ugiwała się wtedy pod brzemieniem straty. Od tamtej pory przez całe swoje niedługie życie starała się pamiętać tę prostą prawdę: że jej cierpienie i kapitulacja w jego obliczu powiększyły sumę cierpienia na świecie.

Może jednak z Jacobem można jeszcze porozmawiać? Może ostała się jakaś jego część, do której zdołałaby dotrzeć? A jeśli nie? Komako stała się silniejsza, niż mógł przypuszczać. Niech sam się o tym przekona.

W miarę jak się zbliżał, kolejne świece w korytarzu gasły i rozpływały się w dymie. Szedł jak zwiastun innego, większego i potężniejszego mroku. Na jego widok Komako poczuła, że znów ma dziewięć lat, na krętych drewnianych uliczkach Tokio pada deszcz, a jej siostra Teshi siania się na nogach. Jacob łypał na nią z gniewnym lękiem, któremu wcale niedaleko było do miłości.

– Jacobie! – zawołała. – Wcale tego nie chcesz, wiem, że nie!

Na dźwięk jej głosu zatrzymał się, prześliznął wzrokiem dalej, na Oskara i Lymeniona, po czym znów spojrzał na nią.

– Komako? – zdziwił się.

Miał szkliste oczy. Znużenie w jego głosie rozdzierało serce. Dym i pył z wolna rozwiały się i opadły.

– Proszę – powiedział – odsuń się. Nie stawaj mi na drodze. Nie przybyłem tu, żeby was skrzywdzić. Przychodzę po Berghasta.

– Zabiłeś stare talenty, tam, na łące. Widziałam.

– Próbowałem tego uniknąć. Ostrzegałem ich. Alice Quicke ma coś, co jest mi potrzebne. – Przyjrzał jej się uważnie w blasku odległego pożaru. – Nic o tym nie wiesz, prawda?

– Nie słuchaj go! – szepnął ostrzegawczo Oskar. – On kłamie!

Ale Komako nie była tego taka pewna.

– Czego chcesz od Berghasta?

Jacob rozłożył ręce. Kapelusz miał zsunięty nisko na oczy, ciemność wiła mu się pod skórą.

– Chcę go zabić – odparł półgłosem. – Kiras mi w tym pomoże. A po Berghaście...

– Tak?

– Zabiję drughra i wszyscy będziecie bezpieczni.

– Ale dlaczego?

– Bo są źli. Obaj.

Komako dostrzegła wreszcie maleńkie punkciki światła w miejscach, gdzie powinny się znajdować oczy Jacoba, i nie odrywała od nich wzroku. Ścisnęła ją w gardle.

– Ty również jesteś zły, Jacobie. – Starła się przez cały czas patrzeć mu w oczy. – Stałeś się zły. Zabijałeś i dalsze zabijanie tego nie zmieni.

Próbowała zyskać na czasie i jednocześnie zbliżała się do niego. Obok niej przy ścianie Lymention również posuwał się w ciemności. Dzieliło ją od Jacoba nieco ponad trzy metry, gdy dostrzegła wystającą z kieszeni kamizelki część zawieszzonego na łańcuszku klucza.

Jacob wydawał się wyższy i dzikszy niż dawniej, ale zarazem w jego postawie i ruchach było coś nienaturalnego. Garbił się lekko i oszczędzał jedną nogę – ktoś musiał go poważnie skaleczyć i rany źle się goiły.

Komako zaczerpnęła zimna w nadgarstki. Ból przeszył jej ręce, gdy przywołała żywy pył i pozwoliła, by ją wypełnił. Wielka, gęsta, głęboka pustka wezbrała w niej w ułamku sekundy. Ogarnęła ją satysfakcja: Jacob nie miał prawa się spodziewać, jak wielką zyskała moc, co potrafi, jak szybko i zręcznie włada pyłem. Uplotła z niego grubą, mocną mackę, strzeliła nią w jego kierunku i złapała klucz. Pękł zerwany łańcuszek i klucz wylądował w jej dłoni.

Jacob nawet nie drgnął.

Westchnął tylko, jakby dokładnie czegoś takiego się obawiał, i lekko podniósł rondo kapelusza. Zajrzawszy mu w oczy, Komako dostrzegła w nich potężne zmęczenie, zrezygnowaną furię i lata okrucieństw – już uświadomiła sobie, że nie zdoła z nim walczyć.

Nie miała ani chwili na ucieczkę. Snujący się długimi wstęgami ciemności pył wypływał z Jacoba, wypełniał go, był jego częścią. W jednej chwili oplótł jej nogi w kostkach, spętał kolana, przycisnął łokcie do boków. Podniosła głowę i próbowała coś powiedzieć, ale pył ścisnął jej tchawicę.

Jacob powoli ruszył w jej stronę.

W tej samej chwili Lymention wynurzył się z mroku i zaatakował. Uderzył z siłą pociągu towarowego. Odepchnięty w tył Jacob przewrócił się, a wtedy ciałolbrzym

dopał do niego i zasypał go gradem potężnych ciosów. Podłoga drżała, tynk osypywał się z sufitu. Lymenion wbił Jacoba w podłogę do wysokości bioder. Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że Komako ledwie zdążyła zarejestrować eksplozję wściekłości ciałolbrzyma, który przebiłby Jacobem podłogę i zrzucił go na parter, gdyby w ostatniej chwili coś nie powstrzymało jego zabójczej pięści. Zawisała nieruchomo w powietrzu, a on zachwiał się, zatoczył do tyłu i zdezorientowany zaczął kręcić głową na boki, jakby jakaś niewidzialna siła dopadła go ze wszystkich stron jednocześnie.

– Lymenion! – wołał Oskar. – Lymenion!

Ciałolbrzym okładał powietrze, młócił pył, który kłębił się wokół niego jak rój rozjuszonych pszczoł i gęstniał, gęstniał coraz bardziej, aż Komako całkiem straciła Lymeniona z oczu. Słyszała jeszcze, jak Oskar krzyczy coś z głębi korytarza, a potem Jacob podniósł ręce i zacisnął pięści. Otaczająca Lymeniona ciemność też się zacisnęła i ciałolbrzym eksplodował deszczem cuchnących okrawków, po którym pozostały tylko plamy na ścianach, podłodze i suficie.

Komako dzwoniło w uszach. Nie mogła się ruszyć. Trzymała klucz w zaciśniętej dłoni, ale utkane z pyłu i dymu sznury więziły ją zbyt mocno. Zrozpaczona, z rękami przyszpilonymi do boków, mogła tylko bezradnie patrzeć na Jacoba.

– A co z Bertoltem?! – zawołała. – Myślisz, że tego właśnie by chciał, Jacobie?

– Być może – odparł szeptem.

Widziała, że się zastanawia i że podjął jakąś decyzję.

– Proszę! – wykrzyknęła Komako. – Kochałam cię jak brata!

Podniósł rękę. Pod skórą wiły się ciemne tatuaże. Czarny pył kłębił się wokół niego, niebezpieczny i piękny.

– Wiem – powiedział smutno.

Pył uderzył Komako z siłą huraganu, szarpnął jej głowę w tył, obrócił dziewczynę w miejscu i cisnął nią o zniszczoną ścianę. Tuman sadzy ją oślepił, a gdy otworzyła usta do krzyku, natychmiast zostały wypełnione dymem i żywym pyłem. Czerń wlała jej się do gardła i dalej, do płuc.

Nad jeziorem, obok na wpół zatopionego pomostu, Margaret Harrogate przewróciła swój fotel na kółkach, próbując z niego wstać.

Upadek był bolesny, a potem musiała jeszcze po omacku znaleźć noże, które wcześniej trzymała na kolanach. Była jednak na to przygotowana: grube wełniane rękawy swetra dobrze chroniły łokcie i Margaret, zacisnąwszy zęby, zaczęła się czołgać w stronę łodzi. Udało jej się także ją odcumować i wgramolić na pokład.

Za jej plecami przewalała się przetykana ogniem ściana dymu. Powierzchnia jeziora zdawała się płonąć. Margaret pozwoliła sobie na krótką bolesną chwilę zadumy nad losem Alice, dzieci i pozostałych.

„Uciekajcie”, modliła się w duchu. „Nie oglądajcie się za siebie, po prostu uciekajcie”.

Wzięła do rąk wiosła i pomalutku wyprowadziła kołyszącą się lekko łódź na jezioro ognia. Bolały ją ręce i barki. Nad wiązem na wyspie unosiły się punkciki niebieskiego światła jak drobinki rozżarzonego popiołu. Od czasu do czasu ze wzgórza, na którym stał Instytut, dobiegał przytłumiony huk eksplozji. Cały gmach był otulony czarnym tumanem pyłu i dymu, który w miejscach, gdzie rzedł, pulsował pomarańczowo. W środku szalał pożar.

Po dotarciu na wyspę wywlekła się z łodzi, przycumowała ją solidnie i wsparta na przedramionach zaczęła się czołgać kamienistą ścieżką pod górę, do ruin. Pałający czerwonym odblaskiem ognia klasztorny mur wyglądał jak oblany krwią.

Łokcie miała już pozdzierane do krwi. Zatrzymała się, podciągnęła nogi i usiadła, żeby pomyśleć.

Glifin. Orsine. Doktor Berghast. Drughr...

Nagle rozległy się krzyki, niezbyt głośne, upiorne, przepojone melodią smutku i tęsknoty, ale zarazem nienawistne i zachłanne. Aż zadygotała, tak bardzo były nieludzkie. Przycisnęła policzek do zimnych kamieni: krzyki dobiegały spod ziemi.

Powoli, czołgając się, okrążyła budynek. Masywne drzwi były otwarte, na wbitym obok haku wisiała zapalona lampa. Krzyki rozbrzmiewały tu głośnie.

„Berghast”, pomyślała.

Wczołgała się do środka, przez hol wejściowy i dalej, w dół, po kręconych, grubo ciosanych kamiennych schodach, aż w końcu zdyszana znalazła się w ogromnej komorze mieszczącej podziemny zbiornik i oświetlonej niebieską poświatą. Podłoga i ściany były spękane i poprzecinane setkami przypominających macki korzeni. Wśród kamiennych ścian echo zwielokrotniało potworne wrzaski.

Dookoła w półmroku stały jakieś postaci, szare, niewyraźne, z otwartymi ustami. To one krzyczały.

Na widok majaczącego na skraju zbiornika doktora Henry'ego Berghasta zakręciło jej się w głowie. W padającym od dołu dziwnym świetle rzucał olbrzymi cień i nie od razu go poznała, zwłaszcza że miał ogoloną głowę i pozbył się gęstej brody. Na jednej ręce nosił niezwykłą, mieniącą się rękawicę, która sięgała mu do połowy przedramienia. Stał tyłem do wejścia. Jedną ręką trzymał Marlowe'a.

Chłopiec miał rozcięty nadgarstek, a Berghast przytrzymał jego sztywno wyprostowaną rękę nad zbiornikiem. Twarz chłopca była popielata.

Margaret dobyte noży.

Dokładnie w tej samej chwili Abigail Davenshaw szła bezszelestnie po dywanie w gabinecie doktora Berghasta, wymacując drogę brzoźową laską i wytężając słuch. Dobiegł ją cichy, upiorny klekot zamkniętych w klatce kościanych ptaków, regularny jak terkotanie mechanizmu, potem usłyszała pospieszne kroki gdzieś w odległym korytarzu. Poza tym cisza aż dźwięczała w uszach.

Ostrożnie minęła krzesła i obeszła z boku biurko. Wyczuła słabą, bardzo słabą woń przypalonej skóry i papieru. Gdzieś spod ziemi powiało zimnym powietrzem. Znalazła drzwi, przez które kiedyś już przeszła. Schody za nimi prowadziły do tajemniczego zamkniętego pokoju. Teraz były otwarte.

– Halo?! – zawołała. Jej głos zadudnił w czeluści i ścichł. – Doktorze Berghast? To ja, panna Davenshaw...

Nic.

Przygryzła wargę, zmarszczyła brwi.

Cóż, niech więc tak będzie.

Zaczęła schodzić. Ostrożnie, czubkami palców wymacywała każdy kolejny stopień, siłą woli powstrzymując się od upadku. Tutaj, w tym przejściu, nikt by jej nie znalazł, gdy z Cairndale zostaną zgliszczą.

Nie przewróciła się, a gdy dotarła do końca schodów, po ruchu powietrza poznała, że coś się zmieniło. Drzwi, wcześniej zamknięte na głucho, zostały wyrwane z zawiasów.

– Halo... – powtórzyła niepewnie.

Przypomniała sobie słyszane tu poprzednio urywane sapanie, ponownie poczuła tamten strach i zaczęła się poruszać z jeszcze większą ostrożnością. Cokolwiek jednak wtedy to było, odeszło stąd – odeszło albo nie żyło. Była jedyną żywą istotą w tym miejscu.

Trąciwszy brzozową gałązką coś leżącego wewnątrz celi, nie wiedziała, co o tym myśleć. Cicho zadźwięczał łańcuch. Pośliznęła się na jakiejś lepkiej cieczy i rozpoznała ją po metalicznym zapachu.

Przyklękła i namacała twarz trupa: okazał się nim Bailey, osobisty służący doktora Berghasta. Coś rozszarpało mu gardło, miał też głębokie rany piersi i ramion, jakby padł ofiarą dzikiego zwierzęcia.

Oblizła wargi, wyprostowała się i z ponurą miną wróciła po schodach na górę. W gabinecie podeszła do kominka, wymacała pogrzebacz i ostrożnie wyciągnęła z paleniska nadpalony dziennik doktora – to właśnie jego zapach unosił się w powietrzu. Skoro Berghast chciał go zniszczyć, jego zawartość musiała być cenna. Podeszła do biurka i przetrząsnęła szuflady w poszukiwaniu jeszcze czegoś wartościowego. Pożar się przybliżał, czuła bijący przez ściany żar. W końcu z zawziętą miną, z nadpalonym dziennikiem Berghasta pod pachą, przeszła przez pusty gabinet do drzwi, znalazła klamkę i wyszła na korytarz w trzewia płonącego gmachu.

Charlie był przerażony. Autentycznie przerażony.

Wpadł do gabinetu doktora Berghasta, zanim jeszcze złamany obojczyk zdążył mu się zrosnąć, setka zadraśnień potłuczonym szkłem już się zagoiła. Glifin. Musiał znaleźć glifina i wyciąć mu serce. Spodziewał się, że – być może – będzie musiał stawić czoło litchowi Walterowi, temu samemu, który tak wielką grozą napawał go w Londynie, próbował rozplatać mu gardło i zranił go pazurami w zupełnie nowy, nieznanym mu wcześniej sposób – tamte rany goiły się długo i boleśnie. Zresztą wspomnienia litcha to jedno, ale oprócz nich były jeszcze koszmarne sny dręczące Charliego miesiącami, w których litch z chrobotem szponów przemykał po suficie i spadał na niego niczym gigantyczny biały pająk. Charlie budził się z nich zlany potem i drżący.

A teraz zamierzał odszukać tego potwora. Wszyscy na nim polegali.

Nie miał jednak czasu na rozmyślanie. Przystanął w gabinecie tylko na moment, by się upewnić, że ani Berghasta, ani jego służącego olbrzyma nie ma nigdzie

w pobliżu. Zobaczył tylko kościane ptaki klekocące kośćmi na swojej grzędzie i pulsujące żarem węgle w kominku, a potem dopadł do drzwi prowadzących pod ziemię, do tuneli i dalej, pod dnem jeziora na wyspę. Gdyby przybiegł pięć minut wcześniej, zastałby pannę Davenshaw przy wyciąganiu dziennika z paleniska, zobaczyłby ją i może udałoby mu się zapytać ją o radę, zwrócić się o pomoc, ale rozminęli się, zniknęła, przepadła z powrotem w labiryncie pokojów Cairndale, w głębi płonącej rezydencji, tuląc do piersi osmolony dziennik, z którego połowę sekretów pochłonał ogień.

Zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. W ciemnym tunelu śmierdziało, a on zapomniał wziąć ze sobą lampę czy choćby świecę. Przy każdym kroku rozchlapywało stojącą na dnie wodę. Miał wrażenie, że za chwilę się z czymś zderzy, ale nic takiego nie nastąpiło, nie przewrócił się, nawet nie potknął. W końcu poczuł, że tunel zaczyna stopniowo się wznosić. Powietrze zrobiło się czystsze, z przodu zamajaczyło słabe szare światło. Dotarł na wyspę.

Klucząc wśród kamiennych złomów, dotarł do drzwi i znalazł wiszącą obok nich lampę. Z komory orsine dobiegały stłumione krzyki. Coś tam było.

„Cokolwiek to jest, obejdzie się bez lampy”, pomyślał.

Zdjął lampę z haka, okrążył zrujnowaną katedrę i wszedł do niej z drugiej strony.

Szedł pod żebrami sklepienia i widocznym ponad nimi nocnym niebem, zmęczony, ale zdeterminowany. Przyświecając sobie, znalazł kryptę, a w niej pozostawioną w uchwycie niezapaloną pochodnię. Uchylił drzwiczki lampy i zapalił pochodnię. Czaszki we wnękach szczyrzyły zęby. Kości w wiekowych trumnach spoczywały w pokoju.

Korzeni przybywało. W świetle ognia widział ślady walki, korzenie powyrywane ze ścian i poszarpane na kawałki, cętkowany krwawy trop prowadzący w głąb podziemi. To musiał być litch. Walter.

Teraz już prawie biegł. Potykał się o korzenie, przewracał, podrywał się na nogi, hałasował, lecz wcale się tym nie przejmował. W nisko sklepionej, oplecionej korzeniami komorze glifina stanął jak wryty i patrzył ze zgrozą.

Glifin i Walter zawisli pod sufitem spleceni w przerażającym uścisku. Wszędzie było pełno krwi. Korzenie glifina oderwały Walterowi nogę. Tuzin innych przeszył

jego ciało na wylot, poprzebijał ramiona, pierś, kręgosłup. Jeden szczególnie gruby splot zacisnął mu się na gardle. Oczy łyskały białkami. Litch był martwy.

Ale glifin również zginął. Przed śmiercią Walter rozszarpał mu zębami gardło i teraz głowa prastarej istoty zwisała pod nienaturalnym kątem. Pierś miała całą we krwi.

Charlie aż zadrżał, był jednocześnie zdruzgotany i odczuwał ulgę. Przynajmniej nie będzie musiał zabić glifina.

I dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie zabrał żadnego narzędzia, którym mógłby wykroić serce. Rozejrzał się w blasku pochodni i jego wzrok padł na szponiaste łapy litcha pozbawione odgryzionych wcześniej kciuków. Wyciągnął rękę, złapał oślizły od krwi nadgarstek, wykręcił łapę litcha i delikatnie przytknął pazur do koropodobnej skóry glifina.

Pazur zagłębił się w niej z cichym sapnięciem. Pociękł czarny, wodnisty śluz. Charlie ciął pierś glifina, rozwierając powstającą ranę coraz szerzej, a gdy stała się dostatecznie głęboka, sięgnął do środka w poszukiwaniu czegoś miękkiego i gumowatego. Gdy coś takiego namacał, szarpnął z całej siły.

Serce, jeszcze ciepłe, z mlaśnięciem wyszło z rany. Było wielkości pięści, oblepione czarną galaretowatą mazią. Przycisnął je do piersi, dysząc ciężko, i nagle poczuł wzbierający w nim dojmujący smutek. Czymkolwiek poza tym był glifin, z pewnością był prastarą, dobrą istotą, której wszyscy zawdzięczali bezpieczeństwo. Żył przykuty do orsine, był jego więźniem w takim samym stopniu jak duchy umarłych. To było niesprawiedliwe.

Charlie cofnął się o krok i przetaił serce rękawem. Pod warstwą śluzu pulsowało wolno jak żarzący się węgielek. I świeciło.

Nagle coś poczuł. Zadarł głowę, nadstawił ucha. Teraz już nie miał wątpliwości: niskie, basowe dudnienie niosło się pod ziemią, jakby gdzieś w pobliżu jechał pociąg. Ściany zadrżały, ziemia osypała się ze sklepienia. I wtedy zrozumiał: wyspa się rozpadała.

Przyświecił sobie pochodnią i puścił się biegiem.

Alice pędziła ciemnym korytarzem ile sił w nogach. Trzymała colta w dłoni, czuła drżenie otaczających ją murów, wiedziała, że Ribs depcze jej po piętach, ale – oczywiście – nie widziała jej. W tej chwili gdzieś za jej plecami Jacob Marber

mierzyl się z Komako, Oskarem i jego ciałołbrzymem, ale ten korytarz był cichy, spokojny, chłodniejszy. Zwolniła. Zatrzymała się. Przekrzywiła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

Wiedziała, że Coulton jest gdzieś w pobliżu, niemal czuła jego obecność, wyobrażała sobie, jak czai się w ciemnościach i szczeka przerażająco długimi kłami. Odwiodła kurek rewolweru i powoli obróciła się wokół własnej osi. Światła były pogaszone.

– Wiem, że tu jesteś, Coulton – powiedziała spokojnie.

Zaglądała po kolei w mroczne nisze i ciemne wnęki drzwi, zaczynała nabierać wątpliwości: może jednak się pomyliła, może Coulton zdołał jakoś ją wyminąć i w tej chwili walczył u boku Marbera.

– Coulton?

Nagle poczuła na ramieniu lekkie, ciepłe plaśnięcie. Niewiarygodnie powolnym ruchem zadarła głowę i spojrzała do góry.

Coulton przywarł do sufitu dokładnie nad nią i teraz szczyrzył zęby, z których skapywało coś wilgotnego i oślizłego. W tej samej chwili rzucił się na nią. Powalił ją na podłogę, wytrącił jej broń z ręki i szarpał płaszcz, rękę, odsłoniętą skórę, by dosięgnąć zawieszzonego na jej szyi dziwozwoju.

Walczyła w milczeniu, z furią i zaciekłością zaskakującą nawet dla niej samej. Gryzła Coultona, drapała go po twarzy, wbijała mu kciuki w oczy. Nagle zawył, wykręcił się, zeskoczył z niej i trzymając się za szyję, zaczął się kręcić w kółko jak opętany. Alice dostrzegła zakrwawione szklane ostrze unoszące się w powietrzu.

Ribs.

Litch również je zauważył. Skoczył na ścianę, odbił się od niej pazurzastą stopą i spadł w miejsce, w którym powinna znajdować się Ribs – tyle że Ribs okazała się szybsza. Szklane ostrze spadło na ziemię. Coulton z wrzaskiem okręcił się wokół własnej osi.

Alice cofnęła się pod ścianę, oparła o nią plecami i po omacku szukała kolejnych szklanych drzazg. Namacała jedną w samą porę, żeby ścisnąć ją mocno w dłoniach i wystawić rękę naprzód, gdy Coulton ponownie się na nią rzucił. Szkło wbiło mu się głęboko w brzuch, a ona cięła nim, dźgała i znów cięła na boki, siekła ciało na strzępy i czuła spływającą jej po nadgarstkach i rękach obfitą, gorącą wilgoć.

Ugryzł ją boleśnie w bark, wyszarpał kawał ciała, ale na więcej nie było go już stać. Oklapł, złapał się za brzuch, wierzgnął nogami w agonii.

Wstała zdyszana i rozejrzała się w poszukiwaniu rewolweru. Unosił się w powietrzu: Ribs wycelowała w litcha i pociągnęła za spust. Huk był ogłuszający. Coulton – stwór, który niegdyś był Coultonem – runął na bok i znieruchomiał.

Wydawało się to niemożliwe. Alice się zachwiała. Trzymając się za poharatany bark, spojrzała w miejsce, w którym powinna stać Ribs, i skinęła głową. Znów zaczęły biec, wolniej niż poprzednio, lecz cofały się do miejsca, z którego dobiegały odgłosy walki i zniszczenia.

Wybiegły z za zakrętu i niewiele brakowało, żeby Alice opadła na kolana. Oskar leżał pod strzaskaną ścianą bezwładny i nieruchomy. Lymeniona nie było widać, plamy krwi i kawałki mięsa znaczyły sufit i ściany. Alice się zachwiała. Część ściany zniknęła, a w zdewastowanym pokoju po drugiej stronie dostrzegła olbrzymi czarny wir: to kiras, ośmionogi, z dwoma rzędami zębów, toczył zażartą walkę z Jacobem Marberem, który spętał go sznurami i mackami czarnego pyłu, chwycił za gardło i próbował odepchnąć. Kiras długimi pazurami chlastał Marbera po rękach i nogach.

Obejrzała się do tyłu i zobaczyła klęczącą Komako, która patrzyła na nią zza zasłony długich, czarnych, splątanych włosów. W uniesionej zaciśniętej pięści trzymała drugi dziwozwój. Alice bez wahania, bez choćby chwili zastanowienia sięgnęła do zadanej przez Marbera rany w boku, przez którą jego pył wniknął w głąb jej ciała. Wczuła się w nią, przywołała ból, wchłonęła go i wyciągnęła przed siebie ręce. Rozpościerając ramiona, miała wrażenie, że zмага się z naporem wielkiej fali wody.

Jacob Marber zachwiał się, cofnął przed kirasem i nagle rozłożył ręce dokładnie w taki sam sposób jak ona. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Kiras wyrwał się spod sterty potrzaskanych cegieł i skoczył na jego odsłoniętą pierś.

Alice osunęła się na kolana, wysiłek związany z unieruchomieniem Marbera był zbyt wielki. Jacob odwrócił się i zobaczył ją w chwili, gdy kiras próbował dosięgnąć jego serca.

Potem wszystko wydarzyło się jednocześnie. Ściana dymu odtrąciła kirasa na bok. Sznur z pyłu zacisnął się na gardle Alice jak żelazna obręcz i wyrzucił ją w powietrze, tak że przebiła przeszkłone drzwi i wypadła na kamienny balkonik.

Otulona wszechogarniającą mgłą bólu podniosła głowę i zobaczyła, jak kiras wgryza się Marberowi w gardło. Mrugnęła. Marber strącił kirasa na podłogę. Mrugnęła. Kiras uderzył Marbera w głowę. Nagle obaj wytoczyli się na balkon, który aż zadygotał od wstrząsu. Kiras trafił potężnym ciosem, głowa Marbera odskoczyła dziwnie, a potem balkon nie wytrzymał i zawalił się pod ich ciężarem. Alice złapała się progu i jakimś cudem zdołała się na nim utrzymać, gdy Jacob Marber runął wraz z masą kamienia i cegieł na odległy dziedziniec.

Poczuła, jak potężne szczęki zaciskają się na kołnierzu jej płaszcza, coś ją podniosło i wciągnęło z powrotem do pokoju. Leżała zdyszana, zapłakana i nieruchoma wśród gruzu i tumanów kurzu. Przeżyła.

Podniosła głowę. Kiras utykał, wyraźnie oszczędzał prawą przednią łapę. Wciąż jeszcze był duży, wielkości ogromnego psa, ale poza tym wyglądał jak zwyczajny kot: miał cztery łapy i normalne zęby. Miał także zakrwawiony pysk i sierść, Alice nie umiała stwierdzić, czy to jego krew. Wyciągnęła ręce, objęła go za szyję i wtuliła twarz w futro. Promieniał potężnym żarem. Pachniał spalenizną.

– Dziękuję ci – wyszeptała ze łzami w oczach. – Dziękuję, dziękuję...

Z dymu wynurzyli się zakrwawieni i posiniaczeni Oskar i Komako. Woleli się nie zbliżać do wielkiego kirasa. Komako podeszła do drzwi balkonowych i spojrzała w dół, na dziedziniec, gdzie ze sterty gruzu wystawała jedynie zmiądzona dłoń Jacoba Marbera.

Zamknęła oczy i bez słowa podała Alice drugi dziwozwój, drewniany, ten, który Jacob odebrał jej w Londynie.

Kiras zmrużył czworo lśniących oczu.

– Ko? – rozległ się blisko głos Ribs. Dym kłębił się wokół jej niewidzialnej sylwetki, obrysowywał ją w powietrzu. – Nie możemy tu zostać. Jeżeli Jacob Marber przedostał się do Cairndale, ten przeklęty drughr na pewno jest blisko.

– Ribs ma rację – poparł ją Oskar. Krwawił z rozcięcia na czole.

Wokół nich gmach Instytutu pojękiwał i drżał. Zostało im niewiele czasu.

Przez wyłom w ścianie i opadający kurz Alice spojrzała na zewnątrz, w stronę wyspy i górującej nad nią rozległej korony wiązu. Rozświetlała ją upiorna błękitna poświata.

– Myślicie, że Charlie zamknął orsine?

– Nie – odparła Komako, stanąwszy nad nią. – Jeszcze nie. Da pani radę iść?

Na moment przed oczami Alice stanął gigantyczny potwór, który w Londynie wyszarpał otwór w powietrzu. Żadne z tych dzieci go wtedy nie widziało, tylko ona. Spojrzała na nie teraz, przeniosła wzrok na wyczerpanego kirasa i zdała sobie sprawę, że nie mogą stawić czoła drughrowi. Nie w takim stanie.

– Musimy zejść na dziedziniec – oznajmiła, podjąwszy decyzję. Chwiejnie stanęła na nogi. – Powinien tam być powóz, którym przyjechałyśmy z Margaret, nie mógł daleko odjechać. Musimy wszystkich was stąd wywieźć.

Odwróciła się do kirasa i przyklękła. Podeszedł do niej, kulejąc, i szturchnął pyskiem jej otwartą dłoń. W drugiej ręce trzymała oba dziwozwoje. Położyła je teraz wśród okruchów kamienia i zaprawy i się cofnęła.

– Są twoje – powiedziała.

Kiras ostrożnie obwąchał dziwozwoje i podniósł łeb, jakby taksując Alice wzrokiem.

– No idź – ponagliła go szeptem. – Idź.

Jakby rozumiał, co do niego mówi, przekrzywił głowę na bok i dwoma szybkimi kląpnięciami pyska połknął dziwozwoje. A potem odwrócił się i bezszelestnie oddalił w głąb rozświetlanego łuną pożaru korytarza. Jego poszczerbiony cień prześliznął się po ścianach i zniknął.

Dzieci obserwowały całą scenę w milczeniu. Ribs – wciąż niewidzialna – jęknęła.

– Przekłęci Amerykanie! Zawsze muszą wykonać jakiś tam niby szlachetny gest!

– Co to ma znaczyć? – zdumiała się Alice.

– To ma znaczyć, że może następnym razem poczekałabyś, aż naprawdę będziemy bezpieczni, he?

Alice sprawdziła rewolwer i ruszyła przed siebie korytarzem. Poły płaszcza powiewały za nią.

– Nikt nigdy nie jest bezpieczny – mruknęła pod nosem. – I nie ma żadnego następnego razu.

Kiedy Alice z wychowankami Instytutu biegli przez płonący gmach, znajdująca się na wyspie Margaret ścisnęła w dłoniach dwa długie noże i z mozołem czołgała się po dnie wypełnionej krzykiem komory. Nieruchome szare postaci przerażały ją, ale koncentrowała się tylko na tym, by pomóc nieszczęsnemu chłopcu, małemu Marlowe'owi. Musiała powstrzymać Henry'ego Berghasta, przeszkodzić mu

w tym, co robi. W pewnym sensie sama była temu wszystkiemu winna, powinna była wcześniej się na nim poznać, przejrzeć go na wylot.

Ostatkiem sił posuwała się naprzód. Chłopiec leżał bezwładnie przy brzegu zbiornika, nieprzytrzymywany już przez Berghasta. Kluczowe będą element zaskoczenia i szybkość jej reakcji.

Od skraju zbiornika dzieliło ją jeszcze kilka metrów, gdy wstrząśnięta zdała sobie sprawę z poczynań Berghasta. Drughr przyciskał się od spodu do orsine jak wielka ciemna plama, tkwił uwięziony pod powierzchnią i mógł się tylko wściekać, gdy Henry Berghast włożył dłoń wprost w jego ohydny maź i żywił się nim.

A potem bardzo powoli zaczął go podnosić, ciągnąć w górę, aż drughr – był naprawdę olbrzymi, mierzył ponad trzy metry – wyrzucił od dołu powierzchnię orsine. Szamotał się, szarpał, odwracał niewidzącą twarz w stronę Marlowe'a.

Krzyczące szare postaci nagle umilkły, stały nieruchomo z szeroko otwartymi ustami o czarnych, pozbawionych światła wnętrzach. Niespodziewana cisza aż zadźwięczała pani Harrogate w uszach i na moment ją zdezorientowała. Krew z rozciętego nadgarstka Marlowe'a cały czas skapywała do wód orsine.

Margaret potrząsnęła głową, by odzyskać jasność myślenia.

Berghast wyprostował się i odwrócił do niej, jakby się jej spodziewał. Na jego gładko ogolonej twarzy malował się wysiłek, skóra na zuchwie i kościach policzkowych była okrutnie, trupio naprężona.

– Witaj, Margaret. – Jego cichy monotony głos brzmiał jednocześnie swojsko i obco. – Przychodzisz mnie przestrzec przed Walterem, powiedziec o panu Thorpie... Spóźniłaś się. On już nie żyje.

Nie zdążyła ukryć noży, ale na Berghaście ich widok nie zrobił żadnego wrażenia. Za jego plecami drughr kręcił się niespokojnie zanurzony w swojej mazi. Przedstawiał widok godny politowania.

– Widziałem wasz powóz na dziedzińcu – ciągnął półgłosem Berghast. – Co ci się stało? Wyglądasz... żałośnie.

Obszedł ją dookoła, stąpając miękko i cicho niczym kot, a potem przykucnął i złapał ją za nadgarstki. Rękawica, którą nosił, była szorstka, płytki drewnianej okładziny miały ostre krawędzie. Parowała lekko, chociaż była zimna w dotyku.

Bez wysiłku wyłuskał noże z dłoni Margaret, a ona mogła co najwyżej sapnąć z bólu i frustracji. Drughr wił się i skręcał nad orsine, kłębił się i mieszał sam ze

sobą jak dym zamknięty w słoju.

Nagle coś przyciągnęło uwagę Berghasta. Odwrócił się lekko w tył. Margaret zobaczyła Marlowe'a, który klęczał obok doktora i obiema dłońmi trzymał go za odsłoniętą rękę powyżej łokcia. Lśnił przy tym przerażającym blaskiem, pod przezroczystą skórą wyraźnie rysował się zarys jego czaszki, oczodoły, kości i żyły. Mocno zaciskał zęby. Jasność wręcz z niego buchała.

W miejscu jego dotyku skóra Berghasta zaczęła wrzeć.

Wydawało się to niemożliwe, Margaret nie pojmowała tego, co widzi, ale doktor wstał gwałtownie i odepchnął chłopca, aż ten uderzył głową o posadzkę. Przepelniający go blask natychmiast przygasł, a jego ciało dziwnie zwiotczało.

Skóra Berghasta świeciła.

– Dlaczego to robisz?! – wykrzyknęła rozpierana bezsilną złością Margaret. – Przyszłam cię ostrzec, myślałam, że spróbujesz ochronić ich wszystkich. Henry, wierzyłam w ciebie! Przez te wszystkie lata pomagałam ci! Mój mąż, pan Harrogate, też ci pomagał, a ty... ty jesteś zwyczajnym potwo...

– Wcale nie – wszedł jej w słowo. – Tu chodzi o coś ważniejszego.

Postawił ją na nogi, wyginając jej przy tym nadgarstki w tył tak mocno, że prawie je roztrzaskał. Potem puścił jedną jej rękę i unióś swój nóż.

– Henry...

Nie słuchał. Okrutnym ruchem wbił jej ostrze w brzuch. Weszło gładko, bez oporu, aż po rękojeść. Stęknęła z niedowierzania, zaskoczona rozlewającym się powoli zgrzytliwym bólem.

– Nie jestem potworem – powiedział Berghast. Spojrzał jej w oczy i zmusił ją do nawiązania kontaktu wzrokowego. – Nie sprawia mi to przyjemności.

Wyszarpnął nóż i odszedł.

Charlie wyniósł z krypty ociekające serce glifina. Zewsząd otaczało go błękitne światło. Trzymał serce w obu dłoniach, zawinięte w koszulę jak noworodka, i wyraźnie czuł jego ciepłą wilgoć. Płonące po drugiej stronie jeziora Cairndale wyglądało jak otoczone ognistym rusztowaniem.

Nogi i ręce miał podrapane i zakrwawione, ale rany już się zasklepiały. Zacerpnął powietrza w płuca, chwiejnym krokiem zagłębił się w ruiny klasztoru,

do mnisich cel i dalej, po kamiennych schodach w dół. Musiał zatopić serce glifina w orsine.

Bijąca z dołu niebieska poświata oślepiła go. Potknął się przy wejściu do podziemnej komory i zmrużył oczy. Orsine płonęło zbyt jasno. Odwrócił głowę w bok i dostrzegł czające się pod ścianami dziwne szare sylwetki. Światło i ciemność zdawały się zupełnie nie dotykać ich szarości. Kiedy zwróciły się w jego stronę, rozpoznał je – wyglądały inaczej, nie były już piękne, nie pulsowały jak wstęgi wspomnień, ale je rozpoznał. Duchy umarłych.

Otoczyły go zniecka. Nie wydawały żadnych dźwięków, ale poruszały się z niewiarygodną szybkością. Zadrżał pod dotykiem pierwszego z nich, ponieważ kontakt ten okazał się materialny, konkretny jak wszystko w tym świecie. W dodatku w miejscu dotknięcia skóra Charliego rozjarzyła się błękitnym światłem, po czym pokryła się bąblami i zaczęła wrzeć. Ból był straszliwy.

Drugi duch dołączył do pierwszego, później trzeci, z każdą chwilą przybywało ich, aż w końcu nie był w stanie utrzymać serca glifina w rękach, wysliznęło mu się i wypadło... Duchy natychmiast zostawiły go w spokoju i zwróciły się w stronę małego, jarzącego się na niebiesko serca. Zaczęły je pożerać.

– Nie...

Zdjęty zgrozą osunął się na kolana. Umarli przestali się nim interesować i wkrótce pochłonęli serce w całości. Nic z niego nie zostało. Usta i palce mieli umazane czarnym śluzem.

Charlie podniósł wzrok. Coś tkwiło uwięzione w orsine, jakiś galaretowaty, kleisty olbrzym napierał od spodu na jego powierzchnię. Ciało miał dziwnie zgrubiałe, wydłużone i jakby pokryte smołą. Po chwili Charlie ujrzał doktora Berghasta, który stał przy orsine: rękę w rękawicy zwiesił swobodnie przy boku, drugą zaś wepchnął po łokieć w lepkie udo olbrzyma, jakby chciał go w ten sposób unieruchomić. Coś się jednak z nim działo, cały drżał, a jego skóra emanowała błękitem tak jak czasami u Marlowe'a...

Nagle Charlie zrozumiał: Berghast wysysał moc drughry.

Wyrwa w orsine cały czas się powiększała. Umarli znów stali nieruchomo, z opuszczonymi rękami i wpatrywali się w rozdarcie. Charlie zawiódł wszystkich, stracił serce glifina i teraz orsine już nigdy nie zostanie zapieczętowane.

Wtedy zobaczył skulone w ciemności nieruchome ciała pani Harrogate i swojego jedyne go przyjaciela Marlowe'a. Leżeli blisko jednego z filarów, zapewne pani Harrogate w jakiś sposób udało się zaciągnąć Marlowe'a w to miejsce. Drogę, po której się czołgała, znaczył długi krwawy ślad. Charlie spojrzał na jej zakrwawiony brzuch i już wiedział, że jest umierająca. Marlowe miał rozcięty lewy nadgarstek, był zakrwawiony i bardzo, bardzo blady.

Przybył za późno.

Wtedy jednak Marlowe uśmiechnął się słabo.

– Char-lie. – Jego głos cicho zaszeleścił. – Wiedziałem... że przyjdiesz.

Żal wezbrał w piersi Charliego. Otarł dłońmi oczy.

– Przepraszam, Mar. Strasznie mi przykro. Straciłem je, straciłem serce glifina. Miałem zapieczetować orsine, ale oni mi je zabrali. Próbowałem ich powstrzymać...

Marlowe tylko westchnął i znów zamknął oczy.

– Mar?

Odwrócił się i zobaczył otwarte oczy pani Harrogate. Obserwowała go.

– Moje noże... – wyszeptwała. – Jeśli zdołasz. Pójdź na skraj. Zbiornika. Jeszcze można. Go powstrzymać.

Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i dostrzegł dwa długie, wzbudzające strach ostrza leżące na podłodze niedaleko Berghasta.

– Glifin nie żyje – powiedział, tłumiąc szloch. Nie rozumiał, po co dalej się starać. – Umarli przejdą do naszego świata. Nie da się zamknąć orsine. To już nieważne.

Oczy pani Harrogate zapłonęły bólem.

– To zawsze jest ważne.

Charlie zerknął na Marlowe'a i wrócił spojrzeniem do pani Harrogate. Berghast stał wychylony nad orsine z ręką utkwioną w brejowatym ciele drughry, któremu odbierał moc.

Charlie przykucnął, pochylił się i w tej pozycji ruszył naprzód. W wodnistym błękitnym świetle przemykał od jednego filara do drugiego, ale nie potrafił niepostrzeżenie zbliżyć się do noży. Niemal bez namysłu zamknął oczy, spowolnił oddech i spróbował opróżnić umysł. Bezruch. Cisza. Wielki spokój. Pomału

wyciągnął rękę... i poczuł, że wyciąga ją coraz dalej i dalej, mięśnie w ramieniu wydłużały się, stawiały opór, znów wydłużały, miał wrażenie, że kości zostają wyluskane ze stawów, z bólu zakręciło mu się w głowie... i nagle zdał sobie sprawę, że zaciska palce na rękojeści noża. Otworzył oczy.

Nóż był ciężki, cięższy niż powinien być, i ciepły w dotyku. Jego ręka wyglądała dziwnie, wiła się węzowo. Bezgłośnie podkulił ją, przyciągnął z powrotem. Omal nie zemdłał przy tym z bólu, ale serce zabiło mu radośnie.

Udało się mu. Opanował sztukę ciągliwości.

Doniosłość tego faktu utonęła w bieżących wydarzeniach. Berghast w dalszym ciągu pozbawiał drughru mocy. Wydawał się wyższy, szerszy w ramionach i przepelniony gorączkową energią.

Za późno. Od początku było za późno.

Charlie rzucił się naprzód i wbił nóż w plecy doktora Berghasta aż po rękojeść.

Skutek był natychmiastowy. Poświata zamigotała. Drughr osunął się miękko w głąb orsine. Berghast okręcił się w miejscu. Nie miał brody ani włosów, szczyrzył zęby w stężalym uśmiechu, jego zapadnięte oczy pały blaskiem. Upiorne iskierki błękitnej energii skwierczały mu na skórze, takie same Charlie widywał czasem u Marlowe'a. Berghast zachwiał się i osunął na kolana, jakby wcześniejszy wysiłek okazał się ponad jego siły i całkowicie go wyczerpał.

Charlie dostrzegł drugi nóż: leżał tuż przy brzegu zbiornika. Rzucił się w jego stronę, dopadł go i wstał, trzymając ostrze przed sobą.

Berghast się nie poruszył: klęczał przygarbiony, zwiesił głowę i tylko oddychał. Kiedy jednak Charlie podszedł, żeby pchnąć go nożem w serce, doktor zasłonił się rękawicą i zbił ostrze na bok, a potem złapał chłopca za nadgarstek i Charlie poczuł piekielny, palący ból. Unieruchomiony w uścisku Berghasta miał wrażenie, jakby coś usiłowało go opróżnić od środka, wydrążyć, wyskrobać jakąś cząstkę jego natury.

– Co pan... co pan robi?! – zawołał.

– Ty nic... nie rozumiesz... – wyrzęził Berghast.

Na długą, straszliwą chwilę niebieski płomień ogarnął ich obu. Charlie dygotał z bólu, skóra na przegubie jego dłoni pokryła się bąblami, ale nie to było najgorsze: jednocześnie czuł, że coś pomału obiera go z wnętrzości. Berghast trzymał go zawzięcie, ale nie miał dość siły, żeby zrobić coś więcej.

Coś poruszyło się za jego plecami: to pani Harrogate próbowała się do nich podczołgać, a kiedy w końcu jej się udało, sięgnęła do góry i bardzo, bardzo delikatnie pchnęła doktora w bark. Charlie wyszarpnął rękę z jego uścisku i patrzył, jak człowiek, który wyrządził tak wiele krzywd, pochyla się w zwolnionym tempie nad zbiornikiem i bezsilnie spada w świetlistą toń. Wszystko działo się tak powoli, z tak wielką łagodnością, że zdawało się nierzeczywiste.

Nagle jednak Berghast zaczął się szamotać i szarpać, próbując utrzymać się na powierzchni. Mroczny kształt wypłynął mu na spotkanie z głębi orsine: drugie przeciął zmętniałe, rozświetlone błękitem wody, zacisnął ramię na gardle Berghasta i powoli zanurzył się z nim w otchłani.

Alice i pozostali przemierzali wnętrza Cairndale, zatrzymywali się tam, gdzie pożar zanadto się rozbuchał, wycofywali, szukali innej drogi. Na korytarzach leżały ciała, drobne ciała. Próbowwała ich nie dostrzegać.

„Biegnij”, ponaglała się w duchu. „Po prostu biegnij!”

Witraz w holu był stłuczony i kiedy schodzili po schodach, odłamki szkła chrzęściły im pod butami. Wszędzie huczały płomienie. Fragment sufitu spadł z głuchym chrzęstem, Alice potknęła się i w ostatniej chwili odciągnęła Oskara na bok. Twarz i dłonie miała umazane sadzą, włosy częściowo przypalone. Oskar toczył dzikim, przerażonym wzrokiem.

Wreszcie wypadli na zewnątrz i nocne powietrze owionęło ich z głośnym szumem. Całą okolicę oświetlała łuna pożaru. Powozu nie było. Alice wskazała stróżówkę i biegnącą za nią żwirową drogę dojazdową. Krzyknęła, że konie – wciąż przecież zaprzężone do pojazdu – na pewno nie odbiegły daleko, mogły przeciągnąć powóz po podjeździe, może nawet zawlec go na łąkę, ale uda się go znaleźć, tak, na pewno się uda. Nie patrzyła w prawo, nie zamierzała spoglądać w tamtym kierunku, gdzie ze zwału kamieni i cegieł sterczała dłoń Jacoba Marbera z zakrzywionymi szponiasto palcami. Kirasa nie było nigdzie widać.

Płaszcz ciążył jej na ramionach, gdy prowadziła dzieci przed sobą przez otoczony ogniem dziedziniec. Powóz był za mały dla nich wszystkich, ale jakoś sobie poradzą, nie będą mieli wyboru, a potem była gotowa zajeździć konie na śmierć, byle tylko stąd uciec.

Nagle we wnęce drzwi dostrzegła leżącą postać. Zwolniła. Zatrzymała się. Dzieci tymczasem wysforowały się naprzód: smukłe sylwetki pędziły po bruku w stronę stróżówki.

Podeszła do drzwi i ostrożnie przyklęknęła obok nieruchomej, ciężko dyszącej postaci.

– Alice! – zawołała Komako, która zauważyła, że ta zostaje z tyłu. – Musimy uciekać! Pospiesz się!

Nie obejrzała się za siebie. Nie odważyła się odwrócić wzroku.

Coulton leżał oparty plecami o drzwi, szponiastymi dłońmi trzymał się za brzuch. Patrzyła na jego zbryzganą krwią twarz, wykrzywione w bólu czerwone wargi, długie, ostre jak igły zęby. Spojrzenie miał posępne, zrezygnowane. Wiedział.

– A-lice... – wyrzęził.

Zadyszana pochyliła się nad nim. Nie bała się. Wyraz jego twarzy zdradzał, że odzyskał świadomość, ocalała w nim resztką dawnego Coultona, człowieka, którego Alice знаła i któremu ufała, jakby po śmierci Marbera na powrót stał się sobą – i to, co zobaczył, napawało go zgrozą.

– Proszę cię... – wyszeptał płaczliwie. – Zabij mnie... proszę.

Oblizła wargi. Płonąca rezydencja zaczynała walić się w gruzy, wśród których pełno było ciał. Musiała zamrużyć intensywnie, bo coś wpadło jej do oka. Wyjęła rewolwer, napięła kurek i przystawiła wylot lufy do piersi Coultona w miejscu, gdzie powinno znajdować się serce. Oplótł lufę zakrwawionymi palcami i przytrzymał. Skinął głową.

– Frank... – wyszeptała.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale wtedy jego kciuki znalazły cyngiel i nacisnęły. Colt wierzgnął w jej dłoni i osnuł się leniwą chmurką dymu.

Oslabiony Charlie pólleżał na krawędzi zbiornika, dyszał ciężko i kręcił głową. Berghast coś mu zrobił, przegub dłoni w dalszym ciągu płonął bólem. Daleko w głębi orsine, dokąd drughr pociągnął doktora, niebieskie światło zamigotało, na chwilę przygasło, a potem jakby zaczęło gwałtownie wypływać mu na spotkanie. Zatoczył się do tyłu.

To były duchy umarłych: szare postaci jedna za drugą powoli, metodycznie wychodziły z orsine. Było ich już dwadzieścia, trzydzieści i wciąż przybywały nowe. Chwiejnie zbijały się w gromadę, dreptały w miejscu, kręciły szarymi głowami na boki, jakby czegoś szukały.

Dziwna świetlista woda w orsine wezbrała, zaczęła się przelewać przez krawędź i rozpląwać po posadzce komory. Rozchlapując ją na wszystkie strony, Charlie podszedł do pani Harrogate, złapał ją pod pachy i oparł plecami o filar obok Marlowe'a. Kątem oka cały czas obserwował gromadzące się szare sylwetki. Niektóre spoglądały w ich stronę.

Dopiero kiedy ułożył panią Harrogate wygodnie, zauważył, że dla niej było już za późno. Nie żyła.

– Nie, nie, nie, nie, nie! – Zaniósł się płaczem, tuląc jej głowę. – Pani Harrogate, nie. Proszę.

Nic nie układało się tak jak powinno. Woda zbierała się wokół nich. Sufit zadrżał. Cała wyspa dygotała i zaczynała się rozpadać.

Marlowe usiadł w kałuży i szklistym wzrokiem śledził jedną z szarych postaci. Wydawał się teraz bardzo, bardzo mały.

– Cześć. – Charlie kucnął tuż przed nim. – Od początku zamierzałem po ciebie wrócić – powiedział, siląc się na spokój. – I wróciłem.

– Wiem, Charlie.

– A ty przez ten czas sam znalazłeś drogę powrotną.

Marlowe uśmiechnął się blado.

– Na to wygląda.

Wyspa ponownie zatrzęsała się w posadach, rozległy się stłumione eksplozje. Charlie zamrugał gwałtownie, próbując zapomnieć o strachu. Nie wiedział, co zrobił mu Berghast, ale wciąż miał lekkie zawroty głowy. Woda sięgała mu już powyżej kostek.

– Potem będziesz mi musiał wszystko opowiedzieć – rzekł – ale na razie musimy się stąd wydostać. Możesz chodzić?

– Nie. – Marlowe pokręcił głową.

– Nie przesadzaj. Pomogę ci.

Marlowe łagodnym gestem odepchnął wyciągnięte ręce przyjaciela. Zdumiony Charlie spojrział tam gdzie on, na przelewające się ze zbiornika orsine. Dopiero gdy ziemia znów zadrżała, zrozumiał, o czym myśli Marlowe.

– To niemożliwe, Mar – wyszeptał. – Straciłem serce glifina. Nic już się nie da zrobić.

– Mogę je zamknąć, Charlie.

Charlie próbował roześmiać się z niedowierzaniem, ale jego śmiech do złudzenia przypominał szloch.

– Niby jak? Przecież się na tym nie znasz.

Ale spokój malujący się na twarzy Marlowe'a kazał mu wątpić we własne słowa.

– Brynt wie, jak to zrobić – odparł chłopiec. – Pokaże mi.

Charlie obejrzał się przez ramię i zobaczył szarą postać, od której Marlowe nie odrywał oczu. Była większa, wyraźnie górowała nad pozostałymi. Stała na wprost Marlowe'a ze zwieszonymi rękami. Tak, to była ona.

Charlie już teraz płakał i kiwał głową.

– Ale co się stanie z tobą? – zapytał szeptem, wpatrzony w twarz przyjaciela. – Musi istnieć inny sposób. Proszę...

Marlowe przygryzł wargę i Charlie już wiedział, zanim jeszcze skończył mówić, że nie ma innego sposobu.

Marlowe zaczął wstawać. Wsparłszy się na filarze, zostawił na nim krwawe odciski dłoni. Charlie też się podniósł. U ich stóp leżała pani Harrogate w obszarpanej czarnej sukience, z posiniaczoną twarzą odwróconą w bok. Jej włosy unosiły się na wodzie.

Charlie zacisnął zęby.

– W takim razie – oznajmił – pójdę z tobą. Mam mój sygnet, on też jest artefaktem, jak rękawica...

– Nie możesz pójść ze mną – zaproponował Marlowe tym swoim irytująco spokojnym głosem.

Wydawał się inny, odmieniony, i to nie tylko z powodu ran i wyczerpania, bardziej... skoncentrowany. Był bardziej sobą, tak jakby dane mu było zobaczyć, jakim człowiekiem stanie się w przyszłości, i ten proces już się rozpoczął.

– Musisz tu zostać, Charlie – dodał. – Będziesz mi potrzebny po tej stronie.

– Do czego?

Marlowe odpowiedział uśmiechem, który wyglądał osobliwie na jego porytej zmarszczkami bólu, bladej i zakrwawionej twarzy.

– Żeby wymyślić, jak ściągnąć mnie z powrotem.

Zdruzgotany Charlie nie wiedział, co powiedzieć.

Patrzył, jak Marlowe brnie do orsine, drobnymi stopami rozchlapując świetlistą wodę. Kiedy tak szedł zgarbiony, tuląc obolałe dłonie do piersi, znów wydawał się bardzo mały – zwłaszcza przy towarzyszącej mu zwalistej postaci Brynt. On też teraz świecił, Charlie wyraźnie widział bijącą od niego jasność. Przed oczami stanął mu Marlowe, jakiego pierwszy raz zobaczył w Londynie, przypomniał sobie jego ciepłą, miękką w dotyku dłoń, i jednocześnie celę aresztu w Natchez, a potem poczuł w nozdrzach zapach matki z dawnych czasów, kiedy tuliła go do piersi, a on słyszał bicie jej serca...

Łzy popłynęły mu po twarzy i musiał się odwrócić.

Bał się. Błękitna poświata przybrała na intensywności i teraz dobywał się z niej żalobny, przepojony bólem dźwięk. Zebrane w pomieszczeniu milczące szare postaci rozjarzyły się przepelniającym je od wewnątrz światłem i rozplnęły w nim, jakby nigdy nie istniały, a potem jego przyjaciel – jedyny prawdziwy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miał, Marlowe, który był mu bratem bardziej niż ktokolwiek inny w życiu – wszedł do orsine i z wyraźnym wysiłkiem zaczął naciągać okrywającą je błonę nad głowę. Ciągnął i ciągnął małymi rączkami, a Charlie patrzył, jak bijący z dołu wściekły niebieski blask kurczy się, słabnie, maleje i w końcu gaśnie. W komorze zrobiło się ciemno, powierzchnia orsine stała się zimna i matowa jak wapienny osad, a niezwykle błękitne światło Marlowe'a zniknęło, na zawsze zniknęło z tego świata.

Oślaniając oczy dłonią, Alice patrzyła na płonącą rezydencję i rozpraszający się wielki obłok pyłu przywołany przez Marbera, gdy wtem usłyszała nawoływanie Ribs: powóz się znalazł, był niedaleko skraju urwiska opadającego do jeziora.

Puściła się biegiem w dół zbocza, ślizgając się w miękkim błocie. Wyprzedziła Oskara. Komako czekała już przy rozbitym powozie, trzymając się obiema rękami za głowę.

Konie musiały się spłoszyć i ponieść, kiedy wybuchł pożar. Przygalopowały aż tutaj, po czym na widok urwiska spróbowały ostro skrócić. Wóz przewrócił się na bok, dwa koła przekrzywiły się i połamały. Jeden koń, zaplątany w uprząż, leżał spokojnie, nie wierzgał, nie ruszał się, jakby się zmęczył; chyba nawet nie był ranny. Drugi stał i toczył przerażonym wzrokiem, łowiąc w nozdrza zapach niewidzialnej Ribs. Znaleźli jeszcze trzy konie, które najwidoczniej uwolniły się z płonącej stajni i przybiegły tutaj w ślad za powozem, a teraz stały i strzelały przerażonymi ślepiami na boki, ilekroć któreś z dzieci próbowało się do nich zbliżyć.

– Nie podchodź. – Alice ostrzegła Ribs, nie mając pojęcia, gdzie jej szukać.

Na jeziorze majaczyła wyspa z ruinami klasztoru, na którą udał się Charlie. Działo się tam coś dziwnego. Światelka unosiły się spiralami sponad drzew niczym roje maleńkich ciem. Ruiny pulsowały osobliwą niebieską poświatą, której odbłask kładł się na wodzie.

Stojący obok powozu koń parsknął i zarzucił łbem. Drugi, ten leżący, znienacka wierzgnął i spróbował wstać.

– Spokojnie – mruknęła Alice. Podniosła ręce i stanęła w miejscu, w którym było ją widać. – Już dobrze – mówiła półgłosem. – Już dobrze. Wszystko w porządku.

Koń zaczął się uspokajać. Cały czas mrużąc kojąco, wyciągnęła rękę i dotknęła jego mokrej szyi.

Nagle Oskar krzyknął ze zgrozą. Alice cofnęła się i odwróciła płynnym ruchem.

W ich stronę zmierzał Jacob Marber. Obszarpany i dymiący wyglądał jak uosobienie furii. Nawet z tej odległości Alice widziała krew w jego brodzie i ranę po oderwanym uchu. Ubranie miał podarte. Szedł z rozpostartymi rękami.

– No ja pierdołę... – mruknęła pod nosem.

Wyjęła rewolwer, wycelowała i pięć razy strzeliła Marberowi w pierś. Zachwiał się, ale nie upadł.

Spokojnie, ale szybko otworzyła bębenek, wytrząsnęła łuski i zaczęła ładować broń. Niepotrzebnie tak szybko pozbyła się kirasa.

Porwany w powietrze Oskar został ciśnięty jak zabawka w dół pochyłości, w stronę urwiska. Spadł i legł nieruchomo. Troje innych dzieci rzuciło się z krzykiem do ucieczki, ale i one pofrunęły gdzieś w ciemność. Komako rozłożyła ręce i próbowała stawić opór Marberowi, który pchnął ją i zmusił do

przyklęknęcia najpierw na jedno kolano, potem na oba. Podmuchy powietrza targały jej długim warkoczem, gdy otoczył ją obłok pyłu – a Marber cały czas się zbliżał. Szedł w stronę Alice.

Skończyła przeładowywać, przypadła do ziemi na kolano i trzymając rewolwer w jednej ręce, podparła go nadgarstkiem drugiej. Tym razem strzeliła Marberowi w nogi.

To go zatrzymało. Nogi mu się rozjechały na bok i z impetem runął na ziemię.

Alice zerwała się i pobiegła do Oskara i Komako, nawołując Ribs, żeby wypięła konie z uprzęży.

I wtedy wyspa wybuchła.

Eksplodowała olbrzymim, dziwnym, niebieskim płomieniem, który buchnął wysoko w górę i rozlał się ponad jeziorem. Na ten widok Alice aż się zachwiała. Pomyślała o Charliem i serce o mało jej nie pękło, ale nie było czasu do stracenia, bo Marber już wstał i z krzykiem biegł w jej stronę. Pędził, jakby w ogóle nie został postrzelony, przywalony gruzem ani poharatany przez kirasa. Podniosła colta do strzału, ale w tej samej chwili zrozumiała, że nic nie zdoła powstrzymać Jacoba Marbera.

W każdym razie nie ona.

Wielki ciemny kształt wynurzył się w mroku nocy i staranował Marbera. Warczał wściekle, tłukł go łapami po głowie i po chwili obaj, spleceni w uścisku, poturlali się w dół, ku urwisku. To był kiras: wielonogi, pazurzasty, uzębiony i pałający furia, jakiej Alice jeszcze u niego nie widziała.

Nie śledziła jednak przebiegu ich starcia. Skupiła się na pomocy Oskarowi, podbiegła do Komako, jej również pomogła wstać, a potem wszyscy wspięli się na grzbiety koni, które przez ten czas Ribs uwolniła z uprzęży. Dosiedli ich na oklep, po trzy osoby na wierzchowcu, i ruszyli z kopyta, stłoczeni, pochyleni nisko nad końskimi karkami. Alice zaryzykowała rzut oka wstecz i z bólem serca patrzyła, jak kiras złapał głowę wierzgającego dziko Marbera w potężne szczęki, zawlókł go na skraj urwiska i obaj runęli w dół na spotkanie ciemnej, posępnej toni. Powierzchnia jeziora zamknęła się nad nimi, rozeszły się zmarszczki, a potem wszystko znieruchomiało. Widoczna wśród rozświetlonej nocy wyspa zapadała się w siebie. Alice miała wilgotne policzki, pogryziony bark rwał ją boleśnie. Za ich plecami stara rezydencja płonęła.

Konie biegły przed siebie.

Epilog

Niebo na wschodzie czerwieniało o świcie, kiedy Charlie znalazł wśród zgliszczy pannę Davenshaw. Tylko ona jedna ocalała. Wydobył ją – zakrwawioną, pokrytą popiołem i sadzą, w podartej sukience – wyniósł na wzniesienie ponad rezydencją i położył na mchu. Delikatnie okrył ją ocalonym z pożaru nadpalonym kocem, dotknął jej twarzy i błagał ją w duchu, by nie umierała. Poraniony przez doktora Berghasta nadgarstek w dalszym ciągu mu dokuczał. Ruiny Cairndale dymiły w świetle dnia: ocalały dwie ściany, a wśród gruzów spoczęły wszystkie stare talenty, zwierzęta ze stajni, a także służący, ogrodnicy i młode talenty, których imion Charlie nie zdążył poznać. Wyspa się zapadła, w jej miejscu ziało teraz ogromne zagłębienie o nierównym dnie, wciąż wypełnione nocnym mrokiem, bo dzień ociągał się z jego rozświetleniem.

Marlowe.

Nie mógł przestać o nim myśleć, o Marlowie, który przepadł tam, na wyspie. O tym, jak zszedł do orsine, jak umarli rozstępowali się przed nim, jak niebieska poświata zgasła i jak jego dłonie zamknęły orsine. A potem nastąpił wybuch.

Zwiesił głowę, oczy miał wilgotne od łez. Wrócił potem na wyspę i przeczesał ruiny w poszukiwaniu przyjaciela, ale go nie znalazł. Został mu tylko ten jeden świat. Kiedy później chodził po zgliszczach Cairndale i nawoływał pannę Alice, Komako, Ribs, Oskara albo w ogóle kogokolwiek, żeby się odezwał, odpowiedziała mu cisza, nikt nie zareagował, nie było żadnych oznak życia, dopóki nie zauważył panny Davenshaw przygniecionej zwaloną belką sufitową w dawnym przejściu do wschodniego skrzydła gmachu. Przysypana białym kurzem przywodziła na myśl litcha. Nie umiał jednak stwierdzić, czy pozostałym udało się uciec, czy zginęli gdzieś daleko stąd, czy może leżeli pogrzebani pod jego stopami – i ta niewiedza była niemal najgorsza ze wszystkiego.

Na dodatek rozciągała się na wszystkie sprawy: Charlie nie wiedział, co robić. Nie miał pojęcia, co się stało z Jacobem Marberem i jego litchem, ale przynajmniej

nigdzie ich nie spotkał. Wyciągnąwszy pannę Davenshaw z pogorzelniska, próbował ją ocucić, a gdy mu się to nie udało, rozejrzał się bezradnie, po czym rozpoczął długą, żmudną wspinaczkę z guwernantką w ramionach, pod górę, byle dalej od ruin. To była jedyna świadoma, wyrazista myśl w jego głowie. Panna Davenshaw w pobielających dłoniach kurczowo ścisnęła nadpalony dziennik w skórzanej oprawie. Próbował go jej zabrać, ale nie zdołał odgiąć jej palców i w końcu zrezygnował.

Wróciwszy do ruin, znalazł wśród nich ocalałą z pożaru szopę, a w niej ręczny wózek z płaską platformą. Wybuch potłukł szybki w małych oknach budynku i Charlie zranił się odłamkiem szkła. Patrzył, jak krew wzbiera mu w brudnej dłoni i powoli ścieka na uchwyt wózka. Taki ból się nie liczył, nie dla zdrowca.

Zszedł nad jezioro i wyciągnął ciało pani Harrogate z łodzi, którą je przetransportował. Położył na wózku z wyprostowanymi nogami i rękami skrzyżowanymi na piersi i przewiózł na wzniesienie ponad rezydencją, nie bardzo wiedząc, co innego mógłby zrobić. Panna Davenshaw w dalszym ciągu nie dawała oznak życia.

Wiedział, że słup dymu zwabi miejscowych i niedługo, z pewnością jeszcze przed południem, należy się spodziewać przybycia policji i reporterów. Zamierzał się wcześniej ulotnić. Wiedział, że Szkocja to nie Missisipi, ale nie chciał być jedynym ocalałym – młody czarny mężczyzna wśród powszechnego zniszczenia i mnóstwa białych ciał.

Kiedy wschodzące słońce oderwało się od powierzchni jeziora, panna Davenshaw odzyskała przytomność. Z jękiem podparła się na łokciu i zaczęła kręcić głową na boki.

– Kto tu jest? – wychrypiała.

Charlie zaniemówił ze wzruszenia.

– To ja – wykrztusił dopiero po chwili. Wstrząsany szlochom łapczywie nabrał powietrza w płuca. – Charlie.

Panna Davenshaw też nie od razu odpowiedziała. Na jej twarzy odmalowała się pospieszna, złożona sekwencja emocji.

– Charlie... czy tylko... czy ktoś jeszcze...

– Zostaliśmy tylko my dwoje, panno D. Nie widziałem nikogo, kto by jeszcze przeżył. Tylko my – odparł. W tej samej chwili dostrzegł plamę krwi na jej rękawie

w miejscu, w którym go dotknął. Z niedowierzaniem podniósł dłoń do oczu. Skaleczenie się nie goiło.

Kiedy później się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że to musiała być sprawka Berghasta. To jego ognisty uścisk na brzegu orsine w jakiś sposób wydarł z niego talent, wyssał go, wypatroszył i porzucił jako pustego zwyczajnego człowieka.

Ostrożnie, trochę niezręcznie owinał bolący nadgarstek oddartym z koszuli pasem materiału, po czym w podobny sposób opatrzył skaleczoną dłoń. Krew niemal od razu przesiąkała przez materiał. Ręka pulsowała bólem. Był zbyt wyczerpany i zaskoczony, zanadto przepełniony smutkiem i złością na wszystko, co się stało, żeby w pełni zdać sobie sprawę z tej najnowszej straty.

– Może jeszcze wróci? – zapytał z lękiem pannę Davenshaw.

Wyciągnęła zakrwawioną dłoń, jakby chciała go uścisnąć.

– Och, Charlie... – mruknęła tylko.

Zostawili ciało pani Harrogate na dziedzińcu Cairndale przykryte prześcieradłem, wiedząc, że miejscowi pogrzebią umarłych. To był pomysł panny Davenshaw. Poza tym wyciągnęli z gruzów co tylko się dało: jakąś torbę podróżną, trochę jedzenia ze spiżarni, ubranie jako tako nadające się do podróży. Panna Davenshaw wysłała Charliego do ocalałej szopy, skąd przyniósł jej znalezione pod odwróconą do góry dnem doniczką sakiewkę z pieniędzmi i plik banknotów. Nie zbliżał się do ciała na łące, a gdy później znalazł wystającą z gruzów rączkę małego chłopca, spojrzął na nią, a potem wyszedł z rezydencji i już do niej nie wrócił.

Wyruszyli, zanim długie cienie zdążyły się cofnąć do połowy długości jeziora. Kiedy opuszczali teren rezydencji, gramoląc się przez kamienny murek, Charlie dostrzegł zbliżających się jeźdźców. Z dwóch budynków pomocniczych wciąż wznosiły się w niebo leniwe słupy dymu.

Jeszcze przed południem zabrał ich wóz jadący na targ i w ten sposób dotarli aż do Edynburga. Od razu udali się na dworzec kolejowy Princes Street i kupili bilety na bezpośredni pociąg do Londynu, na King's Cross.

– Tam będziemy mogli zniknąć bez śladu – wyjaśniła panna Davenshaw.

Charlie nie pytał, po co mieliby to robić, przed kim powinni się kryć ani jak długo może to potrwać. Co chwilę dotykał swoich bandaży. Ból nie ustępował.

Panna Davenshaw powiedziała, że udadzą się do pewnego domu będącego własnością Instytutu, gdzie spokojnie zatrzymają się na jakiś czas i zastanowią co dalej.

Miała oczywiście na myśli dom przy Nickel Street West.

Stopniowo oswoił się z myślą, że stracił talent i stał się wygnańcem. Podzielił los ojca. Skoro się nie uzdrawiał, to niczym nie różnił się od Alice czy swojej matki, które kochał i podziwiał. Nie mógł się jednak nadziwić, że nie jest bardziej zdruzgotany tą zmianą. Codziennie rano budził się, wdychał ciemne londyńskie powietrze, sznurował buty, czuł ciepło krwi w opuszkach palców i myślał o Marlowie, który został sam w krainie umarłych. W takich chwilach jego nieszczęścia traciły na znaczeniu. Zamiast tego przypominał sobie ubożego chłopaka skazanego w Natchez na śmierć, zdezorientowanego posiadającym talentem i przerażonego na myśl, że jest zupełnie sam na świecie. Tamten chłopak zdawał mu się niemal innym człowiekiem, z którym chętnie by się dziś spotkał, porozmawiał, powiedział mu: nie jest dobrze, ale z czasem będzie lepiej.

Bo rzeczywiście było. Teraz to rozumiał. Po wszystkim, co się wydarzyło – spotkaniu z Marlowe'em, poznaniu Ko, Ribs i Oskara, odkryciu prawdy na temat ojca, przejściu przez orsine oraz wędrówce po świecie umarłych – tamto pierwsze życie zdawało mu się snem. Wszystko, co zobaczył od tamtej pory, było bardziej prawdziwe. Widział na własne oczy, jak duchy umarłych wychodzą z orsine, czuł ich lodowatą bliskość, gdy próbowały mu odebrać serce glifina. Widział drugą pozbawionego mocy. Patrzył, jak jego najlepszy przyjaciel schodzi do tamtego innego świata i zamyka przejście za sobą.

Po tym wszystkim przepełniał go zupełnie nowy, spokojny smutek i żal po stracie: na jego oczach spłonął jedyny jego azyl na tym świecie, a wraz z nim przepadli wszyscy przyjaciele, być może na zawsze. Kimkolwiek teraz był, kimkolwiek się stawał, nie miał nic wspólnego z tamtym chłopcem z przeszłości.

Przez kilka tygodni mieszkali w dawnym domu pani Harrogate. Charliego wciąż dręczyły zniekształcone wspomnienia wydarzeń, które miały tu miejsce: litch pełzający po ścianach, szpony stwora na jego gardle. Pamiętał również dziwny nie-Londyn w drugim świecie i zalany wodą hol tamtego budynku, i za każdym razem, gdy opuszczał dom, musiał powstrzymać dreszcze. Wychodzili rzadko, wyłącznie po jedzenie i inne niezbędne zakupy. Najpierw zresztą musieli

wyłamać zamek w furtce, żeby dostać się do domu, i choć Charlie dołożył wszelkich starań, by później ją naprawić, nie zamykała się jak należy i oboje z panną Davenshaw cały czas mieli się na baczności. Panna Davenshaw – małomówna i wiecznie zadumana – miała prawdziwą obsesję na punkcie ocalonego z Cairndale nadpalonego dziennika. Charlie godzinami czytywał jej jego długie fragmenty przy świetle mocno podkreślonych lamp gazowych, a czasem także świecy w kinkiecie nad sofą.

Nie mógł się wyzbyć wrażenia, że Marlowe wcale nie przepadł na zawsze, nie zginął, że cały i zdrowy tkwi gdzieś w orsine, po drugiej stronie. Prawdę mówiąc, nie miał argumentów, by tak myśleć, przeciwnie, było aż nadto powodów, by spodziewać się czegoś wręcz przeciwnego. Nadzieję dawały mu tylko pożegnalne słowa przyjaciela i własne przeczucie. Kiedy pewnego wieczoru podzielił się z panną Davenshaw swoimi odczuciami i przekonaniem, że Marlowe jednak żyje, nie odpowiedziała. Objęła go tylko i przytuliła do piersi.

Dziennik, który co wieczór czytał pannie Davenshaw, należał do doktora Berghasta. Był nadwęglony, brakowało w nim części kartek, cała tylna okładka została oderwana, a strony śmierdziały dymem, naftą i martwotą i palce Charliego też przechodziły tymi zapachami. Bywały chwile, w których musiał odłożyć dziennik, nie był w stanie dłużej go czytać, obcować z pamiątką tamtej strasznej nocy. Niewiele rozumiał z jego treści – wypełniały go kolumny liczb albo dat, na wpół czytelne komentarze na temat kolorów i pór dnia, zapiski z eksperymentów – ale wszystko sumiennie odczytywał na głos. Jeden z wpisów zawierał trzy nazwy miejsc, które panna Davenshaw kazała mu powtarzać po wielokroć, słuchając z odwróconą w bok głową i ściągniętymi brwiami.

– To informacje od glifina – orzekła w końcu. – Ostatnie odkrycia pana Thorpe’a. Dzieci. Talenty, które czekają na znalezienie.

Charlie przypomniał sobie, jak panna Quicke i pan Coulton wyciągnęli go z aresztu w Natchez – wieki temu, zdałoby się. W innym życiu.

– Jak teraz ktokolwiek zdoła je znaleźć? – zapytał.

Ale panna Davenshaw kazała mu tylko zaznaczyć to miejsce w dzienniku i czytać dalej. Wielu dalszych stron brakowało, ale czasami udawało się Charliemu odcyfrować część jakiegoś wpisu i przy jednej z takich właśnie okazji panna Davenshaw zmarszczyła w skupieniu czoło i wyprostowała się na sofie, jakby

dokładnie na ten fragment czekała. Nieco przypominał wpis w pamiętniku i traktował o kobiecie imieniem Addie żyjącej w osadzie zbudowanej z kości.

Addie uważa, że można strzec przejścia i nie przepuszczać potworów, pisał Berghast, ale to niemożliwe. Jeżeli drzwi istnieją, to prędzej czy później na pewno zostaną otwarte. Ponieważ taki jest cel ich istnienia, a wszelkie byty na ziemi, zarówno ożywione, jak i martwe, muszą odegrać swoją rolę, gdy nadejdzie ich czas. Nie można zamykać oczu i żywić nadziei, że strachy znikną. Jedyнным sposobem zabicia potwora jest stawienie mu czoła w jego legowisku.

Charlie zamknął dziennik. Zaczynał rozumieć. Berghast pisał o orsine.

Drugim orsine.

Pewnego dnia czyjaś dłoń pchnęła drzwi wejściowe, z holu na parterze dobiegł odgłos kroków i przed Charliem stanęła Alice Quicke: brudna, zmęczona, z podkrążonymi oczami, zaskoczona i niezdolna wykrztusić choćby słowa. Wyglądała, jakby się postarzała o dziesięć lat. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, z obu stron obeszli ją Komako, Oskar i Ribs – ta ostatnia z lewą ręką na temblaku i bledsza niż zwykle. Wszyscy się śmiali, przekrzykiwali, nawet panna Davenshaw uśmiechała się uroczyście.

– A gdzie Lymenion? – zapytała, gdy trochę się uspokoiłi.

Oskar zmarszczył białe brwi.

– Pomógł nam powstrzymać Jacoba, panno Davenshaw. Ale mogę go odtworzyć, będę tylko potrzebował odpowiedniego... surowca.

– Znaczy się, truposzy – pospieszyła z wyjaśnieniem Ribs. – Lymenion wcale nie odszedł na zawsze, co nie? Ciało brzyna nie da się zabić, prawda?

– Prawda – potaknął stanowczo Oskar.

– Dziękuję, Eleanor, to wystarczy – powiedziała z lekkim uśmiechem panna Davenshaw. Miało się wrażenie, że odzyskuje część dawnej siebie. Z wyraźną satysfakcją wyprostowała się, przyjmując pozę pełną godności. – Po kolei. Przypuszczam, że jesteście głodni. Kiedy ostatnio mieliście okazję się umyć? Jak jesteście ubrani?

Kiedy jej palce poczęły badać stan podopiecznych, Charlie zwrócił uwagę, że Komako – z długim warkoczem owiniętym wokół głowy – przygląda mu się z uwagą i wielkim współczuciem. Poczuł, że się rumieni. Co zobaczyła? Jej

spojrzenie zatrzymało się dłużej na obrzmiałej świeżej bliźnie na jego dłoni. Skrępowany zacisnął pięść i schował rękę za plecy.

– Co ci się stało w rękę? – spytała półgłosem, żeby nikt inny nie słyszał. – Charlie?

Chciał jej odpowiedzieć, wyjaśnić, opowiedzieć o tym, jak stracił talent, ale nie potrafił. Pokręcił tylko głową i odwrócił wzrok.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – mówiła dalej. – Ja też tak pomyślałam, wszyscy widzieliśmy, jak wyspa wyleciała w powietrze.

– No tak, ale... udało mi się uciec.

– Jak widać.

Japonka uniosła wąską brew i Charliemu przez moment mignęła dawna Komako, sarkastyczna i nieznośna. Zaraz jednak zniknęła, bo zatroskanie jak woalka opadło na jej twarz. Ten widok go zasmucił, choć nie do końca rozumiał dlaczego.

Dopiero później zdał sobie sprawę, że nie zapytała o Marlowe'a. Nikt z nowo przybyłych o niego nie zapytał. Tak jakby wiedzieli. W Komako pojawiła się jakaś nowa rezerwa, dystans, który trudno było ubrać w słowa, i Charlie zrozumiał, że wszyscy się nieodwracalnie zmienili i nie mogło być mowy o powrocie do przeszłości.

Wieczorem zebrali się przy kominku w salonie i Alice opowiedziała, co się wydarzyło. Mówiła o zabiciu Jacoba Marbera, o śmierci Lymeniona i o ataku litcha Coultona. I o tym, jak kiras ich wszystkich uratował. Kiedy wyspa się zapadała, Ribs obficie krwawiła z ran, dlatego porzucili płonące ruiny, dosiedli koni i popędzili do Edynburga. Łącznie uciekło ich piętnaścioro. Zatrzymali się u starej alchemiczki, pani Ficke, gdzie Ribs wróciła do zdrowia.

W gazetach mnożyły się spekulacje na temat przyczyn zniszczenia Instytutu. Miejskowa policja szukała świadków. Alice bała się, że Berghast, drughr lub coś jeszcze gorszego wciąż może ich tropić, dlatego wołała nie zostawać w Szkocji. Przyjechali więc do Londynu i zostawili pozostałą jedenastkę dzieci pod opieką Susan Crowley. Jeżeli ktoś mógł im zapewnić bezpieczeństwo, to właśnie panna Crowley. Ribs, Komako i Oskar oczywiście nie chcieli zostać z nią i przybyli z Alice na Nickel Street West, bo nie mieli gdzie się podziać.

Kiedy Alice skończyła, Charlie pokrótce zrelacjonował wydarzenia nad orsine z udziałem Marlowe'a, pani Harrogate i doktora Berghasta. Opowiedział o utracie talentu i pokazał im dłonie ze świeżą blizną, ale zabrakło mu zapału, żeby dłużej o tym mówić. Słuchali go ze ściągniętymi bólem twarzami, a Oskar zrobił taką minę, jakby miał się rozplakać, kiedy słuchał o pobycie Marlowe'a w krainie umarłych, jego powrocie z niej i ostatecznym poświęceniu.

Panna Davenshaw opowiedziała o tym, co wydarzyło się później – jak znalazła dziennik Berghasta i jak po wszystkim zostawili ciało pani Harrogate na dziedzińcu i udali się na południe. Na zakończenie wspomniała o zapiskach doktora wskazujących na istnienie drugiego orsine. Było najzupełniej prawdziwe, twierdziła. Kiedyś naprawdę istniało, więc mogło istnieć w dalszym ciągu. Wpis wprawdzie się urywał, ale w dzienniku na pewno znajdzie się więcej wskazówek.

– Gdzieś tam istnieje drugie przejście – podsumowała, siedząc prosto i nieruchomo. – Inna droga do tamtego świata.

Komako pokręciła głową.

– Jakie to ma teraz znaczenie, panno Davenshaw?

Charlie spojrzał najpierw na nią, a potem na pozostałych swoich przyjaciół.

– Marlowe zamknął orsine – przypomniał. – Po tym, jak doktor Berghast do niego... wpadł. Może nadal żyje. Muszę się tego dowiedzieć, Ko. Muszę mieć pewność.

– Myślisz, że... przeżył? – zapytał szeptem Oskar.

Charlie pokiwał głową.

– A Berghast? – zainteresowała się Komako. – Myślisz, że on też żyje?

– Nie wiem – przyznał po chwili zastanowienia.

– Na co właściwie teraz liczysz, Charlie? – Ribs zmrużyła zielone oczy. – Przecież ten lajdak odebrał ci twój talent.

– Istotnie, panno Ribbon. – Panna Davenshaw zwróciła surowe oblicze w jej stronę. – Ale istnieją inne sposoby na to, by zaistnieć w świecie. Nie każda zmiana jest stratą.

Twarz Charliego przybrała zawzięty wyraz. Wiedział, że będą go próbowali odwieść od pomysłu, który za chwilę im przedstawi.

– Chcę poszukać drugiego orsine – zapowiedział. – Zamierzam je znaleźć. A wtedy pójdę tam i wyciągnę Marlowe’a.

Nikt mu nie odpowiedział. Alice zdjęła kapelusz, przeczesała palcami przetłuszczone blond włosy i nałożyła kapelusz z powrotem. Spojrzenie miała twarde, nieprzejednane.

– W porządku – powiedziała. Spojrzała Charliemu w oczy. – Poszukajmy go więc.

Dziękuję!

Przed wszystkim – Ellen Levine, mojej agentce i przyjaciółce, bez której ta książka by nie powstała; żaden pisarz nie mógłby sobie wyobrazić życzliwszego, bardziej zagorzałego i lepszego adwokata. Także Audrey Crooks za niezmordowane wsparcie, Aleksie Stark, Marcie Wydysh, Norze Rawn, Stephanie Manovie i całej ekipie z Trident Media, dzięki którym książka mogła się ukazać.

Megan Lynch z Flatiron Books okazała się prawdziwym darem niebios – ze świecą szukać drugiej tak błyskotliwej, wrażliwej i delikatnej redaktorki; mam naprawdę ogromne szczęście, że mogę z nią pracować. Dziękuję także Kukuwie Ashun, która czuwała nad całym procesem powstania książki; Keithowi Hayesowi za absolutnie genialną okładkę; Malati Chavali, Marlenie Bittner, Katharine Turro, Nancy Trypuc, Cat Kenney i Claire McLaughlin za bycie niewyczerpanymi źródłami znakomitych pomysłów. Erice Ferguson, wyśmienitej adiustatorce. Ryanowi Jenkinsowi i Hazel Shahgholi, świetnym korektorom. Flatiron są genialni.

Jaredowi Blandowi z McClelland & Stewart, który od początku służył mi niezłomnym wsparciem. Uważam się za szczęściarza, że właśnie on mógł mieć baczenie na mój proces twórczy. Także Toni Addison, Erin Kelly, Sarah Holland, Rucie Liormonas i całemu zespołowi M&S.

Alexis Kirschbaum z Bloomsbury, której serdeczność i entuzjazm dla tego projektu pomogły mi doprowadzić go do końca, jak również całej pozostałej drużynie z Bloomsbury, w szczególności Philippie Cotton, Emilie Chambeyron, Stephanie Rathbone i Amy Donegan.

Richowi Greenowi z Gotham Group, cudownemu pracownikowi, za wiarę i wsparcie.

Nade wszystko zaś, jak zawsze, Jeffowi, Kevinowi, Brianowi, moim rodzicom. Cleo i Maddoksowi, którzy codziennie wymyślają nowe światy zaklęte w słowa.

Oraz Esi, mojej ukochanej i mojemu talentowi, na której wszystko się zaczyna i kończy.

Przypisy

[1] Cytat za *Apokryfami Starego Testamentu* w przekładzie ks. Ryszarda Rubinkiewicza (przyp. tłum.).

[2] Spring-Heeled Jack – upiorna postać z wiktoriańskiego folkloru, słynąca z umiejętności wykonywania niewiarygodnie długich i wysokich skoków (przyp. tłum.).